

## Danielle Steel

### Ranczo

#### Rozdział pierwszy

W każdym innym supermarkecie kobieta pchająca wózek wzdłuż półek ze słoikami i artykułami puszkowanymi wyglądałaby nie na miejscu. Miała nienagannie uczesane brązowe włosy do ramion, piękną cerę, wielkie brązowe oczy, szczupłą figurę, idealny manicure, a ubrana była w zielony lniany kostium, który wyglądał, jakby został kupiony w Paryżu. Do tego pantofle na wysokich obcasach, torebka firmy Chanel, o ton jaśniejsze od kostiumu. Kobieta była wytworna w każdym calu. Nie wyglądała na stałego bywalca supermarketu, ale czuła się w nim zupełnie swobodnie. W drodze do domu wstępowała zazwyczaj do Gristede'a na Madison albo na Siedemdziesiątą Siódmą. Większość sprawunków załatwiała gospodyni, ale Mary Stuart Walker niekiedy lubiła sama robić zakupy, co było zabawne i trochę staroświeckie. Lubiła gotować dla Billa wieczorami, kiedy wracał do domu; nigdy nie mieli kucharki, nawet w czasach, gdy dzieci były młodsze. Mimo swojego nienagannego wyglądu lubiła zajmować się domem i rodziną, sprawować pieczę nad ich życiem.

Z okien ich mieszkania u zbiegu ulic Siedemdziesiątej Ósmej i Piątej roztaczał się wspaniały widok na Central Park. Mieszkali tu piętnaście lat w ciągu swego dwudziestodwuletniego małżeństwa. Mary Stuart prowadziła dom na wysokim poziomie. Dzieci podkpiwały sobie z niej czasem, że wszystko musiało w nim być zawsze w najlepszym gatunku. Patrząc na nią, łatwo było w to uwierzyć. Nie potrafiła inaczej. Nawet o szóstej po południu, w upalny czerwcowy dzień w Nowym Jorku, po sześciogodzinnej naradzie, Mary Stuart miała świeżo umalowane usta i każdy włos na swoim miejscu. Wybrała dwa małe steki, kilka ziemniaków, świeże szparagi, trochę owoców, jogurt, wspominając czasy, kiedy jej kosz wypełniały smakołyki dla dzieci. Udając zwykle, że nie aprobuje produktów zachwalanych w reklamach telewizyjnych, nie mogła jednak oprzeć się pokusie kupienia na przykład płatków kukurydzianych o smaku gumy do żucia, co tyle dla dzieci znaczyło! Nie widziała powodu, by nie zaspokoić dziecięcego kaprysu a potem wmuszała w nie zdrową żywność.

Jak większość nowojorczyków z ich środowiska wiele oczekiwali od swoich dzieci; stawiali im poprzeczkę bardzo wysoko. Stopnie doskonałe, wyniki w sporcie znakomite, wysoki poziom moralny. W rezultacie Alyssa i Todd, przystojni, inteligentni i wybitni pod każdym względem, wyróżniali się w szkole i poza nią i, wyrosli na ludzi. Gdy byli jeszcze mali, Bili często pół żartem pół serio napomykał, że spodziewa się po nich doskonałości, że prawdę mówiąc, liczą na to z matką. Po paru latach Alyssa i Todd kwitowali takie słowa jękiem. Ale tkwiło w nich niewątpliwie ziarno prawdy i wszyscy o tym wiedzieli. Ojciec chciał im przez to powiedzieć, że muszą dać z siebie absolutnie wszystko, osiągać możliwie najlepsze wyniki, a jeżeli nawet nie zawsze im się uda, muszą się nieustannie starać. Nie było to mało, ale Bili Walker zawsze miał wysokie wymagania, a młodzież starała się im sprostać. Choć matka wydawała się czasem twarda i wymagająca, prawdziwym perfekcjonistą był ojciec. W rzeczywistości to Bili wywierał na nich presję, nie tylko na dzieci, ale i na żonę.

Mary Stuart była idealną żoną przez prawie dwadzieścia dwa lata. Stworzyła mu idealny dom, dała idealne dzieci i zawsze wyglądała pięknie. Robiła wszystko, czego od niej

oczekiwano, wydawała wspaniałe przyjęcia. W efekcie jej poczynań ich dom znalazł się na łamach „Architectural Digest”, jako wzór domowego ogniska, do którego miło jest wracać. W ich sposobie życia nie było jednak nic na pokaz, żadnej ostentacji. Wszystkie trybiki chodziły sprawnie i płynnie. W tym, co robiła Mary Stuart nie znać było żadnego wysiłku, choć większość osób podejrzewała, że nie jest to takie proste. Był to jej prezent dla Billa. To za jej sprawą życie wydawało mu się łatwe. Od wielu lat organizowała imprezy charytatywne, które przynosiły setki tysięcy dolarów dochodu, zasiadała w różnych prestiżowych gremiach, pracując niestrudzenie na rzecz dzieci specjalnej troski. Teraz, w wieku czterdziestu czterech lat, jako matka prawie dorosłych dzieci, nie tylko organizowała imprezy charytatywne, ale przez ostatnie trzy lata pracowała jako wolontariuszka w szpitalu w Harlemie.

Zasiadała w radach Metropolitan Museum of Art i Lincoln Center, co roku pomagała organizować zbiórki pieniężne, ponieważ wszyscy zabiegali o jej pomoc. Prowadziła bardzo aktywne życie, zwłaszcza teraz, kiedy dzieci dorosły, a mąż pracował do późna w biurze. Z zawodu adwokat, był jednym z partnerów międzynarodowej firmy prawniczej na Wall Street i prowadził większość spraw związanych z Niemcami i Wielką Brytanią. Społeczna działalność żony bardzo mu pomogła ugruntować reputację w środowisku. Prowadzili ożywione życie towarzyskie, choć ostatni rok był pod tym względem inny. Bili spędził go częściowo za granicą, zwłaszcza ostatnie kilka miesięcy, kiedy przygotowywał rozprawę w Londynie. Mary Stuart bardziej niż kiedykolwiek pochłaniała praca społeczna Alyssa kończyła drugi rok studiów na Sorbonie, tak więc matka miała więcej czasu dla siebie. Nadrobiła mnóstwo zaległości. Podjęła się dodatkowej pracy społecznej, dużo czytała, a w weekendy pracowała ochotniczo w szpitalu. Czasem w niedzielę zostawała z książką w łóżku, albo czytała od deski do deski „New York Timesa”. Prowadziła aktywne, wypełnione pracą życie i patrząc na nią, nikt by nie pomyślał, że czegoś jej w tym życiu brak. Wyglądała na młodszą o pięć, sześć lat niż była w rzeczywistości. Ostatnio sporo schudła, co powinno ją postarzyć, ale jakoś nie postarzyło. Przeciwnie, wyglądała nawet bardziej młodzieńczo. Promieniowała z niej jakaś łagodność, jedyną jej sympatię dzieci, z którymi miała na co dzień do czynienia. Była to prawdziwa dobroć, która pochodziła z serca, sprawiała, że zapominało się, z jakiego świata jest Mary Stuart. Liczyło się tylko jej współczucie, jakby rzeczywiście rozumiała wielki ból i zaznała prawdziwego smutku, choć nie można się było w niej dopatrzeć śladu przygnębienia. Jej życie wydawało się takie doskonałe. Jej dzieci zawsze należały do grupy tych najmądrzejszych, bardzo bystrych i pięknych - najbardziej udanych. Mąż odnosił sukcesy nie tylko finansowe, ciesząc się szacunkiem i prestiżem, które zdobył wygrywając najtrudniejsze sprawy w sądownictwie międzynarodowym.

Mary Stuart miała więc wszystko, czego ludzie zwykle pragną, a jednak patrząc na nią wyczuwało się w niej jakiś smutek, a może samotność? Czy ktoś z wyglądem i pozycją Mary Stuart, z taką rodziną i tylu sukcesami może czuć się samotny? Wydawało się to dziwne, mało prawdopodobne i kazało wątpić we własną intuicję i zdolność oceny. Nie było powodu, by podejrzewać, że Mary Stuart Walker może czuć się nie do końca szczęśliwa, a jednak przyjrząwszy się jej uważnie, człowiek po prostu wiedział, że tak jest. Pod powłoką elegancji i spokoju kryło się coś tragicznego.

- Co słyhać, pani Walker? - Mężczyzna przy kasie uśmiechnął się serdecznie. Lubił ją. Była taka piękna i zawsze grzeczna. Pytała o jego rodzinę, o żonę, o matkę, zanim ta

ostatnia umarła. Kiedyś przychodziła tu z dziećmi, ale odkąd odeszły z domu, pojawiała się zawsze sama i gawędziła z nim chwilę. Trudno było jej nie lubić.

- Wszystko w porządku, Charlie, dziękuję. - Uśmiechnęła się, co sprawiło, że wydawała się jeszcze młodsza. Niewiele się zmieniła od dziewczęcych czasów, a kiedy przychodziła ubrana w dżinsy, czasem trudno ją było odróżnić od córki.

- Gorąco dzisiaj, prawda? - powiedziała, ale nie było po niej znać upału. Zimą wydawała się elegancka mimo trzaskającego mrozu, grubych palt, zaśnieżonych botków i szalików. A latem, kiedy wszyscy sprawiali wrażenie na pół ugotowanych, ona wyglądała świeżo jakby dopiero co wyskoczyła z chłodnej wody. Należała do wybrańców. Wydawało się, że wszystko szło jej zawsze gładko, jakby nigdy nie traciła panowania nad sobą i nad sytuacją. Nieraz widywał, jak śmiała się razem z dziećmi. Syn był dobrym chłopcem - jak zresztą oni wszyscy. Charlie uważał, że tylko pan Walker jest trochę sztywny, ale nie jemu oceniać, co dla kogo dobre. Byli miłą rodziną. Jej mąż wrócił widocznie z zagranicy, skoro kupiła dwa steki.

- Jutro ma być podobno jeszcze większy upał - powiedział pakując zakupy. Zauważył jak zerka na „Enquirer” i ściąga z niezadowoleniem brwi. Na okładce widniało zdjęcie Tani Thomas, wielkiej gwiazdy piosenki. TANIA ROZWODZI SIĘ PO RAZ KOLEJNY. ROMANS Z TRENEREM NISZCZY JEJ MAŁŻEŃSTWO, głosił nagłówek. Znalazło się tam także zdjęcie z muskularnym trenerem w podkoszulku, i drugie, ukazujące jej obecnego męża, jak zasłaniając twarz, wchodzi do nocnego klubu. Charlie zerknął na tytuły i wzruszył ramionami.

- Takie jest Hollywood, wszyscy śpią z wszystkimi. Dziwne, że chce się im w ogóle żenić. - On sam był żonaty z jedną kobietą od trzydziestu dziewięciu lat i traktował hollywoodzkie ekstrawagancje jak opowieści z innej planety.

- Niech pan nie wierzy w te wszystkie, bzdury, jakie tam wypisują - powiedziała Mary Stuart surowo, a on spojrzał na nią z uśmiechem. Jej brązowe oczy wydawały się zgaszone.

- Pani jest za dobra, pani Walker. To nie są tacy ludzie jak my, proszę mi wierzyć.

Widywał ludzi ze świata filmu przychodzących regularnie, przez lata, co rusz z kimś innym. Krzykliwa hałastra. Należeli do zupełnie innego gatunku niż Mary Stuart Walker. Mógłby się założyć, że ona w ogóle nie wie, o czym on mówi.

- Niech pan nie wierzy w to, co piszą brukowce, Charlie - powtórzyła z niezwykłą u niej stanowczością, po czym wzięła torbę z zakupami i powiedziała, „do jutra”.

Do domu miała zaledwie pięć minut spacerkiem. Choć było już po szóstej, upał nie zelżał ani trochę. Pomyślała, że Bili wróci jak zwykle o siódmej, więc przygotowuje mu kolację na siódmą trzydzieści albo ósmą, jak będzie chciał. Po przyjściu do domu wstawi ziemniaki do piekarnika i weźmie prysznic. Choć sprawiała wrażenie świeżej i wypoczętej, była zgrzana i zmęczona po całodniowej konferencji. Muzeum planowało wydać we wrześniu wielki bal na cele dobroczynne, a ją poproszono o zorganizowanie imprezy. Odmówiła, zgadzając się tylko na rolę doradcy. Nie była w nastroju do organizowania balu, poza tym wołała pracę z upośledzonymi dziećmi w szpitalu.

Portier wziął od niej torbę z zakupami i przekazał windziarzowi. Podziękowała i wjechała w milczeniu do mieszkania zajmującego całe piętro. Budynek był stary, solidny i bardzo piękny, jeden z jej ulubionych na Piątej Alei. Widok z okien mieszkania zapierał dech, zwłaszcza zimą, kiedy Central Park pokrywał śnieżny dywan, a nagie konary drzew odcinały się od nieba. W lecie też było tu pięknie, tak bogato i zielono. Z czternastego piętra wszystko wydawało się spokojne i uciszone. Nie dobiegał uliczny hałas, nie

dostrzegało się brudu, nie wyczuwało zagrożenia. Wszystko było świeże, wiosna buchnęła w końcu pełnią barw po wyjątkowo długiej i posepnej zimie.

Mary Stuart podziękowała windziarzowi, który pomógł jej wnieść zakupy, zamknęła za nim drzwi i przeszła do dużej jasnej kuchni. Lubiła pracować w przestronnych, funkcjonalnych pomieszczeniach. Gdyby pominąć trzy francuskie sztychy, zdobiące ściany, kuchnia przypominałaby laboratorium - białe ściany, biała podłoga, długie połączenia blatów z białego granitu. Kuchnia znalazła się przed pięcioma laty w „Architectural Digest”, wraz ze zdjęciem Mary Stuart, siedzącej na kuchennym stołku w białych dżinsach i białym swetrze z angory. Mimo doskonałych posiłków, jakie zazwyczaj przygotowywała, trudno było uwierzyć, że ktoś tu naprawdę gotuje.

Gospodyni przychodziła teraz tylko w ciągu dnia, toteż w domu panowała kompletna cisza, kiedy Mary Stuart wykladała zakupy, włączała piekarnik i stojąc przy oknie spoglądała na park. Widziała plac zabaw i przypominała sobie niezliczone godziny, jakie tam spędziła, marznąc w zimie, kiedy dzieci były małe, popychając je na huśtawce, patrząc, jak bawią się z rówieśnikami. Gdzie się podziały te lata... Zaledwie wczoraj dzieci były w domu, co wieczór siadali wszyscy razem do stołu i mówili naraz o swoich sprawach, planach i kłopotach. W tej chwili nawet kłótnia Alyssy i Todda przyniosłaby jej ulgę. Wszystko było lepsze od tej ciszy. Na szczęście Alyssa wróci jesienią na ostatni rok do Yale, po roku spędzonym w Paryżu i znów będzie od czasu do czasu wpadała do domu na weekend. Mary Stuart przeszła z kuchni do małego gabinetu, gdzie czasem pracowała. Wcisnęła guzik automatycznej sekretarki i niemal natychmiast usłyszała głos Alyssy. Uśmiechnęła się.

„Cześć, mamó... Szkoda, że cię nie ma. Chciałam tylko powiedzieć „cześć”, zapytać, co u ciebie. Tutaj jest już dziesiąta, wychodzę ze znajomymi na drinka. Wrócę późno, więc nie dzwoń. Odezwę się w weekend. Do zobaczenia za parę tygodni... Cześć. - A potem, jakby sobie coś jeszcze przypomniała: Kocham cię”.

W aparacie stuknęło, kiedy odłożyła słuchawkę. Sekretarka zarejestrowała czas nagrania i Mary Stuart rozczarowana, zerknęła na zegarek. W Nowym Jorku była czwarta, kiedy Alyssa zadzwoniła. Dwie i pół godziny temu. Mary Stuart cieszyła się na spotkanie z córką w Paryżu. Miały później pojechać na wakacje na południe Francji i do Włoch. Zaplanowała je tylko na dwa tygodnie, choć wiedziała, że Alyssa chce wrócić do domu dopiero na parę dni przed rozpoczęciem roku akademickiego. Dziewczyna chciała zostać we Francji jak długo to możliwe, i już teraz zapowiedziała, że po dyplomie wyjedzie do Paryża na stałe. Mary Stuart wołała teraz o tym nie myśleć. Już przez ten jeden rok bez niej czuła się bardzo osamotniona.

„Mary Stuart... - ten głos należał do męża. - Nie wrócę dzisiaj na kolację. Do siódmej mam zebranie, a dopiero przed chwilą dowiedziałem się, że czeka mnie jeszcze kolacja z klientami. Będę w domu o jedenastej, dwunastej. Przepraszam”.

Stuk słuchawki i koniec. Sucha informacja. Najprawdopodobniej klienci już na niego czekali. Bili nie znosił automatycznych sekretarek. Twierdził, że nie jest w stanie do nich mówić i nigdy nie nagrałby na taśmie osobistej wiadomości. Czasem dokuczała mu z tego powodu. Kiedyś dokuczała mu z wielu powodów, ale nie ostatnio. To był dla nich ciężki rok. Tyle się zmieniło.. .Tyle przerażających nowości i rozczarowań.. .Tyle bólu. A jednak na zewnątrz sprawiali wrażenie, jakby wszystko szło normalnym trybem. Czasem zastanawiała się, jak to jest możliwe. Okazuje się, że człowiek może mieć serce rozłupane na drobne kawałki, ale parzy kawę, robi zakupy, ścieli łóżka i uczestniczy w konferencjach.

Wstaje, bierze prysznic, ubiera się, kładzie do łóżka, choć coś w nim umarło. Nieraz zastanawiała się, ilu ludzi spotkał podobny cios. Fascynowało ją to niemal chorobliwie. Teraz już wiedziała, jak to jest. Żyje się dalej. Serce wciąż bije i nie pozwala ci umrzeć. Chodzisz, mówisz, oddychasz, ale w środku jesteś pusty i obolały. Z rezygnacją znów nacisnęła guzik.

„Cześć! - odezwał się kolejny głos. - Tu Tony Jones. Pani komputer jest gotowy. Można go odebrać w każdej chwili. Dziękuję”.

Teraz następowały dwie wiadomości o zebraniach rady, przesuniętych na inny termin, pytanie o bal w muzeum i o komitet organizacyjny. Był też telefon od szefa wolontariuszy z ochronki w Harlemie. Zrobiła parę notatek i przypomniała sobie, że musi wyłączyć piekarnik. Bili nie wróci na kolację. Znowu. Ostatnio często mu się to zdarzało. Za ciężko pracował. To był jego sposób na przetrwanie. Ona stosowała go również, pozwalając wciągnąć się w kołowrót komitetowych zebrań.

Wyłączyła piekarnik i postanowiła, że zamiast steku zrobi sobie jajka, ale jeszcze nie teraz. Poszła do sypialni. Kremowe ściany, biała sztukateria, zabytkowy, ręcznie tkany dywan, który kupiła kiedyś w Anglii, stare sztychy i akwarele, piękny marmurowy kominek, a na gzymsie zdjęcia dzieci, oprawione w srebrne ramki. Po obu stronach kominka stały wygodne fotele. Lubili z Billem siadać przy kominku i czytać wieczorami albo w weekendy. Przez ostatni rok spędzali je zwykle w domu. Zeszłego lata sprzedali dom w Connecticut. Teraz, kiedy nie było dzieci a Bili nieustannie pracował, przestali tam jeździć. - Moje życie zatacza ostatnio coraz węższe kręgi - zwierzyła się znajomej. - Teraz, kiedy dzieci nie ma, a Bili tyle podróżuje, nawet nasze mieszkanie wydaje mi się zbyt duże. Ale nie potrafiłaby go sprzedać. Tutaj wychowały się dzieci.

Kiedy szła do łazienki, jej wzrok powędrował bezwiednie w stronę gzymsu. Widok zdjęć dzieci z czasów, gdy miały cztery, pięć, dziesięć i piętnaście lat zawsze działał na nią uspokajająco. Pies, którego mieli gdy dzieci były małe, wielki przyjacielski labrador, imieniem Mousse. Lubiała po prostu patrzeć na zdjęcia i wspominać. To było tak, jakby przenosiła się w inny wymiar. Często marzyła, że powraca w czasy dzieciństwa, w świat ich nieskomplikowanych spraw. Jasna, różowa twarzyczka syna... Niemal słyszała, jak ją woła, goni za psem albo wpada nagle do basenu, jak się zdarzyło, kiedy miał trzy latka, a ona skoczyła za nim w ubraniu, ratując mu życie. Zawsze mogli na nią liczyć. Rodzinne zdjęcie, zrobione trzy lata temu na święta. Śmieją się, objęci. Wyglupiali się, podczas gdy wyczerpany fotograf błagał, żeby choć przez chwilę postarali się zachować powagę. Todd uparł się, żeby śpiewać nieprzyzwoite piosenki, a Alyssa chichotała histerycznie. Nawet ona i Bili nie mogli się powstrzymać od śmiechu. Jak dobrze było powyglupiać się. Dlatego głos Alyssy na automatycznej sekretarce był taki upragniony. A potem, jak zwykle Mary Stuart odwróciła się od fotografii drobnych twarzątek, których widok powodował radość i zarazem torturę, łamał serce i przynosił ukojenie. Ze ściśniętym gardłem poszła do łazienki, żeby obmyć twarz i spojrzała surowo w lustro.

- Przestań! - Skarciła się ostro. Wiedziała, że nie powinna rozczulać się nad sobą. Nie mogła już sobie pozwolić na ten luksus. Musiała brnąć naprzód, nic innego jej nie pozostało. Ale poruszała się w nieznanym krajobrazie, który jej się wcale nie podobał. Był posępny i bezludny, a czasem wręcz nieznośnie smutny.

Wydawało jej się, że przybyła sama do tej okrutnej krainy, choć wiedziała, że Bili jest tam także, zagubiony na pustyni, we własnym piekle. Szukała go tam niemal od roku, ale jak dotąd bezskutecznie.

Przypomniała sobie o kolacji, ale doszła do wniosku, że nie jest głodna. Przebrała się w dżinsy i różowy T-shirt, wróciła do gabinetu i przejrzała kilka dokumentów. Na dworze było jeszcze jasno. Postanowiła zadzwonić do Billa i powiedzieć mu, że odebrała wiadomość. Ostatnio niewiele ze sobą rozmawiali, chyba że o jego pracy albo jej zebraniach, ale dzwoniła do niego tak, czy inaczej. To było lepsze od całkowitej rezygnacji. Niezależnie od tego, jak bardzo czuli się zagubieni przez ostatni rok, Mary Stuart nie chciała jeszcze rezygnować. Wiedziała, że pewnie nigdy nie będzie na to gotowa. Nie poddawała się łatwo, nie leżało to w jej naturze. Byli sobie coś winni po tych wszystkich latach. Nie ucieka się jak szczury z tonącego okrętu. W pojęciu Mary Stuart szło się razem na dno, jeżeli nie było innego wyjścia.

Wykręciła numer kancelarii męża, przez dłuższą chwilę wsłuchiwała się w sygnał, aż w końcu odezwała się sekretarka:

- Pan Walker jest teraz zajęty. Zebranie jeszcze trwa. Przekażę mu, że pani dzwoniła.

- Dziękuję - powiedziała Mary Stuart cicho i odwiesiła słuchawkę. Obróciła się wolno na krześle, żeby ponownie wyjrzeć na park. Mogłaby dojrzeć pary przechadzające się alejkami w ciepły, czerwcowy wieczór, ale nie chciała. Nie miała im teraz nic do powiedzenia, niczego też nie mogłaby się od nich nauczyć. Widok zakochanych przynosił jej tylko ból, wspomnienie tego, co łączyło ją kiedyś z Billem. Być może to jeszcze kiedyś powróci. Wolą nie myśleć, co będzie, jeżeli jednak tak się nie stanie. To było nie do pomyślenia. Przywołała się do porządku i skupiła uwagę na papierach. Pracowała przez godzinę, robiąc notatki dla zespołu, z którym spotkała się dzisiaj i kiedy znów zerknęła w okno, zmierzchało, a aksamitny mrok zdawał się spowijać. W mieszkaniu było tak cicho, tak pusto, że zapragnęła krzyknąć, kogoś zawołać. Zamknęła oczy i wsparła głowę o oparcie fotela. I wtedy, jakby Bóg wysłuchał jej żalów, choć osobiście w to wątpiła, zadzwonił telefon.

- Halo? - Jej zdziwiony głos zabrzmiał młodzieńczo. Oderwana od swoich myśli, w półmroku pokoju, z rozwichrzonymi włosami wyglądała niezwykle pięknie.

- Mary Stuart? - Miękki, przeciągły głos wywołał uśmiech na twarzy Mary Stuart. Znała go od dwudziestu sześciu lat, a nie słyszała od miesięcy. Jego właścicielka zjawiała się w życiu Mary Stuart zawsze wtedy, gdy była potrzebna. Łączyła je silna więź starej przyjaźni. - To ty? Wydawało mi się, że to Alyssa... - W kobiecym, zmysłowym głosie nadal pobrzmiwał lekki teksański akcent.

- Nie, to ja. Alyssa jest jeszcze w Paryżu. - Mary Stuart westchnęła z ulgą, czując, jak silna ręka wyciąga ją na brzeg. Zawsze mogły na siebie liczyć. Mary Stuart przypomniała sobie widzianą w sklepie gazetę.

- U ciebie wszystko w porządku? Czytałam dzisiaj o tobie... - Zmarszczyła czoło na myśl o nagłówkach.

- Miłe, prawda? Zwłaszcza, że mój obecny trener jest kobietą. Faceta z okładki „Enquirer” wylałam w zeszłym roku. Zadzwonił dzisiaj, grożąc procesem ponieważ jego żona przeczytała gazetę i wpadła we wściekłość. Mało jeszcze wie na temat brukowców. Tania poznała ich metody, a była to trudna lekcja. - Poza tym czuję się dobrze. W miarę. - Miała niski, miękki głos, który działał na większość mężczyzn. Mary Stuart uśmiechnęła się mimo woli, dla niej był jak świeży powiew w zatęchłym pokoju. Podobnie czuła się przy ich pierwszym spotkaniu przed laty, kiedy rozpoczynały razem studia w Berkeley. Pamięta te zwariowane czasy; były wtedy takie młode. Cała czwórka: Mary Stuart, Tania,

Eleonor i Zoe. Przez pierwsze dwa lata mieszkały razem w akademiku, a potem wynajęły dom na Euclid.

Przez cztery lata były nierozłączne, niemal jak siostry. Ze śmiercią Ellie na ostatnim roku wszystko się zmieniło. Naraz dorosły, poszły każda w swoją stronę. Dwa dni po obronie dyplomu Tania poślubiła swego ukochanego z rodzinnego miasteczka we wschodnim Teksasie. Małżeństwo przetrwało tylko dwa lata. Zaledwie w rok po studiach kariera Tani wystrzeliła jak rakieta, rozbijając w pył jej życie prywatne, a przy okazji małżeństwo. Bobby Joe trzymał się jeszcze przez rok, ale to było ponad jego siły. Zdawał sobie sprawę, że sytuacja go przerosła. Związek z tak utalentowaną, wykształconą dziewczyną okazał się mocno frustrujący, życie z supergwiazdą przerastało po prostu jego możliwości. Próbował, chciał być fair, ale tak naprawdę pragnął tylko, by rzuciła wszystko w diabły i wróciła z nim do Teksasu. Nie chciał opuścić rodzinnego domu, rezygnować z biznesu tatusia. Mieli firmę budowlaną i nieźle im się powodziło. Trzeba mu oddać sprawiedliwość, że brukowce, agenci, koncerty, wrzaskliwi fani oraz wielomilionowe kontrakty zupełnie go nie interesowały, były natomiast całym życiem Tani. Kochała Bobby'ego Joe, ale nie zamierzała zrezygnować dla niego z kariery, która była ucieleśnieniem jej marzeń. W drugą rocznicę ślubu otrzymali separację, a w święta Bożego Narodzenia byli już po rozwodzie. Długo trwało, zanim zdołał o niej zapomnieć, ale w końcu ożenił się ponownie i miał teraz sześcioro dzieci. Tania widziała go od tamtego czasu może raz czy dwa. Powiedziała, że jest gruby, łysy i miły jak zawsze. Mówiła to z pewnym smutkiem i Mary Stuart wiedziała, że przyjaciółka zdaje sobie sprawę z ceny, jaką zapłaciła za ogromny sukces. Dwadzieścia lat po rozpoczęciu kariery była nadal piosenkarką numer jeden w kraju.

Mary Stuart także wyszła za mąż tamtego lata, zaraz po dyplomie, Zoe natomiast wstąpiła na akademię medyczną. Była z natury buntownikiem, zapaloną orędowniczką każdej rewolucyjnej sprawy. Żartowano, że przyjechała do Berkeley o dziesięć lat za późno, ale to ona trzymała je w kupie, pilnując, by wszystko było jak należy. To ona znalazła ciało martwej Ellie, to ona pogrążona w rozpacz miała dość odwagi, by zadzwonić do ciotki i wuja Ellie. To był straszny okres dla nich wszystkich. Ellie była cudowną, łagodną dziewczyną, pełną ideałów i marzeń. Studiowała na drugim roku, kiedy jej rodzice zginęli w wypadku i od tego czasu współlokatorki stały się dla niej rodziną. Mary Stuart zastanawiała się czasem, czy byłaby w stanie poradzić sobie z presją zewnętrznego świata. Marzycielka, daleka od twardej rzeczywistości, była zupełnie niepodobna do swoich rówieśnic z ich konkretnymi życiowymi celami i planami. Umarła na trzy tygodnie przed dyplomem. Tania chciała przełożyć swój ślub, ale dziewczęta przekonały ją, że Elie by sobie tego nie życzyła. Tania zresztą przyznała później, że Bobby Joe nigdy by jej nie darował, gdyby to zrobiła. Zoe była jej świadkiem, a Mary Stuart druhną honorową. Tania pełniłaby tę samą rolę na ślubie Mary Stuart, gdyby w tym czasie nie koncertowała w Japonii. A Zoe nie mogła wyrwać się ze szkoły. Mary Stuart wzięła ślub w domu rodziców w Greenwich.

O powtórny zamążpójściu Tani Mary Stuart dowiedziała się z gazet. Tania poślubiając swojego menedżera miała dwadzieścia dziewięć lat. Była to „cicha” ceremonia w Las Vegas, przy udziale paparazzich, helikopterów, kamer telewizyjnych i wszystkich dziennikarzy pracujących w promieniu tysiąca mil od Las Vegas.

Mary Stuart nie lubiła nowego męża Tani. Tania oznajmiła, że tym razem chce zostać matką. Kupią wielki dom w Santa Barbara albo w Pasadenie i będą wiedli spokojne życie.

Pomysł, sam w sobie dobry, tym razem storpedował mąż. Miał na uwadze dwie rzeczy - karierę Tani i jej pieniądze. I zrobił wszystko, by uporządkować jedno i zdobyć drugie. Tania przyznawała zawsze, że z zawodowego punktu widzenia uczynił dla niej wiele dobrego. Dokonał zmian, na jakie nigdy by się nie zdobyła, zorganizował jej koncerty na całym świecie, wynegocjował rewelacyjne kontrakty płytowe i z supergwiazdy uczynił żywą legendę. Świat leżał u jej stóp. W ciągu pięciu lat małżeństwa nagrała trzy platynowe płyty, pięć złotych i zdobyła wszystkie możliwe nagrody muzyczne. I choć na koniec ograbił ją z połowy majątku, przyszłość miała zabezpieczoną. Matkę ulokowała w Houston w domu oszacowanym na pięć milionów dolarów, zaś siostrze i szwagrowi kupiła posiadłość w pobliżu Armstrong.

Sama miała jeden z najładniejszych domów w Bel Air i dom na plaży w Malibu, wart dziesięć milionów dolarów, do którego nigdy nie jeździła. Kupiła go na życzenie męża. Miała sławę i pieniądze, ale nie miała dzieci. Po rozwodzie uznała, że potrzebuje odmiany i zaczęła grać w filmach. Pierwszego roku nakręciła dwa, a za drugi zdobyła nagrodę Akademii. W wieku lat trzydziestu pięciu Tania Thomas zdobyła wszystko, o czym większość ludzi odważyłaby się marzyć. Nie miała natomiast Bobby'ego Joe, nie miała miłości, oparcia w najbliższej osobie i nie miała dzieci. Dopiero sześć lat później wyszła za mąż po raz trzeci. Tony Goldman był przedsiębiorcą budowlanym w Los Angeles i umawiał się z tuzinem gwiazdeczek. Był bez wątpienia pod wrażeniem kariery Tani, i nawet Mary Stuart, zawsze nieufna kiedy w grę wchodziło dobro przyjaciółki, musiała przyznać, że jest porządnym facetem i najwyraźniej głęboko w Tani zakochanym. Co innego martwiło przyjaciół gwiazdy, a miała ich w tym czasie całe zastępy. Nie wiedzieli, czy Tony zdoła zachować trzeźwą głowę, czy gorączkowe życie jego żony nie okaże się dla niego zbyt dużym obciążeniem. Z tego, co dochodziło do Mary Stuart w ciągu ostatnich trzech lat, można było wnioskować, że sprawy układają się pomyślnie. Będąc z Tanią tak blisko przez dwadzieścia lat jej kariery, wiedziała, że doniesienia brukowców nie mają żadnego znaczenia.

Wiedziała również, że wielkim atutem Tony'ego w oczach Tani, są jego dzieci. W dniu ślubu miały po dziewięć, jedenaście i czternaście lat i Tania kochała szczerze. Chłopcy, najstarszy i najmłodszy z rodzeństwa, szaleli na jej punkcie a dziewczynka zafascynowana przyszłą macochą, długo nie mogła uwierzyć, że Tania Thomas wychodzi za jej ojca. Chwaliła się tym na prawo i lewo, a nawet starała się naśladować jej styl ubierania, co u jedenastolatki bywało trochę niestosowne. Tania zabierała małą do sklepów i kupowała rzeczy, w których pasierbica wyglądała przyzwoicie, a czuła się ładna. Umiała postępować z dziećmi i wciąż zapowiadała, że urodzi własne. Ale poślubiwszy Tony'ego jako czterdziestolatka, bała się zająć w ciąży. Bała się, że jest za stara, a ponieważ Tony nie palił się do ojcostwa, nie nalegała. I bez tego miała dość spraw na głowie. W pierwszym roku małżeństwa odbyła aż dwie trasy koncertowe, prasa brukowa nigdy nie dawała jej spokoju, wytoczono jej kilka procesów. Atmosfera nie sprzyjała normalności, a co dopiero mówić o poczęciu dziecka. Łatwiej było przejąć dzieci Tony'ego, co też uczyniła całym sercem. Tony twierdził nawet, że jest bardziej troskliwa niż rodzona matka. Ale Mary Stuart zauważyła, że mimo deklaracji Tony'ego, Tania była zmuszona radzić sobie sama z menedżerami, prawnikami, trasami koncertowymi, listami z pogrózkami, podczas gdy on finalizował swoje umowy albo jechał z kumplami do Palm Springs pograć w golfa. Nie angażował się w jej życie, tak jak Mary Stuart oczekiwała. Wiedziała lepiej od innych, jak trudne jest życie Tani, jak bardzo samotne, jak piosenkarka ciężko pracuje, jak bezwzględne są wymagania fanów i



jak bolesne zdrady. Tania rzadko się skarżyła i Mary Stuart zawsze ją za to podziwiała. Ale irytował ją widok Tony'ego wymachującego w stronę kamer na rozdaniu Oskarów czy nagród Grammy. Brał z życia Tani to, co najlepsze, nie troszcząc się o resztę. Mary Stuart myślała o tym teraz, kiedy Tania napomknęła o żonie trenera, która straszyla ją procesem w związku z nagłówkami w prasie. Tania wiedziała lepiej niż ktokolwiek, że na brukowce nie ma rady.

- Tony też nie jest tym wszystkim zachwycony - powiedziała Tania cicho. Ton jej głosu zaniepokoił Mary Stuart. Brzmiało w nim zmęczenie i samotność. Prowadziła ten bój od tak dawna, że musiało ją to w końcu znużyć. - Za każdym razem, gdy piszą, że mam romans, wpada w szal. Mówi, że to go żenuje. Rozumiem jego punkt widzenia. - Westchnęła bezradnie. Nic na to nie mogła poradzić. Prasa uwielbiała ją torturować. Była wymarzoną kobietą, ze swoją grzywą jasnych włosów, wielkimi niebieskimi oczami i wspaniałą figurą. Dziennikarzom trudno było uwierzyć, że jest normalną kobietą, która woli Aqua Minerale od szampana. Ale taka informacja nie przyczyniłaby się do rozsprzedania nakładu. Tania zawsze robiła się na blond, a stałe, umiejętnie zabiegi chirurgiczne sprawiły, że wyglądała niewiarygodnie młodo. Przyznawała się do trzydziestu sześciu lat, pozbywszy się skutecznie tych dodatkowych ośmiu, które miała jej rówieśnica, Mary Stuart. Ale patrząc na nią nikt by nie podejrzewał, że kłamie.

- Sama nie jestem zachwycona, kiedy czytam, że znowu mam romans, ale dobierają mi tak dziwnych kochanków, że zazwyczaj nie zwracam na to uwagi.

Inaczej jest z Tonym czy z dziećmi. - Było to żenujące dla wszystkich, ale czuła się bezradna.

- Czasami mam wrażenie, że przypisują mi pierwszą lepszą osobę, której dane biorą z komputera.

Nie rozmawiały ze sobą od paru miesięcy, a przecież, w starej paczce były ze sobą najbliżej. Tania wiedziała, że Mary Stuart nie utrzymuje kontaktów z Zoe. Nawet ona, Tania, straciła dawną koleżankę z oczu. Dzwoniła do niej raz na rok i nadal wymieniały kartki świąteczne, ale życie Zoe poszło w zupełnie innym kierunku. Nie wyszła za mąż i nie miała dzieci, natomiast była cenionym lekarzem internistą w San Francisco. Bez reszty oddana swojej pracy, robiła to, w co zawsze wierzyła. Tania nie widziała jej od pięciu lat, czyli od swojego ostatniego koncertu w San Francisco.

- Powiedz, co u ciebie? - zwróciła się teraz do Mary Stuart. W jej głosie zabrzmiała ostra nuta, jakby chciała przeniknąć linie obronne przyjaciółki i zajrzeć jej w głąb duszy. Ale Mary Stuart wiedziała, że się bez tego nie obejdzie i zdążyła się przygotować.

- Świetnie - odparła szybko. - Robię to, co zawsze, praca w komitetach, narady, ochotnicza praca w Harlemie. Spędziłam właśnie cały dzień na planowaniu wielkiej imprezy charytatywnej, jaką Metropolitan planuje na wrzesień. - Ton jej głosu był spokojny i chłodny, ale Tania, zgodnie z przewidywaniami przyjaciółki, nie dała się na to nabrać. Mary Stuart mogła oszukać wielu ludzi, czasami nawet Billa, ale nigdy Tanie.

- Nie o to pytałam - w słuchawce zapadła długa cisza, ale Tania twardo czekała na odpowiedź. - Jak się czujesz, jak jest naprawdę?

Mary Stuart westchnęła i wyjrzała za okno. Zrobiła się noc, a ona wciąż była sama w cichym mieszkaniu. Była sama przez ostatni rok.

- W porządku. - Głos jej drżał leciutko. Czuła się lepiej niż podczas ostatniego ich spotkania przed rokiem, w ów zimny, deszczowy dzień, kiedy pragnęła jedynie, by jej życie się skończyło. - Przyzwyczajam się po trochu. Ale tyle się zmieniło...

-A Bili?

- W porządku... chyba. Prawdę mówiąc, rzadko go widuję.

- Nie brzmi to najlepiej. - Nastąpiła kolejna pauza i Tania pomyślała, że powoli zaczyna przywykać do tego tempa rozmowy. - Co u Alyssy?

- Chyba dobrze. Uwielbia Paryż. Mam się tam z nią spotkać za parę tygodni przez miesiąc pojeździmy sobie po Europie. Bili ma proces w Anglii, spędzi tam całe lato, więc pomyślałam, że pojedę się z nią zobaczyć. - Wydawała się pogodniejsza i Tania odetchnęła z ulgą. Alyssa Walker należała do ulubieńców Tani.

- Pojedziesz z Billem do Londynu? - zapytała miękko. Mary Stuart zawahała się.

- Nie, zostanę tutaj. Będzie zbyt zajęty, by zaprzętać sobie mną głowę, a ja »nam tutaj tyle obowiązków.

Tyle obowiązków. Mary Stuart zawsze wiedziała, co powiedzieć, znała wszystkie uniki, język rozpaczy... Musimy się wkrótce spotkać... Nie, wszystko w porządku... Po prostu wspaniale... Bili jest teraz tak pochłonięty pracą... Bili jest w podróży służbowej... Mam spotkanie... Zebranie rady nadzorczej... Muszę jechać do centrum... Do Europy, zobaczyć się z córką... Strategia kłamstwa umiejętność wypowiadania właściwych słów po to, aby zapewnić sobie spokój i ciszę, miejsce, w którym można rozpaczać w spokoju, z dala od wścibskich oczu. Sposób na odepchnięcie ludzi.

- Myślę, że nie czujesz się za dobrze, Mary Stuart - ciągnęła Tania z uporem. Nie spoczęła, dopóki nie dotarła do sedna sprawy. Tę determinację w poznawaniu prawdy dzieliła z Zoe. Ale Tania zawsze wykazywała więcej taktu i o wiele więcej współczucia, kiedy już dowiedziała się tego, czego chciała. - Dlaczego nie powiesz mi prawdy, Stu?

Stu... Tan... Tannie... Imiona z tak odległej przeszłości... Obietnice... Nadzieja... Początek. Teraz wszystko wydawało się końcem, zamiast odnajdywać, zaczynała tracić. Mary Stuart nienawidziła tej strony swojego życia.

- Naprawdę wszystko OK.

- Kłamiesz, ale nie mogę mieć ci tego za złe. Masz do tego pełne prawo.

Na tym właśnie polegała różnica między Zoe a Tanią. Zoe nie pozwoliłaby jej kłamać, kryć się. Czuliaby się w obowiązku zdemaskować ją, wyciągnąć na dzienne światło jej ból, uważając że potrafi go złagodzić. Tania przynajmniej rozumiała, że to niemożliwe. Zresztą miała własne zmartwienia. Brukowce fantazjowały na temat jej rzekomego romansu, ale nie myliły się zbyt wiele pisząc, że przechodzą z Tonym kryzys. Choć na początku wydawało się to zabawne, teraz życie w świetle reflektorów przestało go bawić. Miał dosyć dziennikarzy, kłamstw, grózb, procesów, ludzi próbujących wykorzystać jego żonę w taki czy inny sposób. To było męczące i uniemożliwiało jakiegokolwiek życie prywatne. Żona zniknęła gdzieś pośród tej całej groteski. Ostatnio Tony bezustannie narzekał, a ona, chociaż mu współczuła, niewiele mogła zrobić, by to zmienić. Mogłaby jedynie wycofać się z branży, czego znów Tony wcale sobie nie życzył. Wycieczki na Hawaje, do Afryki czy południowej Francji nie rozwiązywały problemu. Zapewniały jedynie krótkie, przyjemne interludium. Choć brzmiało to niedorzecznie nawet dla niego, to życie, jakie prowadziła Tania mimo jej fenomenalnego sukcesu, ogromnej sławy, milionów fanów, czyniło ją ofiarą. I Tony je znienawidził, a ona mogła mu obiecać tylko, że postara się ograniczyć ilość występów i unikać rozgłosu. Nie pojechała nawet w odwiedziny do matki w Teksasie, ponieważ obawiała się, że jej wyjazd z miasta podsyci plotki. Ostatnio Tony często powtarzał, że to trochę za wiele dla niego i dla jego dzieci, i sam sposób, w jaki to mówił,

budził w Tani lęk. Zwłaszcza od chwili, gdy zrozumiała, że nie jest w stanie nic zmienić. Ich męczarnie miały zewnętrzne źródło.

- W przyszłym tygodniu będę w Nowym Jorku i dlatego dzwonię - wyjaśniła Tania. - Pomyślałam, że lepiej umówić się z tobą z tygodniowym wyprzedzeniem, bo trafię akurat w dzień, kiedy będziesz jadła kolację z gubernatorem i naciągała go na datki na jakiś szlachetny cel.

W ciągu tych lat Tania była bardzo szczodra dla grup, które Mary Stuart otaczała specjalną opieką i dwukrotnie dała koncerty na cele dobroczynne. Ostatnio

• jednak nie miała na to czasu. Ani chwili wolnej dla siebie. Jej obecny agent i menedżer był bardziej wymagający od swoich poprzedników i kładł nacisk na trasy koncertowe. Był zdania, że czekały na nią miliony z płyt kompaktowych, z koncertów, z umów licencyjnych na lalki i perfumy. Z kaset magnetofonowych. Tania była u szczytu popularności. Według jej impresaria należało to wykorzystać, ale ona sama skłaniała się raczej ku nakręceniu następnego filmu.

- Bo wiesz, występuję w telewizyjnym talk-show w Nowym Jorku - powiedziała do Mary Stuart - ale tak naprawdę jadę porozmawiać z agentem o książce. Dzwonił do mnie wydawca. Właściwie nie jestem zainteresowana, ale zobaczę, co mają mi do zaproponowania. Doprawdy nie wiem, co by jeszcze można o mnie nowego napisać? Ukazały się już jej cztery nieautoryzowane biografie, w większości nieprawdziwe, ale Tania nauczyła się podchodzić do takich wydarzeń spokojnie. Po ukazaniu się pierwszej rozhisteryzowana zadzwoniła do Mary Stuart w środku nocy. Wiele razy przez te wszystkie lata szukały u siebie pomocy i wiedziały, że zawsze mogą na nią liczyć. Była to nieoceniona przyjaźń, z gatunku tych, które powstają samoistnie, dojrzewają i z małego nasionka wyrastają w potężny dąb. Korzenie ich przyjaźni sięgały głęboko i trzymały mocno.

- Kiedy przylatujesz? Wyjadę po ciebie na lotnisko - zaproponowała Mary Stuart.

- Nie trzeba. Wstąpię po ciebie już po przylocie w drodze do miasta, zaszyjemy się w hotelu i pogadamy. Przylatuję we wtorek.

Tania korzystała z samolotu wytwórni płytowej. Wskakiwała do niego jak do samochodu i leciała, dokąd miała ochotę, co zawsze zdumiewało Mary Stuart.

- Zadzwoń z samolotu.

- Będę czekała - Mary Stuart poczuła się nagle jak dziecko. Było coś w sposobie, w jaki Tania zagarniała ją pod swoje skrzydła, co sprawiało, że znowu czuła się młoda.

Uśmiechnęła się radośnie na myśl o czekającym ją spotkaniu, minęły wieki od ostatniego razu. W przeciwieństwie do Tani, nie pamiętała nawet dobrze kiedy to było.

- Do zobaczenia, mała - powiedziała Tania wesoło. A potem dodała z czułością: - Kocham cię.

Mary Stuart łzy napłynęły do oczu. Dobroć przyjaciółki zawsze ją zaskakiwała. - Ja też cię kocham - powiedziała zdławionym głosem. - Przepraszam... -Zacisnęła powieki, usiłując opanować wzruszenie.

- Już dobrze, maleńka. Ja rozumiem, wszystko rozumiem. Ale prawda była taka, że nie rozumiała. Nikt nie był w stanie do końca jej zrozumieć, wiedzieć co Mary Stuart teraz czuje. Nawet jej mąż.

- A więc do zobaczenia w przyszłym tygodniu - powiedziała opanowanym głosem, który nie zwiódł Tani. Za tamą, którą Mary zbudowała wokół swojego cierpienia, kryło się morze bólu i Tania zastanawiała się, jak długo przyjaciółka to wytrzyma.

- Do wtorku. Pamiętaj, załóż dzinsy. Pójdziemy na hamburgera albo każemy obsłudze hotelowej coś sobie podać. Pa!

Rozłączyła się, a Mary Stuart dalej siedziała przy biurku rozmyślając o niej o latach w Berkeley, zanim ich drogi się rozeszły, zanim życie stało się takie bogate i takie ciężkie. Na początku wszystko wydawało się proste. Aż do śmierci Ellie, tuż przed dyplomem. To przecież stało się ich przepustką do prawdziwego świata. Mary Stuart spojrzała na fotografię całej ich czwórki na pierwszym roku studiów. Sprawiały wrażenie dzieci, były przecież młodsze niż jej córka dzisiaj Patrzyła na Tanie z grzywą blond włosów, seksowną i zmysłową, na Zoe, z jej długimi rudymi kucykami, skupioną i poważną, i eteryczną Ellie z głową w aureoli jasnych kędziorów. No i ona, Mary Stuart. Zdawała się składać z samych nóg, ogromnych oczu i długich ciemnych włosów. Patrzyła prosto w obiektyw. To było sto lat temu. Rozmyślała o nich bardzo długo, aż w końcu zasnęła na łóżku, w dzinsach i różowej koszulce. Tak znalazł ją Bili, kiedy wrócił o jedenastej. Przez długą chwilę stał nad łóżkiem, patrząc na żonę, potem zgasił światło. Nie obudził jej jednak, nawet jej nie dotknął i przespała całą noc w ubraniu. A kiedy obudziła się rano, wyszedł już do biura. I znów przemknął przez jej życie niby nieznajomy, którym się stał nie wiadomo kiedy, z dnia na dzień...

## Rozdział drugi

Kiedy Tania Thomas obudziła się w swojej sypialni w Bel Air następnego dnia, Tony brał prysznic. Mieli wspólną sypialnię, dwie wielkie garderoby i dwie łazienki. Sypialnia była przestronna i słoneczna, pełna francuskich antyków, różowych zasłon i kilometrów wzorzystych różowych tkanin. Łazienkę i garderobę Tani wykończono różowym marmurem, natomiast w łazience Tony'ego dominował czarny marmur i granit. Czarne ręczniki, czarne jedwabne draperie. Była to typowo męska łazienka.

Kupiła dom przed wielu laty i całkowicie go przebudowała, żeby zadowolić męski gust Tony'ego. Choć sam odnosił nie byle jakie sukcesy, wiedziała, że lubi chełpić się sukcesami żony. Mimo tych wszystkich udręk związanych z pozycją męża Tani Thomas, Tony chciał, żeby ludzie wiedzieli, kim jest. Hollywoodzki świat zawsze miał dla niego urok. Po latach życia na uboczu, przeniesienie w samo centrum wydarzeń wydawało mu się cudownym zrzędzeniem losu. Lubił bywać na hollywoodzkich przyjęciach, gawędzić z gwiazdami, lubił uczestniczyć w uroczystościach rozdania nagród Akademii i Złotych Globów, lubił chodzić na galowe imprezy Barbary Davis. Tania natomiast po osiemnastu godzinach pracy wolałaby spędzić wieczór w domu, zanurzyć się w gorącej kąpieli i posłuchać muzyki innej niż własna.

Narzuciła różowy szlafroczek z satyny na koronkową nocną koszulę i zeszła na dół, by przygotować Tony'emu śniadanie. W domu byli ludzie, którzy zrobiliby to za nią, ale Tania lubiła przyrządzać śniadanie dla męża, wiedząc ile to dla Tony'ego znaczy. Gotowała też dla dzieci, ilekroć miała okazję, a była dobrą kucharką. Przyrządzała znakomity stek, nauczyła ich jeść kaszę gryczaną i choć podkpiwali z niej, jedli aż im się uszy trzęsły. Lubiła też gotować Tony'emu spaghetti. Lubiła robić dla Tony'ego wiele różnych rzeczy. Lubiła się z nim kochać, być z nim sam na sam, jeździć na wycieczki, odkrywać nowe miejsca, ale nigdy nie miała na to dość czasu. W paradę wchodziły jej próby, sesje nagraniowe, praca na

planie filmowym, koncerty, imprezy charytatywne i niezliczone godziny słęczenia nad dokumentami. Tania była teraz czymś więcej niż piosenkarką i aktorką była instytucją, przemysłem samym w sobie i słono za to płaciła.

Czekając na niego nalala soku pomarańczowego do szklanki, a kiedy masło zaczęło skwierczeć, rozbiła jajka na patelni. Włożyła tosty do opiekacza, włączyła ekspres do kawy i otworzyła poranną gazetę. Serce w niej zamarło, kiedy przeczytała nagłówek a potem artykuł na pierwszej stronie. Były pracownik wytoczył jej proces o rzekome molestowanie seksualne. Czytając artykuł przypomniła sobie nazwisko ochroniarza, którego zatrudniła w zeszłym roku przez dwa tygodnie i zwolniła za kradzież. Teraz udzielił gazecie obszernego wywiadu, twierdząc, że próbowała go uwieść, a kiedy oparł się jej, zwolniła go z pracy bez podania powodów. Uświadomiła sobie z rozpaczą, że i tu, podobnie jak w przypadku innych procesów, skończy się na tym, że mu zapłacą, aby czym prędzej zakończyć sprawę. Wyglądało na to, że nie może się bronić, udowodnić swoją niewinność, wykazać, że to są kłamstwa, forma szantażu. Wiedziała, że jej mąż zdaje sobie z tego sprawę, że zwykle pierwszy doradza, aby zapłaciła, choćby oskarżenie było najbardziej absurdalne. Tak było mimo wszystko łatwiej. Ale wiedziała również, że Tony będzie wściekły, kiedy zobaczy gazetę. Zwinęła ją starannie i odłożyła na bok. W chwilę później wszedł do kuchni, ubrany w strój do golfa.

- Nie pracujesz dzisiaj? - zagadnęła go lekkim tonem, siląc się na spokój. Pokroiła awokado i rozłożyła serwetki, ostatni śniadaniowy akcent.

- Gdzie się podziewałaś przez ostatnie trzy lata? - zapytał z przekąsem, zdziwiony jej pytaniem. - Zawsze w piątce grywam w golfa.

Był przystojnym, mocno zbudowanym mężczyzną o ciemnych włosach. Dobiegał pięćdziesiątki. Grywał dużo w tenisa i golfa, ćwiczył na sali gimnastycznej, na drugim końcu domu, pod okiem osobistego trenera.

- Gdzie gazeta? - zapytał siadając do stołu. Rozejrzał się po kuchni. Czytywał „Los Angeles Times” i „Wall Street Journal”. Był wybitnym biznesmenem i zrobił majątek w branży budowlanej, w latach, kiedy miało to istotne znaczenie. Ale to nie pieniądze zainteresowały Tanie. Przyciągnęła ją jego łagodność, uczciwość, to że miał dzieci i hołdował rodzinnym wartościom. Z jej punktu widzenia był zwyczajnym facetem, który co rano idzie do pracy, a w weekendy gra z synami w piłkę. Podobało jej się zwłaszcza to, że nie miał nic wspólnego z showbiz-nesem. Z początku nie uświadamiała sobie, że hollywoodzki światek przemawia do niego o wiele silniej niż do niej. Lubił blichtr, ale nie podobało mu się, że trzeba płacić haracz za ten specyficzny styl życia. Tania dobrze wiedziała, że nie można mieć go za darmo. Tony narzekał nieustannie na różne uciążliwości, które musieli znosić a najbardziej irytowały go artykuły w brukowcach.

- Nie istnieje jedno bez drugiego - tłumaczyła mu Tania. - Nie możesz mieć sławy bez cierpienia. - Powiedziała miękko i zaproponowała, że się wycofa. Było to wkrótce po ich ślubie, kiedy w brukowcach pojawiły się niesmaczne artykuły o jej poprzednich kochankach. Ale Tony twierdził uparcie, że nie chce, by się wycofała. Uważał, że będzie się w domu nudziła. Zaproponowała więc, że zrezygnuje z pracy i urodzi dziecko. Ale jemu podobało się to, co ona robi, podobnie z resztą jak i jej, więc robiła to nadal, narażając się na ataki, pogrożki i procesy sądowe. Nie chciała mieć ochroniarza na stałe i zatrudniała go tylko wtedy, gdy idąc na imprezę zakładała wypożyczoną biżuterię.

- Gdzie ta gazeta? - zapytał ponownie, zabierając się energicznie do jajek. Podniósł wzrok znad talerza i zaniepokoił go wyraz twarzy Tani.- Co się stało?

- Nic wielkiego - zbyła go, nalewając sobie kawy.

Daj spokój, Taniu. - Tony sprawiał wrażenie zirytowanego. - Masz to przecież wypisane na twarzy. Za tę scenę nie dostałabyś Oskara.

Uśmiechnęła się do niego żałośnie i wzruszyła ramionami. I tak się dowie. Nie chciała tylko, żeby to się odbyło przy śniadaniu. Bez słowa wręczyła mu gazetę i obserwowała wyraz jego twarzy, gdy czytał. Drgały mu mięśnie szczęk. Przeczytał w milczeniu, a potem spojrzał na nią pośpiesznie.

- To cię będzie, moja droga, kosztowało. Podobno procesy o molestowanie seksualne bardzo się teraz opłacają - powiedział beznamiętnym tonem, ale wiedziała, że jest bardzo zły. - Co mu takiego powiedziałaś? - Zatopił spojrzenie w jej twarzy i Tania popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

- Co mu powiedziałam? Zwariowałeś? Chyba nie sądzisz, że go sprowokowałam? Owszem, powiedziałam mu, gdzie jest studio i o której godzinie muszę być na próbie. Jak możesz nawet pytać?- W jej oczach błysnęły łzy i Tony poczuł się nieswojo. Podniósł do ust filiżankę z kawą.

- Zastanawiałem się tylko, czy nie powiedziałaś czegoś, na czym mógłby oprzeć całą tę historię. Przytacza mnóstwo szczegółów,

- Jak oni wszyscy - odparła smutno, nie spuszczać wzroku z twarzy męża. -Ta historia niczym się nie różni od poprzednich. Nic tylko chciwość i zazdrość. Facet wyczuł forszę i chce położyć na niej łapę. Wydaje mu się, że zapłacę, byleby go uciszyć.

Przerabiała to już wielokrotnie. Trafiły jej się oskarżenia o dyskryminację, ale również zwolnienia rzekomo niezgodne z prawem, roszczenia majątkowe, powypadkowe - różne. Ludziom wydawało się, że ciągnąc ją po sądach, uczestniczą w wielkiej grze. Historia stara jak świat, ale mimo to brzydka. I choć Tony rozumiał, dlaczego tak się dzieje, nigdy się do tego nie przyzwyczaił. Mówił, że wyrządza to szkodę jemu i dzieciom. Ośmiesza go. Nawet jego eks-żona zgłaszała pretensje. Nie było mu to potrzebne do szczęścia. Tania wiedziała aż za dobrze, jak Tony reaguje na te pomówienia. Na początku udawał, że go nie obchodzą, potem, w miarę jak nabierały rozgłosu, jego niezadowolenie wzrastało, aż w końcu napierał nie mniej niż prawnicy, żeby opłacić szantażystę i zatuszować sprawę. I przez cały czas zachowywał się tak, jakby to on był stroną pokrzywdzoną. Kiedy sprawa wreszcie przycichała, karał ją przez jakiś czas, by koniec końców wybaczyć. Znała ten scenariusz na pamięć, ale go nie lubiła.

- Zapłacisz mu? - dopytywał się.

- Nie rozmawiałam jeszcze z prawnikami - odparła zirytowana. - Przeczytałam o tym przed chwilą w gazecie, tak jak ty.

- Gdybyś przed rokiem załatwiła sprawę jak należy, nie byłoby teraz tego. -Stał już w drzwiach i zakładał kurtkę.

- To nieprawda i ty o tym wiesz. Przechodziliśmy już przez to. Nie da się tego uniknąć, choćby nie wiem co.

Zawsze była taka ostrożna, przewidująca, ale nikt tego nie doceniał. Nigdy nie była lekkomyślna, nie doprowadziła do skandalu, nie używała narkotyków, nigdy nie potraktowała źle pracownika, nie upiła się publicznie. Niezależnie jednak od tego, co robiła lub czego nie robiła, wysuwano wobec niej absurdalne oskarżenia i w większości wypadków publika w to wierzyła. Wierzył też czasem Tony.

- Nic już nie wiem - odpowiedział z gniewem. Twierdził, że wciąż świeci za nią oczami. Odwrócił się na pięcie i wyszedł. Chwilę potem Tania usłyszała jego samochód pędzący alejką.

Wykręciła numer do prawnika, Bennetta Pearsona, który z miejsca zaczął ją przeproszać. Otrzymali gazetę wieczorem zbyt późno, aby ją ostrzec.

- To była miła niespodzianka przy śniadaniu - odparła z wyraźnym teksańskim akcentem. - Następnym razem byłabym wdzięczna, gdyby mnie jednak ktoś uprzedził. Wiesz przecież, że Tony nie przepada za tymi historiami.

W zeszłym tygodniu trener, a teraz ochroniarz. Nie dość, że była celem oszczerstw i szantażu rozmaitego stopnia, była również symbolem seksu i prasa zerowała na jej życiu. Ze łzami w oczach odłożyła słuchawkę. Ochroniarz twierdził, że robiła mu propozycje, wprawiała go w zażenowanie i wywołała stres emocjonalny. Wygrzebał skądś psychiatrę, który był to gotów potwierdzić. Według adwokata podobne oskarżenia nie były niczym szczególnym, ale Tania dobrze pamiętała, że facet był prawdziwym padalcem. Kiedyś oblałaby łzami podobny wypadek, ale po dwudziestu latach zdobyła już pewną odporność i wiedziała, dlaczego ją to spotyka. Osiągnęła sukces, zdobyła władzę, dzięki ciężkiej pracy i niewiarygodnej determinacji potrafiła utrzymać się na szczycie. Z jakiegoś powodu ludzie pragnęli jej to odebrać. W Hollywood, jak zresztą wszędzie, istniała cała armia sfrustrowanych nieudaczników, którzy z przyjemnością ograbiliby innych z wszelkiego dobra.

Zapytała adwokata, czego od niej oczekuje w związku ze sprawą ochroniarza, a on uspokoił ją, że sam się wszystkim zajmie. Był przekonany, że po zachłyśnięciu się uwagą publiki, rzeczony dżentelmen będzie skłonny pójść na ugodę, co było z pewnością jego pierwotnym zamierzeniem. Ostrzegł ją tylko, że odszkodowania za molestowanie seksualne idą ostatnimi czasy w miliony.

- Wspaniale! Co mi zatem radzisz? Może mu po prostu oddam dom w Malibu? Trzeba się dowiedzieć jak znosi słońce, bo może wolałby dom w Bel Air? Ten jest niestety trochę mniejszy. - Trudno było doprawdy powstrzymać się od sarkazmu, a jeszcze trudniej od gniewu. Trudno było nie czuć się skrzywdzonym, okradzionym przez ludzi, którzy próbowali na niej zerować. Ataki na nią bywały tak zaskakujące i bezduszne, że wywierały podobny efekt, co przypadkowe kule.

O dziewiątej pojawiła się jej sekretarka, nerwowa dziewczyna imieniem Jeafi, która pracowała poprzednio u dyrektora wytwórni płytowej, a od roku u Tani. Była osobą kompetentną i godną zaufania, ale Tania miała jej za złe, że zamiast rozładowywać atmosferę napięcia wokół niej, sekretarka raczej ją potęguje. Zrobiła tak również i tego ranka. W ciągu pierwszej godziny odebrała trzy telefony z Nowego Jorku, dwa z redakcji czasopism rozrywkowych, domagające się wywiadów, i jeden od producenta programu telewizyjnego, w którym Tania miała wystąpić. Dwukrotnie dzwonił adwokat, agent próbował namówić ją na kolejną trasę koncertową. Jeszcze się nie zadeklarowała, a teraz okazało się, że musi podjąć decyzję natychmiast, o ile w trasę chce włączyć Japonię. Zadzwoił również brytyjski agent z pytaniem o kontrakt. Otrzymali informację o kolejnym artykule w brukowcu, na domiar złego pojawił się jakiś techniczny problem w nagrywanej właśnie płycie. Następnego wieczora miała dać koncert na cele charytatywne, w południe musiała być w studio nagraniowym, a wieczorem czekała ją próba przed koncertem. Zadzwoił jej agent, żeby porozmawiać na temat kolejnego filmu.

- Boże! Co to jest? Pełnia księżycy, czy naprawdę wszyscy w tym mieście powariowali? - Tania odgarnęła z twarzy pasmo jasnych włosów. Jean wręczyła jej filiżankę kawy i przypomniała, że do czwartej trzydzieści musi dać odpowiedź w sprawie trasy koncertowej.

- Nic nie muszę, do ciężkiej cholery! Jeżeli nie włączą Japonii, będzie to strata Japonii. Nie pozwolę, by zmuszano mnie do podejmowania decyzji, zanim jestem gotowa to zrobić. -

Spojrzała spode łba na Jean. Zazwyczaj była zgodna i łatwo się z nią współpracowało, ale tym razem znalazła się pod presją, zdolną wywołać wybuch wulkanu. Ona była tylko człowiekiem i miała ograniczoną wytrzymałość.

- A co zrobimy z wywiadem do „View”? - zapytała niestrudzona Jean. - Muszą mieć twoją odpowiedź dziś do południa.

- Dlaczego nie zadzwonią do któregoś z moich agentów? - broniła się Tania, czując narastające z każdą chwilą napięcie. - Nie powinni dzwonić bezpośrednio do mnie. Dlaczego im tego nie powiesz?

- Próbowałam, ale nie chcieli mnie słuchać. Wiesz jak to jest, kiedy już zdobędą twój numer, chcą rozmawiać bez pośredników.

- Ja chciałbym również - powiedział Tony od drzwi. Wrócił z golfa i stał na progu jej biura. Można było powiedzieć o nim wszystko, tylko nie to, że jest zadowolony. - Czy mogę zamienić z tobą parę słów, Tan?

- Jasne. - Popatrzyła na niego nie kryjąc zdenerwowania. Za pół godziny musiała zameldować się w studio, a Tony nie wyglądał na kogoś, kto poczekałby z rozmową do wieczora.

Jean zostawiła ich samych i Tania czekała, aż Tony usiądzie. Wiedziała, że ma jej do powiedzenia coś bardzo ważnego, ale nie była pewna, czy chce to usłyszeć.

- Coś nie tak? - zapytała nerwowym szeptem.

- Nie bardziej niż zwykle - westchnął. Jego wzrok pobiegł za okno. - Nie chcę, żebyś mnie źle zrozumiała. - Spojrzał na nią i dostrzegła gniew w jego oczach. Czuł się oszukany, nie tylko przez nią i przez tą historię z ochroniarzem, ale przede wszystkim przez los. Ich wspólne życie stawało się męczarnią, od której nigdy nie będzie ucieczki. Hollywoodzkim osobistościom nie przysługiwało prawo do prywatnego życia czy choćby sprawiedliwości. Każde pomówienie, każda bzdurna historia na jej temat była chroniona przez Pierwszą Poprawkę. - Nie chodzi mi nawet o ten dzisiejszy artykuł. - Kłamał, bardziej przed sobą niż przed nią, ale chciał wierzyć, że postępuje wobec niej fair, nawet jeżeli tak nie było. - Pisano już o nas gorsze rzeczy. Mam dla ciebie dużo szacunku, Taniu. Nie wiem skąd czerpiesz siłę, by to znosić. W poprzednie święta musieli zatrudnić ochroniarzy dla dzieci, ponieważ grożono im śmiercią, a jego była żona strasznie się z tego powodu awanturowała.

- Uważam cię za niezwykłą kobietę...

Nie podobał jej się sposób, w jaki na nią spojrzał mówiąc te słowa. Wyczuła, że chwila, której obawiała się od roku, właśnie nadeszła. Miał dość takiego życia i w każdej chwili mógł z niego zrezygnować. Ona była w dużo gorszej sytuacji; wiedziała, że nawet zakończenie kariery nie uwolni jej od natręctwa dziennikarzy.

- Co próbujesz mi powiedzieć? - Znała scenariusz takiej rozmowy i czuła co się święci. Mówiła sobie, że jest na to przygotowana, ale w głębi duszy wiedziała, że tak nie jest. Zawsze się ludiła, że tym razem będzie inaczej, że spotkała właściwego mężczyznę, który okaże się wystarczająco silny, że będzie mu naprawdę zależało, że będzie murem trwać przy niej. Bardzo tego pragnęła, bardziej może niż dziecka. Pragnęła trwałego, silnego związku z mężczyzną, na którego mogłaby liczyć, kiedy życie zacznie się paskudzić, bo że



zacznie - było nieuniknione. Zwierzyła się z tego Tony'emu na samym początku. I znosił wszystko w miarę spokojnie przez całe trzy lata. A teraz nagle zrobił się drażliwy. Trochę za bardzo drażliwy. - Chcesz mi pewnie powiedzieć, że jestem dla ciebie za dobra, że zasługuję na coś więcej, niż ty możesz mi dać? Chcesz wygłosić jedną z tych szlachetnych mówek, przekonać mnie, jaka to jestem wspaniała, a potem zwinąć żagle? - Spojrzała mu prosto w oczy. Nie miało sensu uciekać przed tym, co nieuniknione. Wiedziała, że ten moment nadszedł.

- Jesteś niesprawiedliwa. Nigdy nie opuściłem cię w potrzebie. - Poczul się dotknięty i Tania zrobiło się przykro. Być może pochopnie go osądziła.

- Nie, ale myślisz o tym, żeby to zrobić prawda? - zapytała cicho. Patrzył na nią przez długą chwilę, nie zaprzeczając jej słowom.

- Nie wiem, co ci chcę powiedzieć. Jestem zmęczony. To ciężkie życie. Nie zdawałem sobie sprawy jak ciężkie, dopóki z tobą nie zamieszkałem.

- Uprzedzałam cię. - Czuła się jak himalaista, którego w połowie drogi na Everest opuszczają towarzysze. - Mówiłam, jak to wygląda. To rzeczywiście trudne życie, Tony. Ma swoje piękne strony i kocham swoją pracę, ale wiem, jaką cenę płacą za to moi bliscy, ty i dzieci. Wiem, że jest ci ciężko. Ale sęk w tym, że nie mogę nic na to poradzić.

- Owszem, wiem... I nie mam prawa się skarżyć. - Patrzył na nią oczami pełnymi wstydu i bólu, ale ona nagle zdała sobie sprawę, że dla Tony'ego to życie należy już do przeszłości. Poflirtował sobie z Hollywood, a teraz romans się wypalił. - Rozumiem, jak ci ciężko i nie chcę ci tego jeszcze utrudniać. Widzę ile pracujesz. Jesteś perfekcjonistką. W twoim życiu nie ma już miejsca dla mnie, są tylko koncerty, próby, nagrania. Dokonujesz rzeczy wielkich, Taniu, a tymczasem ja siedzę tu sam i czytam o nas w brukowcach.

- Wierzysz w to, co piszą? - zapytała wprost. Może w tym był pies pogrzebany. Może myśli, że to wszystko prawda? Ochroniarz, który pozwał ją do sądu był prawdziwym sukinsynem, ale trzeba przyznać bardzo atrakcyjnym mężczyzną.

Nie wierzę, ale nie jestem tym zachwycony. Faceci, z którymi grałem dziś w „Golfę zrobili z tego wielką aferę. Niektórzy uważali, że to nawet zabawne, mieć żonę oskarżoną o molestowanie seksualne, bo ich żony w ogóle z nimi nie sypiają. Wydawał się zawstydzony tym, co mówi, ale Tania zrozumiała. Przyjaciele kpili z niego, a on miał dość upokorzeń. Miał prawo skarżyć się, ale ona też była tym zmęczona. Różnica między nimi polegała na tym, że on mógł w każdej chwili kupić sobie bilet na wolność, gdy tymczasem ona tej możliwości nie miała. Brukowce i szantażyści celowali w nią, nie w jej męża.

- Nie bardzo wiem, co chcę ci powiedzieć - oznajmił Tony z nieszczęśliwą miną- ale takie życie nie jest zabawne, zgodzisz się?

- Nie jest - przyznała ze smutkiem, zbyt przygnębiona wyrazem jego oczu, by podjąć dyskusję. W jej życiu jakoś tak się działo, że wygrywało zawsze zło. Brukowce, procesy sądowe, pogrożki i stresy potrafiły rozbić każdy związek z normalną ludzką istotą.

- Chcesz mi powiedzieć, że odchodzisz? - zapytała z rozpaczą. Nie był może miłością jej życia, ale dobrze się przy nim czuła, ufała mu, kochała go i jego dzieci. Gdyby to zależało od niej, nigdy nie zakończyłaby ich małżeństwa.

- Sam nie wiem. - Myślał o tym od jakiegoś czasu, ale nie podjął żadnej decyzji. - Jeżeli mam być szczery, to przyznam, że nie wiem, ile jeszcze rund zdołam wytrzymać. Nie chcę być nie fair w stosunku do ciebie. To wszystko załatwiło mi porządnie za skórę i uznałem, że powinnaś o tym wiedzieć.

- Doceniam twoją szczerość. - Już czuła się zdradzona, ponieważ zostawił ją w chwili, gdy go potrzebowała, ponieważ wstyd, jaki mu przyniosła jako żona, nakazywał mu ją opuścić.
- Chciałabym temu jakoś zaradzić.
- Nigdy nie sądziłem, że to mi tak obrzydzi życie. Z daleka nie wydaje się to takie groźne, a potem świat staje nagle na głowie i człowiek budzi się jak ta Alicja w Krainie Czarów, i zaczyna spadać, spadać, spadać... - Słuchając go uświadomiła sobie, jak bardzo go jeszcze kocha. Był inteligentnym facetem i mimo wszystkich różnic nadal mieli ze sobą wiele wspólnego.
- Interesujący punkt widzenia - powiedziała z żalnym uśmiechem, czując, że on uważa ich małżeństwo za zakończone. - A co będzie z dziećmi? -zapytała z nagłą rozpaczą. - Jeżeli odejdiesz, czy pozwolisz mi się z nimi widywać? - Łzy błysnęły w jej oczach. Jak dotąd wszystko odbywało się względnie bezboleśnie i rozsądnie. Pierwsza z wielu rozmów poprzedzających koniec małżeństwa.
- Wyciągnął rękę i dotknął jej dłoni, widząc cierpienie w jej oczach. Napawało go bólem. Nienawidził siebie za to, co jej zrobił, ale już od jakiegoś czasu wiedział, że dłużej tego nie wytrzyma. Artykuł w porannej gazecie dopełnił miary.
- Kocham cię, Taniu - wyszeptał. Czy musiał wyglądać przy tym tak seksownie? Nadal ją pociągał, był przystojny i mądry, i choć zawiódł ją, była skłonna mu wybaczyć. - Chciałem ci tylko powiedzieć, co czuję. I nawet gdyby nam się nie udało, będziesz widywała się z dziećmi. Kochają cię - powiedział patrząc na nią z czułością, która raniła jej serce. Mówił „żegnaj” nie wypowiadając tego słowa ale wiedziała, że to już nie potrwa długo.
- Ja je też kocham. - Zaczęła cicho płakać, a on usiadł przy niej i objął ją ramieniem.
- One cię kochają i ja też, na swój pokretny sposób - powiedział, ale mu nie uwierzyła. Gdyby ją kochał naprawdę, nie chciałby jej opuścić.
- A co będzie z Wyoming? Pojadą ze mną? Czy ty pojedziesz? - Nagle ogarnął ją lęk. Traciła go, i dzieci pewnie też. Po co miałyby do niej przyjeżdżać, po tym, jak ich ojciec odszedł? Czy wystarczająco je do siebie przywiązała przez te trzy lata? Kiedy podniosła wzrok, Tony patrzył na nią z dziwnym wyrazem twarzy
- Myślę, że powinny pojechać z tobą. Byłaby to dla nich wspaniała przygoda. -Czuł się jakoś nieswojo i ona zrozumiała natychmiast, co jej chce powiedzieć.
- Ale ty nie pojedziesz, tak? - spytała chłodno.
- Wiesz, chyba nie. Myślę, że powinniśmy zrobić sobie przerwę. Może się wybiorę do Europy.
- Kiedy na to wpadłeś? Czyżby dzisiaj, podczas meczu golfa? - Ogarnął ją popłoch. Co się tu dzieje? Od jak dawna Tony planuje rozstanie? Przyjrzała mu się uważnie i stwierdziła, że wygląda trochę nieswojo, jakby zażenowany.
- Myślę o tym już od jakiegoś czasu, Taniu. To się nie stało dzisiaj rano przy śniadaniu. Winny jest „Enquirer” z zeszłego tygodnia. „Star” sprzed dwu tygodni. Procesy, kryzysy, pogrozki, brukowce... To trwa od chwili, gdyśmy się pobrali.
- Myślałam, że zdążyłeś już do tego przywyknąć - powiedziała, zdziwiona.
- Nie wiem, czy w ogóle można się do tego przyzwyczaić. Ty też jeszcze nie przywykłaś. - Nieraz martwił się, że jest poddawana takim napięciom, wiedział, że stres zabija młodszych od niej. Dziwił się często, jak ona zdołała przeżyć. -Przykro mi, Taniu.
- Więc co robimy? - Chciała wiedzieć, czy ma iść na górę i spakować jego rzeczy czy kochać się z nim namiętnie, czy też przedyskutować sprawę. Jakie były zasady tej gry i

czego od niej oczekiwał? A co ważniejsze, czego ona chciała? Nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie. Była zbyt dotknięta i oszołomiona tym, co usłyszała.

- Nie jestem pewien - powiedział szczerze. - Muszę to sobie przemyśleć, ale chciałem, żebyś wiedziała, w jakim kierunku zmierzam.

- Jak huragan, powódź i klęska żywiołowa - dodała próbując się uśmiechnąć, ale łzy ciągle napływały jej do oczu.

Rozległo się pukanie do drzwi i Jean wsunęła głowę do pokoju.

- Jesteś już spóźniona do studia o godzinę. Dzwonił producent, żeby ci przypomnieć, że licznik bije. Muzycy chcą wiedzieć, czy mogą sobie zrobić godzinną przerwę na lunch. Dzwonił też agent, żeby ci przypomnieć, że do czwartej trzydzieści czeka na odpowiedź. Dzwonił również Bennett Pearson. Prosił, żebyś oddzwoniła, jak tylko znajdziesz chwilę czasu.

- Dobrze, już dobrze! - Tania uniosła rękę, żeby powstrzymać ten potok słów. - Niech muzycy zrobią sobie przerwę. Będę tam za pół godziny. Powiedz Tomowi, żeby zaczekał, wszystko omówimy. - Jak mogła w tych warunkach śpiewać, podjąć decyzję w sprawie Japonii, nowego filmu, następnej trasy i szantaży-ochroniarza? Kiedy Jean opuściła wreszcie pokój, Tania spojrzała na męża. -Masz rację- To wszystko nie jest zbyt zabawne.

- Czasem bywa nawet bardzo zabawne, ale jednocześnie wcale takie nie jest. Płaci się za to zbyt wysoką cenę - przyznał wstając. Zachował się podle, ale w głębi duszy poczuł ulgę. O ile mógł coś na ten temat powiedzieć, to tyle, że jej życie wydało mu się koszmarem. - Jedź na to nagranie, Taniu. Przepraszam, że cię zatrzymałem. Porozmawiamy innym razem. Nie musimy decydować w tej chwili. Przeze mnie się spóźnisz.

Żaden problem. Za ledwie godzinę. Trzy lata. Było bardzo miło. Cholera, nie można go winić, że chce się z tego wykręcić. Patrzyła, jak mąż wychodzi, rozdarta między żalem a nienawiścią.

- Wszystko w porządku? - Jean wróciła z kolejną porcją wiadomości. Uprzedziła ją również, że najdalej za pięć minut powinna wyjechać do studia.

- Dobrze, dobrze, już jadę. Wszystko jest w porządku.

W porządku. Zawsze było w porządku, nawet jak nie było. Zastanawiała się, jak długo potrwa, zanim prasa wywęszy, że Tony ją zostawił. Nie powinno ją to obchodzić, ale obchodziło. Perspektywa kolejnej serii artykułów była przerażająca.

Przed wyjściem obmyła twarz i próbowała nie płakać. Założyła ciemne okulary i posadziła Jean za kierownicą samochodu. W drodze do studia wykonała parę telefonów. Powiedziała agentowi, że pojedzie w trasę, także do Japonii. W przyszłym roku spędzi w podróżach cztery miesiące, ale od czasu do czasu będzie mogła przylecieć do domu. Wiedziała, jak ważne są trasy koncertowe. Po przyjeździe do wytwórni poszła prosto do studia nagrań, gdzie pracowała do szóstej, a następnie pojechała na próbę i o jedenastej w nocy wróciła do domu. W kuchni znalazła notatkę od Tony'ego. Pojechał na weekend do Palm Springs. Stała długą chwilę z kartką w ręku, zastanawiając się, co się stało z ich wspólnym życiem i ile czasu potrzebuje Tony, żeby je ostatecznie zakończyć. I nietrudno było zgadnąć, że jest na wylocie. Pomyślała, że musi go zatrzymać, zadzwonić do Palm Springs, powiedzieć mu, jak bardzo go kocha, jak jej przykro, że sprawiła mu tyle bólu. Ujęła słuchawkę i zastygła w bezruchu. Dlaczego nie było go przy niej, kiedy go potrzebowała? Dlaczego nie chciał przyjąć losu, który jej przypadł w udziale? Dlaczego chciał uciec? Jedyne wnioski, jakie jej

się nasuwał to ten, że Tony Goldman nigdy jej prawdziwie nie kochał. Odłożyła słuchawkę i ze łzami w oczach poszła do pustej sypialni.

### Rozdział trzeci

Lecąc do Nowego Jorku samolotem wytwórni nagraniowej, Tania postanowiła nie zabierać ze sobą sekretarki. Prawdę mówiąc, Jean nie była jej potrzebna. Chodziło zaledwie o jeden talk-show w telewizji i spotkanie z agentem literackim. Poza tym chciała być sama, żeby pomyśleć o Tonym. Wrócił do domu w niedzielę wieczorem, po weekendzie spędzonym w Palm Springs. Zjedli kolację razem z dziećmi i żadne z nich nie wspomniało już ani słowem o rozterkach Tony'ego, czy o artykułach w brukowcach. Tania nie miała odwagi i energii, a on bardzo uważał, by nie poruszyć tego tematu. Nie zareagował nawet, kiedy magazyn „People” podchwycił informację o procesie. Gdy Tania we wtorek rano wyruszyła na lotnisko, nie było go już w domu.

Samolot czekał na nią, zupełnie jakby miała prywatną linię. Na pokładzie znajdował się również dyrektor wytwórni. Najwyraźniej wiedział, kim ona jest, ale poza uprzejmym „dzień dobry”, nie powiedział ani słowa. Tania wykonała parę telefonów i popracowała nad muzyką. W połowie drogi do Nowego Jorku zadzwonił adwokat z informacją, że były ochroniarz żąda miliona dolarów za wycofanie skargi.

- Powiedz mu, że zobaczymy się w sądzie - oznajmiła Tania zimno.

- To bardzo nierozsądne. - Bennett Pearson zachował niewzruszony spokój.

- Nie będę płaciła ludziom za to, że mnie szantażują. Nie może mi niczego udowodnić, nie ma podstaw. To czyste wymysły.

- Twoje słowa przeciwko jego oszczerstwom. Jesteś wielką gwiazdą, on twierdzi, że go napastowałaś, wyrządziłaś szkody moralne, zwolniłaś go z pracy, zrujnowałaś mu życie...

- Bennett, wiem, co on twierdzi, skończ tę wyliczankę.

- Wzbudzi ogólne współczucie. Pamiętaj, że przysięgli są nieobliczalni. Pomyśl o tym.

Mogą ci zasądzić dziesięć milionów tytułem odszkodowania. Co wtedy zrobisz?

-Może go zabiję...

Zastanów się. Myślę, że warto poświęcić ten milion. Wiesz, jak długo muszę pracować na ten milion? Nikt mi go nie da w prezencie.

W przyszłym roku jedziesz w trasę koncertową. Odbijesz sobie tę stratę. Potraktuj to jak nieszczęśliwy wypadek - pożar domu nie objętego ubezpieczeniem.

- To zwykły szantaż.

- Zgadza się, nie ty pierwsza padasz jego ofiarą. Przytrafiło się to wielu ludziom.

- Mdl mi na samą myśl, że mam płacić takim draniom.

- Zastanów się. I bez procesu sądowego masz dość na głowie. Powrót na łamy prasy jest ostatnią rzeczą, jakiej ci trzeba. Proces będzie jawny, nie przepuszczą niczego.

- Dobrze, już dobrze...

- Zadzwon z Nowego Jorku.

Dlaczego wszystko to było takie nieprzyjemne? Nic dziwnego, że Tony postanowił zwinąć manatki. Sama pragnęła czasem uwolnić się choć na chwilę od swojego życia, ale było od niej tak nieodłączne jak od niektórych pieprzyki na skórze czy kolor oczu.

Lot do Nowego Jorku trwał tylko pięć godzin. Tuż przed lądowaniem zadzwoniła do Mary Stuart. Powiedziała, że za pół godziny po nią zajędzie, i Mary Stuart zgodziła się entuzjastycznie. Zadzwoniła do niej jeszcze pół godziny później i kiedy zajechała pod dom

limuzyną, Mary Stuart czekała już w holu, ubrana w dżinsy i lekki biały sweterek. Panie padły sobie w ramiona, po czym Tania przyjrzała się uważnie przyjaciółce. Wyglądała szczuplej i o wiele poważniej niż przed rokiem. Przez ostatnie miesiące życie dobrze dało jej się we znaki. Bez córki okazało się jeszcze trudniejsze. Ale wyjazd był Alyssie potrzebny, toteż Mary Stuart nie skarżyła się.

- Boże, ty się w ogóle nie zmieniasz - zauważyła patrząc z podziwem na Tanie, zaskoczona jej młodzieńczym wyglądem. Dłóż czasu zdawała się jej nie tykać. - Jak ty to robisz?

- Tajemnica zawodowa, kochanie - Tania roześmiała się, seksowna i tajemnicza, a Mary Stuart zawtórowała jej ochoczo. Niezależnie od przeprowadzonych operacji plastycznych Tania miała wspaniałą cerę, piękne włosy i fantastyczną figurę. Na jej twarzy nie było śladu codziennych kłopotów. Mary Stuart też wyglądała dobrze, ale można było w przybliżeniu określić jej wiek, rzecz w przypadku Tani niemożliwa. Ale też zachowanie młodości nie było dla Mary Stuart koniecznością zawodową.

- Wyglądasz wcale nieźle, mała - zauważyła Tania. Trudno było uwierzyć, że od ich ostatniego spotkania upłynął rok, najgorszy w życiu Mary Stuart i Billa, choć on nigdy by się do tego nie przyznał.

- Myślę, że zawarłaś pakt z diabłem - poskarżyła się Mary Stuart. - To nie fair. Do ilu lat się teraz przyznajesz? Do trzydziestu jeden? Dwudziestu pięciu? dziewiętnastu? Ludzie pomyślą, że jestem twoją matką.

- Och, zamknij się. Wyglądasz na dziesięć lat mniej niż masz naprawdę i doskonale o tym wiesz.

- Chciałabym. - Ale Mary Stuart widziała Jakie ślady pozostawił na niej ten rok. Widziała je w lustrze.

Pojechały do baru J.G. Melona, jak to robiły od lat, i przez jakiś czas plotkowały o obecnych i nieobecnych. Tania powiedziała, że zimą wybiera się w trasę

- Co Tony na to? - Mary Stuart spojrzała na przyjaciółkę z hamburgera. Nastąpiła krótka przerwa w rozmowie, a potem Tania podniosła wzrok. Mówił wszystko

- On nic jeszcze nie wie. Prawie go ostatnio nie widuję. My... Myślę, że mamy mały problem.

Mary Stuart zmarszczyła czoło i z niepokojem słuchała dalej.

- On... pojechał do Palm Springs na parę dni. Uważa, zdaje się, że musimy trochę od siebie odpocząć. W związku z tym jedzie do Europy, a ja zabieram jego dzieci do Wyoming.

- Czy jest coś, o czym mi nie mówisz?

- Nie. - Tania odłożyła hamburgera i z powagą popatrzyła na przyjaciółkę. - Myślę, że on mi czegoś nie mówi, ale wkrótce to zrobi. Po prostu sam jeszcze o tym nie wie. Wydaje mu się, że ciągle podejmuje decyzję. Aleja znam objawy. Już się zdecydował.

- Dlaczego tak uważasz? - Mary Stuart zrobiło się przykro że Tania ma problem, ale nie czuła się tym zaskoczona. Jej styl życia powodował nieuniknione straty i obie zdawały sobie z tego sprawę. Ale mimo wszystko Tania wyglądała teraz na rozczarowaną i nieszczęśliwą.

- Ponieważ nie jestem tak młoda, jaką zrobili mnie lekarze, widziałam niejedno. On już odszedł, tylko jeszcze o tym nie wie. Nie jest w stanie znieść dłużej tego stałego, napięcia, procesów, nagonek prasowych, oszczerstw, wstydu i upokorzenia. Nie mogę go za to winić.

- Nie zapominasz o czymś? O dobrych stronach waszego życia? - zapytała łagodnie Mary Stuart.

- Giną w masie. Zapomina o tym. Ja zapomniałam i nie mogę mieć do niego pretensji. Lubię to, co robię tylko wtedy, gdy śpiewam... kiedy wypruwam z siebie żyły na koncercie, albo kiedy nagrywam. Nie dbam nawet o aplauz... Wystarczy mi muzyka. A on nawet tego nie ma. Mnie przypada sława, a jemu pomyje. Ma już tego serdecznie dość. W zeszłym tygodniu ukazał się w prasie artykuł o naszym byłym pracowniku. Facet twierdzi, że robiłam mu propozycje, a kiedy nie chciał mnie wypieprzyć, zwolniłam go z roboty. Informacja w sam raz na pierwszą stronę. Tony najadł się wstydu. To była ostatnia kropla.

- No dobrze, ale co z tobą? - Mary Stuart była naprawdę zmartwiona. Troszczyły się o siebie przez lata, chociaż nieczęsto z sobą rozmawiały, a widywały się jeszcze rzadziej, nie mieszkaly nawet w tym samym mieście. - Zrobiło się gorąco, więc facet zwija manatki?

- Jeszcze nie, ale to tylko kwestia czasu. Na razie chce zrobić sobie wolne i pojechać do Europy. A ja zabiorę jego dzieci na ranczo do Wyoming. Cieszę się bo naprawdę je kocham.

Wiem o tym. Ale nie jestem zachwycona postępowaniem ich ojca.

- Nic nowego. - Tania uśmiechnęła się smutno i ścisnęła rękę Mary Stuart. - Powiedz, co u ciebie? Co słyhać u Billa? Czy przeżywa tę tragedię równie ciężko jak ty?

- Myślę, że tak. - Wzruszyła ramionami. - W sumie niewiele o tym rozmawiamy. Bo i o czym tu mówić? Co się stało, to się nie odstanie... - Nie da się cofnąć słów, które między nami padły.

- Czy on cię obwinia?

Tania odważyła się zadać pytanie, które dręczyło ją od miesięcy. Podejrzewała, że w nim właśnie tkwi źródło problemu.

- Najprawdopodobniej - westchnęła Mary Stuart. - Przypuszczam, że obwiniamy się nawzajem za naszą ślepotę, za to, że żadne z nas nie dostrzegło w porę niebezpieczeństwa. Ale na początku Bili uważał, że to ja powinnam była wszystko przewidzieć. Powinnam przewidzieć katastrofę, zanim nastąpiła. Bili przypisuje mi nadziemską moc, kiedy to mu dokucza. Ja też czuję się winna, co zresztą niczego nie zmienia. Człowiekowi się zdaje, że jeżeli przypisze winę właściwej osobie, cofnie zegary i zapobiegnie nieszczęściu. Ale to złudzenie. Zresztą to i tak nie ma znaczenia. Sprawa jest zakończona. - Jej oczy napęłniły się łzami, odwróciła wzrok i Tania pożałowała, że w ogóle poruszyła ten temat.

- Przepraszam... Nie powinnam była nic mówić. Jaki to ma teraz sens? - Tania klęła w myśli swoją głupotę. Mary Stuart otarła oczy i spojrzała na przyjaciółkę, jakby chciała dodać jej otuchy.

- Wszystko w porządku, Tan. To bez znaczenia. I tak boli przez cały czas. Jak chory ząb i nigdy nie przestaje, czasem ból jest ostrzejszy, czasem nie do zniesienia, a czasem można z nim żyć. To nie ty go wywołałaś. Jest ze mną przez cały czas.

- Nie możesz dalej tak żyć! - powiedziała Tania z przejęciem. W obliczu wielkiego nieszczęścia czuła się bezradna.

- Ludzie jednak żyją - odparła Mary Stuart z rozpaczą - z artretyzmem, reumatyzmem, niestrawnością, rakiem albo ze złamanym sercem, umarłą nadzieją, po stracie wszystkiego, co miało dla nich wartość - powiedziała z takim bólem i taką determinacją, że Tania nie mogła tego znieść.

- Pojedź ze mną i z dziećmi do Wyoming! - wybuchnęła. Tylko w ten sposób mogła jakoś przyjaciółce pomóc. Mary Stuart uśmiechnęła się do niej.

- Jadę do Europy, do Alyssy. Gdyby nie to, pojechałabym z tobą z przyjemnością. Uwielbiam konie. - Wtedy skrzywiła się na jakieś dawne wspomnienie, wdzięczna za zmianę bolesnego tematu. - Nie wiedziałam, że i ty jeździsz.

na ogół nie jeżdżę - roześmiała się Tania. - Niezbyt to lubię. Ale samo miejsce jest podobno cudowne, więc pomyślałam, że będzie w sam raz dla dzieci.

- Czy Tony'emu się spodoba, ale on nie jedzie. Za to dzieciaki uwielbiają. Są w wieku dwunastu, czternastu i siedemnastu lat. Taki wypad świetnie im robi.

Na pewno. Czy i ty zamierzasz pojeździć konno?

- Jeżeli kowboje będą przystojni - odparła Tania bardzo z teksaska i śmiały się obie. - Jestem chyba jedyną dziewczyną w Teksasie, która nie lubi koni.

Ale Mary Stuart przypomniała sobie, że Tania dobrze jeździ, tyle że za tym nie przepada.

- Może Tony zmieni zdanie i wybierze się razem z wami?

- Wątpię - powiedziała Tania cicho. - Moim zdaniem on już się zdecydował. Zresztą, może taka rozłąka dobrze mu zrobi?

Ale w skrytości ducha Tania wątpiła, czy to może mieć jeszcze jakieś znaczenie, a Mary Stuart podzieliła jej opinię. Małżeństwo Tani znalazło się na równi pochyłej.

Gawędziły jeszcze jakiś czas, o Alyssie i nowym filmie Tani, o jej zimowej trasie koncertowej. Mary Stuart wyobrażała sobie, jakie to będzie wyczerpujące i podziwiała determinację Tani. Potem była mowa o programie telewizyjnym, w którym Tania miała wystąpić następnego ranka. Chodziło o najpopularniejszy talk-show w kraju.

- I tak musiałam przyjechać do Nowego Jorku na spotkanie, więc co mi szkodzi wystąpić w telewizji. Mam tylko nadzieję, że nie będą chcieli rozmawiać ze mną o procesie. Mój agent już im powiedział, że sobie tego nie życzę. Nie wiem, ile jest warte takie oświadczenie. -

Nagle przypomniała sobie o zaproszeniu, jakie zdobyła dla Mary Stuart. - Wiesz, mam przyjaciółkę, która debiutowała w zeszłym tygodniu na Broadwayu. Podobno sztuka jest dobra, a ona też otrzymała znakomite recenzje. Mają zamiar grać tę sztukę przez lato, a jeżeli dobrze pójdzie, to i przez zimę. Jeżeli chcesz zdobyć dla siebie bilety. Jutro wieczorem wydaje przyjęcie. Obiecałam, że przyjdę. Może wybrałabyś się ze mną? Bili też jest zaproszony, nie wiedziałam tylko, czy lubi takie imprezy, czy nie jest zbyt zajęty.

- Jesteś kochana - Mary Stuart uśmiechnęła się do przyjaciółki. Tania za wsze wносиła w jej życie tyle radości i podniecenia. Przypomniało jej to czas sprzed lat. To Tania trzymała je razem, zmuszała do uczestniczenia w zwariowanych imprezach, zmuszała ich do zabawy, często wbrew nim samym. Ale Mar wątpiła czy uda się namówić Billa na wypad na przyjęcie. Od miesięcy nie udzielali się towarzysko, chyba że w celach zawodowych, a ostatnio Bili pracował co dzień do późna, przygotowując się do londyńskiego procesu. Za parę tygodni wyjeżdżał, ale miała nadzieję, że na zakończenie wyprawy z Alyssą uda im się spędzić choć weekend w „Claridge” w Londynie. Potem Mary Stuart wróci do Stanów. Bili da jej znać, jak postępuje proces i czy ona ma przylecieć w odwiedziny. Kiedy się nad tym dobrze zastanowić, między tym, co powiedział Bili i Tony, nie było większej różnicy. Obie traciły swoich mężczyzn i nie bardzo wiedziały, jak ich zatrzymać.

- Nie sądzę, żeby Bili mógł do nas dołączyć - zastrzegła od razu. - Pracuje do późna. Ale zapytam go.

- A poszłabyś bez niego? To naprawdę miła dziewczyna. - Tania zmieszała się lekko. - Powinnam cię uprzedzić, że chodzi o Felicję Davenport, żebyś mi później nie zemdlała z wrażenia przy spotkaniu. Znam ją od lat, jest naprawdę cudowna

-Ależ ty jesteś niemożliwa! - Felicja Davenport była jedną z największych gwiazd Hollywoodu. Właśnie czytała o jej debiucie na Broadwayu w niedzielnym "New York Timesie". - Dobrze, że mnie uprzedziłaś. Chyba bym tam padła.

Ty głuptasie!

Wyszły z restauracji roześmiane. Tania powiedziała, że zadzwoni rano i umówią się na przyjęcie, które miało się odbyć w wynajętym domu na East Sixties. Mary Stuart wysiadła pod swoim domem, obiecując, że obejrzy poranny talk-show.

- Dzięki, Tan - powiedziała, ściskając mocno przyjaciółkę. - Spotkanie z tobą dobrze mi zrobiło. - Nie zdawała sobie nawet sprawy, jaka czuła się samotna i załamana przed spotkaniem z przyjaciółką. Nie rozmawiali prawie ze sobą z Billem przez ten rok. Czuła się jak roślina pozbawiona wody. Widok Tani podzielał na nią jak ożywczy deszcz.

Uśmiechnęta, weszła do holu i skinęła portierowi głową.

- Dobry wieczór, pani Walker - powiedział, jak zwykle podnosząc dłoń do daszka służbowej czapki. Windziarz poinformował ją, że mąż przyszedł kilka minut wcześniej. Znalazła go w gabinecie; odkładał jakieś papiery. Była w dobrym nastroju i uśmiechnęła się, kiedy się odwrócił. Jej dobry humor zdawał się go dziwić, jakby już zapomniał, że ludzie mogą się bawić, spędzać czas z przyjaciółmi, rozmawiać.

- Gdzie byłaś? - Nie ukrywał zdziwienia. Wydawała mu się jakby inną osobą. Nie mógł sobie wyobrazić, skąd wraca o tej godzinie, ubrana w dżinsy.

- Przyjechała Tania Thomas i poszliśmy na kolację. Cudownie było ją znowu zobaczyć. - Czuła się niby pijany w kościele, kiedy się tak do niego uśmiechała, jakby nie było zmartwień ostatniego roku, dzielącej ich ciszy. Nagle poczuła się nieswojo w towarzystwie męża, jak ktoś zbyt hałaśliwy i jowialny.

- Przepraszam, że tak późno wróciłam... Zostawiłam ci kartkę... - Patrząc na niego miała wrażenie, że się cała kurczy. Jego oczy były takie zimne, a twarz pozbawiona wyrazu. Piękne, wyczelowane rysy jego twarzy, które tak długo kochała, w ciągu ostatniego roku jakby skamieniały, zresztą cały wydawał się jak z kamienia. Tak daleko od niej odszedł, że nie mogła mu się nawet dobrze przyjrzeć, a co dopiero mówić o zrozumieniu. Mogła tylko czepiać się kurczowo tego, co ich kiedyś łączyło.

- Nie zauważyłem żadnej kartki. - Zabrzmiało to jak oskarżenie. Patrząc na niego niemal żałowała, że nadal jest taki przystojny. Miał czterdzieści cztery lata, dobrze ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, szczupłe, wysportowane ciało. Przenikliwe niebieskie oczy od jakiegoś czasu tchnęły chłodem. Przepraszam, Bili - powiedziała cicho. Miała wrażenie, że życie schodzi na nieustannym przeproszaniu za coś, o co nikt nie powinien jej obwiniać. Ale

była przekonana, że Bili nigdy jej nie wybaczy. - Zostawiłam kartkę w kuchni.

- Zjadłem kolację w biurze.

r5: 'ec^ ~ zapytała, kiedy wkładał część papierów do aktówki, tak bardzo dobrze - powiedział tonem, jakim zwracał się do sekretarki. Jesteśmy prawie gotowi. - Zgasił światło w gabinecie, jakby chciał się jej

pozbyć. Zaniósł aktówkę do sypialni, drobiazg, którego nie zrobiłby przed nikim. Teraz nie miało to już znaczenia. - Myślę, że wyjedziemy do Londynu trochę wcześniej niż planowaliśmy. - Wspomniał jej o tym po raz pierwszy poprostu robił plany, jakby nie musiał już niczego z nią uzgadniać. Chciała wiedzieć, co to znaczy „trochę wcześniej”, ale nie śmiała pytać. Tylko by go zdenerwowała.



Skoro wyjeżdżał wcześniej, ona również mogła wyjechać przed terminem. Miały już rezerwacje w hotelach w Paryżu, St-Jean-Cap-Ferrat, San Remo, Florencji i Rzymie. W Londynie zamierzały zatrzymać się „Claridge”, razem z Billem. Szykowała się wspaniała wyprawa i po rocznym rozstaniu Mary Stuart naprawdę cieszyła się na spotkanie z córką. W kwietniu Alyssa skończyła dwadzieścia lat. Jej urodziny przypadały na tydzień przed urodzinami jej brata. Obie te daty były dla Mary Stuart ważne.

Kiedy Bili postawił aktówkę przy łóżku i poszedł do łazienki, przypomniała sobie o propozycji Tani.

- Jesteśmy zaproszeni na cocktail party, czy coś w tym rodzaju. Wy Felicja Davenport. Jest, okazuje się, przyjaciółką Tani.

Wyraz jego twarzy sprawił, że poczuła się jak czternastolatka prosząca ojca o pozwolenie pójścia na studniówkę. Był zirytowany, że w ogóle o to pyta.

- Myślę, że moglibyśmy się dobrze bawić. Jej nowa sztuka otrzymała znakomite recenzje, a Tania twierdzi, że to sympatyczna kobieta.

- Nie wątpię, ale jutro muszę dłużej zostać w biurze. Przygotowujemy ogromny proces, Mary Stuart. Myślałem, że to rozumiesz. - Odebrała to raczej jak reprimendę niż odmowę i rozgniewał ją ton głosu męża.

- Rozumiem, ale musisz przyznać, że to wyjątkowe zaproszenie. Myślę, że powinnam z niego skorzystać. - Chciała tam pójść. Była znużona siedzeniem w domu i odprawianiem żaloby po swoim małżeństwie. Widok Tani uświadomił jej, że życie toczy się dalej. Tania też przecież miała kłopoty, problemy z Tonym, procesy i nagonki w prasie, a jednak nie siedziała w domu, popłakując po kątach. To ukazało Mary Stuart inne możliwości.

- W moim przypadku to zupełnie wykluczone - powiedział stanowczo. - Ale ty idź, jeżeli masz ochotę.

Zamknął drzwi do łazienki, a kiedy z niej wyszedł, czekała na niego z wyrazem zawziętości na twarzy.

- Zrobię to - powiedziała zadziornym tonem, jakby się spodziewała sprzeciwu z jego strony.

- Zrobisz co? - Spojrzał na nią ze szczerym zdumieniem. Gdyby jej nie znał tak dobrze, pomyślałby, że piła. Zachowywała się jakoś dziwnie. - O czym ty mówisz? - zapytał z irytacją, zupełnie nie zwróciwszy uwagi na fakt, że żonajes' bardziej zrelaksowana niż zwykle i doprawdy bardzo ładna.

- Pójdę na to przyjęcie - powiedziała stanowczo.

- Proszę cię bardzo, jeśli ci nie będzie przeszkadzać, że ja nie pójdę. To przyjemność poznać takich ludzi. Tania miewa interesujących przyjaciół czemu nie należy się dziwić. - Natychmiast zapomniał o tym, co powiedział i położył

się do łóżka, obłożony stosem czasopism, które zamierzał przejrzeć, Mary Stuart zniknęła w łazience i wyłoniła się po dziesięciu minutach w bawełnianej nocnej koszuli. Równie dobrze mogła mieć na sobie kolczugę albo worek i tak by tego nie zauważył.

Wsunęła się cicho do łóżka, podczas gdy on czytał

i leżała rozmyślając o tym wszystkim, o czym rozmawiała z Tanią. Zastanawiała się, czy Tania ma rację i czy Tony rzeczywiście wkrótce odejdzie, czy też będzie się starał wytrwać. Wydawało się to takie niesprawiedliwe względem Tani, choć ona pogodziła się już z jego odejściem i zdawała się czekać na to. Może nie powinna się tak poddawać, może powinna walczyć, starać się go zatrzymać? O ile łatwiej było naprawiać cudze życie niż własne. W ciągu tego feralnego roku nie potrafiła zrobić nic, by przeciwstawić się losowi, dotrzeć jakoś do Billa. Był poza jej zasięgiem, niczym za ścianą z lodu. Odnosiła wrażenie, jakby

nie widziała go od dawna i zaczynała wątpić, czy kiedykolwiek uda jej się nawiązać z nim kontakt. Nie miała pojęcia, jak będzie wyglądała ich przyszłość. Na ten temat również z nią nie rozmawiał. Gdyby go o to zagadnęła, uznalby prawdopodobnie, że zwariowała. Tak jak dzisiaj, kiedy wróciła do domu lżejszym krokiem i z uśmiechem na ustach. Spojrzał na nią, jakby była przybyszem z innej planety. Najwyraźniej nie zamierzał tolerować w ich domu śmiechu, a jakakolwiek zażyłość między nimi należała nieodwołalnie do przeszłości. Zrozumiała w pełni tragizm swego położenia dopiero wtedy, gdy spojrzała na to oczami innych ludzi. Alyssa, która przyjechała do domu na święta, nie kryła przerażenia i nie mogła się doczekać powrotu do Paryża. I choć dla wszystkich trojga atmosfera była nie do zniesienia, Mary Stuart nie wiedziała, jak ją rozładować. Ona nie wiedziała jak, a Bili nie chciał. Przestał w końcu czytać i zgasił światło, ale nie odezwał się do żony. Leżała po swojej stronie łóżka z zamkniętymi oczyma, udając, że śpi, zastanawiając się, czy on okaże jeszcze kiedyś jakieś ludzkie uczucia, czy sięgnie kiedyś po nią, czy w ogóle ktokolwiek będzie ją jeszcze w życiu kochał, dotykał, czy ktoś powie jej, że ją kocha, czy wszystko to należało już do przeszłości. Miała w końcu tylko czterdzieści cztery lata, a pod wieloma względami jej życie się skończyło.

#### Rozdział czwarty

Mary Stuart została w domu, żeby obejrzeć Tanie w programie telewizyjnym. Kiedy prowadzący przeszedł gładko od pytań o jej dzieciństwo w małym teksańskim miasteczku wprost do ostatnich plotek, łączących ją z osobą trenera i oskarżeń o molestowanie seksualne pracownika, miała ochotę wyskoczyć z fotela i rozbić ekran telewizora. Mimo obaw Mary Stuart Tania wybrnęła z tego z wdziękiem i pozorną łatwością, uśmiechając się przyjaźnie. Potraktowała całą sprawę jako zwykły szantaż, pożywkę dla prasy. Ale zeszła z planu spocona jak mysz, z początkami migreny.

- Koniec z telewizją- powiedziała do agentki, która odprowadziła ją na plan i pilotowała później na spotkanie z agentem literackim. Wyszła z tego spotkania rozczarowana.

Wydawca postawił na sensacyjność jej życia, nie na jego treść. Miała tego wszystkiego po dziurki w nosie. A kiedy po południu zadzwoniła do Jean, dowiedziała się, że trafiła ponownie na pierwsze strony gazet Los Angeles. Brukowe rozpisywały się o weekendzie, który jej mąż spędził w Palm Springs z nie zidentyfikowaną gwiazdeczką. - A może to była zwykła kurewka? - zapytała uszczypliwie.

Jean przeczytała jej artykuł na temat procesu i słuchając go, Tania walczyła ze łzami. Były ochroniarz twierdził, że prowokowała go spacerując po domu nago ilekroć znajdowali się sami, co by ją rozśmieszyło, gdyby nie zbierało się jej na płacz.

- Nie pamiętam już, kiedy byłam w tym domu sama - powiedziała, przygnębiona. Mogła sobie wyobrazić reakcję Tony'ego. Odmówiła wysłuchania relacji z weekendu męża.

Odłożywszy słuchawkę, poszła kupić gazetę i przeczytała ją sama. Był to prawdziwy rarytas. Zamieszczono zdjęcie Tony'ego usiłującego zakryć sobie twarz, i pewnej podrzędnej aktoreczki. Nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia lat. Nie sposób było stwierdzić, czy jest to fotomontaż czy rzeczywiście byli tam razem. W obecnych czasach nie można być pewnym autentyczności fotki. Po krótkim namyśle zadzwoniła do Tony'ego do pracy. Właśnie wychodził.

Chyba znów znalazłam się w światłach reflektorów - powiedziała, siląc się na żartobliwy ton.

- Na to wygląda. Twój przyjaciel Leo może opowiadać o tobie godzinami. Czytałaś? - Był taki zły, że nawet nie próbował tego ukryć.

- Jean przeczytała mi przez telefon. To wszystko kłamstwo. Mam nadzieję, że wiesz o tym.

- Mówiła bardzo spokojnie i bardzo z teksańska.

- Niczego nie jestem już pewien, Tan.

- To, co napisali o mnie, nie jest ani na jotę gorsze od tej historii o twoim weekendzie z dziewczyną, którą rzekomo zabrałeś do Palm Springs. Jest tam nawet twoje zdjęcie - próbowała się z nim droczyć. - To również nieprawda, więc dlaczego robisz z tego kwestię? Nastąpiła długa pauza, po czym Tony powiedział bardzo powoli:

- Jeżeli chodzi o ścisłość, ta historia jest prawdziwa. Chciałem ci o tym powiedzieć, ale się nie złożyło.

Poczuła się tak, jakby ją uderzył kijem do golfa. Zdradził ją, napisali o tym w gazetach, a on przyznaje teraz, że to prawda. Milczała przez długą chwilę.

- To coś nowego. Co mam ci teraz powiedzieć?

- Masz prawo być wściekła, przyznaję. Wcale bym się nie zdziwił. Myślę, że ktoś dał im cynk. Nie mam pojęcia, skąd się wzięli w tym hotelu. Obawiałem się, że to może trafić do gazet.

- Jesteś trochę za stary, żeby być aż tak naiwny. Mieszkasz już w Hollywood dosyć długo, by wiedzieć, co tu jest grane. Jak myślisz, kto do nich zadzwonił? Ona. To przecież dla niej gratka, dać się przyłapać z mężem Tani Thomas. Wielka gratka, Tony. Jak mogłaby przegapić taką okazję?

Ubrane w słowa, zabrzmiało to paskudnie, ale najprawdopodobniej było prawdą i Tony czuł, że tak jest. Przedtem nie przyszło mu to jakoś do głowy. Tym razem na jego końcu linii zapadła długa, bardzo długa cisza.

- Tak więc zostałeś gwiazdą, panie Goldman. Jak się to panu podoba?

- Niewiele mogę powiedzieć, Tan.

- To prawda. Mogłeś przynajmniej zachować dyskrecję i wybrać kogoś, kto nie sprzeda twojego i mojego tyłka brukowcom.

- Nie chcę się w to bawić, Taniu. - Był zarazem zły i zażenowany. - Jutro się wyprowadzę. Tania walczyła ze łzami.

Tak przypuszczałam - powiedziała zduszonym głosem.

- Nie mogę dłużej żyć w ten sposób, nie chcę być celem dla paparazzich.

- Ja też za tym nie przepadam - odparła ze smutkiem. - Różnica polega na tym, że ty masz wybór.

- Bardzo ci współczuję. - Ale zabrzmiało to nieszczerze. Został przyłapany puszczone spodniami i wcale mu się to nie podobało. Nie podobało mu się, grać przy niej drugie skrzypce, że jest ośmieszany, zdradzany i traktowany jak towar. Nie mógł się już doczekać, kiedy wyniesie się z jej domu i z jej życia, poza zasięg reflektorów, w które dał się pochwyć jako mąż Tani Thomas, Na początku chciał tego, ale kiedy światła zaczęły przypiekać, stwierdził, że nieprzyjemne.

- Przykro mi, Taniu. Nie chciałem tego załatwiać przez telefon. Zamierzałem powiedzieć ci jutro, w domu.

Łzy stoczyły się po jej policzkach. Tony zapytał, czy jeszcze tam jest.

- Tak, jestem - odezwała się przygnębiona. Życie było nieznośnie ciężkie i samotne. Za wiele już przeszła, za długo ją wykorzystywano, zbyt wiele było tych rozczarowań.

Menedżer, którego poślubiła, wyczyścił jej konto, a teraz Ton po trzech latach małżeństwa

ucieka do Palms Springs, żeby pieprzyć się z aktorkami. Miał nadzieję, że brukowce puszcza mu to płazem! Jak mógł być tak nieostrożny?

- Przepraszam - powiedział niepewnym głosem, ale to już nie miało dla niej znaczenia.

- Rozumiem... Nie przejmuj się... Zobaczymy się po moim powrocie. Pilno jej było uwolnić się od niego. Wystarczająco dotkliwie ją zranił. Nie miała mu już nic do powiedzenia.

Uderzyła ją nagle inna myśl: - Co z Wyoming?

- Weź dzieci. Dobrze im to zrobi - zezwolił wspaniałomyślnie, uszczęśliwiony zmianą tematu. Chciał jak najprędzej wyjechać do Europy ze swoją aktoreczką.

- Dzięki... Tony. Mnie też jest przykro... - Zaczęła szlochać i w następnej chwili odłożyła słuchawkę. Płakała jeszcze, kiedy telefon zadzwonił ponownie. Odebrała go niechętnie, pewna, że to Tony dzwoni, by sprawdzić, czy wszystko w porządku. Ale to nie był Tony. Dzwoniła Mary Stuart, która w mgnieniu oka zorientowała się, w jakim stanie znajduje się Tania. Przyjaciółka opowiedziała jej przez łzy o dwóch artykułach, o tym, że Tony zdradził ją w Palm Springs i że ją właśnie opuścił. Mówiła nieskładnie, urywanymi zdaniami, ale Mary Stuart wyłapała sens i nalegała, by Tania do niej przyjechała. Mają jeszcze mnóstwo czasu przed przyjęciem, jeżeli w ogóle zdecydują się tam pójść. Tania chciała już tylko wrócić do domu, ale samolot wytwórni przylatywał po nią dopiero rano.

- Chcę, żebyś przyszła na filiżankę herbaty, chusteczkę higieniczną albo szklanek wody. W każdym razie masz przyjść. Jeżeli tego nie zrobisz, przyjadę po ciebie - nalegała Mary Stuart i Tania poczuła się wzruszona, choć nie miała ochoty widzieć kogokolwiek.

- Nic mi nie jest. - Ale nie zabrzmiało to przekonująco, tym bardziej że rozpląkała się na dobre.

- Kłamiesz jak z nut. Jeżeli nie przyjedziesz, to zawiadomię paparazich-Mary Stuart sięgnęła po ostateczny argument i Tania w końcu roześmiała się.

- Jesteś obrzydliwa - powiedziała. - Wystarczy, że spotykam się z tobą po rocznej przerwie, a już rzuca mnie mąż.

- Przynajmniej mogę być przy tobie. Przyjeżdżaj, zanim zawiadomię „Enquirer”, „Globe” i „Star”. Chcesz, żebym po ciebie przyjechała? - zapytała troskliwie. Tania wydmuchała głośno nos.

- Nic mi nie jest. No dobrze... Przyjadę. Będę u ciebie za pięć minut.

I była z potarganymi włosami, zapuchniętymi oczami i czerwonym nosem.

o to wyglądała pięknie. Mary Stuart nie omieszkała jej tego powiedzieć, przytuliła ją do siebie niczym skrzywdzone dziecko. W ciągu dwudziestudwóch lat zdobyła ogromną praktykę w pocieszaniu i kojaniu. Niewystarczającą jednak na potrzeby Todda. Wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej,

- Trudno mi w to uwierzyć... Rozpadło się w przeciągu pięciu minut - podsumowała Tania swoje małżeństwo. Obie jednak rozumiały, że musiało to trwać znacznie dłużej. Tania od dawna wiedziała, że wiele rzeczy Tony'ego irytuje, choć o tym nie mówił. Teraz dostrzegała wszystkie symptomy, choć przeoczyła je w chwili, gdy się pojawiły.

Mary Stuart zrobiła jej herbaty i Tania wypła mimo upału.

- Co ty tu właściwie robisz? - zapytała Tania rozglądając się po nieskazitelnie białej kuchni.

- Zamawiasz żarcie na wynos?

- Nie, tutaj gotuję - odparła Mary Stuart lakonicznie. Tania sprawiała wrażenie wyczerpanej i obolałej, ale wyglądała już trochę lepiej niż w chwili, gdy weszła do mieszkania. - Lubię, żeby wszystko było czyste i funkcjonalne.

- Nie - sprostowała Tania. - Ty lubisz, żeby wszystko było doskonałe. Ale nie zawsze jest to możliwe, czasem wszystko się sypie, i choć starasz się zaprowadzić jakiś ład - nie jesteś w stanie. Może powinnaś to zaakceptować? Odnoszę wrażenie, że karzesz się za wszystko, co się stało.

Była to prawda i Tania oddałaby wiele, by uwolnić przyjaciółkę od męża, którą czytała w jej oczach.

- A czy w ogóle można pozbyć się poczucia winy? - zapytała Mary Stuart cicho. - Jak mogę nie obwiniać siebie, skoro Bili mnie wini... Czuję to. Czasem wprost nie może znieść mojego widoku. Żyjemy jak obcy sobie ludzie. Nie jesteśmy już nawet wrogami, jak na początku. Nawet nienawiść się wypaliła.

- Czy wybiera się dzisiaj z nami? - zapytała Tania, pełna współczucia. Życie się z nimi nie cackało, to pewne. Przynajmniej ostatnio. Mary Stuart potrząsnęła głową.

- Powiedział, że będzie pracował do późna w biurze.

- Chowa się - orzekła z przekonaniem Tania. Potrafiła świetnie rozwiązywać problemy innych, ale nie własne, chociaż była mądrzejsza niż większość ludzi. Po prostu wybierała sobie parszywych mężów.

- Wiem o tym - odparła Mary Stuart, kiedy przeszły do sypialni. - Ale nie mogę go znaleźć. Już nawet nie wiem, gdzie go szukać. To jest jak „Inwazja Porywaczy ciał”. Mieszka tu mężczyzna, wygląda jak Bili, ale to obcy człowiek, nie wiem, gdzie się schował ten prawdziwy.

- Szukaj dalej - powiedziała Tania, zaskakując Mary Stuart żarliwością swojego głosu. -

Nic się nie kończy, dopóki nie dobiegnie kresu. - Tania czuła, że o coś takiego warto powalczyć. Byli w końcu małżeństwem przez dwadzieścia dwa lata. Zbyt długo, by się nagle rozejść. Jednak ludzie to robili i jeżeli Mary Stuart go nie odnajdzie, trudno oczekiwać by zmarnowała przy nim resztę życia. a Wiedziała o tym, nie chciała tylko, by Mary Stuart zrezygnowała za szybko, po tym wszystkim co jako małżeństwo razem przeszli. Poza tym, to było niesprawiedliwe, że Bili za tę tragedię winił Mary Stuart.

- Czy w przypadku waszego małżeństwa ta zasada również obowiązuje? zapytała Mary Stuart, kiedy szły do salonu, mijając szereg zamkniętych drzwi. Że nic się nie kończy, dopóki nie dobiegnie kresu?

- Myślę, że z nami jest trochę inaczej - Tania westchnęła ciężko. - Myślę, że się skończyło już jakiś czas temu, tylko nie chciałam tego dostrzec. Nie zdawała sobie chyba sprawy, że Tony czuje się taki nieszczęśliwy pośród tego bałaganu, jakim jest moje życie. Skoro to miałyby doprowadzić go do szaleństwa... - Nadal kochała, ale wiedziała, kiedy należy się poddać. Pod wieloma względami od początku coś było z nimi nie tak, choć Tania nadal nie chciała tego przyznać nawet przed sobą

Usiadły w salonie i rozmawiały, gdy Tania wstała chcąc skorzystać z toalety Mary Stuart wskazała jej drogę do małej gościnnej łazienki po drugiej stronie holu. Tania ruszyła w tamtą stronę zdecydowanym krokiem. Otworzyła drzwi zapaliła światło i wydała stłumiony okrzyk. Pomyliła drzwi i znalazła się w pokoju Todda, patrzyła na trofea sportowe i fotografie rozstawione po całym pokoju. Wszystko tu było na swoim miejscu, tak jakby Todd miał lada dzień wrócić z Priceton. Nie usłyszała kroków Mary Stuart.

- Nigdy tu nie wchodzi - powiedziała Mary Stuart szeptem i Tania aż podskoczyła. Odwróciła się, a widząc udrękę w oczach przyjaciółki, odruchowo otoczyła ją ramieniem. Tania uważała, że nie powinno się zostawić tego pokoju w takim stanie. Był jak kaplica.

Świadomość, że jest tak blisko musiała być strasznie bolesna. Na biurku stała fotografia Todda w gronie dwóch kolegów ze szkoły Tania nie pamiętała już, jak bardzo chłopak przypominał matkę, kiedy się uśmiechał i teraz żal ścisnął ją za gardło.

- Och, Mary Stuart - powiedziała ze łzami w oczach. - Tak mi przykro Pomyliłam drzwi. Weszłam tu siłą rozpędu.

Matka chłopca uśmiechnęła się przez łzy, stanęła obok Tani, spoglądając na to samo zdjęcie.

- Był wspaniałym chłopcem, Taniu... wspaniałym synem. Zawsze robił to co należało... Był gwiazdą, wszyscy mu tego zazdrościli, chcieli go naśladować wszyscy go kochali... - Łzy spływały wolno po jej policzkach. Tania wpatrywała się w zdjęcie, jakby oczekiwała, że chłopak przemówi albo wejdzie do pokoju choć obie wiedziały, że tak się nie stanie.

- Wiem, doskonale go pamiętam. Tak bardzo zawsze przypominał mi ciebie

- Ciągle nie mogę w to uwierzyć. - Mary Stuart popatrzyła na Tanię i usiadła ciężko na łóżku. Nie zaglądała do tego pokoju od świąt. W Wigilię przyszła tutaj sama, położyła się na łóżku i tuląc poduszkę płakała godzinami. Nie przyznała się do tego Billowi. Kiedyś powiedział, że trzeba zamknąć ten pokój. Zapytała. powinna jego zdaniem zrobić z rzeczami Todda, odparł, żeby zrobiła z nim co uzna za stosowne. Ale ona nie mogła się zdobyć na uprzątnięcie tego pokoju. Nie potrafiła się do tego zmusić.

- Czy nie powinnaś pozbyć się tych rzeczy? - zapytała Tania ze smutkiem Mogła sobie tylko wyobrazić, jakie to trudne, ale czuła, że tak byłoby lepiej dla całej trójki. A może powinni pomyśleć o sprzedaży mieszkania? Jednak nie odważyła się tego zasugerować.

- Nie mogę. Nie potrafię. - Na myśl o dziecku, które tu kiedyś mieszkało, łzy płynęły na nowo. - Tak strasznie za nim tęsknię... Tęsknimy. Bili nic nie mówi, ja wiem swoje. To go zabija... zabije nas wszystkich.

Zdawała sobie sprawę z cierpienia Alyssy. Widziała kiedyś, jak córka weszła, do pokoju brata. Nie dziwiła się jej, że chce pozostać w Paryżu. Ich dom wypełniał smutek i żaloba i na razie nie zanosilo się na poprawę atmosfery. Ani, Tania, ani Bili nie otrząsnęli się jeszcze z rozpacz.

- To nie była twoja wina - powiedziała Tania stanowczo, ujmując przyjaciółkę za ramiona i patrząc jej prosto w oczy. - Musisz w to uwierzyć. W żaden sposób nie mogłaś go powstrzymać.

- Jak mogłam nie zauważyć, co się z nim dzieje? Jak to możliwe, że kochając tak bardzo, nie wyczułam, co się z nim dzieje? - Nie mogła sobie darować tego braku przenikliwości. -Zrozum, on nie chciał, żebyś wiedziała. Był dorosły, miał prawo do swoich tajemnic. Nie chciał. Inaczej by ci powiedział. Nie sposób przeniknąć myśli drugiego człowieka. Skąd mogłaś to wiedzieć, Mary Stuart.

Było wprost nie do wiary, że Bili przez ten ostatni rok znęcał się psychicznie nad żoną i nie uwolnił jej od poczucia winy. Zrobił wręcz coś przeciwnego, swoim postępowaniem i swoim milczeniem utwierdził ją w przekonaniu, że jest winowajczynią.

- Zawsze już będę żyła z tym balastem... - zaczęła Mary Stuart, ale Tania nie pozwoliła jej mówić dalej. Była zdecydowana uwolnić przyjaciółkę z kajdanów, jakie pozwoliła sobie nałożyć. Był to akt przyjaźni i kwestia ocalenia przyjaciółki.

- Nie jesteś aż tak ważna jak sądzisz - powiedziała cicho. - Bardzo cię kochał, ale to nie ty byłaś dla niego najważniejsza. Miał własne życie, przyjaciół, marzenia, swoje rozczarowania, swoje tragedie. Nie byłaś w stanie go od nich uwolnić i nie mogłaś go

powstrzymać, kiedy już powziął decyzję. Chyba, żeby przyszedł do ciebie i błagał, żebyś mu pomogła. Ale on nigdy by tego nie zrobił, zbyt cenił swoją prywatność. Nie mniej zresztą niż ty.

- Ale ja bym nigdy czegoś takiego nie zrobiła - powiedziała Mary Stuart, wpatrując się ciągle w zdjęcie syna, jakby chciała go zapytać, dlaczego tak się stało. Wiedzieli przecież. Było to aż żałośnie proste. Dziewczyna, którą kochał od czterech lat zginęła w wypadku samochodowym, na oblodzonej drodze w New Jersey i Todd od tamtego czasu cierpiał na depresję. Nikt nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo jest przygnębiony, jak bardzo cierpi po jej śmierci. W świątawielkanocne myślała, że powoli dochodzi do siebie. Teraz rozumiała, że wydawał się szczęśliwszy, ponieważ zdecydował, że zrobi to po powrocie z wakacji. Był wtedy ze sobą tak blisko. Chodzili na długie spacerunki po parku, toczyli filozoficzne dyskusje, śmiali się. Todd powiedział nawet coś na temat swojej przyszłości że teraz wie już na pewno, że zawsze będzie szczęśliwy. A potem, w noc po powrocie do szkoły. Popelniał samobójstwo. Na dwa tygodnie przed dwudziestymi urodzinami, w swoim pokoju w Princeton. Jego ciało znalazł kolega z sąsiedniego pokoju. Wpadł coś pożyczyc i znalazł Todda w łóżku. Coś w pozycji śpiącego wzbudziło jego niepokój. Próbował stosować sztuczne oddychanie do chwili przyjazdu karetki. Ale lekarze stwierdzili, że Todd nie żyje już od kilku godzin. W liście do rodziców napisał, że czuje się teraz uspokojony wyciszony i nareszcie szczęśliwy. Napisał też, że to tchórzostwo z jego strony i że przykro mu z powodu cierpienia, jakie zada, ale po prostu nie może dłużej żyć bez Natalie.

Naprawdę próbował. I ma nadzieję, że mu wybaczą i znajdą pociechę w myśli, że teraz on i Natalie są razem w Niebie. Choć oni, rodzice, uważali, że jest za młody na małżeństwo, chcieli się pobrać jeszcze tego lata. W pewnym sensie dokonało się to teraz.

I przez ten cały czas, od chwili otrzymania wiadomości o śmierci syna, Bili obwiniał o to Mary Stuart. Uważał, że nabiła Toddowi głowę romantycznymi bzdurami, pozwoliła, by w ciągu tych czterech lat zaangażował się w romans z Natalie. Gdyby mu nie narzuciła religii, nie miałby tych absurdalnych wyobrażeń o wieczności i o Bogu. Według Billa Mary Stuart przygotowała scenę katastrofy. I obciążył jej sumienie samobójstwem syna. Jego słowa omal jej wtedy nie zabiły. Ale nic nie mogło się równać z bólem utraty dziecka, jedyne go syna, dziecka które zawsze było jej radością, dało im obojgu tyle szczęścia i satysfakcji. Słuchając tego, Tania miała ochotę pójść do Billa Walkera i porządnie nim potrząsnąć. Jego oskarżenia były wręcz absurdalne. Próbował prawdopodobnie złagodzić własny ból i poczucie klęski, zwalając całą winę na Mary Stuart. To było okrutne, niemal nie do zniesienia. Łatwo sobie wyobrazić, jaki to miało wpływ na Mary Stuart. Psychicznie była niemal wykończona.

- Biedny dzieciak - szlochała cicho w pokoju Todda, wciąż nadaremnie próbując zrozumieć decyzję syna. - Taki był w niej zakochany, że bałam się aby wiadomość o jej śmierci go nie zabiła.

I koniec końców zabiła. Zabiła ich wszystkich. Nic nie pozostało z Mary Stuart, Billa, z ich małżeństwa. W pewien sposób umarli wraz z Toddem, umarło w nich to, co żywotne, ich serca i dusze, ich marzenia, to wszystko umarło wraz z chłopcem, którego tak kochali i którego stracili w tak okrutny sposób.

- Czy bardzo byłaś na niego zła za to, co wam zrobił?- zapytała Tania i Mary Stuart spojrziała na nią ze zdziwieniem.

- Ja? Na Todda? Jakże bym mogła?

- Ponieważ was zranił. Ponieważ odebrał ci wszystko. Ponieważ stchórzył a powinien mieć dość odwagi, by się jakoś z tym uporać. Powinien ci powiedzieć jak bardzo cierpi.

- Powinam była wiedzieć - Mary Stuart zwróciła się znów przeciwko sobie, ale Tania nie zamierzała jej na to pozwolić.

- Nie możesz wiedzieć wszystkiego. Nie jesteś jasnowidząca, jesteś tylko człowiekiem. Byłaś wspaniałą matką. Nie powinien był ci tego robić.

Mary Stuart nigdy nie pozwoliła sobie na takie myśli i przeraziła się, usłyszawszy je wypowiedziane na głos.

To było nie fair z jego strony i ty wiesz o tym. A to, co robi Bili, jest okrutnie niesprawiedliwe. Najwyższy czas, żebyś się na nich obu porządnie wkurzyła. złożyli ci na barki ogromny ciężar.

Przez długi czas Mary Stuart patrzyła na Tanie bez słowa. Zawsze uważałam, że to moja wina.

- Wiem o tym. To bardzo wygodne dla wszystkich zainteresowanych, prawda? Może już czas obarczyć Todda odpowiedzialnością za to, co sam zrobił. Czas powiedzieć Billowi, co o tym sądzisz. Nie możesz w milczeniu przyjąć na siebie całej winy. Todd w ten sposób wychodzi na bohatera, a był tylko biednym, chorym niemądrym dzieckiem, które zrobiło straszne głupstwo, za które my wszyscy teraz pokutujemy. Ale obojętnie kim był i dlaczego, może takie właśnie było jego przeznaczenie? Tego nie da się już zmienić. Nie wolno ci brać tej tragedii na swoje barki, uczynić z jego wyboru, z jego własnej decyzji, swojej winy. Pamiętaj, że to była decyzja Todda. Bili nie ma prawa cię obwiniać, rozgrzeszając w ten sposób siebie. Ty jesteś winna, a więc on może czuć gniew, rozpacz i rozczarowanie. Mary Stuart, to nie ty jesteś stroną odpowiedzialną w tej sprawie, jesteś kozłem ofiarnym.

- Wiem - powiedziała miękko. - Zrozumiałam to już jakiś czas temu, ale to niczego nie zmienia. Bili nigdy tego nie przyzna. Zawsze będzie uważał, że to moja wina.

- Więc może powinnaś od niego odejść? Czy pozwolisz, żeby cię karał przez resztę twojego życia? Pozostaniesz na kolanach przez jakieś czterdzieści, pięćdziesiąt lat, szepcząc mea culpa? To strasznie długo. Jesteś na to o wiele za młoda.

Słuchając jej, Mary Stuart miała wrażenie, że ktoś odciąga czarne zasłony i wpuszcza do mieszkania strumień światła. Oto przesiedziała w ciemnym kącie cały rok, pogrążona w żalu i smutku. Dziwnie było rozmawiać w tym pokoju. Zupełnie jakby Todd był z nimi. Słuchając Tani, ujrzała wszystko w nowym świetle. Chciała poczuć gniew na Billa, chciała wrzeszczeć na niego, potrząsnąć nim. Jak mógł być tak głupi, by zniszczyć ich małżeństwo?

- Nie wiem już, co myśleć, Tan. Trudno się w tym wszystkim połapać. Biedna Alyssa, przyjazd do domu na święta musiał być dla niej koszmarem. Byliśmy w takim stanie, że nie mogła doczekać się powrotu do Paryża.

W rezultacie przyspieszyła wyjazd o cztery dni, przez co ona, jej matka, poczuła się jeszcze bardziej winna.

- Wynagrodzisz jej to przez następnych dziesięć lat. Teraz musisz myśleć o sobie, o swoich potrzebach. Nie możesz pozwolić, by Bili dalej cię dręczył. Musisz pogodzić się jakoś z tym, co się stało. Utnij sobie długą pogawędkę ze swoim synem i zobacz, do jakich wniosków dojdziecie. A potem porozmawiaj z Billem. Jak dotąd wykręcał się sianem.



- Nie sędę - powiedziała Mary Stuart z namysłem. - Cierpiał tak bardzo, że schował się za ścianę z lodu, żeby się znieczulić. A teraz boi się z za niej wyjść.

zniszczy ciebie i wasze małżeństwo. O ile to się już nie stało. - Tania nie była pewna, czy przyjaciółka zdoła jeszcze coś ocalić, ale przynajmniej zastanowi się, czy nie warto spróbować. I w sumie Tania była zadowolona, że zawędrowała do pokoju Todda.

- Dziękuję, Tan. - Mary Stuart podeszła do okna, odciągnęła zasłony i pokój zalało światło.

- Todd był wspaniałym chłopcem. Nie mogę uwierzyć, że odszedł

- Przecież nie całkiem - powiedziała miękko Tania. - Zawsze będziemy pamiętać. - Ramię w ramię opuściły pokój i wolno poszły do kuchni. Tania wypła jeszcze jedną herbatę, a potem wróciła do hotelu, żeby się przebrać na przyjęcie. Mary Stuart zajrzała jeszcze raz do pokoju Todda, zaciągnęła zasłony, potem zamknęła cicho drzwi i poszła do sypialni. Może Tania ma rację? Może nie jest jej wina? Może zawinił tylko Todd i nikt więcej? Ale nie mogła wzbudzić w sobie gniewu na syna. O ile prościej było gniewać się na jego ojca. Tak jak Billowi łatwiej było obwiniać Mary Stuart niż siebie.

Siedziała pogrążona w myślach, kiedy zadzwoniła Alyssa. Gawędziły przez chwilę, opowiedziała córce o wizycie Tani, ale nie wspomniała o rozmowie w pokoju Todda.

Napomknęła, że Tania zaprosiła ją na przyjęcie do Felicji Davenpor ale zastanawia się czy pójść, bo rozmowa z Tanią wyczerpała ją emocjonalnie Ale Alyssa oburzyła się na myśl, że matka miałaby stracić taką okazję.

- Zwariowałaś? To jedyna okazja w życiu. Ubieraj się prędko. Odkładałam słuchawkę, żebyś się mogła wyszykować. Załóż tę czarną sukienkę od Yalentin

- Tę, którą ty zwykle nosisz? - zapytała z przekąsem Mary Stuart. Cudownie było rozmawiać z córką. Zawsze były ze sobą blisko, a śmierć Todda jeszcze zbliżyła. Mary Stuart chciała przeprosić córkę, że przez tak długi czas była przygnębiona, ale wołała nie poruszać bolesnego tematu. Odwiesiła słuchawkę i zmusiła się, by wziąć prysznic i założyć suknię od Yalentino. Kreacja była piękna i kiedy Mary Stuart założyła pantofle na wysokich obcasach i wyszczotkowała włosy do połysku, wyglądała bardzo elegancko. Potem starannie nałożyła mai jaz. Jeszcze tylko brylantowe kolczyki, które dostała przed laty od Billa i z uśmiechem spojrzała w lustro. Uznała, że wygląda dobrze, może nawet lepiej niż dobrze, ale czuła się dziwnie wychodząc na przyjęcie bez męża.

Kiedy zajechała po nią limuzyna Tani, czekała już na dole w holu. Wśliznąwszy się do wozu, a spojrzawszy na Tanie nie skrywała swego zachwyty. Przyjaciół miała na sobie luźną, niemal przezroczystą bluzkę z różowego szyfonu, czarne satynowe spodnie, ukazujące efekt pracy trenera i jej znakomitą figurę. Jasne faliste włosy bardziej niż kiedykolwiek przypominały grzywę. Wyglądała niewiarygodnie pięknie i bardzo seksownie, ale oględziny jakim poddała Mary Stuart wypadły równie zadawalająco.

- Jesteś taka wytworna! - powiedziała z podziwem. Zawsze zazdrościła wyrafinowanego smaku przyjaciółce. Mary Stuart była pod tym względem chodzącą doskonałością, aż do najdrobniejszego detalu, ostatniego włosa. Miała znakomite nogi i piękne włosy, a dzisiaj, po raz pierwszy od roku, z jej wielkich, brązowy oczu znikł wyraz, jaki miewają zaszczute zwierzęta. - Wyglądasz wspaniale.

- Jesteś pewna, że nie przyniosę ci wstydu? - zapytała nieśmiało.

- Możesz być spokojna. Będziesz musiała oganiać się od mężczyzn. - Tania pokazała zęby w uśmiechu, potem uniosła brew. - Chyba, że nie będziesz chciała.

Mary Stuart potrząsnęła tylko głową. Nie szukała znajomości. Jeszcze nie,

nigdy, co bardziej prawdopodobne. Ale nie czuła już, żeby ten rozdział jej życia został nieodwołalnie zamknięty, jak wydawało jej się ostatnimi czasy, choć nie dostrzegała światełka w tym tunelu.

Mimo to przyjemnie było ładnie się ubrać, wyjść z domu, poznać nowych ludzi. Przyjęcie okazało się bardziej udane, niż mogły przypuszczać. Felicja Davenport była serdeczną, uroczą gospodynią. Pogawędziły sobie Mary Stuart o Nowym Jorku, o teatrze, a nawet o dzieciach. Mary była pod urokiem aktorki, która okazała się fascynującą kobietą i oddaną przyjaciółką Tani. Gwiazda estrady spędziła wieczór w otoczeniu mężczyzn, choć i Mary Stuart otrzymała swój przydział męskiej admiracji. Dała do zrozumienia, że jest mężatką, o czym zresztą świadczyła obrączka ślubna na jej palcu, ale odbyła kilka interesujących rozmów. Ten wieczór bardzo poprawił jej samopoczucie i wyszła z imprezy w świetnym humorze. Tania zaproponowała kolejny wypad na hamburgery, ale Mary uznała, że najwyższy czas wrócić do domu. Nie chciała nadużywać nowo zdobytej niezależności i irytować Billa.

Tania odwiozła ją do domu i Mary Stuart zaprosiła przyjaciółkę na górę, ale Tania wolała wrócić do hotelu, odprężyć się i wykonać parę telefonów.

- Dziękuję za wspaniałe przyjęcie... Za wszystko - Mary Stuart uśmiechnęła się z wdzięcznością. - Jak zwykle uratowałaś mi życie, Taniu. Zabawne - zawsze to robisz.

- Zjawiam się raz do roku, jak zły szeląg.

- Uważaj na siebie, słyszysz? - przykazała jej Mary Stuart surowo. Roześmiały się obie.

Stała potem na chodniku, machając za limuzyną, dopóki nie zniknęła jej z oczu. Weszła do budynku czując się jak Kopciuszek po balu. Odwiedziny Tani zawsze zmieniały jej życie, przypominały o tym, jak dobrymi były kiedyś przyjaciółkami, były i nadal są, i prawdopodobnie zawsze będą. Ta świadomość dodawała sił w najtrudniejszych momentach życia. Tak dobrze nie czuła się już od dawna. Tania, chociaż sama nie narzekała na brak kłopotów, nie mogła wybrać sobie lepszej pory na wizytę, tyle potrafiła ofiarować Mary Stuart.

- Pan Walker wjechał właśnie na górę - oznajmił windziarz. Chwilę później znalazła się w mieszkaniu. Zobaczyła jeszcze, jak Bili znika w drzwiach sypialni. Słyszał, że weszła, ale się nie odwrócił. Odczuła to jak policzek.

- Halo, Bili! - zawołała wchodząc za nim do pokoju i dopiero wtedy raczył ją zauważyć. W rękę trzymał aktówkę.

Nie widziałem, jak wchodzisz. - Nie widział, ale słyszał. Po prostu nie chciał jej zobaczyć. Stał się specem od ignorowania i odrzucania innych. - Jak wypadło przyjęcie?

- spotkałam mnóstwo interesujących ludzi. Felicja Davenport była wspaniała tak samo jak jej przyjaciele. Dobrze się bawiłam - powiedziała. Nagle poczuła, że wcale nie musi się przed nim kajać, szukając przebaczenia za niewybaczalny grzech. Dziwiły ją te myśli, ale to właśnie Tania wyzwoliła ją tego popołudnia. Szkoda, że nie wybrałaś się ze mną.

- Wyszedłem z pracy zaledwie dwadzieścia minut temu. Ja pracowałem kiedy ty się bawiłaś - powiedział protekcyjnym tonem. - Za trzy dni wyjeżdżamy do Londynu.

A więc prawie dwa tygodnie przed ustalonym terminem.

- To o wiele wcześniej, a nie „trochę wcześniej” - skontrolowała, ale znowu poczuła się skarcona, i porzucona. Nie istniał żaden powód, dla którego nie mogłaby pojechać z nim. Ale on po prostu nie chciał jej zabrać. Był to kolejny sposób by ją trzymać na odległość, ukarać za jej występki.

- Przyjedziesz później z Alyssą - powiedział, jakby czytał w jej myślach. Dwa dni na trzy miesiące mogły nie wystarczyć, by utrzymać małżeństwo, zwłaszcza gdy nie istniał realny powód podobnej rozłąki. Po wycieczce z Alyssą spędziłam resztę lata samotnie w Nowym Jorku. Przez jedną szaloną chwilę pomyślała, mogłaby polecieć do Kalifornii na parę dni, odwiedzić Tanie. Nie miała nic innego do roboty, bo większość rad i instytucji charytatywnych zawiesiła na lato działalność. Taka myśl przemknęła jej przez głowę, choć zdawała sobie doskonale sprawę, że prawdopodobnie nigdy się na to nie zdobędzie. Bili zniknął w łazience i wyszedł w piżamie. Zdawał się jej w ogóle nie zauważać. Nie zauważył sukienki ani tego, jak ładnie dzisiaj wygląda. Jakby z chwilą gdy umarł jego syn, przestała być kobietą.

Poszła do łazienki i wolno zdjęła suknię od Yalentino. Razem z sukien opadło z niej poczucie, że jest atrakcyjna i niezależna. Wyszła w koszuli nocnej i Bili znowu odwrócił się do niej plecami, pochłonięty bez reszty czytaniem jakichś dokumentów. I zanim zdołała się powstrzymać, jakaś wewnętrzna, niezależna od niej siła, pchnęła ją do konfrontacji z mężem. Mówiła bardzo cicho i wyraźnie, i choć była zdziwiona własnymi słowami, jednak nie tak zdziwiona, jak Bili.

- Nie zamierzam dalej tak żyć, Bili.

Bili odwrócił się wolno, z okularami w ręku, i spojrzał na nią zdumionym wzrokiem.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Miała przed sobą szyderczego adwokata, ale tym razem nie dała się onieśmielić. Słowa Tani wlały w nią odwagę.

- Dokładnie to, co powiedziałam. Nie zamierzam dalej tak żyć. Nie odzywasz się do mnie. Zachowujesz się tak, jakbym nie istniała. Ignorujesz mnie, odrzucasz, a teraz jedziesz do Londynu na trzy miesiące, a co najmniej na dwa, a ja mam się zadowolić dwudniową wizytą. To już nie jest małżeństwo. To niewola z tym że niewolników traktowano na ogół lepiej.

Było to w jej ustach niesłychane stwierdzenie i Bili nie wydawał się zachwycony tym, co usłyszał.

- Myślisz, że jadę dla przyjemności? Ciągle zapominasz, że ja pracuję. Jego ton był lodowaty.

- A ty zapominasz, że jesteśmy małżeństwem.

Tym razem doskonale wiedział, co żona ma na myśli, nie musiała nic wyjaśniać.

- To był bardzo trudny rok. Dla nas obojga.

Niedawno minęła pierwsza rocznica śmierci Todda, a to niczego im nie ułatwiło.

- Mam wrażenie, jak byśmy umarli razem z nim - powiedziała Mary Stuart, ukratkami patrząc na męża. - A nasze małżeństwo z nami. - Co za ulga, że nareszcie rozmawiają.

Niekoniecznie. Myślę, że oboje potrzebujemy czasu. - Mary Stuart czuła, że nie jest SZczery ani z nią, ani z sobą. Uważał widocznie, że pewnego dnia wszystko się samo ułoży. Mary Stuart mogłaby wyprowadzić go z błędu. Uratowanie ich małżeństwa wymagało czegoś więcej niż biernego czekania.

- To już rok, Bili. - Ciekawe, jak daleko pozwoli jej się posunąć. Przypuszczała, że to już kres jego wytrzymałości.

- Zdaję sobie z tego sprawę - powiedział, po czym zapadła cisza. - Zdaję sobie również sprawę z wielu innych rzeczy. Nie wiedziałem jednakże, że postawisz mi ultimatum. - Jej stanowisko zaskoczyło go zupełnie.

- To nie było ultimatum, lecz informacja, Bili. Nawet gdybym chciała dalej tak żyć, chyba bym już nie mogła.

- Możesz robić, co chcesz.

- A więc nie chcę. Nie chcę być traktowana przez resztę życia jak mebel. To nie jest małżeństwo, to koszmar. - Powiedziała mu to po raz pierwszy. Nie odezwał się, po prostu odwrócił się plecami, wsunął okulary na nos i skupił się na czytaniu. - Zamierzasz zignorować to wszystko, co ci powiedziałam?

Odpowiedział nie odwracając się i trudno było uwierzyć, że kiedyś istniały między nimi ciepło, miłość, śmiech, jeszcze trudniej, że była w nim głęboko zakochana, że był ojcem jej dzieci.

-Nie mam ci nic więcej do powiedzenia. Wysłuchałem twojego oświadczenia i nie zamierzam go komentować.

To było nie do wiary i Mary Stuart zaczęła się zastanawiać, czy to możliwe, żeby cierpienie i strach pozbawiły go ludzkich uczuć. Nie miała wyboru, jak przyznać, że dłużej tego nie zniesie.

Położyła się, a on zgasił światło bez słowa. Tej nocy rozmyślała o Tani i ludziach, których poznała na przyjęciu Felicji. Miała wprawdzie czterdzieści cztery lata, ale istniało jeszcze dla niej jakieś życie, ludzie, którzy chcieli z nią rozmawiać, okazywali jej zainteresowanie. Tania otworzyła przed nią drzwi i Mary Stuart wyjrzała ostrożnie na zewnątrz, po raz pierwszy od wieków. Wszystko to było bardzo intrygujące i Mary Stuart nie wiedziała, co dalej robić. A teraz po rozmowie z mężem zorientowała się, że on również nie wie. Stali niby po dwóch przeciwnych brzegach Wielkiego Kanionu, do którego można by teraz porównać ich

Przez następne trzy dni drogi Billa i Mary Stuart rzadko się krzyżowały. On pracował do północy i wyglądało na to, że zamieszkał w biurze. Ale przyzwyczała się do tego. Przez cały rok była praktycznie sama. Jedyne różnica polegała na tym, że przez ten ostatni tydzień nie musiała gotować. W efekcie schudła jeszcze bardziej. Kiedyś Bili martwiłby się o nią, teraz nawet tego nie zauważył.

W dniu jego wyjazdu zadzwoniła do biura spytać, czy go spakować. Zakładała, że tak, skoro robiła to przez dwadzieścia dwa lata, ale odparł, że wróci do domu po południu i sam się tym zajmie.

- Jesteś pewien? - spytała zdumiona, jakby okazał się nagle innym człowiekiem. Nic już nie robił tak, jak dawniej. Umarł przecież ich syn, a ona w jego mniemaniu ponosiła za to odpowiedzialność. Nie byli już tymi samymi ludźmi. To dla mnie żaden kłopot. -

Przynajmniej tyle mogła zrobić, nie mówiąc już o tym że miałyby w końcu jakieś zajęcie. Nadal usiłowała pogodzić się z myślą, że mąż wyjeżdża na dwa, może trzy miesiące.

Dopiero teraz fakt ten dotarł do jej świadomości. Jeżeli pominąć wycieczkę z Alyssą, spędzi całe lato sam. Bała się tego. Nie życzył sobie jej obecności w Londynie, podkreślając tym samym dzielący ich dystans. Twierdził, że pobyt tam byłby dla niej nudny, rozpraszałby go. Jeszcze do niedawna byłoby oczywiste, że musi mu towarzyszyć.

Jeszcze raz zaproponowała, że go spakuje, ale Bili uparł się, że musi wybrać garnitury, w których wystąpi w londyńskim sądzie.

- Będę w domu o czwartej - wyczuła niecierpliwość w jego głosie. Opuszczenie biura na parę miesięcy wymagało załatwienia mnóstwa spraw. Bili zabierał do Londynu swoją asystentkę i gdyby była to osoba młodsza i bardziej atrakcyjna, Mary Stuart doszłaby do oczywistego wniosku. Asystentka była przysadzistą panią po pięćdziesiątce, inteligentną, lecz bardzo nieatrakcyjną.

- Zjesz obiad w domu, czy wolisz gdzieś pójść wieczorem? - zapytała Stuart. Czują narastające przygnębienie, ale siliła się na pogodny ton. Nie starał się  
 - • nawet udawać, zachować pozorów bliskości. Rzucalo się to w oczy tym bardziej teraz, kiedy wyjeżdżał.

Zjem cokolwiek - powiedział z roztargnieniem. - Nie rób sobie kłopotu. Oboje nienawidzili owych milczących, sztywnych kolacji i Mary Stuart odczuwała ulgę, kiedy Bil zostawał w biurze i pracował do późnego wieczora, w efekcie, oboje chudli. Kupię coś u Williama Poila albo Frasera Morrisa - powiedziała. Wyszła z domu pozałatwiać sprawunki, kupiła książkę, którą Bili chciał wziąć do samolotu a potem odebrała jego rzeczy z pralni chemicznej. Idąc w kierunku Lexington cieszyła się, że i ona wkrótce wyjedzie. Mimo małżeńskiego kryzysu, wiedziała, że bez Billa będzie się czuła jeszcze bardziej osamotniona.

Kupiła obiad u Williama Poila, trochę czasopism, batony czekoladowe i gumę do żucia. Kiedy Bili wrócił z pracy o czwartej trzydzieści, wszystkie jego czyste koszule wisiały w garderobie. Nie odezwaawszy się słowem, zajął się ściąganiem walizek z pawlacza w korytarzu. Pakowanie zajęło mu czas aż do siódmej, kiedy to pojawił się w kuchni. Nadal był w białej koszuli, ale zdjął krawat i włosy miał lekko zmierzwiłone. Wyglądał bardzo młodo, boleśnie przypominał jej Todda, ale starała się nie zwracać na to uwagi.

-Spakowany? Z przyjemnością bym cię wyręczyła-powiedziała miękko, nakrywając do stołu. Dzień był upalny i poczuła ulgę na myśl, że nie musi gotować.

-Nie chciałem cię trudzić. - Usiadł na wysokim stołku przy białym kuchennym blacie. - Nie daję ci ostatnio zbyt wiele szczęścia, byłoby więc nie fair obarczać cię moimi sprawami. Najlepsze, co mogę zrobić to schodzić ci z drogi i nie komplikować życia.

Po raz pierwszy powiedział coś na temat ich sytuacji i Mary Stuart popatrzyła na niego ze zdumieniem. Kiedy kilka dni wcześniej próbowała poruszyć tę kwestię, natknęła się na mur obojętności. Kompletnie ją wtedy zignorował. Zaczynała wątpić, czy w ogóle słyszał, co mówiła.

- Wcale nie oczekuję, żebyś mi schodził z drogi.

Usiadła naprzeciw niego, a jej oczy przypominały grudki roztopionej czekolady. Kiedyś lubił na nią patrzeć, lubił jej twarz, jej styl, wyrazistość jej oczu, ale ból, jaki w nich widział przez ten ostatni rok, był po prostu nie do zniesienia. Łatwiej mu było omijać ją wzrokiem.

- Małżeństwo nie polega przecież na zachowaniu dystansu, lecz na dzieleniu się tym, co dobre i złe - dodała.

Przez dwadzieścia jeden lat dzielili radość, cierpieli natomiast w samotności, każdy na własny rachunek.

- Ostatnimi czasy niewiele było tego dzielenia się, prawda? - zapytała Byłem zbyt zajęty pracą

oboje zdawali sobie sprawę, że nie w tym tkwiło sedno ich kłopotów. Panowali w milczeniu. Bili wyciągnął rękę i dotknął jej palców. Był to pierwszy serdeczny odruch od miesięcy i Mary Stuart łzy napłynęły do oczu. Będzie mi ciebie brakowało - szepnęła, ale on skinął tylko głową. On też tęsknił, ale nie Potrafił jej tego powiedzieć. - I będę za tobą tęskniła, kiedy wyjedziesz - dodała cichym głosem. Po raz pierwszy rozstawali się na tak długo, ale Bili był nieubłagany.

- Czas szybko zleci. W przyszłym miesiącu przyjedziesz do mnie z Alyss A w sierpniu, mam nadzieję, będę już z powrotem w domu.

- Spędzimy razem dwa dni w ciągu dwóch miesięcy. - Spojrzała na niego z rozpaczą i wolno wysunęła dłoń spod jego palców. - Nie jest to normalna sytuacja w małżeństwie.. .W dobrym małżeństwie. Nie przeszkadzałabym ci, potrafię sama zapełnić sobie czas. - Londyńscy znajomi dostarczyliby jej zajęcia na parę miesięcy i Bili o tym wiedział. Nagle poczuła, że to nonsens błagać go o pozwolenie na wspólny wyjazd.

- To by mnie rozpraszało - powiedział z nieszczęśliwą miną. Wiele razy omawiali kwestię wspólnego wyjazdu i Bili wypowiedział się bardzo stanowczo. Nie chciał, żeby przyjeżdżała do Londynu z wyjątkiem jednego weekendu, który mieli spędzić z córką.

- Jakoś nigdy przedtem cię nie rozpraszałam. - Znowu poczuła się jak petent. Nienawidziła za to ich oboje. - Wyjeżdżasz na długo... to wszystko. Zatopił nagle spojrzenie w jej oczach i w jego wzroku malowało się pytanie

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Po raz pierwszy zdradziła objawy niepokoju. Był atrakcyjnym mężczyzną i nie wątpiła, że w Londynie spotka niejedną atrakcyjną kobietę. Ale niepokój Billa dotyczył jej osoby. Zawsze była idealną żoną, ale z drugiej strony, nigdy dotąd nie zostawiał jej samej na całe lato, w dodatku po takich przejściach.

- Uważam tylko, że dwa miesiące to bardzo długo, zwłaszcza po roku, jaki mamy za sobą. Wyjeżdżasz na dwa miesiące, może dłużej... Naprawdę nie wiem co mam o tym sądzić, Bili. - Patrzyła na niego z troską, a on przestraszył ją jeszcze bardziej.

- Ja również. Myślałem... Może... przyda nam się taka rozłaka, pozwoli opanować emocje, zdecydować, co robić dalej, jak to wszystko naprawić...

Była zdumiona. Nie przypuszczała nawet, że jest skłonny przyznać, jak daleko od siebie odeszli, a on mówił o zlepianiu szczątków ich małżeństwa!

- Nie sądzę, żeby to rozstanie pomogło nam się zbliżyć - odparła rzeczowym tonem.

- Odzyskamy przynajmniej jasność widzenia. Sam nie wiem... Wiem tylko jedno, że muszę być teraz z dala od ciebie, myśleć przez jakiś czas o czymś innym, zatracić się w pracy. Przeraziła się, widząc łzy w jego oczach. Nie płakał od tamtego dnia, kiedy w Princeton odebrali ciało Todda. Nawet na pogrzebie zachował kamienny wyraz twarzy. Krył się za tym murem przez cały rok i dopiero teraz odważył się z za niego wyrzec. Może ten wyjazd również go niepokoił? To już byłoby coś.

- Chcę być sam i pracować, Mary Stuart. Chodzi o to... - Usta mu drżały sięgnął znowu do jej ręki. - Za każdym razem gdy na ciebie patrzę... myślę o nim Jakbyśmy byli nierozzerwalnie ze sobą związani. Muszę się od tego uwolnić, przestać o nim myśleć, zastanawiać się, co powinniśmy byli zrobić, żeby wszystko potoczyło się inaczej, myśleć wciąż o tym, jak mogłoby być. To doprowadza mnie niemal do obłędu. Londyn pomoże mi się z tego otrząsnąć. Pomyślałem, że to wyjdzie nam obojgu na dobre. Podejrzewam, że i ciebie często nachodzą

podobne wątpliwości • \* •

Uśmiechnęła się przez łzy, wzruszona i zarazem zdegustowana jego słowami, jak bardzo mi go przypominasz. Przestraszyłeś mnie, kiedy wszedłeś dzisiaj do kuchni.

Skinął głową. Rozumiał to doskonale. Prześladowały ich wspomnienia. Nie mogli teraz znieść ich mieszkania, listów, które jeszcze czasem do Todda przychodziły jego pokoju, do którego nigdy nie zaglądał. Nawet Alyssa przypominała Todda. a oczy i uśmiech odziedziczył po matce. Wszystko to było nieznośne aż do bólu.

- Nie możemy się unikać, żeby uciec przed wspomnieniem naszego syna -powiedziała Mary Stuart. - Stracimy nie tylko jego, ale i siebie nawzajem. - O ile to się już nie stało.

- Dasz sobie radę sama? - zapytał, po raz pierwszy czując coś w rodzaju wyrzutów sumienia. Uznał, że najrozsądniej będzie zostawić ją w Nowym Jorku. W końcu jechał do pracy. W gruncie rzeczy cieszył się, że od niej ucieknie i choć wydawało się to głupie i naiwne, nie chciał już zmienić decyzji.

- Nic mi nie będzie - powiedziała z godnością, absolutnie niezgodnie z prawdą. Jaki miała wybór? Powiedzieć mu, że będzie płakała co dnia? Że to więcej, niż jest w stanie znieść? Prawie się do tego przyzwyczaiła. Bili porzucił ją po śmierci Todda, przynajmniej w sensie emocjonalnym, teraz zabierał resztę. Była sama od roku, dodatkowe dwa miesiące nie stanowiły wielkiej różnicy.

- Zawsze możesz do mnie zadzwonić. Może powinnaś zostać z Alyssa w Europie na jakiś czas? - Czuła się jak stara ciotka, którą krewni obarczają się nawzajem albo wysyłają na wycieczkę statkiem. Wiedziała, że lepiej jej będzie w domu niż w rozmaitych hotelach Europy.

- Alyssa jedzie z przyjaciółmi do Włoch, ma własne plany. - Podobnie jak i on. Nawet Tania planowała wyjazd na ranczo z dziećmi Tony'ego. Wszyscy, z wyjątkiem niej, mieli coś do roboty. Jej musiała wystarczyć krótka wycieczka z Alyssa, Bili spodziewał się, że resztę lata spędzi na czekaniu. Szczyt arogancji, ale zważywszy, jak wyglądało ich pożycie, nie czuła się zaskoczona.

Bez apetytu zjedli potrawy, które kupiła w delikatesach, omówili parę kwestii dotyczących mieszkania, składki ubezpieczeniowej, którą powinna uiścić, listów, które należy mu przesyłać do Londynu. Oczekiwał, że popłaci rachunki, bo on będzie miał bardzo mało wolnego czasu, kiedy zacznie się proces. Potem poszedł do sypialni, by spakować resztę swoich rzeczy. Brał prysznic, kiedy tam zajrzała. Wyszedł w szlafroku, z wilgotnymi włosami. Pachniał mydłem i wodą po goleniu. Coś w niej drgnęło. Odniosła wrażenie, że jest przy niej jakby swobodniejszy. Nie wiedziała, czy to dlatego, że jest mu przykro, bo wyjeżdża i poczuła że

jest jej nagle bliższy, czy wręcz przeciwnie - wyjazd sprawia mu taką ulgę, że stał się nieostrożny.

Nieodzywał się do niej, ale wydawał się jakby trochę mniej sztywny

Chciała mu powiedzieć, co czuje, czego się po nim spodziewa, ale wiedziała,

ocieplenia stosunków, nie był gotów do zwierzeń. Przez te ostatnie dni,

czuła się osierocona, ogromnie smutna i oszukana. Nie dość że straciła syna a syn utracił,

czy też zaprzepaścił własną przyszłość, to jeszcze pociągnął za sobą rodziców. Bardzo by

jej ulżyło, gdyby mogła to otwarcie powiedzieć Billowi wiedząc, że nie zobaczy go przez następne dwa miesiące, uznała że nie jest to odpowiednia chwila na podobne wynurzenia.

Bili wciąż jeszcze nie był na to gotowy. Kiedy tak leżała myśląc o nim, mąż zasnął, nie dotknąwszy jej Wszystko, co był w stanie powiedzieć, powiedział jej wcześniej, w kuchni.

Rano nie było już nastroju do rozmowy. Bili zadzwonił do biura, zamknął walizki, wziął

prysznic, ogolił się, a przy śniadaniu przeglądał jeszcze w pośpiechu jakieś papiery. Zrobiła mu jajka, płatki kukurydziane i grzanekę, i poszła się ubrać. Ukazała się w czarnym lnianym kostiumie i białoczarnej koszulce. Jak zwykle, wyglądała jak z żurnala.

- Masz jakieś spotkanie? - zapytał znad gazety.

- Nie - odparła cicho. Czuła ściskanie w dołku.

- Ubrałaś się tak, żeby posiedzieć w domu? Jesz może lunch poza domem? Co go to obchodzi, przecież wyjeżdża na dwa miesiące. Jakie to ma znaczenie, co ona robi?

- Nie pojedę przecież na lotnisko w dzinsach. Bili uniósł brwi.

- Nie sądziłem, że zechcesz mnie odwiedzić. O dziesiątej trzydzięci przyjedzie po mnie samochód. Podwożę panią Anderson. Najpierw zajadą po nią. Jedzie również Bob Miller. Chcemy popracować w drodze na lotnisko. - Nie stać go było na stratę ani godziny. Ludzkie roboty. A może chciał w ten sposób szybciej się od niej uwolnić?

- Nie muszę jechać, jeżeli sobie tego nie życzysz - powiedziała cicho, a on wrócił do czytania.

- To chyba nie miałyby sensu - stwierdził z nosem w gazecie. - Lepiej pożegnać się tutaj. I oszczędzić sobie zażenowania. Nie daj Boże, ktoś pomyśli, że ją koci Ludzkie cechy, jakie zdradził w tym samym pomieszczeniu poprzedniego wieczora, zniknęły teraz bez śladu. Skrył się za gazetą jak za murem.

- Na pewno masz coś lepszego do roboty. Lotnisko jest strasznym miejscem o tej porze roku. Powrót do miasta zająłby ci parę godzin. - Uśmiechną) się, < w tym uśmiechu zabrakło ciepła. Takim uśmiechem obdarza się nieznajomych. Skinęła głową bez słowa, a kiedy wstał, odstawiła brudne naczynia do zlewu i próbowała nie płakać. Dziwnie było patrzeć, jak szykuje się do odjazdu, lecz zanim zdołała się z tym pogodzić, zadzwonił na windę i wystawił bagaże na korytarz. W tym szarym garniturze był bardzo przystojny. Tak więc, nie jechała z nim na lotnisko. Stała w drzwiach, kiedy windziarz zabrał bagaże i wycofał się dyskretnie.

- Zadzwonię - powiedział Bili. Wyglądał jak chłopiec i musiała przełknąć łzy. Nie mogła uwierzyć, że wyjedzie bez jednego serdecznego gestu.

- Uważaj na siebie - powiedziała niepewnym głosem.

- Będę za tobą tęsknił. - Pochylił się i pocałował ją w policzek, a ona machinalnie otoczyła go ramionami.

Przepraszam... za wszystko... - wyjąkała. Za Todda, za ten cały ostatni rok, to że potrzebował dwumiesięcznej przerwy w Londynie. Za to, że ich małżeństwo się rozpadło. Tyle było tych rzeczy, za które powinna była go przeprosić że nie mogła ich wszystkich spamiętać, ale on wiedział, co Mary Stuart hce powiedzieć.

\_ W porządku. Wszystko będzie dobrze, Su... - Od dawna jej tak nie nazywał. Ale czy naprawdę będzie dobrze? Przestała już w to wierzyć. Rozstawali się ""dwa miesiące. Instynktownie wiedziała, że oddalą ich od siebie, zamiast zbliżyć. Bili był niemądry uważając, że to ich uzdrowi. Przez ten czas przepaść między nimi jeszcze się pogłębi. Odsunął się i spojrzał na nią z bezbrzeżnym smutkiem

\_ Zobaczymy się za parę tygodni. - Mogła tylko skinąć głową. Łzy popłynęły.

- Kocham cię - wyszeptała do jego pleców. Bili obejrzał się przez ramię i skinął głową. Drzwi windy zamknęły się za nim cicho. Nawet nie odpowiedział. Kiedy wróciła do mieszkania, poczucie pustki uderzyło w nią z taką siłą, że niemal pozbawiło oddechu. Nie sądziła, że będzie jej tak trudno pożegnać Billa. Świadomość, że wyjeżdża na tyle tygodni, a ona zobaczy się z nim tylko przelotnie, razem z córką, ciążyła jej jak ołów. Czowała, że to koniec jej małżeństwa. Nieważne, co Bili powiedział, fakt, że chciał od niej odpocząć, mówił sam za siebie.

Przez jakiś czas siedziała na kanapie i płakała, użalając się nad sobą, potem powlokła się do kuchni. Odstawiła naczynia do zmywarki, sprzątnęła resztki po śniadaniu i kiedy zadzwonił telefon, odebrała go niechętnie. Pomyślała, że to może Bili dzwoni z samochodu, żeby jej powiedzieć, o czym zapomniał albo że ją kocha. Ale dzwoniła Alyssa.



- Cześć, kochanie! - Mary Stuart próbowała nadać głosowi pogodne brzmienie. Nie chciała, by Alyssa wiedziała, jaka czuje się nieszczęśliwa z powodu wyjazdu jej ojca. Mieli i tak dość problemów. Nie chciała utyskiwać na swoje małżeństwo. - Jak tam Paryż?

- Piękny, upalny i romantyczny - powiedziała. To było coś nowego w jej słownictwie i Mary Stuart uśmiechnęła się na myśl o mężczyźnie w życiu córki. Kto wie, czy nie był to jakiś młody Francuz?

- Mogę spytać, dlaczego wydaje ci się romantyczny? - zapytała ostrożnie.

- Och, po prostu taki jest. Paryż jest cudowny! Uwielbiam go! Nigdy nie chcę stąd wyjeżdżać.

Ale będzie musiała, kiedy z Nowego Jorku przyjedzie Mary Stuart.

- Wcale ci się nie dziwię - zerknęła w dół na Central Park. Też był piękny zielony, ale również brudny, pełen włóczęgów i zboczeńców. Zdecydowanie nie Paryż. - Nie mogę się już doczekać, kiedy będę z tobą. - Próbowała nie myśleć o wyjeździe Billa. Powinien być już na lotnisku. Wątpiła, czy zadzwoni. nie miał jej nic do powiedzenia, poza tym wprawiła go w zażenowanie swoją demonstracją uczuć.

Rozumiała go bardzo dobrze. Ze strony Alyssy panowała dość długa cisza, a matka nawet tego nie zauważyła.

- Zaczęłaś już coś organizować? - Mary Stuart poprosiła ją o zebranie drogowych, przemyślenie trasy wycieczki i tym właśnie miała zająć się Alyssa o resztę zatroszczyło się biuro Billa. - Dostałaś mapy Alp? Podobno tuż za Florencją jest uroczy hotelik... - W słuchawce nadal panowała cisza. - Wszystko w porządku? Coś się stało?

Miała jakiś problem? Zakochała się? Płakała? Ale Alyssa nie płakała i jej głos zabrzmiał niepewnie, gdy wydukała wreszcie:

- Mamo... Jest pewien kłopot... O mój Boże!

- Jesteś w ciąży?

Alyssa nie skończyła jeszcze dwudziestu lat. Jej ciąża byłaby nieszczęściem, którego Mary Stuart wolałaby uniknąć, choć była gotowa stawić mu czoło razem z córką. Alyssę zirytowało samo przypuszczenie.

- Mamo, na litość Boską! Oczywiście, że nie!

- No cóż, bardzo przepraszam. Na czym więc polega ten problem?

Alyssa wzięła głęboki oddech i zagłębiła się w długą, dość zagmatwaną historię, która przypominała nie kończące się opowiadania, jakie snuła będąc w trzeciej klasie. Rzecz sprowadzała się do tego, że grupka jej przyjaciół jechała do Holandii. Chcieli, żeby wybrała się z nimi. To była wyjątkowa okazja, pojechaliby najpierw do Szwajcarii i Niemiec, nocując u znajomych albo w schroniskach młodzieżowych. Potem wybiorą się do Włoch, gdzie według pierwotnych planów miała do nich dołączyć. Teraz organizowano pierwszą część wyprawy. Zdaniem Alyssy była to niezwykła okazja.

- Zgadzam się z tobą i nadal nie widzę problemu. Alyssa westchnęła. Matka bywała czasami taka niedomyślna. Choć trzeba przyznać, że nie zawsze, w przeciwieństwie do ojca.

- Wyjeżdżając tym tygodniu. Będą podróżowali dwa miesiące, zanimi na Capri. Mogłabym zwolnić mieszkanie i pojechać z nimi, tylko że... - Zawiesiła głos i Mary Stuart w końcu zrozumiała. Alyssa nie chciała już podróżować po Europie z matką. Było to zrozumiałe, ale Mary Stuart czuła się ogromnie rozczarowana. Uważała, iż tylko to zostało jej z życia. Liczyła, że podróż z jedynym teraz dzieckiem uleczy jej rany.

- Rozumiem - powiedziała cicho. - Nie chcesz ze mną jechać. - Skrzywiła się słysząc własne słowa. Nie chciała, żeby to tak zabrzmiało.

- Och, nie, mamó! Pojadę z tobą, jeżeli naprawdę tego chcesz. Tylko Myślałam... To taka wspaniała okazja. Ale zrobimy, jak zechcesz... - A starała się przeprowadzić to dyplomatycznie, ale marzyła o wyjeździe z przyjaciółmi. Mary Stuart zdawała sobie sprawę, że z nimi będzie się bawiła o niebo lepiej niż z nią. Nie powinna jej zatrzymywać.

- To brzmi cudownie - powiedziała wielkodusznie. - Myślę, że powinnaś.

- Mówisz poważnie? Naprawdę tak myślisz? Serio? - upewniała się podskakując z radości w paryskim mieszkaniu. - Och, mamó, jesteś najlepsza w świecie. Wiedziałam, że zrozumiesz... ale bałam się, że pomyślisz... Ja...

I nagle Mary Stuart zrozumiała wszystko, ale nie poczuła się zaszokowana. W grę wchodzi może jakiś dżentelmen? - Słyszała to w głosie córki bała się uśmiechnąć, choć wprawiło ją to w dość nostalgiczny nastrój. Może, ale nie dlatego chcę z nimi jechać. Uczciwie, to naprawdę

wspaniała wyprawa. • n A • • • „...•• \_ A ty jesteś wspaniałą córką i kocham cię. Będiesz mi winna podróż jesienią. Pojedziemy gdzieś na parę dni przed twoim powrotem do Yale. Umowa stoi?

\_ Obiecuję.

Ale Mary Stuart wiedziała, że to już nie będzie to samo. Alysę zaprzętną inne sprawy, powrót do domu, znajomi, szkoła. Podróż przez Francję i Włochy byłaby wspaniałą przygodą dla Mary Stuart, ale wyprawa do Holandii z przyjaciółmi była wspaniałą zabawą dla jej córki. A Mary Stuart nigdy nie wahała się poświęcić dla dobra dzieci.

- Kiedy wyjeżdżają?

- Za dwa dni, ale zdążę chyba wszystko załatwić.

Umówiły się, że Mary Stuart prześle jej pieniądze, za które córka kupi czeki podróżne. Porozmawiały jeszcze chwilę o podróży Alyssy, po czym jej matka zapytała, czy nadal planuje wypad do Londynu.

- Chyba nie. Nie wybieramy się do Anglii, poza tym, kiedy wczoraj rozmawiałam z ojcem, zapowiedział, że będzie bardzo zajęty. - A więc unikał ich wszystkich, nie tylko żony, ale i córki. Była to dla Mary Stuart niewielka pociecha.

Odłożywszy słuchawkę, usiadła przy oknie i patrzyła na kobiety prowadzące dzieci na plac zabaw, na maluchy biegające po alejkach, podczas gdy ich matki gawędziły na ławeczkach. Pamiętała te czasy, jakby to było wczoraj. Każde popołudnie spędzała z dziećmi w parku. Wszystkie jej znajome chodziły do pracy, ale dla niej ważniejszy był dom i miała to szczęście, że nie musiała pracować zarobkowo. A teraz dzieci już nie ma, jedno dorosło i pojechało na wycieczkę po Europie z przyjaciółmi, drugie odeszło do wieczności. Wiara w to, że je tam kiedyś odnajdzie, była wszystkim, co jej pozostało.

Uważajcie na nie - chciała powiedzieć matkom w dole. - Trzymajcie je blisko przy sobie, dopóki możecie". - To trwało tak krótko, jak mgnienie oka i skończyło się nagle. Jak jej małżeństwo. Wiedziała o tym od miesięcy, ale nie chciała spojrzeć prawdzie w oczy. Kiedy myślała o tym, w jaki sposób Bili się z nią pożegnał, ile rzeczy pozostawił nie wypowiedzianych, o tym, że odwrócił się od niej, kiedy wyznała, że go kocha, nie miała cienia wątpliwości. Nie mogła się nawet pocieszyć istnieniem innej kobiety. Był tylko on, tylko ona, czas, nieszczęście jakie na nich spadło, nieszczęście, którego nie potrafili przeżyć. Tak czy inaczej, jej małżeństwo się rozpadło, a ona musiała się do tego

przystosować. Miała dwa miesiące, by przymierzyć się do wolności i zdecydować, czy jej się podoba. Poszła na spacer i rozmyślała o Alyssie podróżującej z przyjaciółmi, urlopie w Londynie i wreszcie uzmysłowiła sobie jasno coś, o czym podświadomie zawsze wiedziała. Że koniec końców człowiek zostaje sam, jak ona. Teraz musiała dokonać rozrachunku ze swoim życiem, pogodzić się z tym, co się skończyło, spojrzeć w przyszłość. Tania miała rację, nie mogła uciekać w nieskończoność. Jeżeli nawet zawiniła, nie mogła pozwolić, by śmierć syna ją zabiła.

Wchodząc do mieszkania wiedziała już, co w pierwszym rzędzie musi zrobić. Wolałaby nie robić tego sama, ale nie należało dłużej zwlekać. Odnosiła wrażenie, że on na nią czeka, że pochwała jej zamiar. Otworzyła drzwi pokoju Todda i stała przez chwilę w progu, a potem podeszła do okien i ściągnęła zasłony, wpuszczając światło. Usiadła przy biurku i zaczęła otwierać szuflady. Z początku czuła się jak intruz grzebiący w cudzych rzeczach. Listy i stare arkusze egzaminacyjne, pamiątki z dzieciństwa, jakaś notatka z Princeton o zebraniu klubu. Opróżniła szuflady, a potem, połykając łzy, poszła do kuchni po kartony. Pakując jego rzeczy płakała, ale te łzy przyniosły jej ulgę. Spędziła w pokoju Todda parę godzin, a telefon nie zadzwonił. Bili nie zadzwonił. Lądował w Londynie o drugiej w nocy. O trzeciej trzydzieści powinien już być w „Claridge”. Nie miał pojęcia, co ona robi, ale już dawno temu dał jej wolną rękę.

Kiedy skończyła, pokój świecił pustką. Spakowała wszystkie ubrania do kartonów, zatrzymując tylko parę rzeczy, stary mundurek skautowski, jego ulubioną skórzaną kurtkę, sweter, który zrobiła mu kiedyś na drutach. Resztę zamierzała oddać, natomiast papiery i książki powędrują do piwnicy. Ustawiła trofea sportowe na półce. Znajdzie na nie amatorów. Wszystkie zdjęcia z jego pokoju rozstawiła po domu. Miała wrażenie, jakby podzielił się czymś z rodziną, dał jej niespodziewany upominek, kolejne wspomnienie. Wyjątkowo udaną fotografię całej czwórki zaniósł do swojego pokoju, inną do pokoju Alyssy. Była druga w nocy, kiedy stanęła pośrodku nieskalanej białej kuchni. Czuła go niemal przy sobie, widziała jego twarz, oczy, słyszała głos. Czasem wydawało jej się, że już zapomina, potem nagle okazywało się, że z Toddem łączyło ją znacznie więcej, niż sama przypuszczała. Nagle wszystkie wspomnienia powracały i zapomnienie stawało się niemożliwe.

Zdjęła z łóżka ciemnozieloną narzutę i odłożyła do szafy, żeby odesłać do pralni, i zanotowała w pamięci, by zmienić zasłony. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo wypłowiwały. Smutno wyglądał teraz jego pokój, ogołocony i nagi, zastawiony pudłami, jakby Todd się wyprowadzał. Tymczasem on oszedł już dawno temu. Spóźniła się o cały rok z tymi porządkami. O rok spóźniła się z pożegnaniem. Wiedziała jedno, że nigdy Todda nie zapomni i że życie już nie będzie takie jak dawniej. Przeczynała, że wkrótce zlikwiduje resztę tego mieszkania.

Rozejrzała się po raz ostatni po pokoju i cicho zamknęła za sobą drzwi. Jutro zadzwoni do „Dobrej Woli”, żeby przyszli po jego rzeczy i poprosi gospodarza budynku o zniesienie pudeł do piwnicy. Idąc wolno do swojego pokoju, rozmyślała o tym, co zdarzyło się w ciągu tego roku, ile przeszli, i jacy są teraz samotni. Alyssa była w Europie z przyjaciółmi, Todd odszedł, a Bili wyjechał na lato do Londynu. Ona porządkowała wspomnienia i pozwalała odejść swojemu starszemu dziecku. Patrzyła teraz bez emocji na fotografie wiszące w sypialni. Jego oczy były na nich takie wielkie i błyszczące. Śmiał się, kiedy robiła to zdjęcie. Ciągle jeszcze słyszała tamten śmiech.

„Mamo, pospiesz się!” - Był w mokrych kąpielówkach i trząśnięty z zimna. Udawał, że dusi siostrę, a potem porwał górę od jej kostiumu kąpielowego i uciekał plażą. Alyssa gonila go, przyciskając rącznik do piersi i wrzeszcząc jak opętana. To było bardzo dawno temu, kiedy na jej życie składało się dużo, dużo więcej niż wspomnienia i puste mieszkanie. Położyła się nad ranem i śniła o nich wszystkich. Alyssa mówiła coś potrząsając głową, Todd dziękował jej za spakowanie rzeczy. Kiedy podniosła wzrok, ujrzała Billa, odchodzącego od niej coraz dalej. Nie odwrócił się kiedy go zawołała.

## Rozdział szósty

Wracając do Los Angeles, Tania nie wiedziała, co zastanie w domu. Tony powiedział wprawdzie, że się wyprowadzi, ale istniał cień szansy, że tego nie zrobił. Natychmiast po wejściu do domu sprawdziła jego szafy. Były puste. Jean była w domu, czekała na nią, płonąć chęcią zdania raportu i zapoznania jej z najnowszą sensacją brukowców. Tania znalazła się znowu na pierwszej stronie. Doniesienia o ochroniarzu, który wytoczył jej proces o napastowanie, były mocno bulwersujące. Dowiedzieli się już, że Tony wynajął osobne mieszkanie, tylko chwilowo, wyjaśniał dziennikarz i obiecywał dalsze zdjęcia męża Tani Thomas z aktoreczką, z którą się spotykał. Tym razem zjedli razem kolację.

- To nic takiego - uspokoiła sekretarkę, ale w jej głosie wyczuwało się znużenie. - Wiem o wszystkim - Dostała gazetę na lotnisku. - Chyba pojedę na parę dni do Santa Barbara. - Musiała uciec od fotoreporterów, wścibskich oczu i pustych szaf Tony'ego. Nie miała czasu odprawić po nim żałoby, w tej chwili mogła myśleć tylko o tym, jak obronić się przed środkami masowego przekazu.

- Nie możesz wyjechać - stwierdziła Jean rzeczowo, wręczając jej kartkę z harmonogramem zajęć. - Jutro masz koncert, a potem dwa dni prób. Musisz spotkać się z Bennettem w sprawie tego procesu. Nie wiem nawet kiedy. Chyba w weekend.

- Powiedz mu, że nie mogę. Muszę mieć parę dni przerwy. - Pod żadnym pozorem nie odwołałaby koncertu ani nie urwałaby się z prób. Ale nie zamierzała spędzić weekendu na dyskusjach z Bennettem Pearsonem.

- Zdaje się, że tego nie da się odwołać. Już ustalili termin rozprawy. Bennett mówi, że dzisiaj rano telefonował do niego prawnik Tony'ego.

- Szybko się uwinął - powiedziała Tania, opadając na wygodny fotel, obity różową satyną. - Nie traci ani chwili. - Zupełnie jakby te trzy lata rozpląnęły się w powietrzu. Romans się skończył, mogli przystąpić do interesów. Czasami zastanawiała się, czy nie o to mu tylko chodziło. Wszystko sprowadzało się do pieniędzy. Agenci, prawnicy, dziennikarze, ludzie wytaczający jej procesy, ludzie, całe zastępy ludzi, którzy uważali, że to im zawdzięcza swój sukces. - Muszę mieć jeden dzień dla siebie - powiedziała cicho do sekretarki, i nikt na świecie nie domyślał się nawet, jak bardzo tego potrzebuje. Nie mogła tego ciągnąć, nie mogła pracować, nie mogła się uśmiechać, nagrywać płyt i śpiewać po to, by im zapłacić. Nie miała już życia osobistego. Pozostały tylko praca i płatności.

- Uważa, że mógłby spławić Leo za pięćset tysięcy - powiedziała Jean nie rezygnując. Miała jeszcze mnóstwo spraw do przekazania. Tania była posępna, ale sekretarka tego nie zauważyła.

- Pieprzyć Leo. Możesz to powtórzyć Bennettowi.

Jean skinęła głową i przystąpiła do kolejnej sprawy. Tania marzyła, by dziewczyna zapadła się wreszcie pod podłogę, ale Jean była nieubłagana i niezniszczalna.

- Dzwonili dzisiaj z „L.A. Times”. Chcą poznać szczegóły rozwodu. Czy Tony chce alimentów czy części majątku, czy jednego i drugiego, i czy ty mu to dasz.

- To też było w gazetach? - Tania była zdumiona i zła. Nie mogła się dłużej łudzić, w jej życiu nie istniało coś takiego jak prywatność, nie dotyczyło jej również prawo do ochrony dóbr osobistych.

- Tak, a potem zadzwonił Tony. Chce porozmawiać o dzieciach.

Odchyliła głowę na oparcie fotela i przymknęła oczy. Jean przysiadła naprzeciwko niej. Niczego nie przeoczyła. Musiała jeszcze przekazać Tani szczegóły wszystkich spotkań. Prawnik, księgowy, dekorator wnętrz, który uważał, że należy zmienić wystrój domu, architekt, który przebudowywał kuchnię w domu na plaży. Wszystkich musiała opłacić, wszystkich wysłuchać, a jeżeli z jakichś względów ktoś uznał, że nie spełniła jego oczekiwań, pozywał ją do sądu. Taka była kolej rzeczy. Fakt, że podpisał zobowiązanie, że nie sprzeda swoich informacji prasie, nie miał żadnego znaczenia.

- Dlaczego Tony chce rozmawiać o dzieciach? - zapytała i Jean zajrzała do swoich notatek. Pracowała po dziesięć, dwanaście godzin na dobę. Praca nie należała do łatwych, ale Tania dobrze jej płaciła i była miła we współżyciu. A Jean lubiła blichtr, lubiła chodzić z Tanią na koncerty, pokazywać się u jej boku, nosić jej stare ubrania. Odpowiadało jej to dziwne półżycie w cieniu gwiazdy. Ona również chciała niegdyś śpiewać, ale nie miała głosu, szczęścia i talentu. Tania posiadała to wszystko i Jean zadowalała się tym, że stoi u jej boku.

- Co do dzieci, to nie jestem pewna. Nie powiedział. Prosił tylko, żebyś zadzwoniła. Czekają je jeszcze dobre pół godziny pracy i Jean przypomniała sobie, że gospodyni zostawiła dla Tani obiad w lodówce. Tania naląła sobie tylko kieliszek wina, przejrzała notatki, wzięła od Jean teczkę z kontraktami. O dziewiątej, kiedy Jean w końcu wyszła, Tania zadzwoniła do Tony'ego.

- Cześć - powiedziała. Była kompletnie wykończona. Miała za sobą długi dzień, lot z Nowego Jorku, domowe nieprzyjemności. Zaczęła się zastanawiać, czy to przeżyje. - Jean mówiła, że prosiłeś o telefon.

- Tak. - Jego głos brzmiał dziwnie obco. - Jak tam Nowy Jork?

- Było miło. Widziałam się z Mary Stuart Walker, warto tam było jechać choćby po to. Zmieszali mnie z błotem w porannym talk-show i zgnoili w brukowcach. - Znała to wszystko na pamięć, ale nie zdołała polubić. - Spotkanie z wydawcą okazało się stratą czasu. - Słuchając własnego głosu, uświadomiła sobie, że zbacza z tematu. Jej życie nie interesowało już Tony'ego. - Ale nie o tym chciałeś przecież ze mną rozmawiać, prawda? Łączą nas już tylko interesy.

- Czy kiedyś było inaczej? Sama powiedz, Taniu? Twoja praca, twoje koncerty, twoja kariera, twoje nagrania, twoje próby, twoja muzyka.

- Teraz tak na to patrzysz? Chyba pominąłeś parę rzeczy? To wszystko, co robiliśmy razem... nasze podróże... dzieci. - W ich życiu było coś więcej poza jej pracą, karierą i jej muzyką. Nie powinien teraz tak mówić, rozgrzeszać się z tego, że ją opuścił, ale nie miała siły się z nim kłócić. Doskwierała mu nie tylko jej praca i napięcia z tym związane. Straciła go, ponieważ upokarzały go artykuły w brukowcach. Trzeba było mieć grubą skórę, jeżeli chciało się kochać kogoś z show-biznesu. Najwyraźniej Tony jej nie miał. - A propo, co powiedziałaś dzieciom? - Niepokoiła się tym. Chciała zadzwonić do nich z Nowego Jorku, ale nie wiedziała, czy Tony już z nimi rozmawiał.

- Załatwiła to za mnie ich matka - powiedział z gniewem. - Dała im do przeczytania gazety.

- Przykro mi. - Czuła się naprawdę upokorzona. To było bolesne dla nich wszystkich, zwłaszcza dla dzieci.
- Mnie też - odparł bez przekonania. Odczuwał większą ulgę niż przykrość. -Prawdę mówiąc, Nancy chciała rozmawiać z tobą - dodał niepewnym tonem. -Biorąc pod uwagę to, co o nas pisano...Twój styl życia... dzieci... Nie chce po prostu, by się z tobą kontaktowały - wypłuł te słowa jak zepsute ostrygi.
- Mój styl życia?! - Tania była zupełnie ogłuszona. - Jaki styl? Co się zmieniło od ostatniego tygodnia? - nagle zrozumiała. Nancy przeczytała opowieści Leo o molestowaniu seksualnym, o jej rzekomym chodzeniu nago po domu. -Tony, twoje dzieci mieszkały z nami przez ostatnie trzy lata. Czy wyrządziło im to jakąś szkodę? Czy zrobiłam im kiedy coś złego? Czy jej zdaniem ten ostatni tydzień tyle zmienił?
- Mnie już tam nie ma, nie rozumie, dlaczego miałyby być z tobą, skoro ja odszedłem. Mogą cię odwiedzać, ale tylko w mojej obecności. - Niemal dławił się słowami. Nawet on czuł się zażenowany tym, co powiedziała Nancy. - Nie chce, żeby z tobą mieszkały.
- Mówisz o odwiedzinach? - Czy to Nancy negocjowała warunki jej rozvodu? Gdzie się podzieli prawnicy?
- Dojdziemy i do tego. - Były jeszcze inne sprawy, na przykład dom w Malibu, który kupiła za własne pieniądze już po ślubie z Tonym, ale który on bardzo lubił. Tylko on z niego korzystał, bo ona nie miała czasu. - Teraz chodzi jej głównie o pobyt w Wyoming. Tania milczała długą chwilę, spoglądając w ciemniejące okna. Nancy nie wyraziła zgody, aby Tania zabrała jej dzieci do Wyoming.
- Czy to jest sprawa do dyskusji? - odezwała się w końcu, nie kryjąc rozczarowania. Od miesięcy cieszyła się na ten wyjazd. Teraz wszystko się skomplikowało. Tony jęzostawił, a dzieci zatrzymała ich matka. - Tam jest cudownie, Tony. Dzieci miałyby taką frajdę. - On od początku nie chciał jechać. Nikt z nich nie chciał. A ona zarezerwowała na dwa tygodnie wielką luksusową chatę z trzema sypialniami. - Co mam zrobić z tą rezerwacją?
- Odwołaj. Może zwrócą ci pieniądze.
- Nie zwrócą. Ale nie o to chodzi. Chciałam przeżyć z dziećmi coś innego, wyjątkowego.
- Nic na to nie poradzę, Tan. - Wszystko to było żenujące. Wiedział, jak Tania się cieszyła na wyjazd i teraz czuł się nieswojo, zwłaszcza, że dopiero co ją opuścił. -Nancy powiedziała „nie”. Robiłem, co w mojej mocy, żeby ją przekonać. Zabierz jakiś znajomych. Może tę przyjaciółkę z Nowego Jorku, Mary Stuart?
- Dzięki za radę. - Myślała o czymś nieporównywalnie ważniejszym. - Chcę wiedzieć, co się dzieje. Czy będę mogła widywać się z nimi? - Chciała to usłyszeć od niego. Nie mieli prawa tego robić. Łzy napłynęły jej do oczu.
- Z kim? - Udawał, że nie rozumie, ale doskonale wiedział, o kogo Tania pyta. Decyzja jednak nie należała do niego, lecz do ich matki.
- Dobrze wiesz, z kim, cholera! Nie mam ochoty na słowne gierki. Dzieci! Czy będę mogła je widywać?
- Jasne. Jestem pewny, że Nancy... - Wiedziała, że próbuje uniknąć odpowiedzi wprost.
- Gadaj prawdę! Jak się z nią umówiłeś? Czy będę mogła się z nimi widywać? - Starannie wymawiała słowa, jakby zwracała się do cudzoziemca albo przybysza z innej planety. Ale Tony aż za dobrze rozumiał pytanie, po prostu nie wiedział, jak na nie odpowiedzieć, żeby nie wpadła w szal.
- Będziesz to musiała omówić ze swoim adwokatem - powiedział niejasno, w nadziei, że uniknie konfrontacji.

- Co to znaczy, do jasnej cholery! - krzyczała, straciwszy panowanie nad sobą. Nagle ogarnęła ją panika. Dlaczego ludzie ograbiali ją z taką łatwością? Z pieniędzy, na które tak ciężko pracowała, z reputacji, teraz nawet z dzieci?

- Pozwolisz mi się z nimi widywać, czy nie?! Tony skrzywił się boleśnie.

- Gdyby to zależało ode mnie, mogłabyś widywać je kiedy zechcesz. Ale to zależy od ich matki.

- Gówno prawda! Ta kurwa ma je gdzieś, sam dobrze o tym wiesz. Dlatego ją zostawił. - Z tego i paru innych powodów, takich jak: uzależnienie od alkoholu, hazard, a także fakt, że spała ze wszystkimi znanymi mu mężczyznami. Nieraz musiał szukać jej i dzieci w Vegas. Natomiast dzieci były wspaniałe i Tania wyczuwała, że ma na nie dobry wpływ. Chciała pozostać częścią ich życia i Nancy nie mogła jej tego zabronić.

- Porozmawiaj o tym ze swoim adwokatem.

Kiedy się rozłączyli, chodziła po mieszkaniu jak lew szukający czegoś na pożarcie. Co się stało z jej życiem? Tony zostawił ją, zabrał się, zabrał dzieci, zdradził ją w Palm Springs, ośmieszył w prasie, a teraz jego była żona nie pozwala jej widywać dzieci. Wyjaśnienia adwokata, który zadzwonił późnym wieczorem, nie podniosły jej na duchu.

- Jest coś takiego, jak prawa przybranych rodziców - mówił cierpliwie Bennett, a ona zaczęła nienawidzić dźwięku jego głosu. Wyjaśnił, jakie prawa mają normalni ludzie, a jakie prawa mają tak zwane osobistości i dlaczego te prawa się różnią.

- Musisz zrozumieć, Taniu - ciągnął Bennett. - Twój wizerunek nie przypomina Marii Dziewicy, Leo przypiął ci łatkę. Facet opowiedział niesmaczną historię. Przypuszczam, że była żona Tony'ego nie chce się zgodzić na obcowanie dzieci z tobą. Gdybyś poszła z tym do sądu, po przesłuchaniu przez jej adwokata nikt nie pozwoliłby ci zabrać tych dzieciaków do katedry św. Pawła, nie mówiąc już o wyjeździe na wakacje do Wyoming. - Nie wiedział nawet, jak głęboko ją rani. - Przykro mi, Taniu. Ale tak to już jest. Myślę, że na razie powinnaś sobie odpuścić. Przynajmniej do czasu, gdy ten smród wokół procesu trochę się rozejdzie.

- A co będzie z następnym procesem? - zapytała, wydmuchując nos. Znała ten scenariusz aż za dobrze.

- Z jakim następnym procesem? Nie bardzo rozumiem. - Udało się jej zaskoczyć Bennetta. - Masz kolejną sprawę? Ktoś ci wytoczył nowy proces? - Nic o tym nie słyszał.

- Nie, ale wkrótce wytoczy. Od ostatniego razu upłynął zaledwie tydzień. Daj mi jeszcze parę dni.

- Nie bądź cyniczna. - Wiedział jednak, że ona ma rację. Była nieustannym celem. Nic dziwnego, że mąż ją zostawił. W tej chwili nienawidziła swojego życia nie mniej niż Tony.

- Musimy porozmawiać o Leo. - Bennett zignorował jej frustrację. Nie mógł jej pomóc w sprawie dzieci Tony'ego i nie chciał rozstrzygać w sądzie, a bez wątpienia i przed kamerami, czy Tania ma, czy nie ma zwyczaju paradować nago przed ochroniarzami. Był przekonany, że tego akurat nie robiła, ale wiedział, że wezmą pod lupę całe jej życie, a była przecież dorosłą kobietą.

- Nie chcę rozmawiać o Leo - powiedziała wrogo. Była nieszczęśliwa i wyczerpana.

- Jest skłonny zadowolić się sumą czterystu dziewięćdziesięciu tysięcy, jeżeli zapłacimy zaraz. Uważam, że powinnaś przyjąć propozycję.

Powiedział to rzeczowym tonem i Tania aż podskoczyła na kanapie.

- Czteryście dziewięćdziesiąt?! - wrzasnęła, a on nawet nie mrugnął okiem. - Zwariowałaś? Facet wymyślił to wszystko, a ja mam mu za to zapłacić pół miliona dolarów! - Dlaczego nie dać mu głównej roli w filmie?
- Ponieważ nikt go nie zna i musiałby pokazać się w czterech, pięciu filmach, żeby ją dostać. To mogłoby mu zabrać parę lat. Od ciebie będzie miał pieniądze o wiele szybciej.
- To wstrętne. - Ale prawdziwe i to było w tym wszystkim najgorsze. - Nie mogę o tym myśleć bez obrzydzenia.
- Jeżeli będziemy zwlekać, szantażysta może podwoić stawkę. Mam zadzwonić do jego prawnika i powiedzieć, że się zgadzamy? Facet twierdzi, że Leo już rozmawiał z jedną z sieci o filmie telewizyjnym.
- Dobry Boże! - jęknęła przymykając oczy. Co za koszmar! Nic dziwnego, że Tony odszedł. Nie mogła go za to winić. Ona też rzuciłaby to wszystko, gdyby знаła jakiś inny sposób na życie. - Cóż to za bagno! Jak mogłam się w to wpakować i dlaczego w tym dotąd tkwię?
- Może zerknęłabyś na swoje zeszłoroczne zeznanie podatkowe? To cię powinno pocieszyć
- powiedział z przekąsem, ale ona potrzęsnęła smutno głową. Zbyt wiele zważyło się na nią. Nigdy nie sądziła, że będzie musiała żyć w takim grzęzawisku.
- Wiesz co, Bennett, to mnie nie pociesza. Ci ludzie zabawiają się moim życiem. To o mnie opowiadają te kłamstwa. Stałam się rzeczą, automatem bankowym, przedmiotem. Każdy, kogo naszła chętka zdobyć ekstra dolca, mógł kłamać do woli, oszukiwać, szantażować ją i dostawał to, co chciał. Po raz pierwszy Bennett wysłuchawszy jej, nic nie powiedział. Nie chciał wywierać na nią nacisku, ale wiedział, że niestety musi. Zapadła długa, pełna napięcia cisza. W końcu Tania skinęła głową. Wiedziała, kiedy należy się poddać.
- Dobrze - powiedziała schrypniętym głosem. - Powiedz, że zapłacimy draniowi. - A potem, jakby chciała zapomnieć o tej całej ohydzie, o tym, że właśnie zapłaciła facetowi pół miliona dolarów za to, że naopowiadał o niej kłamstw prasie, zadała Bennettowi inne pytanie.
- Powiedz, co z Wyoming? Będziesz to jakoś mógł załatwić?
- Co na przykład? Mam go dla ciebie kupić? - Chciał ją rozbawić, ale czuł że mu to nie bardzo wychodzi. Wbrew powszechnej opinii, kariera gwiazdy estrady miała swoje ujemne strony. Z zewnątrz wyglądało to wspaniale, od wewnątrz pełne było cierpienia. I nie sposób nie brać tego osobiście. W końcu, nawet ci najwięksi też byli tylko ludźmi.
- Możesz skłonić Nancy, żeby zgodziła się na wyjazd dzieci do Wyoming? Skrócę wakacje o cały tydzień, jeżeli to jej sprawi różnicę.
- Spróbuję jeżeli chcesz, ale obawiam się, że to beznadziejne. Założę się, że przegrasz, co nie ukaze cię w najlepszym świetle. Po tej historii z Leo lepiej, żebyś znikła z pierwszych stron gazet.
- Wspaniale, dzięki. - Próbowała nadać głosowi obojętne brzmienie, ale cała ta rozmowa doprowadziła ją na skraj rozpacz.
- Przykro mi, Tan.
- Jasne. Pogadamy jutro. - Płakała.
- Zadzwonię rano. Musimy przejrzeć kontrakty z trasy koncertowej. Odłożyła słuchawkę, zupełnie załamana. Jej życie powoli zmieniło się w bagno, a ona dostrzegała to już tylko w takich chwilach, jak obecna. Te wszystkie wspaniałości, o których tyle się mówiło, sława, koncerty, nagrody, pieniądze były niczym. Życie sprowadzało się do zależności od ludzi, którzy robili z ciebie szmatę, od męża, który



odchodzi nie oglądając się za siebie, od dzieci, których nigdy już nie zobaczysz. To cud, że ktokolwiek w Hollywood potrafił jeszcze trzymać głowę wysoko.

Tej nocy siedziała sama w domu w Bel Air, rozmyślając o swoim życiu, pragnąc z nim skończyć, zbyt jednak przerażona, by to przeprowadzić. Po raz pierwszy od lat pomyślała o Ellie, a także o synu Mary Stuart. To wydawało się takim prostym rozwiązaniem. Było ucieczką i tchórzostwem, było grzechem i złem, ale z drugiej strony wymagało odwagi, której w sobie nie miała.

Siedziała w salonie aż do świtu, usiłując wzbudzić w sobie nienawiść do Tony'ego, ale jej się to nie udawało. Mogła tylko rozpamiętywać swój żal i płakać, ale nie było nikogo, kto by ją usłyszał. W końcu wstała i poszła do łóżka. Nie miała pojęcia, co zrobić z wykupionym urlopem w Wyoming i mało ją to teraz obchodziło. Wyśle tam Jean z przyjaciółmi albo swoją fryzjerkę, choćby nawet Tony'ego z jego dziewczyną. Prawda! Tony wybiera się na wycieczkę do Europy z kochanką. Wszyscy mieli przyjaciół i dzieci, jakieś życie i przyzwoitą reputację. Ona miała tylko stosik złotych i platynowych płyt oraz rząd nagród na półce. Poza tym niewiele. Nie potrafiła sobie wyobrazić, by mogła jeszcze komuś zaufać, znaleźć mężczyznę, który zgodzi się żyć w tym bagnie. Wspięła się na sam szczyt, by stwierdzić, że nie ma tam nic godnego posiadania. Leżała na łóżku myśląc o dzieciach, których już pewnie nie zobaczy, chyba że przelotnie, na ulicy. Miała teraz wrażenie, że Tony i jego dzieci rozplynęli się w powietrzu, jakby nigdy nie istnieli.

## Rozdział siódmy

Rano czuła się jak przekreślona przez maszynkę. Prawie w ogóle nie spała. Ugoda z ochroniarzem, wiadomość o dzieciach, wyprowadzka Tony'ego załamały ją psychicznie. Zwlokła się z łóżka i spojrzawszy w lustro skrzywiła się. Wyglądała jak na ciężkim kacu. Wprawdzie wczoraj wieczorem nie tknęła alkoholu, ale czuła się jak przepita. Potwornie bolała ją głowa.

- Boże! Jeżeli tak dalej pójdzie, to czeka mnie kolejna operacja plastyczna - powiedziała do swojego odbicia w lustrze i poszła do łazienki. Napuściła gorącej wody do wanny, zanurzyła się powoli i odetchnęła z ulgą. Poczwała się trochę lepiej. Wieczorem miała koncert na cele charytatywne, a ponieważ sprawa była bliska jej sercu, chciała dać z siebie wszystko. Po południu czekała ją próba, a od dwunastej rozpoczynała wyścig z czasem. W szlafroku poszła do kuchni, zrobiła sobie kawy i sięgnęła po gazetę. Tym razem nie było jej na pierwszej stronie, nie było tam również jej przyszłego eks-męża ani żadnego byłego i obecnego pracownika. Tania uznała, że to już coś. Przewracała ostrożnie strony, jakby spodziewała się znaleźć między nimi tarantulę. Ale jedynym tematem, jaki przykuł jej uwagę, był artykuł o lekarce z San Francisco, nazwiskiem Zoe Phillips. Tania przeczytała go z uśmiechem. Zoe była jej dawną koleżanką z akademika. Wyglądało na to, że świetnie sobie radzi, co Tani w najmniejszym stopniu nie zaskoczyło. Pisano, że założyła najbardziej prestiżową klinikę AIDS w mieście i okazała się geniuszem finansowym, wyczarowując pieniądze na jej utrzymanie. Karmiła bezdomnych, chorych na AIDS, dawała im schronienie, leczyła ich, nie pomijając zamożniejszej grupy chorych. Sądząc z tonu artykułu, została kimś w rodzaju Matki Teresy z San Francisco. Tania była tak wzruszona tym, co przeczytała, że sięgnęła po książkę telefoniczną i wykręciła numer Zoe. Nie rozmawiały od dwóch lat, ale wymieniały kartki świąteczne. Tania wiedziała, że Mary Stuart od dawna zerwała z nią kontakt. Nigdy nie załagodziły nieporozumień, jakie powstały między nimi

po śmierci Ellie i Mary Stuart nie chciała nawet wiedzieć, co słyhać u dawnej przyjaciółki. Ale Tania lubiła je obie i kiedy pielęgniarka odebrała telefon, poprosiła doktor Phillips. Pielęgniarka poinformowała, że pani doktor jest z pacjentem w zabiegowym i zapytała, czy może coś przekazać.

- Jasne - odparła Tania zgodnie.

- Mogę spytać o pani nazwisko?

- Tania Thomas.

Nastąpiła długa pauza. Gdyby chodziło o kogo innego niż doktor Phillips, pielęgniarka uznałaby to za zwykłą zbieżność nazwisk, ale pani doktor utrzymywała kontakty ze sławnymi ludźmi, namawiając ich na udział w imprezach charytatywnych, bądź na datki pieniężne.

- Czy ta sławna Tania Thomas?

- Chyba tak - roześmiała się Tania. - Chodziłam z doktor Phillips do college<sup>^</sup> - wyjaśniła.

Dziwne, że Zoe nie rozpowiadała o tym na prawo i lewo. Jej zainteresowanie Tanią ograniczało się do ich wspólnej przeszłości.

Pielęgniarka, wyraźnie pod wrażeniem, zaofiarowała się, że pójdzie sprawdzić, czy doktor Phillips skończyła badanie. Po chwili Tania usłyszała Zoe po drugiej stronie linii. Miała miękki, lekko przytłumiony głos i powagę wyczuwalną nawet przez telefoniczne łącza.

- Tan? - zapytała przeciągając samogłoskę. - Czy to ty? Moje pielęgniarki omal nie wylazły ze skóry!

- Tak. To ja. Z tego, co wyczytałam w dzisiejszej gazecie wynika, że zostałam drugim doktorem Salkiem\*. Byłaś zajęta i zapomniałaś przysłać mi kartkę na święta. -

Rozmawiając z Zoe, zawsze czuła się jak młoda dziewczyna. Wracały dawne czasy, podobnie było, gdy spotykała się z Mary Stuart.

- Do nikogo nie wysłałam. Byłam bardzo zajęta. Wiesz, mam teraz dziecko... - W jej głosie zabrzmiała tkliwa nuta i twarz Zoe stanęła przed oczyma Tani jak żywa.

- Wyszłaś za męża? - Pytała z niedowierzaniem. Zoe nigdy nie chciała wyjść za męża.

Zadowalała się karierą, była bardziej zainteresowana rozwojem medycyny niż małżeństwem. - Co ty mówisz? Czyżbyś dołączyła do reszty burżuazyjnej populacji? Co się stało?

- Nie podniecaj się tak. Adoptowałam. I nie wyszłam za męża. Tak bardzo się znów nie zmieniłam. Jestem na to zbyt zajęta.

- Ile ma to twoje dziecko? - Było to bardzo miłe, ale tak niepodobne do Zoe! Można było podejrzewać wszystko, tylko nie to, że obudzą się w niej skłonności macierzyńskie.

Widocznie uznała, że trzeba popróbować rodzicielstwa, zanim będzie za późno, ale Tania nie mogła zrozumieć, dlaczego wobec tego nie zdecydowała się zająć w ciążę.

- Prawie dwa lata. Można powiedzieć, że mi się przytrafiła. Jej matka była moją pacjentką. Na szczęście nie miała AIDS, była po prostu bezdomna. Nie

\* Doktor Salk, Amerykanin, wynalazca szczepionki przeciw chorobie polio (przyp. red.) chciała zatrzymać Jadę, więc ja to zrobiłam. Mała jest w połowie Koreanką. Nigdy nie wykroiłabym dość czasu ze swojej praktyki na urodzenie dziecka. - Pomijając już fakt, że nigdy nie była na tyle związana z mężczyzną, by tego pragnąć. Przynajmniej nie w ostatnich latach. Była ciałem i duszą oddana pracy i zrobiłaby wszystko dla swoich pacjentów.

- Kiedy mi ją pokażesz? - zapytała Tania z pewnym żalem, myśląc o starej przyjaciółce i małej Koreance, którą adoptowała. Jadę. Śliczne imię. Ta nowina była zaskakująca. Zoe zawsze miała niezwykle pomysły.
- Przyślę ci zdjęcie - powiedziała Zoe przepraszającym tonem, dając znak pielęgniarce, która czekała na nią w drzwiach. Wskazała na zegarek i pokazała pięć palców. Chciała jeszcze pięć minut porozmawiać z Tanią. W poczekalni czekało na nią ponad czterdziestu pacjentów, niektórzy tak chorzy, że w ogóle nie powinni tam być. Ale mogła jej poświęcić przynajmniej te pięć minut, w imię dawniej przyjaźni.
- Zdjęcie mnie nie zadowala. Może przyjechałabyś z małą do Wyoming? -Tania postanowiła ją zaprosić pod wpływem chwili. A gdyby pojechały wszystkie: Zoe i Jadę, Mary Stuart? Wiedziała, że to niemądre z jej strony, snuć takie plany, Stuart wybierała się do Europy z córką. - To tylko luźna propozycja, Zoe. Wynajęłam dom na dwa tygodnie lipca na jakimś eleganckim ranczo i nie mam z kim jechać. - W jej głosie brzmiało znużenie i smutek. Zoe zrozumiała, że sprawy Tani nie układają się najlepiej. Była to niemiła niespodzianka.
- A co z twoim mężem?
- Zawsze podejrzewałam, że nie robisz zakupów żywnościowych i nie czytasz brukowców.
- Zoe rzeczywiście była zawsze bardzo szczupła, czego zazdrościła jej połowa kobiet. Roześmiała się słysząc uwagę Tani.
- Masz rację w obu przypadkach. Nie mam czasu na jedzenie i nie czytałabym tych szmatławców, choćby mi za to płacili.
- To bardzo pocieszające. A wracając do mojego męża... Rzucił mnie. Jeżeli chodzi o ścisłość, zrobił to w tym tygodniu. A jego była żona nie pozwalała mi zabrać na wakacje dzieci, ponieważ mój były ochroniarz wytoczył mi proces o molestowanie seksualne. Jest to zbyt obrzydliwe, by mi się chciało to wałkować. Nie staraj się nawet zrozumieć. Ja nie mogę, a przecież tkwię w tym po uszy. - Ale Zoe bardziej niż w słowa, wsłuchiwała się w głos przyjaciółki, głos, który zdradzał rozpacz.
- Nie brzmi to zabawnie. Wybierz się do tego Wyoming, to ci dobrze zrobi. Żałuję, że nie mogę pojechać z tobą. - Pielęgniarka znowu stanęła w drzwiach, ale Zoe nie chciała przerywać rozmowy. Tania sprawiała wrażenie osoby, która potrzebuje się wygadać. Więc Zoe zasygnalizowała kolejne pięć minut i pielęgniarka zniknęła za drzwiami z dramatycznym wyrazem twarzy.
- Naprawdę nie możesz przyjechać? Może chociaż na weekend?
- Strasznie żałuję. Nie mam w tej chwili nikogo do pomocy i mnóstwo chorych, którym bardzo zależy na tym, żeby tu była.
- Nigdy nie robisz sobie wolnego? - Zapytała Tania ze zdumieniem, chociaż sama nie miała urlopu od Bóg wie jak dawna. Ale jej praca była o wiele mniej odpowiedzialna niż opiekowanie się umierającymi ludźmi.
- Nieczęsto - przyznała Zoe. - Prawdę mówiąc, muszę natychmiast wrócić do pracy albo wyważę drzwi i mnie zlinczują. Zadzwoń do ciebie. Nie daj się tym gnojkom, Tan. Nie są tego warci.
- Staram się o tym pamiętać, ale czasami potrafią zaleźć mi za skórę. Jakoś tak się dzieje, że zawsze wygrywają, przynajmniej ze mną.
- Nie zasługujesz na to - powiedziała Zoe łagodnie i Tania uśmiechnęła się z całego serca, po raz pierwszy tego ranka.
- Dzięki. Ach, widziałam się z Mary Stuart przed paroma dniami.

- Co u niej? - zapytała Zoe trochę spiętym głosem, jak zwykle, gdy rozmawiały o Mary, ale Tania nie zwracała na to uwagi. Przez lata opowiadała każdej z nich o poczynaniach drugiej i nadal marzyła o spotkaniu całej trójki, jak za dawnych czasów.

- Wiesz, straciła syna w zeszłym roku. Myślę, że nie przyszli jeszcze do siebie po tym ciosie. W tej chwili wszystko jest w zawieszeniu.

- Ogromnie mi przykro - powiedziała Zoe ze szczerym współczuciem. - Co się stało? Wypadek?

- Chyba tak - odparła Tania, nie chcąc wspominać o samobójstwie. Wiedziała, jak bolesna jest ta sprawa dla Mary Stuart. - Był w Princeton. Miał dwadzieścia lat.

- To straszne. - Cały czas miała do czynienia ze śmiercią, ale nie zdołała się z nią oswoić. Nienawidziła przegrywać pojedynków o życie i wiedziała, że nigdy nie nauczy się przegrywać ze spokojem. Za każdym razem, gdy traciła pacjenta, czuła się oszukana.

- Wiem, musisz kończyć... Ale pomyśl o Wyoming. Byłoby cudownie, prawda? - Było to wariackie marzenie, ale miało dla Tani ogromny urok. Zoe uśmiechnęła się na tę myśl. Dla niej nie było to nawet marzenie. Od jedenastu lat nie miała wakacji. - Dzwon do mnie czasem. - Tania wydawała się tak zagubiona i nieszczęśliwa, że Zoe zapragnęła wyciągnąć ramiona i przytulić ją do siebie. To było zastanawiające, że człowiek posiadający tak wiele, może być taki nieszczęśliwy i bezbronny. Ktoś nie znający jej życia nie uwierzyłby, jakie ciężki od losu zbiera Tania Thomas i ludzie jej podobni, jak wysoka jest cena sławy.

- Przyślę ci zdjęcie Jadę, obiecuję - powiedziała Zoe na pożegnanie. Z chwilą gdy odłożyła słuchawkę, obstały ją pielęgniarki, narzekając na tłumy w poczekalni.

- Nie mogłam uwierzyć, że to Tania Thomas. Jaka ona jest naprawdę? - zapytała siostra, która odebrała telefon.

- Jest jedną z najmilszych, najporządniejszych kobiet, jakie znam. Haruje jak wół i nawet sobie nie uświadamia, jak bardzo jest utalentowana. Zasługuje na o wiele lepszy los. Może kiedyś będzie szczęśliwsza - powiedziała Zoe wychodząc z gabinetu. Ale do pielęgniarki nie dotarł sens jej słów.

- Zdobyła nagrody Grammy, ma Oskara, platynowe płyty, mówią, że zarabia dziesięć milionów dolarów, kiedy jedzie w trasę koncertową i milion za koncert, kiedy nie jedzie. Czego jeszcze można chcieć?

- Paru rzeczy, Annalee, wierz mi. Ty i ja mamy więcej z życia niż ona. - Serce ją bolało na myśl, że Tania musiała zadzwonić do dawnej koleżanki ze studiów, w poszukiwaniu kogoś, z kim mogłaby pojechać na wakacje. Zoe miała przynajmniej swoje dziecko.

- Jakoś nie łapię. - Pielęgniarka pokiwała głową, patrząc jak doktor Phillips zniknął za drzwiami pokoju zabiegowego.

A w Los Angeles Tania wpatrywała się w gazetowe zdjęcie Zoe. Powiedziała sobie, niech się dzieje, co chce, i zadzwoniła do Mary Stuart.

- Cześć, zgadnij z kim rozmawiałam przed pięcioma minutami?

- Z prezydentem - zażartowała Mary Stuart, szczęśliwa, że znów słyszy głos przyjaciółki. Od czasu jej wizyty w Nowym Jorku stęskniła się za nią.

- Z Zoe. Czy wiesz, że prowadzi klinikę dla chorych na AIDS w San Francisco? W dzisiejszym „L.A. Times” jest o niej duży artykuł. Adoptowała dziecko. Mała ma prawie dwa latka i na imię Jadę. Jest pół krwi Koreanką.

- To miłe - powiedziała Mary Stuart, próbując się zdobyć na wielkoduszność, ale nawet po dwudziestu latach stare zdrażnienia jeszcze piekły. - Cieszę się ze względu na nią- dodała

szczerze. - Cała Zoe. Adopcja dziecka, w dodatku Azjatki. Spełniła wszystkie pokładane w niej nadzieje. Klinika chorych na AIDS również mnie nie dziwi. Czy wyszła za mąż?

- Nie. Zdaje się, że jest mądrzejsza od nas. Bili wyjechał już do Londynu?

- Wczoraj. - Mary Stuart zamilkła, myśląc o tym, co zrobiła poprzedniej nocy. Wiedziała, że Tania by ją za to pochwaliła. - Spakowałam rzeczy Todda. O wiele za późno, ale wcześniej nie byłam gotowa.

- Nikt tego od ciebie nie wymagał - zauważyła Tania łagodnie. - Każdy ma własny sposób na przetrwanie.

Powiedziała Mary Stuart o tym, że Nancy zabroniła jej zabrać dzieci do Wyoming, i jakie to było dla niej gorzkie rozczarowanie. Mary Stuart wiedziała, ile te dzieci znaczyły dla Tani. W pewnym sensie składały się na najlepszą część jej małżeństwa.

- To podłość - stwierdziła surowo.

- No właśnie. Na dodatek zgodziłam się zapłacić pół miliona dolarów szantażyście, który sprzedał mnie brukowcom.

- Boże, to straszne! Dlaczego aż tyle?

- Ponieważ moi adwokaci panicznie boją się ławy przysięgłych. Zakładają z góry, że nigdy nie wygrają sprawy. Boją się, że ta druga strona zrobi ze mnie potwora tarzającego się w pieniądzech. Według ich pojęć termin „osoba sławna” jest jednoznaczny z epitetem „szmata”. W najlepszym razie jest to ktoś, kto powinien wydatkować duże sumy pieniędzy na rzecz ludzi mniej rozpieszczanych przez los, mniej uczciwych lub niezwykle leniwych. Powinni zamieścić tę definicję w słowniku współczesnej angielszczyzny.

Mary Stuart uśmiechnęła się. Tania była zła, ale nie załamana, do czego miała pełne prawo po tym, co ostatnio przeszła. Mogłaby leżeć w łóżku z kołdrą naciągniętą na głowę. Zawsze miała charakter, Mary Stuart musiała oddać jej sprawiedliwość. Po każdej klęsce, jakich nie oszczędziło jej życie, stawała na nogi, obolała, posiniaczona, ale szła dalej swoją drogą, szeroko uśmiechnięta, wyśpiewując duszę.

- Miałaś już jakieś wiadomości od Billa? - zapytała Tania, pamiętając ich wcześniejszą rozmowę. Ciągle nie mogła zrozumieć, dlaczego Bili nie chciał zabrać żony do Londynu. A z tego, co mówiła Mary Stuart wynikało, że jej nawet nie zdradzał. Po prostu nie chciał jej mieć przy sobie.

- Jeszcze nie. Za to wczoraj zadzwoniła Alyssa. Zrezygnowaliśmy z wycieczki.

- Naprawdę? - Tania była zdumiona. - Co się stało?

- Otrzymała ciekawszą propozycję. Z mężczyzną, rozumiesz, w charakterze atrakcji. - Mary Stuart uśmiechała się, ale w jej głosie można było wyczuć rozczarowanie. - Ja odpadłam w przedbiegach. W jej wieku mężczyzna ma nieodparty urok.

- W moim też - zaśmiała się Tania. - Więc, co zamierzasz?

- Prawdę mówiąc, zostałam na lodzie. Zastanawiam się, co robić przez następne dwa miesiące. Rozmawialiśmy o tym z Billem. Nie krył, że wolałby nie oglądać mnie w Londynie. Uważa, że bym go rozpraszała. Jeżeli mam być szczerą, planowałam wpaść do ciebie w odwiedziny na parę dni, gdybyś miała czas. Mogłabym zamieszkać w hotelu. Nowy Jork jest straszny w lipcu i w sierpniu, a w tym roku, z uwagi na wyjazd Billa, nie wynajęliśmy domu na lato.

- A co byś powiedziała na Wyoming? - spytała Tania z rozjaśnioną twarzą. Spełni się przynajmniej połowa jej marzenia. Jeżeli nawet Zoe nie zdoła się wyrwać, mogą pojechać do Wyoming we dwie z Mary Stuart i zabawić się w kowbojki. - Pojedziesz ze mną? Mam wynajętą całą chałupę na wspinałym ranczo. To podobno szczyt luksusu w stylu country.

Przecież nie pojedę tam sama. Nie mogę też cofnąć rezerwacji i zamierzałam ją komuś oddać, sekretarce albo komuś z kim pracuję.

Mary Stuart namyślała się tylko przez chwilę.

- Byłoby cudownie. Nie mam nic innego do roboty. Nie jestem pewna, jaki ze mnie teraz jeździec, choć siedzenie mam lepiej wypchane.

- Bredzisz, masz z siedem kilo niedowagi. Zresztą możemy nie jeździć, jeśli nie będzie się nam chciało. Możemy gapić się na góry, popijać kawę albo szampana, albo uganiać się za kowbojami.

- No pięknie! Brukowce będą miały używanie. Nigdzie z tobą nie pojedę, jeżeli zszarga mi to reputację - zaśmiała się Mary Stuart. Podobał jej się pomysł wyjazdu z Tanią na ranczo. Kiedy przyjaciółka po raz pierwszy wspomniała o Wyoming, taka myśl nawet nie powstała Mary w głowie. Planowała wyjazd z Alyssa, zaś Tania zamierzała zabierać do Wyoming dzieci Tony'ego.

- Obiecuję, że będę grzeczna. Tylko przyjedź. Bardzo bym się cieszyła. -Oczy Tani błyszczały. - Przyjedziesz, Stu?

Mary Stuart uśmiechnęła się słysząc swoje studenckie przezwisko.

- Z radością. Kiedy wyruszamy? - Miała przed sobą całe lato.

- Zaraz po czwartym lipca. Kup sobie buty. Ja mam te z zeszłego roku.

- Jeszcze dzisiaj pójde na zakupy. Powiedz, jak tam dojadę? - Miała jeszcze tyle do zrobienia, trzeba było pozatławić tyle spraw, kupić kowbojskie buty... Nagle poczuła się znowu jak dziewczyna, perspektywa spędzenia dwóch tygodni z Tanią wydała jej się porywająca. Tego właśnie było jej trzeba.

- Przyjedź do Los Angeles, weźmiemy mój busik i pojedziemy do Jackson Hole. Zrobimy trasę w dwa dni. Możemy w drodze spać, jeść, czytać, oglądać filmy, co sobie tylko zażyczysz. Mój kierowca nawet ze mną nie rozmawia. Możesz robić, co ci się żywnie podoba w drodze do Wyoming.

Miała prawdziwy autokar gwiazdy rockowej, z dwoma pokojami, chowanymi łózkami, marmurową łazienką i dobrze wyposażoną kuchnią.

- Będę na pewno.

- Wyjadę po ciebie na lotnisko.

Tania podała jej terminy i Mary Stuart zapisała je starannie. Nie to wprowadzić zamierzała robić tego lata, ale nagle uświadomiła sobie, że wyjazd do Wyoming jest jej biletem na wolność.

Natychmiast wysłała Billowi faks, donosząc, że Alyssa odwołała wycieczkę, wobec czego nie przyjadą do Londynu. Zamierza spędzić dwa tygodnie z Tanią na ranczo w stanie Wyoming. Szczegóły poda mu później, gdy je będzie znała. Ma nadzieję, że przygotowania do procesu idą dobrze i że zadomowili się już w hotelu. Wyjeżdża z Nowego Jorku w przyszłym tygodniu, po czwartym lipca. Wyśle mu faks, kiedy dotrze na miejsce. Tym razem nie napisała, że za nim tęskni.

Po wysłaniu faksu sięgnęła po torebkę i poszła do sklepu Billy Martina kupić kowbojskie buty.

A w Kalifornii Tania skakała po kuchni z radości. Ubawią się z Mary Stuart za wszystkie czasy. Przez cały dzień była we wspaniałym humorze, a wieczorem na koncercie wyglądała wspaniale w czarnej sukni ozdobionej cekinami, która opinała jej zgrabną figurę jak rękawiczka. Wszyscy twierdzili, że nigdy nie śpiewała lepiej.

- Byłaś super! - szepnęła Jean, kiedy Tania zeszła ze sceny, wyczerpana, ale zadowolona. Były bisy, dzikie okrzyki tłumu, kwiaty rzucone na scenę, prezenty wciskane w rękę, nawet czyjaś bielizna pofrunęła w jej stronę, ale zdołała się uchylić. Kiedy w końcu policja wyłuskała ją z tłumu, przyszło jej do głowy, że życie jest kompletnie zwariowane. Ludzie kochają ją namiętnie i strasznie nienawidzą.

## Rozdział ósmy

Reszta dnia Zoe Phillips upłynęła jak zwykle pośród pacjentów. Większość z nich stanowili homoseksualiści, ale w ostatnich latach przyjmowała coraz więcej kobiet i heteroseksualistów, ludzi, którzy zarazili się od partnerów, na skutek zażywania narkotyków lub transfuzji. Pojawiało się też coraz więcej dzieci i to było najboleśniej. Odnosiła wrażenie, że pracuje gdzieś w trzecim świecie. Nie miała dla nich leku i niewiele mogła zrobić, by im pomóc. Czasem był to tylko gest, dotknięcie ręki, chwila spędzona przy nich w godzinie śmierci. Poświęcała wiele godzin dziennie odwiedzając pacjentów w ich domach. Była niestrudzona od lat, od chwili zarejestrowania pierwszych przypadków na początku lat osiemdziesiątych. Od tamtego czasu AIDS stało się jej Nemezis, jej obsesją, jej pasją.

Pod koniec dnia bywała krańcowo wyczerpana, fizycznie i emocjonalnie. Jediną istotą, której mogła jeszcze coś ofiarować, była córka. Starła się spędzać z nią jak najwięcej czasu, często wracała nawet na lunch do domu, po to tylko, by pobyć z Jade. Kiedy Jade była całkiem malutka, zabierała ją do pracy i trzymała w gabinecie w koszyku. Od kiedy zaczęła chodzić, stało się to niemożliwe.

Tego dnia Zoe szykowała się właśnie, by pójść do domu, kiedy jej jedyny zmiennik, doktor Sam Warner wpadł zobaczyć, co słychać. Był dobrym lekarzem i miłym człowiekiem. Zoe znała go od czasów studenckich - chodzili razem do Stanfordu - i bardzo lubiła. Przez jakiś czas byli nierozłączni i Zoe podejrzewała, że Sam się w niej podkochuje, ale pochłonięta pracą, nie miała czasu, by się nad tym głębiej zastanowić i ewentualnie coś przedsięwziąć. Sam wyjechał potem do Chicago i na parę lat stracili się z oczu. W tym czasie zdążył się ożenić i rozwiść. Po jego powrocie do Kalifornii wpadli na siebie na jakimś sympozjum i odnowili dawną przyjaźń. Ale teraz była to już czysta przyjaźń, bez żadnych domieszek. Byli dobrymi kumplami i Sam z radością ją zastępował.

- Jak leci? Nie odzywasz się od tygodni. - Wsunął głowę do jej gabinetu w chwili, gdy odkładała papiery. Miał wygląd dużego, puchatego niedźwiadka - wysoki, barczysty i serdeczny, i wbrew usilnym staraniom wiecznie rozczochrany. Zoe wiedziała, że ma wyjątkowe podejście do pacjentów, że świetnie sobie z nimi radzi, niezależnie od ich wieku i płci. Był jedynym zmiennikiem, jakiego miała.

- Czy ty nigdy nie bierzesz wolnego dnia? - zapytał z troską. Jego praca polegała na zastępowaniu lekarzy różnych specjalności, co oznaczało, że jest pełnoetatowym zmiennikiem i nie prowadzi własnej praktyki. W ten sposób zarabiał na życie. Lubił zwłaszcza klinikę Zoe. Prowadziła ją żelazną ręką, a jego uważała za znakomitego lekarza, pracującego w jednej z najtrudniejszych dziedzin.

- Staram się nie brać - odpowiedziała na jego pytanie. - Moi pacjenci mi na to nie pozwolą. - Chociaż lubili Sama, starała się opuszczać ich jak najrzadziej. Odwiedzała ich w szpitalach, w domach, często w niedzielę i Sam świetnie się w tym orientował.

- Musisz sobie czasem robić przerwę - skarcił ją patrząc, jak zdejmuje biały fartuch i wrzuca go do kosza na brudy. - Choćby dla zdrowia. A poza tym... -Uśmiechnął się od ucha do ucha - Potrzebuję pieniędzy!

- Zdaje się, że ciągle jestem ci winna za ostatni dyżur. Zatrudniłam nową księgową, co okazało się katastrofalną pomyłką- usprawiedliwiała się, zmieszana. Był niewiarygodnie cierpliwy dla swoich dłużników. Jeszcze w szkole w Stanfordzie dowiedziała się, że pochodzi z zamożnej rodziny mieszkającej na Wschodzie i ma inne środki utrzymania, ale on sam nigdy o tym nie wspominał. Nic w jego wyglądzie nie wskazywało na zamożność. Jeździł wysłużonym samochodem, ubierał się skromnie, zazwyczaj we flanelowe koszule i dzinsy i mocno sfatygowane buty, które najwyraźniej kochał, choć wyglądały, jakby korzystało z nich dziesięć tysięcy kowbojów.

- Coś nowego? - zapytał. Lubił być na bieżąco, na wypadek, gdyby go potrzebowała. Jak dotąd zdarzało się to tylko wtedy, gdy chorowała albo musiała uczestniczyć w ważnej imprezie. Ale ostatnio nie chodziła prawie nigdzie. Wieczorem była już zbyt zmęczona, poza tym wolała zostać w domu z dzieckiem. A kiedy już szła na randkę, to z telefonem komórkowym w torebce i zdarzało się, że wychodziła w połowie sztuki albo wstawiała od stołu w środku kolacji. Nie była przez to ekscytującą partnerką, była za to wspaniałym lekarzem.

Zmieniając buty, opowiedziała mu o nowych przypadkach. - Mamy w tej chwili sporo dzieci i młodzieży. - Zarazili się AIDS w łonie matki.

- Rozejrzę się, kiedy już pójdziesz do domu. - Nigdy nie broniła mu wglądu w swoje notatki. Nie miała sekretów przed Samem. - Ucałuj ode mnie Jade.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się i wyszła z gabinetu. Rzuciła okiem na zegarek. Był to jeden z tych rzadkich wieczorów, kiedy miała randkę. Stwierdziła, że w zasadzie już jest spóźniona. Była szóstą czterdzieści pięć, a Richard Franklin miał przyjechać po nią o siódmej trzydzieści. Był sławnym chirurgiem piersi w UC. Poznali się przed dwoma laty, kiedy oboje przemawiali na zjeździe medycznym. Ona była zaintrygowana naturalną rywalizacją ich specjalności, on zirytowany uwagą jaką poświęciła jej prasa. Przytaczał dane statystyczne, dowodząc, że więcej

' umiera na raka piersi niż na AIDS i że fundusze resortu powinny pójść na badania nad rakiem. Dało im to temat do zażartych dyskusji i stworzyło podwaliny interesującej znajomości. W ciągu tych dwóch lat często się spotykali, zwłaszcza ostatnimi czasy. Był wybitnie inteligentnym człowiekiem i miło spędzała czas w jego towarzystwie, ale Franklm nie należał do mężczyzn, w których kobiety się zakochują. W życiu Zoe byli inni, którzy znaczyli dla niej więcej, ale nikt się nie ostał na dłużej. Ostatni mężczyzna, dla którego naprawdę żywiła uczucie, zmarł dziesięć lat temu na AIDS, po transfuzji krwi. Zostawił jej cały swój majątek, a ona przeznaczyła go na założenie kliniki. Od tamtego czasu spotkała paru wyjątkowych ludzi, ale nikogo, kto mógłby się równać z Adamem, czy sprawić, żeby nabrała ochoty na małżeństwo. A już z pewnością nie był to Richard Franklin.

Pojechała do domu swoim volkswagenem combi. Kupiła go, kiedy zaadoptowała Jade, teraz zaś wykorzystywała często do przewozu pacjentów oraz do tego, by jak najszybciej dostać się do domu. Kupiła uroczy stary dom w Egewood, w pobliżu szpitala UC i lasu. Chodziła tam na spacer z Jade, a widok z saloniku na Golden Gate i Marin Headlands zapierał dech. Jade powitała ją okrzykiem radości.

- Mama!



Zoe pochwyciła małą na ręce i przytuliła mocno, podczas gdy dziewczynka opowiadała o psie i o króliku, rodzynkach i swoich towarzyszach zabaw. Relacja była kompletnie niezrozumiała dla osoby postronnej, Zoe jednak doskonale wiedziała, o co małej chodzi.

- Kólik! kólik! - wołała klaszcząc w rączki i Zoe domyśliła się, że dziecko zobaczyło królika u sąsiadów. - Mamo, kólik!

- Podobał ci się? Może my też kupimy sobie króliczka. - Postawiła brzdąca na podłodze w kuchni i przełknęła parę kęsów obiadu. Hamburger z ryżem, przygotowany przez Dunkę imieniem Inge, nie był smaczny, ale z pewnością pożywny. Zostawiła Jadę chrupiącą surową marchewkę i pobiegła na piętro do sypialni. Chciała się szybko przebrać i zejść na dół, by spędzić z dzieckiem chociaż parę minut, zanim przyjdzie Dick Franklin. Właśnie dlatego tak bardzo nie lubiła wieczornych wyjść. Pozbawiały ją jedynej okazji do zabawy z dzieckiem. Ale te randki były w sumie równą rzadkością, jak dni wolne.

Dwadzieścia minut później zeszła w długiej spódnicy z czarnego aksamitu i białej koronkowej bluzce. Z ciemnym warkoczem przerzuconym przez ramię wyglądała jak dama ze starego rodzinnego portretu. Tak czesała się w studenckich czasach.

- Śliczna mama! - powiedziała mała dziewczynka, klaszcząc w dłonie. Zoe uśmiechnęła się i posadziła ją sobie na kolanach. Była niewiarygodnie zmęczona.

- Dziękuję, Jadę. Jak moja córeczka ma się dzisiaj? - Zapytała, kiedy dziecko przytuliło się do niej. Dzięki Jadę Zoe zrozumiała, że esencją życia nie są pieniądze, sława czy sukces, z pewnością nic z tych rzeczy, o których mówiła Tania. Najważniejsze w życiu było zdrowie i dzieci. Zoe nigdy nie traciła z oczu tych priorytetów. A gdyby nawet chciała o nich zapomnieć, wystarczyło wejść do kliniki, by spojrzeć na życie z właściwej perspektywy. Przez chwilę bawiła się z Jadę dużymi różowymi klockami Lego, lecz wkrótce rozległ się dzwonek u drzwi. Przyszedł Richard Franklin, bardzo elegancki i wytworny. Miał na sobie szare spodnie i blezer, i bardzo drogi krawat. Doktor Franklin miał zawsze nienaganną prezencję, jakby właśnie zamierzał wygłosić wykład przed szpitalnymi donatorami. Był wybitnym specjalistą w swojej dziedzinie i trudno było nie podziwiać jego wiedzy i zdolności. Różnili się z Zoe niemal pod każdym względem i może dlatego byli sobą zafascynowani.

- Jak pan się dzisiaj miewa, doktorze Franklin? - zapytała, kiedy Inge otworzyła mu drzwi. Nadal kuciała na podłodze bawiąc się klockami.

- Jestem pod wrażeniem - powiedział, wyniosły i zarazem niezwykle pociągający. Jego zachowanie zawsze cechowała pewna arogancja i Zoe podejrzewała, że to ją właśnie w nim pociąga, miała nieodpartą ochotę, by go obłaskawić. Trzymała jednak swoje uczucia na wodzy. - Często to robisz? - Wskazał dywan, na którym zbudowały z Jadę wielki różowy dom z klocków Lego. Jadę zburzyła go jednym ruchem.

- Tak często, jak tylko mogę - odparła szczerze, doskonale wiedząc, że to go peszy. Już kiedyś wyznał jej, że czuje się zakłopotany w towarzystwie dzieci. Nigdy nie miał własnych i podobnie jak ona, nigdy się nie ożenił. Twierdził, że okazja po temu nie trafiła mu się we właściwym czasie, ale Zoe przypuszczała, że jest po prostu zbyt egocentryczny, żeby założyć rodzinę. - Masz ochotę do nas dołączyć? - zażartowała. Nie mogła go sobie wyobrazić na czworakach, bawiącego się w cokolwiek. Mógłby, nie daj Bóg, potargać sobie włosy albo pognieść spodnie. Wiedziała, że w środowisku lekarskim nazywają go mumią i w pewnej mierze opinia ta miała swoje uzasadnienie, ale był niewiarygodnie mądry i przy swoich pięćdziesięciu pięciu latach szalenie atrakcyjny. Był człowiekiem,

jakiego rodzina życzyłaby jej przed laty na męża, ale rodzice umarli dawno temu, a jej wystarczało chodzenie z nim na randki.

- No jak? Jesteś gotowa? - zapytał, nie udając nawet, że bawi go scenka z Jadę. Poza tym mieli rezerwację na ósmą, na Boulevard, spory kawałek drogi od Edgewood. Restauracja cieszyła się dużą popularnością i nie przetrzymywano tam stolików, nawet dla znanych lekarzy.

- Gotowa. - Założyła malutki aksamitny zakiet. Nawet w czerwcu noce w San Francisco bywały chłodne. Wyglądała bardzo ładnie, kiedy całowała Jadę, uniósłszy z podłogi.

- Kocham cię, myszko - powiedziała pocierając nosem o jej nos, a potem połaskotała córeczkę rzesami po policzku. Mała zachichotała. - Zobaczmy się później.

Dolna warga Jadę wysunęła się ostrzegawczo. Zoe wiedziała, że lada chwila popłyną łzy. Oddała ją szybko Inge i pomachała córeczce w chwili, gdy ta wybuchnęła płaczem.

Błyskawicznie znaleźli się za drzwiami, a Inge próbowała zająć czymś dziewczynkę, skupić jej uwagę na czymś innym. W ciągu ostatniego roku Zoe opanowała do perfekcji sztukę znikania za drzwiami.

- Bardzo dobrze ci to wychodzi - zauważył Franklin z podziwem. Niezwykle rzadko umawiał się z kobietami posiadającymi małe dzieci. Zwykle wolał kobiety zbyt pochłonięte karierą, by myśleć o małżeństwie, czy o rodzeniu dzieci. W chwili kiedy ją poznał, Zoe miała wszystkie te zalety. A potem wprawiła go w osłupienie adoptując dziecko. Nie tego się po niej spodziewał. Istnienie Jadę zmieniło ich stosunki, ale nadal uważał Zoe za niesłychanie atrakcyjną kobietę, z którą chciałby spędzać więcej czasu. Ponieważ jednak była zbyt zajęta kliniką, dzieckiem, godził się z sytuacją i zbierał okruchy jej uwagi.

- Nie widzieliśmy się dwa tygodnie - pożalił się uruchamiając ciemnozielonego jaguara.

- Byłam zajęta. Mam mnóstwo bardzo chorych pacjentów - odparła zdawkowo. Kilku straciła ostatnio. Działo to na nią przygnębiająco, ponieważ łatwo się do nich przywiązywała, zwłaszcza pod koniec.

- Ja też - zauważył lekko zirytowany, kierując samochód w stronę centrum.

- Wyobrażam sobie, ale masz współpracowników.

- To prawda. Też powinnaś się o nich postarać. Nie wiem, jak radzisz sobie w pojedynkę. Rozchorujesz się w końcu. Będzie to albo ciężki przypadek zapalenia wątroby, albo, co gorsza - zarazisz się AIDS od któregoś ze swoich pacjentów.

- Hm. Miła perspektywa. - Odwróciła głowę spoglądając za okno.

- To się zdarza - powiedział poważnie. - Powinnaś się zastanowić nad swoim postępowaniem. Chyba że chcesz zostać bohaterką albo męczennicą.

- Dużo o tym myślałam i doszłam do wniosku, że jestem na właściwym miejscu. Ci ludzie mnie potrzebują.

- Inni też. Na przykład twoja córka. Powinnaś częściej robić sobie wolne. - Był drugą osobą tego wieczora, która jej to doradziła i Zoe spojrzała uważniej na doktora Franklina, ciekawa jego pobudek. Zwykle nie był taki troskliwy i opiekuńczy, choć był przecież lekarzem. -

Wyglądasz na zmęczoną, Zoe - powiedział po prostu i poklepał ją z uśmiechem po rękę. -

Sympatyczna kolacja w knajpie dobrze ci zrobi. Obawiam się, że jadasz niewiele.

Nie mogła sobie nawet przypomnieć, czy zjadła dzisiaj śniadanie albo lunch, wpadła jak zwykle w kierat z chwilą przekroczenia progu kliniki.

Kiedy weszli do restauracji, była skłonna przyznać Franklinowi rację. Lokal był ładny, pięknie oświetlony, stół tak zachęcający, że pożałowała, że nie umawia się z Dickiem

częściej. Zamówił wino, udziec barani dla obojga, a na deser sou-flee. Duża odmiana po zleżałym hamburgerze, którego zjadła z talerza Jadę i zimnej pizzy, którą znalazła w lodówce w gabinecie.

- Uroczę miejsce - powiedziała, spoglądając na niego z wdzięcznością.

- Tęskniłem za tobą. - Sięgnął po jej dłoń. Ale ona nie była w romantycznym nastroju, a jego arogancja uchroniła ją przed zakochaniem się, choć fizycznie bardzo ją pociągał. Dzisiaj, mimo świec i wina, wołała zachować dystans.

- Byłam zapracowana - powtórzyła.

- Stanowczo za bardzo. Co powiesz na weekendowy wypad? Wynająłem w Stinson Beach dom na lipiec i sierpień. Może przyjechałabyś na weekend? Uśmiechnęła się do niego. Znała go lepiej, niż mu się zdawało.

- Z Jadę?

Po krótkiej chwili wahania Dick skinął głową.

- Skoro tak wolisz, choć chwila wytchnienia od obowiązków domowych by ci dobrze zrobiła.

- Tęskniłabym za Jadę. Zresztą byłabym nieciekawym gościem. Jestem tak zmęczona, że prawdopodobnie przespałabym cały weekend.

- Znalazłbym sposób, żeby cię obudzić - powiedział, a wyglądał przy tym niepokojąco zmysłowo. Uniósł kieliszek i upił łyk wina.

- Nie wątpię, doktorze Franklin.

Wieczór mijał szybko na rozmowie o szpitalu, w którym oboje pracowali, o zasadach funkcjonowania służby zdrowia i intrygujących plotkach ze środowiska. Każde z nich mówił o swojej specjalności, a Franklin opisał nową technikę operacyjną, którą zastosował jako pierwszy. Był dobry w tym, co robił, lecz niezbyt skromny. Zoe to nie przeszkadzało. Ceniła go jako wspaniałego rozmówcę i lubiła dyskutować z nim o medycynie. W takich przypadkach Sam zwykle mówił, że jest monotematyczna i że nie lubi zapraszać lekarek na kolację, by potem nad talerzem spaghetti rozmawiać o przeszczepie wątroby. Twierdził, że powinna rozszerzać swoje horyzonty, poza tym nie znosił Dika Franklina. Uważał, że jest nudnawy i do tego pompatyczny.

Zanim Zoe i Dick zjedli sufleta i wypili cappuccino, zrobiła się jedenasta i choć Zoe nie chciała się do tego przyznać, była wykończona. Całą energię skupiła na tym, by nie zasnąć przy stole. O siódmej rano miała obchód w szpitalu, co oznaczało, że musi wstać o piątej trzydziści. Jadę budziła się z nią razem i bawiła się z matką, zanim ta poszła do pracy. Ale Dick zdawał się nie zauważać jej zmęczenia. W końcu odwiózł ją do domu i przypomniał o weekendzie w Stinson.

-Zawiadam mnie tylko, jaki dzień ci odpowiada. Jestem do twojej dyspozycji.

- Muszę najpierw ustalić to z moim zastępcą i z opiekunką Jadę. - Mogła sobie z niego żartować, ale nigdy nie narzuciłaby mu towarzystwa Jadę na cały weekend. Mała doprowadziłaby go do szału, choć naprawdę była dobrym dzieckiem. Ale on chciał słuchać swojej muzyki poważnej, kochać się popołudniami i rozmawiać o technikach operacyjnych, a nie zmieniać pieluszki i ścierać sok jabłkowy z dziecka. Zoe to rozumiała.

- Zadzwoń do ciebie.

Siedzieli w samochodzie przed jej domem. Chciał zabrać ją do siebie, do domu w Pacific Heights, ale kiedy jechali przez miasto widział, jak Zoe ziewa rozpaczliwie. Przeprosiła go, że nie jest w formie.

Spoglądał tęsknym okiem na jej dom, ale przypomniał sobie dziecko i niańkę. Wiedział, że Zoe woli jeździć do niego.

- Po każdym naszym spotkaniu odczuwam niedosyt. Chcę spędzać z tobą więcej czasu, ale ty wciąż jesteś zajęta. - Rozumiał to jednak. On również miał napięty plan zajęć. Nie dość, że był uważany za najlepszego chirurga piersi w UC, to jeszcze jeździł z wykładami po całym kraju.

- Może dzięki temu życie jest interesujące? - zauważyła Zoe obserwując go spod oka. Był niewiarygodnie przystojny, a jednak, chociaż przepadała za jego towarzystwem, wiedziała, że nigdy nie mogłaby go pokochać. - Może znudziłabym cię, gdybyśmy się częściej widywali?

Tylko się roześmiał.

- To raczej mało prawdopodobne.

Była jedną z jego ulubionych kobiet, w pewien sposób hipnotyzowała go, jak choćby teraz. Wydawała się bliska i zarazem nieosiągalna, twarda i łagodna, i te kontrasty ekscytowały go bardziej, niż byłby skłonny przyznać.

- Przypuszczam, że nie namówię cię dzisiaj na zaszokowanie twoich domowników? - zapytał z nadzieją, ale ona potrząsnęła wolno głową. Nigdy tego nie robiła i nie zamierzała zmienić przyzwyczajzeń, nawet z powodu doktora Franklina.

- Niestety nie, Dick. Przykro mi.

- Nie jestem zaskoczony - uśmiechnął się wyrozumiale - tylko rozczarowany. Zajrzyj w kalendarz i wybierz jakiś weekend. Wkrótce, proszę.

- Tak, sir. - Odprowadził Zoe do drzwi i pożegnał szybkim pocałunkiem w usta. Nie było sensu zaczynać czegoś, czego nie mogli kontynuować. Ale on był człowiekiem cierpliwym, mógł poczekać tydzień lub dwa na następne spotkanie, choć wolałby kochać się z nią jeszcze tego wieczora. Był jednakże skłonny uznać jej ograniczenia. Podziękowała mu za kolację, a gdy odszedł, udała się prostą drogą do sypialni, rozebrała się i wśliznęła do łóżka, nie nakładając nawet koszuli nocnej i nie myjąc zębów. Spała jak zabita do szóstej rano. Jadę obudziła się jeszcze wcześniej. Kiedy Zoe poszła do niej zajrzeć, córeczka bawiła się radośnie zabawkami, które niańka zostawiła w kołysce poprzedniego wieczora. Jadę na przemian podśpiewywała sobie i gaworzyła, ale na widok matki wstała i zapiszczała ze szczęścia.

- Cześć, małpeczko. - Wzięła małą z kołyski, by jej zmienić pieluszkę. Jadę wydała się Zoe cięższa niż zwykle, była widać nadal zmęczona. Zdarzało się to coraz częściej. Musi koniecznie zadzwonić do laboratorium zaraz po przyjściu do pracy.

Wyszła z domu o szóstej czterdzieści pięć i dotarła do szpitala UC na obchód o siódmej. O ósmej trzydzieści była już w klinice. Czekaly na nią dwa tuziny pacjentów. Był to jeden z najcięższych dni od miesiący i dopiero w porze lunchu znalazła czas, by zadzwonić do laboratorium. Okazało się, że wyników jeszcze nie ma i Zoe straciła panowanie nad sobą.

- Czekamy na to już dwa tygodnie, do cholery! To nie fair kazać ludziom żyć w niepewności tak długo. To są sprawy życia i śmierci, tu nie chodzi o analizę moczu, na litość boską! Kiedy otrzymam te wyniki?

Przeprosili za opóźnienie, są zawaleni robotą, czy mogłaby zadzwonić koło czwartej? Ale znalazła chwilę dopiero po piątej, a i tak zostało jej jeszcze kilku pacjentów w sali przyjęć. Czekala na linii, okropnie zła, podczas gdy laborant przewracał papiery. Czekala, przekładając w zdenerwowaniu dokumenty z miejsca na miejsce. W końcu usłyszała jego głos w słuchawce:

- Pozytywny - poinformował lakonicznie. Nie była to żadna nowość. Jej pacjenci zazwyczaj okazywali się pozytywni. Dlatego byli jej pacjentami.

- Pozytywny? - zapytała, jakby nigdy przedtem nie słyszała tego słowa. - Pozytywny?!

- Pokój zawirował jej w oczach.

- Tak właśnie powiedziałem. A bo co? Tym razem to niespodzianka? Właściwie nie. To wyjaśniało wszystko: jej zmęczenie, wyczerpanie, spadek wagi, biegunkę, inne symptomy, które niepokoiły ją od sześciu miesięcy, a dokładnie od świąt Bożego Narodzenia. Dobrze wiedziała, kiedy to się stało. Zadrasnęła się przypadkiem brudną igłą przy pobieraniu krwi małej dziewczynce, która umarła na AIDS przed dwoma miesiącami, w kwietniu.

Podziękowała laborantowi i odłożyła szybko słuchawkę, czując się tak, jakby za chwilę miał nastąpić koniec świata, tak jak czuli się jej pacjenci, kiedy im to mówiła.

W tym, co usłyszała nie było nic subtelnego, żadnej delikatności. Pozytywny...

pozytywny... Miała AIDS... Co zrobi z Jadę?... Jak będzie z pracą? Kto się małą zajmie, kiedy zachoruje? Co ma teraz zrobić? - Pytania następowały jedno po drugim. Z początku nie chciała się z tym pogodzić, choć miała pewne podejrzenia od kilku tygodni, od czasu, gdy wyskoczyła jej opryszczka na wardze. Zniknęła dość szybko, ale podejrzenia pozostały. Własna wiedza medyczna zmusiła ją w końcu do spojrzenia prawdzie w oczy. Zrobiła test. Zapadła na chorobę, na jaką cierpieli jej pacjenci. Jej obawy były na tyle silne, że starała się unikać Dicka Franklina przez ostatnie tygodnie, chociaż zawsze zachowywała ostrożność. Od czasu gdy dziesięć lat temu zmarł na AIDS jej kochanek, stosowała wszystkie środki ostrożności. Powiedziała Franklinowi o tamtym mężczyźnie, mówiła o nim wszystkim swoim kochankom. Nigdy nie naraziła Dicka na żadne niebezpieczeństwo. Musi mu koniecznie powiedzieć o swojej chorobie, jeżeli chce go dalej widywać. Stwierdziła jednak, że nie chce. Nie wyobrażała sobie, by mógł się nią zaopiekować, czy choćby okazać współczucie. Ostrzegał ją kilkakrotnie, jakie ryzyko podejmuje. To, co przytrafiło się jej, przytrafiło się również wielu innym lekarzom. Dick uważał, że sprawa nie jest warta takiego ryzyka.

Byli dobrymi znajomymi, z pewnością, ale nie należał do osób, do których biegnie się w kłopotcie. Można z nim było pójść na kolację i spędzić miły wieczór, ale wpadłby w popłoch, gdyby zaczęła mu się zwierzać. Z miejsca uznała, że ich kariera jako kochanków dobiegła końca. Jak wiele innych rzeczy. Może nie jej kariera lekarska, ale na pewno jej przyszłość. Miała nieprzepartą chęć wybuchnąć płaczem, ale wiedziała, że nawet na taki luksus nie może sobie pozwolić. Nadal czekali na nią pacjenci. Nagle odkryła, że trudno jej zebrać myśli.

- Jest tu kto? - W szparze uchylonych drzwi ukazała się głowa Sama Warnera. Przeraził się na jej widok. Wyglądała jak ktoś, komu odczytano wyrok śmierci. Nie wiedział nawet, jak bliski jest prawdy. - Dobrze się czujesz? Wyglądasz strasznie - powiedział szczerze.

- Musiałam chyba coś złapać - odparła zdawkowo. - Przeziębienie, grypę... coś w tym rodzaju.

- Więc już cię tu nie ma. Nie wolno ci zarazić pacjentów, wiesz przecież...

- Założę maskę - powiedziała, przewracając notatki drżącymi rękoma. Sam zobaczył jak była roztrzęsiona, kiedy bezskutecznie próbowała spleść palce. Nie skomentował tego, ale patrzył na nią z rosnącym niepokojem. - Naprawdę... ja... nic mi... Boli mnie tylko głowa.

- Jesteś chora - oznajmił, zdejmując jej z szyi stetoskop i odkładając na biurko. - Idź do domu. Zajmę się twoimi pacjentami w czynie społecznym. To prezent ode mnie. Niektórzy ludzie nie wiedzą, kiedy zrezygnować - narzekał. -

Pogroził jej palcem i prawie wypchnął za drzwi. Nie opierała się. Nie mogła myśleć, nie mogła oddychać, uwierzyć w to, co usłyszała. Ma AIDS... AIDS zabójcę, chorobę która dziesiątkowała jej pacjentów. Życie jej się skończyło. Nie, oczywiście, że nie! Wiedziała, że może żyć wiele lat, jeżeli będą się nią dobrze opiekować. Ale miała wirusa we krwi, czekającego na okazję, niby snajper albo bomba z opóźnionym zapłonem.

- Idź do domu - mówił Sam. - Połóż się do łóżka i zostań w nim. Przyjadę później, żeby cię zbadać.

- Nie trzeba. Nic mi nie jest. Dziękuję, że mnie zastąpisz.

Był wspianiałym facetem i bardzo go lubiła. Okazywał tyle ciepła umierającym.

Zastanawiała się, czy mu nie powiedzieć. Byłoby to rozsądne posunięcie, szkopuł w tym, że nie chciała nikogo wtajemniczać. Jeszcze nie. Nie Sama. Nie przyjaciół. Nikogo. Nawet pielęgniarki. Nikogo z wyjątkiem Dicka Franklina, oczywiście. Jemu musi powiedzieć, że się zaraziła, chociaż była zawsze tak ostrożna i wiedziała, że z jej strony nigdy nie zagrażało mu niebezpieczeństwo. Ze względów etycznych musiała mu jednak powiedzieć, choć już nigdy nie będzie z nim spała. Z nikim nie chciała podzielić się złą wiadomością. Zatrzyma to dla siebie, jak wszystkie inne kłopoty. Zoe Phillips nie miała zwyczaju wypłakiwać się na niczym ramieniu.

Ale przez całą drogę do domu płakała, a kiedy w końcu dojechała do Edge-wood, wyglądała prawie tak źle, jak się czuła. Inge przestraszyła się na jej widok, a nawet Jadę spojrzała na nią uważnie.

- Mama smutna? - zapytała z niepokojem.

- Mamusia cię kocha. - Przytuliła mocno dziecko. Będzie musiała być bardzo ostrożna, żeby nie skaleczyć się przy Jadę, nie zbliżać się do niej, jeżeli coś takiego się stanie. Może powinna nosić w domu maskę i rękawiczki? Potem zrozumiała, że to idiotyczne, że zaczyna ulegać panice. Jako lekarz powinna mieć więcej rozumu. Ale tu chodziło o jej życie.

Trudno było zachować obiektywizm i rozsądek.

Posłuchała rady Sama i położyła się do łóżka, a Jadę wśliznęła się za nią. Zoe leżała długi czas tuląc do siebie córeczkę. Dziecko jakby wyczuwało, że stało się coś groźnego i może stracić matkę. I nie tylko może, ale musi, pewnego dnia, uświadomiła sobie Zoe. Pytanie nie brzmiało „czy”, lecz „kiedy” to nastąpi. Z uwagi na sposób, w jaki się zaraziła, musiała to nastąpić raczej prędzej niż później i ogarnęła ją panika na myśl, że nie ma komu zostawić Jadę. Powinna to jak najprędzej przemyśleć i podjąć jakąś decyzję.

Godzinę później weszła Inge z wiadomością, że dzwoni doktor Franklin. Zoe zawahała się, po czym potrząsnęła głową. Nie chciała rozmawiać z nim przez telefon, uznała, że łatwiej będzie wyłuszczyć mu tę sprawę w liście. Musiała go zawiadomić, miała jednak nadzieję, że nie roztrąbi tego po mieście. Społeczność lekarska była niewielka i rozplotkowana.

Kiedy zachoruje, wszyscy i tak się dowiedzą, ale przy odrobinie szczęścia może nie nastąpić to tak prędko. Do tego czasu zachowa tajemnicę. Postanowiła napisać zaraz, żeby mieć to z głowy. Ograniczyła się do konkretów, napisała, że jest pozytywna, że powinien to wiedzieć,

choć jej zdaniem nie ma powodu do niepokoju. Zawsze zachowywała daleko posuniętą ostrożność. Napisała, że potrzebuje trochę czasu na oswojenie się z sytuacją, lepiej więc będzie, jeżeli przestaną się spotykać. W ten sposób bardzo grzecznie i z klasą, uwolniła go

od wszelkich zobowiązań. Czytając swój list zastanawiała się, czy Dick w ogóle zadzwoni do niej po jego otrzymaniu. Dick Franklin był interesujący i inteligentny, ale oschły i zasadniczy. Nie potrafiła go sobie wyobrazić w roli pocieszyciela. Przypuszczała, że nawet nie zadzwoni, żeby zapytać, czy nie potrzebuje pomocy przy Jadę. Dick był znakomitym partnerem do pójścia na kolację, do teatru albo do opery. Nadawał się na dobre, nie na złe czasy. Ale niczego od niego nie oczekiwała. Nie prosiła o wiele, chciała tylko, by nie rozpowiedział w UC o jej chorobie.

Napisawszy list, Zoe wróciła do łóżka i przytuliła się do córeczki. Po jakimś czasie przyszła Inge i zabrała małą na obiad. Popatrzyła z troską na swoją chlebodawczynię. Nigdy nie widziała Zoe tak wyzutej z wszelkiej energii, tak załamanej. I Zoe nigdy nie czuła się aż tak przybita. No, może wtedy, gdy umarł jej przyjaciel. Nie czuła się chora, tylko śmiertelnie wystraszona, chciała ukryć się gdzieś, naciągnąć koldrę na głowę, przylgnąć do kogoś, ale nikogo takiego nie miała.

Nie zapaliła światła, zresztą w pokoju było jeszcze ciągle jasno, choć na dworze zapadał zmierzch. Słyszała, jak Jadę bawi się w sąsiednim pokoju z Inge i przy tych kojących odgłosach zasnęła. Obudziła się, ponieważ ktoś do niej mówił. Otworzyła oczy i ujrzała Sama Warnera. Stał nad nią i dotykał tętna na jej szyi.

- Jak się czujesz? - zapytał miękko, a ona nigdy jeszcze nie była mu tak wdzięczna, jak w tej chwili. Zrozumiała, dlaczego pacjenci go kochają. Miał dobre serce i łagodność w obojętności. Czasem miało to większe znaczenie niż rozległe lekarskie umiejętności.

- Dobrze - powiedziała szczerze. I rzeczywiście fizycznie czuła się dobrze, natomiast była niemal chora ze strachu i zła na siebie za to, że psychicznie wysiada.

- Nie wydaje mi się. - Sam usiadł ostrożnie na łóżku i przyjrzał się Zoe. Oględziny napęliły go zdumieniem. - Ty rzeczywiście nie masz gorączki, a wyglądasz fatalnie - przyznał. Była bardzo wzburzona i Samowi nasunęła się pewna myśl. - Czy to możliwe, żebyś spodziewała się dziecka?

Uśmiechnęła się w odpowiedzi. Jakie by to było proste i radosne.

- Niestety, nie - odparła z żalem. - Taka piękna myśl. Prawie żałuję, że tak nie jest.

Sam ujął ją za rękę.

- Nie sądź tylko, że szukam pracy, bo akurat w tej chwili mam jej pod dostatkiem. -

Uśmiechnęła się, wiedząc jaki jest zajęty. Mógł przebierać w zastępstwach, nie potrzebował jej kliniki. - Musisz odpocząć, mała. Nie wiem, co cię gnębi... - Zaczynał podejrzewać, że jej choroba ma podłoże emocjonalne, tak czy inaczej potrzebny był jej urlop. - Wiem tylko, że musisz odpocząć. Nie można oddawać się pracy niemal w stu procentach i za to nie płacić. Spróbuj się trochę wyrwać.

- Pomyślę o tym.

- Nie pomyślisz. Znam cię. Jutro rano punktualnie o siódmej stawisz się na obchód. Pozwól, że chociaż w tym cię zastąpię. Chcę, żebyś przez parę dni przychodziła do pracy o dziewiątej, jak cywilizowany człowiek.

Propozycja była bardzo kusząca i Zoe nie wiedziała, co odpowiedzieć. Byłaby wdzięczna za jedną normalnie przespaną noc, za czas na zastanowienie się, zebranie myśli.

- Mógłbyś zastąpić mnie dzisiaj i jutro rano? - Ogarnęła ją nowa fala wyczerpania. Nie była pewna, czy osłabienie jest wynikiem choroby czy emocjonalnego stresu.

- Zrobię, co tylko zechcesz - powiedział łagodnie i przez chwilę Zoe miała ochotę wyznać mu, czego się dzisiaj dowiedziała. Ale nie chciała, by ktoś o tym wiedział, nawet Sam.

Później na pewno będzie go potrzebowała. Będzie musiała ograniczyć praktykę, może

nawet przyjąć Sama na stałe do pracy, ale nie chciała jeszcze o tym mówić. Sama myśl była przygnębiająca.

- Jestem ci naprawdę wdzięczna - powiedziała cicho, kiedy wstał.

- Zamknij oczy i spróbuj zasnąć. Prawdopodobnie jutro rano będziesz jak nowo narodzona, ale pod żadnym pozorem nie chcę cię widzieć w szpitalu. W zasadzie nie będziesz potrzebna w klinice do dziesiątej.

- Rozleniwisz mnie, Sam - powiedziała, kiedy przystanął w drzwiach.

- Nikt nie zdoła tego dokonać. - Uśmiechnął się do niej. Tyle chciał jej powiedzieć, zapewnić o swoim szacunku i przyjaźni, ale jakoś nigdy nie nadarzyła się po temu okazja. Od chwili powrotu do San Francisco chciał ją zaprosić na kolację, ale ona zawsze wydawała mu się taka odległa. No i widywał ją z tym przystojniakiem, Dickiem Franklinem. Nie sądził, żeby łączyło ich coś poważniejszego, ale w tej sytuacji prośba o randkę wydawała się czymś niewłaściwym. Mimo ich wieloletniej przyjaźni Zoe starannie strzegła swojego życia prywatnego. Podziwiał ją bardziej niż byłby w stanie to wyrazić i zrobiłby dla niej wszystko.

- Dziękuję, Sam!

Pomachał jej ręką i zamknął za sobą drzwi. Kiedy odszedł, leżała przez długi czas pogrążona w myślach. Nad tyloma sprawami musiała się zastanowić; nad karierą, córką, swoim zdrowiem, ich przyszłością. Wszystko to przemknęło jej przez głowę, a kiedy ponownie przymknęła oczy, nie mogła wyłapać jednej jasnej myśli. I nagle przypomniała sobie Tanie i jej propozycję. Dokładnie to doradziłaby pacjentowi, postanowiła więc zawierzyć własnej intuicji i zadzwonić do przyjaciółki.

Zajrzała do notatnika z adresami i wykręciła numer. Wiedziała, że to prywatna linia, gdzieś w domu Tani. Myślała już, że nie ma jej w Bel Air, ale po czwartym sygnale odebrała. Była zdyszana, a w tle słychać było muzykę. Tania gimnastykowała się przy basenie.

- Halo. - Głos miała taki sam jak w studenckich czasach i Zoe pomyślała, jakie to dziwne, że pod pewnymi względami wcale się nie zmieniły przez te lata, a pod innymi aż za bardzo.

- Tania? - Głos Zoe był słaby, drżący i umęczony. Przez chwilę chciała tylko znaleźć się w ramionach przyjaciółki i zatonać we łzach. Ale opanowała się szybko i Tania nigdy się nie dowiedziała, jak zrozpaczona była wtedy Zoe.

- Nie śmiałam marzyć, że się tak szybko odezwiesz - powiedziała Tania z radosnym zdziwieniem. Rozmawiały zaledwie poprzedniego dnia, po dwóch latach milczenia i była mile zaskoczona, że Zoe dzwoni tak prędko. - Co słychać?

- Spotkało mnie dzisiaj coś zabawnego. - Coś zupełnie szalonego, pomyślała, ale tego nie powiedziała. - Jest taki lekarz, który mnie czasem zastępuje. I on praktycznie wykopał mnie dzisiaj z gabinetu. Mówi, że potrzebuje pracy.

- Poważnie? - Tania nadal nie bardzo rozumiała, dlaczego Zoe do niej zadzwoniła.

- Bo widzisz ja... Tak sobie pomyślałam... Ta wycieczka, o której mówiłaś... Wyoming... Przepuszczam, że nie... To znaczy, nie chciałabym się narzucać ani nic... Jedziesz z kimś? Pomyślałam, że może...

Tania nareszcie pojęła. Oto nadarzała się znakomita okazja do spotkania w trójkę. Ale Tania zdawała sobie sprawę, że Zoe nie pojedzie tam razem z Mary Stuart. Trzeba to było załatwić podstępem. Kiedy już obie znajdą się na ranczo, będzie miała mnóstwo czasu na usprawiedliwienie. Tania nie wątpiła, że Wyoming wyleczy je z wzajemnej niechęci.

- Nie, jadę sama - skłamała szybko. Podała Zoe wszystkie szczegóły sugerując podróż samolotem bezpośrednio do Jackson Hole. Gdyby Zoe przyjechała do L.A., Mary Stuart



gotowa jeszcze odmówić wejścia do autokaru, ryzyko, którego Tania nie zamierzała podjąć. Była pewna, że kiedy już we trójkę znajdą się na farmie, ucieszą się ze spotkania.

- Mogę przyjechać tylko na tydzień - zastrzegła Zoe stanowczo. Już teraz ogarniała ją panika na myśl o opuszczeniu kliniki. Ale musiała wyjechać, jeżeli chciała ratować zdrowie.

- To i tak dobrze. Może uda się nam namówić cię na drugi tydzień, jak już będziesz na miejscu - odparła Tania radośnie. Nie potrafiła sobie wyobrazić nic miłszego nad wakacje w towarzystwie dwóch koleżanek ze studiów.

- Czy będziesz tam z facetem? - zapytała Zoe, zaintrygowana liczbą mnogą, jakiej użyła Tania. Osoba Mary Stuart nawet nie przyszła jej do głowy.

- A co zrobisz z córeczką? Zabierzesz ją? - zapytała Tania pomijając pytanie Zoe.

- Chyba nie, Tan. Ona jest trochę za mała. Nie sprawiłoby jej to przyjemności, a mnie dobrze zrobi krótkie oderwanie się od obowiązków. - Choć z drugiej strony, myśl o pozostawieniu Jadę budziła w niej żywą niechęć.

- Ale dobrze się czujesz? - Coś w głosie Zoe zaniepokoiło Tanie. Nie było to nic konkretnego, a Zoe twierdziła stanowczo, że nic sienie stało. Sposób, w jaki przyjaciółka mówiła, przypominał Tani czasy tuż po śmierci Ellie, kiedy Zoe odchodziła od zmysłów z rozpacz. Ale nie widziały się tak długo, że Tania nie odważyła się nalegać, a tym bardziej dopatrywać się w jej słowach kłamstwa.

- Bardzo dobrze - zapewniła Zoe. - nie mogę się doczekać naszego spotkania.

Była dobrym jeźdźcem, dobrą przyjaciółką i Tania nie wątpiła, że po pierwszym wspólnym wieczorze na ranczo, Zoe i Mary Stuart zawrą pokój i znów będą sobie bliskie, jak dawniej.

- Do zobaczenia na ranczo - powiedziała Tania na pożegnanie, uszczęśliwiona.

- Cześć. - Zoe przekręciła się w łóżku i odłożyła słuchawkę. To było przeciwne jej naturze - rzucić dom, pracę i wyjechać, ale wiedziała, że tym razem nie ma innego wyjścia.

Zamierzała zrobić wszystko, co możliwe, by przedłużyć sobie życie. Zawsze było jej drogie, a teraz, kiedy musiała myśleć o Jadę, stało się jeszcze cenniejsze. W obliczu tego, co ją wkrótce czeka, wyprawa do Wyoming nabrała nagle wielkiego znaczenia.

## Rozdział dziewiąty

W ciągu następnego tygodnia Sam przepracował razem z Zoe kilkanaście godzin, żeby poznać pacjentów. Wielu z nich już znał z poprzednich zastępstw, ale kiedy przejrzał karty najbardziej chorych, ogarnęło go zdumienie. Nie wyobrażał sobie nawet, że można podołać w pojedynkę tak ogromnej pracy. Był przerażony ilością obowiązków, jakie Zoe wzięła na swoje barki. Miała około pięćdziesięciu obłożnie chorych, a każdego dnia, a czasem i nocą przybywali nowi.

Przyprowadzali ich przyjaciele, krewni albo obcy ludzie, którzy usłyszeli o klinice. Nie wszyscy mieli AIDS, ale wszyscy byli ciężko chorzy. Sama wzruszały zwłaszcza dzieci.

Człowiek miał ochotę dziękować Bogu za każdego zdrowego dzieciaka. Zrozumiał, dlaczego Zoe jest tak wdzięczna losowi za Jadę. Mała była wyjątkowo zdrowym brzdącem.

- To nie do uwierzenia, ilu masz pacjentów - stwierdził Sam tego popołudnia. - Powiem ci, że to nieludzkie. Nic dziwnego, że jesteś stale zmęczona.

To był dobry moment, by mu powiedzieć, że zachorowała na AIDS. Ale zdecydowała, że to nie jego zmartwienie i nie jego sprawa. Nie zrzuci tego ciężaru na nikogo, jak długo będzie to możliwe. Zamierzała odłożyć pieniądze na leczenie i opiekę dla siebie. Jedynym prawdziwym problemem była Jadę, co z nią zrobić, kiedy ona umrze. Musiała się przemóc,

by zacząć myśleć w ten sposób, ale wiedziała, że musi się na to zdobyć. Część jej umysłu nadal odrzucała prawdę, część już się z nią pogodziła. Był to niewiarygodnie szybki koniec obiecującej kariery i gdyby sobie na to pozwoliła, użalałaby się nad sobą od rana do wieczora, ale z wolna budził się w niej duch walki. Chciała po prostu nacieszyć się tą resztą życia, jaka jej pozostała. Od śmierci mogły jajeszcie dzielić długie lata. Nie zdarzało się to często, ale się zdarzało, a ona zamierzała zapewnić sobie wszystkie szansę. Podróż do Wyoming miała być początkiem kuracji. Odpoczynek, krajobrazy, góry, zdrowe powietrze i radość ze spotkania z dawną przyjaciółką powinny zrobić swoje.

- A to co? - Przerwał jej rozmyślenia Sam, wyciągając ku niej historię choroby. Należała do pewnego młodego człowieka w ostatnim stadium. Zoe wątpiła, czy przeżyje parę miesięcy. Walczył zażarcie, ale teraz nie mogła dla niego nic zrobić, poza zapewnieniem mu wygody i pocieszaniem jego kochanka. Wyjaśniła to Samowi, a on potrząsnął głową z niedowierzaniem. Jej klinika była najmniej ortodoksyjną instytucją dla jakiej pracował, a zarazem wdrażającą najwięcej innowacji w metodach leczenia. Zoe była niestrudzona w poszukiwaniu nowych antybiotyków, sposobów leczenia infekcji, łagodzenia bólu, stosowała nawet leczenie alternatywne. Robiła wszystko, co możliwe, by zwalczyć chorobę, aż do gorzkiego końca, i pocieszyć pacjenta. Sam był głęboko poruszony jej poświęceniem.

- Pewnego dnia nam się poszczęści, ale dla niektórych będzie już za późno. - Powiedziała ze smutkiem.

- Ci ludzie mają i tak dużo szczęścia, że znaleźli ciebie. - Patrzył na nią z coraz większym podziwem. Zawsze bardzo ją lubił, a ostatnimi czasy jego sympatia nabrała zdecydowanie mocniejszego zabarwienia. Zoe była idealnym lekarzem, o ciepłej, przychylniej ludzkiej osobowości. Zastanawiał się, czy ma to coś wspólnego z jej kochankiem, który umarł na AIDS przed dziesięciu laty. Zastanawiał się, czy pokochała kogoś od tamtego czasu. Pewnie nie. Z pewnością nie kochała Dicka Franklina. Sam chciałby się do niej zbliżyć. Zawsze była z nim bardzo otwarta, bardzo przyjacielska, ale nigdy nie wyczuł z jej strony zainteresowania zmianą ich stosunku.

Zwłaszcza ostatnio czuła, że nie może pozwolić sobie na bliskość. Ustaliła bezpieczny dystans między sobą a resztą świata, nawet między sobą a Samem, którego znała przecież od czasów studenckich. Nie chciała wprowadzić go w błąd, stworzyć pozory, że go zachęca. Ani jego, ani nikogo. Dawała jasno do zrozumienia, że jako kobieta jest nieosiągalna. Myślała nawet o kupieniu sobie taniej obrączki ślubnej i starała się nie myśleć, na jak samotne życie się skazuje.

Przeglądali ostatnią historię choroby, kiedy Sam, zerknąwszy na Zoe postanowił, że mimo wszystko poprosi ją na kolację. Zostało im jeszcze mnóstwo spraw do omówienia, a jemu nie śpieszyło się do domu.

- Namówię cię, żeby kontynuować przy kolacji? Pomyślałem, że moglibyśmy wpaść na spaghetti do jakiejś knajpki w sąsiedztwie. Zainteresowana? - zapytał wstrzymując oddech. Czuł się przy tym jak nastolatek, który prosi dziewczynę na pierwszą randkę. Przy niej czuł się czasem jak dzieciak i bardzo to lubił. Lubił wszystko, co się z nią wiązało. Zawsze tak było. A przez te lata im dokładniej poznawał jej charakter, tym bardziej ją podziwiał i lubił.

- Dobra myśl - pochwaliła. Nie zdawała sobie sprawy z jego uczuć. Zamierzała tak czy inaczej zaprosić go na kolację, podziękować za to, że umożliwił jej wyjazd na prawdziwe wakacje. Czuła się trochę winna, że opuszcza Jadę, ale on obiecał, że i na nią będzie miał oko. Codziennie po pracy będzie wpadał do Edge-wood.

- Prawdziwy z siebie mąż opatrnościowy - zażartowała lokując się w kąciку włoskiej restauracyjki na Upper Haight. Przychodziła tu od lat. Jedzenie było dobre i panowała spokojna, trochę senna atmosfera. Po raz pierwszy od studenckich czasów usiedli z Samem przy jednym stole, żeby porozmawiać przy kolacji. Choć ich drogi krzyżowały się często w ciągu ostatnich osiemnastu lat, nigdy nie spotykali się na gruncie prywatnym.

Oboje zamówili ravioli, Sam zaproponował wino, ale podziękowała. Byli w połowie kolacji, kiedy Sam spojrzał na nią z rozbijającym uśmiechem. Jakiś ciepły, sympatyczny błysk w jego oczach sprawił, że poczuła się z nim swobodniejsza niż kiedykolwiek przedtem.

- Co robisz poza pracą? - zagadnął łagodnie. Podziwiał ją, a jednocześnie było mu jej żal. Tyle robiła dla innych, a on wiedział z doświadczenia, ile to człowieka kosztuje. Wyglądało mu na to, że dla niej nikt nic nie robi. Nie mógł sobie wyobrazić, by czerpała jakąkolwiek pociechę ze związku z Dickiem Franklinem lub kimś jego pokroju.

- Ostatnio nic - przyznała. - Jeżeli nie liczyć zabaw z Jadę.

- Byłaś już kiedyś zamężna? - Był skłonny uznać, że nie i okazało się, że miał rację.

- Nigdy - potrząsnęła głową.

Ta świadomość najwyraźniej nie spędzała jej snu z powiek. Lubiała swoje życie, była szczęśliwa z córeczką. Jej życie wydawało się niezwykle satysfakcjonujące.

Ale Sama dręczyła ciekawość.

- Dlaczego nie? Jeżeli wolno zapytać...

Uśmiechnęła się. Jego pytania nie sprawiały jej przykrości i nie zamierzała nic przed nim ukrywać, z wyjątkiem stanu swego zdrowia.

- Kiedy byłam jeszcze młoda, nie chciałam. A jedyny człowiek, za którego zdecydowałabym się wyjść, zmarł przed dziesięciu laty. Zaraził się podczas transfuzji. Dzięki niemu założyłam tę klinikę. Był genialnym naukowcem. Zrobiono mu bypassy i to go zabiło. Żył tylko rok po transfuzji. Myślałam o tym, żeby razem z nim pracować naukowo. Zawsze intrygowały mnie rzadkie choroby. A potem pojawiło się AIDS i zostałam lekarzem praktykującym.

- Byłaby to ogromna strata, gdybyś poświęciła się czemuś innemu - powiedział z przekonaniem. Wiedział o tamtym lekarzu, ale słyszał o nim od innych, nie od Zoe. Obserwował ją, kiedy mu o nim opowiadała. Wydawała się smutna, ale nie zrozpaczona, i doszedł do wniosku, że otrząsnęła się już po stracie, choć nigdy nie spotkała człowieka, który by tyle dla niej znaczył.

- Przedtem zajmowałam się cukrzycą, pod wieloma względami chorobą równie niszczycielską jak AIDS, tylko, że mniej się o niej mówi.

- Mnie też to zawsze interesowało. Chętnie odwiedzam różne kliniki, by dowiedzieć się czegoś nowego, rozwiązać jakiś problem i ruszam dalej. Może to brak poczucia odpowiedzialności, ale nigdy nie marzyła mi się własna praktyka. Za dużo w tym papierkowej roboty, zwykłej biurokracji i spraw nie mających nic wspólnego z medycyną czy pacjentami. Lubię pracę od przypadku do przypadku, szkoda mi czasu na umowy, ubezpieczenia, kłopoty remontowo-budowlane. Może jeszcze do tego nie dorosłem.

Czasem wydaje mi się, że ta chwila nadeszła, że

jestem gotów przyłączyć się do jakiegoś zespołu lekarzy. W końcu nic z tego nie wychodzi.

Odpowiada mi w zasadzie tylko rotacyjny styl pracy, bo w ten sposób biorę z medycyny to, co najlepsze.

Jego wywód wywołał uśmiech na twarzy Zoe. Podobną filozofię wyznawali lekarze z pogotowia. Oni również chcieli mieć do czynienia tylko z chorymi, nie z papierkami. W jej przypadku podobny styl pracy nie wchodził w rachubę, utraciłaby długotrwały kontakt z pacjentem i możliwość stałej obserwacji.

- Przypominasz Samotnego Jeźdźca - powiedziała śmiejąc się. - Moi pacjenci przepadają za tobą. Jesteś świetny w tym, co robisz. Wcale się nie dziwię, że chcesz uniknąć tego całego biurokratycznego obciążenia, wiążącego się ze stałą praktyką. Mnie natomiast brakuje współnika, to za wiele jak na jedną osobę. Ale z drugiej strony unikam bólów głowy, kłótni, zawiści i konfliktów. Adam umożliwił mi założenie kliniki, o jakiej zawsze marzyłam, mogłam zorganizować ją tak, jak moim zdaniem powinna funkcjonować. Ale bardzo brak mi fachowej pomocy - wyznała szczerze. Uśmiechnęła się a Sam bał się zapytać o jej związek z Dickiem Franklinem.

- Zamierzałaś wyjść za Adama, zanim zachorował? Był jej ciekawy, był ciekawy dziecka, które adoptowała. Dziwił się, dlaczego samotność zdawała się jej służyć. Była intrygującą kobietą.

- Wiesz, chyba nie. Może byśmy się w końcu i pobrali, ale nie rozmawialiśmy o tym. On był żonaty, miał dzieci. A ja rozwijałam swoją praktykę jako internista. Pracowałam wtedy w zespole, ale porzuciłam go, kiedy założyłam tę klinikę. Nigdy nie odczuwałam potrzeby, żeby związać się z kimś na zawsze. Często spotykałam się z Adamem i byliśmy sobie bardzo bliscy, ale zamieszkaliśmy razem dopiero wtedy, gdy on był umierający. Wzięłam trzy miesiące urlopu, żeby się nim opiekować. To było bardzo smutne. - Mówiła o tym ze spokojem osoby pogodzonej z losem. Była poważna, lecz nie zrozpaczona. Od tamtej śmierci upłynęło dużo czasu, wiele się zdarzyło. Widywała jego dzieci, ale nie nawiązała z nimi bliższego kontaktu. Dopiero dzięki Jadę pojęła całą radość posiadania dzieci. Sam zapytał również o okoliczności, w jakich doszło do adopcji. Opowiedziała mu więc historię matki Jadę, niezamężnej dziewiętnastolatki, która nie chciała zatrzymać dziecka, ponieważ rodzina się jej wyrzekła, kiedy okazało się, że mała jest Azjatka.

- To moja największa radość - powiedziała Zoe po prostu, po czym sama zapragnęła czegoś bliżej o nim się dowiedzieć. - Co z twoim małżeństwem? - zapytała. Wiedziała tylko tyle, że ożenił się, na krótko, w Chicago.

Wrócił do San Francisco już po rozwodzie i bardzo niechętnie o tym mówił, a za rzadko się spotykali, by miała prawo pytać.

- Moje małżeństwo trwało dwa straszne lata - powiedział z namysłem. - Biedna mała, niewiele poświęciłem jej czasu. Wiesz, jak to jest. Nienawidziła mojego zawodu. Powiedziała, że już nigdy nie zwiąże się z lekarzem. Ale miała widać obciążenia genetyczne. Jej ojciec był znanym chirurgiem piersi, brat jest lekarzem sportowym w Chicago, a po mnie poślubiła chirurga plastycznego. Ma trójkę dzieci i mieszka w Milwaukee. Moim zdaniem jest bardzo szczęśliwa. Nie widziałem jej od lat. Po powrocie do Kalifornii mieszkałem przez parę lat z pewną kobietą, ale żadne z nas nie miało ochoty na małżeństwo. Złe doświadczenia po obu stronach. Prawdę mówiąc, trochę mi ją przypominasz. Obie jesteście święte. Pragnęła zmienić coś swoim życiem i próbowała mnie za sobą pociągnąć. Jest teraz pielęgniarką w kolonii trędowatych w Botswanie.

Zoe przypomniała sobie mgliście, że coś o niej słyszała, zanim jeszcze Sam zaczął brać u niej zastępstwa.

- O rany! To poważna sprawa. - Była pod wrażeniem. - I nie potrafiła cię namówić, żebyś z nią pojechał? - Zoe obawiała się, że zabrzmiało to trochę obcesowo, ale Sam nie wydawał się urażony. Potrząsnął głową wyrazem udanej grozy.

- Nigdy w życiu. Nie znoszę węży, insektów, nigdy nie należałem do harcerstwa, a spanie w namiocie uznaję za torturę. Stanowczo nie mam powołania do służenia ludzkości w dżungli. Lubię wygodne łóżko, smaczny posiłek, przytulną restaurację, kieliszek wina, a najdziksza roślinność, jaką chcę oglądać, występuje w Golden Gate Park. Rachel przyjeżdża tu raz do roku i nadal szaleję na jej punkcie, ale jesteśmy tylko przyjaciółmi. Żyje z szefem kolonii, mają dziecko. Kocha Afrykę i ciągle mi powtarza, że nie wiem, co tracę.

- Nie mając dzieci, czy żyjąc tutaj? - Zoe śmiała się, ale ta historia bardzo ją poruszyła.

- Jedno i drugie. Mówi, że nigdy stamtąd nie wyjedzie. Ale kto to może wiedzieć?

Tamtejsza sytuacja polityczna robi się dość nieprzyjemna. To zdecydowanie nie dla mnie. Rachel jest wspaniałą dziewczyną i postąpiła słusznie. Wyjechała przed pięcioma laty... Jak ten czas leci. Mam czterdzieści sześć lat i chyba zapomniałem się ożenić.

- Ja też - przyznała. - Rodzice okropnie się tym denerwowali. Nie żyją już od paru lat i nie ma nikogo, kto by mi suszył o to głowę. - A teraz już nigdy nie wyjdzie za mąż.

Jej wynurzenia dodały Samowi odwagi.

- A doktor Franklin? - zapytał trochę nerwowo, ale był ciekaw. Nie wyczuwając żadnych zachęcających fluidów z jej strony, chciał wiedzieć, czy to z powodu Dicka Franklina, czy z jakichś innych względów. Mógł istnieć w jej życiu ktoś jeszcze, o kim nawet nie wiedział. Było mało prawdopodobne, by takiej kobiecie zależało wyłącznie na pracy i dziecku.

- Pytasz, co z Franklinem? - zapytała zdziwiona. - Jesteśmy tylko dobrymi znajomymi, ot i wszystko. To interesujący człowiek - powiedziała spokojnie, ale Sam zajrzał jej głęboko w oczy, doszukując się podtekstów.

- Jesteś skryta, prawda?

- A czego chciałby się pan dowiedzieć, doktorze Warner? Na ile to poważne? Już się z nim nie spotykam. Zresztą z nikim się ostatnio nie spotykam i zamierzam utrzymać ten stan. - Zaskoczył go stanowczy ton jej głosu. Nie bardzo rozumiał, co Zoe ma na myśli, ale jej słowa kryły dość wyraźne przesłanie dla każdego, kto chciał słuchać.

- Wstępujesz do zakonu? - zażartował. - A może zostaniesz zakonnica-wolnym strzelcem? Zoe musiała się roześmiać. Pomyślała, że powinna wziąć korepetycje u swoich pacjentów. Jak oni sobie radzili? Wiedziała, że wielu informuje przyszłych partnerów o swojej chorobie, ona nie chciała tego robić. Chciała tylko wytrwać w swojej samotności i cieszyć się życiem z Jadę. Może sytuacja przedstawiałaby się inaczej, gdyby już kogoś miała. Teraz zatrzasnęła za sobą drzwi.

- Nie mam czasu na romanse - odparła i Sam się po prostu przeraził. Powiedziała to w sposób tak stanowczy, nieodwołalny. Była z natury serdeczna i ciepła. Nie chciał pogodzić się z myślą, że taka kobieta mogłaby obejść się w życiu bez mężczyzny. To byłoby marnotrawstwo.

- Chcesz mi powiedzieć, że podjęłaś taką decyzję? W twoim wieku? - Był przerażony.

- Coś w tym rodzaju. - Nie chciała się zagłębiać w dyskusję o motywach swojego postępowania. Wchodzili na niebezpieczny grunt i Zoe postanowiła się wycofać. Sam natomiast zamierzał drążyć temat.

- Nie mam nic do zaoferowania, Sam. Jestem zbyt pochłonięta pracą i dzieckiem. - Była to oczywista wymówka, i Sam tak to właśnie potraktował.

- Bzdura! - Oznajmił. - Mylisz się. Na życie składa się coś więcej niż tylko praca i dziecko. Nie rozumiał, dlaczego jest taka zdeterminowana. Może opłakiwała jeszcze tamtą dawną miłość? Bardzo w to wątpił. Spotykała się przecież z Dickiem Franklinem. Przed czym starała się uciec? Niemożliwe przecież, by była aż taką maniaczką pracy?

- Jesteś za młoda, by rezygnować z życia intymnego. Musisz to przemyśleć. Ogarnęło go dotkliwe poczucie straty, kiedy spojrzawszy na nią zrozumiał, że już podjęła decyzję. Uśmiechała się do niego, ale była niewzruszona.

- Mówisz jak mój ojciec. Twierdził, że zbyt wykształcone kobiety stanowią zagrożenie dla mężczyzn i że popełniłam błąd idąc do Stanfordu. College był w porządku, akademii medycznej - grubą przesadą. Mawiał, że skoro chciałam mieć do czynienia z medycyną, powinnam być zostać pielęgniarką i zaoszczędzić mu furi pieniędzy.

Śmiała się, a Sam potaknął głową. Znał takich ludzi. W jego rodzinie byli wyłącznie lekarze.

- Powinnaś być zostać pielęgniarką, jeżeli studia medyczne doprowadziły cię do podjęcia tak głupiej decyzji. Zoe, to naprawdę głupie.

Przyszło mu do głowy, że może miała złe doświadczenia, została zgwałcona, Franklin zrobił coś, co ją spłoszyło albo związała się z żonatym facetem. A może dawała mu w ten subtelny sposób do zrozumienia, że nie jest nim zainteresowana. Miał nadzieję, że tak nie jest. Nie potrafił jej zrozumieć.

Zacząła mówić o czym innym, co tylko pogłębiło jego frustrację. Odkrył, że mają ze sobą więcej wspólnego, niż mu się pierwotnie wydawało - plany, poglądy na ludzi i na medycynę, związane z nią pasje. Co gorsza, zrozumiał, że Zoe pociąga go bardziej, niż sądził. Miała ogromne poczucie humoru i błyskotliwy umysł. Była w niej jakaś cudowna szczerłość i prostota. Przedstawiała sprawy takimi, jakie są, analizowała wnikliwie, a kiedy opowiadała o pacjentach, wyczuwało się

jak bardzo jej są bliscy. Po raz pierwszy od dawna stracił głowę dla kobiety i desperacko pragnął się z nią widywać. Pociągała go od lat, ale jakoś nie mógł się zdobyć na decydujący krok. Wspólna kolacja, rozmowa na rozmaite tematy pograżyły go do reszty. Była tym mocniej pożądana, im bardziej stanowczo odmawiała nawet dyskusji na temat wiązania się z mężczyzną. Był przekonany, że istnieje po temu jakiś inny powód niż tylko praca i dziecko, prawdopodobnie romans z kimś, kogo starała się osłaniać. Im dłużej o tym myślał, tym większego nabierał przekonania, że związała się z człowiekiem żonatym. Wszystko w jej życiu na to wskazywało, fakt, że mogła tyle czasu poświęcić pracy, że nie zamierzała wyjść za mąż. Tak, niewątpliwie była z kimś związana i nie chciała się do tego przyznać. Była to dla niego przykra niespodzianka.

Patrząc jak Sam je, a potem popija cappuccino, Zoe stwierdziła po raz wtóry, że bardzo go lubi. Był taki, jakim się zawsze wydawał, inteligentny, dobry człowiek, na którym można polegać. I był równie zakochany w klinice jak ona. Uważał, że było to wspaniałe przedsięwzięcie i szczerze ją podziwiał.

- Ze wszystkich jakie widziałem, twoja mi się najbardziej podoba - powiedział z uczuciem.

- Podoba mi się też to, jak traktujesz pacjentów. Pomysł z opieką w domu jest świetny.

- najtrudniejszy w realizacji. Trudno znaleźć ludzi, którym można w pełni zaufać, których nie trzeba cały czas kontrolować. Wybieram ich bardzo starannie. To duża odpowiedzialność, również ze strony pacjentów.

Wielu kochanków i krewnych opiekowało się swymi chorymi niemal bez wykwalifikowanej pomocy aż do samego końca, kiedy przypisywano ich do grup szpitalnych. Umrzeć na AIDS nie było łatwo.

Udzieliła mu wskazówek na czas swojej nieobecności i Sam słuchał z uśmiechem.

Wiedział, jak trudno jej opuścić pacjentów i próbował ją przekonać, że oddaje ich w dobre ręce. Wierzyła mu.

- Opowiedz mi o Wyoming - poprosił przy drugiej filiżance cappuccino. Zauważył jednak, że Zoe wygląda na wyczerpaną. Ostatnio często bywała zmęczona, ale Sam nie przykładał do tego zbytnej wagi. Przy takiej wyczerpującej pracy musiała być blada, ale dopiero dzisiaj uświadomił sobie, jaka jest wychudzona. Na gwałt potrzebowała wypoczynku. Cieszył się, że ją wyprawi do Wyoming.

- Z kim się tam wybierasz? - zapytał, przez jedną szaloną chwilę wyobrażając sobie, że jedzie z nią. - Chyba nie pod namiot?

- Ależ skąd. Jadę z dawną koleżanką z college'u. To niezwykła kobieta, nie widziałam jej od lat, ale zadzwoniła do mnie parę dni temu z zaproszeniem. Odmówiłam, ale potem poczułam się tak paskudnie, że postanowiłam jednak pojechać. O ile znam Tanie, nie jedziemy pod namiot. Jest jeszcze większą wygodniczką niż ja. - Zoe podobnie jak Sam nie była pasjonatką campingów, nie znosiła robactwa, węży i innych pełzaczy. - Mieszka w L.A. i jestem pewna, że wylądujemy na luksusowym ranczo w stylu Hollywoodu.

- Kto to jest? - zapytał zdawkowo, przyjmując rachunek. - Lekarka? Zoe musiała się uśmiechnąć.

- Niezupełnie. Jest piosenkarką. Przyjaźnimy się od szkolnych czasów. Nic się nie zmieniła, aż trudno uwierzyć. Prasa dała się jej ostatnio nieźle we znaki, a ona na to doprawdy nie zasługuje. Nie lubię o niej mówić, bo ludzie natychmiast wyciągają mnóstwo mylnych wniosków.

- Jestem zaintrygowany. - Patrzył wprost na Zoe, kiedy kelnerka zabrała rachunek wraz z pieniędzmi. Był nią zauroczony, jej zielonymi oczami, i wszystkim, co w nich dostrzegał.

- To Tania Thomas - powiedziała Zoe cicho. Dla niej było to tylko nazwisko przyjaciółki, inni utożsamiali je z rozpasanym stylem życia, światem blichtru i kłamstw, złotym głosem o tysiącu twarzy. Była żywą legendą i Sam zareagował typowo. Oczy zrobiły mu się wielkie i słuchał z rozdziawionymi ustami, a potem roześmiał się z własnych reakcji, trochę zawstydzony.

- Nie do wiary! A więc znasz ją?

- Ze szkoły. Mieszkałyśmy razem w akademiku. Nigdy nie kochałam tak żadnej przyjaciółki. Rzadko się widzimy, ale to niczego nie zmienia. Kiedy uda nam się spotkać, wszystko jest jak dawniej. Obojętnie, co się nam w życiu przydarza, wobec siebie jesteśmy zawsze takie same. Jest niezwykłą kobietą.

- Rany! Jestem pod wrażeniem - przyznał szczerze. - Wiem, że to zabrzmiało głupio, ale zawsze dziwi mnie, że ktoś zna takich ludzi, że chodzą gdzieś razem, jedzą pizzę, piją kawę jak reszta śmiertelników, myją włosy i zakładają piżamę. Trudno mi wyobrazić ich sobie jako rzeczywiście ludzi.

- Przyczyniło to Tani mnóstwo cierpień. Zdaje się, że czeka ją kolejny rozwód. Myślę, że nie można prowadzić normalnego życia przy tak wielkich napięciach zawodowych. Po ukończeniu college'u wyszła za przemyślego chłopaka, z którym chodziła jeszcze w ogólniaku, ale po roku małżeństwa nagle stała się gwiazdą. Nagrała złotą płytę, zaczęła robić karierę i to chyba rozbiło jej małżeństwo. Biedny Bobby Joe nie wiedział nawet, co

się na niego zważyło i Tania chyba też nie zdawała sobie z tego sprawy. Potem wyszła za prawdziwego drania, menedżera, który ograbił ją z pieniędzy, co było do przewidzenia, i w ogóle źle ją potraktował. To pewnie normalne w tym środowisku, ale Tania ciężko to przeżyła. Trzy lata temu poślubiła przedsiębiorcę budowlanego z L.A. Myślałam, że tym razem jej się powiedzie, ale zwierzyła mi się właśnie, że się rozchodzą i on nie pozwala jej nawet zabrać swoich dzieci do Wyoming, tak jak zaplanowali. Została więc na lodzie i zaprosiła mnie na to ranczo.

W jej ustach wszystko to brzmiało tak zwyczajnie.

- Szczęściara z ciebie. Co za okazja!

- Tak, spotkanie z Tanią to rzadka okazja. Żadna z nas nie jest wprawdzie zapaloną amazonką, więc pewnie przegadamy ten tydzień, choć przyznam, że mam ochotę po prostu go przespać.

- To by ci dobrze zrobiło. - Patrzył na nią z troską. Coś zaświtało mu w głowie. - Nic ci nie dolega, Zoe? Wyglądasz ostatnio bardzo mizernie, a w zeszłym tygodniu naprawdę paskudnie się czułaś. Trochę chyba przeholowałaś.

Wzruszył ją. Była tak przyzwyczajona do troski o innych ludzi, że czuła się nieswojo, kiedy ktoś zatroszczył się o nią.

- Nic mi nie jest, naprawdę. - Ale wiedziała, że jej wygląd mówi coś wręcz przeciwnego.

Była potwornie zmęczona, ale na razie nie dostrzegła u siebie zmian chorobowych. Nie miała żadnych objawów, wiedziała, że mogą nie pojawić się przez bardzo długi czas, albo wystąpić nawet jutro. Największym niebezpieczeństwem była dla niej infekcja, ale Zoe wiedziała, jak się chronić i nie zaniedbywała żadnych środków ostrożności. - Jesteś kochany, że pytasz - powiedziała. Poczowała się zaskoczona, kiedy wziął ją za rękę.

- Martwię się o ciebie. Chcę ci pomóc, ale mi nie pozwalasz. Spojrzała mu w oczy. Były ciemnobrązowe i nieskończenie czule.

- Dziękuję, Sam... - Zalała ją ciepła fala uczucia, odwróciła więc wzrok i powoli cofnęła rękę. Wiedziała, że nie może się przed nim odsłonić. Choćby był jeszcze bardziej czuły i pociągający, nie może sobie na to pozwolić.

Z Dickiem to zupełnie co innego. Byli jedynie przyjaciółmi, a jeżeli przekraczali czasem granice przyjaźni, nikt nie ponosił z tego powodu szkody. Nie miała w stosunku do niego złudzeń. Potrzebował tylko od czasu do czasu towarzyski, kogoś z kim mógłby pójść do teatru, do filharmonii, na balet albo na wystawną kolację. Nie chciał od niej nic ponad to, co ona mogła mu dać. Odstraszyłaby go, gdyby próbowała ofiarować więcej. Dick doskonale wiedział, jak blisko chce ją do siebie przypuścić i starannie pilnował dystansu. Poważny związek miał dla niej dużo uroku, ale ponieważ nie spotkała nikogo, kto by ją pociągał do tego stopnia, wolała unikać tanich imitacji. Co za pech, że dopiero teraz, u schyłku życia odkryła, że Sam Warner mógłby stać się dla niej kimś ważnym. Nie wiedziała, jaki jest dobry, współczujący, jak bardzo zaangażowany w jej pracę. Myślała o nim jak o dobrym lekarzu, dobrym znajomym. A teraz uzmysłowiła sobie, że jest w nim coś więcej, że w jej stosunku do niego też nastąpiła zmiana. Lepiej nawet nie zgłębiać natury tego uczucia. Ten rozdział jej życia został zamknięty. Cóż miała teraz do ofiarowania? Kilka miesięcy? Kilka lat? Jeżeli nawet zostało jej jeszcze pięć, dziesięć lat, nie powinna go do siebie przywiązać. Przeszła przez to wszystko z Adamem. Za nic w świecie nie pozwoli Samowi zbliżyć się do siebie. Byli przyjaciółmi i współpracownikami i w żadnym razie nie pozwoli mu przekroczyć pewnej granicy. Sam o tym wiedział. Był smutny, kiedy opuszczali restaurację. Nie rozumiał, dlaczego go odtrąca, ale wyczuwał, że nie jest w stanie zmienić jej



nastawienia. Wsiedli do jego wozu, zaparkowanego przed restauracją, ale Sam nie zapalił silnika.

- Spędziłem cudowny wieczór - wyznał, a Zoe skinęła głową.

- Ja również, Sam.

- I chcę, żebyś się dobrze bawiła w Wyoming. - Zajrzał jej w oczy, a ona złękła się, że mógłby odczytać jej myśli. Nie chciała, by otworzył przed nią serce lub poprosił, by otworzyła swoje albo, co gorsza, by mu wytłumaczyła, dlaczego nie może tego zrobić. Nikt nie miał prawa poznać prawdy.

- Dziękuję, że zgodziłeś się mnie zastąpić. - O ile łatwiej było mówić o pracy niż o uczuciach. Wstąpiła z Samem na niebezpieczny grunt.

- Wiesz, że zawsze chętnie to robię. - Nadal nie zapalał silnika. Chciał jej coś ważnego powiedzieć, ale nie wiedział, jak to zrobić. - Chciałbym porozmawiać z tobą, kiedy wrócisz. - Nie ośmieliła się zapytać, o czym. Przeraziła się, że po tylu latach Sam nagle zacznie wywierać na nią nacisk. Nie powinna do tego dopuścić. Dlaczego to musiało się stać właśnie teraz! Dotąd nie miała pojęcia o swoich rzeczywistych uczuciach, Sam nie wydawał się jej nawet specjalnie atrakcyjny. - Myślę, że powinniśmy wrócić do niektórych spraw, które poruszyliśmy dzisiaj - powiedział bardzo stanowczo i trochę kpiąco.

- To chyba nie jest dobry pomysł. - Wolno podniosła na niego wzrok. W jej oczach malował się straszny żal i Sam opanował się z trudem, by jej nie wziąć w ramiona. Wiedział, że nie tego teraz potrzebuje.

- Lepiej, żeby pewne rzeczy pozostały niedopowiedziane, Sam.

- Nie zgadzam się z tobą. - Znów zatopił wzrok w jej oczach, błagając, by go wysłuchała. - Jesteś odważną kobietą. Widziałem, jak patrzyłaś śmierci w oczy i zwyciężałaś. Nie możesz podchodzić tchórzliwie do własnego życia.

Zoe wydało się dziwne, że to powiedział i przeraziła się, że odgadł prawdę. Potem się uspokoiła; wyniki testów były przecież oznaczone numerami.

- Nie podchodzę tchórzliwie do swojego życia, Sam - tłumaczyła ze smutkiem. - Dokonałam tylko pewnego wyboru, właściwego wyboru, i to nie ze strachu, lecz z rozsądku.

- Bzdury! - zawołał pochylając się ku niej, ale odwróciła głowę i udawała, że patrzy przez okno.

- Sam, proszę... Ja nie mogę... - W oczach miała łzy, lecz on ich nie dostrzegł.

- Powiedz mi jedno - prosił patrząc prosto przed siebie. Marzył tylko o tym, by wziąć ją w ramiona i pocałować, ale z szacunku dla niej i jej wariackich zasad, nie zrobił tego. - Masz kogoś? Powiedz mi prawdę. Muszę to wiedzieć.

Zawahała się. Podsunął jej idealne wyjście z sytuacji. Wystarczyło powiedzieć, że jest zaangażowana, ale na to była zbyt uczciwa. Nie kupiła nawet tej obrączki.

- Nie mam nikogo, ale to bez znaczenia. Musisz zrozumieć, Sam. Mogę być twoim przyjacielem, ale niczym więcej.

- Nie rozumiem. - Starał się nie pokazać po sobie gniewu i frustracji. - Nie proszę, żebyś się ze mną związała na zawsze. Proszę cię tylko o szczerłość. Rozumiałbym, gdybyś mi powiedziała, że cię nie pociągamy, że między nami nic nie może być, ale ty twierdzisz, że ten rozdział twojego życia jest zamknięty, a tego nie rozumiem. Chodzi o tego mężczyznę, który umarł? Ciągłe go jeszcze oplakujesz? - Dość nierozsądne po jedenastu latach, ale nie jemu o tym sądzić. Zoe zaprzeczyła ruchem głowy.

- Już dawno pogodziłam się ze śmiercią Adama. Sam, zaufaj mi, bądźmy po prostu przyjaciółmi. Poza tym - uśmiechnęła się dotykając lekko jego dłoni -wiedz, że nie jestem łatwa we współżyciu.
- Co do tego nie mam wątpliwości - zgodził się i uruchomił samochód. Zupełnie zbiła go z nóg, a tego się nie spodziewał. Podobała mu się od lat, ale potrafił kontrolować to uczucie, które z czasem przerodziło się w żywą sympatię. Nie przypuszczał, że się zakocha po to tylko, by odkryć, że drzwi za którymi się skryła, są zamknięte na cztery spusty. Ta myśl doprowadzała go do szału. Zerkał na Zoe spod oka, wydawała się taka spokojna i piękna, jakby rozświetlona od wewnątrz. Niemal jak święta, wystarczyło spojrzeć na nią, by odkryć niezwykle bogactwo jej duszy. Powtarzał sobie, że nie zawsze można mieć w życiu, co się chce, ale wydawało mu się to strasznie niesprawiedliwe w odniesieniu do Zoe. Odwiózł ją do domu i pomagając wysiąść z samochodu, ujął pod ramię. Było szczupłe jak u dziecka.
- Spróbuj się trochę podtuczyć na tym rancho - powiedział z widocznym niepokojem. - Przyda ci się te parę dodatkowych kilogramów.
- Tak jest, panie doktorze. - Popatrzyła na niego z czułością. Nie mogła odżalować, że ich życie nie potoczyło się inaczej. - Spędziłam bardzo miły wieczór. Po moim powrocie musisz wpaść do nas na kolację. Zrobię wam obojgu pysznego hot doga.
- Może uda mi się zabrać was obie do restauracji? - Jakże pragnął wyciągnąć Zoe z jej fortecy. Wyraźniej niż kiedykolwiek wyczuł, że coś przed nim ukrywa. Nie rozumiał dlaczego, ale dostrzegał to w jej oczach. Pragnął jakoś do niej dotrzeć, ale tego wieczora osiągnął tylko tyle, że zaczęła się go bać.
- Dziękuję za uroczy wieczór, Sam.
- To ja dziękuję... Zoe... Przepraszam, jeśli byłem natrętny. - Przeklinał teraz własną głupotę. Swoim zachowaniem sprawił, że jeszcze bardziej zamknęła się w sobie.
- Ja rozumiem, Sam. - Rozumiała więcej, niżby chciała, ale choć ją wzruszył i rozbudził, umocniła się tylko w swojej decyzji.
- Nie jestem pewien, czy rozumiesz. Nie jestem pewien, czy ja rozumiem. Od dawna chciałem to zrobić. Ściśle rzecz biorąc od czasów Akademii Medycznej. Może czekałem zbyt długo. - Stał przed nią niczym uosobienie nieszczęścia.
- Nie martw się tym, Sam. - Poklepała go po ramieniu i poszli wolno ku domowi. Stanęli pod drzwiami i pomyślał o pocałunku. Miał nie przyjść następnego dnia do kliniki, ale Zoe wiedziała, że go jeszcze przed wyjazdem zobaczy i czerpała z tego pociechę. Mogli przynajmniej razem pracować, skoro nic innego nie wchodziło w grę.
- Zobaczymy się za parę dni - powiedział i ucałował czubek jej głowy, a kiedy otworzyła drzwi, zbiegł ze schodków i szybkim krokiem ruszył do samochodu, a potem zatrzymał się i patrzył, jak Zoe wchodzi do środka. W progu odwróciła się i ich oczy się spotkały. Pomachała mu ręką i zamknęła drzwi. Po chwili usłyszała warkot samochodu. Sam prowadził wóz, oszołomiony siłą swojego uczucia. Wieczór potoczył się zupełnie inaczej, niż sobie planował. Mimo wielu lat przyjaźni i tego, co do niej czuł, Zoe pozostała dla niego zagadką.

## Rozdział dziesiąty

W dniu wyjazdu Mary Stuart stanęła w salonie i rozejrzała się po swoim mieszkaniu. Zasłony były zaciągnięte, klimatyzacja wyłączona i mieszkanie nagrzewało się powoli. Przez ostatni tydzień w Nowym Jorku panował skwar. Poprzedniego wieczora rozmawiała z córką. Alyssa świetnie się bawiła podróżując w towarzystwie pięciorga przyjaciół i Mary

Stuart podejrzewała, że przeżywa swój pierwszy poważny romans. Cieszyło ją szczęście córki, ale nadal nie mogła odżalować wspólnej wyprawy po Europie.

Parę razy rozmawiała z Billem. Ciężko pracował, a wiadomość o jej wyjeździe do Wyoming przyjął ze zdziwieniem. Nie mógł zrozumieć, dlaczego chce tam jechać, uważał, że powinna odwiedzić przyjaciół w Hamptons. Nigdy nie aprobował jej przyjaźni z Tanią. I naprawdę nie rozumiał, dlaczego chce jechać na ranczo dla turystów. Nigdy nie rwała się do koni. To co powiedział jeszcze niedawno skłoniłoby ją do zmiany planów, a teraz nie miało żadnego znaczenia. Chciała spędzić dwa tygodnie na ranczo z Tanią. Chciała być z przyjaciółką, rozmawiać z nią, spoglądać rankami na góry. Nagle zrozumiała, że musi wyjechać i dokonać przewartościowania, oceny swojego życia. Jeżeli Bili tego nie rozumiał, tym gorzej dla Billa. Wyjechał na dwa miesiące do Londynu bez niej, więc teraz nie miał prawa odbierać jej radości z tego, co zamierzała uczynić. Sam pozbawił się prawa ingerencji w jej sprawy. Pozbawił się wielu rzeczy przez ten rok, celowo czy podświadomie, i Mary Stuart zamierzała poważnie się nad tym zastanowić. Nie wyobrażała sobie, by mogli podjąć swoje małżeństwo w miejscu, gdzie je przzerwali. Nie mogła żyć w tej bezdusznej, ponurej atmosferze, jaką w ich domu stworzył. I choć w przeddzień jego wyjazdu uchwyciła obraz dawnego Billa, nie miała gwarancji, że ujrzy go znowu pod koniec lata. Czy kiedykolwiek go ujrzy. Zaczynała rozumieć, że to, co łączyło ich kiedyś, minęło, prawdopodobnie na zawsze. Wątpiła, czy reszta warta jest zachodu. Sama nie mogła uwierzyć, że

podważa sens całej ich dotychczasowej egzystencji. Ale nie zamierzała już wrócić do Billa, nie zamierzała żyć dalej w ten sposób, bez miłości, rozmów, bez ciepła. Stracili swoje marzenia, swoje dawne życie. Umarł nie tylko Todd. Pod pewnymi względami zanikło również ich wspólne życie. Podróż do Wyoming miała jej pomóc w rozeznaniu, co im jeszcze zostało, na co jeszcze mogła liczyć. Przez jedną chwilę, kiedy tak rozglądała się po mieszkaniu, miała wrażenie, że opuszcza swoje dotychczasowe życie na zawsze. Nic już nie będzie takie jak dawniej. Nigdy nie wróci do człowieka, który skazał ją na taką samotność. Albo wróci do mężczyzny, którego znała i kochała, albo nie wróci w ogóle. W takim czy innym wypadku, zastanawiała się, czy nie powinni sprzedać tego mieszkania. Perspektywa rozpoczęcia w jej wieku samodzielnego życia napępiała lękiem. Ale myśl o samotności z Billem, w grobowcu, który zbudował dla nich obojga, była jeszcze bardziej przerażająca. Przeszła długim korytarzem do pokoju Todda. Zasłony były zaciągnięte, narzuty w pralni chemicznej. Nic po nim nie zostało, prócz tego, co miała w sercu i we wspomnieniach. Todd był wolny.

Podniosła walizkę i poszła wolno korytarzem, myśląc o synu, o Billu, Alyssie, o tym, jacy tu byli kiedyś szczęśliwi, a jak inaczej jest dzisiaj. Okrutna ręka losu jednym ciosem zniszczyła ich marzenie. Wszystko minęło tak szybko. Czuła się, jakby przez bardzo długi czas tkwiła w lodowatej wodzie i omal nie utonęła, ale teraz znów poruszała się naprzód, nadal przemarznięta, oziębiała i zbolęła, ale z budzącą się powoli nadzieją, że może mimo wszystko nie utonie. Istniała maleńka szansa, że przeżyje. Stojąc w drzwiach, z kluczem w ręku, chciała się z kimś pożegnać. Z mężem, z dzieckiem, z życiem, które tutaj wiedli.

- Kocham cię - powiedziała cicho, nie bardzo wiedząc, do kogo kieruje te słowa. A potem szybko zamknęła za sobą drzwi.

Portier zapakował ją do taksówki i w niecałą godzinę później znalazła się na lotnisku Kennedy'ego. Lot do Los Angeles minął spokojnie.

Tania wyszła z domu w samym środku pakowania. Miała już sześć walizek, dwa pudła kapeluszy i dziewięć par kowbojskich butów w rozmaitych odcieniach beżu i brązu. Gospodyni ładowała do autobusu pudła zjedzeniem. Tania kupiła tuzin filmów wideo, żeby miały co oglądać w drodze przez Nevadę i Idaho. Czekala je długa, nużąca jazda, wzięła więc ze sobą nowe scenariusze do przeczytania. Ostatnio zaproponowano jej role w kilku filmach.

Dochodziła jedenasta. Samolot Mary Stuart lądował wprawdzie dopiero o dwunastej trzydzieści, ale Tania chciała zatrzymać się jeszcze w paru sklepach i zrobić ostatnie zakupy.

Kierowca czekał cierpliwie przed domem, kiedy zegnała się z psem, dziękowała gospodyni, przypominając jej o alarmie. Chwyciła kapelusz, torbę, notatnik z adresami i pobiegła do samochodu, piękna z rozwianymi włosami, w białej koszulce, obcisłych džinsach i swoich najstarszych żółtych butach kowbojskich. Kupiła je w Teksasie na swoje szesnaste urodziny i było to po nich widać. Nosiła je przez całe studia i wszyscy znajomi wiedzieli, jak bardzo była do nich przywiązana.

- Dzięki, Tom. - Dała kierowcy znak, że może ruszać. Manewrując ostrożnie potężnym pojazdem minął bramę i wąski podjazd. Autokar był podzielony na dwa duże pomieszczenia; salonik, w kolorze drzewa lękowego, gdzie stały wygodne fotele, dwie kanapy i długi stół na osiem osób, oraz drugi pokój, w odcieniu ciemnej zieleni, który przekształcało się łatwo z salonu w sypialnię. Między jednym pokojem a drugim mieściła się obszerna, funkcjonalna kuchnia i łazienka z białego marmuru. Tania zakupiła ten wehikuł przed wielu laty, po nagraniu swej pierwszej platynowej płyty. Przypominał jacht albo prywatny samolot i prawie tyle samo kosztował.

W drodze będą korzystały z własnej sypialni, a samochód zaparkuje się przed motelem, żeby zakwaterować na noc Toma. Skomplikowany system alarmowy zapewni im bezpieczeństwo. Niekiedy Tania zabierała ze sobą ochronę, ale uznała, że teraz nie będzie jej potrzebna. Cieszyła się na tę podróż i dwudniową pogawędkę z Mary Stuart. Jadąc po dziesięć godzin dziennie powinny dotrzeć do Jack-son Hole następnego dnia na kolację. Zjawili się na lotnisku dziesięć minut przed przylotem Mary Stuart i Tania czekała na nią przy wyjściu, w ciemnych okularach i czarnym kowbojskim kapeluszu. Mary Stuart jak zwykle wyglądała nieskazitelnie, jakby w samolocie odprasowano jej żakiet i przystrzyżono włosy.

- Chciałabym wiedzieć, jak ty to robisz - powiedziała Tania ściskając przyjaciółkę. - Zawsze wyglądasz jak z pudełka.

- To pewnie wrodzone. Dzieci nie mogły mi tego darować. Todd zawsze próbował mnie potargać, żebym wyglądała, jak mówił, bardziej normalnie. - Popatrzyła przepraszająco. Ramię w ramię poszły odebrać bagaż. Stały trochę z boku i już po minucie głowy obecnych odwracały się w ich kierunku, rozległy się szepty i nie wiadomo kiedy otoczyła je grupa nastolatków z długopisami i kartkami papieru.

- Możemy prosić o autograf, panno Thomas? - Popychali się przy tym i chichotali. Była do tego przyzwyczajona i zawsze rozdawała autografy, kiedy ją o to proszono. Wiedziała jednak, że jeżeli postoi tu trochę dłużej, wkrótce otoczą ją fani i w przeciągu paru minut znajdzie się w środku tłumu. Uśmiechnęła się do Mary Stuart, Złożywszy ostatni podpis, szepnęła:

- Musimy stąd iść... za chwilę się zacznie... - powiedziała coś do Toma, a Mary Stuart dała mu swój kwit bagażowy - przywiozła ze sobą tylko jedną torbę - po czym Tania zagnała ją

w stronę wyjścia. Ale od drzwi szła już ku nim spora grupa kobiet i dziewcząt, a dwóch facetów chwyciło Tanie za ramię. Jeden z nich podetknął jej pod nos długopis.

- Hej, Tania, napisz coś dla mnie! Hej, mała, podoba mi się twój tyłeczek. - Zagadywali beczelnie śmiejąc się, bardzo zadowoleni z dowcipu. Tom, zawsze czujny, ruszył w ich stronę.

- Dzięki, chłopcy, innym razem... cześć!...

Zanim Mary Stuart zorientowała się, co się dzieje, były już na zewnątrz, a tu zmierzała ku nim następna grupa ludzi. Przemknęły obok, zanim tłumek zdołał zmienić kierunek. Tom trzymał kluczyki w ręku i otworzywszy autokar wepchnął

Tanie, a za nią Mary Stuart. W jedną sekundę znalazły się w środku, za zamkniętymi drzwiami. Mimo to miały uczucie, jakby cudem uniknęły stratowania. Mary Stuart uzmysłowiła sobie, jak trudne jest życie Tani. Niemal już o tym zapomniała. Takie sceny zdarzały się wszędzie, dokądkolwiek poszła. W sklepie spożywczym, u lekarza, w kinie. Choćby nie wiem jak się kryła, ludzie zawsze ją znaleźli.

- To było okropne - podsumowała Mary Stuart zwięźle.

Tania wyjęła z lodówki dwie coli i uśmiechnęła się do kierowcy.

- Można się przyzwyczaić... Dzięki, Tom. To była szybka akcja.

- Do usług. - Powiedział, że wróci teraz po bagaże Mary Stuart, przypomniał też Tani, żeby nie otwierała drzwi.

- Cholera, a ja myślałam, że stanę w progu i zacznę sprzedawać bilety. - Pokazała w uśmiechu zęby. W czarnym kapeluszu i kowbojskich butach wyglądała jak rodowita Teksanka.

- Bądźcie ostrożne - ostrzegł jeszcze raz na odchodnym. Na chodniku zebrał się już tłumek. Ludzie fotografowali autokar, pokazywali go sobie palcami, chociaż nie mogli zajrzeć do środka, a sam wóz niczym się nie wyróżniał. Był to po prostu długi, elegancki, czarny pojazd bez żadnych oznakowań. Ale wiadomość już się rozeszła. Widziano ją. Zanim Tom wrócił, na chodniku zgromadziło się około pięćdziesięciu hałaśliwych gapiów. Próbowali zatrzymać Toma, wepchnąć się za nim do samochodu, ale był silnym mężczyzną i nie pozwolił na to. Znalazł się w autokarze udaremniając wszelkie tego typu zapędy.

- Jezu! Ci tutejsi ludzie są tacy agresywni! - Tania obserwowała zbiegowisko za oknem. Czasem ją to jeszcze przerażało. Trudno się nie bać, kiedy jest się obiektem polowania. Mary Stuart ogarnęła fala współczucia.

- Jak ty to wytrzymujesz? - zapytała cicho. Usiadły, bo wóz ruszył.

- Sama nie wiem. - Tania odstawiła puszkę na marmurowy blat stolika. - Wytrzymuję, bo muszę. Dobrodziejstwo inwentarza. Szkoda tylko, że nikt cię nie uprzedzi, co może cię czekać kiedy po raz pierwszy chwytasz za mikrofon by śpiewać. Z początku wydawało mi się, że szaleją tak z powodu muzyki. Ale to nieprawda. Po pewnym czasie nie ma to już z muzyką nic wspólnego. Zjedliby cię, gdyby im na to pozwolić. Dają ci swoje uwielbienie, a potem zabierają ci wszystko, co masz, i nigdy już nie zdołasz tego odzyskać. - Wiedziała o czym mówi. Walczyła długo i z samozaparciem, by dobrnąć na szczyt i płaciła wysoką cenę, poświęciła lwią część swojego ja, której już nigdy nie odzyska. Poświęciła zaufanie i miłość, i pracowała ciężiej, niż ktokolwiek, kogo знаła Mary Stuart i w rezultacie pozostała sama na szczycie góry. Nie było to sympatyczne miejsce. Mary Stuart mogła się tylko domyślać, Tania natomiast doświadczyła tego na własnej skórze.

- Powiedz lepiej, co słyhać Stu? Jak lot?... Co u Alyssy? - Tania usadowiła się w wielkim fotelu. Czekala je długa jazda do Winnemucca, w Nevadzie, gdzie zatrzymają się na nocleg.

- U Alyssy wszystko w porządku. Jest w Holandii, zakochana. Wydaje się tak szczęśliwa, że to niemal boli. Bili także dobrze się miewa - odparła nie pytana, ale jej twarz posmutniała. - Jest teraz bardzo zajęty. - nie życzy sobie, żebym do niego przyjechała - dodała w duchu. Nie powiedziała nic więcej, ale można było po niej poznać, że jest nieszczęśliwa.

- A tak w ogóle, to jak sprawy stoją, jeżeli wolno zapytać?

- Nie jestem pewna... - Zawiesiła głos. - Wiele ostatnio myślałam. - Spojrzała w oczy przyjaciółce i przypomniała sobie zwierzenia w Berkeley, godziny przegadane, nie kończące się rozmowy o życiu, o tym, czego naprawdę pragną, te wszystkie marzenia. Tania pragnęła tylko jednego - poślubić Bobby'ego Joe. Mary Stuart życzyła sobie interesującej pracy, wspaniałego męża i dzieci. Wyszła za Billa dwa miesiące po uzyskaniu dyplomu i przez jakiś czas miała wszystko, czego pragnęła. - Wiesz, nie jestem pewna, czy wrócę...

- Do Nowego Jorku? - Tania nie mogła sobie wyobrazić Mary Stuart mieszkającej w Kalifornii. Nie miała tam znajomych, z wyjątkiem Tani, i jej styl, sposób bycia i poglądy na życie były tak inne niż na Wschodnim Wybrzeżu. Byłaby to naprawdę odważna decyzja, ale Mary Stuart zaprzeczyła ruchem głowy.

- Chodzi mi o Billa. Coś się stało, kiedy wyjechał. On chyba uważa, że teraz może robić co mu się żywnie podoba. Na przykład wyjechać na dwa miesiące do Londynu beze mnie, choć mogłabym przecież mu towarzyszyć. Firma opłaciłaby nawet mój pobyt, ale on sobie tego nie życzył. Z drugiej strony oczekuje, że będę zawsze do jego dyspozycji, że będę prowadziła mu dom, odbierała telefony i gotowała dla niego obiad. Natomiast on nie musi już nawet ze mną rozmawiać, troszczyć się o mnie, bywać ze mną gdziekolwiek. Milcząco oskarża mnie wciąż o śmierć Todda. Zachowuje się jak człowiek wolny, z nikim nie związany. To widocznie taka kara dla mnie. Jestem mężatką i zarazem nie jestem. Zostałam skazana na czyszciec. I do tej pory pozwalałam na to, ponieważ czułam się winna. Ale coś się ze mną stało z chwilą, kiedy spakowałam rzeczy Todda. To mnie wyzwoliło. Mam poczucie utraty, czasem dopada mnie rozpacz. - Noc poprzedzającą wyjazd przeplakała. Wiedziała, że prawdopodobnie nie wróci do tego domu taka, jak dawniej. - Nareszcie rozumiem, że nie była to moja wina. Tę straszną decyzję podjął Todd. I nie sądzę, żebym mogła go powstrzymać.

- Naprawdę wierzysz w to, co mówisz? - zapytała Tania z nadzieją. Dokładnie to starała się wpoić przyjaciółce podczas ostatniego z nią spotkania, ale Mary Stuart nie była jeszcze gotowa tego zaakceptować.

- Teraz tak - odparła Mary Stuart cicho. - Ale Bili nigdy w to nie uwierzy. W dalszym ciągu będzie mnie obwiniał, aż do śmierci. - Myśląc o mężu zapatrzyła się w okno. - Nie jesteśmy już małżeństwem, Taniu, wszystko się skończyło. Nie sądzę, żeby Bili był skłonny to przyznać, ale nic nie pozostało z naszego związku.

- Może nie jest jeszcze gotów stawić temu czoło - powiedziała Tania dla porządku, bo w głębi duszy podejrzewała, że przyjaciółka ma rację. To, co opowiedziała jej w Nowym Jorku, brzmiało niemal jak horror. Milczenie, samotność, ból odrzucenia. Fakt, że nie chciał zabrać jej do Londynu, mówił sam za siebie.

- Nie mam do czego wracać. Dużo czasu potrzebowałam, żeby to zrozumieć. A zawsze wydawało mi się, że jesteśmy takim dobrym małżeństwem. Czy

wiesz, jak trudno wyzbyć się tego przekonania? Dwadzieścia dwa lata to niezły wynik. Wydawało mi się, że jesteśmy sobie tacy bliscy, tacy szczęśliwi. To nie do wiary, że jeden cios może rozbić rodzinę. Wydawałoby się, że powinno nas to scementować.

- Tu nie ma żadnej reguły - powiedziała Tania szczerze. - Większość małżeństw nie jest w stanie przetrwać śmierci dziecka. Ludzie oskarżają się wzajemnie albo zamykają w bólu. Sporo o tym czytałam. To, co się z wami stało, wcale nie jest zaskakujące.

- Zupełnie jakby te wcześniejsze lata się nie liczyły. Myślałam, że gromadzimy je jak pieniądze w banku. Na czarną godzinę. Ale kiedy dach domu zwałił się nam nagle na głowę, okazało się, że skarbonka świeci pustkami. - Uśmiechnęła się żałośnie. Godziła się powoli z tą świadomością. Miała mnóstwo czasu na myślenie, odkąd Bili wyjechał. - Nie wydaje mi się, bym mogła wrócić do tego, co przeżywałam przez ten rok, nie sądzę, żeby udało nam się coś zmienić.

- A jeżeli on cię o to poprosi? Spróbujesz? - Chciała wiedzieć Tania. Ona też podobnie jak Mary Stuart, zawsze uważała ich małżeństwo za idealne.

- Nie jestem pewna - odparła Mary Stuart ostrożnie. - Po prostu nie wiem. To wszystko było zbyt bolesne, bym chciała do tego wrócić. Trzeba iść naprzód.

Milczały jakiś czas, podczas gdy samochód pokonywał San Bernardino Mountains. Leżały wyciągnąwszy się każda na swojej kanapie, Tania zdjęła swój kowbojski kapelusz i buty. Był to wspaniały sposób podróżowania.

- Co z Tonym? - zapytała Mary Stuart.

- Nic szczególnego. Zwrócił się do adwokata. Bennett zajmuje się tą sprawą w moim imieniu. Wszystko to jest dość niesmaczne, choć absolutnie przewidywalne. Tony chce dostać dom w Malibu, a ja nie zamierzam mu go sprezentować. Kupiłam go za własne pieniądze, a skończy się na tym, że będę mu jeszcze musiała dać forszę na jego utrzymanie. I nie tylko. Wziął rollsa, chce alimentów i podziału majątku i prawdopodobnie postawi na swoim. Twierdzi, że mój styl życia wyrządził mu szkody moralne i liczy na odszkodowanie. - Wzruszyła lekceważąco ramionami, ale Mary Stuart się zdenerwowała.

- Chyba wstydu nie ma! - Ściągnęła gniewnie brwi. Krew się w niej burzyła na myśl o tym, jak ludzie traktują Tanię. Jakby uważali, że jej pozycja to wszystko usprawiedliwia. Nawet Tony uległ w końcu psychozie. Nikt nie widział w niej człowieka, nikt nie wahał się ograbić ją w biały dzień.

- Ani on, ani inni, jeżeli chodzi o ścisłość. - Tania założyła sobie ręce za głowę. - Tak to już jest.

Również ją to bolało, ale po latach nauczyła się z tym żyć. Był to nieodłączny element egzystencji ludzi sławnych i bogatych. - Czasem wydaje mi się, że przywykłam, a czasem doprowadza mnie to do szału. Mój adwokat powtarza mi wciąż, że chodzi tylko o pieniądze i że nie powinnam się przejmować. Ale to moje pieniądze i moje życie. Haruję jak wół i nie pojmuję, jak to się dzieje, że pewnego dnia jakiś facet wchodzi w moje życie, pośpi ze mną przez jakiś czas, a potem odchodzi zabierając mi połowę tego, co posiadam. Wysoka cena za parę lat z kimś, kto na odchodnym jeszcze cię zdradzi. A moje szkody moralne? Nikt się jakoś nimi nie interesuje. Rozprawa odbędzie się w przyszłym miesiącu, prawdziwa gratka dla dziennikarzy.

- Jak to? Będą tam?! - wykrzyknęła Mary Stuart ze zgrozą. Jak mogli zrobić Tani coś takiego? Ano mogli, skoro robili to przez prawie dwadzieścia lat.

- Oczywiście, że będą. Sale sądowe są otwarte dla prasy i telewizji. Pierwsza Poprawka, pamiętasz? - Uśmiechała się ironicznie, świadoma pułapek swojego zawodu.

- To nie Pierwsza Poprawka, to raczej stek bzdur, i sama o tym wiesz - zaproponowała Mary.  
 - Powiedz to sędziemu. - Tania skrzyżowała nogi w kostkach. Wyglądała wspaniale, mimo że nie było tam nikogo, kto by ją podziwiał, z wyjątkiem przyjaciółki. Był to dla niej cenny okruczeństwo prywatności. Ufała Tomowi. Woził ją od lat i był uosobieniem dyskrecji. Miał żonę i czworo dzieci i nigdy nie powiedział nikomu, dla kogo pracuje. Podziwiał Tanie i zrobiłby chyba wszystko, aby ją ochronić.

- Nie wiem, jak to znosisz - powiedziała Mary Stuart z podziwem. - Oszalałabym po dwóch dniach.

- Nic podobnego. Przyzwyczaiłabyś się, jak ja. Widzisz, to przychodzi stopniowo. Na początku nie jest wcale tak źle, ciężko robi się dopiero po jakimś czasie, a wtedy jest już za późno, za głęboko w tym tkwisz, żeby się wycofać, więc dochodzisz do wniosku, że równie dobrze możesz zostać na resztę przedstawienia. Sama jeszcze nie wiem, czy było warto.

Czasem w to wątpię. A czasem to kocham. - Nie cierpiała wścibstwa, tej całej presji, jaką wywierała na nią prasa, podłości, z jaką się wciąż stykała, ale nadal kochała swoją pracę i jeżeli wytrwała, to dla muzyki, chociaż czasem trudno jej było o tym pamiętać.

Jakiś czas jechały w milczeniu, a potem Tania poszła do kuchni uprażyć kukurydzę.

Późnym popołudniem zjadły kanapki. Zatrzymali się tylko raz, żeby Tom mógł rozprostować nogi i napić się kawy. Tania obejrzała film na wideo, a Mary Stuart ucięła sobie drzemkę, wyczerpana ostatnimi przeżyciami. Od czasu wyjazdu Billa wciąż biła się z myślami, rozważając swą ostateczną życiową decyzję i teraz ją podjęła. Choć było jej smutno, przyniosło jej to ulgę. Nadszedł czas, by ograniczyć straty. Tania nie mogła się z nią nie zgodzić, ale Mary Stuart czekały jeszcze trudne chwile. Nie miała pojęcia jak zareaguje Alyssa, jak przyjmie tę wiadomość Bili. Może jemu także sprawi to ulgę? Może tego pragnął w ciągu ostatniego roku, ale nie miał odwagi jej o tym powiedzieć? Poczekaj więc do sierpnia i powie mu, po jego powrocie z Londynu. A w międzyczasie będzie próbowała zaplanować sobie przyszłość. Po dwóch tygodniach na ranchu, Mary Stuart zamierzała spędzić dwa tygodnie u Tani w Los Angeles, a potem wybrać się w odwiedziny do East Hampton, żeby wyrwać się z miasta. Miała tam wielu znajomych. Zapowiadało się całkiem interesujące lato.

A kiedy ocknęła się z drzemki, zobaczyła uśmiechniętą twarz Tani. Miały już za sobą południową Kalifornię a teraz mknęły przez Nevadę.

- Gdzie teraz jesteśmy? - Mary Stuart usiadła i rozejrzała się wkoło. Była tylko na wpół rozbudzona, ale jak zawsze nienagannie uczesana. Tania przechyliła się przez poręcz fotela i zmierzwiła jej włosy, jak to robiła w szkole i obie roześmiały się beztrudno.

- Wyglądasz na dwanaście lat, Stu. Nienawidzę cię za to! Podczas gdy ja spędziłam połowę życia u chirurga plastycznego, ty wyglądasz tak młodo sama przez się. To oburzające! Po prawdzie obie trzymały się wspaniale i nikt nie dałby im nawet trzydziestu pięciu lat.

- A propo, w zeszłym tygodniu rozmawiałam z Zoe - rzuciła Tania od niechcienia. - Robi zupełnie nieprawdopodobne rzeczy w tej swojej klinice leczenia AIDS w San Francisco. Obie zgodziły się, że to bardzo do niej podobne i ubolewały, że dotąd nie wyszła za mąż.

- Jakoś nigdy nie byłam przekonana o tym, że to zrobi - stwierdziła Mary Stuart w zamyśleniu.

- Nie rozumiem, dlaczego. Miała przecież mnóstwo facetów.

- Tak, ale jej instynkt opiekuńczy brał zawsze górę. Raz były to sieroty w Kambodży, to znów głodujące dzieci w Etiopii, albo uchodźcy z trzeciego świata. Klinika AIDS pasuje do



niej jak ulał. Zoe została stworzona do takiej pracy. Dziwi mnie tylko ta adopcja. Nigdy nie myślałam, że zechce mieć dziecko. Mogę sobie wyobrazić, że umiera dla sprawy, w którą wierzy, ale zupełnie nie widzę jej, jak podciera dziecięcą pupę.

Tania nie mogła się nie roześmiać. Taki obraz Zoe wydawał się bardzo prawdziwy. To Mary Stuart sprzątała zawsze ich pokój w akademiku. Zoe była zwykle zajęta protestami, kontestacją, a Tania rozmawiała godzinami przez telefon z Bobbym Joe albo odbywała próby takiego czy innego koncertu. Sprawy domowe były zawsze domeną Mary Stuart. - Chciałabym się z nią zobaczyć - powiedziała ostrożnie Tania, próbując wy badać sytuację i nastawienie Mary Stuart względem Zoe. Nie traciła nadziei, że jakoś się to ułoży. Serce jej pęknie, gdyby któraś z nich miała odmówić pozostania na ranczo. Tania uznała, że jeżeli ktoś wyjedzie, będzie to najprawdopodobniej Mary Stuart. To ona kiedyś poczuła się dotknięta do żywego słowami Zoe.

Mary Stuart nie odpowiedziała na ostatnią uwagę Tani. Patrzyła przez okno, próbując przywołać wspomnienia. To był dla nich wszystkich trudny, tragiczny okres, tuż przed dyplomami. Jakie smutne zakończenie studiów. Potem nigdy już nie były razem. Mary Stuart nie widywała się z Zoe, choć czasem o niej myślała. Tylko Tania widywała je obie. Żadna też nie pokazała się na rocznicę uzyskania dyplomu. Berkeley było za wielkie, by podobna impreza mogła je przyciągnąć.

Resztę dnia spędziły na czytaniu. Mary Stuart przywiozła ze sobą całą torbę książek, a Tania przeglądała czasopisma, szczęśliwa, że piszą nie o niej. O dziewiątej wieczorem dotarli do Winnemucca. Było to hałaśliwe miasteczko, pełne restauracji i kasyn ciągnących się wzdłuż głównej ulicy. Tom wtoczył autokar na parking motelu Red Lion Inn, gdzie miał zarezerwowany pokój. Tania najchętniej zostałaby w samochodzie, ale Mary Stuart chciała pójść do restauracji na kolację i pograć w automaty. Lokal przypominał bardziej bar kawowy niż restaurację ale stało w nim około pięćdziesięciu automatów i parę stolików do blackjacka

Tania założyła swoje buty, kowbojski kapelusz i czarne okulary. Wozila ze sobą czarną perukę, ale panował upał, a nie lubiła jej zakładać bez wyraźnej konieczności. Stojąc przed lustrem w marmurowej łazience, obie malowały sobie usta. Mary Stuart czuła się odprężona, śmiały się, że idą uprawiać hazard w Win-nemucca.

- Słuchaj, mała, sprawa jest poważna. Możemy rozbić bank. Tylko nie mów o tym Tony'emu - Tania mrugnęła porozumiewawczo. Dziwiła się, jak łatwo przyszło jej porzucić dawne życie, wymazać wszystko, co łączyło ją z Tonym. Ostatnio tak ją zdenerwował, że nawet za nim nie tęskniła. Od czasu do czasu miała jeszcze przeblysk nostalgii, kiedy nachodziły ją wspomnienia dobrych chwil, ale wystarczyło przypomnieć sobie resztę, by się skutecznie uleczyć. Popelniła błąd wychodząc za mąż, romans wystarczyłby w zupełności. To bolało, ale nie tak bardzo jak się początkowo obawiała. Nie wiedziała, czy dlatego, że robi się nieczuła, czy też bierze się to stąd, że nie była to prawdziwa miłość. Cała zażyłość z Tonym rozplywała się powoli we mgle, jakby się w ogóle się nie zdarzyła. Tęskniła tylko za dziećmi.

Wysiadły z wozu pod czujnym okiem Toma. Tania zapewniła go, że zachowają ostrożność. Mógł pójść odpocząć, pograć w automaty, przespać się lub robić na co miał ochotę. Poszedł więc zameldować się w motelu, zaś panie rozmieniły każda po pięćdziesiąt dolarów na ćwierćdolarówki. Świetnie się bawiły przegrywając i wygrywając na przemian, przyglądając się ludziom. Kręciło się tam mnóstwo kobiet o niebieskich włosach, ubranych w kwieciste bluzki z poliestru, z papierosami przyklejonymi w kącikach ust. Mężczyźni

preferowali na ogół blackjacks, ale paru z nich kręciło się również przy automatach. Tania klasnęła w ręce, kiedy wróciło do niej dziesięć ćwierćdolarówek, i mężczyzna grający obok pokazał jej w uśmiechu wszystkie zęby. W chwilę potem był już przy niej. Miał długie chude nogi, biodra w zaniku, opadające dzinsy, dwudniowy zarost i zniszczone ręce. Nosił kapelusz bardzo podobny do tego, jaki miała na głowie Tania.

- Ile wygrałaś? - zapytał tonem kumpelskim i Mary Stuart zerknęła nerwowo na Tanie.

- Parę dolców - odparła, ściągając brwi, jakby skupiała całą uwagę na dwóch pozostałych automatach.

- Czy nikt ci nie mówił, że wyglądasz jak Tania Thomas, tylko że jesteś od niej wyższa i młodsza?

- A tak, dzięki - odparła nie patrząc mu w oczy. Cher powiedziała jej kiedyś, że nikt jej nie rozpozna, dopóki ona sama nie nawiąże kontaktu wzrokowego. Czasem to działało, czasem nie. Miała nadzieję, że poskutkuje tym razem. - Mówiło mi to mnóstwo ludzi. Ale ona jest ode mnie dużo niższa.

- No właśnie. Przecież mówię, jesteś wyższa. Lubisz ją?

- Jest w porządku - powiedziała Tania ze swoim teksańskim akcentem i Mary Stuart z trudem pohamowała śmiech. - Ale śpiewa trochę nudnawo. - Przeciągała strunę, dalej beztrudnie grając w automaty.

- Coś ty! Dobrze śpiewa. Naprawdę ją lubię.

Tania wzruszyła ramionami, a po chwili odeszła od automatów i usiadła przy stole do blackjacksa. Mary Stuart pochylała się ku niej.

Ale masz tupet - szepnęła z uśmiechem.

Tania wygrała dwadzieścia dolarów, dzięki czemu w tym momencie wychodziły na zero. Zgodziły się, że czas wrócić do autokaru, ale przystanęły jeszcze na chwilę, przegrały sto dolarów i to był koniec. Dalej rozpoczynał się hazard. Postanowiły zostać aż do zamknięcia lokalu.

- Inaczej nie ma zabawy - zachichotała Tania. W chwilę później usłyszała, jak jakaś kobieta mówi:

„Patrzcie, to Tania Thomas”, ale mężczyzna, z którym Tania niedawno rozmawiała przy automacie, odparł, że ona tylko tak wygląda, ale jest o wiele wyższa. Kobieta przyznała mu natychmiast rację i nikt już nie podjął tematu.

- młodsza - dodała Tania pod nosem, ale Mary Stuart szturchnęła ją łokciem. Były już pięćdziesiąt dolarów do tyłu. O dziesiątej poszły do restauracji na hamburgera. Gapiło się na nie kilkanaście osób, ale Tania udawała, że nie zwraca na to uwagi. Kelnerka praktycznie nie spuszczała jej z oka, ale nie była pewna, a pytać nie śmiała, dzięki czemu zjadły kolację w spokoju, zupełna rzadkość w życiu Tani. Wróciły potem do sali z automatami i grały prawie do północy. Zostało im czterdzieści dolarów, którymi się podzieliły.

- Rany! Wygrałyśmy czterdzieści dolarów! - zawołała uszczęśliwiona Mary Stuart, kiedy zamknęły za sobą drzwi autokaru.

- Nie, głuptasie, przegrałyśmy sześćdziesiąt - zaśmiała się Tania. - Nie pamiętasz? Na początku miałyśmy sto.

- O!- zmartwiła się Mary Stuart, przechodząc w jednej chwili od zachwytu do rozpacz. Szykując się do snu, dokazywały jak dzieci. Dwie długie kanapy w zielonym salonie na tyłach autokaru zostały zamienione w łóżka rozdzielone dużym stołem.

- Wiesz co, wyglądasz zupełnie jak Tania Thomas! - powiedziała Mary Stuart przeciągając słowa. Tania rozczesywała w łazience swoje długie, jasne włosy. Miała wrażenie, jakby znów były współlokatorkami w akademiku. Wysunęła naprzód podbródek. Przed laty zrobiła sobie mały implant, potem mały liposuction, co odmłodziło jej szyję o kilkanaście lat.

- Ale wyższa i młodsza! - krzyknęły razem, rycząc ze śmiechu.

- Nie zapominaj szczególnie tego „młodsza” - upomniała ją Tania. - Kosztowało mnie majątek.

- Jesteś szurnięta - wykrztusiła Mary Stuart, nakładając koszulę nocną. Nie bawiła się tak od lat i po raz pierwszy od miesięcy nie tęskniła za Billem. Teraz miała już własne życie i fakt, że mąż ją odtrącił, wydawał się smutny, ale już nie istotny. - Nic się nie zmieniłaś - powiedziała, przyglądając się Tani uważnie w lustrze.

Liposucion (ang.) - zabieg kosmetyczny polegający na odsysaniu tkanki tłuszczowej red.)

- W tym sęk - wyjaśniła Tania. - Bardzo bym chciała wiedzieć, dlaczego ty wyglądasz równie dobrze jak ja, skoro, jak twierdzisz, nic w tym kierunku nie zrobiłaś. Myślę, że kłamiesz - stwierdziła, ale nie mogła się łudzić. Mary Stuart miała po prostu lepsze proporcje i regularniejsze rysy twarzy, wspaniałe geny i była piękną kobietą, której uroda nie wymagała korekty.

Rozmawiały w łózkach do drugiej w nocy i obudziły się dopiero o dziewiątej. Tania powiedziała Tomowi, że da mu znać, kiedy będą gotowe.

Podczas gdy Mary Stuart brała prysznic, ona zrobiła kawę i odgrzała słodkie bułeczki w mikrofalówce. O dziewiątej trzydzieści były już ubrane i gotowe do drogi. Wcale nie zawracały sobie głowy makijażem.

- Wiesz, to mi się nie zdarza - przyznała Tania, przyglądając się sobie ze zdziwieniem w lustrze. W Los Angeles nigdy nie wychodziła z domu nie umalowana, nie mogła sobie na to pozwolić. Tutaj nie miało to znaczenia. Już sama świadomość tego drobnego faktu była dla Tani luksusem. - Zawsze się boję, że wpadnę na jakiegoś fotoreportera. Ale tutaj mam to gdzieś.

I ona, podobnie jak Mary Stuart, uwolniła się od przygniatającego ciężaru codziennych nudnych obowiązków.

Zadzwoiła po Toma, że są już prawie gotowe. Złożyły łóżka, Tom miał posprzątać resztę i zatankować benzynę, podczas gdy one wróciły do kasyna, by przegrać pozostałe z wczoraj dolary. Ale tym razem podwoiły posiadaną sumę. Po znajomych z poprzedniego wieczora nie było już śladu, za to na ich miejsce pojawiło się tuzin nowych osób. Tym razem absolutnie nikt nie zwracał na Tanie uwagi. Mary Stuart nie posiadała się ze zdziwienia.

- Może powinnaś częściej wychodzić nie umalowana - zauważyła, kiedy wróciły do autokaru. Tom zaparzył dla nich świeżą kawę.

- Dzięki, Tom - powiedziała Tania widząc dokładnie wysprzątane pokoje. Mary Stuart musiała się z nią zgodzić - był to idealny sposób podróżowania. Doskonale teraz rozumiała, dlaczego Tom nazywał autokar lądowym jachtem.

Parę minut po dziesiątej opuścili Winnemucca i przez całe przedpołudnie przemierzali Nevadę. Pustynia była aż boleśnie naga. Dopiero kiedy wjechali do Idaho, za oknem pojawiła się zieleń. Idaho sprawiało gościniejsze wrażenie. Tania zadzwoniła do biura. Tym razem obyło się bez kryzysu. Nikt od niej nic nie chciał, nie było też nowych procesów.

- Straszne nudy! - poskarżyła się Jean, stwierdziwszy, że panuje zupełny spokój. Tania natomiast była wdzięczna losowi za chwilę oddechu. Jedyna wiadomość pochodziła od Zoe, która potwierdzała swój przyjazd. Planowała znaleźć się w Jackson Hole mniej więcej w tym samym czasie, co one. Hotelowy autobus odbierze ją z lotniska. Tania wyliczyła sobie, że przyjadą na ranczo około piątej trzydzieści, w samą porę, by się przebrać i pójść na kolację. W dalszym ciągu nie wspomniała Mary Stuart słowem o przyjeździe Zoe, choć zaczynała już mieć pewne wątpliwości, czy dobrze zrobiła nie uprzedzając przyjaciółki. Ale Mary Stuart sprawiała wrażenie osoby tak odprężonej, że Tania nie miała serca popsuć jej humoru. Ostatnie godziny przespały, a kiedy się obudziły, olśnił je widok Tetonów. Były to najwspanialsze góry, jakie zdarzyło im się oglądać. Mary Stuart patrzyła na nie w milczeniu, zaś Tania bezwiednie zaczęła nucić a potem śpiewać.

Zapamiętały tę chwilę do końca życia, kiedy zachwycone siedziały trzymając się za ręce, podczas gdy autokar przemknął przez Jackson Hole i skierował się w stronę Moose.

## Rozdział jedenasty

Musisz codziennie sprawdzać zapas AZT - przypominała Zoe Samowi, który nadawał na lotnisku jej bagaż. - Nie masz pojęcia, jak szybko wychodzi. Rozdaję darmo ile tylko mogę. Jest bardzo drogi - ostrzegła podając bilet dziewczynie z linii lotniczych. - musisz cały czas nękać laboratorium o wyniki, inaczej będą się grzebać w nieskończoność. Może się to okazać katastrofalne zwłaszcza w przypadku dzieci. Ważne, żeby jak najprędzej wiedzieć, co dzieje się z białymi płytkami krwi. - Zoe otrzymała bilet z powrotem i Sam poprowadził ją w stronę wejścia do samolotu. Ze ściągniętymi brwiami udzielała mu ostatnich wskazówek, niepewna, czy spamięta to wszystko, na co szczególnie chciała go uczulić.

- Może to będzie dla ciebie wstrząs - powiedział łagodnie, kiedy przechodzili przez wykrywacz metalu. - Ale uczęszczałem do akademii medycznej, a nawet ją ukończyłem. Mam dyplom, naprawdę. Przysięgam. - Uniósł dłoń i Zoe zaśmiała się nerwowo.

- Sam, przepraszam. To silniejsze ode mnie.

- Wiem o tym. Ale musisz spróbować się uspokoić albo dostaniesz ataku serca i nigdy nie wyjedziesz do Wyoming. A ja nie znoszę robić reanimacji w takich miejscach. To takie widowiskowe i wszyscy zaraz myślą, że jestem lekarzem z Erki, a nie skromnym zapchajdziurą. - Żartował sobie z niej i Zoe próbowała się odprężyć, ale po prostu nie była w stanie. Wciąż miała poczucie winy, że zostawia pacjentów, Jadę. Żałowała, że wyjeżdża i gdyby nie obawa, że zrobi z siebie kompletną idiotkę, odwołałaby całą imprezę. Ale obiecała Tani, zresztą co tu mówić, potrzebowała odpoczynku. Inaczej zostałyby w domu i udała się rano do pracy. To samo przedstawienie urządziła w domu z Inge i kiedy Jadę zaczęła płakać, Sam musiał zwlec ją niemal siłą ze schodów.

- Rozumiem już, dlaczego nigdy nie wyjeżdżasz - stwierdził, kiedy usiedli, żeby poczekać na samolot. Zoe była bardzo blada i Sam zastanawiał się, czy znów źle się czuje, czy jest po prostu zdenerwowana. Prawdopodobnie i jedno, i drugie. Cieszył się, że wyprawia ją na wakacje. Z przyjemnością zastąpi ją w klinice. Lubił z nią pracować, ale był skłonny wyrzec się jej towarzystwa na jakiś czas. Rozpaczliwie potrzebowała odpoczynku.

Nie poruszali już tematów osobistych. Od czasu wspólnej kolacji Zoe uważała, by ich rozmowy ograniczały się do spraw czysto zawodowych. Ale Sam się nie poddał. Obiecał

przygotować kolację dla niej i Jadę po jej powrocie z Wyoming. Zoe przyjęła zaproszenie, a to już było coś. Potraktowała to jako okazję do zacieśnienia przyjaźni. Sam miał inne plany.

- Nie zapomnisz zająrzeć do Quinna Morrisona, prawda? Obiecałam mu, że będziesz przychodził każdego popołudnia.

Quinn Morrison był jej ulubionym pacjentem, miłym panem po siedemdziesiątce, którego zarażono AIDS podczas operacji prostaty.

- Przysięgam.

Prócz instrukcji ustnych, Zoe zostawiła mu na biurku mnóstwo pisemnych wskazówek. Spojrzał na nią z czułym uśmiechem, po czym otoczył ramieniem.

- Będę również odwiedzał twoją córkę, by się upewnić, że opiekunka jej nie bije i nie uprawia seksu w twojej sypialni, podczas gdy Jadę ogląda kreskówki.

- O Boże! Nawet o tym nie wspominaj! - Zoe jęknęła. Nigdy nie przyszłoby jej do głowy posądzać Inge o coś podobnego. Sam roześmiał się z jej reakcji.

- Jeżeli natychmiast się nie uspokoisz, zaaplikuję ci valium albo prozac.

- Miła perspektywa. - Właśnie zaczęła brać AZT. Wierzyła, że w profilaktyce działa cuda i zalecała go swoim pacjentom. Powiedziała o tym Samowi, na wypadek, gdyby przyjmował kogoś nowego.

- Naprawdę nie powinnam jechać - zaczęła od nowa i Sam zaproponował jej szybko filiżankę kawy.

- Nie znam drugiej ludzkiej istoty, która by bardziej na to zasługiwała - stwierdził z całą powagą zamawiając dwie cappuccino. - Żałuję tylko, że nie chcesz zostać tam na dwa tygodnie.

Oboje dobrze wiedzieli, że nigdy się na to nie zdobędzie.

- Może w przyszłym roku.

- Jestem pod wrażeniem. Naprawdę wydaje ci się, że mogłabyś to zrobić jeszcze raz? Myślałem, że to jedyna taka okazja w twoim życiu.

Faktycznie mogła to być jedyna okazja w życiu, ale z zupełnie innych powodów, niż się Samowi zdawało.

- Zobaczymy. Może spodoba mi się tam?

- To ci gwarantuję. - Odwiedził swego czasu Park Yellowstone i wrócił zachwycony.

- Zwłaszcza cudowni są podobno kowboje - teraz ona żartowała sobie z niego. Nie był zachwycony pomysłem, ale ucieszył się, że dopisuje jej humor.

- Dobrze sobie. Najpierw mówisz mi, że wstępujesz do zakonu, a teraz jedziesz do Wyoming na podryw kowbojów. Niedoczekanie twoje. Już ja cię kiedyś zastąpię! A może po prostu zaaplikuję twoim pacjentom witaminę C zamiast leków.

- Ani mi się waży!

- Ja też noszę kowbojskie buty, nie wiem czy zauważyłaś. I mogę sobie kupić jeden z tych idiotycznych kapeluszy, jeżeli cię to pociąga. Zabawne, ale nie potrafię wyobrazić sobie w tej roli Dicka Franklina - powiedział z zadumą. Uwielbiał dokuczać jej tą znakomitością w świecie lekarskim, doktorem Franklinem. Osobiście nie przepadał za nim. Uważał go za nabzdyczonego, pretensjonalnego dupka. Na konwencji medycznej mieli odmienne zdanie na temat chirurgicznego leczenia raka piersi i Franklin potraktował Sama jak nowicjusza. Wprawdzie Sam nie był chirurgiem, ale jego opinie były zawsze wyważone. Franklin uważał inaczej.

- Przywiozę ci w prezencie kowbojski kapelusz - obiecała Zoe i Sam uśmiechnął się szeroko. Nie był przekonany o jej wytrwałości w celibacie i zamierzał nawracać do tematu tak często, jak to tylko możliwe.

- Tylko nie przywieź nam tu ze sobajakiegoś poganiacza bydła.

- Zadzwoń - powiedziała, kiedy podstawiono samolot. Leciała do Salt Lake City, gdzie miała przesiadkę do Jackson Hole w stanie Wyoming. Wycyrklowała tak, by przybyć na miejsce niemal równocześnie z Tanią.

- Pozdrów ode mnie swoją przyjaciółkę. Z przyjemnością poznam jakiegdyś osobiście.

- Powiem, żeby do ciebie zadzwoniła - zakpiła. Cały świat chciał poznać Tanie Thomas. Była marzeniem niemal każdego mężczyzny.

Kiedy podniosła torbę podręczną, szykując się do wejścia do samolotu, Sam nagle spoważniał.

- Dbaj o siebie. Musisz wypocząć, panno Z. Wykorzystaj maksymalnie ten czas. Zasłużyłaś sobie na to.

Skinęła głową, wzruszona tym, jak na nią patrzył, niezdolna odpowiedzieć tym samym. Potem zobaczyła, że mruży oczy, głęboko się nad czymś zastanawiając.

- Coś mi przyszło do głowy. Masz może przy sobie podręczną apteczkę? -zapytał z niepokojem.

- Tak, dlaczego? Jest w walizce, ale oddałam ją na bagaż. Potrzebujesz czegoś? - Rozejrzała się po sali. Zazwyczaj nie wrywała się z pomocą w miejscach publicznych, ale spełniała swój obowiązek, jeżeli naprawdę zaistniała taka potrzeba. - Czy jest tu ktoś chory?

- Aha, i to umyślowo. Jesteś na wakacjach, idiotko! Masz mi jej nie wyjmować z walizki!

- Nie zamierzałam biegać z nią po ranczo. Ale wolę mieć ją przy sobie, na wypadek gdyby się coś stało. Nie zabierasz swojej, kiedy wyjeżdżasz? Czuję się bez niej jak bez ręki. - Wiedziała, że on również. Skrzywienie zawodowe.

- Ja to co innego, jestem na zawołanie. - Był lekko zakłopotany i Zoe roześmiała się z jego niepewnej miny. Otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie, ale czuł, że nie pozwoli się pocałować.

- Bądź dobra dla siebie. Postaraj się o nas zapomnieć, jeżeli zdołasz. Zadzwoń do ciebie wtedy, kiedy rzeczywiście będę cię potrzebował.

- Obiecujesz?

Była naprawdę niespokojna, więc Sam obiecał. Dlatego właśnie mogła zostawić klinikę w jego rękach, ponieważ on słuchał, przejmował się i robił zawsze to, czego sobie życzyła. Nie próbował zmieniać świata ani przewracać wszystkiego do góry nogami. Poza tym wierzyła w jego umiejętności. Zawsze uważała, że to niemądrze z jego strony, zadowalać się pozycją lekarza na dochodne.

- Przrzekam, że zadzwonię, jeżeli zajdzie taka potrzeba. Ty za to obiecaj, że odpoczniesz i wrócisz z kilku dodatkowymi kilogramami, nawet gdybyś miała spędzić ten czas na podrywaniu kowbojów. Złap trochę słońca i dużo śpij.

- Tak, panie doktorze. - Uśmiechnęła się i podziękowała mu po raz chyba setny za to, że ją zastąpi, w chwilę później szła już rękawem do samolotu. Machał jej, dopóki nie zniknęła mu z oczu.

Począł, aż samolot wystartuje, a potem wyszedł wolno z lotniska. Ledwo znalazł się za drzwiami, kiedy odezwał się beeper, pobiegł więc do telefonu, żeby zadzwonić do kliniki. W tym czasie Zoe była już w powietrzu i zmierzała w stronę Wyoming.

Lot do Salt Lake City trwał ponad dwie godziny, potem czekała dalsze dwie na następny samolot. Zastanawiała się, czy zadzwonić do Jade, ale uznała, że to tylko zaniepokoi małą, która nie będzie wiedziała gdzie jest matka. Postanowiła więc poczekać z tym, aż dotrze na ranczo. Siedziała na lotnisku, piła kawę, czytała gazety i myślała. Nieczęsto miała na to czas. Telefon od Dicka, który zadzwonił do niej poprzedniego wieczora, wprowadził ją w niemalże zdumienie. Był bardzo poruszony jej listem. Nie poprosił jej jednak o spotkanie, ale powiedział, żeby zadzwoniła do niego, kiedy będzie czegoś potrzebowała. Doceniał jej szczerą, choć nie sprawiał wrażenie osoby zaniepokojonej o własne zdrowie, zapewnił też Zoe, że może być spokojna, dochowa tajemnicy. Zapytał, jak to się stało, a kiedy mu powiedziała, przyznał, że nie czuje się zaskoczony. Odłożyła słuchawkę w przekonaniu, że to koniec ich znajomości. Nie czuła żalu. W jej życiu nie było miejsca dla Dicka Franklina. To był prawdziwy luksus tak siedzieć, bez telefonów, pagerów, pacjentów, nikogo, kto by jej potrzebował, bez konieczności ciągłego troszczenia się o innych. Choć kochała swoją pracę, wiedziała, że spędzi miło wakacje. Tak bardzo chciała nabrać sił. Wiedziała, że będą jej potrzebne. Zamierzała kontynuować pracę aż do końca. Da swoim pacjentom wszystko, co zdoła, do ostatniej chwili. Musiała również zająć się losem Jade. Nie miała rodziny, której mogłaby zostawić córkę, ani przyjaciół na tyle odpowiedzialnych, by powierzyć im swoje dziecko. Zastanawiała się, czy nie porozmawiać z Tanią, ale nie miała pojęcia, jak przyjaciółka zareagowałaby na taką propozycję. Była to jednak jakaś możliwość. Zoe zdawała sobie sprawę, że musi coś przedsięwziąć.

Wylądowała w Jackson Hole punktualnie o piątej trzydziści. Jej bagaże wyjechały na taśmie jako pierwsze, hotelowy kierowca czekał przed budynkiem i wszystko poszło gładko.

Młody człowiek za kierownicą, w dżinsach, kowbojskich butach, kowbojskim kapeluszu wyglądał jak wszyscy w Wyoming. Był wysoki i chudy, miał krótkie jasne włosy a na imię mu było Tim. Pochodził z Missisipi. Studiował na Uniwersytecie Wyoming w Laramie, a latem pracował na ranczo. Powiedział, że lubi to ze względu na konie. W drodze opowiadał jej o ranczo, ale Zoe, jak zahipnotyzowana, spoglądała w niemym zachwycie na góry i nie słyszała prawie co do niej mówi. Nigdy nie widziała czegoś równie pięknego. Późne popołudniowe światło nadawało grzbietom gór odcienie błękitu i różu. Na szczytach leżał śnieg. Tak właśnie wyobrażała sobie szwajcarskie Alpy.

- Są piękne, prawda, proszę pani? Zapierają człowiekowi dech w piersiach.

Całkowicie się z nim zgadzała i pozwoliła mu ględzić jeszcze przez pół godziny.

Powiedział, że jego wujek też jest lekarzem, ortopedą i kiedyś nastawił mu ramię. I to nastawił bardzo dobrze, bo kiedy w zeszłym roku jeździł na rodeo, ramię wcale go nie bolało. Inna sprawa, że złamał drugie, i nogę na dodatek. Ale zapowiedział, że i w tym roku weźmie udział w zawodach. Opowieść miała wyraźny koloryt lokalny.

- A więc macie tu rodeo? - zapytała z zainteresowaniem.

- Tak, proszę panią. W środy i soboty. Ujeżdżanie byków, dzikich koni, pętanie cielaków. Była już pani kiedyś na rodeo?

- Jeszcze nie. - Uśmiechnęła się, pewna, że Tania z pewnością ją tam zabierze. Dużo zawsze opowiadała o rodeo w Teksasie. - Moja przyjaciółka pochodzi z Teksasu.

- A tak - odparł i zmieształ się, jakby powiedział coś niewłaściwego. - Wiem, kim ona jest, ale nie wolno nam o tym rozmawiać na ranczo. Pani Collins strasznie się złości, kiedy jakaś ważna persona źle się u nas czuje, a od czasu, gdy tu pracuję, było już w Moose paru

sławnych ludzi. - Spojrzał na nią porozumiewawczo i Zoe pomyślała, że Tania pewnie dlatego wybrała to miejsce. - Nikomu nie przekazujemy żadnych informacji.

- Ona z pewnością potrafi to docenić - odparła łagodnie.

- Spodziewamy się ich w każdej chwili.

Zoe nie była pewna, kogo młody człowiek ma na myśli - mówiąc „ich”, może kierowcę autokaru? Nie zapytała o to, a parę minut później zjechali z głównej szosy w krętą dróżkę, którą Tim nazwał podjazdem, choć zdawała się ciągnąć w nieskończoność. Upłynęło pełnych dziesięć minut, zanim dotarli do celu i Zoe ujrzała pół tuzina budynków skupionych u podnóża góry; wielką stodołę i kilka obszernych corrali. Budynki, ukryte częściowo pośród drzew, były nienagannie utrzymane, a ponad nimi, po drugiej stronie doliny wznosiły się Tetony.

Tim zaprowadził Zoe do recepcji, gdzie powiedziano jej, że panna Thomas jeszcze nie przyjechała. Dom wyglądał na stary i był bardzo piękny. Na ścianach wisiały łby antylop i bawołów, piękne skóry zwierząt zakrywały podłogi, a okno na całą ścianę ukazywało panoramę gór. Był tam również olbrzymi kominek na wysokość mężczyzny. Wspaniałe miejsce na zimowe wieczory. Zoe zauważyła grupkę gości gawędzących w kącie sali. Recepcjonistka wyjaśniła, że o tej porze większość gości przebywa w swoich bungalowach, gdzie przebierają się do kolacji. A kolacja jest o siódmej.

Zoe wzięła ze stolika stosik broszurek informacyjnych i Tim zawiózł ją do bungalowu. Pod tą skromną nazwą krył się piękny dom dla pięcioosobowej rodziny. Znajdował się tam wielki, przytulny salon z kominkiem i brzuchatym piecem oraz aneks kuchenny. Parter utrzymany był w stylu country z elementami indiańskimi i sprawiał wrażenie żywcem wyjętego z „Architectural Design”. Oprócz salonu mieściły się tam jeszcze trzy duże sypialnie, każda z cudownym widokiem na las i góry.

Dom był piękny i kiedy Tim wniósł jej bagaże, Zoe poczuła się jak rozpieszczona milionerka. Tim zapytał, którą sypialnię wybiera, ale Zoe wołała poczekać z tym na Tanie. Jeden z pokoi wydawał się odrobinę większy niż pozostałe, choć wszystkie trzy były szczytem luksusu, każdy z kominkiem, wielkim łóżem i meblami w stylu pionierskiej chaty. Przez chwilę miała ochotę poskakać na łóżku i podokazywać jak mała dziewczynka. Po wyjściu Tima przespacerowała się po pokojach, zjadła nektarynkę z misy z owocami stojącej na stoliku do kawy. Prócz owoców znalazł się tam koszyk ze świeżutkimi ciasteczkami i pudełko czekoladek. Dyrektor hotelu zadzwonił do sekretarki Tani, chcąc poznać upodobania swojego znakomitego gościa, czego rezultatem były kwiaty, woda mineralna i piwo imbirowe, ciasteczka, właściwy gatunek krakersów i jogurty, które Tania jadła zwykle na śniadanie, a także zatrzęsienie ręczników w łazience i jej ulubione mydło.

- O rany! - powiedziała Zoe na głos, rozglądając się wokół, a potem usiadła na kanapie, żeby poczekać na Tanie. Obejrzała wiadomości w telewizji, wypiła dietetyczną colę i po dziesięciu minutach usłyszała warkot autokaru toczącego się wolno po podjeździe. Stała w drzwiach, niczym pani tego domu, witająca gościa. Z autokaru wysiadła Tania i Zoe pobiegła ku niej. Padły sobie w ramiona i wtedy zobaczyła, że z wozu jeszcze ktoś wysiada. Była zdziwiona, ale nie do tego stopnia, co Mary Stuart. Ta stała jak wrośnięta w ziemię i nie wiedziała, czy ma wrócić do autokaru, czy ruszyć przed siebie podjazdem. Stała więc tylko i patrzyła na Tanie z wściekłością.

- Nie mogę uwierzyć, żeście to zrobiły - powiedziała, ale w mig zorientowała się, że Zoe jest nie mniej zaskoczona jej widokiem. Było oczywiste, że nie należy do spisku.



- To nie jej wina - wtrąciła Tania szybko. Tom zaczął wyładowywać bagaże. -To moja robota. Pozwólcie, że wam wszystko wyjaśnię.

- Nie fatyguj się - odparła Mary Stuart ostro. - Zaraz wyjeżdżam. Zdumiony Tom rzucił Tani pytające spojrzenie. Ale ona była zbyt zajęta przyjaciółkami, by zwrócić na to uwagę.

- To nie fair, Mary Stuart. Mogłabyś chociaż spróbować. Nie byliśmy razem od tak dawna... Pomyślałam...

- Pomyliłaś się. Po tym, co przeszłam przez ten rok!? Nie rozumiem, jak mogłaś mi zrobić coś takiego. To podłość i ty dobrze o tym wiesz.

Łzy zabłyśły w oczach Tani, kiedy pojęła swój egoizm. Chciała mieć przy sobie obie przyjaciółki. Od początku niepokoiła się trochę tym, co zrobiła, ale minęło już przecież ponad dwadzieścia lat, dość czasu by zabiłymi się wszystkie rany.

- Przepraszam cię, Mary Stuart - powiedziała cicho Zoe. - W ogóle nie powinnam tu była przyjeżdżać. Mam mnóstwo zajęć w San Francisco, małe dziecko w domu. Będzie rozsądniej, jeżeli zaraz wyjadę. Nie powinnam była przyjeżdżać

- powtórzyła. - Jeszcze dzisiaj złapię samolot. - Mówiła bardzo cicho i spokojnie. Przez te dwadzieścia lat nauczyła się rozmawiać z ludźmi chorymi, cierpiącymi, często nadmiernie pobudzonymi, potrafiła mówić spokojnie nawet wtedy, gdy emocje ścisnęły jej gardło.

- Nie ma potrzeby - odparła Mary Stuart, czując niejasno, że zachowała się niegrzecznie. Ale była tak zaskoczona widokiem Zoe! - Rano wylecę do Nowego Jorku. - Musiała przyznać, że sprawi jej to ogromną przykrość.

- Obie jesteście wariatki! - zawołała Tania, bliska łez. - Trudno uwierzyć, że można chować urazę przez tyle czasu. Mamy po czterdzieści cztery lata, na litość Boską! Nie macie nic innego do roboty, tylko się wściekać o to, co się zdarzyło, kiedy byliśmy dziećmi? Chryste, prawie codziennie mam do czynienia z takim gównem, ale nie pamiętam nawet, co było w zeszłym tygodniu, a co dopiero przed dwudziestu laty. Dajcie spokój, dziewczyny! - Mary Stuart i Zoe spoglądały na siebie, a Tom wnosił bagaże do domu. Zamierzał zamieszkać w hotelu w Jack-son Hole, na wypadek, gdyby Tania planowała jakieś wycieczki, ale teraz całkiem stracił rozeznanie. - Czy nie mogłybyśmy przedyskutować tego w domu? - Tania była zła i urażona. Trzy kobiety weszły do domu, Tom zaniósł zakupione wiktuały do kuchni i opuścił bungalow.

Stały zakłopotane na środku salonu i Tania zastanawiała się, co ma teraz zrobić.

- Może byśmy przynajmniej usiadły? Denerwujecie mnie. - Spacerowała po pokoju. - Posłuchajcie - powiedziała, kiedy wreszcie usiadły. - Może nie powinnam była tego robić, przepraszam. Widzę, że to był szczeniacki pomysł, ale tak się cieszyłam, że znów będziemy razem. Tęskniłam za wami. Nie mam innych przyjaciół. Poza wami nikomu na świecie na mnie nie zależy. Nie mam męża, nie mam dzieci, a teraz nie mam nawet przybranych dzieci... Mam tylko was... i chciałam, żeby znów było tak, jak dawniej... To wszystko... Może byłam szalona... ale chciałam, żebyście chociaż spróbowały.

- Kochamy cię - powiedziała spokojnie Mary Stuart. Odzyskała już panowanie nad sobą. - Przynajmniej ja cię kocham, a przypuszczam, że i Zoe również, inaczej by jej tutaj nie było. Nie przyjechałyśmy tu jedynie dla górskich widoków i kowbojów.

Zoe uśmiechnęła się i skinęła głową.

- Ale nie kochamy się wzajemnie, Tan. W tym problem. Gdybyśmy tu wszystkie zostały, byłyby to ciężkie dwa tygodnie. - Zoe znowu pokiwała głową i Tania straciła resztę nadziei. Oczekiwała jakiejś reakcji po przyjeździe, ale nie spodziewała się, że obie będą chciały

wyjechać. Zrozumiała, że był to bardzo ryzykowny pomysł i że zrobiłaby lepiej, gdyby zadowolila się towarzystwem jednej z nich.

- Może zostaniecie chociaż na tę noc? - próbowała pertraktować. - Jechałyśmy cały dzień i jesteście wykończone. - Mówiła o sobie i Mary Stuart, po czym zwróciła się do Zoe: - Spędziłaś cały dzień w samolotach i wyglądasz na zmęczoną... To znaczy, tak w ogóle, to wyglądasz świetnie, ale widać, że jesteś skonana. My zresztą też. W końcu nie jesteśmy już młode - próbowała zażartować, ale żadna się nie uśmiechnęła. Zastanawiały się, każda na własną rękę, co powinny zrobić. - Zostańmy razem na jedną noc, a potem zdecydujecie, co dalej. Nie będę robiła afery, jeżeli powiecie mi obie, żebym poszła w diabły, nie pogniewam się. Ale sama też wyjadę. Nie sądzicie chyba, że zostanę tu sama na dwa tygodnie. To byłoby zbyt przygnębiające.

Miejsce okazało się wprawdzie prześliczne i żal by jej było wakacji, ale sama nawarzyła sobie tego piwa.

Zoe odezwała się pierwsza.

- Zostanę na noc. Masz rację. Do San Francisco jest kawał drogi, poza tym nie wiem nawet, czy jest jeszcze dzisiaj jakiś lot. To nie lotnisko Kennedy'ego. - Uśmiechnęła się do Tani i popatrzyła z wahaniem na Mary Stuart. - Czy to ci odpowiada, Stu? - Użyła dawnego zdrobnienia w sposób zupełnie naturalny.

- Jak najbardziej - odparła Mary Stuart uprzejmie. - Wrócę do Nowego Jorku jutro rano.

- O, nie! - rozgniewała się Tania. - Obiecałaś przyjechać do mnie na tydzień do L.A. - Była wściekła. Uważała, że Mary Stuart zachowuje się niepoważnie, ale zdawała sobie sprawę, jak głęboko ją zraniono.

- Wyjadę jutro - oznajmiła Zoe i Tania postanowiła zadowolić się tym, co osiągnęła.

Zostawały na noc, dobry początek, a może do rana zdarzy się cud?

- Które sypialnie wybieracie? - zapytała zdejmując kapelusz i rzucając go na specjalnie do tego przeznaczoną półkę. Pokoje zostały wyposażone we wszystko, czego gość mógł zapragnąć. Były tu płaszcze, buty, rękawice, na wypadek chłodnych poranków. W szafie wisiały poncza przeciwdeszczowe. A wszystko gustowne, luksusowe i dobrze przemyślane. Nawet Tania nie zetknęła się jeszcze z czymś podobnym.

- Podoba mi się tutaj - powiedziała z nieśmiałym uśmiechem i tym razem obie panie odwzajemniły uśmiech. Choć zaskoczone spotkaniem, musiały jednak przyznać, że ranczo jest cudowne, a ich dom przepiękny.

- Czy oni robią to specjalnie dla ciebie, Tan? - zapytała Zoe. - Czy może wszystkich tu tak traktują? - Bardzo w to wątpiła, nigdy dotąd nie widziała tylu dowodów troskliwości o wygodę gościa.

- Myślę, że każdy z tych domów wygląda podobnie - powiedziała Tania, popijając ulubione piwo imbirowe. - W zeszłym tygodniu zadzwonili do mojej sekretarki, żeby zapytać, co jadam i piję, co czytam, jakiego mydła używam, ile poduszek i ręczników mają przygotować, jakie filmy wideo, czy będzie mi potrzebny faks w pokoju, a może dodatkowe linie telefoniczne. Powiedziałam, że jedna linia wystarczy, ale kazałam zainstalować faks i wstawić trzy magnetowidy, nie wiedziałam tylko, jakie są wasze ulubione potrawy. Jeżeli przyjdzie wam na coś ochota, wystarczy im powiedzieć.

- Zdumiewające miejsce - oznajmiła Mary Stuart zaglądając do sypialni. W drodze powrotnej do salonu mało nie wpadła na Zoe.

- Co u ciebie, Stu? - zapytała Zoe z troską, a wyraz jej oczu przeraził Mary Stuart. Było w nich morze bólu i smutku.

- Jakoś leci - powiedziała miękko. Zapragnęła nagle zapytać przyjaciółkę, co robiła przez te minione lata. O klinice wiedziała już od Tani.

- Współczuję ci z powodu syna. - Zoe instynktownie dotknęła jej ramienia. - Tania mi powiedziała... To takie niesprawiedliwe... Stykam się z tym przez cały czas, ale wciąż nie mogę się pogodzić, zwłaszcza kiedy spotyka to tak młodych ludzi. Naprawdę mi przykro.

- Dziękuję, Zoe. - Mary Stuart odwróciła się z oczami pełnymi łez. Nie chciała, by Zoe to dostrzegła, ale ona już odeszła, żeby nie peszyć przyjaciółki.

- Wybrałyście sypialnie? - Tania zobaczyła, że Mary Stuart płacze. Przez chwilę myślała, że się pokłóciły, ale nie sprawiały wrażenia zagniewanych. A więc chodziło o Todda. Uniosła pytająco brwi w stronę Zoe ta skinęła głową.

W końcu powybierały sypialnie. Ta odrobinę większa miała wannę wpuszczaną w podłogę i jacuzzi, i Zoe do spółki z Mary Stuart uparły się, by oddać ten pokój Tani. Zgodziła się w końcu pod warunkiem, że będą korzystały z jacuzzi kiedy tylko zechcą, na co odparły, że to nie ma znaczenia, skoro jutro rano wyjeżdżają. Tania już otwierała usta, żeby im powiedzieć, co o tym sądzi, ale ugryzła się w język. Poszła przebrać się do kolacji i przyjaciółkom nie pozostało nic innego, jak zrobić to samo.

Zoe zadzwoniła do domu i dowiedziała się, że Jadę je właśnie obiad. Inge zapewniła ją, że wszystko idzie gładko i podsunęła słuchawkę Jadę. Mała nawet nie zapłakała słysząc głos matki. Zoe miała ochotę zadzwonić do Sama, ale pomyślała, że jego telefon pewnie się urywa i zrezygnowała.

Parę minut przed siódmą spotkały się w salonie; Tania ubrana w obcisłe zamszowe spodnie, kowbojską koszulę z cekinami i czarne zamszowe buty, kupione specjalnie do tego stroju, Zoe w dżinsach, miękkim bładoniebieskim swetrze i butach do górskiej wspinaczki, Mary Stuart w szarych spodniach, beżowym swetrze i pantofelkach firmy Chanel. Tak jak i dawniej, różniły się między sobą typem urody, stanowiąc zarazem uzupełnienie jedna drugiej. Istniała między nimi nieuchwytna więź, która okazała się silniejsza niż wieloletni rozdźwięk. Tania była przekonana, że gdyby przyjaciółki zdobyły się na szczerść, musiałyby przyznać, że też to czują. Ona miała wrażenie, że jakaś niewidzialna siła przyciągała je ku sobie. Kiedy weszła do salonu, Mary Stuart wypytywała Zoe o jej klinikę. Ta opowiadała z ożywieniem, a Mary Stuart słuchała zafascynowana.

- To ogromne przedsięwzięcie - powiedziała Mary Stuart z podziwem. W drodze do sali jadalnej znowu umilkły, jakby sobie nagle przypomniały, że ze sobą nie rozmawiają. Ale kiedy usiadły przy stole, rozmowa potoczyła się wartko. Tania opowiadała szczegółowo o swojej nowej trasie koncertowej, o filmie, który zamierzała nakręcić, a przyjaciółki słuchały z żywym zainteresowaniem. Było oczywiste, że obie szczerze ją lubią i chcą ją chronić. Dostały stolik w rogu sali i choć wzbudziły ogólne zainteresowanie, nikt nie podszedł, by prosić o autograf, czy zagaic rozmowę, z wyjątkiem szefowej rancza, Charlotte Collins, która przystanęła, by je powitać.

Była niezwykłą kobietą o ujmującym uśmiechu i przenikliwych niebieskich oczach, które zdawały się rejestrować wszystko. Wiedziała doskonale, co każdy z jej pracowników robi w danej chwili, czego życzy sobie gość w tym właśnie momencie. Posiadła sztukę koordynacji działań w niewyobrażalnym stopniu.

Tania była pod wrażeniem całego przedsięwzięcia i nie omieszkała jej o tym powiedzieć.

- Mam nadzieję, że spędzicie tu panie miło czas. To dla nas bardzo ważne - powiedziała szefowa i wyglądała przy tym, jakby jej na tym naprawdę zależało. Ani Zoe, ani Mary Stuart nie miały w tej sytuacji odwagi poprosić o rozkład lotów i powiedzieć, że wyjeżdżają z samego rana.

- Zapytam o to w recepcji po śniadaniu - powiedziała Mary Stuart, kiedy Charlotte Collins odeszła. Jutro będzie dość czasu, żeby ustalić co dalej. Może przecież polecieć do L. A. i zanoć w Beverly Wilshire. Albo do Denver. Trasa Zoe była stosunkowo prosta. Musiała wrócić tą samą drogą, którą tu przybyła.

- Nie chcę teraz o tym rozmawiać - powiedziała Tania sucho. - Chcę, żebyście się najpierw dobrze zastanowiły nad swoim postępowaniem. Czy naprawdę macie obie aż tylu przyjaciół, że możecie pozwolić sobie na utratę kogoś, kogo znacie przez połowę swego życia? - Wiedziała, że nie poróżniły się o drobnostkę, ale nie chciała, aby to trwało wiecznie. Po dwudziestu jeden latach należałoby się w końcu pojednać. Za bardzo się wzajemnie potrzebowały, by dobrowolnie zrezygnować z przyjaźni.

Mówiły więc o czym innym, o Alyssie, o Jadę. Tania i Mary Stuart nie wspomniały nawet słówkiem o swoich mężach. Rozmawiały o podróżach, muzyce i przyjaciółach, o przeczytanych książkach i klinice Zoe, a potem zaczęły snuć wspomnienia z college'u. O ludziach, lubianych i nie lubianych, o znajomych widzianych ostatnio. Sporo chłopców, których znały na pierwszych latach studiów, zginęło w Wietnamie tuż przed podpisaniem pokoju. Utrata przyjaciół w ostatnich godzinach wojny wydawała się czymś szczególnie okrutnym. Kilka osób z ich grupy zmarło na raka. O tych wiedziała Zoe przez znajomych ze środowiska lekarskiego, poza tym mieszkała w San Francisco, a większość dawnych kolegów pozostała w mieście. Żadna z nich nie wspomniała o Ellie. W drodze do bungalowu nadal rozmawiały o dawnych znajomych i dopiero w salonie, wiedząc, że obie myślą o Ellie, Tania uznała, że ktoś wreszcie powinien wypowiedzieć jej imię.

- To nie do wiary, że po tylu latach od śmierci Ellie, nadal mi jej brakuje. - Zapadła długa cisza.

- Przyznaję, że mnie też jej brak - odezwała się w końcu Mary Stuart. W czasach college'u Ellie była ogniwem łączącym ich czwórkę, była sercem ich grupki i zarazem duszą towarzystwa. Była uroczą, postrzeloną dziewczyną, która zrobiłaby wszystko dla zabawy, łącznie z przyjściem na przyjęcie nago, pomalowana od stóp do głów białą farbą. Miewała szalone pomysły i zawsze pobudzała je do śmiechu, aż w końcu zmusiła do płaczu. Jej śmierć złamała im serca. Były przecież najlepszymi przyjaciółkami. Siedziały teraz przywołując odległe wspomnienia. W końcu Zoe przerwała ciszę.

- Żałuję, że nie miałam wtedy tego doświadczenia co dzisiaj - zwróciła się do Mary Stuart. - Nie miałam prawa powiedzieć ci tego, co powiedziałam. Sama nie mogę uwierzyć, że byłam taka młoda i głupia. Często o tym myślałam... Kiedy mój pierwszy pacjent popełnił samobójstwo, chciałam do ciebie napisać. Odebrałam to jak zemstę losu za to, że byłam kiedyś tak okrutna dla ciebie. Jakby Bóg chciał mi dać naukę na temat tego wszystkiego, czego wtedy nie wiedziałam. Że to nie była czyjaś wina, że jeżeli naprawdę chciała się zabić, nie mogłyśmy jej powstrzymać, nie na długo. Byłam cholerną ignorantką. Uważałam, że któraś z nas powinna to przewidzieć, a zwłaszcza ty, skoro byłyście ze sobą najbliżej. Nie rozumiałam jak mogłaś nie wiedzieć, że ona pije, bierze prochy. Musiała to przecież robić przez wiele miesięcy, aż w końcu dokonała tego, co chciała.

Mary Stuart zaczęła płakać. Wydawało jej się, że Zoe mówi o Toddzie, choć przecież dawna przyjaciółka nie wiedziała, w jakich okolicznościach zginął jej syn. Tania otoczyła ją ramieniem.

- Powinnam była do ciebie napisać, Stu - powiedziała Zoe ze łzami w oczach. - Nigdy nie wybaczyłam sobie tego, co ci wtedy powiedziałam. Ty mi pewnie też. I trudno ci się dziwić - powiedziała ze smutkiem.

To je właśnie poróżniło. Zoe naskoczyła wtedy ostro na Mary Stuart i na pogrzebie nie chciała nawet przy niej usiąść. Obarczyła Mary Stuart całą winą za to, że nie zdołała powstrzymać Ellie. Pod ciężarem oskarżeń Mary Stuart uwierzyła Zoe. Minęły lata, zanim zdołała wyzwolić się spod przytłaczającego poczucia winy. To było prawie tak, jakby ją zabiła. A potem, po latach, wszystko wróciło ze zdwojoną siłą wraz ze śmiercią Todda. Tylko że tym razem oskarżał ją Bili, nie Zoe.

- Tak mi przykro - Zoe przeszła przez pokój i usiadła koło Mary Stuart. - Przez cały wieczór chciałam ci to powiedzieć. Nawet jeżeli jutro wyjedziemy, a zwłaszcza wtedy, chcę, żebyś wiedziała, jak bardzo się pomyliłam, jaka byłam bezdennie głupia. Trudno się dziwić, że nienawidziłaś mnie przez te wszystkie lata. - Mówiąc płakała. Bardzo jej teraz zależało na tym, żeby wyznać swoje winy i uzyskać przebaczenie od ludzi, których kiedyś w życiu skrzywdziła. Nie było ich wielu.

- Dziękuję, że mi to powiedziałaś. - Mary Stuart zdławiła szloch. - Ale w głębi duszy zawsze uważałam, że miałaś rację. Jak mogłam nie wiedzieć, co się z nią dzieje? Jak mogłam być tak ślepa? - Te same pytania stawiała sobie po śmierci Todda. Koszmar się powtórzył. Tylko że teraz miało już nie być przebudzenia.

- Ellie była bardzo przebiegła i naprawdę chciała umrzeć - powiedziała Zoe po prostu. Wiele się nauczyła w ciągu tych dwudziestu lat praktyki lekarskiej. - Nie mogłaś jej powstrzymać.

- Chciałabym w to wierzyć - szepnęła Mary Stuart, nie bardzo już wiedząc, o kim mówią, o jej synu, czy o przyjaciółce.

- Ja to wiem - Zoe obstawała przy swoim równie stanowczo jak dwadzieścia lat temu. - Nie chciała, żebyś wiedziała. Nie mogłaś jej powstrzymać.

- Strasznie tego żałuję. - Mary Stuart uporczywie wpatrywała się w swoje dłonie, złożone na kolanach. Tania poczuła się mocno zaniepokojona. - Żałuję, że nie wiedziałam o tym przed rokiem. - Podniosła wzrok i przyjaciółki zobaczyły w nich cierpienie.

- Przed rokiem? - Zoe była zdezorientowana. - Co masz na myśli? Mary Stuart popatrzyła na nią wymownie i Zoe nagle zrozumiała. Serce zamarło jej z żalu. Mogła sobie tylko wyobrazić, ile przyjaciółka przecierpiała.

Najpierw Ellie, potem syn. Ból odżył, tyle że ze zwielokrotnioną siłą. Zoe załkała bezgłośnie.

- Och, Boże! - Pochwyciła przyjaciółkę w ramiona i obie się rozplakały. - Boże... Stu! Jak ogromnie mi przykro...

- To był prawdziwy koszmar! A Bili powiedział mi wtedy to samo, co ty kiedyś. - Płakała jakby serce miało jej pęknąć. - Bili zresztą nadal mnie obwinia. Nienawidzi mnie. Jest teraz w Londynie, wyjechał, ponieważ nie może znieść mojego widoku. Wcale mu się nie dziwię. Uważa, że zabiłam naszego syna, a w najlepszym wypadku pozwoliłam mu umrzeć. Tak jak z Ellie...

- Och, jakaż byłam głupia! - powiedziała Zoe nie wypuszczała Mary Stuart z objęć, ale była to słaba pociecha wobec ogromu jej nieszczęścia. - Miałam dwadzieścia dwa lata i byłam nieopierzoną kretynką. Bili powinien mieć więcej rozumu.
- Jest przekonany, że mogłam powstrzymać Todda.
- Więc ktoś musi mu powiedzieć prawdę o samobójcach. Stu, skoro twój syn postanowił się zabić, nie powstrzymałaby go żadna ludzka siła. Nie dałby ci szansy.
- nie dał. - Mary Stuart wydmuchała nos w chusteczkę, którą podsunęła jej Tania.
- Nie wolno ci się dłużej obwiniać, Stu. Musisz spróbować pogodzić się z tym, co się stało. Choć to takie straszne, nie możesz nic zmienić. Możesz tylko iść naprzód albo zniszczysz siebie i bliskich ci ludzi.
- Prawdę mówiąc, już zniszczyłam. - Ponownie wydmuchała nos i przez łzy uśmiechnęła się do przyjaciółek. - Nic nie pozostało z naszego małżeństwa. Kompletnie nic.
- Ktoś musi porozmawiać z tym facetem.
- Może mój adwokat? - powiedziała Mary Stuart z wisielczym humorem. Powoli przychodziła do siebie. Tania trzymała ją za jedną rękę, Zoe za drugą. -W zasadzie już się zdecydowałam to przeciąć. Powiem mu, kiedy wróci z Londynu.
- Co on tam robi? - zapytała Zoe.
- Prowadzi jakąś ważną sprawę sądową. Potrwa to pewnie ze dwa, trzy miesiące, ale nie chciał, żebym z nim pojechała.
- Zoe uniosła brwi, co nadało jej twarzy dawny ironiczny wyraz. Złagodniała bardzo przez te lata, ale nadal miała w sobie pieprzyk.
- Ma romans?
- Nie przypuszczam. Wprawdzie nie kochaliśmy się od roku, od dnia, kiedy nadeszła wiadomość o śmierci Todda. Od tamtego czasu mnie nie dotknął. To ma być pewnie kara dla mnie. Budzę w nim taki wstręt, że nie jest w stanie zbliżyć się do mnie. Ale wątpię, czy ma kogoś innego. Łatwiej przyszłoby mi zrozumieć zdradę niż to, co się dzieje.
- Niektórzy twardnieją po takim ciosie, to dość typowe. Nie wpływa to jednak korzystnie na małżeństwo.
- Nie za bardzo - Mary Stuart uśmiechnęła się blado. - Zrozumiałam w końcu, czego mi potrzeba. On mi i tak nie wybaczy, więc równie dobrze mogę z tym skończyć od razu. Życie z nim, to jak życie z własną winą, nie stać mnie dłużej na to.
- Albo Bili pójdzie po rozum do głowy, albo musisz go rzucić. Uważam, że postępujesz słusznie - stwierdziła Zoe rzeczowym tonem. - Co z córką? Mary Stuart westchnęła ciężko.
- Pewnie obarczy mnie winą za rozwód. Nie zdaje sobie sprawy, jak źle traktuje mnie jej ojciec, myśli, że jest po prostu bardzo zajęty. Z początku i ja tak myślałam. Ale on dość wyraźnie dał mi do zrozumienia co czuje. Nie mogę mieszkać z nim dłużej, nie zrobię tego nawet dla Alyssy. Nie czuję się już jego żoną. Stale patrzy na mnie tak, jakby mnie chciał uderzyć.
- Więc odejdz - powiedziała Zoe stanowczo. Nie widziały się dwadzieścia dwa lata, ale miały wrażenie, że czas cofnął się do początku ich przyjaźni.
- Będzie ci lepiej bez niego, skoro cię unieszczęśliwiał - dodała łagodnie Tania. - Przeżyjesz to. Ja przeżyłam.
- Byliśmy tak długo małżeństwem. Czy mam te wszystkie lata wyrzucić za okno?
- Zdaje się, że niewiele z tego zostało - uzmysłowiała jej Zoe, a Tania żywo przytaknęła.

Trudno było nie przyznać im racji. Nawet teraz rzadko do niej dzwonił. A jeśli, to starał się jak najprędzej zakończyć rozmowę, ponieważ była tak sztuczna. Ostatnio przerzuciła się na faksy. Na ten, wysłany już z rancza, w ogóle nie odpowiedział.

- Jesteś jeszcze młoda - powiedziała Tania zachęcająco. - Możesz zbudować sobie nowe życie z kimś, kto naprawdę będzie tego chciał.

Mary Stuart skinęła głową, pragnąc w to uwierzyć. Nie mogła sobie wyobrazić, by ktoś taki istniał. Bili podkopał w niej dość skutecznie poczucie własnej wartości.

- Wygląda na to, że nie pozostaje ci nic innego - stwierdziła Zoe.

Mary Stuart w zasadzie przyznawała im rację, nie mogła tylko pogodzić się z myślą, że stało się to niemal po dwudziestu dwóch latach. Drętwiała na samą myśl, że będzie musiała mu to powiedzieć, spakować swoje rzeczy, zawiadomić Alysę o rozwodzie. Nie nęciła jej perspektywa chodzenia na randki. To było niemal nie do pomyślenia. Tania jechała na tym samym wózku, z tą tylko różnicą, że była Tanią Thomas i Mary Stuart powiedziała jej to wprost.

- Żartujesz? Nie umówiłam się z nikim od czasu, gdy Tony odszedł. Wszyscy śmiertelnie się mnie boją. Nikt się ze mną nie umówi, chyba że fryzjer, po to tylko, żeby mieć o czym opowiadać. Jestem jak Everest. Nikt nie chce tam mieszkać, choć każdy chciałby móc powiedzieć, że tam był. - Roześmiały się i Mary Stuart już sama nie wiedziała, czy czuje się teraz lepiej czy gorzej. Rozmowa o jej przyszłości sprawiła, że zamiary stały się czymś konkretnym. Miała wrażenie, że zdradziła Billa, który nie wiedział nawet, co ona planuje. Podczas jego nieobecności miała przynajmniej czas zebrać myśli.

Rozmawiały do późna. Niczego wprowadzić nie rozwiązały, ale odnowiły dawną przyjaźń i nie było już mowy o wyjeździe. Przeprosiny Zoe wiele znaczyły dla Mary Stuart. A Zoe była głęboko poruszona, uświadomiwszy sobie, do jakiego stopnia słowa jej raniły przyjaciółkę przez te wszystkie lata.

To właśnie Zoe odebrała telefon wczesnym rankiem. Przyzwyczajona do telefonów o każdej porze dnia i nocy, potrafiła oprzytomnieć w ciągu sekundy. Zoe i Tania spały dalej.

- Halo?

- Zoe? - To był Sam i pomyślała natychmiast o Jadę. Wyrostek robaczkowy... wypadek... trzęsienie ziemi...

- Co z Jadę?! - To były jej pierwsze słowa. Kochała Jadę jak własną córkę i podlegała tym samym odruchom, co każda naturalna matka.

- Wszystko w porządku. Przepraszam, że cię przestraszyłem. Ale musiałem do ciebie zadzwonić, bo pewnie chciałybyś wiedzieć... - Bolał nad tym, że dzwoni do niej ze złą wiadomością, ale był pewien, że nie wybaczyłaby mu, gdyby tego nie zrobił. - Przed godziną zmarł Quinn Morrison. Bardzo spokojnie, była przy nim rodzina. Zrobiłem wszystko, co tylko możliwe. Serce nie wytrzymało. - W pewnym sensie było to dla niego wybawieniem i ona o tym wiedziała. Ale nie umniejszało to jej smutku i rozplakała się w słuchawkę.

Plakała po nich wszystkich, starych i młodych. Jak po swoich dzieciach. Quinn Morrison miał siedemdziesiąt siedem lat i szczęśliwe życie za sobą. AIDS odebrało mu tylko kilka ostatnich lat, niewiele więcej niż inna choroba w tym wieku. Ale nie opuszczało jej poczucie utraty i klęski. Nawiedzało ją tak często, wirus--morderca zabrał jej już tylu pacjentów.

- Dobrze się czujesz? - zaniepokoił się Sam.

- Tak. Żałuję tylko, że nie byłam przy nim.

- Mogę to sobie wyobrazić. Dlatego zadzwoniłem. On cieszył się, że pojechałaś do Wyoming. - Zoe musiała się uśmiechnąć. To było typowe dla Quinna Morrisona. Przez cały rok mówił jej, że powinna wyjść za męża i mieć dzieci.

- Poza tym wszystko dobrze?

- Peter Williams miał niedobłą noc. Spędziłem u niego godzinę, zanim pojechałem do Quinna. Ma znowu zapalenie płuc. Rano przewiozę go do kliniki.

Peter Williams miał zaledwie trzydzieści jeden lat i był bliski końca. W jego przypadku było to o wiele bardziej bulwersujące, z uwagi na wiek.

- Zdaje się, że miałaś pracowitą noc.

- Normalną - sprostował z uśmiechem. Był w swoim żywiole. Uważał, że po to poszedł na medycynę. - Ale powiedz co u ciebie? Dobrze się bawisz? Spotkałaś już jakiegoś kowboja?

- Tylko jednego. Tego, który odebrał mnie z lotniska. Ma dwanaście lat i dwanaście stóp wzrostu, dzieciak z Missisipi. Nawiasem mówiąc, jest tu niewiarygodnie pięknie.

- Jak twoja przyjaciółka?

- Świetnie. Zgotowała mi małą niespodziankę. Zaprosiła naszą wspólną koleżankę z Berkeley. To długa historia, nie widziałyśmy się prawie dwadzieścia lat. Na mój widok gotowa była wsiąść w najbliższy samolot z powrotem do Nowego Jorku. Ale wczoraj wieczorem zawarłyśmy pokój. Swego czasu zachowałam

się wobec niej naprawdę paskudnie. Nigdy sobie tego nie mogłam wybaczyć. Dobrze, że to już za nami.

- Zdaje się, że i ty też byłaś zajęta.

- A wiesz, że chyba tak.

- Wracaj do łóżka. Przepraszam, że zadzwoniłem tak wcześnie. - W San Francisco była dopiero piąta trzydzieści i Sam właśnie zamierzał się przespać. Ale chciał najpierw powiedzieć jej o Quinnie Morrisonie, wiedząc, że takie byłoby jej życzenie.

- Dzięki za telefon. Jestem ci wdzięczna. Wiem, że zrobiłaś wszystko, co było możliwe. Sama bym tak postąpiła.

Był jej wdzięczny za te słowa. Była wielkoduszną kobietą.

- Dzięki, Zoe. Uważaj na siebie. Zadzwonię wkrótce. - Ale odłożywszy słuchawkę pogрузił się w smutnych myślach. Tak bardzo ją podziwiał, tak bardzo pragnął się do niej zbliżyć, a jednocześnie czuł się tak bezradny. Wyczuwał przy tym jej samotność. Było w niej coś niesłychanie kruche, kryła się z tą wrażliwością i zaczynał się lękać, że jej nigdy nie zdobędzie.

W chwili, gdy kładł się do łóżka, Zoe stała w salonie domu w Moose, w stanie Wyoming, patrząc jak nad Tetonami wschodzi słońce. Myślała o Quinnie Morrisonie i życiu, jakie przypadło mu w udziale. Wokół tyle było cierpienia... Ellie... Todd, ci wszyscy ludzie, którzy umierali na jej oczach. A jednocześnie świat był taki piękny. Ucieszyła się, że tu przyjechała. Cokolwiek się zdarzy, ona widziała słońce wschodzące nad Wielkimi Tetonami. Patrząc na to, nie można było wątpić w istnienie Boga. Podreptała do swojego pokoju i położyła się do łóżka myśląc o Samie i spoglądając na góry.

## Rozdział dwunasty

Po telefonie Sama przysnęła jeszcze, ale obudziła się w chwili, gdy Mary Stuart wyszła ze swojego pokoju. Obie panie w nocnych koszulach spotkały się w kuchni, gdzie Mary robiła kawę. Podniosła wzrok znad ekspresu i uśmiechnęła się. Zoe wydawała się wypoczęta i zadziwiająco młoda.



- Zrobić ci kawy? Jest też herbata, jeżeli masz ochotę. Ale Zoe wolała kawę i przyjęła z rąk Mary Stuart kubek parującego płynu. - Tania wstała? - zapytała Zoe i obie się uśmiechnęły. - Pewne zwyczajnie się nie zmieniają.

Mary Stuart popatrzyła na dawną przyjaciółkę z uwagą. Przez wiele lat były sobie niemal obce.

- Wiesz? Cieszę się, że tu przyjechałam. - Spojrzała Zoe prosto w oczy.

- Ja także, Stu. Żałuję swojej głupoty. Szkoda, że nie porozmawiałyśmy wcześniej. Nie chciałabym, żeby tak zostało między nami.

To trwało stanowczo za długo. Śmierć Ellie przed dwudziestu dwu laty rozdzieliła je na tak długo. Teraz wydawało im się to niepowetowaną stratą czasu.

- Postawię Tani wódkę za to, że cię zaprosiła, nic mi o tym nie mówiąc.

- Sprytna bestyjka, prawda? - Mary Stuart roześmiała się. - Przez całą drogę nie pisnęła ani słowa. Powinnam była się domyślić. Parę razy użyła wprawdzie słowa „my”, a jej sekretarka wspomniała też coś o trzech sypialniach, ale sądziłam, że ma na myśli dzieci. Nie powstało mi w głowie, że zaprosiła jeszcze kogoś. Ten wyjazd był mi bardzo na rękę, gdy Alyssa odwołała naszą podróż po Europie. Nie miałam żadnych planów na lato.

- Mnie też to spadło jak z nieba. - Powiedziała Zoe, przypomniawszy sobie świt w górach po tym, jak Sam zadzwonił do niej z wiadomością o śmierci Quinna Morrisona. Teraz siedziały na ławie we wnęce kuchennej i popijały kawę.

- To chyba musi być ogromnie przygnębiająca praca - powiedziała Mary półgłosem. -

Podziwiam cię, ale jesteś na straconej pozycji. - Nie wyobrażała

sobie, jak Zoe może radzić sobie z tym na co dzień. Choć z drugiej strony traciła pacjentów nie syna.

- Mogę walczyć i na początku często wygrywam. Może ci się to wydawać dziwne, ale nie ma w tym nic przygnębiającego. Człowiek uczy się zadowalać małymi zwycięstwami i nabiera sił do walki. A czasem przegrywa. - Przegrywała bardzo często, to było nieuniknione. Często była to wina okoliczności i nastawienia rodziny. Bywało różnie, jak choćby w przypadku Quinna Morrisona, który dożył późnego wieku. Najbardziej cierpiała przy stracie dzieci i ludzi młodych. Tyle mieliby jeszcze przed sobą życia, tyle do nauczenia się i do dania. Jak ona sama. Ale z tym się jeszcze nie pogodziła.

- Masz szczęście, że tak wcześnie odkryłaś swoje powołanie - powiedziała Mary Stuart z zazdrością.

Gdy przepaść dzieląca je niemal od połowy ich życia przestała istnieć, nietrudno było zrozumieć, dlaczego się kiedyś przyjaźniły.

- Ja też dużo pracuję społecznie w Nowym Jorku, udzielam się w różnych komitetach i szpitalach, myślę też o pójściu do normalnej pracy. Nie wiem wprawdzie, co mogłabym robić. Zawsze byłam tylko żoną i matką.

- Uważasz, że to mało? - Zoe uświadomiła sobie nagle, jak bardzo za nią tęskniła. Bardzo potrzebowała przyjaciół w tym niespodziewanym zwichnięciu swojego życia. Było to tym cenniejsze, że jej czas nagle się skurczył. - Małżeństwo i macierzyństwo to pełnoetatowe zajęcie.

- Cóż, w mojej obecnej sytuacji, ten etap dobiegł końca - stwierdziła Mary Stuart i zdecydowanym ruchem odstawiła kubek. - Alyssa jest dorosła. Todd nie żyje. Nie czuję się już nawet żoną Billa. Mieszkamy wprawdzie pod jednym dachem i jego nazwisko figuruje na moim zeznaniu podatkowym, ale to wszystko, co nas łączy. Nagle stałam się bezużyteczna.

- To nieprawda. Musisz po prostu wytyczyć sobie nowy cel.

- Pytanie jaki. Cały czas szukam odpowiedzi. Dokąd pójść, gdzie zamieszkać, co powiedzieć Billowi, kiedy wróci. W tej chwili nie chcę z nim nawet rozmawiać. On też się pewnie do tego nie pali. Prawie nie dzwoni. Może przeżywa to samo co ja, tylko nie ma odwagi mi tego powiedzieć. Musi przecież rozumieć, że wszystko między nami skończone.

- A może powinnaś go o to zapytać? - Zoe zerknęła na zegarek, a potem na Mary Stuart. Zastanawiała się czy nie obudzić Tani. - O której mamy śniadanie?

- Wydaje mi się, że o ósmej. - Mary Stuart spojrzała na przyjaciółkę z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Była już siódma trzydzieści, a musiały się jeszcze ubrać. - A więc jak? Wyjeżdżasz dzisiaj? - spytała nieśmiało.

Po chwili namysłu Zoe potrząsnęła głową.

- Chyba, że sobie tego życzysz. To zależy od ciebie. Ty przejechałaś największy kawał drogi, więc jeżeli już ktoś miałby wybyć, to właśnie ja. Mary Stuart uśmiechnęła się łagodnie.

- Chcę, żebyś została, Zoe, i sama też chcę zostać. - Powiedziała z prostotą. - Zapomnijmy o wszystkim. Obie kochałyśmy Ellie, a ona z pewnością chciałaby, żebyśmy były razem. Z całej naszej czwórki jej na tym najbardziej zależało. Była najbardziej kochająca z nas wszystkich. Pękłoby jej serce, gdyby wiedziała, że z jej powodu nie rozmawialiśmy ze sobą przez tyle lat.

Zoe zastanawiała się nad czymś ze ściągniętymi brwiami.

- Zasłużyła sobie na pęknięte serce, po tym, co nam wszystkim zrobiła. Myślę, że byłam wtedy dla ciebie taka podła, ponieważ nie wiedziałam, na kim wyładować swój gniew.

- Przeszłam przez to z Toddem. Byłam wściekła na wszystkich, na Alysę, jej znajomych, na siebie, pokojówkę, na psa, na Billa. Jemu dotąd nie przeszło. Już pewnie zawsze będzie wściekły.

- Może się z czasem odblokuje? - tłumaczyła Zoe łagodnie. - Mój gniew trwał bardzo długo, a kiedy mi wreszcie przeszło, ciebie już nie było. Rozeszłyśmy się, każda w swoją stronę. Ty poślubiłaś Billa, ja poszłam do akademii medycznej. Łatwiej mi było machnąć na wszystko ręką, ale popełniłam wielki błąd. Bili pewnie też go teraz popełnia.

Mary Stuart potaknęła głową.

- Dał za wygraną jakiś czas temu, ale ja tego nie zauważyłam. - Zerknęła znowu na zegarek. Dochodziła ósma, a musiały jeszcze ubrać się do śniadania. - Może jednak obudzimy naszą śpiącą królownę? - ze swawolnym chichotem pobiegły do sypialni Tani i zaczęły tarmosić ją na wielkim łóżku.

Tania zareagowała jak ktoś wyrwany ze snu w środku nocy.

- O, Boże... nie... przestańcie! Nienawidzę was... przestańcie! - Zoe łaskotała ją w stopy, a Mary Stuart okładała poduszką. Zachowywały się jak dzieci i Tania bezskutecznie próbowała schować się pod kołdrę- Natychmiast przestańcie! Jest środek nocy, na litość boską! - Zawsze nienawidziła rannego wstawania i trzeba było siłą wyciągać ją z łóżka, żeby zdążyła na zajęcia.

- Wstawaj szybko! - zażądała Mary Stuart. - Śniadanie za piętnaście minut, a w programie pobytu zaznaczono, że o ósmej czterdzieści pięć mamy już być w corralu, żeby wybrać konie. Wyłaż z łóżka i marsz do łazienki!

Tania zdjęła przepaskę z oczu spoglądając to na jedną przyjaciółkę, to na drugą.

- Coś ty powiedziała? Idziecie do corralu? Czy to znaczy, że zostajecie?

- Wygląda na to, że nie mamy wyboru. - Zoe rzuciła Mary Stuart porozumiewawcze spojrzenie. - Jeżeli pojedziemy, prześpisz cały tydzień. Zostaniemy, żeby cię dopilnować. Wiemy, że nie bardzo lubisz konie. Bez nas spędzisz całe wakacje oglądając telewizję w jacuzzi.

- Boże, co za wspaniały pomysł! - Tania uśmiechnęła się uszczęśliwiona i dumna z przyjaciółek, że po tylu straconych latach odzyskały wreszcie zdrowy rozsądek. - No to zajrzyjcie do mnie przed lunchem.

- Zabieraj no tyłek z łóżka, panno Thomas - huknęła Mary Stuart. - Masz dokładnie dwadzieścia minut na umycie zębów, uczesanie się i włożenie ciuchów.

- Chryste, co to jest! Piechota morska? Wiedziałam, że nie powinnam was tu zapraszać. - Gderała uszczęśliwiona. - Powinna byłam zaprosić miłych ludzi, którzy by mnie odpowiednio traktowali. Jestem przecież bardzo ważną osobą.

- A pewnie! Wyłaż z łóżka. Prysznic weźmiesz potem.

- Wspaniale! Do tego wszystko będę jeszcze cuchnęła potem jak koń. To by dopiero była pożywka dla prasy!

Mary Stuart i Zoe wciąż stały nad nią podparte pod boki i Tania chcąc nie chcąc wstała, przeciągnęła się rozkosznie i z jękiem poszła do łazienki.

- Zrobię ci kawy - ofiarowała się Zoe idąc w stronę kuchni. Tania zapaliła halogenki nad lustrem i jęknęła głośno.

- Boże, dziś mam ze dwieście lat i na tyle wyglądam. Niech ktoś natychmiast wezwie chirurga plastycznego!

- Wyglądasz cudownie! - Mary Stuart roześmiała się patrząc na przyjaciółkę. Była tak cholernie piękna i w dodatku nie zdawała sobie z tego sprawy. Tania zawsze uważała, że jest nijaka, co pobudzało Zoe i Mary Stuart do żartów.

- Spójrz tylko, jak ja wyglądam o ósmej rano, bez makijażu - Mary Stuart wykrzywiła się do lustra. - Włosy jej lśniły wyszczotkowane do połysku, cerę miała piękną, usta muśnięte bladą różową szminką. Była w niebieskiej bawełnianej koszuli, dzinsach i w nowiutkich pantoflach z jaszczurczej skóry.

- Chryste! - westchnęła Tania szorując zęby i rozmazując pastę po koszuli nocnej. - Wyglądasz jak modelka z „Yogue”.

- Ona to robi specjalnie, żeby nas zdenerwować - z tym komentarzem Zoe wręczyła Tani filiżankę kawy. Przyzwyczyły się do nienagannego wyglądu Mary Stuart. Nawet w college'u zawsze taka była. Taki już miała styl i wszyscy to lubili. Zwłaszcza faceci. Zoe założyła dzinsy z dziurami na kolanach, stare kowbojskie buty i wygodny beżowy sweter. Ciemnorude włosy ściągnęła do tyłu i wyglądała schludnie, swobodnie i bardzo na miejscu. Ale obie musiały się uśmiechnąć, kiedy pięć minut później Tania wyłoniła się z łazienki. Nawet świeżo wyciągnięta z łóżka i nie umalowana, wyglądała wspaniale. Tania była po prostu gwiazdą. Jej jasne gęste włosy spadały poniżej ramion, tak jak powinny, choć zdążyła zaledwie przejechać po nich grzebieniem. Ubrana w obcisłą białą koszulkę, była tak seksowna, że na jej widok oczy wyłaziły mężczyznom z głowy. Jej dzinsy, nie za luźne i nie za obcisłe, opinały pośladki i szczupłe biodra, podkreślając smukłość nóg. Na nogach miała stare kowbojskie buty, żółtabandannę na szyję, a w uszach zawiesiła złote kółka. Pochwyciła dzinsowy żakiet, okulary przeciwsłoneczne i kowbojski kapelusz, i wyglądała jak chodząca reklama rancza dla turystów.

- Znienawidziłabym cię, gdybym cię tak bardzo nie lubiła - powiedziała Mary Stuart z podziwem. Zoe uśmiechnęła się szeroko. Wszystkie trzy były piękne, bez dwóch zdań. Ale w Tani było coś wyjątkowego.

- Nigdy nie mogłam pojąć, jak ona to robi. - Przyznała Zoe przyglądając się Tani uważnie, z tym samym ciepłym uczuciem podziwu, co Mary Stuart. Nigdy nie było między nimi cienia zazdrości. Były najlepszymi przyjaciółkami, czymś więcej nawet niż siostry. - Zawsze mi się zdawało, powiedziała, kiedy już wyszły z bungalowu - że jeżeli będę uważnie patrzyła, jak ona się ubiera, to w końcu się tego dowiem. - Ale to jest taka sztuczka magiczna. Przyglądasz się milion razy, a i tak przegapisz moment wyciągania królika. Jest jedyną osobą jaką znam,

która wchodzi do łazienki, a trzy minuty później wyłania się z niej jako gwiazda filmowa. Mogłabym tam spędzić tydzień, a wyszłabym wciąż wyglądając dokładnie tak samo, w miarę ładnie i porządnie, włosy uczesane, twarz umyta, makijaż równo położony, ale to nadal będę ja. Podczas kiedy ty wyglądasz jak księżniczka z bajki.

- Cud chirurgii plastycznej - skwitowała Tania z uśmiechem, ciesząc się z komplementów, nie przykładając jednak wagi do nich. Ale to miło ze strony dziewcząt. - Po pewnej ilości zabiegów nie potrzebujesz już makijażu.

- Bzdura - zaprotestowała Mary Stuart. - Wyglądałaś tak samo jako dziewiętnastolatka. Siadałaś rano na łóżku zaspana i wyglądałaś jak poczwarka, ale zanim jeszcze postawiłaś stopę na podłodze, zmieniałaś się w motyla. Wiem doskonale, o co chodzi Zoe. Jesteś zbyt skromna, by to pojąć. Nie wiesz nawet jak wyglądasz i za to cię tym mocniej kochamy.

- O cholera, a ja myślałam, że to przez mój akcent! - Nadal zachowała leciutki akcent teksański, który tak uwielbiali jej fani. - Nie mogę uwierzyć, że pozwoliłam wyciągnąć się z łóżka o tej godzinie. To nie może być zdrowe, zwłaszcza na takiej wysokości. Myślę, że może mi zaszkodzić na serce - utyskiwała Tania, wdrapując się na niewielkie wzgórze, na którym stał główny budynek.

- Doskonale ci to robi - zapewniła ją Zoe mrugnawszy porozumiewawczo do Mary Stuart.

- Ado wysokości, przyzwyczaisz się jeszcze dzisiaj. Bylebyś tylko nie piła alkoholu.

- Dlaczego? - zapytała Tania, nie dlatego, żeby miała ochotę na alkohol, ale ze zwykłej ciekawości.

- Ponieważ urzniesz się w trzy minuty i zrobisz z siebie idiotkę - wyjaśniła Zoe ze śmiechem, a potem przypomniała jej, jak to kiedyś odpłynęła na prywatce i musiały dotaskać ją z Mary Stuart do domu. Puściła potem pawia na łóżko Zoe. Jeszcze teraz po tylu latach, Tania czerwieniła się na to wspomnienie. Próbowwała im wyjaśnić, że miała wówczas gripę, ale Zoe twierdziła z uporem, że była zwyczajnie zalana. Przekomarzając się wkroczyły do sali jadalnej.

Przy długich stołach siedzieli goście, zaspani i przytłoczeni wczesną porą. Zaledwie parę osób sprawiało wrażenie bardziej ożywionych, zapewne ranne ptaszki. Rozeszła się już wieść, że Tania Thomas zatrzymała się w hotelu, ale nikt nie był przygotowany na poranne spotkanie z gwiazdą. Tania weszła do jadalni roześmiana, niewiarygodnie młoda i piękna. Goście przestali jeść i zgodnie wlepili w nią wzrok. Zoe zrobiło się żal przyjaciółki. W całkowitej ciszy przeszły przez salę do swego stolika w rogu. Mary Stuart wraz z Tanią zajęły swoje miejsca, zaś Zoe poszła do bufetu, by przynieść coś do jedzenia. W restauracji zaszumiało jak w ulu.

- Jak myślisz, co by się stało, gdybym nagle wstała i zaryczała jak krowa na pastwisku? - szepnęła Tania. Siedziała plecami do sali, w ciemnych okularach na nosie, ale nawet

widziana od tyłu stanowiła nie lada atrakcję. Była gwiazdą w każdym calu i cały świat o tym wiedziało.

- Myślę, że wrażenie byłoby piorunujące. - Rozmawiały po cichu do chwili, gdy tymczasem wróciła Zoe z talerzem słodkich bułeczek, balansując trzema jogurtami.

- Zamówiłam dla nas jajecznicę i owsiankę - obwieściła. Tania spojrzała na nią ze zgrozą.

- Będę chyba musiała pojechać potem na wczasy odchudzające. Nie mogę jeść czegoś takiego na śniadanie.

- A powinnaś, dla zdrowia - odparła Zoe autorytatywnie. - Pamiętaj, że przystosowujesz się do wysokości i będziesz się dużo ruszać. Zjedz dobre śniadanie. To zalecenie lekarza. - Poszła za własną radą, Tania zaś sięgnęła po jogurt.

- Nie mam zamiaru przytyć pięć kilogramów w dwa tygodnie - powiedziała Tania kapryśnie, ale była bardziej głodna, niż jej się zdawało i w chwilę później sięgnęła po bułeczkę. Zoe poszła do bufetu po więcej, a kiedy wróciła, Tania rzuciła jej posępne spojrzenie.

- Kiepsko, co?

- Masz na myśli jedzenie? Mnie tam smakuje. - Zoe wydawała się zdziwiona. Uważała, że pieczywo i bekon są znakomite, a jajka właśnie wjechały na stół i pachniały smakowicie. Ale Tania nie miała na myśli posiłku, lecz reakcję ludzi.

- Nie chodzi o jedzenie, głuptasie! Ludziska. Już czuję wokół smrodek.

- Ach, o to ci chodzi! - Zoe zerknęła na Mary Stuart i zabrała się do jajek. Nie zamierzała powiedzieć Tani prawdy. - Podejrzewam, że wszystko w normie. Nie przejmuj się.

- Powiedz mi prawdę, żebym wiedziała, czego się spodziewać. Tubylcy przyjacielscy? Miała nadzieję, że wkrótce stracą zainteresowanie. Czasem, kiedy mieszkała gdzieś dłużej, szybko wracali do swoich spraw ale zdarzało się, że musiała zmienić miejsce pobytu, co tym razem nie leżało w jej zamiarach. Nie chciała zwracać na siebie uwagi i marzyła, by wtopić się w tłum. Może tym razem nie wyszło jej to najlepiej.

- No cóż... - Zoe nie mogła się nadziwić, co wstępuje w ludzi, kiedy w pobliżu pojawia się Tania Thomas. - Cztery baby zastanawiają się, czy twoje włosy są prawdziwe, ich mężowie - czy miałaś robione cycki. Jeden gość uwielbia twój tyłek. Trzy kobiety są zdania, że robiłaś lifting twarzy, pięć innych przysięga, że nie. Nastolatki marzą o tym, by zdobyć twój autograf, ale matki zagroziły im, że je zamordują, jeżeli cię o to poproszą. Wszyscy kelnerzy są w tobie zakochani i uważają, że jesteś cudna. O, byłabym zapomniała o Meksykańczyku, który robił jajecznicę. Chciał wiedzieć, czy to prawda, że jesteś z pochodzenia Meksykanką. Powiedziałam, że o ile wiem, to nie. Bardzo był rozczarowany. Tania słuchała z uśmiechem. Wiedziała, że Zoe trochę przesadza, ale nie bardzo. Tak było zawsze. Ale dopóki ludzie zachowywali dystans, mogła z tym żyć. W innym wypadku zepsują jej wakacje.

- Powiedz facetowi, który uwielbia mój tyłek, że jest prawdziwy i że z przyjemnością prześlę jego sekretarce odbitkę ksero.

- A co z cyckami? - zapytała z całą powagą Zoe. - Czy jesteśmy gotowe złożyć oświadczenie w tej sprawie?

- Powiedz im, żeby sobie kupili nowy numer „People”. Tam znajdują wszystko i dużo więcej.

- No to pozostała nam już tylko pewna pani, która chce poznać twój znak zodiaku.

Przysięga, że jesteś Ryba, jak jej siostra. Tak jesteście podobne do siebie, że mogłybyście być bliźniaczkami. Chce ci pokazać jej zdjęcie.

- To nie do wytrzymania! - zawołała Mary Stuart zniecierpliwiona. - Jak ty to znosisz?

- Źle. Trochę mi się rzuciło na umysł. - Tania zanurzyła łyżkę w płatkach owsianych.
- Mówią, że można się przyzwyczaić i może ja się przyzwyczaiłam, tylko o tym nie wiem. Prawdę mówiąc, była w stanie pogodzić się z natręctwem ludzi, o ile nie przekraczało pewnych granic. Niestety, najczęściej przekraczało. Tutaj miała do czynienia z łagodną formą uwielbienia, te znaki zodiaku, pytania, autografy były w gruncie rzeczy nieszkodliwe.
- Oszalałabym - przyznała Zoe. - Cierpię za każdym razem, gdy widzę twoje nazwisko w prasie.
- Ja też - przytaknęła Mary Stuart. - Czasem ściągam gazety w supermarkecie i chowam je w jakiś kąt - powiedziała niemal z dumą i Tania musiała się uśmiechnąć. To zdumiewające, że po dwudziestu latach spędzonych w Hollywood one nadal były jedynymi przyjaciółkami, przy których czuła się bezpieczna.
- Czasem to jeszcze strasznie potrafi zboleć, te bzdury które wypisują o mnie w gazetach. To sprawia, że chciałabym wszystko rzucić, uciec gdzieś i schować się. Czasem mam ochotę wrócić do Teksasu. Ale mój agent mówi, że teraz już przed niczym nie ucieknę. Zabrnęłam za daleko. Mogę wprawdzie odejść, ale to niczego nie zmieni, równie dobrze mogę więc zostać. Tymczasem przynajmniej śpiewam i trochę zarabiam. Mary Stuart roześmiała się. Tani „trochę” dla niej oznaczało fortunę.
- No więc, dobrze, mnóstwo - przyznała Tania. - Należy mi się w końcu jakaś rekompensata, nie?
- To jedna z nich - zauważyła Zoe rozglądając się wokół, wielce zadowolona, że tu przyjechała. - Wiesz, że gdyby nie ty, nie wzięłabym urlopu jeszcze przez jedenaście lat. To wszystko stało się tak nagle...
- Powiedz mi, Zoe, co cię ostatecznie skłoniło do przyjazdu? - Tania już wcześniej chciała o to zapytać. Zoe zawahała się na ułamek sekundy.
- Dostałam grypy i fatalnie się poczułam, a znam znakomitego lekarza, który bierze zastępstwa i w ten sposób zarabia na życie. Można powiedzieć, że to jego specjalność. Nie ma własnej praktyki. W każdym razie zgodził się mnie zastąpić, a raczej zmusił mnie do pójścia na urlop. A ty zaprosiłaś mnie do Wyoming...
- dobrze zrobił - powiedziała Tania. - Czy jest żonaty?
- Nie. Ale on nie z tych, co chodzą na randki z pacjentami, on ich leczy -oznajmiła Zoe. Tania potrafiła być monotematyczna. Jeszcze w college'u pasjonowała się organizowaniem randek w ciemno.
- Pal licha pacjentów. Umawia się z tobą? - Czuły radar Tani wyłapał jakiś sygnał.
- Ależ skąd. Spotykałam się przez pewien czas z chirurgiem, ale nic z tego nie wyszło. Mary Stuart nie wiedziała, że był ktoś w życiu Zoe po śmierci Adama.
- Dlaczego lekarze umawiają się tylko z lekarzami? - dziwiła się Tania. - To zupełnie jaku aktorów. Hermetyczne środowisko.
- Może dlatego, że nikt inny nie byłby w stanie z nami wytrzymać. Zwariowane godziny pracy, ciągłe napięcia. W końcu dość wąskie pole zainteresowań...
- Więc co z tym facetem od zastępstw? Fajny? - zapytała Tania.
- Och, dajcie spokój!- Zoe oblała się rumieńcem, co nie uszło uwagi Tani. -Po prostu razem pracujemy.
- Bzdura! Rumienisz się! - Zoe wierciła się na krześle pod spojrzeniem Tani. -Aha! Musi być fajny i do tego nieżonaty. Jak wygląda?

- Taki miś puchatek. Jest wielki i ma kędzierzawe brązowe włosy, i brązowe oczy. Zadowolona? Raz poszłam z nim na kolację, ale nie będę się z nim umawiała i on o tym wie. Okay?

Mary Stuart śmiała się z nich obu, ale Tania nie zamierzała porzucić interesującego tematu.

- A dlaczego nie? Nie jest chyba homo? Zoe jęknęła.

- Jesteś chwilami beznadziejna. Nie jest homo, zapewniam cię, wygląda OK, jest nieżonaty i ja nie jestem zainteresowana. Koniec tematu. - Była bardzo stanowcza, co nie zrobiło na Tani żadnego wrażenia. Uznała, że Zoe go lubi, mimo że temu zaprzecza.

- Dlaczego nie jesteś zainteresowana? Ma jakąś straszną wadę? Brzydki oddech, paskudne maniery, więzienną przeszłość, czy po prostu się uparłaś? Zoe zawsze była niewiarygodnie wybredna, jeżeli chodziło o mężczyzn.

- Nie mam czasu dla nikogo. Cały dzień pracuję i wychowuję jeszcze córkę.

- Bardzo złe podejście - skarciła ją Tania. - „To nie jest próba kostiumowa” -zacytowała swoje ulubione powiedzonko. - Nie możesz spędzić samotnie reszty życia. To niezdrowo.

- Nie wierzę w to. Kobieta w średnim wieku może robić, co jej się podoba. Jestem chyba za stara, by chodzić na randki. Zresztą, nie chcę.

- Dzięki za ostrzeżenie. - Tania odsunęła talerz. Zjadła wszystko, nawet jajka. - Jesteś ode mnie starsza o rok, co oznacza, że mam jeszcze dwanaście miesięcy, zanim wszystko się skończy. Nawiasem mówiąc, jeżeli zdradzisz komuś ile mam lat, to cię zabiję.

- Nie martw się, nigdy mi nie uwierzą.

- Kto wie! Powiem wtedy, że jesteś nałogową kłamczuchą. A wracając do faceta, jak się nazywa? Bardzo mi się podoba.

- Sam Warner. A ty jesteś maniaczką.

- Powiedz to brukowcom. Lubię go.

- Nic o nim nie wiesz - odparła Zoe stanowczo, próbując zachować spokój. Tani czasem udawało się wyprowadzić ją z równowagi. Miała do tego wyjątkowy talent.

- Czuję, że śmiertelnie się go boisz, co oznacza, że to musi być coś poważnego. Gdyby to był świr, wcale byś się nie przejęła moją gadaniną. Zdajesz sobie po prostu sprawę, że byłby dla ciebie idealny. Jak długo go znasz?

- Pewnie ze dwadzieścia lat. Razem chodziliśmy do Stanfordu. - Zoe nie bardzo wiedziała, dlaczego odpowiada na te wszystkie pytania. Mary Stuart uśmiechała się malując usta. Było znów tak jak w Berkeley. Tam też toczyły takie dyskusje przy śniadaniu. Tania była wtedy zakochana po uszy w Bobbym Joe i uważała, że cały świat powinien żyć miłością, zaręczać się albo stać już przed ołtarzem. Niewiele się zmieniła.

- Znasz go jeszcze z akademii medycznej? Dlaczego nie załatwiłaś tej sprawy wcześniej? - Tania nie mogła tego pojąć.

- Ponieważ oboje byliśmy zaangażowani w inne związki. Na jakiś czas straciłam go z oczu, a teraz ze mną pracuje. Jest naprawdę miłym facetem, ale to wszystko. Będziemy jeździć konno, czy dyskutować o Samie przez cały dzień?

- Myślę, że powinnaś zacząć się z nim umawiać, dać facetowi szansę- orzekła Tania wstając od stołu. Od lat się tak nie ubawiła. - Głosuję za Samem. Przedyskutujemy to potem.

- O, z pewnością - powiedziała Zoe, przewracając oczami.

Wreszcie Mary Stuart udało się zagonić je do corralu. Przyszły jako ostatnie i pojawienie się Tani znów wzbudziło sensację. Szeptano, gapiono się na nią, a dzieci poszturchiwały się i pokazywały ją sobie palcami. Pojawiło się parę aparatów fotograficznych, ale Tania odwróciła się błyskawicznie, z dużą wprawą unikając obiektywów. Nie przeszkadzało jej

pozowanie z fanami, ale nie lubiła ingerencji w życie prywatne, a teraz była zdecydowanie po służbie. Przyjaciółki odgrodziły ją od gapiów i cała trójka stanęła skromnie na uboczu, podczas gdy szefowa stajni wywoływała gości po nazwisku i przydzielała im konie.

Poprzedniego dnia wypełniły zgłoszenie, podając stopień zaawansowania i doświadczeń z końmi. Tania napisała: „Zaawansowana/Nienawidzę koni/Będę jeździła tylko z przyjaciółkami”. Mary Stuart i Zoe reprezentowały poziom średni, przy czym Mary miała więcej doświadczenia, nie jeździła jednak od lat. Żadna nie zamierzała nikomu niczego udowodnić, chciały po prostu pojechać na miłą przejażdżkę. Wiedziały już, że jest zbyt wielu gości, by mogły stworzyć odrębną grupę, ale Tania to nie przeszkadzało. Jeżeli trafią się natręci, to zrezygnuje z jazdy. Ale w tej chwili była gotowa spróbować.

Okazało się, że ich nazwiska wywołano na końcu, prócz nich na placu pozostały już tylko trzy osoby. Szefowa corralu podeszła do Tani, podczas gdy wysoki, ciemnowłosy kowboj wyprowadzał dla niej konia.

- Chcieliśmy, żeby mim się trochę przerzedził. - Liz Thompson była wysoką, chudą kobietą o zniszczonej twarzy i mocnym uścisku dłoni. Dobiegała sześćdziesiątki. - Chcieliśmy zaoszczędzić pani wsiadania na konia przy pełnej widowni. - Była rozsądną osobą i Tania podziękowała jej za taktowne zachowanie. - Ze zgłoszenia wynika, że nie jest pani miłośniczką koni - powiedziała z uśmiechem Liz. - Myślę, że mamy dla pani miłego faceta. - Przez chwilę Tania nie była pewna, czy Liz ma na myśli konia czy kowboja, sądząc jednak z wyglądu mężczyzny siodłającego

dla niej wierzchowca, nie o niego chodziło. Miał około czterdziestki, szerokie barki i mocną budowę ciała. Kiedy podniósł na nią wzrok, zobaczyła, że ma interesującą spaloną słońcem twarz, która spoglądała na nią z zaciekawieniem. Po bliższych oględzinach wydał się jej niemal przystojny. Twarz była może odrobinę za szeroka, podbródek zbyt wysunięty, a jednak rysy układały się w harmonijną całość. Szybko stwierdziła, że mówi z podobnym jak ona akcentem, a kiedy go o to zagadnęła przyznał, że jest z Teksasu. Pochodzili jednak z dwóch różnych krańców stanu i kowboj nie zdradzał ochoty do dalszej rozmowy na ten temat. Większość ludzi próbowała zwykle znaleźć z nią jakiś wspólny mianownik, on zdawał się być zainteresowany wyłącznie usadzeniem jej w siodle. Poprawił strzemiona, ściągnął popręgi i zajął się innymi gośćmi. Ponieważ się nie przedstawił, dowiedziała się jak ma na imię dopiero wtedy, gdy zawołał go któryś z kowbojów. Nazywał się Gordon. Zoe dosiadła klaczy, z pozoru dość żywej, ale Liz zapewniła ją, że koń jest bardzo przyjacielski. Zoe czuła się zaskakująco swobodnie w siodle. Mary Stuart przypałał palomino. Ogier Tani, o imieniu Wielki Maks, był rostry, czarny, miał długą grzywę, długi ogon i przysiadł lekko na zadzie. Tania zaczęła się niepokoić, czy jest on naprawdę tak ospały, jak jej powiedziano. Nie miała ochoty borykać się w górach z dzikim ogierem. Ale Liz zapewniła ją, że Wielki Maks uspokoi się, gdy tylko wyjdzie poza ogrodzenie. Nie lubił corralu. Szefowa zagrody okazywała Tani o wiele więcej troskliwości niż kowboj Gordon, który zajął się trójką innych gości: parą w średnim wieku, którzy przedstawili się jako doktor Smith i doktor Wyman, ale sprawiali wrażenie małżeństwa. Byli nawet do siebie podobni, co nie uszło uwagi Tani. Pozostał jeszcze samotny mężczyzna. Wyglądał na jakieś pięćdziesiąt pięć lat i Mary Stuart mogłaby przysiąc, że skądś go zna. Był wysoki, szczupły, miał szpakowatą czuprynę i bystre niebieskie oczy, które z zainteresowaniem obserwowały uczestników konnej wyprawy. Był przystojnym mężczyzną i nawet Tania zwróciła uwagę na jego wyraziste rysy. On również ją poznał, o czym świadczył tylko przełomy uśmiech.



Nie zbliżył się jednak do niej, traktując wszystkich uczestników jazdy z jednakową uwagą. Byli już w drodze, kiedy Mary Stuart podjechała do Tani.

- Wiesz, kto to jest? - zapytała wskazując ruchem głowy samotnego mężczyznę. W końcu sobie przypomniała. Widziała go już kiedyś, ale wtedy wyglądał inaczej. Tania nie знаła go. Rzuciła w jego kierunku jeszcze jedno spojrzenie i potrząsnęła głową. - To Hartley Bowman. - Umieszczenie tego nazwiska zajęło Tani chwilę, po czym skinęła głową, opanowując chęć obejrzenia się.

- Ten pisarz? - upewniła się.

Dwie jego książki figurowały ostatnio na liście bestsellerów, jedna w sztywnej okładce, druga w miękkiej.

- Żonaty? - wypytywała Tania swojanowojorską przyjaciółkę i Mary Stuart wzniosła tylko oczy ku niebu. Tania była beznadziejnym przypadkiem.

- Wdowiec. - Czytała, bodajże w „Timesie” albo w „Newsweeku”, że jego żona zmarła na raka piersi rok czy dwa lata temu. Jako pisarz był niezwykle poważany. Prezentował się też nieźle i Mary Stuart chętnie nawiązałyby z nim rozmowę, ale nie chciała się narzucać.

Obie przyjaciółki jechały strzemię w strzemię. Tymczasem Zoe nawiązała już rozmowę z lekarskim małżeństwem z Chicago. Tania miała rację. Lekarze zawsze Ignęli do siebie. Oboje byli onkologami, a żona słyszała o klinice i działalności Zoe. Rozmawiali z ożywieniem, podczas gdy konie człapały przez dolinę. Wokół rozciągały się łąki porośnięte żółtym kwieciami, a powyżej wznosiły się ośnieżone szczyty.

Wielkiemu Maksowi znudził się widać krok spacerowy, toteż Tania pozwoliła mu wysforować się naprzód. Mary Stuart została sama, lecz nie na długo.

- Niesamowite, prawda? - usłyszała niespodziewanie blisko obcy głos i aż podskoczyła na siodle. Tania klusowała już w stronę kowboja, a do niej dołączył Hartley Browman.

- Jesteś tu po raz pierwszy? - zapytał swobodnie, jakby byli dawnymi znajomymi, ale na farmie panowała zupełnie nieformalna atmosfera.

- Tak - odparła trochę zmieszana. - Pięknie tu. - Nie mogła się powstrzymać, by na niego nie zerkać. Miał bardzo przyjemną powierzchowność. Zauważyła jego dłonie, kiedy trzymał wodze i angielski styl jazdy. Napomknęła coś na ten temat i Bowman się roześmiał.

- Zawsze czuję się trochę niepewnie w zachodnim siodle. Jeżdżę w Connecticut. Jesteś z Zachodniego Wybrzeża? - Był zaintrygowany nią i towarzystwem, w jakim przebywała. Rozpoznał Tanie natychmiast i zastanawiał się, jaką rolę pełni przy niej Mary Stuart, choć nie chciał o to pytać.

- Jestem z Nowego Jorku. Przyjechałam tylko na dwa tygodnie.

- To tak jak ja. Przyjeżdżam tu co roku. Zawsze bardzo lubiliśmy z żoną to miejsce. Od czasu jej śmierci jestem tu po raz pierwszy. - Mary Stuart podejrzewała, że musi mu być ciężko, ale nie napomknęła na ten temat słowem. - Przybywa tu sporo ludzi ze Wschodu. Warto się przemęczyć taki kawał drogi. Ja przyjeżdżam tu głównie dla gór - wyznał. W gruncie rzeczy wszyscy przyjeżdżali tu dla gór, nawet ci, którzy o tym nie wiedzieli, twierdząc, że przybywają dla koni. - Jest w nich coś kojącego. Nie zamierzałem tu wracać i dlatego nie byłem w ubiegłym roku, ale zrozumiałem, że nie potrafię z tego zrezygnować - powiedział w zamyśleniu, jakby dziwił się sam sobie. - Ostatnio wolę ocean, ale jest coś magicznego w tych górach.

Doskonale go rozumiała. Czowała to już od wczoraj. To pewnie dlatego Jack-son Hole stało się tak popularne w ostatnich latach. Ludzie ciągnęli tu jak do Mekki.

- Zabawne, że to powiedziałaś. - Czują się przy nim zdumiewająco swobodnie, zważywszy, że byli sobie zupełnie obcy. - Też to odczułam zaraz po przyjeździe. Ma się wrażenie, jakby te góry na człowieka czekały... Chciałoby się im opowiedzieć o swoich zmartwieniach, kłopotach a one cię przygarną... - spieszyła się nagle i przerwała, ale on skinął głową ze zrozumieniem.

- Twojej znajomej musi być chyba niełatwo - powiedział łagodnie. - Obserwowałem zachowanie ludzi w jadalni. Z chwilą gdy weszła, ulegli nagłej transformacji, zmieniając się w gromadę żalonych baranów. Nie ma pewnie chwili spokoju. Ludzie cały czas reagują na jej obecność, chcą być w jej pobliżu, próbują wejść w jej orbitę. - Była to interesująca analiza, bardzo prawdziwa, i Mary Stuart spojrzała z podziwem na swego towarzysza.

- To spotyka wszystkich sławnych ludzi - zauważyła, nie chcąc dać poznać po sobie, że wie, z kim rozmawia, i że przeczytała wszystkie jego książki. Nie chciała być natrętna. Po latach zażyłości z Tanią wiedziała, jakie to może być irytujące.

- Rzeczywiście ma to swoje minusy. - Spojrzał na Mary Stuart z uśmiechem. Wyczuł, że go rozpoznała. - Ale to nie moja liga. Istnieje zaledwie garstka ludzi na świecie, którzy mają ten problem, co ona. Choć przyznaję, że Tania Thomas znosi tę udrękę z wdziękiem.

- To prawda.

- Pracujesz z nią? - Nie chciał być wścibski, ale zwyczajnie ciekawiło go, czy te dwie kobiety nie odstępujące Tani Thomas na krok są jej asystentkami.

- Jesteśmy koleżankami ze studiów - wyjaśniła Mary Stuart z uśmiechem.

- I ciągle się przyjaźnicie? To niebываłe. To ci dopiero materiał! Mam na myśli książkę nie prasę brukową- pospieszył z wyjaśnieniem, zanim zdołała się przerazić. - Oboje się roześmiali.

- Życie porządnie ją doświadcza. Jakie to niesprawiedliwe.

- Przestaje się być zwykłym człowiekiem, gdy zostaje się gwiazdą. Przestaje mieć znaczenie, staje się przedmiotem - powiedział ze smutkiem i Mary Stuart skinęła głową.

- Ona tak to właśnie określa. Mówi, że człowiek staje się rzeczą i ludzie mogą mu wtedy wyrządzić dowolną krzywdę. Każdy chwyt jest dozwolony. Sama nie mogę pojąć, jak ona to znosi.

- Musi być silna. - Uśmiechnął się do Mary Stuart, pełen podziwu dla jej nienagannego wyglądu. Podobał mu się jej styl, choć nie ośmieliłby się powiedzieć tego głośno. - Ma szczęście - dodał - posiadając tak dobrych przyjaciół.

- Mamy szczęście, że posiadamy ją. Zresztą to czysty zbieg okoliczności, że znalazłyśmy się tu we trójkę. Decyzja zapadła dosłownie w ostatniej chwili.

- A więc to szczęście dla nas wszystkich. Wasza trójka zdecydowanie podnosi walory krajobrazu. - Pobieglł wzrokiem ku Tani, która kłusowała u boku kowboja. Mary Stuart zauważyła już wcześniej, że tamci nie rozmawiają, po prostu jadą w milczeniu obok siebie.

- Jest rzeczywiście niewiarygodnie piękną kobietą - powiedział z podziwem, a Mary Stuart przytaknęła żywo, bez cienia zazdrości. - Bardzo lubię jej muzykę. Mam wszystkie jej płyty kompaktowe - przyznał lekko zażenowany i Mary Stuart musiała się roześmiać.

- A ja mam wszystkie twoje książki - oznajmiła z triumfem.

- Naprawdę? - Było widoczne, że sprawiło mu to przyjemność. Wyciągnął ku niej rękę i przedstawił się, choć teraz było to niemal zbyteczne. - Hartley Bowman.

- Mary Stuart Walker. - Uścisnęli sobie dłonie ponad końskimi szyjami i jechali dalej w przyjaznym milczeniu.

Tania i kowboj byli daleko w przedzie, trójka lekarzy wlokła się w ogonie, omawiając artykuły w prasie medycznej oraz wyniki ostatnich badań w instytucie onkologii.

Mary Stuart i Hartley mówili o książkach, o Nowym Jorku, literaturze, innych pisarzach a potem o Europie. Mary Stuart przyznała się do córki studiującej w Paryżu. Poruszyli wiele tematów i oboje zdziwili się szczerze, kiedy przewodnik zatoczywszy koło poprowadził ich z powrotem do corralu. Zbliżała się pora lunchu. Hartley i Mary Stuart schodząc z koni jeszcze rozmawiali. Kiedy jednak Tania zsiadła z Wielkiego Maksa i oddała wodze kowbojowi, Mary Stuart zauważyła dziwny grymas na twarzy przyjaciółki.

- Wszystko w porządku? - zapytała.

- Niby tak. Ale ten nasz opiekun jest naprawdę dziwny. Nie odezwał się do mnie ani słowem. Zachowywał się tak, jakbym miała tyfus albo jakąś inną zarazę. Nie cierpi mnie. Mary Stuart rozśmieszyło takie rozpoznanie sytuacji. Nigdy dotąd nie spotkała mężczyzny, któremu Tania nie wpadła w oko, co dopiero mówić o niechęci, i to na pierwszym spotkaniu.

- Może jest po prostu nieśmiały? - zasugerowała. - Wyglądał na dość zadowolonego, choć faktycznie niewiele mówi.

- Często tak bywa - pospieszył z wyjaśnieniem Hartley. - Na początku trudno z nich wycisnąć słowo, a potem są dla nas jak bracia. Zwykle peszą ich ludzie miastowi i są z natury mniej gadatliwi niż my.

- Myślałam, że go może czymś uraziłam - Tania była lekko zaniepokojona.

- Liz przykazała mu pewnie, żeby się odpowiednio zachowywał, nie gadał za dużo. Przebywanie z autentyczną gwiazdą musi być dla nich nie lada przeżyciem. - Uśmiechnął się szczerze i przez chwilę wyglądał jak chłopiec, mimo swoich siwych włosów. - Nawet mnie, weterana, przyprawia to o przyspieszone bicie serca. Mam wszystkie pani płyty kompaktowe, panno Thomas, i uwielbiam je.

- A ja czytałam pana książki i bardzo mi się podobały. - Zawsze odczuwała zaskoczenie, gdy ktoś znany mówił jej, że jest pod wrażeniem tego, co ona robi. Nigdy tego do końca nie zrozumiała. - Naprawdę mi się podobały.

Przyglądali się sobie nieśmiało, zażenowani własnym sukcesem. Oboje byli gwiazdami każde w swojej dziedzinie. Hartley czuł się jednak swobodniej z Mary Stuart niż z Tanią. Wkrótce dołączyła do nich Zoe, bardzo zadowolona z udanego przedpołudnia. Mary Stuart przedstawiła jej Hartleya.

- W czym się specjalizujesz? - zapytał po wstępnych uprzejmościach, kiedy szli powoli do bungalowów, żeby się przebrać przed lunchem.

- AIDS - odparła po prostu. - problemami pochodnymi. Prowadzę własną klinikę w San Francisco.

Skinął głową. Od jakiegoś czasu przemyślał nad napisaniem książki na ten temat, ale zbieranie materiałów szło mu opornie. Problematyka wydawała się tak przygnębiająca. Natomiast zafascynowała go jej praca i zasypał Zoe pytaniami. Pożegnał się niechętnie u drzwi bungalowu, obiecując sobie spotkanie przy lunchu. Poszedł w stronę swojego bungalowu ze spuszczoną głową, zadumany, a Tania odprowadziła go wzrokiem.

- Bardzo interesujący mężczyzna - zauważyła, zdejmując chustkę. Zrobiło się gorąco.

- Szaleje na punkcie twojej muzyki - powiedziała z uśmiechem Mary Stuart. Z przyjemnością ujrzałyby przy boku Tani kogoś takiego jak Hartley, choć prawdę powiedziawszy, niewiele mieli ze sobą wspólnego. Hartley był dżentelmenem w każdym calu, a ponadto typem intelektualisty ze Wschodniego Wybrzeża, światowcem. Tania była o

wiele bardziej żywiołowa, zmysłowa, pełna życia. Mary Stuart uważała, że potrzeba jej kogoś bardziej stanowczego, kto by ją potrafił trochę utemperować.

- Może i szaleje na punkcie mojej muzyki - odparła Tania, o wiele bardziej doświadczona w tych sprawach niż Mary Stuart - ale lubi ciebie, mała. Ma to wypisane na czole. Wzroku nie mógł od ciebie oderwać.

- Bzdura. Jest zaintrygowany całą naszą trójką. No wiecie, takie Aniołki Charlie'ego.

- Założę się o co chcesz, że zdeklaruje się zanim stąd wyjedziesz. - Głos Tani nie znosił sprzeciwu.

Zoe przewróciła tylko oczami. - Jesteście doprawdy obrzydliwe. Tylko wam randki w głowie.

- Tak - przyznała Tania z łobuzerskim uśmiechem. - No i seks. Poczytaj sobie brukowce. - Ale wiedziały, że to nieprawda, Tania miała zdrowe zasady moralne. Zawsze była monogamistką, już od czasów college'u. - Ja tylko mówię, co widzę. Facet ma kota na punkcie Mary Stuart.

- Przecież poznał ją dopiero dziś rano!

- co z tego? Jego żona umarła parę lat temu, zgadza się? Musi być napalony jak cholera, więc uważaj, Stu, bo może być groźny.

Mary Stuart śmiała się patrząc, jak Tania zbiera w garść swoje gęste włosy. Upięła je na czubku głowy, nie spoglądając nawet w lustro. Wyglądała jeszcze seksowniej niż przy śniadaniu.

- Może założysz sobie worek na głowę, co? - Mary Stuart odęła usta z niesmakiem. - Nie wiem, po co tracę czas na czesanie, skoro ty tak wyglądasz nie patrząc nawet w lustro.

- No i co z tego mam? Nawet kowboj nie chce mi poświęcić chwili swojego cennego czasu. Głowę daję, że miał zakneblowane usta. Nawet się nie odezwał. Co za dupek!

- Widzę, że przerzuciłaś się na kowbojów? - Zoe pogroziła jej palcem, a Tania spojrzała na nią wzrokiem skrzywdzonego dziecka.

- Chciałam tylko porozmawiać. Mary Stuart dyskutowała z pisarzem o Tołstoju czy innym Dickensie, ty rozmawiałaś z lekarzami o takich różnych okropnościach, aż mnie zemdliło i pozostał mi tylko Roy Rogers. Mówię wam, ten facet to mruk.

- Lepsze to, niż znikowany fan, który zasypałby cię bzdurnymi pytaniami.

- Pewnie tak, ale to było strasznie nudne.

Usłyszały gong wzywający na lunch i były już w drzwiach bungalowu, kiedy zadzwonił telefon. Popatrzyły po sobie niepewnie. Kusilo je, żeby nie odbierać, ale byłoby to nierozsądne. Zoe podeszła do aparatu. To mógł być Sam, w sprawie jakiegoś pacjenta, albo Jadę. Ale dzwoniła Jean, asystentka Tani. Chodziło o uzgodnienie warunków kontraktu. Tekst umowy przesłany przez Federal Express na życzenie prawnika Tani, należało dokładnie przestudiować i jak najprędzej przesłać do biura. To wystarczyło, by wytrącić Tanie z równowagi.

- Okay. Przejrzę to.

- Prosił też, żebyś to natychmiast odesłała. Poważnie.

- Dobrze, dobrze. Jest jeszcze coś, o czym powinnam wiedzieć?

Okazało się że pracownik, którego swego czasu zwolniła, postanowił wspaniałomyślnie nie podawać jej do sądu, co było ewenementem, „Yogue” i „Harper's Bazaar” chciały zrobić o niej rozkładówki, a jedno z czasopism filmowych zamierzało wydrukować bardzo brzydką historię na jej temat.

- Dzięki za dobre wiadomości - powiedziała zdegustowana. Jeden telefon sprawił, że ogromny zły świat znalazł się u progu bungalowu w stanie Wyoming. Nie mogła się doczekać, kiedy odwiesi słuchawkę i dołączy do przyjaciółek.

- Wszystko w porządku? - Mary Stuart popatrzyła na nią z troską. Tania była znowu spięta.

- Mniej więcej. Ktoś dla odmiany rezygnuje z pozwania mnie przed sąd, a jakieś parszywe czasopismo zamierza opublikować na mój temat kolejną paskudną historyjkę. Nic ważnego. Ale czuła się tak, jakby jej duszę łamano po kawałku niczym stare, zjełczałe ciastko. Ktoregoś dnia nie pozostanie nic. Będzie odtąd żyła bez duszy. Dla tych ludzi nie miało to znaczenia.

- Nie zwracaj uwagi - poradziła jej Zoe. - Po prostu nie czytaj. - W pierwszym okresie funkcjonowania kliniki w prasie pojawiły się krytyczne wypowiedzi, ale to nie było to samo. Artykuły dotyczące Tani były tak osobiste, tak zwykle pełne jadu i zawsze niesmaczne.

- Spróbuj o tym zapomnieć - powiedziała Mary Stuart. Obie przyjaciółki objęły Tanie ramionami i szły tak razem, nie zdając sobie sprawy z wrażenia jakie wywierają. Wszystkie trzy były uderzająco piękne. A z tarasu, nie zauważony, Hartley Bowman obserwował Mary Stuart.

## Rozdział trzynasty

Popołudniowa przejażdżka była równie udana jak poranna, może dlatego, że odbyli ją w tym samym składzie i konfiguracji. Zostali przypisani do kowboja i koni na cały okres pobytu, więc Liz, szefowa corralu, chciała koniecznie wiedzieć, czy są zadowoleni ze swoich wierzchowców i opiekuna. Nikt nie zgłaszał zastrzeżeń.

Zoe gawędziła z lekarzami, a Tania próbowała ich nie słuchać. Zajmował ich temat przeszczepów, co nie było wiele lepsze od porannej dyskusji o złamaniach otwartych. Chcąc zostawić Mary Stuart sam na sam z Hartleyem ponownie dołączyła do kowboja. Przez szereg mil jechali w absolutnym milczeniu. W końcu Tania nie wytrzymała i rzuciła mu spojrzenie znad końskiej grzywy. Nawet tego nie zauważył. Zupełnie jakby nie zdawał sobie sprawy, że ktoś obok niego jedzie. Mogła wedle woli, dotrzymywać mu kroku albo oddalić się, on niczym nie da po sobie poznać, że w ogóle zauważa jej obecność.

- Czy jest we mnie coś, co cię irytuje? - zapytała w końcu, zniecierpliwiona. Zaczynało to już być denerwujące. Nie bawiła się dobrze w jego towarzystwie, nawet go nie lubiła.

- Ależ nie. Skąd to pani przyszło do głowy? - powiedział, nie zmieniając wyrazu twarzy. Myślała, że znowu popadnie w milczenie i miała ochotę przywalić mu butem kowbojskim. Był najbardziej małym facetem, jakiego w życiu spotkała i nie mogła tego znieść. Zwykle ludzie z nią rozmawiali, a przynajmniej na nią patrzyli. Nigdy dotąd nie spotkała się z podobnym brakiem reakcji na swoją osobę. Toteż bardzo się zdziwiła, kiedy przejechawszy kolejne pół mili w milczeniu, Gordon otworzył nagle usta.

- Dobrze pani jeździ.

A więc jednak do niej przemówił. Zerknął nawet na nią kątem oka i natychmiast odwrócił wzrok, jak porażony zbyt ostrym światłem.

- Dziękuję. Ale nie lubię koni. - Ani kowbojów, dodała w myślach. Ani ludzi, którzy nie odzywają się do mnie. Ani ciebie.

- Wyczytałem to w pani zgłoszeniu. Jakiś konkretny powód? Może paskudnie pani spadła? Podejrzała, że wypowiedział więcej słów, niż przewidywała jego roczna norma. Widać było, że się stara. Z pewnością nie należał do ludzi gadatliwych, ale zaczynała

powątpiewać, czy rzeczywiście jest nieśmiały i tak nie przyzwyczajony do ludzi z miasta, jak to sugerował Hartley.

- Nie, nigdy nie spadłam z konia. Uważam po prostu, że konie są głupie. Dużo jeździłam jako dziecko, ale nigdy za tym nie przepadałam.

- Ja wyrosłem na koniu - powiedział beznamiętnie. - Tata pracował na ranczo, a ja razem z nim. - Nie wspomniał, że kiedy miał dziesięć lat, ojciec zmarł i że to on utrzymywał matkę i cztery siostry, do czasu, gdy powychodziły za mąż, że nadal utrzymuje matkę, i że ma syna w Montanie, któremu pomaga. Wbrew temu, co myślała o nim Tania, Gordon Washbaugh był przyzwoitym człowiekiem, a na dodatek rozsądnym i mądrym życiowo.

- Większość ludzi, którzy tu przyjeżdżają, twierdzi, że umie jeździć i naprawdę tak myśli, ale stanowią zagrożenie dla siebie i innych. Pojęcia nie mają o tym, co robią. Łądują też najczęściej w piachu pierwszego dnia. Niewielu jest takich jak pani. - Był to klasyczny eufemizm, z czego Gordon zdawał sobie sprawę. Popatrzył na nią nieśmiało i Tania zobaczyła ze zdumieniem, że Gordon się uśmiecha. - Nigdy dotąd nie jeździłem z kimś tak sławnym. To mnie trochę peszy.

Zaimponował jej swoją szczerością. Ze wstydem przypomniała sobie, co mówiła na jego temat przy lunchu.

- Dlaczego miałoby cię to peszyć? - Nie przypuszczała, że może budzić takie odczucia. Rzadko miała okazję spojrzeć na siebie z tej perspektywy i nie potrafiła zrozumieć, dlaczego ludzie są nią tak zafascynowani, dlaczego się jej boją.

- Nie chciałem strzelić gafy. Mógłbym panią czymś urazić... Roześmiała się niespodziewanie dla samej siebie. Jechali teraz przez wyrąb. Powietrze na tej wysokości było przejrzyste i zobaczyli w oddali kojota.

- Rano mnie rzeczywiście zdenerwowałaś, bo nie chciałeś ze mną rozmawiać - przyznała z niepewnym uśmiechem i Gordon zerknął na nią ciekawie. Nie wiedział, czy może zachowywać się przy niej swobodnie, czy jest faktycznie taka, jaka się wydaje, czy można jej zaufać. - Pomyślałam sobie, że mnie chyba nie lubisz.

- Dlaczego miałbym pani nie lubić? Całe to cholerne ranczo aż kipi, wszyscy chcą panią poznać. Wykupili już płyty kompaktowe z pani nagraniami, chcą autografów. Powiedziano mi, żeby się do pani nie odzywać, i nie zadawać żadnych pytań, nie niepokoić. Pomyślałem więc sobie, że lepiej się w ogóle nie odzywać. Nie chciałem się narzucać. Zauważyłem już, że ludzie robią z siebie idiotów, kiedy pani jest w pobliżu. Próbowałem przekonać szefową, żeby kto inny z panią jeździł. Ja nie jestem zbyt towarzyski.

Był z nią tak szczery, że musiała zrewidować swój stosunek do niego. W gruncie rzeczy lubiła Gordona. Był zdumiewająco schludny i wymowny jak na kowboja.

- Przykro mi, że zraniłem pani uczucia.

Sprowadził nieporozumienie do poziomu rzeczywistych doznań i chętnie by temu zaprzeczyła, ale on rzeczywiście zranił jej uczucia. Zabolęła ją, że jakiś kowboj nie chce z nią rozmawiać. Była to nowa dla Tani sytuacja.

- Wykombinowałem sobie, że lepiej będzie, jeżeli zamknę gębę na kłódkę.

- Proszę jednak wydać z siebie jakiś głos, przynajmniej od czasu do czasu, żebyś wiedziała, że żyjesz. - Powiedziała z krzywym uśmiechem.

- Pewnie cały świat wchodzi pani na głowę. Aż się wierzyć nie chce, co tu wyprawiali przed pani przyjazdem. Musi pani być ciężko - stwierdził trafiając w sedno i Tania bezwiednie skinęła głową.

- O tak. Żebyś wiedział. - Mogła być z nim szczerą, kiedy tak kłusowali przez łąkę pełną polnych kwiatów w stronę wysokich gór. Było w tym coś z poszukiwania prawdy, z nirwany - coś było w tym krajobrazie, co poruszało ją do głębi. Chciała tu przyjechać, żeby sprawić przyjemność dzieciom, potem swoim przyjaciółkom, a w rezultacie sama zaczynała odnajdywać dawno utracony spokój. Już prawie zapomniała, że coś takiego istnieje.

- Wszyscy ci ludzie, którzy wyciągają do człowieka ręce, jakby chcieli wyssać z niego duszę, nawet nie zdają sobie sprawy z tego, że go wykańczają... Czasem wydaje mi się, że pewnego dnia im się to uda, i że mnie w końcu zniszczą.

Historia Johna Lennona zamordowanego przez fana wciąż była żywa w pamięci sławnych ludzi, który tak jak on mieli tłumy fanów. Ale istniały też inne niebezpieczeństwa, na dłuższą metę równie groźne jak pistolet wymierzony w Lennona.

- Żyję w zwariowanym świecie - powiedziała w zamyśleniu. - Na początku tak nie było, ale nie sądzę, żeby się to kiedyś mogło zmienić.

- Powinna pani kupić sobie tutaj posiadłość - powiedział Gordon, patrząc wprost przed siebie na panoramę odległych Tetonów. - Wielu ludzi, takich jak choćby pani, przyjeżdża tutaj, żeby się wyrwać, ukryć na chwilę, odzyskać siły i spokój. Przyjeżdżają tutaj albo do Montany, do Colorado. Zresztą pani mogłaby chyba wrócić do Teksasu? - Uśmiechnął się, a Tania jęknęła.

- Chyba z niego wyrosłam - wyznała.

Gordon roześmiał się dźwięcznie i swobodnie. Taki śmiech doskonale do niego pasował.

- Myślę, że i ja wyrosłam z Teksasu, i to już dawno temu. Za gorąco tam, jakoś zbyt pusto i za dużo kurzu. Wolę Wyoming. Tu mi się o wiele bardziej podoba - powiedział. Nietrudno było zgadnąć, dlaczego. Komu by się tutaj nie podobało!

- Mieszkasz tu przez cały rok? - zapytała. Czas mijał o wiele przyjemniej niż rano. Nawet jeśli mieliby się już więcej nie spotkać, stali się dla siebie ludzkimi istotami. On dowiedział się czegoś o niej, podobnie ona wiedziała już coś o nim. Może napisze o nim piosenkę.

Milczący Kowboj...

- Tak, proszę pani, mieszkam tu stale.

- Powiedz, jak tu jest? - Myślała wciąż jeszcze o piosence.

- Zimno. - Zerknął na nią z ukosa. Była tak piękna, że go to przerażało. Było mu łatwiej mówić, kiedy jej nie widział. - Mamy tu czasem dwadzieścia stóp śniegu. We wrześniu wysyłamy konie na południe. Nie można się wtedy poruszać inaczej jak pługiem śnieżnym.

- Zimą musi tu być okropnie smutno - powiedziała w zamyśleniu. Wyoming zimą był o całe lata świetlne od Bel Air, studiów nagraniowych, filmów, koncertów. Dwadzieścia stóp śniegu... samotny mężczyzna... i pług śnieżny, brr....

- Mnie się podoba. Wynajduję sobie zajęcia, dużo czytam, jest wreszcie czas na myślenie. - Rzucił jej ukośne spojrzenie. - Na słuchanie muzyki.

- Tylko nie mów, że słuchasz mnie siedząc w zaspach przez całą zimę. - Myśl była tak nowa, że ją ubawiła.

- Czasami - wyznał. - Ale innych płyt też słucham. - Lubię muzykę country. Kiedyś słuchałem jazzu. Beethoven, Mozart... - Facet był intrygujący, zdecydowanie źle go oceniła. Chciała zapytać, czy jest żonaty, czy ma rodzinę, z czystej ciekawości, nie dlatego, żeby była nim w jakiś sposób zainteresowana, ale to wydawało jej się zbyt osobiste, mógłby się poczuć urażony. Ustanowił sobie wyraźne granice i nawet się do nich nie zbliżał. Zanim zdążyła mu zadać kolejne pytanie o życie w stanie Wyoming, dołączyli do reszty. Hartley i

Mary Stuart gawędzili swobodnie, wniebowzięci lekarze nadal rozkładali na części pierwsze swoich pacjentów. Była to zaskakująco zgodna grupa i wszyscy poczuli pewien niedosyt, kiedy przejażdżka dobiegła końca. Była czwarta po południu, mogli więc pograć w tenisa, iść w góry albo na basen. Ale przyjaciółki poczuły się wykończone, a po Zoe było to nawet widać. Tania już poprzedniego dnia zauważyła, że Zoe jest dużo bledsza niż za dawnych studenckich czasów. Jej zawsze jasna cera wydawała się niemal biała.

Para lekarzy z Chicago wybrała się na spacer, zaś Hartley odprowadził panie do ich bungalowu. Na progu siedział mały chłopiec. Na jego widok Mary Stuart zadrżała, jakby została przeniesiona w przeszłość. Miał około sześciu lat i zdawał się czekać na kogoś.

- Cześć - zagadnęła go Tania. - Jeździłeś dzisiaj?

- A pewnie - odparł chłopiec, zsuwając na tył głowy czerwony kowbojski kapelusz. - Mój koń nazywa się Rusty.

- A ty jak masz na imię? - zapytała Zoe siadając przy nim na tarasie, wdzięczna za chwilę odpoczynku. Była zupełnie bez tchu.

- Benjamin. Moja mama ma urodzić dziecko, więc nie jeździ na koniu. - Podzielił się skwapliwie tą informacją i Zoe z Tanią wymieniły uśmiechy. Mary Stuart stała trochę z boku i rozmawiała z Hartleyem, ale na jej czole zarysowała się głęboka zmarszczka. Tania wiedziała dlaczego, jeżeli nawet Mary nie w pełni zdawała sobie z tego sprawę. Chłopiec był tak łudząco podobny do Todda w tym wieku, że człowiekowi krajało się serce. Tania zastanawiała się, czy Mary Stuart to widzi, nie odważyła się jednak podzielić spostrzeżeniem z Zoe w obawie, że tamta ją usłyszy. Co dziwniejsze, chłopiec też wpatrywał się w Mary Stuart, jakby ją znał. To było niesamowite.

- Moja ciocia wygląda zupełnie jak ty - obwieścił w końcu z triumfem, wyraźnie zaintrygowany Mary Stuart, chociaż ona jedna nie przemówiła do niego. Nie chciała. Nie odeszła wprawdzie, by uniknąć spotkania, ale i nie wdała się z nim w rozmowę. Bardziej wyczuła niż zobaczyła podobieństwo. A Hartley ujrzał w jej oczach coś, co go zdziwiło.

- Masz dzieci? - zapytał. Tego popołudnia zauważył obrączkę na jej palcu. Niemniej opowieść o wakacyjnych perypetiach nakazywała żywić wątpliwości co do jej stanu cywilnego. Sama Mary nie potrafiłaby go określić.

- Mam córkę... - odparła na jego pytanie o dzieci. - I nieżyjącego syna - dodała niezręcznie. Ujrzał w jej oczach ból i czym prędzej porzucił temat. Odwróciła się od chłopca i weszła do bungalowu z Hartleyem. Nie mogła dłużej znieść widoku dziecka.

- Czy on... - zaryzykował, pragnąc do niej dotrzeć, niepewny, czy w ogóle powinien próbować. - Czy był bardzo mały, kiedy umarł? - Wciąż nie wiedział, czy powinien o to pytać. Ale chciał koniecznie czegoś się o niej dowiedzieć. Syn mógł być przecież powodem jej przyjazdu do Wyoming. Może zginął w wypadku razem z ojcem? A może była jeszcze zamężna? Chętnie dowiedziałby się o niej czegoś więcej. Po całym dniu spędzonym na koniu, nawiązała się między nimi nić przyjaźni. Znaleźli się tak daleko od świata, który znali na co dzień, i w dodatku w tak cudownym otoczeniu. Ale los zbliżył ich do siebie tylko na parę chwil. Mieli niewiele czasu, by się czegoś o sobie dowiedzieć.

- Todd miał dwadzieścia lat, kiedy umarł - powiedziała cicho, zerkając przez okno na chłopca. Rozmawiał ciągle z Zoe i Tanią. - To się wydarzyło w zeszłym roku. - Patrzyła uporczywie na swoje palce.

- Tak mi przykro - powiedział cicho i na chwilę nakrył dłonią jej rękę. Dobrze wiedział, co to ból utraty. Byli z Margaret małżeństwem przez dwadzieścia sześć lat, choć nie mieli



dzieci. Ona nie mogła ich mieć, a on się z tym z czasem pogodził. Niekiedy miał wrażenie, że ich to jeszcze bardziej do siebie zbliżyło. A teraz patrzył na Mary Stuart i mógł sobie tylko wyobrazić przez co przeszła. -To musiał być prawdziwy koszmar. Aż strach pomyśleć. Już śmierć żony była dla mnie czymś strasznym. Myślałem, że mnie to zabije. Co rano dziwiłem się, że wciąż jeszcze żyję. Tak bardzo chciałem umrzeć, że byłem zawiedziony, gdy to się nie stało. Potem przez całą zimę pisałem o tym książkę.

- To pewnie trochę pomaga, kiedy można przelać cierpienie na papier - zauważyła. Usiedli na kanapce w salonie. Stąd nie mogła już widzieć chłopca, choć słyszała, że przyjaciółki z nim rozmawiają. - Szkoda, że ja nie potrafiłam o tym napisać. Ale teraz jest już lepiej. W końcu spakowałam rzeczy syna, choć zrobiłam to dopiero na kilka dni przed przyjazdem tutaj. Wcześniej nie potrafiłam się na to zdobyć.

- Mnie zabrało to całe dwa lata - przyznał uczciwie. Od czasu śmierci żony umówił się tylko z dwiema kobietami i obie znienawidził za to, że nie były Margaret. Wiedział ile trzeba wycierpieć, żeby się w końcu przystosować. Nadal jednak nie dowiedział się nic na temat jej męża. - Twój mąż też musiał to pewnie ciężko przeżyć. - Zapukał sondę, ale tak delikatnie, że nawet tego nie zauważyła. Nosila wprawdzie obrączkę, ale nigdy nie wspominała o mężu.

- Było mu ciężko. - Postanowiła, że będzie z nim szczerą. - Nasze małżeństwo tego nie przetrwało. Hartley skinął głową.

- Podobnie stało się z małżeństwem mego kuzyna. - Gdzie on teraz jest?

- W Londynie.

Hartley ponownie skinął głową. Tylko to chciał wiedzieć. Z wypowiedzi Mary Stuart wywnioskował, że Bili tam mieszka.

Sama nie bardzo wiedziała, dlaczego Hartley zadaje jej te wszystkie pytania. Po namyśle uznała, że jest to pewnie przyjacielski odruch. Upłynęło dość dużo czasu, odkąd obcy mężczyzna okazał jej zainteresowanie, i nie uświadamiała sobie, że dzieje się tak właśnie teraz. Uważała, że są po prostu znajomymi, którzy jeżdżą razem na konne przejażdżki. Bardzo go lubiła i niezwykle łatwo im się ze sobą rozmawiało.

Zapytał, czy panie zjedzą z nim kolację, na co Zoe obiecała, że skonsultuje to z przyjaciółkami, poszedł więc do siebie przejrzeć korespondencję. Podobnie jak one, utrzymywał kontakt ze swoim biurem i zamierzał w Moose trochę popracować.

Jak było do przewidzenia, zaproszenie na kolację dostarczyło Tani nowego tematu do kpinek.

- Szybka robota, Stu! - skwitowała ze śmiechem i Mary Stuart rzuciła w nią poduszką z kanapy.

- Zaprosił nas wszystkie, idiotko! Jest samotny. Stracił żonę i nie ma z kim porozmawiać!

- Wydawało mi się, że z tobą świetnie mu idzie - ciągnęła Tania bezlitośnie i Mary Stuart zachnęła się.

- Jest bardzo miły, bardzo inteligentny i bardzo samotny.

- bardzo tobą zainteresowany. Nie jestem ślepa, na litość Boską! Byłaś tak długo mężatką, że nie widzisz już nawet, kiedy facet na ciebie patrzy.

- Lepiej powiedz, co z twoim kowbojem? - odcięła się Mary Stuart. Zachowywały się znów jak dziewczyny z pierwszego roku studiów. - Przełamał, zdaje się, blokadę mowy.

Doprowadziłaś nawet do tego, że się roześmiał.

- Rzeczywiście, twardy facet. Mieszka tu sam nawet zimą, w śniegu po pas. -Nie powiedziała im jednak, że słucha jej muzyki. Nie było między nimi żadnych romantycznych powiązań. Jedyne konie.
- Obie jesteście ślepe - oświadczyła Zoe. - Hartley Bowman sfiksował całkiem na punkcie Mary Stuart, a nasz kowboj, tylko patrzeć, jak sfiksuje dla Tani w przeciągu tygodnia, chyba że już całkiem straciłam rozeznanie.
- Tania uniosła brwi, zbyt oburzona, by to skomentować.
- A co z tobą, Zoe? Czyżbyś zamierzała rozbić to lekarskie stadło i uciec z doktorem? Był mały, gruby i łysy, toteż wybuchnęły śmiechem na samą myśl.
- Niestety, jego żona jest o wiele bardziej interesująca, co już stanowi pewien problem. Musiałabym raczej uciec z nią, a to nie w moim stylu. Tak więc muszę pozostać na miejscu.
- Prawda! Jest jeszcze Sam! - przypomniała jej Tania i Zoe jęknęła. Nie chciała o nim pamiętać.
- Pilnuj lepiej własnego nosa. Wiesz co, Tan, kiedy przyjedziesz do San Francisco, przedstawię ci go i umówicie się na randkę. Zobacysz, spodoba ci się.
- Umowa stoi. A teraz weźmy w obroty Mary Stuart. - Przerzuciła całą uwagę na drugą przyjaciółkę. Ta tylko zamknęła oczy z cierpiennym wyrazem twarzy. - Opowiedz nam coś o swoim nowym znajomym.
- Nie ma o czym opowiadać. Jest po prostu samotny.
- Ty też jesteś samotna, ja jestem samotna i Zoe jest samotna. Żadna to dla nas nowina. - Tania wyciągnęła się na kanapie. Po całym dniu w siodle bolały ją nogi
- Ja nie czuję się samotna - zaprotestowała Zoe. - Jestem bardzo szczęśliwa!
- Po prostu nie wiesz, że jesteś samotna. Zaufaj mi.
- Zapomnijmy teraz o tych wszystkich facetach, bo umówiłam się z Beniaminem - powiedziała Zoe z uśmiechem. - To uroczy malec.
- Doskonały wybór - pochwaliła Tania.
- Mary Stuart zapytała tylko, co postanowiły w sprawie kolacji z Hartleyem. Czy powinny przyjąć zaproszenie i usiąść przy jego stole?
- Dlaczego by nie? - odparła Tania. - Może spikniemy go ostatecznie z Mary Stuart?
- Spokojnie! Wciąż jeszcze jestem mężatką.
- Czy on o tym wie? - zapytała Zoe z zainteresowaniem. Mary Stuart nosiła wprawdzie obrączkę, ale Hartley mógł się zastanawiać, gdzie jest ten mąż i dlaczego przyjechała na ranczo z dwiema kobietami.
- Nie pytał mnie o to. - Co jedynie utwierdziło ją w przekonaniu, że jest zainteresowany przyjaźnią. - Zapytał tylko, gdzie jest mój mąż, a ja powiedziałam, że w Londynie.
- O! - zawołała Tania. - Na twoim miejscu postawiłabym sprawę jasno. Twoją odpowiedź można różnie zinterpretować. Ale jak brzmiała właściwa interpretacja?
- Powiedziałam mu, że moje małżeństwo nie przetrwało śmierci naszego syna - dodała siląc się na niedbały ton
- Coś ty? Naprawdę mu tak powiedziałaś? - Tania nie kryła zdumienia. Było to nie lada wyznanie, zważywszy, że uczynione osobie kompletnie obcej. Wprawdzie spędzili razem zaledwie sześć godzin, więcej jednak, niż niejedna para w ciągu tygodnia, a Hartley okazywał jej naprawdę wiele zainteresowania.
- Może powinnam mu powiedzieć, że jestem jeszcze zamężna. - Nie wiedziała nawet, jak długo potrwa ten stan. Wskakiwanie z podobną informacją wydawało jej się grubą przesadą. A jeżeli go to w ogóle nie interesuje? - Wspomnę mu o tym któregoś dnia

mimochodem. Ale nie sędę, żeby go to interesowało - powiedziała i przyjaciółki naskoczyły na nią gwałtownie.

- Jesteście czasem nie do wytrzymania - oznajmiła, po czym pomaszerowała do łazienki wziąć prysznic.

Zoe, korzystając z wolnej chwili, zadzwoniła do Sama. Chciała się dowiedzieć, co słyhać w klinice. Sam był w sali zabiegowej, ale Annalee zapewniła ją że wszystko jest w porządku. Zdecydowała się więc położyć i sama nie wiedziała, kiedy ucięła sobie drzemkę przed kolacją. Była zdumiona, jak dobrze czuła się po przebudzeniu. Sen ją odrodził. Tego wieczora jadły więc kolację w towarzystwie Hartleya. Był inteligentny' interesujący i ocytany. Mnóstwo podróżował, sporo widział, znał rozmaitych ciekawych ludzi. Co więcej, był człowiekiem sympatycznym, umiejętnie rozdzielającym uwagę między swoich rozmówców. Przyjaciółki odniosły wrażenie, że darzy je jednakową sympatią, ale w drodze do bungalowów towarzyszył Mary Stuart. Zwracał się też do niej lekko ściszone glosem, jakby przeznaczonym tylko dla niej. Tania i Zoe weszły od razu do domu, zaś Mary została jeszcze przez chwilę z Hartleyem. Nie bardzo wiedziała, jak poruszyć drażliwy temat, ale uznała, że przyjaciółki miały sporo racji namawiając ją na wyklarowanie sytuacji.

- Trochę głupio się czuję wspominając o tym - zaczęła niepewnie- Siedzieli w świetle księżycy, który rzucał niebieskawe światło na ośnieżone szczyty. - nie wiem, czy ma to dla ciebie jakiegokolwiek znaczenie, ale nie chciałabym wprowadzić nikogo w błąd. Jestem mężatką. - Zdziwiła się widząc rozczarowanie w jego oczach. - Mój mąż wyjechał do Londynu tylko na lato. Pracuje tam zbierając materiał do procesu. Nie uświadomiłam sobie, że można opacznie zrozumieć moje słowa. Szczerze mówiąc, chcę od niego odejść, kiedy wróci z Londynu. Potrzebowałam sporo czasu, żeby podjąć taką decyzję, ale nasze małżeństwo umarło wraz z naszym synem. Najwyższy czas zostawić to wszystko za sobą, -wyzwolić nas oboje z koszmaru, jakim się stało wspólne życie.

- Czy to będzie niespodzianka dla twojego męża? - zapytał Hartley cicho. Wpatrywał się w nią badawczo. Prawie jej nie znał, ale spodobała mu się jej szczerłość, lubił ją za łagodność i prostotę. Wiadomość, że jest zamężna, stanowiła niemiłą niespodziankę. Może w ogólnym rozrachunku nie będzie to miało znaczenia. Mówiła o rozejściu się z mężem, jak o czymś pewnym. - Czy on zdaje sobie sprawę ze stanu twoich uczuć? - dopytywał się.

- Nie wiem, jakim sposobem. Przez ostatni rok prawie się do mnie nie odzywał.

Zaprzepsaliśmy wszystko; wspólne życie, przyjaźń. Wini mnie za śmierć naszego syna i nie sędę, by to się kiedykolwiek zmieniło. Nie mogę tak dłużej żyć. Nie zamierzam, broń Boże, narzucać się ze swoimi problemami, chciałam po prostu, żebyś wiedział, że nadal jestem mężatką.

- Dziękuję ci za szczerłość. - Uśmiechnął się. Sam nie mógł się nadziwić, jak chętnie przebywa w jej towarzystwie. Była pierwszą kobietą, którą naprawdę polubił od śmierci Margaret. Po jednym dniu znajomości stracił głowę. -Ale tutaj wszystko odbywało się w przyspieszonym tempie. Ranczo pod wieloma względami przypominało statek wycieczkowy.

- Mam nadzieję, że nie uznasz mnie za wariatkę dlatego, że poruszałam ten temat, ale chciałam tylko wyjaśnić sytuację. Jestem pewna, że nie ma to dla ciebie żadnego znaczenia... tylko że... - Nagle przeraziła się śmiertelnie tego, co mu powiedziała i zaczęła coś jąkać nieporadnie. Jakie to mogło mieć dla niego znaczenie, czy ona jest zamężna czy

nie. Ogarnęła ją złość na przyjaciółki. Swoim wścibstwem wpakowały ją w niezręczną sytuację. Czowała się jak skończona idiotka, ale on patrzył na nią z uśmiechem.

- Nie mam pojęcia, co ja tu w ogóle robię, Mary Stuart. Wcale nie zamierzałem przyjechać do Wyoming w tym roku. Przez całe dwa lata użalałem się nad sobą, nie spojrzałem nawet na żadną kobietę. A tu nagle pojawiaasz się; ty, niby promień słońca w górach, a ja mogę ci tylko powiedzieć, że nikt nigdy nie zrobił na mnie tak piorunującego wrażenia. Nie wiem, co z tego wyniknie, nie wiem, czego ty byś chciała, nie wiem nawet, co sam zrobię, czy ty kiedykolwiek się mną zainteresujesz, ale chcę, żebyś wiedziała, że choć ledwo cię znam bardzo mi na tobie zależy. Nie mogę znieść myśli, że straciłaś syna. - Otoczył ją delikatnie ramieniem i wolno przyciągnął do siebie. - Nie mogłem patrzeć na wyraz twoich oczu, kiedy zobaczyłaś tego małego chłopca. Chciałbym odsunąć od ciebie to cierpienie. Nie powiem, że bym był zachwycony, że jesteś mężatką, ale nie wiem, czy to w tej chwili takie ważne? Nie wiem też, czy będziesz mnie jeszcze chciała widzieć po tych dwóch tygodniach i prawdopodobnie robię z siebie ciężkiego idiotę, lecz jeżeli tak jest, powiedz mi to wprost, a przez resztę naszego pobytu będę ci się kłaniał z daleka. - Patrzył badawczo w jej oczy, teraz pełne łez.

Tak długo czekała, by Bili wypowiedział podobne słowa, ale on nigdy tego nie zrobił. Zostawił ją pastwą losu, a teraz pojawił się ten obcy człowiek, spełnienie wszystkich marzeń.

- Chcę tylko być z tobą, rozmawiać, poznać cię... Zobaczymy, dokąd nas to zaprowadzi. Czego więcej można sobie życzyć? Słuchała go, prawie nie wierząc własnym uszom.

- Czy to sen? - zapytała, patrząc na niego oczami pełnymi łez i nie spełnionych pragnień. Czy to możliwe, żeby znalazła kogoś takiego jak on?

- To samo pytanie zadawałem sobie dzisiaj po południu. Nie szukajmy jeszcze żadnych odpowiedzi. Cieszymy się chwilą - powiedział, czując jak jej włosy muskają jego policzki. Zamknął oczy wdychając zapach jej perfum. Nie mówił już nic, tylko siedział przy niej, obejmując ją lekko ramieniem i po pewnym czasie zaczęła drzeć, nie tyle z zimna, co z emocji. Przyjechała zaledwie wczoraj, a poznała go dopiero dzisiaj rano. Ale przeczytała wszystko, co kiedykolwiek napisał i miała wrażenie, że zna go od dawna. Rozmawiali wiele godzin, odkrywając się przed sobą, poddając się urokowi wzajemnego przyciągania.

- Zimno ci. Lepiej odprowadzę cię do domu. - Tak bardzo nie chciał się jeszcze z nią rozstawać. Podniosła na niego wzrok, a on ponownie otoczył ją ramieniem.

- Dziękuję za wszystko - szepnęła, czując go blisko przy sobie. Odprowadził ją pod same drzwi. Wśliznęła się do środka, mając nadzieję, że przyjaciółki już śpią i rzeczywiście spały. Ale na swoim łóżku w sypialni znalazła faks od Billa. Był boleśnie zwięzły:

„Mam nadzieję, że wszystko dobrze. Praca satysfakcjonująca. Pozdrowienia dla twojej znajomej, Bili". Przez środek strony, biegł odręczny dopisek Tani: „Na twoim miejscu zadzwoniłabym do adwokata".

Faks był faktycznie oschły, a tu los podsuwał jej zupełnie nową szansę. Jedne drzwi zamknęły się za nią, ale inne zaczynały się uchylać. Przez wąską szparę mogła w końcu ujrzeć słońce na zboczach gór.

## Rozdział czternasty

Rankiem Zoe i Mary Stuart wspólnymi siłami wyciągnęły Tanie z łóżka.

- Przemyj oczęta, Śpiąca Królowno! - zawołała Zoe, a Mary Stuart zerwała z Tani kołdrę, a potem przepaskę z oczu.

- Sadystki! -jęknęła gwiazda, mrużąc oczy przed słońcem. -O mój Boże! Co to jest? Zupełnie ośleplam! - Przewróciła się na brzuch, bojkotując pobudkę.

- To się nazywa światło słoneczne i na zewnątrz jest tego całe mnóstwo.

Tania usiadła, półprzytomna. Miała na sobie krótką różową piżamę.

- Gdybym cię dobrze nie znała, podejrzewałabym, że jesteś nałogową pijaczką. Tylko alkoholicy budzą się w ten sposób - zauważyła Zoe.

- To starość. Potrzebuję dużo snu. - Tania skierowała kroki do łazienki, potykając się o własne nogi.

- Wielki Maks czeka - dodała Zoe.

- Powiedźcie mu, żeby jeszcze trochę pospał, poczuje się potem znacznie lepiej. - Ziewnęła szeroko, ale dwadzieścia minut później była już umyta, ubrana i wyglądała równie zachwycająco jak każdego ranka. Miała na sobie blad różowe dzinsy, koszulkę w takim samym kolorze, stare żółte buty i różową bandannę. Włosy splotła w warkocz, puszczać parę luźnych kosmyków wokół twarzy. Całość wyglądała bardzo seksownie.

- To powinno zwrócić uwagę twojego kowboja - powiedziała Mary Stuart na widok stroju Tani. - Szkoda tylko, że jesteś taka brzydka. - Nagle z całych sił zapragnęła zobaczyć Hartleya. Jak dotąd byli tylko przyjaciółmi, ale zaintrygował ją inny ukryty nurt ich znajomości.

Były w połowie drogi do jadalni, kiedy pojawił się Benjamin. Dreptał koło Mary Stuart, która sprawiała wrażenie jakby zobaczyła ducha. Chłopiec lgnął do niej w jakiś szczególny sposób.

- Gdzie jest twoja mama, Benjaminie? - zapytała Zoe. Wyczuwała niepokój Mary Stuart i domyślała się jego źródła. Nigdy wprawdzie nie widziała Todda, ale ten małeć wyglądał jak skóra zdarta z Mary Stuart.

- Śpi - powiedział rzeczowo. - A tata kazał mi iść na śniadanie.

- Dlaczego jej wolno spać, a mnie nie? - dopytywała się Tania.

- Bo ona jest w ósmym miesiącu ciąży.

- Zanim stąd wyjedziemy, będę wyglądała jak worek kości, jeżeli nie dacie mi się wyspać. To niezdrowo tak wcześnie wstawać.

- Kto tak twierdzi? - zapytała Zoe. Tania rzuciła jej kosę spojrzenia.

- Ja - bąknęła wchodząc do głównego budynku. Chwilę później wkroczyły do jadalni, a Benjamin cały czas deptał im po piętach. Przyczepił się do nich jak rzep i Mary Stuart postanowiła nie zwracać na niego uwagi. Ale kiedy usiadły przy stole, który zajmowały poprzedniego dnia, przysiadł się na czwartego. Tania była ubawiona, Zoe także go polubiła, ale nie chciały dręczyć Mary Stuart. Próbowwały namówić Benjamin, by dołączył do swoich przyjaciół, ale stanowczo odmówił.

- Nie szkodzi - powiedziała w końcu Mary Stuart. - Nie róbcie z tego problemu.

- Wszystko dobrze? - zapytała Tania i Mary skinęła głową.

- W porządku. - Nie mogła przecież chronić się do tego stopnia. Choć widok tego malca bolał, ale trudno było nie liczyć się z faktem, że świat zaludniają także dzieci.

- Miły był ten faks od Billa - zauważyła Tania popijając sok pomarańczowy. -Taki serdeczny, pełen treści i ciepła. Sympatyczny facet, nie ma co - dodała i Mary Stuart nie mogła powstrzymać uśmiechu. - Przepraszam, że przeczytałam, ale nie mogłam się powstrzymać. Odpowiesz mi?

- Niewiele miałabym do napisania.

Wciąż jeszcze rozpamiętywała ten ostatni wieczór, zupełnie dla niej bajkowy i zastanawiała się, czy to się zdarzyło na jawie. Czy Hartley naprawdę obejmował ją i mówił, że chce ją lepiej poznać?

- Wyjaśniłam już to nieporozumienie z moim stanem cywilnym. Miałycie rację, źle mnie zrozumiał.

- Jaka była reakcja?

- Nie zauważyłam jakiejś różnicy w jego zachowaniu. - Starła się nadać głosowi naturalne brzmienie, ale przyjaciółki wiedziały swoje.

- Nie wydaje mi się, by ci chciał zaproponować posadę sekretarki - powiedziała Tania z naciskiem, jakby Mary Stuart była zapóźniona w rozwoju. - Facet cię po prostu lubi.

- Zobaczymy, jak to będzie - powiedziała Mary Stuart spokojnie, czując na sobie spojrzenie małego Benjaminą w czerwonym kowbojskim kapeluszu.

- Wyglądasz zupełnie jak moja mama - powiedział. - jak moja ciocia Mary - dodał po namyśle.

- Ja też mam na imię Mary - spróbowała nawiązać z chłopcem rozmowę. - Mary Stuart. Dziwnie, prawda? Bo widzisz, mój tata miał na imię Stuart, a chciał, żebym była chłopcem, więc oprócz Mary dał mi jeszcze na imię Stuart.

- A! - Benjamin skinął ze zrozumieniem głową. - Masz dzieci? - Mary interesowała go zdecydowanie bardziej niż pozostałe dwie panie, jakby wyczuwał w niej coś szczególnego.

- Tak, córkę, ale ona jest już duża. Ma dwadzieścia lat.

- A chłopców nie masz? - zapytał, chrupiąc grzankę.

- Nie - odparła Mary Stuart, a chłopiec był za mały, by zrozumieć, dlaczego ma łyzy w oczach.

- Ja tam wolę chłopców - oznajmił. - Mam nadzieję, że mama nie urodzi nam dziewczynki. Nie lubię dziewczyn. Są głupie.

- Niektóre są nawet w porządku - zaryzykowała Mary Stuart, ale Benjamin wruszył tylko ramionami, nie przekonany.

- Płaczą, kiedy sieje popchnie - wyjaśniał cierpliwie. Zoe i Tania wymieniły rozbawione spojrzenia. Może taka rozmowa z dzieckiem dobrze ich przyjaciółce zrobi. Podzielała jak szczepionka.

- Zdarzają się też odważne dziewczyny - Mary Stuart daremnie próbowała bronić swojej płci, ale Benjamin wyraźnie stracił zainteresowanie tematem. Zjadł jeszcze kawałek bekonu i odszedł od stołu, żeby dołączyć do ojca. Po chwili do jadalni weszła matka chłopca. Mary Stuart zauważyła, że jest w zaawansowanej ciąży i ledwo się toczy. Ojciec Benjaminą tłumaczył Zoe, że jego żonę męczą duże wysokości.

- Mam nadzieję, że nie będziesz musiała odbierać porodu - powiedziała Mary Stuart ściszym głosem. - To mi wygląda na trojaczki.

- O Boże, tylko nie to! Jest tu przecież szpital, a ja nie wożę ze sobą kleszczy. Ostatni poród odebrałam jeszcze na internie. Porządnie to mną wstrząsnęło. Przyjmowanie dzieci jest o wiele bardziej odpowiedzialne niż to, co robię teraz. Przy porodzie istnieje zbyt duże ryzyko komplikacji, trzeba umieć podjąć wiele decyzji w jednym ułamku sekundy. Jest za dużo czynników całkowicie poza twoją kontrolą. I nie lubię mieć do czynienia z ludźmi tak cierpiącymi. Wolałabym już być dermatologiem niż położnikiem - powiedziała Zoe z przekonaniem. Mary Stuart natomiast była zdania, że musi to być praca przyjemna, a już na pewno radosna, skoro w większości wypadków ma szczęśliwy rezultat. Tania zastanawiała się głośno, jak to jest - mieć dziecko. Kiedy była młoda, chciała ich mieć mnóstwo, ale

życie potoczyło się innym torem. Mary Stuart dziwna wydawała się świadomość, że z ich trójki tylko ona wie, co to znaczy urodzić dziecko.

- Może zakodowali nam jednak coś w Berkeley - powiedziała Zoe z uśmiechem. Była szczęśliwa, że zaadoptowała Jadę.

- Chciałabym mieć dzieci - wyznała Tania. - Tak lubiłam przebywać z dziećmi Tony'ego. Były cudowne. - Zastanawiała się, czy jeszcze je kiedyś spotka. Utrata tych dzieci, utrata Tony'ego, fakt, że rozwiązawszy małżeństwo, po prostu je zabrał, wszystko to było zbyt okrutne. Żałowała, że nie ma własnych dzieci, tych nie mogłaby utracić, byłyby z nią na zawsze. A może tylko przez parę lat, pomyślała, przypomniawszy sobie, co spotkało Mary Stuart.

Po śniadaniu pospieszyły do corralu. Hartley już tam był i wyraźnie się ucieszył na widok Mary Stuart. Ich oczy zwały się na długą chwilę. Stali bardzo blisko siebie czekając, aż przyprowadzą im konie. Nadeszła para lekarzy z Chicago i uformowały się grupki towarzyskie. Zoe pojechała z lekarzami, Hartley z Mary Stuart, co skazało Tanie na towarzystwo kowboja, który tym razem zdobył się na wysiłek i obdarzył ją komplementem:

- Ładnie pani dzisiaj wygląda - powiedział, patrzył przy tym przed siebie i mówił jak robot, ale Tania zauważyła błądy rumieniec na jego twarzy. Był naprawdę zażenowany i próbowała go trochę ośmielić, ale wymagało to czasu. Potem zadał jej parę pytań o Hollywood, o ludzi, których tam spotyka. Zapytał, czy poznała Toma Cruise'a, Kevina Costnera albo Cher. Pochwalił się, że widział tego lata Harrisona Forda w Jackson Hole. Powiedziała, że zna ich wszystkich, a z Cher grały razem w filmie.

- To zabawne. - Patrzył na nią przymrużonymi oczyma. - Wcale nie wygląda pani na taką osobę.

- Co masz na myśli?

- To, że pani jest prawdziwa, nie jak jakaś gwiazda filmowa czy inna wielka piosenkarka lub ktoś taki. Zachowuje się pani po prostu jak normalna kobieta. Dużo mówi, śmieje się, jeździ konno, ma poczucie humoru. - Na jego ustach pojawił się załazek uśmiechu i tym razem Gordon nie zaczerwienił się. - Po jakimś czasie zapomina się, że to pani jest na tych wszystkich płytach i w filmach.

- Jeżeli to komplement, to dziękuję. A jeśli chcesz mi w ten sposób powiedzieć, że sprawiłam ci zawód, też dobrze. W gruncie rzeczy jestem zwyczajną dziewczyną z Teksasu - powiedziała uśmiechając się a on podziwiał jej różową koszulkę.

- E, tam. - Potrząsnął głową, przyglądając jej się uważnie bystrymi oczyma. Gordon przedstawiał sobą o wiele więcej, niż się to na pierwszy rzut oka wydawało. - Wcale pani nie jest zwyczajną dziewczyną i sama doskonale o tym wie. Chodzi mi o to, że jest pani bardziej szczerą niż tamci.

- Jacy tamci?

- Inne gwiazdy filmowe, jakie się tu widuje, co to boją się nawet wsiąść na konia. Mieliśmy tu już polityków, aktorów, gwiazdy filmowe, a nawet piosenkarzy. Paradują tylko i oczekują specjalnego traktowania.

- Ja też poprosiłam o mnóstwo ręczników i dzbanek do kawy - przyznała się Gordonowi, który roześmiał się głośno. - Poza tym napisałam w swoim zgłoszeniu, że nie cierpię koni.

- Nie wierzę w to. - Wydawał się bardziej odprężony niż poprzedniego dnia, kiedy to bał się do niej odezwać. Tak było o wiele lepiej. Mógł się okazać wcale sympatycznym towarzyszem konnych wycieczek. - W końcu jest pani z Teksasu. - Fakt wiele znaczący,

przynajmniej dla niego. Ludzie z Teksasu nie mogą nienawidzić koni. - w dodatku jest pani zwyczajną kobietą.

Była właśnie taką zwyczajną kobietą z Bobbym Joe, ale Hollywood zniszczyło ich małżeństwo. Próbowwała być zwyczajna z Tonym, ale Tony chciał gwiazdy filmowej, choć nie akceptował problemów, jakie to za sobą pociągało. Pragnął czegoś, czego ona, nawet przy najlepszych chęciach nie mogła mu dać.

- Jestem zwyczajną kobietą, ale świat, w jakim żyję nie bardzo mi na to pozwala. Jeżeli mam być szczerą, trudno to w ogóle nazwać życiem. Nienawidzę swojej egzystencji, ale nie mogę nic w niej zmienić. Prasa nigdy nie pozwoli mi na normalne życie, ani ludzie, których spotykam. Chcą, żebym spełniała ich wyobrażenia o mnie, a kiedy zdobywają moje zaufanie, potrafią być okrutni. Myśl, wypowiedziana na głos, zabrzmiała jak dramatyczna skarga.

- To straszne - Gordon obserwował ją z zaciekawieniem. Dopiero teraz uzmysłowił sobie, jak bardzo ją lubi. Wcale nie chciał jej polubić, ale okazała się taka inna, niż sobie z początku wyobrażał. Zrobił wszystko, co możliwe, żeby nie być jej przewodnikiem, a teraz był zadowolony, że Liz nie uległa jego perswazjom. Z Tanią Thomas miło spędzało się czas.

- A tak, straszne - powtórzyła za nim. - Czasem myślę, że mnie to zabije. Może stanie się tak pewnego dnia, za sprawą jakiegoś sfiksowanego fana? Wszystko jest możliwe. - Powiedziała to z takim smutkiem, że Gordona ogarnęła nagła fala współczucia.

- Jak pani może tak żyć? Nie wiem ile pani płacą, ale to nie jest warte żadnych pieniędzy.

- Tu nie chodzi o pieniądze. A przynajmniej nie tylko o pieniądze. Chodzi o to, co robię. To moje życie. Śpiewam. Nie mogę się cofnąć, nie mogę się ukryć. Jeżeli chcę robić to dalej, muszę pogodzić się z całą resztą.

- To nie fair.

- Może, ale taka jest rzeczywistość. Inni ludzie trzymają atut w rękę.

- Musi być jakiś sposób, by to zmienić, zapewnić sobie godziwe życie. Inne gwiazdy filmowe jakoś od tego uciekają. Kupują rancza, jadą gdzieś, gdzie mogą normalnie żyć. Pani też powinna tak zrobić, panno Taniu. - Mówił to z całym przekonaniem. Ich konie zwolniły kroku i Gordon przyglądał się jej z podziwem. Była doskonałym jeźdźcem.

- Nie nazywaj mnie panną Tanią. Tania zupełnie wystarczy.

Ufała mu na tyle, by rozmawiać z nim o swoim życiu. Przytrafiło jej się to samo, co Mary Stuart z Hartleyem. Na tym ranczo człowiek otwierał się nagle i zaczynał mówić o najdziwniejszych rzeczach. O swoich nadziejach, marzeniach i rozczarowaniach. Zupełnie jakby te górskie krajobrazy przyspieszały bieg zdarzeń.

Również Hartleyowi zebrało się na poważną rozmowę z Mary Stuart; przeproszał ją za swoje wczorajsze zachowanie. Nie wiedział, czy nie posunął się za daleko. Wróciwszy do siebie zaczął martwić się, że ją przestraszył. Przecież dopiero co się poznali, a ona była mu taka bliska. Mary Stuart czuła podobnie. Jego zachowanie nie przestraszyło jej wcale, raczej czerpała z niego pociechę. Nikt nie przytulał jej od roku i była bardzo spragniona serdeczności. Wprawdzie nie powiedziała mu tego, ale Hartley zrozumiał w trakcie przejażdżki, żeby była na niego zagniewana bądź obrażona. Kiedy ich konie zatrzymały się przy strumieniu, stwierdził z ulgą, że Mary Stuart spogląda na niego z uśmiechem. Oboje wyczuwali magię tego miejsca.



- Od chwili gdy się obudziłem, myślałem tylko o tobie - powiedział z rozbrajającym uśmiechem. - Nie zdarzyło mi się to od lat. Nie chciało mi się nawet pracować. A w moim przypadku, to już ewenement, wierz mi. - Pisał codziennie, niezależnie od samopoczucia, miejsca pobytu i warunków życia. Nie pracował tylko wtedy, gdy Margaret umarła. Po prostu nie był w stanie.

- Wiem, co masz na myśli. To zabawne. Wydaje ci się, że twoje życie właśnie dobiegło końca, a ono rozpoczyna się jakby na nowo. Los zawsze wystrychnie człowieka na dudka. Gdy sądzisz, że niczego ci już nie brakuje tracisz nagle wszystko, a kiedy myślisz, że wszystko stracone zyskujesz coś niesłychanie cennego.

- Obawiam się, że Bóg ma duże poczucie humoru - powiedział Hartley, kiedy ich konie znów ruszyły stępa. - Co zamierzasz robić w Nowym Jorku? -Chciał wiedzieć o niej wszystko, podekscytowany myślą, że po tygodniu w L.A. Mary Stuart wróci do Nowego Jorku. Miał jeszcze do załatwienia parę służbowych spraw w Seattle, a potem musiał na parę dni pojechać do Bostonu. Wracał do Nowego Jorku mniej więcej w tym samym czasie co ona. - Lubisz teatr? -dopytywał się i przez dłuższą chwilę rozmawiali o scenie. Miał kilku przyjaciół dramaturgów i chciał im przedstawić Mary Stuart. Prawdę mówiąc, chciał ją przedstawić wszystkim swoim znajomym. Tyle rzeczy chciał jej powiedzieć, pokazać, o tyle spraw zapytać. Rozmawiali bez chwili przerwy, śmiali się, wymieniali poglądy i zdziwili się niepomniernie znalazłszy się z powrotem w corralu. Nie patrzyli nawet, dokąd jadą. Tania i Gordon byli daleko z przodu, lekarze ciągnęli się w ogonie. Mary Stuart zsiadała właśnie z konia, kiedy minął ich w galopie inny koń. Mała figurka przyłgnęła do jego grzbietu i trzymała się ostatkiem sił. Gordon pierwszy spostrzegł, co się dzieje. Ruszył z kopyta, ale zanim zdołał dosięgnąć konia, drobna postać wystrzeliła w powietrze i zatoczywszy łuk, wylądowała na kamienistej ścieżce. Z początku nie mogli się zorientować, kto to jest, taka mała bezkształtna figurka, ale Mary Stuart intuicyjnie wyczuła, zanim jeszcze zobaczyła czerwony kapelusz kowbojski leżący obok bezwładnego Benjamina. Bez namysłu zeskoczyła na ziemię i rzuciła się w stronę chłopca. Był nieprzytomny, a kiedy przytknęła policzek do jego ust, ledwo oddychał. Przerażona, obejrzała się, na Hartleya.

- Zawołaj Zoe! - krzyknęła i odwróciła się z powrotem do dziecka, bojąc się ruszyć chłopca na wypadek, gdyby miał uszkodzony kręgosłup. Była pewna, że przestał oddychać, ale zanim zdołała to ustalić, znalazła się przy niej Zoe.

- W porządku, Mary Stuart. Jestem tu. - Ale niewiele mogła zrobić, bo i ona podobnie jak jej przyjaciółka, bała się ruszyć chłopca. Uderzyła go delikatnie w klatkę piersiową, co sprawiło, że znowu zaczął oddychać. Uniosła mu powieki. Nie kontaktował, a na przedzie jego spodni widniała mokra plama, co oznaczało, że stracił kontrolę nad funkcjami ciała.

- Trzeba natychmiast wezwać pogotowie. - Zwróciła się do kowboja. - Powiedz im, że mamy tu nieprzytomne dziecko, prawdopodobnie z wstrząsem mózgu i złamaniami. Jeszcze oddycha, ale puls słabnie. Jest w szoku. - Przypatrzyła się Gordonowi, jakby chciała się upewnić, że kowboj w pełni rozumie powagę sytuacji i konieczność pośpiechu. W tym momencie nadbiegli dwaj pozostali lekarze. Zoe nadal dotykała chłopca, nie spuszczać z niego wzroku, a Mary Stuart trzymała Benjamina za rękę, choć wiedziała, że to nie ma żadnego znaczenia. Ale chciała być przy nim na wypadek, gdyby coś czuł. Zoe badała go z wyrazem

coraz większego niepokoju. Była jednak pewna, że kręgosłup nie jest złamany, przesuwała dłońmi po jego kończynach, kiedy Benjamin otworzył nagle oczy i zaczął płakać.

- Auuu! Ja chcę do mamy! - Łapał ustami powietrze i Zoe przyglądała się temu z wyraźną ulgą.

- To mi się podoba! - powiedziała nie przerywając badania, a dwaj lekarze potakująco kiwali głowami. Kiedy Zoe dotknęła lewego ramienia chłopca, Benjamin krzyknął głośno. Ręka okazała się złamana, ale mogło być gorzej. Rozkrzyczany Benjamin natknął się wzrokiem na zalaną łzami Mary Stuart, która nadal trzymała go za rączkę.

- Dlaczego płaczesz? - wyszłochał. - Spadłaś z konia?

- Ależ nie, głuptasie. - Przysunęła się bliżej. - To ty spadłeś. Jak się czujesz? - Próbowała odwrócić jego uwagę od czynności Zoe, która unieruchomiła ramię chłopca za pomocą patyków, wyszukanych przez Hartleya. Kręcił się teraz w pobliżu, a wstrząśnięta Tania nie odrywała wzroku od rąk Zoe.

- Boli mnie ręka! - zawył Benjamin i Mary Stuart nachyliła się nad nim, usiłując nie przeszkadzać Zoe. Poglaskała go po zlepionych potem włosach. Gdyby zamknęła oczy, mogłaby łatwo przyjąć, że to Todd leży obok niej na ziemi. Jakby to było cudownie mieć do czynienia jedynie ze złamaną ręką i wstrząsem mózgu. Mały żył, płakał, cały pokryty kurzem... Ale Todda już nie ma.

- Wszystko będzie dobrze, kochanie - powiedziała miękko, jak do własnego syna. - Poskładają cię raz dwa i założę się, że dostaniesz gips i wszyscy będą się na nim podpisywać albo rysować różne śmieszne rzeczy.

- Ty też? - Przyłgnął do Mary Stuart ignorując pozostałych. Nikt nie rozumiał dlaczego, ale nie miało to większego znaczenia. Może Bóg przysłał go tu, żeby jej przypomnieli, jaki był kiedyś Todd, i że są na świecie inne dzieci. Ale jakie to mogło mieć teraz dla niej znaczenie? Straciła przecież swoje dziecko, a jednak ten malec coś jej ofiarował. To było jak wizyta syna. - Pojedziesz ze mną do szpitala? - pytał zaglądając jej w oczy.

- Jasne, ale najpierw poszukamy twojej mamy. Założę się, że będzie chciała z tobą pojechać.

- Ona myśli tylko o nowym dziecku - powiedział nadąsany. Ale teraz rozumiała go już lepiej. Była podobna do jego matki, więc Ignął do niej, zagniewany o nowe dziecko. Mary Stuart zastanawiała się, czy ich drogi spotkały się jedynie po to, by ona mogła mu pomóc, czy też raczej by on mógł pomóc jej. Było dla niej oczywiste, że musiał istnieć jakiś powód ich spotkania.

- Benjaminie! - zwróciła się do chłopca, kładąc się obok niego na ziemi, żeby im się wygodniej rozmawiało. - Twoja mamusia kocha cię najbardziej na całym świecie. Noworodki wcale nie są takie zachwycające, wierz mi. Jasne, cieszy się, że będzie miała drugie dziecko i tyje pewno też polubisz. Ale ty jesteś dla niej zupełnie wyjątkowy. Jesteś jej pierwszym dzieckiem. Miałam synka takiego samego jak ty i dla mnie on też był kimś zupełnie wyjątkowym... zawsze. Ponieważ jego właśnie pokochałam najpierw. Twoja mama nikogo nie będzie kochała bardziej niż cię, mogę cię o tym zapewnić.

- A gdzie jest twój synek? - Był wyraźnie zaintrygowany jej słowami. Zawahała się tylko na chwilę.

- Poszedł do Nieba... Bardzo za nim tęsknię... Był kimś wyjątkowym, zupełnie jak ty.

- Umarł?

Nie chciała mu tego mówić, ale nie potrafiła skłamać. Skinęła tylko głową.

- Nasz pies też umarł - podzielił się tą ważną informacją, zajął Mary Stuart głęboko w oczy, po czym nagle zwymiotował wprost na nią. Zoe wcale nie była tym zaskoczona i orzekła, że mały doznał wstrząsu mózgu.

- Wszystko w porządku, Benjaminie. Będziesz zdrow, kochanie. - Mary Stuart otarła twarz ręcznikiem, który jej ktoś podał i pozostała z nim, jak i inni, do czasu przyjazdu karetki. Benjamin czuł się już znacznie lepiej i Zoe przestała się o niego niepokoić. Wyglądał wprawdzie okropnie, podobnie zresztą jak Mary Stuart, ale Zoe była niemal pewna, że wykpił się złamaną ręką i wstrząsem mózgu. Miał sporo szczęścia. W chwili gdy nadjechała karetka, od strony bungalowów nadbiegła niezgrabnie matka chłopca. Gordon wysłał kogoś po nią. Wybuchnęła płaczem na widok syna, ale Zoe szybko uśmierzyła jej obawy, mówiąc, że obrażenia są stosunkowo niewielkie, zważywszy siłę wstrząsu oraz fakt, że chłopiec nie miał kasku.

- Och, Benjie! - Uklękła przy nim na ziemi i zalała się łzami. - Tak bardzo cię kocham. Mary Stuart patrzyła na nich z uśmiechem, jakby chciała przypomnieć Benjaminowi, co mu przed chwilą mówiła. Nikogo nie kochała nigdy bardziej niż Todda. Namiętnie kochała córkę, od chwili gdy się urodziła, ale nigdy bardziej niż syna.

Kiedy sanitariusze wsuwali nosze z chłopcem do karetki, dotknęła ręki Benjaminą, a potem pochyliła się, żeby go pocałować. Coś targnęło jej sercem, kiedy poczuła słodki zapach dziecka. Nawet teraz, brudny, cuchnący wymiocinami i końskim potem, pachniał dla niej jak mały chłopiec.

- Kocham cię, maleńki - szepnęła mu do ucha. - Miała wrażenie, że mówi do Todda i było to tak cudowne, że niemal nie do zniesienia. To dziecko stanęło na jej drodze, żeby wyzwolić drzemiące w niej pokłady uczuć.

- Wkrótce się zobaczymy, mały - powiedziała.

Matka Benjaminą rozplakała się na nowo, dziękując Mary Stuart, drzwi zamknięto i karetka odjechała. A ona stała na ścieżce i ciągle płakała, gdy nagle poczuła, że obejmują ją mocne ramiona. Wiedziała, kto to i odwróciła się ku Hartleyowi. Przyciągnął ją do siebie, żeby mogła płakać w jego objęciach.

- Tak mi przykro... Tak mi przykro... - Nawet go nie знаła, była pokryta kurzem i wymiotami chłopca, ale on na to nie zważał. Chciał tylko być przy niej.

- Biedne dziecko... Tak mi przykro. Dlaczego mnie przy tobie nie było... - Podniosła głowę i uśmiechnęła się przez łzy, nie dowierzając własnemu szczęściu. Może Bóg uznał, że dość się już nacierpiała? Może był to szczęśliwy przypadek, a może śniła.

- On tak bardzo przypomina mojego syna. - Próbowała mu to wyjaśnić, ale nie było to potrzebne. Kobieta w zaawansowanej ciąży mogłaby z powodzeniem uchodzić za jej siostrę. Podobieństwo rzucało się w oczy.

- To musiało być straszne - powiedział, kiedy usiedli na chwilę na pniu drzewa, żeby mogła dojść do siebie. Hartley działał na nią uspokajająco. Może dlatego, że sam dużo przeszedł? Jego żona umierała w męce, a on był przy niej do ostatka. Pogodziła się z tym w końcu, a on pozwolił jej odejść. Lekarz powiedział mu, że musi ją uwolnić duchowo, żeby mogła umrzeć w spokoju. Skonała w jego ramionach w wigilię Bożego Narodzenia.

- Przepraszam, że się tak załamalam. Ale ten chłopiec coś chyba ze mną zrobił. Chwycił mnie za serce. Sama nie wiem...

- Niekiedy tak się właśnie dzieje - przyznał. Zastanawiał się, jak umarł jej syn, ale nie chciał o to pytać. Odgadła jego myśli.

- Mój syn popełnił samobójstwo - powiedziała, jakby jej zadał to pytanie. Z wyjątkiem Zoe, nikomu tego dotąd nie powiedziała. Nikt jej zresztą o to nie spytał. - Był w Princeton... - Opowiedziała mu wszystko. Szok, ból, pogrzeb, reakcja jej męża. Była to przerażająca historia.

- Co za bolesne doświadczenie dla was wszystkich. To cud, że przeżyliście to jakoś - powiedział z podziwem.

- Właśnie, że nie przeżyliśmy. Mój mąż zamienił się w zombie, nasze małżeństwo się rozpadło, a córka nie myśli wracać do domu i wcale jej się nie dziwię. A ja chcę już tylko stamtąd się wydostać, zostawić to wszystko za sobą.

- Jesteś tego pewna? - zapytał ostrożnie, pełen wątpliwości, od kiedy poznał jej tragedię. Była jeszcze w szoku, podobnie jak reszta jej rodziny. Co będzie, kiedy się w końcu otrząsną? Przeżyła z mężem połowę swojego życia...

- Chyba tak. Musiałam to sobie przemyśleć przez lato. - Uśmiechnęła się niespodziewanie. - Nie przypuszczałam, że spotka mnie coś takiego. - Ale sama nie wiedziała dobrze, co ją spotkało i jakie będą tego konsekwencje. Może nigdy go już nie zobaczy, po upływie tych dwóch tygodni? To też należało brać pod uwagę. Nie zostawiała przecież Billa dla Hartleya. Odchodziła, ponieważ musiała. - Muszę być bardzo ostrożna. Chcę zrobić to, co będzie najlepsze dla nas wszystkich.

Hartley skinął głową bez słowa, nie wypuszczając jej z objęć, a później odprowadził Mary Stuart do bungalowu. Zoe i Tania piły kawę i dołączył do nich, a Mary Stuart poszła wziąć prysznic. Wkrótce odezwał się gong wzywający na lunch. Obie panie zdecydowały się pójść do jadalni, Harley został, by poczekać na Mary Stuart. Zdziwiła się, kiedy wyszedłszy z łazienki, zastała go w salonie. Ucieszyła się, że na nią zaczekał, a on spojrzał na nią z czułością. Po raz pierwszy zaniepokoiła się o niego. On też dużo w życiu przeszedł i był dla niej taki dobry. Nie miała prawa ranić go swoim postępowaniem.

- W żaden sposób nie chciałabym cię skrzywdzić - powiedziała podchodząc wolno do niego. Myślała o nim przez cały ranek. Pociągał ją, ale nie chciała okazać się egoistką. Nie podjęła jeszcze ostatecznej decyzji w sprawie Billa, choć była niemal pewna, że go opuści. Ale potrzebowała czasu, zanim mu o tym powie. - Jesteś dla mnie taki dobry, choć prawie mnie nie znasz. Nikt dotąd nie był dla mnie taki dobry, z wyjątkiem Tani.

- Dziękuję, ci. - Przysiadł na oparciu fotela i patrzył na nią. Była ubrana w czerwoną koszulkę i džinsy, i na jej widok serce zabiło mu szybciej. - Jestem dorosłym mężczyzną, Mary Stuart. Nie martw się o mnie. Oboje przeszliśmy swoje i nie chcemy się wzajemnie ranić. Ja rozumiem całe ryzyko, jakie podejmuję. Pozwól mi na to. Chcę być z tobą. Nie wierzyła własnym uszom. Chciał zaryzykować, licząc na to, że opuści Billa, chciał czekać, zobaczyć, co będzie dalej. Podeszedł do niej w milczeniu, przyciągnął do siebie i pocałował. Pachniała perfumami, mydłem i pastą do zębów, taka czysta i pociągająca. Przesunął dłońmi po jej włosach. Tak dawno nie całował kobiety, że niemal zapomniał jakie to uczucie, ale żadne z nich nie było gotowe zrezygnować z prawa do szczęścia. Byli jak dwoje ludzi, którzy przepłynąwszy kanał La Manche, wypłynęli razem na brzeg, przemarznięci, zmęczeni i głodni, ale bardzo wdzięczni, że przeżyli i że są razem. Uśmiechnął się do jej oczu i ponownie pocałował ją w usta, a ona nie pamiętała tak czulej pieczyoty. Pomyślała, wbrew sobie, że Hartley musi być wspaniałym kochankiem. Nie miała pojęcia dokąd ich to zaprowadzi, ale na razie byli w stanie Wyoming, razem, i nie chcieli od życia nic więcej.

Rozdział czternasty

Trzeciego dnia pobytu na rancho Zoe obudziła się przed siódmą i przeciągnęła leniwie w łóżku. Zamierzała wstać za kilka minut. Słyszając jak ktoś krząta się po domu, Mary Stuart wstała i ziewając skierowała się do kuchni, żeby zaparzyć kawę i omal nie wpadła na Tanie.

- Co ty tu robisz? - zapytała zdumiona. Tania nigdy nie wstawała o takiej godzinie, nawet na studiach.

- Wydawało mi się, że tu mieszkam. - Zdążyła zrobić sobie kawę, odgrzać bułeczki i wyjąć jogurt z lodówki, a poza tym wyglądała, jakby już umyła twarz i zęby.

Z sypialni wyszła Zoe zwabiona rozmową.

- Co się stało?! - zawołała na widok Tani. Coś musiało się stać niedobrego. Tylko jakiś poważny kryzys ściągnąłby ją z łóżka o tej porze i Zoe trudno było uwierzyć, że nie nastąpiła żadna katastrofa.

- Na litość Boską! Co was napadło? Po prostu zachciało mi się wcześniej wstać - zdenerwowała się Tania, ale nikt jej nie uwierzył.

- Już wiem, o co tu chodzi! - zawołała Zoe, z triumfalnym uśmiechem. Mogła się teraz odegrać na Tani za siebie i za Mary Stu, za te wszystkie kpinki pod adresem Sama czy Hartleya. - Chodzi o Gordona!

- Nie bądź głupia - powiedziała Tania. - To przecież kowboj.

- Co to za różnica? Wpatrzony w ciebie, jak w święty obrazek.

- Bzdury! - Tania ciskała się po małej kuchni, ale w słowach Zoe kryło się więcej prawdy niż była skłonna przyznać. Poprzedniego popołudnia rozmawiali o wielu sprawach.

Wypadek małego Benjamin wstrząsnął wszystkimi i narzucił poważniejszy nastrój.

Gordon opowiadał jej o swoim synu. Był już dorosłym mężczyzną i ojciec nie widział go od dwóch lat, ale był do niego bardzo przywiązany. Tania mówiła o swoim nieudanym małżeństwie z Bobbym Joe. Nadal żałowała, że nie nagięto się do hollywoodzkich rygorów, choć zdawała sobie sprawę, że dawno już wyrosła z miłości do Bobby'ego Joe. Tęskniła jednak za nim od

czasu do czasu. A teraz, kiedy znów została sama, zaczęła się zastanawiać nad sensem tego wszystkiego. Co jej w życiu zostanie? Stosik złotych płyt? Worek pieniędzy? Ogromny dom? Nie miała męża, dzieci, nikogo kto zaopiekowałby się nią starość, nikogo, z kim mogłaby dzielić sukcesy i porażki. Wszystko wydawało się takie bezcelowe, a miejsce, do którego dotarła w życiu, ziało pustką. Osiągnęła wszystko, co da się osiągnąć w Hollywood, lecz nie miało to dla niej większej wartości. Podzieliła się tymi myślami z Gordonem, a on okazał jej wiele współczucia. Był mądry, praktyczny i mocno stąpał po ziemi, podobnie jak ona, odkryli więc, że mają ze sobą wiele wspólnego. Gordon chciał porozmawiać z nią dłużej, ale musieli już wracać do corralu, a kowbojom wolno było jadać razem z gośćmi tylko w niedziele.

Tania lubiła z nim rozmawiać. Nie raziło jej, że jest prostym człowiekiem i że zdarza mu się popełnić niezręczność. Nigdy nie był złośliwy albo bezmyślny, nie było w nim śladu chciwości ani okrucieństwa, zdradzał natomiast żywą inteligencję. Podobało się jej nawet to, że oboje pochodzą z Teksasu, ale nie była jeszcze gotowa zwierzyć się przyjaciółkom.

- Masz przed nami sekrety? - droczyła się z nią Zoe. Ale Tania nie zareagowała na prowokację i poszła się przebrać. Wyglądała tego dnia wyjątkowo pięknie, w wytartych dżinsach i nowych kowbojskich butach, ręcznie haftowanych, które kupiła jakiś czas temu w Teksasie.

Hartley czekał już na nie w sali jadalnej. Swobodnym gestem objął Mary Stuart, powitał panie serdecznym „dzień dobry”. Pachniał dobrym mydłem i płynem po goleniu, szalenie

przystojny w dżinsach i białej koszuli, i Tania przyznała w duchu, że tworzą z Mary Stuart piękną parę. Pasowali do siebie i Zoe zgodziła się z opinią Tani, kiedy rozmawiały o tym w drodze do stajni.

W corralu czekał na nich mały Benjamin i każdy musiał się podpisać na jego gipsie. Również Tania złożyła uroczyście autograf, więc kilka nastolatek, uzyskawszy pozwolenie swoich mam, również podetknęło swoje karteczki. Ludzie przyzwyczajali się powoli do jej obecności, nikt nie robił ukradkowych zdjęć, co napełniało ją szczerą wdzięcznością. Gordon był zajęty siodłaniem koni, ale pomachał jej ręką na powitanie. Jak zwykle wyjeżdżali ostatni i Mary Stuart siedziała jeszcze na ławeczce z Benjaminem na kolanach, wtulając twarz w jego szyjkę.

- Nieźle nas wczoraj wystraszyłeś, kowboju. - Przypomniała sobie małą figurkę uczeploną końskiego grzbietu, szybującą w powietrzu ku kamienistej ścieżce.

- Lekarz powiedział, że mogłem sobie skrócić kark, ale nie zrobiłem tego.

- Na szczęście.

- A moja mamusia płakała. - Spojrzał na Mary Stuart z powagą. - Miałaś rację. Ona powiedziała, że nigdy nie będzie kochała nowego dzidziusia tak jak mnie. Powiedziałem jej, że ty też tak mówiłaś.

- To dobrze.

- Powiedziała, że ja zawsze będę dla niej najważniejszy. Przykro mi z powodu twojego synka - wyszeptał i pocałował ją w policzek. Poczula dławienie w gardle.

- Mnie też. - Łykała łzy napływające do oczu, a wargi jej drżały. - Nadal go kocham, bardzo, bardzo mocno - wykrztusiła przez ściśnięte gardło. - Nadal jest dla mnie kimś wyjątkowym.

- Możesz się z nim czasem zobaczyć? - zapytał Benjamin, zaintrygowany śmiercią. Takie pytanie mógłby jej zadać sześciolatek Todd, a ona starałaby się na nie odpowiedzieć najlepiej jak tylko potrafi.

- Już nie. Tylko w moim sercu. Widzę go tam przez cały czas. I na zdjęciach.

- Jak ma na imię?

- Todd.

Benjie skinął głową, jakby to była wystarczająca informacja. Po chwili ześliznął się z jej kolan i poszedł popatrzeć na konie, a potem ruszył w stronę bungalowów. Wydawał się zadowolony z wizyty. Hartley spoglądał z niepokojem na Mary Stuart, więc uśmiechnęła się do niego uspokajająco. Kontakty z Benjaminem wytrąciły ją z równowagi. Był taki bezpośredni, że mogło jej to wyjść tylko na dobre. Nie było to jednak łatwe, Hartley przytulił ją na mgnienie oka, zanim dosiadła konia. Powiedział, że jest wspaniała.

- Nie wiem, co dobrego uczyniłam, żeby sobie na to zasłużyć - odparła.

- Prowadziłaś zdrowy tryb życia - zażartował. Odbyli tego ranka miłą przejażdżkę. Zoe była zmęczona, a ponieważ lekarze wybrali się do parku Yellowstone, przyłączyła się do Mary Stuart i Hartleya. Tania z Gordonem popędzili przodem. Zaprosił ją na wieczorne rodeo. Sam też miał brać w nim udział.

- Żartujesz? W jakich dyscyplinach? Spojrzał na nią sennie.

- Byki i dzikie konie. Robiłem to jeszcze w Teksasie.

- Oszalałeś! - Bywała na rodeo jako dziecko. Kowboje byli zrzucani, wleczeni po ziemi, jedni doznawali uszkodzenia mózgu, inni mieli tak połamane kości, że kuśtykali później jak starcy o twarzach dwudziestolatek. - To szczyt głupoty - oznajmiła ze złością. - Jesteś

mądrym facetem, dlaczego ryzykować życie dla paruset dolarów albo jakiejś srebrnej puszki? - Miał ich już z dziesięć w domu, i co mu z tego, jeżeli zostanie kaleką?

- One są jak twoje platynowe płyty - powiedział spokojnie, wcale nie zaskoczony jej reakcją. Jego matka mówiła to samo. I siostry. Kobiety takich rzeczy po prostu nie rozumiały. - Zastanów się, przez co musisz przejść, żeby nagrać złotą płytę albo dostać Oskara. Jakim torturom jesteś poddawana! Próby, niekompetentni menedżerowie, brukowa prasa. O wiele łatwiej utrzymać się przez dziewięćdziesiąt sekund na dzikim koniu.

- Może i prawda, ale nie wloką mnie za nogi po końskim łajnie, dopóki nie stracę przytomności. Gordon, nie pochwalam tego - powiedziała surowo.

Gordon miał rozczarowaną minę. Może mimo wszystko była miastową kobietą?

- Czy to znaczy, że dzisiaj nie przyjdiesz? - Zapytał ponuro.

- Oczywiście, że przyjdę. Ale nadal uważam, że masz nie po kolei w głowie. Pokazał jej w uśmiechu wszystkie zęby i zapalił papierosa.

- Na czym będziesz dzisiaj jeździł?

- Na koniach. Łatwizna.

- Chcesz się popisać! - Była wyraźnie podekscytowana. Uwielbiała rodeo i zamierzała się tam wybrać nawet bez jego zaproszenia. Poprosił, by przyszła zobaczyć go w zagrodzie i Tania obiecała, że się postara. Nie zawsze mogła się swobodnie poruszać. Jeżeli zostanie rozpoznana, ograniczy to jej swobodę, może nawet zmusić ją do rejterady. Nigdy nie chodziła na imprezy publiczne bez ochroniarza, ale tym razem postanowiła zaryzykować. Pojedzie swoim autokarem, z Tomem, Zoe i Mary Stuart. I Hartleyem, jeżeli pisarz będzie miał ochotę na tę wyprawę. Nie mogła się już doczekać wieczoru. Nie tylko uwielbiała rodeo, ale miała także idealny strój na tę okazję.

Przebijając się do kolacji czuła się jak dziecko, któremu obiecano wyprawę do wesołego miasteczka. Wyłoniła się ze swojego pokoju w beżowych spodniach z miękkiego zamszu, z frędzlami na szwach i w zamszowej koszuli, również obszytej frędzlami. Na głowie miała kowbojski kapelusz, kolorem idealnie harmonizujący z resztą stroju. Wyglądał bardzo autentycznie, ale kupiła go w Paryżu. Zamsz był tak delikatny, że sprawiał wrażenie ałtasu.

- Ach, wy Teksaszczyki! - westchnęła Mary Stuart, chociaż ani ona, ani Zoe nie ustępowały Tani urodą i Hartley zaczął je nazywać „Aniołkami Hartleya”, ku uciesze całej trójki.

Benjamin biegał po jadalni jak nakręcony, a jego matka groziła mężowi przedwczesnym porodem, jeżeli chłopca nie uspokoi. Zwierzyła się Mary Stuart, że był to dla niej bardzo stresujący tydzień i że nie może się już doczekać powrotu do Kansas City. Mary Stuart wcale się jej nie dziwiła. Nie był to tydzień, jakiego można by życzyć kobiecie w ósmym miesiącu ciąży, ale cieszyła się z poznania Benjamina.

Zaraz po kolacji wsiedli do autokaru Tani i wyruszyli do Jackson Hole. Hartley wybrał się razem z nimi i był zachwycony pojazdem.

- Co za komfort, wprost niewiarygodne - powiedział ubawiony. - A ja myślałem, że szpanuję jaguarem.

- Jeżdżę dziesięcioletnim volkswagenem - wyznała Zoe i oboje się roześmiali. Zoe robiła to dla sprawy, ładując każdy cent w lekarstwa i sprzęt dla kliniki.

- Obawiam się, że świat literacki nie może konkurować z Hollywood - powiedział skromnie Hartley. - Bijesz nas, Taniu na głowę.

- Może i tak, ale weź pod uwagę, jaką za to płacimy cenę. Wy pracujecie jak dżentelmeni. Tymczasem ludzie, z którymi ja mam do czynienia, to barbarzyńcy, należy mi się więc

jakaś rekompensata. - Wszyscy wybuchnęli śmiechem, ale nikt nie zaprzeczył, nawet Hartley. Niewątpliwie ciężko pracowała na te wielkie pieniądze.

W luksusowym autokarze podróż z Moose do Jackson Hole minęła szybko i po godzinie znaleźli się na rodeo, trzydzieści minut przed czasem. Kierownictwo rancza załatwiło im doskonale bilety. Atmosfera, zapach były znajome, i przywiodły Tani na myśl dzieciństwo. Jako mała dziewczynka przyjeżdżała na rodeo swoim kucem i oglądała zawody od początku do końca. Kiedy była trochę starsza, wzięła nawet udział w paru wyścigach, ale ojciec uznał, że to za dużo kosztuje, a ona nie była aż tak zbzikowana na punkcie koni, by się upierać. Po prostu lubiła tę atmosferę. Przypominała jej cyrk.

Kupili prażoną kukurydzę i coca colę, i właśnie sadowili się na swoich miejscach, kiedy podszedł do nich urzędnik piklujący rodeo. Tania pomyślała, że coś jest nie w porządku, może otrzymali pogróżki albo mają problem z bezpieczeństwem. Mężczyzna, który podszedł do nich, był szalenie zdenerwowany i Hartley wysunął się przed nią, zagrządzając mu drogę.

- O co chodzi? - zapytał uprzejmie, podobnie jak Tania węsząc niebezpieczeństwo.

- Chciałbym porozmawiać z panną Thomas - powiedział mężczyzna z wyraźnym teksańskim akcentem. - Poprosić ją jako Teksańczyk o pewną przysługę. -dodał i zerknął na Tanie ponad ramieniem Hartleya.

- Czym mogę służyć? - Tania wysunęła się naprzód. Uznała, że facet jest niegroźny, choć irytujący.

- Zastanawialiśmy się... - Pocił się obficie. Został oddelegowany do tego zadania i szczerze żałował, że nie obarczono misją kogoś innego. Jej ochroniarz porządnie go wystraszył. Był bardzo dobrze ubrany i trochę przerażający. Miał oczywiście na myśli Hartleya. Tom siedział w innym sektorze. - Panno Thomas -ciągnął obywatel Teksasu, coraz bardziej zdenerwowany - wiem, że zazwyczaj nie robi pani takich rzeczy i nie możemy nic za to zapłacić... Ale pomyśleliśmy. .. Że byłby to prawdziwy dla nas zaszczyt... - Miała ochotę nim potrząsnąć, by wydobyć wreszcie to, co miał do powiedzenia. - Gdyby zechciała pani zaśpiewać dla nas hymn - wydukał wreszcie.

Była tak zdziwiona, że nie odpowiedziała od razu. Nigdy dotąd czegoś takiego nie robiła, pieśń była trudna do zaśpiewania, ale mogłoby to nawet być zabawne, pod gołym niebem, wśród gór. Pomyśl był sympatyczny i uśmiechnęła się do mężczyzny, zastanawiając się, co pomyśli o tym Gordon. Miała ochotę zaśpiewać przede wszystkim dla niego, żeby życzyć mu szczęścia na tym dzikim koniu.

- To dla mnie zaszczyt - odpowiedziała z powagą, zupełnie szczerze. -A gdzie miałabym śpiewać?

- Zechce pani pójść ze mną?

Wahała się przez sekundę, jak zwykle nieufna wobec tłumu, pamiętając, że nie ma przy niej ochroniarza. Inni zdawali się podzielać jej obawy, ale z drugiej strony nikt jej nie rozpoznał i miała szczerą ochotę zaśpiewać.

- Mam z tobą pójść? - zapytał Hartley. Nie chciał, aby się narażała i był gotów służyć jej swoją osobą.

- Nic mi nie będzie - odparła zniżając głos. - Będę się trzymała otwartej przestrzeni. Jeżeli byś zauważył coś podejrzanego, albo gdyby tłum zaczął się zacieśniać, wezwij ochronę, zadzwoń na policję, byle zaraz. - Mogli nie okazać się dość szybcy i Tania obawiała się tego.



- Chyba jednak nie powinnaś śpiewać - próbował powstrzymać ją Hartley.  
 - To dla nich tyle znaczy, a mnie nic nie kosztuje. - Będzie to prezent dla Gordona - pomyślała sobie. Chciała uczynić to dla niego i dla mieszkańców Jackson Hole w stanie Wyoming. - Nie martw się. - Poklepała go po ramieniu, zerknęła na przyjaciół i poszła za spotniałym urzędnikiem.

Proponowali jej, żeby stanęła na skrzyni, z mikrofonem w rękę i zaśpiewała. Mogłaby to również zrobić z końskiego grzbietu. Bardziej spodobał się jej ten drugi wariant. W obu przypadkach wystawiała się na cel, z tą różnicą, że na koniu była bardziej mobilna, a umiejętności jeździeckie pozwoliłyby jej wydostać się z każdej opresji. Organizatorzy rodeo wyrazili entuzjastyczną zgodę na konia i przyprowadzono jej pięknego palomino, który maścią harmonizował z kolorem jej włosów i stroju. Dzięki temu osiągnięto bardziej teatralny efekt. Miała jedynie nadzieję, że nie trafi się jakiś szaleniec ze strzelbą. Myśl ta była niemiła, ale dając koncerty musiała taką możliwość brać pod uwagę. Jej agent dostałby zawału, gdyby wiedział, co zamierza zrobić, bez ochrony i w dodatku za darmo. Ale ciągle jeszcze tkwiła w niej mała dziewczynka z Teksasu. Gdyby w dzieciństwie ktoś powiedział jej, że kiedyś zaśpiewa hymn na rodeo, nie uwierzyłyby. Jako dziecko zawsze o tym marzyła, a teraz marzenie jej miało się spełnić.

Rozejrzała się, ale nigdzie nie dostrzegła Gordona. Widzowie, nieświadomi tego, co miało nastąpić, nie zwracali na nią żadnej uwagi. Nikt spośród widzów nie wiedział, kim ona jest. Organizatorzy imprezy dowiedzieli się tego od dziewczyny z rancza, u której Tania zamawiała bilety. Zirykowało ją to trochę, ale nad takimi sprawami nie miała kontroli. Ktoś zawsze dopuszczał się niedyskrecji. Ale tłum nie był w najmniejszym stopniu przygotowany na zapowiedź, która rozpoczęła rodeo.

- Panie i panowie - powiedział do mikrofonu szeryf. - Jackson Hole Rodeo wita państwa serdecznie, dziękujemy, że przyszlście obejrzeć nasze byki, dzikie konie i naszych kowbojów. Mamy też dzisiaj dla państwa prawdziwą niespodziankę. Jest tu z nami pewna pani, którą na pewno powitacie z radością. Zaśpiewa dla nas hymn. Przyjechała z wizytą do Jackson Hole... - Tania modliła się, by szeryfowi nie przyszło do głowy zdradzić jej miejsca pobytu, ale na szczęście wykazał zdrowy rozsądek. - Jest wielką miłośniczką rodeo, rodowitą Teksanką. Drodzy państwo, przed wami - Tania Thomas!

W tym momencie kowboje otworzyli bramę i Tania wypadła na arenę na palomino. Był to niezwykle widok: triumfująca piękność z rozwianymi blond włosami, z mikrofonem w jednej, a wodzami w drugiej ręce. Koń okazał się szybszy niż przypuszczała i miała tylko nadzieję nie spaść z niego w trakcie śpiewania hymnu. Zgodnie z planem okrążyła plac galopem i podprowadziła konia na środek, pozdrawiając wiwatujące tłumy. Ludzie powstali z miejsc, nie dowierzając własnemu szczęściu i przez ułamek sekundy złękła się, że ją stratują. Rozejrzała się za Gordonem, ale nie było go w pobliżu. Stał daleko w tyle przy zagrodzie dla byków, nie wierząc własnym oczom. Zaskoczyło go pojawienie się Tani na koniu i reakcja tłumu. Miał do niej żal, że go nie uprzedziła. Tłum wrzeszczał, tupał, wykrzykiwano jej imię. Tania uniosła dłoń i trochę się uciszyło.

- Ja również cieszę się z naszego spotkania, ale to nie koncert. Jesteśmy na rodeo... i odśpiewamy nasz hymn, a więc skupmy się. To dla mnie prawdziwy zaszczyt - powiedziała z takim uczuciem, że tłum się uspokoił i ludzie naprawdę słuchali. - Jest to dla nas, Amerykanów pieśń wyjątkowa - ciągnęła, grając na patriotycznych uczuciach. - Chcę, żebyście zaśpiewali ją razem ze mną i myśleli o tym, co śpiewamy.

Pochyliła głowę i po chwili ciszy orkiestra zaczęła grać i grała lepiej, niż można się było spodziewać. Grali specjalnie dla niej, a ona wyśpiewywała serce dla mieszkańców Jackson Hole, dla turystów, dla swoich przyjaciół, dla Gordona. Śpiewała przede wszystkim dla niego i miała nadzieję, że on o tym wie. Zdawała sobie sprawę, ile znaczy dla niego rodeo, ponieważ kiedyś i dla niej było bardzo ważne. Było kulminacyjnym momentem jego życia przynajmniej kiedyś, bo teraz mógł myśleć tylko o Tani. Nigdy w życiu nie widział i nie słyszał nic piękniejszego nad Tanie śpiewającą hymn. Żałował, że nie może nagrać jej na taśmę i odtwarzać, kiedy tylko zechce. Większość słuchaczy miała łzy w oczach, a kiedy skończyła, tłum ogarnęło szaleństwo. Z gestem pożegnania zjechała galopem z placu, zanim zdążyli sforsować barierki, by ją otoczyć. W ciągu kilku sekund znalazła się za bramą ogrodzenia, oddała mikrofon jakiemuś oficjałowi, który pocałował ją w policzek tak mocno, że omal nie wywichnął jej szczęki, zsiadła z konia i dosłownie wtopiła się w tłum, kierując się wprost na zagrody byków. Drżała z podniecenia.

Poruszała się tak szybko, że zniknęła fanom z oczu. Nawet Hartley nie mógł jej dostrzec, a Mary Stuart i Zoe zaniepokoiły się nie na żarty. Tania wiedziała jednak dokładnie, dokąd zmierza. Zbyt długo pętała się po rozmaitych rodeach, by nie trafić do zagrody dla byków. W krótkim czasie odnalazła Gordona. Siedział na ogrodzeniu, wciąż jeszcze oszołomiony. Jakby wyczuwając jej obecność, spojrział w dół i zobaczył Tanie. Chwilę później był już przy niej. Spoglądała na niego promieniejąc.

- Dlaczego mi nic nie powiedziałaś? - Wydawał się dotknięty, że to przed nim zataiła.

- Bo sama nie wiedziałam. Poprosili mnie w ostatniej chwili, gdy już siedziałam na widowni.

- Byłaś rewelacyjna! - powiedział z dumą. Czuł się niesłychanie wyróżniony przez los, że zna ją osobiście. Ostatnie dni były jak cudowny sen, a teraz rozmawiał sobie z nią tak jakby się znali od zawsze. Był w zielonej koszuli, ozdobionej srebrno-zielonymi frędzlami, w szarym kapeluszu i w szarych kowbojskich butach. - Nie słyszałem jeszcze, żeby ktoś tak śpiewał - powiedział z podziwem. Ludzie tłoczyli się wokół nich, ale nikt nie zwracał uwagi na to, z kim Gordon rozmawia.

- Gadanie! - Poczuli się nagle zawstydzona, jak chwalone dziecko. - Zrobiłam to dla ciebie - powiedziała nieśmiało. - Na szczęście... Pomyślałam, że ci się spodoba...

Patrzył na nią z czułością, równie zażenowany jak ona.

- Sam nie wiem, co ci powiedzieć, Taniu. Po prostu nie wiem. - Tania... Tania Thomas... miał ochotę się uszczypnąć, sprawdzić, czy nie śni. Naprawdę z nim rozmawia? Czy on naprawdę jeździ z nią od poniedziałku? Nie. To było niemożliwe. Chyba jednak śni...

- To taki prezent ode mnie dla ciebie. A teraz możesz mi się zrewanżować. Cekał, przerażony, o co go poprosi. W tej chwili zrobiłby dla niej absolutnie wszystko.

- Błagam, bądź ostrożny. Nie pozwól się zrzucić, tylko o to proszę. Jeżeli nawet miałoby to oznaczać przegraną. Inaczej rzecz nie jest tego warta, Gordon. Życie jest zbyt cenne. Widziała już wielu ludzi, którzy ryzykowali wszystko dla czegoś, co nie miało żadnej wartości. W żadnym wypadku nie chciała dopuścić, żeby dla siedemdziesięciu pięciu doliczów zabił się na dzikim koniu. Pod wieloma względami rodeo przypominało walkę byków. Stawka okazywała się czasem zbyt wysoka i trzeba było, wiedzieć, kiedy ograniczyć straty.

- Obiecuję - powiedział schrypniętym głosem. Miał wrażenie, że kolana się pod nim uginają.

- Uważaj na siebie. - Musnęła go palcami po ramieniu i jak się nagle pojawiła, tak też zniknęła w tłumie. Widziała, że ludzie ich obserwują, wołała więc wrócić na widownię, zanim zostanie otoczona i obfotografowana. Powrót na miejsce zabrał jej pełne pięć minut, a kiedy dotarła do przyjaciół, serce waliło jej młotem, nie ze strachu, lecz z powodu Gordona. Nie spotkała jeszcze nikogo, kto by tak na nią działał i wiedziała, że może się to okazać niebezpieczne dla nich obojga. Brakowało jej tylko kolejnego skandalu, a i on nie potrzebował piosenkarki, która by wywróciła jego życie do góry nogami, zanim odjedzie.

- Gdzie ty byłaś, do cholery?! - powitała ją roztrzęsiona Zoe a Mary Stuart spojrzała na nią z wyrzutem. Nawet Hartley był zdenerwowany. Właśnie zamierzali wezwać policję.

- Strasznie was przepraszam - powiedziała, pełna skruchy. - Nie chciałam wam sprawiać kłopotu. Przebiecie się przez tłum zabrało mi trochę czasu, a potem wpadłam na Gordona i tak jakoś... - Wszyscy przyjęli jej słowa za dobrą monetę, tylko Mary Stuart pochyliła się do przyjaciółki i szepnęła jej do ucha:

- Ty kłamczucho! Poszłaś go poszukać. - W oczach Mary Stuart pojawił się szelmowski błysk i Tania uciekła wzrokiem w bok. Nie chciała się przyznać, do jakiego stopnia Gordon zbił ją z nóg.

- Wcale nie! - Tania udawała, że pochłania ją pierwsza konkurencja, łapanie na łąso.

- Widziałam was - powiedziała Mary Stuart i spojrzały sobie wymownie w oczy. Tania zauważyła, że przyjaciółka się uśmiecha. - Bądź ostrożna, Tan.

W tym momencie podeszła do nich grupka osób prosząc o autograf. Tania uznała, że skoro dobrowolnie zrobiła z siebie widowisko, to nie może teraz odmówić. Składanie autografów ciągnęło się przez cały wieczór. W ten sposób minęła konkurencja łapania na łąso, wyścigi, ujeżdżanie bez siodła i ujeżdżanie byków. W końcu zobaczyła go. Ujeżdżał dzikiego konia w siodle. Nienawidziła tej konkurencji głównie dlatego, że kowboj przywiązywał sobie rękę do siodła i żeby się uwolnić musiał zeskoczyć pod ściśle określonym kątem. Jeżeli tego nie zrobił, to koń włókł go potem za sobą, dopóki jeźdźca nie uwolnili inni. Jeszcze w Teksasie widywała podczas rodeo straszne wypadki. Teraz patrzyła z przerażeniem, jak Gordon wypada z bramy na rozwścieczonym brązowym koniu, który robił wszystko, by się pozbyć jeźdźca. Kowboj trzymał nogi w powietrzu, tułów mając odchyłony niemal na równi z grzbietem konia, lewą rękę przepisowo uniesioną w górę. Tani wydawało się, że trwa to w nieskończoność. Utrzymał się tak aż do dzwonka i zeskoczył zgrabnie, uwalniając dłoń. Uzyskał prawie maksymalny wynik, pomachał kapeluszem w stronę Tani i wrócił do zagrody. Odniósł prawdziwe zwycięstwo. Odniósł je dla niej.

Pozostali do końca. Ostatnia konkurencja - ujeżdżanie młodych byczków przez czternastolatków - kazała wątpić w rozsądek rodziców. Mary Stuart była oburzona.

- Powinno się powsadzać tych ludzi do więzienia za to, że pozwalają swoim dzieciom na coś takiego.

Jeden z chłopców został niemal stratowany, ale po paru sekundach już stał na nogach. Zoe nie spuszczała go z oka.

Ale Tania musiała w duchu przyznać, że mimo całego barbarzyństwa tej imprezy, kocha rodeo. Kochała je jako dziecko i kochała teraz. W drodze do wyjścia ludzie obiegli ją, prosząc o autografy, robiąc zdjęcia, wyciągając ku niej ręce. Szeryf spodziewając się takiej reakcji tłumu, przysłał jej ochronę, toteż dotarła do autokaru bez poważniejszych problemów. Kiedy już odjeżdżali, kilkadziesiąt osób biegło za wozem krzycząc i skandując jej imię. To wciąż jeszcze było uwielbienie, które szybko przeradzało się w nienawiść.

Gdyby została trochę dłużej, zerwaliby z niej ubrania, zdolni nawet do wyrządzenia rzeczywistej krzywdy. To sprawiało, że źle się czuła w tłumie i w miejscach publicznych.

- Taniu, byłaś zachwycająca - powiedział Hartley, kiedy wyjechali na szosę. Nie krył swego podziwu. Tania choć uprzejma dla wszystkich, potrafiła jednocześnie chronić swoją godność. Dawała fanom to, o co prosili, a jednocześnie umiała zachować niezbędny dystans. To budziło szacunek.

- Ja na twoim miejscu byłbym przerażony - ciągnął Hartley. - Przyznaję, że jestem niepoprawnym tchórzem.

A przecież ona występowała czasem przed osiemdziesiątysięcznym tłumem. Nawet dzisiaj, na tej niewielkiej widowni mógł się znaleźć szaleniec, który byłby zdolny ją zabić. Ta świadomość nigdy jej nie opuszczała.

- Twój głos jest darem od Boga. Wszyscy wokół nas płakali.

- Ja też - przyznała Mary Stuart

- Ja zawsze płaczę, kiedy ona śpiewa - stwierdziła Zoe lakonicznie i Tania uśmiechnęła się, wzruszona. Po powrocie na rancho Hartley posiedział z nimi trochę, a potem zabrał na spacer Mary Stuart. Wrócili o wpół do dwunastej i stali pod domem bez końca, całując się w świetle księżyca. Tania i Zoe uznały, że są bardzo romantyczni.

- Jak myślisz, jak to się skończy? - zastanawiała się Tania wraz z Zoe, kiedy usiadły w salonie.

- Byłoby cudownie, gdyby im się udało, ale to trudno przewidzieć. Obawiam się, że jest to syndrom okrętowego romansu. Nie jestem pewna, czy rozwiązała już kwestię Billa.

- Zachowywał się wobec niej przez ten rok jak ostatni drań i mam nadzieję, że go zostawi. - Głos Tani zabrzmiał ostrzej niż zwykle, ale miała wielki żal do Billa i była pełna współczucia dla Mary Stuart.

- Ale i on się naciępał - Zoe dobrze wiedziała, co śmierć najbliższej osoby może uczynić z człowiekiem. Jedni zamieniali się w aniołów, drudzy stawali się potworami. Bili Walker należał pewnie do tej drugiej kategorii.

Zoe zamierzała właśnie rzucić jakąś uwagę na temat kowboja Tani, ale weszła rozpromieniona Mary Stuart.

- Byłaś naprawdę zachwycająca, Tan. Jeszcze cię takiej nie widziałam.

- Świetnie się bawiłam. To ta dobra strona mojego życia. Wiesz przecież: kocham śpiewać.

- Dajesz ludziom wiele radości - powiedziała Mary Stuart miękko.

Rozmawiały jeszcze przez chwilę, potem Zoe i Mary Stuart poszły spać, a Tania postanowiła posiedzieć trochę w salonie i poczytać. Ciągle jeszcze była podekscytowana swoim krótkim występem. Tuż po północy usłyszała ciche skrobanie w okno. Z początku myślała, że to jakieś zwierzę, potem mignęła jej zielona koszula i w oknie ukazała się twarz Gordona. Tania uśmiechnęła się do niego. Kiedy otwierała drzwi, przemknęła jej przez głowę myśl, czy podświadomie na niego nie czekała. Na dworze było chłodno, a ona miała na sobie tylko swój zamszowy strój i była boso.

- Ciii! - Przyłożył palec do ust, ale nie było to konieczne. Od razu domyśliła się, że wpadłby w nie byle jakie tarapaty, gdyby odkryto tu jego obecność o tej godzinie. Mieszkał w bungalowu za stajniami.

- Co ty tu robisz? - wyszeptala, a on uśmiechnął się radośnie. Był równie podekscytowany jak ona.

- Nie wiem. Jestem szalony. Chyba nie mniej od ciebie. Miał nieodparte wrażenie, że zna ją od zawsze. Nigdy nie zapomni, co dla niego zrobiła tego wieczora.

- Byłeś wspaniały. Gratuluję wygranej.

- Dziękuję - powiedział z dumą. To miało dla niego duże znaczenie. Ogromne. On również zrobił to z myślą o niej. Był to jego dar dla Tanny, jak ją w myślach nazywał. Mógł wtedy udawać, że ona jest tylko piękną, młodą kobietą, a nie wielką Tanią Thomas.

Stał koło drzewa, oparty o jego pień i nagle przyciągnął ją do siebie.

- Nie wiem, co ja tu robię. Naprawdę oszalałem. Mogliby mnie za to wyrzucić z pracy.

- Nie chcę, żeby cię spotkały jakieś nieprzyjemności - powiedziała szczerze, mając nadzieję, że nikt ich nie zobaczy.

- A ja nie chcę, żeby tobie się coś stało. - Nigdy w życiu nie bał się tak, jak w chwili, gdy tłum zaczął się wokół niej zacieśniać, bał się nie o siebie, lecz o nią. - Tam, na rodeo, byłem przerażony... Tak się bałem, że ktoś może ci zrobić krzywdę.

- Ktoś to pewnie zrobi któregoś dnia - powiedziała żałośnie. Było to ryzyko zawodowe i już pogodziła się z tą myślą. Niemal się pogodziła. - To bardzo prawdopodobne. - Próbowała nadać głosowi beznamienne brzmienie, ale jej się to nie udało.

- Nie chcę, by cię spotkało coś złego. Nigdy. Chciałbym zawsze być z tobą, żeby cię chronić - powiedział zaskakując samego siebie.

- Nie możesz być ze mną przez cały czas. Ktoś może mnie dopaść przed domem, na scenie, w supermarkecie. - Uśmiechnęła się filozoficznie, ale minę miała wyraźnie nietęgą.

- Nie powinnaś się ruszać bez ochroniarzy. - Najchętniej zamknąłby ją w domu, zrobiłby wszystko, byle by ją ochronić.

- Wcale nie chcę tak żyć. A ochroniarzy zatrudniam tylko w wyjątkowych sytuacjach. Radzę sobie z tłumem całkiem nieźle, dopóki ludzie nie zaczynają szaleć.

- Policjanci mówili, że biegła dzisiaj za tobą niemal setka ludzi. To mnie przeraziło.

- Przecież nic mi się nie stało. Ty też się narażasz na tych zwariowanych koniach. Może raczej powinieneś martwić się o siebie, nie o moich fanów?

Przyciągnął ją jeszcze bliżej, a ona nie stawiała oporu. Nie chciała się opierać, chciała wtopić się w niego, stać się jego częścią. Patrząc na nią mógł myśleć tylko o jej twarzy, jej oczach, o kobiecie, którą odkrył w legendzie rocka.

- Boże, Tanny! - wyszeptał w jej włosy. - Sam nie wiem, co robię...

Tak się jej bał, bał się, że go odtrąci albo potraktuje z góry. Nigdy nie spodziewał się czegoś takiego. Takiej lawiny uczuć. Otoczył ją ramionami i pocałował, jak nie całował dotąd żadnej kobiety. Miał czterdzieści dwa lata i nigdy jeszcze nie czuł do kobiety tego, co czuł teraz do Tani. A ona za niecałe dwa tygodnie wyjedzie.

- Powiedz mi, że nie oszalałem - prosił. - Sęk w tym, że wiem, że tak się stało. - Był zarazem zrozpaczony i uszczęśliwiony, zwycięski i pokonany, ale ona znajdowała się w podobnym stanie.

- Oboje jesteście szaleni - powiedziała łagodnie. - Ja również nie wiem, co się ze mną dzieje. - To było jak gigantyczna fala. Gordon nie przestawał jej całować a ona pragnęła tylko jednego: kochać się z nim. Oboje wiedzieli, że nie powinni.

- Co my robimy? - Zajrzał jej w twarz a potem zapytał o coś, o czym wcześniej nawet nie pomyślał:

- Jesteś mężatką? Masz kogoś? Narzeczonego?

Jeżeli tak, zostawi ją w spokoju, choćby go to miało zabić. Ale ona potrząsnęła tylko głową i znowu go pocałowała.

- Rozwodzę się. Sprawa jest już w toku. Nie mam nikogo. - Patrzyła na niego tak, jakby dotąd nigdy nikogo nie miała. Podejrzewała, że gdyby Gordon był na miejscu Bobby'ego Joe, zapewne nie doszłoby do rozwodu.

- Tylko to chciałem wiedzieć. Reszta może poczekać. Nie chciałbym niczego zaczynać, gdybyś była zamężna lub coś w tym rodzaju.

- Nigdy tego nie robię - powiedziała miękko. - I nigdy nie robiłam. Nie obchodzi mnie, co mówią o piosenkarzach i gwiazdach filmowych... Wsiąkłam z kretesem. - Poślubiła mężczyznę, w którym była zakochana, ale to, co czuła teraz do Gordona, wykraczało poza jej wyobrażenia o miłości. Pomyślała z niepokojem o grożących mu nieprzyjemnościach.

- Musisz być bardzo ostrożny, żeby nikt się nie dowiedział. Nie chcę, byś miał kłopoty. Skinął obojętnie głową. Pracował na ranczo od trzech lat, był szefem grupy kowbojów w corralu, ale z radością rzuciłby to wszystko, gdyby go tylko poprosiła.

- Tanny... - Przytulił ją mocno, wsuwając dłonie w jej niesamowite włosy. - Kocham cię.

- Ja też cię kocham - wyszeptwała, czując, że owładnęło nimi szaleństwo. Żadne z nich nie miało pojęcia, dokąd ich to zaprowadzi, na razie dali się owładnąć uczuciom. Gordon nie chciał się nawet nad tym zastanawiać.

- Przyjdiesz w sobotę na rodeo?

- Pewnie tak. - Uśmiechnęła się żalując, że nie może dosiąść konia razem z nim.

- Ale, proszę cię, nie śpiewaj. Nie chcę, żebyś się narażała.

- Dobrze - odszepnęła, ciągle razem z nim oparta o drzewo.

- Mówię poważnie. - Naprawdę się o nią martwił. Trzy dni temu wmaszerowała wprost do jego serca, jakby tam zawsze przynależała.

- Więc nie ujeżdżaj koni - droczyła się z nim. Wiedziała, że on musi to robić, a przynajmniej na razie. Może potem uda się to zmienić. Jeżeli istniało dla nich jakieś potem. Czy mogło istnieć? Oboje wiedzieli, że nie.

- Teraz już zawsze będę się o ciebie martwił - powiedział z nieszczęśliwą miną.

- Miejmy odrobinę zaufania do losu, w końcu to on nas połączył. Czysty przypadek, że tu w ogóle przyjechałam. Zobaczymy, co będzie. Życie jest takie nieobliczalne.

- Ty jesteś nieobliczalna i kocham cię.

Stali długi czas pod drzewem, całując się i rozmawiając. Gordon miał wolną niedzielę i chciał zabrać Tanie na wycieczkę. Zaproponowała więc, że pojedą jej autokarem, ale on wolał wziąć swojego łazika i pokazać jej wszystkie miejsca, które kochał. Tania pomyślała, że będzie musiała okłamać swoje przyjaciółki. To, co działo się między nią a Gordonem było zbyt osobiste, by o tym rozmawiać.

- Do jutra - powiedział w końcu, ale nie mógł znieść myśli, że jutro nie będzie już mógł jej objąć, otoczyć ramionami. Chyba że wróci tu nocą, jak dzisiaj i pójdą razem na spacer. Ale Tania nie chciała, aby się narażał. Zarząd rancza patrzył niechętnym okiem na romanse kowbojów i gości, choć wszyscy wiedzieli, że się czasem zdarzały. Gordon przysięgał, że nie jemu. Nigdy dotąd nie romansował w pracy i mógł sobie tylko pogratulować, że trafiło mu się jak ślepej kurze ziarnko.

Stała w drzwiach i patrzyła jak odchodzi. Poruszał się szybko i zwinnie, zniknął w mroku niemal w chwili, gdy ją zostawił. Była druga w nocy; stali pod tym drzewem prawie dwie godziny. Kiedy weszła do domu, drgnęła zaskoczona usłyszawszy jakiś dźwięk dobiegający z kuchni. To Zoe otulona kocem nastawiała czajnik dosłownie zielona na twarzy. Nie przyznała się Tani, że ma ostrą biegunkę.

- Źle się czujesz? - zapytała Tania, zakłopotana swą długą nieobecnością w domu, ale nie musiała nic wyjaśniać, bo Zoe nie zadawała żadnych pytań. - Wyglądasz na chorą.

- Nic mi nie jest - odparła Zoe bez przekonania, a Tania zobaczyła, że się cała trzęsie.

- Zoe? - Tania wciąż patrzyła na nią oczyma rozszerzonymi niepokojem, ale Zoe tylko potrząsnęła głową. Nie chciała o tym rozmawiać. - Idź szybko do łóżka, zrobię ci herbaty.

Posłuchała z wdzięcznością. Po paru minutach Tania przyniosła jej kubek miętowej herbaty. Zoe wyglądała teraz odrobinę lepiej i Tania przysiadła na brzegu jej łóżka.

- Co się dzieje?

- Zwyczajna infekcja. - Ale Tania jakoś nie mogła w to uwierzyć.

- Mam wezwać lekarza?

- Oczywiście, że nie! To ja jestem lekarzem. Mam tu wszystko, czego mi potrzeba. - Miała AZT, podstawę swoich leków, zrobiła sobie zastrzyk, który powinien zatrzymać biegunkę. Zdążyła do łazienki dosłownie w ostatniej chwili. Na samą myśl, co by było, gdyby jej się to nie udało, ścierpła jej skóra.

Siedziały w milczeniu, pogrążone w myślach. Zoe wypila herbatę i opadła z powrotem na poduszkę. Popatrzyła na przyjaciółkę, czując, że powinna coś powiedzieć.

- Tanny... pamiętaj, bądź ostrożna... A jeżeli on jest inny niż myślisz? A jeżeli sprzeda tę całą historię komuś... Zrani cię. Przecież go nie znasz.

Tania zdziwiła się, skąd Zoe wie. Zawsze była, bestyjka, inteligentna. Zoe mogła mieć rację, ale Tania instynktownie wyczuwała, że Gordon jest człowiekiem szlachetnym, a pakowała się w kłopoty dopiero wtedy, gdy ignorowała instynkt.

- Wydaje mi się, że on jest w porządku, Zoe. Wiem, że to brzmi naiwnie, skoro dopiero co go poznałam. Ale on mi tak przypomina Bobby'ego Joe. Zoe uśmiechnęła się blade.

- Dziwne, bo mnie też. Ale pamiętaj, to nie jest Bobby Joe. Ma własną osobowość i mógłby cię skrzywdzić na wiele sposobów.

Brukowce wyznaczyły dużą nagrodę za jej głowę. Zapłaciłyby setki tysięcy dolarów za każdą plotkę o Tani Thomas. Zwłaszcza zaś za taką historię. A co dopiero za zdjęcia.

- Wiem o tym - przyznała Tania niechętnie. - Sama się dziwię, że jeszcze jestem w stanie komuś zaufać. Może to z mojej strony szaleństwo, ale ufam mu.

- Być może, że się nie mylisz - zgodziła się Zoe. Zawsze była uczciwa, nawet jako młoda dziewczyna. Była to jedna z tych cech, za które Tania ją kochała. - Tylko nie oddawaj tak prędko serca, masz tylko jedno i ciężko je potem zreperować.

Obie kobiety wymieniły uśmiechy. Zoe bardzo pragnęła zobaczyć Tanie u boku właściwego faceta.

- Lepiej powiedz, co z twoim sercem? - zapytała Tania, kiedy Zoe odstawiła kubek. Jej wygląd trochę się poprawił. - Dlaczego jesteś ciągle sama? Czyżby twoje serce było złamane?

- O nie. Jest tylko pełne życia innych ludzi. Nigdy nie było na to czasu... a teraz mam już dziecko. Niczego więcej mi nie potrzeba.

- Nie wierzę ci - powiedziała Tania.

- Może jestem inna? - Wydała się Tani smutna, samotna i chora. Chciałaby zrobić dla przyjaciółki coś więcej. Zawsze kochała ją jak siostrę, a Zoe tyle czyniła dla innych. Była uosobieniem altruizmu i Tania martwiła się, że jest taka chora i wycieńczona. Na co dzień nie miała nikogo, kto by się nią opiekował, robił dla niej to, co ona robiła dla innych. Teraz wyglądała na senną, więc Tania zgasiła światło i pocałowała ją w czoło.

- Śpij, a jeżeli rano nie poczujesz się lepiej, wezwę lekarza.

- Nic mi nie będzie. - Zamknęła oczy i zasnęła, zanim Tania zdążyła wyjść z pokoju. Myśli Tani pobiegły ponownie do Gordona. Wiedziała, że Zoe ma rację. Mógł jej wyrządzić straszną krzywdę. Nie stać jej było na emocjonalne luksusy. Gordon mógł napisać nieautoryzowaną biografię albo udzielić wywiadu prasie brukowej, mógł napstrykać jej zdjęć, a potem jaszantażować, mógł zrobić wszystko. Zawsze była taka przewidująca i ostrożna. A tu nagle, w ciągu trzech dni, zakochała się w kowboju jak nastolatka. To było prawdziwe szaleństwo, a jednak nic w życiu nie wydawało jej się tak naturalne. Wśliznąwszy się do łóżka, mogła już myśleć tylko o tym, jak wyglądał, kiedy powiedziała mu, że zaśpiewała hymn specjalnie dla niego. W tej chwili interesowało ją tylko poranne spotkanie. Zasypiając widziała jego twarz, jego oczy, kiedy ujeżdżał konia... zielono-srebrne frędzle... uniesione ręce... Śpiewa dla niego, a on się uśmiecha.

## Rozdział szesnasty

Rano obudziły Mary Stuart głosy pod drzwiami sypialni. Narzuciła szlafrok i poszła do salonu, gdzie natknęła się na kompletnie ubraną Tanię. Jej twarz zdradzała głęboki niepokój.

- Coś się stało? - spytała przestraszona.

- Chodzi o Zoe. Chyba nie spała przez całą noc. Nie chce mi powiedzieć, co jej dolega. Uważa, że to zwykła grypa, ale, Stu, uwierz mi, ona wygląda fatalnie. Przez głowę przemknęło im tysiąc najgorszych przypuszczeń, od wrzodów żołądka po raka.

- Myślę, że powinna pojechać do szpitala, ale ona nie chce.

- Pozwól, że ja na nią zerknę - powiedziała Mary Stuart i wbiegła do sypialni Zoe, ale na jej widok umilkła. Twarz Zoe była tak blada, że niemal zielonkawa. Drzemała niespokojnie. Mary Stuart przyglądała się jej przez chwilę, a potem obie z Tanią wróciły do salonu.

- Mój Boże - powiedziała Mary Stuart, wstrząśnięta. - Rzeczywiście wygląda strasznie. Skoro nie chce jechać do szpitala, to powinniśmy sprowadzić lekarza tutaj. - Nie miała co do tego żadnych wątpliwości i Tania odczuła ulgę.

Zadzwoiła do recepcji i zapytała, czy jest w okolicy lekarz, który przyjeżdża na wizyty domowe. Dyrektorowi ośrodka powiedziała tylko, że jej współlokatorka jest bardzo chora, nie wiedzą dokładnie co jej jest, ale wygląda na to że wymaga natychmiastowej pomocy lekarza.

Charlotte Collins oddzwoniła z informacją, że lekarz zjawi się za pół godziny.

- Myślisz, że to może być coś poważnego? - zapytała Tania, kiedy czekały na wizytę, ale Mary Stuart tylko potrząsnęła głową.

- Mam nadzieję, że nie, ale ona bardzo ciężko pracuje. Może być przemęczona. Miejmy nadzieję, że to nic groźnego.

Zgodnie z obietnicą Charlotte Collins o ósmej trzydzieści przyjechał doktor John Kroner. Był to młody człowiek o wysportowanej sylwetce. Wiedział, do kogo dostał wezwanie i starał się zachować obojętność, ale nie bardzo mu się to udawało. Tania uśmiechnęła się do niego ciepło i opowiedziała pokrótce o chorobie Zoe.

- Jakie są objawy? - Usiadł i słuchał jej z uwagą.

- Jest stale bardzo blada, ale do wczoraj wyglądała na zdrową. Mówi, że to rodzaj grypy, zdaje się, że ma też rozstrój żołądka. W nocy była dosłownie zielona, miała dreszcze. Nie spała do drugiej, a dzisiaj rano wygląda jeszcze gorzej i w dodatku ma gorączkę.

- Jakież bóle?

- Nie skarżyła się.



- Wymioty? Biegunka?

- Chyba tak. - Tania czuła się jak skończona idiotka. Na szczęście lekarz poszedł wreszcie zbadać Zoe. Zamknął za sobą drzwi i bardzo długo nie wychodził. Dla niego było to niezwykle interesujące spotkanie. Wiedział, z kim ma do czynienia od chwili, gdy Zoe powiedziała mu swoje nazwisko. Przeczytał wszystko, co dotąd napisała. Poznanie doktor Zoe Phillips było dla niego prawdziwym zaszczytem, o wiele większym niż poznanie słynnej Tani Thomas.

Powiedział jej, że na pewno wydobrzeje za parę dni, ale ona była z nim szczerą i wyjawiała mu swoją tajemnicę. Zalecił, by została w łóżku, piła dużo płynów, aby uniknąć odwodnienia i spróbowała odzyskać siły. Był pewien, że do poniedziałku wydobrzeje. Nalegał jednak, by pozostała na ranczo jeszcze przez następny tydzień, stanowczo nie powinna wracać do domu w niedzielę. Zupełnie ją to załamało. Nie wiedziała nawet, czy Sam będzie mógł ją zastąpić przez dalszy tydzień. Chciała już zobaczyć swoją córeczkę i wrócić do pracy, bała się też, że to może być początek końca. Doktor Kroner powiedział wprawdzie, że jej obecna choroba jeszcze o niczym nie świadczy. Na pewno będą ją trapić jeszcze nieraz podobne dolegliwości, ale jeżeli zadba o siebie, nie muszą wcale pociągnąć za sobą załamania systemu odpornościowego.

- Pani zresztą wie na ten temat o wiele więcej ode mnie. Czytałem pani artykuły, starając się pomóc moim pacjentom. Zabawne, że zawsze chciałem do pani napisać.

- Teraz już pan nie musi - powiedziała z uśmiechem, ale nadal wyglądała bardzo mizernie. Zaproponował, że jej poda kroplówkę, ale Zoe nie chciała niepokoić przyjaciółek. Uważała poza tym, że podobny efekt uzyska przyjmując płyny doustnie.

- Gdyby żołądek je odrzucał, to podam pani kroplówkę - postanowił wychodząc. Zasugerował również, że jej stan mogły zaostriżyć duże wysokości. To ją pocieszyło. Z każdą chorobą obawiała się trwałego pogorszenia, ale jak dotąd miała szczęście i szybko przychodziła do siebie.

Tania i Mary Stuart czekały tuż pod drzwiami, mocno zaniepokojone tak długą wizytą

- Co z nią, doktorze?!

- Nic jej nie będzie - powiedział spokojnie. Zoe ostrzegła go, że znajome nie wiedzą o jej chorobie, a ona nie zamierza ich wtajemniczać. Był zdania, że postępuje niesłusznie, ale to ona podejmowała decyzję, ona była pacjentem, a zarazem ekspertem.

- Dlaczego to trwało tak długo? - Tania nie kryła przerażenia. Była już dziewięćdziesięcioletnia. Hartley przyszedł przed godziną i Mary Stuart oznajmiła mu, że zostają dziś w domu. Tania poprosiła, by przekazał tę wiadomość Gordonowi. Hartley postanowił więc wybrać się sam, a jeżeli Zoe po południu poczuje się lepiej, Mary Stuart i Tania do niego dołączą.

- Obawiam się, że to moja wina - tłumaczył się lekarz pełen skruchy. - Jestem zagorzałym fanem doktor Phillips. Przeczytałem wszystkie jej artykuły od deski do deski.

Tania uśmiechnęła się, zachwycona faktem, że trafił się ktoś, kto jest fanem kogoś innego, nie jej.

- Zdaje się, że wykorzystałem sytuację, by skonsultować z chorą problemy niektórych moich pacjentów. - Był jedynym w okolicy lekarzem leczącym AIDS i miał setki pytań.

- Szkoda, że nie pofatygował się pan, by nas uspokoić - powiedziała Tania z wymówką. - Martwiłyśmy się nie na żarty.

- Przepraszam najmocniej. - Żegnając się zapowiedział, że przyjdzie jutro. - Niech chora leży w łóżku i dużo pije.

Wszedłszy do pokoju Zoe, Tania stwierdziła z ulgą, że nie będzie jej musiała do niczego nakłaniać. Zoe już popijała wodę z butelki, ale nadal wyglądała kiepsko.

- No i jak tam? - zapytała Mary Stuart. Zoe wzruszyła ramionami.

- Tak sobie. Powiedział, że do jutra wydobrzeję. Złapałam tu jakiegoś wirusa.

- Przykro mi - Tania czuła się odpowiedzialna za samopoczucie koleżanek, natomiast u Mary Stuart natychmiast dał o sobie znać instynkt opiekuńczy. Otuliła Zoe kołdrą, przyniosła jej krakersy i puszkę piwa imbirowego na wypadek, gdyby smakowało jej bardziej niż woda mineralna, i banana, żeby uzupełnić niedobór potasu.

- Jesteście dla mnie takie dobre - rozczuliła się Zoe. Chciała już zobaczyć swoje dziecko. - Ja naprawdę muszę wracać! - Wybuchnęła płaczem, wściekła na siebie. Nie zamierzała się roztkliwiać. - Lekarz uważa, że powinnam zostać tu jeszcze tydzień - powiedziała takim tonem, jakby to był wyrok śmierci, a nie przedłużone wakacje. Myślała również o tym, co Kroner powiedział o jej stanie. Odbyli poważną dyskusję. Rozmowa na temat AZT sprawiła, że wszystko wróciło ze zdwojoną siłą. Na nieszczęście Zoe wiedziała o swojej chorobie trochę więcej niż młody lekarz i знаła prognozy. Miała z tym do czynienia na co dzień, a teraz, widząc niepokój przyjaciółek, nie mogła przestać płakać. Ich współczucie jeszcze pogarszało sprawę.

- Zoe, czy ty masz jakieś zamartwienie? - Mary Stuart usiadła koło niej na łóżku. To wszystko było tak niepodobne do zrównoważonej Zoe, że się przeraziła.

- Nic mi nie jest. - Zoe wydmuchwała nos i popiła wody mineralnej. Było jej bardzo ciężko. Prędzej czy później umrze i nie ma z kim zostawić córeczki. Przez ostatnie dni rozważała kandydatury obu przyjaciółek, ale Tania nigdy nie miała dzieci, a Mary Stuart twierdziła, że macierzyństwo ma już poza sobą. Obie były jeszcze na tyle młode, żeby urodzić własne dzieci, a więc trudno to było wykluczyć Zoe po prostu, bała się zapytać. Musiałaby wyznać, że jest pozytywna, a na to nie miała ochoty, wbrew temu, co powiedział doktor Kroner o potrzebie otwarcia się przed kimś bliskim. Mówił jej dokładnie to, co ona swoim pacjentom. - Po prostu za ciężko ostatnio pracowałam - wyznała z determinacją.

- Niech to będzie dla ciebie przestrogą- powiedziała Tania, starannie ukrywając niepokój. - Może powinnaś trochę przystopować, wziąć do pomocy drugiego lekarza?

Zoe widziała w tej roli jedynie Sama, nie mając jednocześnie pojęcia, jak by przyjął podobną propozycję. Nigdy dotąd nie wykazywał zainteresowania stałą pracą.

- Nie pouczaj mnie - powiedziała z irytacją, ku zdumieniu obu przyjaciółek. - Przyganiał kocioł garnkowi. Ty pracujesz więcej ode mnie.

- Wcale nie. Poza tym śpiewanie nie jest nawet w połowie tak stresujące, jak ciągła opieka nad umierającymi.

Zoe rozplakała się na nowo. Była zdruzgotana i żałowała, że w ogóle przyjechała do Wyoming. Nie chciała, aby przyjaciółki oglądały ją w takim stanie.

- Zoe, proszę cię - błagała Tania. - Czujesz się paskudnie, więc wszystko wydaje ci się dużo gorsze, niż jest w rzeczywistości. Zostań w łóżku i pośpij sobie. Nigdzie dzisiaj nie pójde, na wypadek gdybyś mnie potrzebowała. Jestem pewna, że wieczorem poczujesz się lepiej.

- Wcale nie poczuję się lepiej! - zawołała Zoe, wściekła na los za to, że pozbawił ją przyszłości.

- Ja zostanę w domu - oznajmiła Mary Stuart kategorycznym tonem. O Boże! Kłóciły się o to, kto będzie się nią opiekował i Zoe uśmiechnęła się przez łzy.

- Chcę, żebyście obie poszły się bawić. Ja tylko użalam się nad sobą. Nic mi nie jest... przysięgam. - Uspokajała się z wolna i Tania obserwowała ją z ulgą. - Poza tym obie macie przecież chłopaków. - Wydmuchała znowu nos. Pod tyłoma względami ich życie było o wiele normalniejsze od jej żalosnej egzystencji.

- To już chyba przesada - zaprotestowała Mary Stuart z uśmiechem. - Choć Hartley byłby na pewno zachwycony słysząc, że nazwałaś go chłopakiem.

- Strach pomyśleć, jak zareagowałby Gordon gdyby się zorientował, że są tacy, co wiedzą, jaki potrafi być elokwentny - dodała Tania.

- No bo też rozmawiałaś z nim wczoraj godzinami - Zoe wyglądała teraz na zadowoloną, choć zmęczoną. Oparła głowę z powrotem na poduszce. - Tylko bądź ostrożna - ostrzegła Tanie ponownie, a Mary Stuart pokiwała głową do wtóru jej słowom. Obie dobrze znały Tanie i wiedziały, że jest zazwyczaj rozsądna, ale czasem daje się ponieść uczuciom.

- Zaśnij teraz - powiedziała Mary Stuart łagodnie i Zoe skinęła głową, ale nie chciała, żeby wyszły. Chciała, by były blisko, jak rodzice przy chorym dziecku.

- Muszę zadzwonić do Sama - powiedziała sennym głosem. - Nie wiem nawet, czy będzie mógł mnie dalej zastępować. Jeżeli nie, będę musiała wrócić do domu i zobaczyć się chociaż z paru pacjentami.

- Nic głupszego nie mogłaś wymyślić - oznajmiła Tania. Spojrzała porozumiewawczo na Mary Stuart. - Ale my ci na to nie pozwolimy. Zostałaś naszą zakładniczką.

Zoe roześmiała się i łzy znowu napłynęły jej do oczu. Mary Stuart pochyliła się, żeby ją pocałować. Wiedziała że przyjaciółka jest kompletnie rozbita a kiedy zajrzała jej w oczy, odniosła wrażenie, że czai się w nich przerażenie człowieka miotającego się w pułapce. Zrozumiała, że musi ponownie spróbować do niej dotrzeć. Nie chciała być natrętna, ale chciała pomóc Zoe.

- Czy jesteś z nami całkiem szczerą, Zoe? - zapytała. - Jest może coś, o czym chciałabyś nam powiedzieć?

Sama nie bardzo wiedziała, dlaczego zadaje Zoe to pytanie, ale instynktownie wyczuła, że przyjaciółka jest w rozterce, że chciałaby im coś powiedzieć, ale się boi. Tania odwróciła się w drzwiach.

-Zoe?

Obie wyczuwały, że Zoe coś ukrywa, coś bardzo ważnego.

- Powiedz, czy coś ci dolega? - nalegała Tania. Nagle ogarnęło ją przeświadczenie, że Zoe ma raka.

Zoe popatrzyła na nie oczyma pełnymi łez.

- Mam AIDS, dziewczyny - powiedziała ledwo dosłyszalnie, i pokój zaległa cisza, od jakiej szumi w uszach. Mary Stuart bez słowa pochyliła się i przytuliła przyjaciółkę. Teraz i ona płakała. Rak był przynajmniej uleczalny, AIDS jak dotąd nie.

- O, mój Boże! - wyjąkała Tania. Weszła z powrotem do pokoju i usiadła na łóżku obok Mary Stuart. - O, mój Boże! Dlaczego nam nic nie powiedziałaś?

- Sama dowiedziałam się niedawno. Nikomu nie chciałam o tym mówić. Jak tu się zajmować pacjentami, kiedy jestem chora? Co będzie, gdy się dowiedzą, Muszę być silna dla nich i dla innych. Ale wiele o tym myślałam, co to oznacza dla mnie, dla mojej pracy... mojego dziecka. Nie wiem nawet, co z nią zrobić, kiedy już poważnie zachoruję i nie będę

w stanie dalej się nią zajmować. - Patrzyła to na jedną, to na drugą, ogarnięta rozpaczą. - Weźmiecie ją? - Były jej najlepszymi przyjaciółkami, z radością oddałyby im Jade.

- Ja ją wezmę - odparła Tania natychmiast, bez zastanowienia. - Będę szczęśliwa mogąc to zrobić.

- A jeżeli z jakiegoś powodu Tania by nie mogła, ja to zrobię. - Głos Mary Stuart zabrzmiał stanowczo, ale Zoe nie wyzbyła się jeszcze obaw, choć była im wdzięczna.

- A jeżeli Bili nie będzie chciał się na to zgodzić?

- Tak czy inaczej zamierzam od niego odejść - powiedziała jasnym, pewnym głosem i Zoe uwierzyła jej. - A gdybym z jakiegoś powodu tego nie zrobiła, odeszłabym z całą pewnością, jeśli by mi nie pozwolił mi zabrać Jade.

- A ja nie mam nikogo, kto by mi mówił, co mam robić - stwierdziła Tania z ciepłym uśmiechem, trzymając Zoe za rękę. Była chuda, krucha i lodowata. - Ale ty musisz o siebie dbać. Możesz żyć jeszcze przez długie lata. Jesteś to winna swojej córeczce, nam i swoim pacjentom. Co z tym lekarzem, który cię zastępuje?

Powiedziałas mu już? Będziesz potrzebowała jego pomocy. Nie możesz się pracować.

Dokładnie to samo mówił doktor Kroner. Ale Zoe nie chciała się zwierzyć Samowi.

Wystarczy, że Tania i Mary Stuart wiedzą. Będą ją teraz męczyć, zamartwiać się, mówić, czego jej nie wolno. Ale z drugiej strony będą ją wspierać i kochać. Był to ten sam dylemat, przed jakim stawali jej pacjenci. W sumie Zoe ulżyło, że powierzyła przyjaciółkom swoją tajemnicę. Teraz, kiedy już wiedziała, że Jade pójdzie do Tani, mogła zająć się stroną prawną przedsięwzięcia. Istniała szansa, że jeszcze przez jakiś czas nie będzie to konieczne, ale w tych sprawach nigdy nic nie wiadomo.

- Nie chcę mu na razie nic mówić - odparła Zoe nawiązując do Sama. - Wiesz się rozniesie, a tego bym nie chciała. To by zmniejszyło mój wpływ na pacjentów.

- Wręcz przeciwnie - powiedziała Mary Stuart poważnie. - Myślę, że go umocni. Będą mieli świadomość, że ich naprawdę rozumiesz. - Chciała o coś zapytać, ale się krępowała. - Jak się tego nabawiłaś? - zapytała w końcu.

- Zadrasnęłam się użytą igłą. Robiłam zastrzyk małej dziewczynce chorej na AIDS. Rzuciła się, a mnie ręka drgnęła... zwyczajny pech. Zaniepokoiło mnie to, ale postanowiłam podejść do sprawy filozoficznie. Niemal o tym zapomniałam, a potem nagle zaczęłam chorować. Z początku nie przyznawałam się sama przed sobą, ale w końcu zrobiłam testy.

Dowiedziałam się właśnie tego dnia, kiedy do ciebie zadzwoniłam.

Tania siedząc na łóżku, trzymała ją za rękę i płakała.

- Wciąż jeszcze nie mogę w to uwierzyć - powiedziała, wstrząśnięta do głębi.

- Wydobrzeję, jak tylko żołądek się uspokoi. - Zoe zebrała siły. Przyjaciółki okazały jej tyle współczucia, że nie miała serca dalej ich niepokoić. Wyglądały gorzej od niej.

- Chcę, żebyście teraz obie wyszły z domu i dobrze się bawiły. Nie pozwolę, byście straciły przeze mnie cały dzień - powiedziała stanowczo. Była już niemal pora lunchu.

- Dobrze, pójdziemy, jeżeli obiecasz, że będziesz odpoczywać.

- Prześpię cały dzień, a wieczorem poczuję się znów jak człowiek.

- Musisz wyzdrowieć do jutra wieczór, żebyśmy mogły nauczyć się twostepa. Trzeba od razu ustalić priorytety.

Uśmiechnęły się przez łzy i długi czas siedziały trzymając się za ręce. I Zoe dziękowała szczęśliwej gwiazdzie, która przywiodła ją do Wyoming. Zabezpieczyła przyszłość córki, zawarła pokój z Mary Stuart, i powoli godziła się z myślą, że ma AIDS. Nabierała

przekonania, że przy odpowiednim postępowaniu, może przedłużyć sobie życie i nadać mu nową treść.

Przyjaciółki zawarły pakt i Zoe wymusiła na nich obietnicę, że nikomu nie powiedzą o jej chorobie. Gdyby ktoś pytał, miały mówić, że nabawiła się wrzodów albo nawet raka żołądka. Cokolwiek, z wyjątkiem tego, że ma AIDS i jest umierająca. I przyjaciółki zgodziły się wspierać ją w tym oszustwie.

Mary Stuart i Tania zaczęły płakać ledwo znalazły się na korytarzu, ale nic nie mówiły z obawy, że Zoe usłyszy.

- Boże, cóż za potworny dzień! - odezwała się Mary Stuart w połowie drogi do stajni. Nie wiedziały nawet dokąd idą, po prostu wyszły z domu i ruszyły przed siebie, objęte ramionami. - Nie mogę w to uwierzyć.

- Cały czas nie dawało mi spokoju, że jest taka blada. Zawsze miała przezroczystą skórę, jak to się zdarza u rudych kobiet, ale robiła się coraz bledsza. I łatwo się męczy.

- To wszystko wyjaśnia. - Mary Stuart była zupełnie zdruzgotana. Dziękowała Bogu, że pogodziła się z Zoe. - Co za szczęście, że nam powiedziała. To zbyt wielki ciężar, by go samotnie dźwigać. Nie tracę nadziei, że choć trochę będziemy mogły jej pomóc.

- Musi o tym powiedzieć temu facetowi, który ją zastępuje. Pomoże jej albo będzie musiała znaleźć inne zastępstwo. - Tania zawsze była praktyczna, myślała już o przyszłości.

- To wyjaśnia, dlaczego nie chce się z nikim wiązać.

- Nie widzę powodu, dla którego miałyby się nie wiązać, jeżeli zachowa ostrożność - powiedziała Tania po chwili namysłu. - Jestem pewna, że inni jakoś sobie radzą. Nie może się przecież odizolować, to niezdrowe. Och, Boże! Wciąż mi trudno w to uwierzyć - wyszeptała, zgnębiona. Tymczasem podeszli do nich Hartley i Gordon, prowadząc konie za uzdę. Mężczyźni z miejsca poznali, że płakały.

- Co się stało? - zapytał Hartley. Niepokoił się od chwili, gdy Mary Stuart powiedziała mu, że nie będą jeździły tego ranka. Gordon zaś był przeświadczony, że Tania otrzeźwiała przez noc i postanowiła go unikać. Teraz stało się jasne, że spotkało je coś o wiele gorszego. Z początku milczały nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.

- Dobrze się czujesz? - zapytał ostrożnie Gordon Tanie. Wyglądała, jakby straciła kogoś bliskiego. Z przerażeniem uświadomiła sobie, że była to tylko kwestia czasu.

- Tak - szepnęła Tania, musnąwszy palcami jego dłoń i Gordona przeszył dreszcz.

- Jak się czuje twoja przyjaciółka? - zapytał jeszcze, ale Tania nie odpowiedziała.

Zobaczyła, że Mary Stuart rozmawia z Hartleyem i płacze. Wiedziała, że nie złamałyby raz danej obietnicy, widocznie powiedziała mu, że Zoe ma raka. Tania zdecydowała się powiedzieć to samo Gordonowi. Był wstrząśnięty i zmartwiony. Wiedział, ile Zoe znaczy dla Tani.

- Znam ją od osiemnastego roku życia. Dwadzieścia sześć lat - powiedziała złamanym głosem. Zapragnął otoczyć ją ramieniem, ale nie śmiał. Był w pracy.

- Nie wyglądadacie na to - zauważył i Tania mimo woli się uśmiechnęła.

- Dzięki. Jestem pewnie z dziesięć lat starsza od ciebie. Oficjalnie skończyłam trzydzieści sześć, ale tak naprawdę mam czterdzieści cztery.

Roześmiał się, ubawiony tą mistyfikacją.

- A ja naprawdę mam czterdzieści dwa, naprawdę jestem kowbojem i naprawdę pochodzę z Teksasu i przyznam ci się, że zaczynałem już trochę panikować. Wykombinowałem sobie, że przez noc odzyskałaś zdrowy rozsądek i postanowiłaś nigdy więcej się ze mną nie spotkać.

Przez cały ranek chodził półprzytomny, niezdolny zająć się Hartleyem i jego konną jazdą. Na szczęście nikt inny z nimi nie jechał.

- Wstałam o szóstej rano, żeby przygotować się na to spotkanie. Byłam tak podekscytowana, że nie mogłam spać. Zupełnie jakbym miała czternaście lat i poraz pierwszy była zakochana. - Było tak, jak z Bobbym Joe w ósmej klasie, tylko dużo piękniej.

- O niczym innym nie mogłam myśleć w nocy... A potem ten straszny ranek. Wszystko stanęło na głowie. Ona była tak chora, że wezwałam lekarza. Badał ją godzinami, a potem nam powiedział...

- I co, jest jakaś szansa, że wydobrzeje? To znaczy, na teraz, czy będzie musiała iść do szpitala?

- Szpital nie wydaje się konieczny. Chyba, żeby nastąpiło pogorszenie. Ale ona chce natychmiast wracać do domu i do swojej kliniki.

- Zdumiewająca kobieta. - Popatrzył na Tanie oplakującą przyjaciółkę, zanim ją jeszcze utraciła. Ta myśl była dla niej nie do zniesienia. Przed laty Ellie... Tamto doświadczenie było straszne, ale to będzie bez porównania gorsze. - Ty też jesteś niezwykła - powiedział łagodnie. - Nie znam nikogo, kto mógłby się z tobą równać. Nie spodziewałem się, że będziesz taka prawdziwa. Wiedziałem tylko, że jesteś najbardziej wytworną kobietą, jaką zdarzyło mi się widzieć, a ponadto jesteś bardzo ludzka, praktyczna i taka najzwyczajniejsza... - Nie była to obraza, lecz komplement i Tania to rozumiała. - Będziesz się mogła wyrwać w niedzielę?

- Spróbuję. Muszę najpierw zobaczyć, jak będzie się czuła Zoe. - Wiedziała jednak, że jest to ich jedyna szansa na to, by być razem. Pracował w każdy dzień tygodnia, a w następną niedzielę już wyjeżdżała.

- Czy to się dzieje naprawdę, Tanny? - zapytał nagle, kiedy tak stali pod dębami. Chciał w to wierzyć, chciał, by było to równie ważne dla niej, jak dla niego, ale wciąż obawiał się, że Tania jest tylko gwiazdą filmową z Hollywood, która poflirtuje przez tydzień, a potem o nim zapomni. Bał się nawet o tym myśleć.

- Tak, naprawdę - szepnęła. - Nie wiem, kiedy się to stało ani jak się stało. Na początku diabelnie mnie zirytowałaś, kiedy nie chciałaś ze mną rozmawiać. Może to właśnie wtedy... Ale nigdy dotąd nie zaznałam czegoś takiego, Gordon. Uwierz mi, to się dzieje naprawdę.

- Nie odzywałem się do ciebie, ponieważ onieśmielałaś mnie, a potem znów okazałaś się zupełnie inna, niż sobie wyobrażałem. To było silniejsze ode mnie. Chciałem tylko w nieskończoność objeżdżać z tobą te wzgórza.

- Gordon, co my teraz zrobimy? - Chciała się z nim nadal spotykać, rozmawiać, spędzać razem czas, ale nie mogła pozwolić, by kosztowało go to posadę.

- Czy mogę przyjść do ciebie wieczorem jak wczoraj? - zapytał cicho, żeby nikt nie usłyszał i Tania skinęła głową, patrząc na niego z uśmiechem.

- A jutro pojeździmy. Dziś po południu zostanę z Zoe, chyba że będzie chciała spać. Po lunchu do niej zajrzę. A jutro wieczorem? Czy przyjdiesz, żeby mi pokazać two-stepa? W programie pobytu zapewniano, że kowboj nas tego nauczy, zamierzam to wyegzekwować. - Mimo porannych przeżyć potrafiła wykrzesać humor i żartowała sobie z niego, a on był zachwycony. Patrzył na nią oczami pełnymi miłości, żałując, że nie może okazać swoich uczuć, ale i to miało swoje uroki. - A zatem nauczy mnie pan two-stepa, panie Washbaugh?

- Tak, psze pani. Stawię się. - Była to jedna z tych imprez, w której uczestniczył obowiązkowo i on również zamierzał to w pełni wykorzystać. - A w sobotę znów startuję w rodeo.

- Przyjdę - szepnęła.

- będziesz śpiewała?

- Może. - Uśmiechnęła się. - To było nawet zabawne. - Ale i odrobinę przerażające. - Zobaczą, jakie wrażenie sprawi na mnie tłum.

- Świetnie wyglądałaś na tym palomino. Niedziela w takim razie jest nasza, a co w przyszłym tygodniu - zobaczymy.

- To brzmi nieźle. - Sytuacja była dla nich nowa i napawała pewnym lękiem. Dołączyli do Hartleya i Mary Stuart, a na odchodnym Gordon musnął jej dłoń. Coś szarpnęło się w niej, był tak blisko, a ona nie mogła go dotknąć. Marzyła o pocałunku.

- Jak się udała przejażdżka? - zapytała Hartleya.

- O wiele lepiej niż wasz dzisiejszy ranek - odparł ze współczuciem. - Mary Stuart powiedziała mi o Zoe. Rak żołądka to straszna rzecz. Mój kuzyn z Bostonu umarł na to. Tak mi przykro.

- Mnie tym bardziej - Tania wymieniła spojrzenie z Mary Stuart. - Przez jakiś czas będzie jeszcze mogła funkcjonować, ale w końcu wystąpią komplikacje. - To kłamstwo pomogło im jakoś wybrnąć ze skomplikowanej sytuacji.

- Tak właśnie było z moim kuzynem. Wszystko, co możecie zrobić, to zapewnić jej maksimum wygody, pozwolić by robiła to, na co ma ochotę i być przy niej, kiedy tego potrzebuje.

Słowa Hartleya przypomniały Tani, że nie powiedziała Gordonowi o dziecku Zoe. Z różnych powodów zależało jej na tym, aby wiedział. Chciała też zobaczyć jego reakcję. Sama była zaskoczona, że zapuszcza podobną sondę po zaledwie trzech dniach znajomości, ale chciała poznać jego reakcje na różne sprawy, między innymi na wiadomość, że w przyszłości zaadoptuje dziecko Zoe.

Hartley towarzyszył im w czasie lunchu i rozmawiali w nieskończoność o Zoe, jej zdrowiu, pracy, jej klinice, dziecku, jej przyszłości, błyskotliwym umyśle i poświęceniu dla ludzkości. A tymczasem obiekt ich admiracji i troski - Zoe - leżała w sypialni, pogrążona w myślach. Wiedziała, że musi zadzwonić do Sama, ale ciągle z tym zwlekała. Należało zapytać, czy będzie mógł zastąpić ją jeszcze przez tydzień, ale bała się, że Sam wyczuje w jej głosie coś więcej. Kiedy tak siedziała, nie mogąc się zdecydować, zadzwonił telefon i było to widać przeznaczenie, ponieważ dzwonił Sam, żeby przekonsultować z nią zmianę leków u pewnej pacjentki. Chora wymagała tego i chciał się upewnić, czy postępuje zgodnie z życzeniem Zoe. Był zaskoczony, że ją zastał, zamierzał zostawić wiadomość, ale na wszelki wypadek sprawdził, czy nie wpadła na chwilę do pokoju.

- Jak to dobrze, że cię złapałem. - W jego głosie brzmiała prawdziwa radość. Zapytał wpierw, czy akceptuje proponowaną przez niego zmianę leków, czym sprawił jej przyjemność, bo niewielu kolegów po fachu czyniło lekarzowi prowadzącemu tę uprzejmość.

- Dziękuję, że pytasz - powiedziała. Dlatego właśnie zależało jej na tym, by to on ją zastępował. Inni lekarze podejmowali decyzje, często nietrafne, nie pytając jej nawet o zdanie.

- Dziękuję, że to zauważyłaś - powiedział. Zrobił sobie właśnie krótką przerwę na lunch. - Nie da się tutaj przytyć, to fakt. Nie pracowałem tak ciężko od czasów akademii

medycznej. - Dotychczas zastępował ją na jeden wieczór, bądź na popołudnie, żeby mogła pójść na kolację albo do teatru, nie martwiąc się o klinikę. Po raz pierwszy pracował dla niej przez cały tydzień i rozkoszował się każdą minutą. - Dokonałaś tu nie byle czego - powiedział z podziwem - wszyscy pacjenci cię kochają. Trudno temu sprostać.

- Och, przesadzasz. Nikt już pewnie o mnie nie pyta. Przychodzą do doktora Warnera.

- Dobrze by było! - Głos Zoe wydał mu się jakiś inny, jakby była zmęczona, wyrwana ze snu albo jakby płakała. Nagle uderzyło go, że zastał ją w pokoju i zaraz o to zapytał. Kierował się jedynie instynktem, a ją pytanie o zdrowie tak zaskoczyło, że nie była w stanie odpowiedzieć, a po chwili zaczęła płakać. Sam doskonale to słyszał i w jego głowie odezwał się dzwonek alarmowy.

- Czy coś się stało? - zapytał łagodnie. Miał nieprawdopodobną intuicję.

- Nie, wszystko w porządku. - Uświadomiła sobie, że skoro ma go już na linii, powinna spytać o następny tydzień. - Prawdę mówiąc zamierzałam do ciebie zadzwonić. Tak się tu dobrze bawimy i zastanawiałam się... - Głos się jej załamał, ale ciągnęła na tym samym oddechu, licząc na to, że Sam nie zauważy. - Czy mógłbyś mnie zastąpić jeszcze przez tydzień, może krócej... W najgorszym razie wróciłabym w przyszłą niedzielę. Nie wiem, czy jesteś wolny i czy się w ogóle zgodzisz, więc chciałam cię o to zapytać...

-Zrobię to z przyjemnością-powiedział cicho. Wyłapał chwiejną intonację jej głosu i był pewien, że Zoe płacze. - Coś jest nie w porządku i chcę wiedzieć co, żebym mógł ci pomóc.

- Naprawdę nic mi nie jest - kłamała. - No więc jak? Będiesz mógł wziąć jeszcze tydzień w klinice?

- Już ci powiedziałem, że tak. Żaden problem. Nie w tym tkwi sedno. Zoe, co się stało? Zawsze ukrywasz coś przede mną. Dlaczego? Co się stało, dziecko? Chcę ci pomóc. - Zoe szlochala po swojej stronie linii, a on również był bliski łez.

- Nie mogę, Sam... Proszę, nie pytaj...

- Dlaczego? Co może być tak strasznego, że musisz dźwigać ten ciężar sama? - w tym momencie zrozumiał. Patrzył na to co dnia. Ostateczna porażka, wielki wstyd, straszny żal. Miała AIDS. Nie powiedziała mu, ale on wiedział. -Zoe? - Z tonu jego głosu poznała, że coś się stało. Siedziała cichutko. To wyjaśniało wiele spraw, dlaczego nie chciała się z nikim wiązać, dlaczego tamtego dnia była taka chora. To się przytrafiało wielu lekarzom mającym do czynienia z chorymi na AIDS. Pewnego dnia popełniasz błąd, ktoś się nagle poruszy, czy ty się źle poruszysz, ukłujesz się używaną igłą, bo byłeś zmęczony, czy nieuważny, rezultat jest ten sam. - Zoe? - zapytał, a jego głos brzmiał bardzo łagodnie. Rozpaczliwie pragnął być teraz przy niej, móc ją przygarnąć, przytulić. - Zadrasnęłaś się tak? Muszę to wiedzieć... proszę!

W słuchawce zaległa bardzo długa cisza, potem usłyszał westchnienie. Nie miała sił z nim walczyć.

- Tak... W zeszłym roku... To była mała dziewczynka. Strasznie się wierciła.

- O Boże!... Jakbym wyczuł! Dlaczego mi nic nie powiedziałaś? Ależ byłem głupi! Co ty wyprawiasz? Ukrywasz się przede mną? Jesteś teraz chora? -W jego głosie brzmiała panika. Miała AIDS, a on nie mógł dla niej nic zrobić, poza zastąpieniem jej w klinice. W głowie mu szumiało. - Powiedz, jesteś chora? -rzucił tonem nie znoszącym sprzeciwu.

- Tak jakby. Nic poważnego, ale lekarz chce, żebym jeszcze odpoczęła przez parę dni. Myślę, że do poniedziałku mi przejdzie.



- Słuchaj się go. Co to jest? - Natychmiast przedzierzgnął się w lekarza i Zoe mimo woli musiała się uśmiechnąć. - Układ oddechowy? - Nie wyglądało mu na to, pominąwszy łyzy, jej głos brzmiał zupełnie normalnie.
- Nie, zwykła udręka przy tej chorobie, ostra biegunka. Myślałam, że umrę wczoraj w nocy.
- Nie umrzesz - stwierdził rzeczowo. - Nie pozwolę ci.
- Sam, przeszedłem przez to z Adamem. Oszczędź sobie tego. Pamiętasz, co ci kiedyś opowiadałam? Mężczyzna, z którym żyłam zaraził się przy transfuzji. Założyłam klinikę właśnie przez wzgląd na niego. To był koszmar, patrzeć jak umiera, a mieliśmy za sobą wiele dobrych lat. Nie wyrządę nikomu takiej krzywdy. Nie zacznę niczego u schyłku życia.
- Żałujesz, że byłaś z nim do końca? Wolałabyś, żeby los ci tego oszczędził?
- Nie - odpowiedziała bez wahania. Kochała Adama aż do końca. Ale nie chciała skazywać Sama na męczarnie, przez które przeszła.
- A gdyby on ci wtedy zabronił? Gdyby próbował się ciebie pozbyć?
- Próbował i to nieraz. - Musiała się uśmiechnąć. - Po prostu nie słuchałam. Nie opuściłabym go. - Dopiero wypowiedziawszy te słowa, uświadomiła sobie, co znaczą w tym kontekście. - Ale z nami jest inaczej - dodała szybko, a po chwili, wróciwszy myślą do Adama, nieoczekiwanie stwierdziła. - Czuję się podle, gdyby mnie przy nim nie było.
- Więc dlaczego próbujesz pozbawić mnie tego prawa? - powiedział gniewnie, nie chcąc już dłużej udawać, ukrywać swoich uczuć. - Kocham cię. Myślę, że od lat. Może nawet od czasów Stanfordu. Tylko wtedy byłem za głupi, żeby to zrozumieć. A kiedy już zrozumiałem, nie dałaś mi szansy, bym ci to mógł powiedzieć. Ale teraz nie pozwolę się zbyć. Chcę być z tobą... Nie obchodzi mnie, co ta nieszczęsna choroba z tobą zrobi... Nie obchodzi mnie, czy będziesz miała biegunkę czy opryszczki na twarzy, czy zapalenie płuc. Chcę ci tylko pomóc to przeżyć, Zoe... Kocham cię i Jadę... Proszę, pozwól mi cię kochać. Tak niewiele jest miłości na świecie, a skoro przypadła nam w udziale, nie marnujmy jej. To, że zachorowałaś na AIDS, niczego nie zmienia. Oznacza tylko, że to, co mamy, jest jeszcze cenniejsze. Nie pozwolę ci tego zmarnować. Zbyt wiele dla mnie znaczy... - Płakał, a Zoe była tak poruszona, że głos uwiązł jej w gardle. - Zoe... kocham cię. Gdyby nie to, że cię zastępuję wsiadłbym w pierwszy samolot i powiedział ci to osobiście, ale ty prawdopodobnie byś mnie zabiła. - Roześmiał się przez łyzy i Zoe mu zawtórowała.
- Z całą pewnością, więc nie waż się nawet o tym myśleć!
- Nie zostawię kliniki, ale gdyby nie to, już bym był w stanie Wyoming. Poza tym, tęsknię za tobą. Zbyt długo cię nie ma.
- Sam, jak możesz być tak szalony?
- Ponieważ życie nie daje czasem wyboru. Kochasz tego, kogo kochasz, nie tego, kogo sobie wybierzesz do kochania. Przykro mi, że jest ci to nie na rękę, przykro mi, że jesteś chora. Dobrze chociaż, że oboje znamy zasady tej gry. Mamy czas, może dużo, może tylko trochę. Zadowolę się tym, co nam przeznaczone. A ty? Zmarnujesz naszą szansę?
- Musiałbyś być piekielnie ostrożny. - Nadal starała się go zniechęcić, ale on nawet nie słuchał. Doskonale wiedział, czego od niej chce.
- To niewysoka cena, prawda? A gra warta zachodu! Boże, jak ja za tobą tęsknię, Zoe! Chcę cię wziąć w ramiona, chcę, żebyś była szczęśliwa!

- A będziesz ze mną pracował? To znaczy, na pełny etat? - To było dla niej najważniejsze. Miała obowiązki nie tylko wobec siebie, lecz przede wszystkim wobec swoich pacjentów. Potrzebowała pomocy Sama. A on z całą gotowością był chętny jej udzielić.
- Będę pracował z tobą dzień i noc - powiedział, po czym zreflektował się. - To znaczy, ja będę pracował dzień i noc, a ty trochę mniej, zgoda? I chcę, żebyśmy też mieli trochę czasu dla siebie. Nie pozwolę ci się zamęczać. Będziemy się tobą dobrze opiekować. Postąpimy tak, jak zwykle radzisz swoim pacjentom. I odtąd masz mnie słuchać! W twoim przypadku ja jestem lekarzem.
- Tak jest! - Uśmiechnęła się i otarła łzy. To był doprawdy niezwykły ranek. Powiedziała o swojej chorobie przyjaciółkom i Samowi, i nikt jej nie zawiódł, przeciwnie, okazali się niezwykłymi ludźmi. I wtedy Sam zaskoczył ją jeszcze raz.
- Wiesz co, Zoe pobierzmy się - powiedział. A ona nie wierzyła własnym uszom. Był naprawdę szalony, ale kochała go za to.
- Ty jesteś chyba obłąkany - odpowiedziała uśmiechając się przez łzy. - Nie pozwolę ci na to. - Była przerażona i zarazem głęboko wzruszona propozycją.
- Chciałbym się z tobą ożenić nawet wtedy, gdybyś nie miała AIDS - powiedział zgodnie z prawdą.
- Ale mam i ty nie powinieneś się narażać.
- Co doradziłabyś swojemu pacjentowi w takim przypadku? Powiedziałabyś, żeby zrobił to, co da mu szczęście, co jest słuszne.
- Skąd wiesz, że to jest słuszne? - zapytała ze smutkiem.
- Ponieważ cię kocham. - Modlił się, żeby mu uwierzyła.
- Ja też cię kocham, ale nie róbmy niczego pochopnie, posuwajmy się krok za krokiem. Ucieszył się z tych słów, oznaczały bowiem, że Zoe myśli o przyszłości, a więc jest nastawiona optymistycznie, co było bardzo ważne. On naprawdę chciał się z nią ożenić. Wiedział też, że łatwiej przekonają osobście.
- Strasznie się cieszę, że zadzwoniłem dzisiaj do ciebie - powiedział radośnie. - Zdobyłem informację o pacjentce, pracę, zdaje się, że nawet pełny etat, i kto wie, czy nie żonę. To była bardzo owocna rozmowa.
- Nie mogę sobie darować, że zostawiłam klinikę w rękach wariata.
- Ja też ci się dziwię. Ale twoi pacjenci mnie uwielbiają. Pomyśl tylko jacy będą szczęśliwi, kiedy zostaniemy doktorostwem Warner.
- Nazwisko też będę musiała zmienić? - spytała śmiejąc się. Bardzo go teraz kochała. Darzyła go sympatią od dawna, ale nigdy nie chciała sobie pozwolić na więcej. Była tak zajęta pacjentami, że wydawało jej się niepodobieństwem, by poza obowiązkami lekarza i matki przyjąć na siebie coś więcej.
- Możesz się nazywać jak chcesz, bylebyś wyszła za mnie za mąż - oznajmił Sam wspaniałomyślnie. - Jestem bardzo otwarty.
- Jesteś szalony. - Spoważniała, choć byli oboje w znakomitych humorach. - Dziękuję, Sam. Jesteś wspaniały - powiedziała szczerze. - I naprawdę cię kocham. To uczucie przeraziło mnie z początku, byłam zdecydowana nie wciągać cię w to. Sam zacząłeś. Ale w każdej chwili możesz zmienić zdanie.
- Jestem na zawsze - powiedział spokojnie.
- Żałuję, że ja nie.
- Będziesz, dopóki ja mam tu coś do powiedzenia.
- Przynajmniej została mi praca... moja klinika... I Jadę... Ty... I moi przyjaciele.

- Jest dla kogo żyć, jeżeli by mnie kto pytał.
- Zrobię wszystko, co w mojej mocy, Sam. Obiecuję.
- Dobrze! Więc wypoczywaj i wracaj zdrowa. Zgłoś się do szpitala, jeżeli biegunka nie ustąpi.
- Już ustąpiła - powiedziała i to go uspokoiło.
- Dużo pij.
- Wiem. Jestem lekarzem. Nie martw się. Będę grzeczna. Przysięgam.
- Kocham cię. - To było takie dziwne, takie nieoczekiwane. Poczuli się nagle bardzo szczęśliwy. Kochała go. Miała AIDS, to była straszna wiadomość, a jednak mimo całej grozy sytuacji był szczęśliwy i Zoe chyba również. Uśmiechała się jeszcze, kiedy Mary Stuart i Tania zajrzały do niej po lunchu.
- Co ci się stało? - spytała Tania podejrzliwie. - Wyglądasz jak kot, który schrupał kanarka.
- Rozmawiałam właśnie z Samem. Będzie pracował w klinice na pełnym etacie.
- To wspaniale! - Mary Stuart domyślała się, z jaką ulgą Zoe przyjęła tę wiadomość.
- Nie, nie, czekaj... Ona kłamie. - Tania przyglądała się starej kumpelce z przymrużonymi oczami. - W tym jest coś więcej.
- Wcale nie - zaprotestowała Zoe ze śmiechem. Była to cudowna odmiana po strasznym poranku.

- Co ci jeszcze powiedział?

Zoe uśmiechała się w dalszym ciągu.

- Nic takiego. - Spowaźniała nagle. - Powiedziałam mu wreszcie, że jestem... pozytywna. - Nienawidziła tego słowa. Popatrzyła na przyjaciółki szeroko otwartymi oczyma.

co on na to? - zapytała łagodnie Mary Stuart a Zoe odwróciła się ku niej z uśmiechem szczęścia.

- Poprosił, żebym została jego żoną. Czy możecie to sobie wyobrazić? Przyjaciółki patrzyły na nią absolutnie zaskoczone. Tania pierwsza doszła do siebie.

- Trzeba cię co prędzej postawić na nogi, żebyś mogła wrócić do domu, do tego faceta, zanim ktoś ci go sprzątnie sprzed nosa. Jest rzeczywiście wspaniały.

- Cudowny! - przytaknęła z entuzjazmem Zoe. Sama nie wiedziała jeszcze, jak postąpi. Ale będzie z nim, będą razem pracowali, wykorzysta wszystko, co życie ma jej do zaoferowania, a jeżeli Sam naprawdę zechce się z nią ożenić, to może i wyjdzie za niego. W każdym razie wiedziała, że go kocha, a to było najważniejsze.

- Niech mnie licha! - Mary Stuart była pod wrażeniem.

Rozmawiały jeszcze przez chwilę o Samie Warnerze, po czym obie panie, upewniwszy się co do samopoczucia Zoe, wyszły każda na swoje popołudnie. Hartley i Mary Stuart wybrali się na spacer górskim szlakiem i rozmawiali o wielu sprawach, głównie jednak o Zoe i mężczyźnie, który był na tyle odważny, by poślubić śmiertelnie chorą kobietę. Oboje byli zgodni co do tego, że jest to niezwykle gest i szczerze go podziwiali.

Tania pojechała na przejażdżkę z Gordonem. Mieli tego dnia szczęście. Nikt z ich grupy nie wybierał się na konie, lekarze z Chicago zdecydowali się pójść na ryby. Zostali sami nawet tego nie planując. Gordon zabrał janał wodospad, gdzie zsiadli z koni i leżeli w wysokiej trawie pośród polnych kwiatów. Całowali się zapamiętale i wymagało to niemal nadludzkiej siły woli, by nie posunąć się dalej, ale oboje wiedzieli, że nie powinni. Nie chcieli niczego przyspieszać, choć czasu pozostało im niewiele. I tak czuli, że tempo ich wzajemnego poznawania się jest zawrotne. Ale było to najpiękniejsze popołudnie w życiu Tani, kiedy tak leżała w trawie obok Gordona i spoglądała na góry. Potem poszli na spacer

trzymając się za ręce i rozmawiali o swoim dzieciństwie, o Zoe i miłości Sama. Podziwiali odwagę tych dwojga. Tania na swój sposób dorównywała im odwagą. Wiele przeszła w życiu, a teraz, całkiem niespodziewanie, znalazł się przy niej ktoś godny zaufania, człowiek solidny i czuły. Trochę się obawiała, że prasa podniesie wrzawę i próbowała Gordona ostrzec, uświadomić mu, ile złego mogą im wyrządzić dziennikarze, ale on odniósł się do tego obojętnie.

- Rozejrzyj się tylko - powiedział. - Dopóki mamy siebie i te cuda naokoło, wszystko inne jest zupełnie nieważne. Liczymy się tylko my i to, czym dla siebie jesteśmy.

- A kiedy już tego nie będzie? - zapytała, myśląc o powrocie do Kalifornii.

- Ależ będzie - powiedział cicho. - Musimy to zachować. Będziemy tu wracać, by odzyskać zdrowe zmysły, i równowagę ducha, a wtedy całe to szaleństwo przestanie się po prostu liczyć.

Była to interesująca myśl. Może Gordon miał rację, może powinna kupić dom w stanie Wyoming. Stać jąbyło na to. Mogłaby nawet sprzedać dom w Malibu. Prawie nigdy tam nie jeździła.

- Czuję się tak, jakbym stała na granicy nowego życia - powiedziała, kiedy stanęli nad urwiskiem i spoglądali na dolinę. Widok był zachwycający i Tania zrozumiała, dlaczego Gordon tak kocha to miejsce.

- Bo rzeczywiście stoisz na takiej granicy - powiedział spokojnie. Odwrócił ją ku sobie, otoczył ramionami i pocałował.

## Rozdział siedemnasty

Zoe spała jeszcze, kiedy w piątek Tania rano zajrzała do jej sypialni. Spała spokojnie, a poprzedniego wieczora zjadła nawet porządną kolację. Mary Stuart zgodziła się z Tanią, że chora przyjaciółka odzyskała trochę kolorów.

Szykowały się właśnie do wyjścia, kiedy Zoe przyszła do salonu w koszuli nocnej. Nie było wątpliwości, że wygląda o wiele lepiej.

- Jak się czujesz? - zapytała Mary Stuart troskliwie. Obie z Tanią bardzo się o nią martwiły.

- Jak nowo narodzona. - Zoe zastanawiała się, czy dobrze zrobiła przyznając się do choroby, ale teraz było już za późno. Poza tym wsparcie psychiczne przyjaciółek wiele dla niej znaczyło.

- Przykro mi, że sprawiłam wczoraj tyle kłopotu.

Tania chciała powiedzieć, jak jej przykro, że Zoe zadrasnęła się tą zakażoną igłą, ale słowa nie mogły jej przejść przez gardło.

- Nie wygłupiaj się - ofuknęła ją tylko. Ich oczy spotkały się i obie wiedziały, co każda z nich myśli. Łączyła je prawdziwa przyjaźń, współczucie i troska. Takich przyjaciół spotyka się raz w życiu. - Masz dbać o siebie. Zostań dzisiaj w łóżku, odpocznij. Zajrzę do ciebie przed lunchem. - Dopiero pod cienką koszulą nocną widać było, jak niewiarygodnie chuda jest Zoe. Sama skóra i kości.

- Chciałabyś, żebyśmy zostały z tobą? - zapytała Mary Stuart, ale Zoe nie życzyła sobie tego.

- Chcę tylko, żebyście się dobrze bawiły. To się wam należy. - Obie miały za sobą ciężkie przejścia; śmierć, rozwód, wszystkie te przypadłości losu, które wystawiają na ciężką próbę wytrzymałość człowieka.

- Wszystkim nam się to należy - powiedziała Mary Stuart. - Tobie też.

- Ja chcę tylko wrócić do pracy. - Bezczytność zaczynała już Zoe porządnie doskwierać. Drugi tydzień wakacji wydawał się jej czymś absolutnie grzesznym. Ale wiedziała, że musi odzyskać siły po chorobie.

- Bądź grzeczną dziewczynką i poleń się trochę. - Tania pogroziła jej palcem, po czym obie z Mary Stuart poszły na śniadanie.

Hartley dopytywał się o zdrowie ich przyjaciółki i śniadanie zeszło na rozmowie o Zoe. Zgodnie doszli do wniosku, że jest bardzo dzielna, a Tania nie mogła się nachwalić Sama za jego postawę.

- Wspaniały człowiek - stwierdził Hartley, kiedy opowiedziały mu, jak zareagował na wiadomość o chorobie Zoe. Nie zdradziły mu tylko, że Zoe zaraziła się AIDS i nie zamierzały tego robić. Hartley myślał, że Zoe ma raka.

- Może jeszcze wyzdrowieć - powiedział, ale widać było, że sam nie bardzo w to wierzy. - Znałem pewną parę, która postąpiła podobnie. Pobrali się, choć ona była śmiertelnie chora. To byli doprawdy niezwykli ludzie, i chyba najszcześliwsi jakich znałem. Myślę też, że ona żyła o wiele dłużej właśnie dlatego, że za niego wyszła. To było tak, jakby on nie pozwalał jej umrzeć, a ona walczyła zażarcie. Ich miłość przedłużyła jej życie. Nigdy ich nie zapomnę. Kiedy umarła, napisał o niej książkę i była to najbardziej wzruszająca historia, jaką zdarzyło mi się czytać. Płakałem od początku do końca. Trudno mi nawet wyrazić, jak bardzo go podziwiam. Kochał ją bardziej, niż jakikolwiek mężczyzna kochał kiedyś kobietę. Mary Stuart słuchała ze łzami w oczach, żałując, że tak niewiele mogą zrobić dla Zoe. Sam zadzwonił do Zoe po południu i ucięli sobie długą pogawędkę. Chciał otrzymać od niej wiążącą obietnicę w sprawie małżeństwa, a ona nadal oskarżała go o pomieszenie zmysłów.

- Nie możesz mi się oświadczyć! - mówiła wzruszona do łez. - Przecież ty mnie nawet nie znasz.

- Znam cię od przeszło dwudziestu lat, a pracuję z tobą od pięciu. Najprawdopodobniej kocham się w tobie od początku, tylko byłem za głupi, żeby to zrozumieć. Jesteś tak pochłonięta innymi ludźmi, Zoe, że nie wiesz nawet, co się wokół ciebie dzieje. Chcę być przy tobie - powiedział ciepłym, zmysłowym głosem.

- Jesteś - odparła miękko. Był zdumiewającym człowiekiem.

- Będę, jak długo mnie zechcesz. Czy wiesz, że nie mieliśmy jeszcze pierwszej randki?

- Nadrobimy to, nie obawiaj się. Nie spróbowałaś nawet mojej lasagne. Tyle mieli jeszcze przed sobą, tyle czekało ich odkryć.

- Jestem znakomitym kucharzem. Powiedz mi, co najbardziej lubisz? - Nie znał jej upodobań i chciał natychmiast uzupełnić te braki. Chciał ją rozpieszczać, opiekować się nią, być na każde jej zawołanie. Chciał dokonać przełomu w medycynie, by ją wyleczyć. A jeśli im się to nie uda, pozostanie z nią aż do końca. Zrozumiał, że takie jest jego przeznaczenie i nic nie mogło tego zmienić.

- Pytasz o moje ulubione potrawy? - Pytanie wywołało uśmiech na jej twarzy. Prawie zapomniała, że jest chora. Czowała się teraz znacznie lepiej i była taka szczęśliwa. O to właśnie chodziło, by żyć dniem dzisiejszym i nie myśleć o jutrze. - Prawdę mówiąc... lubię fast food. No wiesz, gotowe potrawy, które wstawiasz do szafki w gabinecie i podjadasz między jednym badaniem a drugim.

- Godne pożałowania! Koniec z tym. Będziesz jadła jedynie domowe potrawy. Może powinienem rzucić medycynę i poświęcić się gotowaniu? - Ale tymczasem przechodził na pełny etat w klinice i oboje byli zadowoleni z takiego obrotu sprawy. Cieszył się, że będzie

z nią odtąd pracował dzień w dzień. Dzięki temu dopilnuje, żeby się nie przemęczała. - A propos, musimy się rozejrzeć za nowym zastępcą. Nie możesz brać za mnie dyżurów, kiedy już będziemy razem. - Podobnie jak ona, zakładał, że większość czasu będą spędzali razem. Teraz, od kiedy Sam znał jej sytuację, wydawało się to Zoe nawet kuszące i miała przecucie, że ich związek przerośnie oczekiwania obojga. Uśmiechnęła się na myśl o Dicku Franklinie, który nigdy nie zdobyłby się na coś podobnego. Miała po prostu cholernie dużo szczęścia, że trafiła na Sama Warnera.

- Możemy zastępować się od czasu do czasu - ciągnął Sam. - A ja popytam wśród znajomych, czy ktoś nie zna dobrego lekarza na stałe zastępstwa. Jest taki facet, dla którego kiedyś pracowałem, i jedna dziewczyna, która zajmowała się chorymi na AIDS w szpitalu miejskim. Jest młoda, ale bardzo dobra. Myślę, że ci się spodoba.

- Ładna? - zapytała Zoe z niepokojem i Sam roześmiał się zadowolony.

- Nie ma się pani czym martwić, doktor Phillips. Ale nie sądziłem, że możesz być o mnie zazdrosna.

- Jestem po prostu cwana i zapobiegliwa.

- Świetnie! A więc rozpuszczę wici, że poszukujemy facetów lub brzydkie kobiety na zastępstwa. Zoe, kocham cię. - W jego głosie było tyle tkliwości, że łzy znów zakręciły jej się w oczach.

- Ja też cię kocham, Sam. Obiecał, że zadzwoni po pracy.

- Twoi pacjenci piętczą się za drzwiami. Lepiej się nimi zajmę, zanim doprowadzą klinikę do upadku. Odpoczywaj.

- Chyba pójde dzisiaj na kolację - powiedziała, wpatrując się w sufit. Czula się zdecydowanie lepiej.

- Nie szarżuj! Powolutku, pamiętaj. Bo kiedy wrócisz, chciałbym cię zabrać na hulankę po mieście, a więc zbieraj siły. Jest taka nowa restauracja na Clement, którą chcę z tobą wypróbować.

Wszystko to brzmiało tak zwyczajnie, tak radośnie i optymistycznie.

Powiedziała to doktorowi Kronerowi tego popołudnia. Zresztą nie musiała wiele mówić, wystarczyło na nią spojrzeć. Nadal była trochę odwodniona, ale poza tym wyglądała jak inny człowiek. Wiedział, że ona zdaje sobie sprawę ze swojego stanu, rozumie, że nastąpią nawroty tej choroby i innych, momenty cierpienia i rozpacz, po których znów będzie powracała do zdrowia. Aż w końcu złe chwile przeważą. Pogorszenie mogło się znacznie odwlec w czasie, albo też nastąpić bardzo niedługo. Nikt nie był w stanie tego przewidzieć, a Zoe wiedziała o tym lepiej od niego.

- No i jak? Czy ten lekarz będzie panią mógł zastąpić jeszcze przez kilka dni? - zapytał.

- Tak - powiedziała wesoło, myśląc o wszystkim, co od Sama usłyszała. - Mogę tu zostać jak długo będę chciała. Zgodził się nawet wziąć pełny etat.

- To wspaniale! - ucieszył się, trochę zaskoczony jej radosnym ożywieniem. Sprawiała wrażenie osoby bardzo szczęśliwej. Przykra przypadłość z poprzedniego dnia minęła i pani doktor wpadła w nastrój niemal ekstatyczny. Dziwna reakcja u śmiertelnie chorej pacjentki.

- Mam nadzieję, że kolega przejmie od pani znaczną część obowiązków, doktor Phillips - ostrzegł, ale ona nadal uśmiechała się tylko.

- Wydaje mi się, że faktycznie tak robi - powiedziała po chwili. - A tak w ogóle, to chce, żebyśmy się pobrali - dokończyła, czując się jak swawolne dziecko. Nie była jeszcze pewna, czy rzeczywiście się pobiorą, ale fakt, że on tego chce, głęboko ją wzruszał.

Najważniejsza była świadomość, że Sam chce z nią być, ze ślubem, czy bez niego. Ślub był

tylko przyjemnym dodatkiem, istota sprawy tkwiła w czym innym. Chciał być z nią na dobre i na złe, w chorobie i w zdrowiu. Tylko to się liczyło.

Doktor Kroner pogratulował jej, wyraźnie zadowolony z takiego rozwoju wydarzeń. Sprawy układały się po myśli pacjentki, co było niezwykle ważne. Przyznała się również, że powiadomiła przyjaciółki o swojej chorobie i że dla całej trójki było to duże przeżycie, ale szczęśliwym trafem otrzymała psychicznie wsparcie od tych wszystkich osób, na których jej szczególnie zależało.

- Pani przecież wie, jakie to ważne - przypomniał jej. - Nie należy odsłaniać się przed ludźmi, którzy nie potrafią sobie z tym szokiem poradzić, nie wiedzą, jak się w takiej sytuacji zachować i odwracają się od pacjenta z lękiem. Ale przecież prawie każdy chory posiada większą lub mniejszą grupkę osób, na które może liczyć w potrzebie. Teraz posiada ją również i pani.

Rozmawiali dłuższą chwilę o planach, o jej pracy, klinice, Samie i Jadę, o tym, co chce robić po powrocie do domu. Upomniał Zoe, żeby się nie przemęczała. Obiecała, że będzie bardzo ostrożna, ale jej nie uwierzył.

- Pewnie ma pan rację - roześmiała się. Nie mogła się już doczekać powrotu do swoich pacjentów, ale we Wyoming było jej dobrze. Ten odpoczynek rzeczywiście okazał się niezbędny. Ona także, podobnie jak inni, poddała się niemal mistycznemu urokowi gór. Potem wspomniał, że chciałby ją prosić o wielką przy słudze. Zdziwiła się, nie bardzo wiedząc, na czym ta przysługa miałyby mogłyby polegać i była głęboko wzruszona, kiedy zapytał, czy zechciałyby odwiedzić paru jego pacjentów. Miał ich zaledwie kilkunastu, ale przeczytał wszystko, co się ukazało na rynku i skompletował wcale pokaźną bibliotekę na temat stanu badań nad AIDS. Przechowywał również kopie wszystkich jej artykułów, ale uważał, że osobista konsultacja byłaby dla niego nieocenioną pomocą.

- Oczywiście nie wcześniej, jak za kilka dni, kiedy będzie pani silniejsza... - zaznaczył patrząc na nią z nadzieją. Odparła, że zrobi to z przyjemnością. Czowała się zaszczycona.

- Jak to sobie zorganizowaliście? - zapytała z zaciekawieniem.

- Nieźle - odparł skromnie, wdzięczny za jej zainteresowanie. - Mamy wspaniałe hospicjum i znakomite pielęgniarki. Odwiedzam często chorych, próbuję zmobilizować ich rodziny i przyjaciół. Zorganizowaliśmy niewielką wspólną kuchnię prowadzoną przez znajomych, coś w rodzaju Akcji Otwarta Dłoń w San Francisco, tylko na mniejszą skalę. Na szczęście nie mamy wielu chorych. Ale wobec narastającej fali przybyszów, głównie z miast, należy liczyć się z narastającym problemem. Chorych zapewne będzie przybywało i będą potrzebowali naszej pomocy. W tej sytuacji każda pani wskazówka jest bezcenna - Zoe słuchała go uważnie i obiecała, że dośle mu książki, z których sama korzystała, a także artykuły, które zarekomendował jej doktor Warner. Wdali się w dyskusję o alternatywnych metodach leczenia i kiedy na dworze zaczęło zmierzchać, stwierdzili że przegadali ponad dwie godziny. Zoe była zmęczona i doktor Kroner namówił ją, żeby się zdrzemnęła przed kolacją, tym bardziej że zamierzała później przyjrzeć się lekcji two-stepa, na którą wybierali się wszyscy.

- Któregoś dnia, gdy już będę mocniejsza, przyjadę do pana do szpitala i wtedy razem wybierzemy się na wizyty domowe - zaproponowała.

- Proszę mi tylko zostawić wiadomość.

Byli teraz bardziej profesorem i studentem niż lekarzem i pacjentką. Zoe podziękowała mu za pomoc, a kiedy wreszcie wyszedł, natychmiast zasnęła. Spała twardo, kiedy przyjaciółki wróciły z popołudniowej jazdy. Z radością przyjęły wiadomość, że Zoe wybiera się na

kolację i lekcje two-stepa. Była to jedna z nielicznych okazji, kiedy kowbojom pozwalano bawić się z gośćmi, a Gordon cieszył się dużą popularnością jako znakomity tancerz. Świadomość, że Zoe czuje się już lepiej, wprawiła je w znakomity humor. Chichotały omawiając swoje sprawy sercowe, zupełnie jak za dawnych czasów w Berkeley.

- O Boże! mam wrażenie, jakbyśmy znów miały po dwadzieścia lat - powiedziała Tania, nie mogąc się nadziwić zmianie, jaka w nich zaszła. - Myślicie, że to kwestia górskiego powietrza? - Od lat nie miała nikomu tyle do powiedzenia, co teraz Gordonowi, a Mary Stuart i Hartley wyglądali tak, jakby byli razem od zawsze. Zachowywali się przy tym zupełnie naturalnie i swobodnie, i zdawali się mieć identyczne, lub co najmniej zbieżne poglądy na większość spraw.

- On jest zupełnie niezwykły - zwierzyła się Mary Stuart. To kazało jej się zastanowić nad życiem z Billem, takim, jakim ono było jeszcze przed śmiercią Todda. Zawsze istniała między nimi znaczna różnica poglądów, ale wtedy uważała, że to dodaje pikanterii ich małżeństwu, ukazywało wiele spraw w zupełnie nowym świetle. Za to z Hartleyem wszystko szło jak po maśle. Dopiero teraz zrozumiała, co to znaczy być z kimś, kto dzieli twoje poglądy, widzi wszystko pod tym samym kątem. Przypominało to niemal taniec Freda Astaire'a z Ginger Rogers. Gdy tymczasem ona i Bili nie znajdowali się nawet na tej samej sali balowej.

Ubrana w czerwone dzinsy, czerwony sweter, z ciemnymi włosami ściągniętymi w kok, zmierzała właśnie do drzwi, kiedy zadzwonił telefon. Dziewczęta poszły przodem, a ona zatrzymała się, żeby poszukać kowbojskich butów, które kupiła u Billy Martina. Ledwie zdążyła je naciągnąć, kiedy odezwał się telefon. Nie pozostało jej nic innego, jak go odebrać, choć przez chwilę miała ochotę po prostu zignorować sygnał. Jednak rozmyśliła się. Mogła przecież dzwonić opiekunka Jade, któryś z pacjentów Zoe, bądź sekretarka Tani z jakąś ważną informacją lub ostrzeżeniem o kolejnym skandalu. Wróciła biegiem do pokoju, z kaszmirowym szalem w rękę i podniosła słuchawkę, trochę zdyszana.

- Halo?

- Czy mogę rozmawiać z panią Mary Stuart Walker? Z początku nie rozpoznała głosu. Dzwonił jakiś mężczyzna, ale nie bardzo wiedziała, kto to może być.

- Przy telefonie. Kto mówi? - zapytała oficjalnym tonem. Odpowiedź zbiła zupełnie ją z nóg.

- Mary Stuart? Nie poznałem cię...

O mój Boże! Bili! To tylko dowodziło, jak daleko od siebie odeszli. Nie rozpoznawali nawet swoich głosów. Od wielu dni nie rozmawiali ze sobą, wymieniali jedynie suche i niesłychanie lakoniczne fakty.

- Ani ja ciebie. Wybierałam się właśnie na kolację.

- Przepraszam, jeżeli dzwonię nie w porę - powiedział oschle. W Londynie była trzecia nad ranem.

- Czy z Alyssą coś nie w porządku? - Serce zabiło jej niespokojnie. Nie potrafiła inaczej wytłumaczyć sobie jego telefonu.

- Ależ skąd. Wszystko dobrze - powiedział spokojnie. - Rozmawiałem z nią wczoraj, balują w Wiedniu. Właśnie przyjechali z Salzburga. Zdaje się, że świetnie się bawią. Nie sądzę, żebyśmy ją zobaczyli przed końcem lata.

Mary Stuart uśmiechnęła się, słysząc o poczynaniach córki. Dokładnie tego się po niej spodziewała.



- W następnej rozmowie przekaz jej całusy ode mnie. Nie odezwała się do mnie. Może różnica czasu jest zbyt uciążliwa? Zakładam, że jest zdrowa, skoro nie dzwoni. Dlaczego nie śpisz o tej godzinie? - Rozmawiali jak partnerzy w interesach. Nic osobistego, same informacje.

- Pracowałem do późna, a ponieważ po południu wypilem nieroztropnie kawę, nie mogłem zasnąć. Pomyślałem, że zadzwonię do ciebie. Ta różnica czasu trochę mnie męczy. Podobnie jak nasze małżeństwo, chciała dodać, ale ugryzła się w język.

- Miło, że dzwonisz - powiedziała, ale zabrzmiało to niezbyt przekonywająco. Nie chciała już nawet próbować, nie chciała nic do niego czuć. Podjęła już decyzję i nie miało to nic wspólnego z Hartelyem Bowmanem. Winę za to ponosił wyłącznie William Walker.

- Co porabiasz? Z twoich faksów absolutnie nic nie wynika. Nie pisałaś już chyba od tygodnia.

A więc nie czytał nawet jej faksów, ale to już w tej chwili nie miało znaczenia.

- Ty również niewiele piszesz.

- Nie mam o czym. Zwyczajnie pracuję. Nie odwiedzam nawet Annabel's ani Harry's Bar. Haruję dzień i noc, przygotowując ten proces. Nie jest to specjalnie zabawne, ale mam nadzieję, że go wygramy. Jesteśmy bardzo dobrze przygotowani.

- To świetnie - powiedziała, patrząc na czubki swoich kowbojskich butów. Słuchając męża odkryła, że myśli nie o nim, lecz o Hartleyu. Porównanie nie wypadło korzystnie dla Billa. Nie wyobrażała sobie, by mogła w ten sposób rozmawiać z Hartleyem, podobnie jak nie wyobrażała sobie, by był on zdolny zafundować jej taki rok. Nie zamierzała dobrowolnie skazywać się na takie tortury.

- Powiedz co u ciebie? - dopytywał się, a ona nie miała nawet ochoty z nim rozmawiać. Chyba musiał to wyczuć.

- No cóż, jeździmy konno. Jest tutaj niewiarygodnie pięknie. Nigdy czegoś takiego nie widziałam. Tetony są wspaniałe. Nie da się tego porównać z Europą.

- A jak twoje przyjaciółki?

Nie bardzo rozumiała, skąd nagle to zainteresowanie jej sprawami.

- Mają się znakomicie. - Nie powiedziała mu o chorobie Zoe. - Prawdę mówiąc, czekają na mnie w jadalni. - Nie wspomniała o nauce two-stepa. Nie chciała się już z nim niczym dzielić. Skończyło się.

- Nie będę cię zatrzymywał. Przekaż im moje pozdrowienia. Podziękowała i zamierzała skończyć rozmowę, kiedy po tamtej stronie linii zapadła dziwna cisza.

- Stu... tęsknię za tobą.

Po tych jego słowach nastąpiła nie kończąca się cisza. Nie chciała wprowadzać go w błąd i nie miała pojęcia, dlaczego on jej to mówi teraz, po roku milczenia i bólu. Może ruszyło go sumienie, a może pożałował tego, co utracili. Nie zamierzała prowadzić z nim żadnych gier, ale nie mogła pozwolić, by jąznowu zranił. Ten rozdział życia miała już za sobą. Przyszło jej na myśl, że być może Bili jest pijany. Wskazywałby na to jego sentymentalny ton i późna godzina. Zwykle się nie upijał, ale teraz był sam, pracował do późna. Kto wie? Nie da się na to nabrać.

- Nie pracuj za dużo - powiedziała tylko. Jeszcze przed miesiącem byłoby inaczej... Czowała się podle, ale nie potrafiła zmusić się do wypowiedzenia słów, których nie miała w sercu. Nie czuła żalu, kiedy odłożyła słuchawkę i pośpieszyła do drzwi na spotkanie z resztą towarzystwa.

Nauka two-stepa okazała się świetną zabawą, dużo lepszą niż przypuszczano. Goście dopisali, a Zoe otulona kaszmirowym szalem siedziała na kanapce, urocza w sukience z irchy i turkusowych kolczykach. Tania wyglądała jak zwykle rewelacyjnie w stylowej wiktoriańskiej sukni z białej koronki. Gordon sprawiał wrażenie porażonego jej urodą. Założył na tę okazję nową kowbojską koszulę i czarne buty. Na głowie miał czarnego Stetsona. Tania uznała, że wygląda jak prawdziwy kowboj z filmu. Charlotte Collins poprosiła go o zademonstrowanie tańca. Okazało się, że Gordon zdobył parę nagród na konkursach two-stepa.

- Jak widzicie, potrafi nie tylko ujeżdżać byki i konie, choć nigdy by się do tego nie przyznał - podkpiwała Charlotte. Była mądrą, starszą kobietą i zerknęła z troską na Zoe, która siedziała na kanapce, bardzo zadowolona z życia. Nie czuła się wprowadzić na siłach, by tańczyć, ale miło gawędziła z Johnem Kronerem, który został zaproszony przez Charlotte na kolację i tańce. Tego wieczora przyszedł wyłącznie dla Zoe i przyjemności porozmawiania ze swoim idolem.

- Czy ktoś z państwa tańczył już kiedyś two-stepa? - zapytała Charlotte, kiedy Gordon wystąpił naprzód. Kilku gości uniosło niepewnie ręce, Tania zaś roześmiała się ubawiona.

- Tańczyłam to, kiedy miałam czternaście lat, panno Charlotte.

- Prawda! Jest przecież z nami dziewczyna z Teksasu! - zawołała Charlotte z ciepłym uśmiechem. - Spróbuje pani? - zwróciła się do Tani, jakby ta miała wyświadczyć jej przysługę a reszta gości poparła prośbę oklaskami. Skoro nie mogli słuchać jak śpiewa, chcieli zobaczyć, jak tańczy two-stepa.

- Obawiam się, że przyniosę wstyd sobie i panu - powiedziała, kiedy zbliżył się do niej Gordon. Ale pokusa zatańczenia z nim była zbyt silna, wsunęła więc dłoń w jego rękę i pozwoliła się zaprowadzić na środek parkietu. Włączono muzykę i Charlotte wyłożyła pokrótce zasady tańca. Gordon i Tania zademonstrowali kroki w zwolnionym tempie, a przy następnej piosence zatańczyli jak należy i wszyscy klaskali, ponieważ stanowili piękną parę. Był to pokaz zawodowców, przy czym Gordon sprawiał wrażenie wniebowziętego, kiedy Tania wirowała wokół niego lekko jak piórko.

- Ty teksański kłamczuchu - szepnął do niej z uśmiechem. - Jesteś w tym lepsza ode mnie. Nie mów mi, że dawno tego nie robiłaś.

- Żebyś wiedział, że nie robiłam - odszepnęła. Znakomicie się bawiła. Przyłączyły się później do nich inne pary, myśląc kroki i potykając się o własne nogi. Tańczyła z Gordonem jeszcze kilka razy, a potem zmienił partnerkę, pomny swoich obowiązków. Ale na zakończenie poprosił ją znowu. Wszyscy świetnie się bawili, ludzie podziwiali gwiazdę, ale z przyzwoitej odległości. Nie szeptali już nawet na jej widok, przywykli i Tania czuła się na ranczo znakomicie, zwłaszcza w towarzystwie Gordona.

Po zakończeniu tańców kowboje pozostali na sali i gawędzili z gośćmi. Po pięciu wspólnie spędzonych dniach nawiązały się przyjaźnie, choć żadna o takiej intensywności jak znajomość Tani i Gordona. Ku ich wielkiej uldze nikt zdawał się tego nie zauważać.

- Cudownie się bawiłem - wyznał uśmiechając się do niej, ona podniosła na niego promienny wzrok.

- Ja również. Jest pan świetnym tancerzem, panie Washbaugh.

- Dziękuję, psze pani - powiedział z teksańskim akcentem, po czym nachylił się ku niej i oboje wybuchnęli śmiechem. W tym momencie podeszła do nich Charlotte Collings.

- Moglibyście z powodzeniem brać udział w konkursie tańca na festynie stanowym - powiedziała z życzliwym uśmiechem. - Było na co popatrzeć.

- Obawiam się, że trochę zardzewiałam - odparła Tania skromnie. W szkolnych czasach wraz z Bobbym Joe wygrywali wszystkie możliwe konkursy tańca.
- Czy u pań wszystko w porządku? - zapytała Charlotte. Niepokoiła się o Zoe. John Kroner nie wtajemniczył jej, powiedział tylko, że jego pacjentka jest poważnie chora. - Doktor Phillips wygląda dziś jakby trochę lepiej. - Lecz Zoe nadal była blada i mimo widocznego ożywienia, wydawała się bardzo krucha.
- Dzisiaj rzeczywiście czuje się o wiele lepiej - odparła Tania, pokrywając niepokój uśmiechem. Dopiero patrząc na Zoe z pewnej odległości dostrzegła, jaka jest blada i wymizerowana. Kiedy się z nią rozmawiało, człowiek o tym zapominał, zwidziony jej ożywieniem.
- Słyszałam, że wybiera się pani na rodeo - zagadnęła Charlotte z uśmiechem. Tuż przed kolacją Tania zamówiła bilety dla siebie i przyjaciół. - Czy i tym razem pani zaśpiewa? Od tamtej środy miasto o niczym innym nie mówi.
- Jeżeli mnie o to poproszą, zaśpiewam z przyjemnością. - odpowiedziała bez krygowania się. Odrzuciła w tył długie włosy i kątem oka zauważyła grymas na twarzy Gordona. - Ale to będzie zależało od nastroju tłumu. - Jeżeli zauważę sporo osób pijanych, albo zbyt rozochoconych, wtedy oczywiście nie wystąpię.
- Z pewnością panią poproszą. To było wydarzenie roku w Jackson Hole. Może nawet wydarzenie dziesięciolecia - dodała. - To miło, że się pani zgodziła. - Uśmiechnęła się, po czym przeszła do innych gości. Gordon był niezadowolony.
- Nie chcę, żebyś występowała - szepnął. - Nie podoba mi się, jak reagują ludzie, kiedy jesteś blisko. Co innego na scenie, kiedy otacza cię kordon ochroniarzy. Wtedy nie mogą ci zrobić krzywdy.
- Owszem, mogą - powiedziała szczerze, wiedząc, że to się przecież może zdarzyć pewnego dnia. Podczas koncertu na Filipinach miała na sobie kamizelkę kuloodporną i wówczas przysięgła sobie - nigdy więcej. Trzęsła się cała ze strachu przez cały koncert i zbierało jej się na wymioty. - Dlatego w Jackson dosiadłam konia. Wiedziałam, że w razie potrzeby mogę na nim szybko umknąć.
- Nie podoba mi się, że tak ryzykujesz. - Nie chciał być w stosunku do niej nadopiekuńczy, ale naprawdę się martwił.
- A mnie się nie podoba, że ujeżdżasz byki. - Spojrzała mu prosto w oczy. Znała to kowbojskie życie. Patrzyła na nie w dzieciństwie. Znała cenę, jaką się za nie płaci, wszystkie zagrożenia.
- Wiesz, co? Zrobimy tak - powiedział - jeżeli będziemy razem, to zrezygnuję z byków i dzikich koni.
- Trzymam cię za słowo. - Musiała jednak być z nim szczerą. - Ale ja nie mogę zrezygnować z koncertów. To mój sposób na życie.
- Nigdy bym tego od ciebie nie zażądał. Nie chcę po prostu, żebyś podejmowała ryzyko dla przyjemności ludzi, którzy mogą wyrządzić ci krzywdę. Nie zasługują na to.
- Wiem - westchnęła. Trudno było uwierzyć, że prowadzą taką rozmowę, negocjują warunki swojej przyszłości, wzajemne ustępstwa. - Tylko że, widzisz, czasem mam ochotę śpiewać po prostu dla ludzi, bez tej całej oprawy, kontraktów, sponsorów i tego całego gówna. To jest dla mnie ogromna frajda.
- Więc śpiewaj dla mnie - zachęcał ją z uśmiechem.

- Ależ z przyjemnością. - Była taka stara teksańska piosenka, którą chciała mu zaśpiewać. Śpiewała ją jeszcze na potańcówkach w szkole średniej. Od tamtego czasu utwór zyskał popularność, ale Tania uważała go zawsze za własny.

- Teraz ja trzymam cię za słowo.

Nie wiadomo kiedy zrobiło się późno i należało położyć Zoe do łóżka. Gordon obiecał Tani, że przyjdzie później, jeżeli uda mu się wyrwać. Zapuka w okno jej łazienki. Wyszły w towarzystwie Hartleya, który odprowadził je pod same drzwi bungalowu i został z Mary Stuart na tarasie.

Opowiedziała mu o telefonie Billa.

- Zrozumiał prawdopodobnie, co stracił - powiedział patrząc na nią w zamyśleniu. - Co zaprzepaścił przez te miesiące. Co zrobisz, jeżeli będzie chciał wszystko naprawić?

- Nie wyobrażam sobie tego - przyznała. - Ale kiedy z nim rozmawiałam, to sobie uświadomiłam, że nie chcę do niego wrócić. Nie mogę. Nie da się unieważnić tych strasznych dwunastu miesięcy, uznać je za niebyłe, zapomnieć, jak się względem mnie zachowywał. Może to niesprawiedliwe z mojej strony, niskie, ale nie potrafię mu tego wybaczyć. On zabił moją miłość.

- A jeżeli przyjdzie do ciebie, powie, jak bardzo cię kocha, jak strasznie mu przykro, co wtedy? - Chciał, żeby się nad tym zastanowiła, zanim popełni jakiś nierozważny krok. Byli w sobie zakochani, ale zachowywali się powściągliwie i Hartley nie zamierzał tego zmieniać. Nie chciał po raz drugi stracić ukochanej osoby.

- Nie wiem, Hartley. Nie jestem pewna, choć wydaje mi się, że wiem. Dla mnie to się skończyło. Ale nie mogę niczego gwarantować, dopóki się z nim nie zobaczę. Wtedy zdobędę pewność.

- Dlaczego chcesz czekać z tym do września?

Sama też zadała sobie ostatnio to pytanie. Na początku wydawało się jej, że potrzebuje trochę czasu i była zadowolona, że ma na zastanowienie całe lato. Ale od przyjazdu na ranczo uświadomiła sobie, że jest właściwie gotowa. Przyszło jej nawet do głowy, że mogłaby polecieć do Londynu na rozmowę z Billem. Powiedziała o tym Hartleyowi.

- Myślę, że to dobry pomysł - powiedział łagodnie. - Jeżeli tylko czujesz się na siłach. Nie chciałbym cię do niczego popychać. - Znali się zaledwie od pięciu dni i było to dla nich obojga niezwykle doświadczenie. Zdawali sobie sprawę, że ich uczucie może się okazać iluzją, marzeniem lub czymś wyjątkowym i rzeczywistym. Tylko czas mógł to pokazać. Ale wpieryw musiała uporać się ze swoim małżeństwem. Żadne z nich nie chciało zrobić czegoś pochopnie, zanim ta sprawa nie wyjaśni się do końca. I choć pójście razem do łóżka wydawało się najprostszym rozwiązaniem, Mary Stuart wiedziała, że nie to jest w tym wszystkim najważniejsze.

- Zamierzałam pojechać stąd do Los Angeles na tydzień, dwa, ale Tania jest i tak bardzo zajęta... - Myślała na głos. - Może więc zatrzymam się u niej na parę dni a potem polecę do Londynu. Przyjechałam tu, żeby to przemyśleć, zdecydować, czego właściwie chcę. Zrozumiałam to już pierwszego dnia, a myślę, że wiedziałam nawet wcześniej.

Opuszczając nowojorskie mieszkanie postanowiła przecieżyć, że nie wróci do dawnego trybu życia. To było pożegnanie i zdawała sobie z tego sprawę.

- Jest coś w tych górach - odezwał się Hartley - co pozwala odnaleźć odpowiedź na wiele pytań. Tęskniłem za nimi po śmierci Meg. - Z uśmiechem sięgnął po jej dłoń. - To by było zdumiewające, gdybym rozpoczął tutaj nowe życie, wrócił, żeby odnaleźć ciebie... -

Popatrzył na nią smutno. - Ale nawet jeżeli się tak nie stanie, jeżeli odejdziesz, chcę, żebyś wiedziała, ile dałaś mi szczęścia.

Ukazałaś, że nie jestem tak bardzo samotny, jak mi się zdawało, że jest ktoś, kto może sprawić, że znów się zakocham. Jesteś piękną dziewczyną, jakiej nigdy nie spodziewałem się spotkać, jesteś dla mnie wizją tego, co może się stać, kiedy dwoje ludzi się zakochuje i są szczęśliwi.

Podobnie było z nią. Hartley był żyjącym dowodem na to, że istnieje na świecie ktoś, komu na niej zależy, z kim może porozmawiać, kto ją kochał. Nie chciała się tego wyrzec. On nie nalegał, ale chciał wiedzieć, czy zakończy swoje małżeństwo, zanim posuną się dalej. Mary Stuart była pewna, że podjęła już decyzję.

- Nie sądzę, żeby spotkanie z nim mogło cokolwiek zmienić - powiedziała cicho, tuląc usta do jego ręki. Był jej tak drogi, tyle dla niej znaczył! Troszczyli się o siebie nawzajem. Ale oboje zdawali sobie sprawę, że Mary Stuart musi się przekonać, co czuje do męża. Hartley miał wrażenie, że ją onagła, chociaż Mary Stuart stanowczo temu zaprzeczyła.

- To było takie dziwne, że do mnie zadzwonił... Jakbym rozmawiała z kimś obcym. Nie rozpoznałam nawet jego głosu, a potem nie mogłam zrozumieć, dlaczego właściwie dzwoni. To smutne, czuć taką obcość wobec kogoś, kto był nam tak bliski. Nigdy nie przypuszczałam, że może nam się to przydarzyć.

- Spadł na was okrutny cios - powiedział ze współczuciem. - Większość małżeństw nie wytrzymuje takiej próby. Statystyki są zatrważające. Około dziewięćdziesięciu siedmiu procent małżeństw rozpada się po stracie dziecka. Trzeba mieć niesłychany hart ducha, by to wytrzymać.

- My nie mieliśmy.

- Kocham być z tobą, Mary Stuart. - Chciał iść z nią przez życie, podróżować, polecieć do Nowego Jorku, do Europy, podzielić się przyjaciółmi, życiem i karierą. Był samotny przez dwa lata, ale wiedział, że musi jeszcze trochę poczekać. Powinna zobaczyć się z mężem. Jeżeli wszystko ułoży się po jego myśli, otworzą się przed nimi nieskończone możliwości. Wtedy nic już nie stanie między nimi, chociaż Hartley odczuwał pewien niepokój na myśl o córce Zoe. Nigdy nie miał dzieci i nie wiedział, czy Alyssa go zaakceptuje, czy nie obarczy winą za rozwód rodziców i nie znienawidzi, kierując się lojalnością względem ojca. Nie on ponosił odpowiedzialność za rozwód, ale Alyssa mogła nie przyjąć tego do wiadomości. Gdy zwierzył się Mary Stuart ze swoich wątpliwości, przyznała, że będzie musiała poważnie porozmawiać z córką. Nie zamierzała jednak zostać z Billem jedynie przez wzgląd na nią. Alyssa była już dorosła i żyła na własny rachunek, a dla Mary Stuart była to prawdopodobnie ostatnia szansa ułożenia sobie życia z kimś, kto ją kochał i kogo ona kochała. Nie zamierzała zaprzepaścić tej szansy tylko przez pamięć dawnych dni. Chciała być z Hartleyem.

Siedzieli długo na tarasie, rozmawiając o przeszłości, o dalszym wspólnym życiu.

Wszystko zostało ustalone. W tydzień po wyjeździe z Wyoming Mary Stuart poleci do Londynu. Zabawi tam tylko parę dni, albo jeszcze krócej, a następnie spróbuje spotkać się z Alyssą. Nie powie córce o rozwodzie rodziców, ta wiadomość może spokojnie poczekać do września. Chciała ją po prostu zobaczyć, choć wątpiła czy uda jej się odszukać córkę.

Wróci do domu i uporządkuje swoje sprawy. Nie wiedziała, co Bili będzie chciał zrobić z mieszkaniem, czy

zechce je sprzedać, mieszkać w nim nadal, czy oddać jej. Ale Mary Stuart podjęła już decyzję. Nie chciała tam mieszkać. To było zbyt bolesne, przypominało jej nieustannie o

tragedii. Fakt, że znajdowały się tam rzeczy Todda, nie miał już teraz dla niej znaczenia. Nadszedł czas pożegnania. Chciała rozpocząć nowe życie i jeżeli jej szczęście dopisze - z Hartleyem.

- Miałabyś ochotę pojechać na Fisher's Island po powrocie z Londynu? -zapytał ostrożnie. - Mam tam taki śmieszny stary dom. Nie zaglądałem do niego od śmierci Margaret, ale postanowiłem wybrać się w sierpniu.

- Z przyjemnością. - odparła i popatrzyła na niego z wdzięcznością. On również miał swoich zmarłych, swoje zmary i wspomnienia. Mieli je oboje. - Przyznam, że nie bardzo wiedziałam, co zrobić ze sobą tego lata, po wyjeździe Billa. Planowałam odwiedzić znajomych w East Hampton.

- Przyjedź do mnie - powiedział żarliwie z twarzą wtuloną w jej szyję. Niczego tak nie pragnął, jak budzić się przy niej, słuchać grzmotu oceanu, kochać się z nią popołudniami, nocą i rankiem, rozmawiać aż po świt, czytać razem ulubione książki. Wiedział już, że i ona jest zapalonym czytelnikiem i lubią tych samych pisarzy. Miał kilka wspaniałych pierwszych wydań, którymi chciał się z nią podzielić. Chciał spacerować z nią po plaży, trzymać się za ręce i powierzyć jej te wszystkie sekrety, których nie zdążył na konnych przejażdżkach po dolinach Wyoming. Już było cudownie, a mogło być tylko lepiej. Oderwał się od niej późnym wieczorem. Przy pożegnaniu zadał Mary ostatnie, bolesne pytanie.

- A jeżeli on cię odzyska?

- Nie odzyska - odparła całując go.

- Byłby chyba głupcem - szepnęła Hartley z wargami na jej ustach. Wiedział, że jeżeli tak się stanie, będzie musiał nauczyć się żyć bez niej. - Może ustalimy jakiś znak między sobą, żebym wiedział, czy moje życie zaczyna się, czy kończy.

- Przestań się martwić na zapas. - Pocałowała go ponownie, ale nie mogła uśmierzyć jego niepokoju. Tak bardzo jej pragnął. - Kocham cię - powiedziała zgłębi serca. Prawie go nie знаła, a jednak nie miała wątpliwości, że mogłaby spędzić z nim resztę życia i nigdy tego nie żałować. Był zupełnie inny od Billa, a z każdym z nich mogłaby być szczęśliwa. Ale jej czas z Billem się skończył. Czas z Hartleyem właśnie się rozpoczął.

## Rozdział osiemnasty

Jechali na rodeo w znakomitych humorach. Zoe postanowiła zostać w domu. Czuli się dobrze, ale nie chciała nadwierać sił, a taki wypad wydawał jej się zbyt wyczerpujący. Woląла zostać w domu z najnowszą książką Hartleya, której ją sprezentował, zadzwonić do Sama i porozmawiać z Jadę.

Tania pojechała z Mary Stuart i Hartleyem, który ubrał się na tę okazję w kowbojski kapelusz, kupiony tego popołudnia w miasteczku. Drugim identycznym obdarował Mary Stuart. Tania orzekła, że wyglądają jak farmerzy rodem z Teksasu. Kapelusze zostały dopasowane wymiarem do ich głów i tworzyli w nich urodziwą parę. Przypadkiem ubrali się oboje na niebiesko i Hartley nie omieszkał stwierdzić, że zdarza się to parom wyjątkowo ze sobą zżytych. Tania patrzyła na nich z ciepłym uczuciem w sercu.

- Fajnie wyglądacie - powiedziała siadając na kanapce w saloniku autokaru. Nie mogła się już doczekać spotkania z Gordonem. Hartley wiedział, co się święci, ale był uosobieniem dyskrecji i Tania wiedziała, że nie zdradzi ich sekretu. Podobnie jak Gordon, niepokoił się o jej bezpieczeństwo.

- Czy nie powinnaś mieć przy sobie ochroniarzy? - zapytał, a Mary Stuart przytaknęła ruchem głowy. Ona też uważała, że rodeo nie jest dla Tani bezpieczne. Ale gwiazda była innego zdania.

- W Los Angeles może tak, ale tutaj ludzie są zupełnie inni. Nie wyrządzą mi krzywdy. W najgorszym wypadku będę musiała złożyć tysiąc autografów, tyle można wytrzymać. To tak po hollywoodzku, pójść na małomiasteczkowe rodeo w kordonie ochroniarzy, wstydziłabym się.

- Może i po hollywoodzku, ale na pewno rozsądniej - tłumaczył. - Bądźże przynajmniej ostrożna - nalegał, ale ona zbyła to uśmiechem. Lubiła go za to, że jest taki dobry dla Mary Stuart. Nigdy nie przepadała za Billem Walkerem. Uważała, że jest zbyt oschły dla żony, że za wiele od niej oczekuje. Miał idealny dom, idealną żonę, idealne dzieci i uważał, że wszystko to mu się należy. Zastanawiała

się, czy docenia to i jak często dziękuje żonie, jeżeli w ogóle. Była przekonana, że odejście Mary Stuart porządnie nim wstrząśnie. Jego faksy doprowadzały Tanie do pasji. Były zimne, nieprzyjazne i protekcyjne w tonie. Hartley był zaprzeczeniem Billa - taki serdeczny, otwarty, troskliwy. Tania uważała, że jest wymarzony dla Mary Stuart. Byli nawet do siebie trochę podobni. Wymusił w końcu na Tani obietnicę, że zachowa maksymalną ostrożność i przy najmniejszym zagrożeniu wezwie na pomoc policję.

- Trzymaj się blisko nas, nigdzie nie odchodź - powiedziała Mary Stuart, tonem jakim czasem zwracała się do Alyssy.

- Dobrze, mamusiu - zażartowała Tania, ale była tak podniecona, że ledwo mogła usiedzieć na miejscu. Autokar wtoczył się na parking, podskakując na wybojach i cudem wyminął grupkę dzieci na koniach.

Czekali tu już na nią fani, ten sam mężczyzna, który podszedł do niej na śródownym rodeo i szeryf. Prosił, żeby zaśpiewała hymn tak, jak to zrobiła poprzednio, jak Bóg chciał, by go śpiewano. Byli tak pełni wiary i nadziei, że zmiękła. Słuchając ich, zdążyła złożyć pół tuzina autografów. Hartley i Mary Stuart przyglądali się temu z niepokojem, zdając sobie sprawę ze swojej bezradności. Tak właśnie wyglądało jej życie. Nie mogła zawieść swoich fanów. Mieli dla niej tego samego palomino, co poprzednio, a ona zapytała, czy może zaśpiewać jeszcze jedną piosenkę, przed lub po hymnie. Chciała zaśpiewać God Bless America. Rodeo zawsze kojarzyło się jej z tym utworem.

- A może zaśpiewa pani którąś z własnych piosenek, panno Thomas? - zapytał szeryf z nadzieją, ale odmówiła. Nie chciała wykonywać własnego utworu przy akompaniamencie szkolnej orkiestry, bez prób, a poza tym, nie było to miejsce po temu. Zaśpiewa God Bless America, albo nic. Musieli ustąpić.

Poszła z Mary Stuart i Hartleyem odnaleźć swoje miejsce i zerknęła w stronę zagród, ale nie dostrzegła Gordona. Ludzie gapili się na nią, wiedziała, że została rozpoznana, ale z wyjątkiem paru dzieciaków, nikt nie ośmielił się zbliżyć. Poszła więc zaśpiewać ubrana w dżinsy i czerwoną koszulę. Mary Stuart pożyczyła jej swoje nowe czerwone buty kowbojskie. Nadal nosiły ten sam numer obuwia. Włosy miała rozpuszczone, czerwoną bandannę na szyi i ludzie oglądali się za nią, wyczuwając, że jest kimś wyjątkowym.

- Zachwycająca dziewczyna - zauważył Hartley z podziwem, patrząc, jak przemyka się z wdziękiem przez tłum. Miała w sobie owo urzekające połączenie dobrych manier i wdzięku. Nie było w niej nic z wyniosłości primadonny. - Obawiam się o jej bezpieczeństwo. Jest w mentalności fanów muzyki pop coś, co mnie przeraża. W

przypadku literatów sprowadza się to zwykle do podpisania kilku książek, ale ludzie tacy jak ona wyzwalają w ludziach szaleństwo.

- Ja też się o nią martwię - przyznała Mary Stuart, nie spuszczać wzroku z Tani.

I wtedy Hartley zadał jej dość kłopotliwe pytanie.

- Jak myślisz, czy między nią a tym kowbojem jest coś poważnego? - Rozejrzał się, sprawdzając, czy ich ktoś nie słyszy. Ale najbliższe ławki były jeszcze puste.

- Nie wiem. Dlaczego pytasz? - Czyżby Hartley wiedział o czymś, o czym nie wiedziała ona?

- Muszę przyznać, że to trochę dziwna kombinacja. Ona, taka błyskotliwa, wyrafinowana i on, człowiek z całkiem innego świata. Jej życie jest bardzo skomplikowane. Trzeba być kimś wyjątkowym, żeby temu sprostać.

- To prawda - przyznała mu rację, ale Gordon tak bardzo przypominał jej Bobby'ego Joe. Był jakby jego starszą, dojrzałą wersją. - On jest jednak bardzo w typie jej pierwszego męża. Zresztą, Tania wcale nie jest taka wyrafinowana, jak się wydaje. Pod wieloma względami jest częścią świata Gordona. Ta druga, gwiazdorska strona jej życia jest trochę przypadkowa. W głębi duszy pozostała zwykłą dziewczyną z Teksasu. Kto wie? Może im się uda.

Nigdy nic nie wiadomo. W tym sprawach nie istniała logika, liczył się jedynie hit szczęścia. Być może nic z tego nie będzie, ale Mary Stuart miała szczerą nadzieję, że Gordon okaże się inny. Widziała go ze swojego miejsca. Wspiął się na płot i obserwował, jak Tania dosiada konia i mówi coś do szeryfa.

Nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. To się nie mogło dziać naprawdę, takie rzeczy się nie zdarzały. Ludzie tacy jak Tania Thomas nie dosiadali konia i nie odjeżdżali z tobą w stronę zachodzącego słońca. Powtarzał sobie, że ona prawdopodobnie traktuje tę całą historię jak zabawę, wakacyjną przygodę, lecz z drugiej strony wyczuwał jej szczerą i uczciwą, wierzył we wszystko, co mu mówiła. Zeszłej nocy rozmawiali do trzeciej nad ranem. A teraz siedział na płocie i patrzył jak objężdża arenę na palomino. Tłum ucichł na jej widok. Tu i ówdzie słychać było jeszcze okrzyki, jakiś zapalony fan wykrzykiwał jej imię, ale szybko zapadła cisza. Tania miała niesłychaną władzę nad słuchaczami, niemalże charyzmę.

A potem zaśpiewała hymn, o który prosili i God Bless America. Ludzie byli wzruszeni, płakali, słuchając jej. Miała silny głos, który zdawał się ich ogarniać, i nawet Gordon otarł oczy, kiedy skończyła. Uśmiechnęła się do publiczności, pomachała ręką i zjechała z areny z gromkim teksańskim okrzykiem. Tłum oszalał. Gdyby mogli, najchętniej ruszyliby za nią i dopadli. Ale tym razem była ostrożna. Zanim się zorientowali, zeskoczyła z konia, pocałowała szeryfa w policzek i po prostu zniknęła. Błyskawicznie ściągnęła czerwoną koszulę i obwiązała ją sobie wokół bioder. Pod spodem miała białą koszulkę bawełnianą. Równie szybko zgarnęła włosy i splotła je w warkocz. Kiedy dotarła do zagród dla koni, wyglądała już zupełnie inaczej i Gordon nie ukrywał zaskoczenia.

- Taka szybka zmiana - zauważył, pełen podziwu. Stał bardzo blisko niej, marząc aż do bólu o pocałunku.

- Na tym polega cała sztuka. - Zdjęła mu kapelusz i wsadziła go sobie na głowę. To odmieniło ją jeszcze bardziej.

- Mądre posunięcie - przyznał zadowolony, że zachowuje ostrożność. - To był prawdziwy nokaut - powiedział nawiązując do jej występu.



- Zawsze uważałam, że naszym hymnem powinno być God Bless America. Bardzo mi się podoba.

- Mnie podoba się wszystko, co śpiewasz - powiedział, wpatrzony w nią z cielecym zachwytem. - Mogłabyś zaśpiewać Smoky the Bear, a też płakałbym jak dziecko.

- Miło mi to słyszeć.

Przyniósł jej piwo i popijali je na spółkę. Stała opierając się jedną nogą o ogrodzenie, w jego kapeluszu i wyglądała jak stuprocentowa kowbojka.

- Tanny, zbijasz mnie z nóg - szepnął, a ona roześmiała się.

- Ty też masz niezłe rezultaty.

Przez chwilę oglądali razem rodeo, a potem Tania wróciła do swojego towarzystwa.

- Błagam, uważaj - powiedziała mu na pożegnanie. - Uprzedź swego konia, że jeżeli cię zrzuci, zastrzelę go.

- Tak, psze pani. - Włożyła mu z powrotem kapelusz na głowę i był to idealny moment, żeby ją pocałować, ale trochę się bał. W tłumie mógł kryć się fotoreporter, a wtedy znalazłaby się znów na pierwszych stronach gazet. Poza tym, wcale nie był pewien, czy nie ma tu dzisiaj Charlotte Collins. A kowboje z miejsca rozpuściliby języki. Oboje byli zdania, że lepiej zachować ostrożność.

- Przyjdę później - powiedziała. - A jeżeli mi się nie uda, ty przyjdź wieczorem - dodała szeptem.

Obiecał, że zapuka do niej nocą. Uwielbiali rozmawiać i pieścić się przy świetle księżyca.

Umówili się już na następny ranek. Pojedzie swoim autokarem do Moose, skąd Gordon zabierze ją samochodem. Spędzą cały dzień razem. Chciał jej pokazać sto różnych miejsc. Życzyła mu szczęścia i wróciła na trybunę, do swoich przyjaciół.

Stracili ją z oczu w momencie, gdy zeszła z areny i teraz już wiedzieli dlaczego. Zdjęła koszulę i zaplotła włosy.

- Bardzo rozsądnie. Gdzie byłaś? - zapytała ją Mary Stuart, ciekawa, gdzie Tania się podziewała, choć w zasadzie znała odpowiedź.

- W zagrodzie dla koni - powiedziała Tania z teksańska i Mary Stuart roześmiała się.

- Pamiętam czasy, kiedy cały czas tak mówiłaś. Uwielbiałam to.

- Za długo siedziałam w wielkim mieście - powiedziała Tania ciut za głośno. Mimo zmiany stroju coraz więcej ludzi zwracało na nią uwagę. Mary Stuart dała jej swój niebieski kapelusz i Tania ukryła twarz pod nisko nasuniętym rondem.

Oglądali rodeo z zainteresowaniem, ale bez szczególnych emocji do chwili, gdy nadeszła kolej Gordona. Tego dnia ujeżdżał konia bez siodła, co było jeszcze trudniejsze i bardziej niebezpieczne. Tania nie znosiła tego z całej duszy, zwłaszcza teraz, gdy patrzyła jak dzikie zwierze zdolne go stratować, podrzuca Gordona w powietrzu. Wszystko szło dobrze do chwili, gdy koń dosłownie śmignął w górę i całym ciężarem rzucił się na bramę zagrody dla byków. Był gotów na wszystko, byle pozbyć się jeźdźca i udało mu się. Cisnął swojego prześladowcę na bramę, a kiedy Gordon spadł, koń ciągnął go za jedno ramię, do momentu gdy dopadli go pomocnicy. Gordon zszedł z areny zgięty wpół, trzymając się za ramię. Ale w ostatniej chwili odwrócił się i pomachał zdrową ręką. Tania wiedziała, że zrobił to dla niej, żeby się nie martwiła. Chciała pobiec do niego, sprawdzić, czy mu się coś nie stało, wołała jednak nie zwracać na siebie uwagi. Gordon wspiął się ponownie na płot, ale nadal podtrzymywał kontuzjowane ramię. Spiker pogratulował mu znakomitego wyniku.

Otrzymał drugi najlepszy czas w konkurencji. Ale za jaką cenę!

- Jak myślisz, nic mu się nie stało? - Tania nachyliła się do Hartleya.

- Chyba nie. Gdyby było inaczej, wezwaliby przecież karetkę.

Ale z przerażeniem patrzyli na kowbojów, którzy schodząc z areny z wyraźnymi obrażeniami kuśtykali, powłóczyli nogą, bądź podtrzymywali ramię - a po trzech dniach na nią wracali. Spiker pogratulował nawet jakiemuś zawodnikowi, który stawiał się na zawody rodeo, mimo że w środę odniósł poważną kontuzję podczas ujeżdżania byków. W pojęciu Tani nie miało to nic wspólnego z odwagą, było po prostu głupotą. Ale w takim właśnie świecie żyli kowboje. Podczas przerw pięciolatki wybiegały na arenę, żeby zrywać darmowe bilety na niedzielny festyn, przyczepione do ogonów cielaków i byczków. Mary Stuart denerwowała się, że dzieci zostaną stratowane. Ale dla Wyomingczyków wszystko to miało głęboki sens, tak jak walka byków miała sens dla Hiszpanów. Nawet Tani, wychowanej w Teksasie, wydawało się to niebezpieczne i trochę szalone.

- Ten gówniany szpan mnie zabije - powiedziała do Hartleya, kiedy byk zrzucił młodego jeźdźca, po czym wylądował kopytami na jego nerkach. Wezwano karetkę, ale kowboj wyczołgał się z areny na czworakach przy niewielkiej pomocy kolegów. Tłum zegnał go owacjami.

- To gorsze od tego, co ja robię - stwierdziła Tania. Zaniepokojona upadkiem Gordona odczekała jeszcze parę minut, po czym poszła sprawdzić, w jakim jest stanie.

- Jak się czujesz? - zapytała z niepokojem w oczach. Oddała Mary Stuart jej kapelusz, w obawie by go nie ubrudzić albo też nie zgubić. Zdarzało się, że ludzie zrywali jej nakrycie głowy, wrywali torebkę i uciekali. Było to bardzo irytujące i napawało ją lękiem. - Jak twoja ręka?

Była cała opuchnięta i Gordon obłożył ją lodem, ale twierdził, że go nie boli.

- Kłamiesz, ty niepoprawny głuptasie. Gdybym cię teraz złapała za nią, to prawdopodobnie byś mnie uderzył.

- Może nie aż tak, ale mógłbym krzyknąć - zażartował, a ona musiała się roześmiać wbrew woli.

- Wszyscy jesteście szurnięci. Co z tym chłopakiem stratowanym przez byka?

- W porządku. Nie chciał jechać do szpitala. Twardy gość. Przez tydzień będzie sikał krwią, ale jest przyzwyczajony.

- Zamorduję cię, jeżeli nadal będziesz to robił - zawołała. - To mi działa na nerwy.

- Za to ty działasz na moje znakomicie. - Przynął się do niej i poczuła zapach płynu do golenia zmieszany z wonią końskiego potu. W tym momencie zauważył, że kilka osób wpatruje się w Tanie i stanął tak, by ją zasłonić. Była sobota, mnóstwo ludzi, część z nich raczyła się obficie alkoholem. - Masz być ostrożna, kiedy będziesz stąd wychodziła.

Słyszysz?

- Tak jest! - Zasalutowała. Nie przejmowała się zbyt, łudząc się, że jej nie zauważono, że nikt jej nie rozpozna, jeżeli nie nawiąże kontaktu wzrokowego. Gordon jednak lepiej ocenił sytuację.

- Ludzie wiedzą, że tu jesteś, Tan. Powiedz Hartleyowi, żeby policjanci pomogli ci się stąd wydostać. Jest sobota, mnóstwo pijanych ludzi.

- Nic mi nie będzie - zapewniła go. - Zobaczmy się później. - Dotknęła jego policzka i odeszła. Obserwował ją przez resztę zawodów. Nie widział, jak wychodziła, ponieważ rozmawiał z kolegami na temat kowboja, zdyskwalifikowanego przy ujeżdżaniu koni. Mary Stuart z Hartleyem wzięli Tanie między siebie i ruszyli do wyjścia. Ochroniarze obserwowali każdy ich krok, w pobliżu kręciła się policja i Tania nie czuła zagrożenia. Jak zwykle otaczał ją tłum fanów, domagających się autografów, błysnęły flesze, ale wszystko

to wyglądało dość niewinnie. Znajdowali się jakieś pięćdziesiąt metrów od autokaru, kiedy nagle zagroziło im drogę dwóch fotoreporterów. Byli z lokalnej stacji i zasypali ją pytaniami. Chcieli wiedzieć dlaczego zaśpiewała hymn, czy otrzymała za to zapłatę, czy była już kiedyś na rodeo i czy przeprowadzi się na stałe do Jackson Hole. Starła się być uprzejma, ajednocześnie przepchnąć się do autokaru, ale reporterzy blokowali przejście. Policja, zajęta odpieraniem fanów, nie mogła jej w niczym pomóc. Hartley próbował odsunąć paparazzich, ale stali murem, pstrykając zdjęcia, filmując, sypiąc pytaniami. Fani w jednej chwili zorientowali się, gdzie ona jest i rzucili się w tym kierunku. Tom otworzył drzwi autokaru, ale został brutalnie odepchnięty i do środka wdarło się kilkanaście osób. Szukali jej, chwytając, co popadnie, szperając po kątach. Policjanci wyciągnęli pałki, ktoś rozdarł jej koszulkę, ktoś inny pociągnął za włosy, jakiś pijany facet próbował ją pocałować. Wszystko to było zatrważające, ale przez cały czas próbowała przedrzeć się przez mur dziennikarzy. Od Hartleya i Mary Stuart oddzielał ją falujący tłum fanów, którzy chcieli rozedrzeć ją na strzępy. Nie wiedzieli, co robią. Po prostu chcieli ją mieć dla siebie. Policjanci wymachiwali pałkami i wrzeszczeli na kamerzystów. W autokarze było już blisko pięćdziesiąt osób, niektórzy zrywali zasłonki w oknach. Tania zrozumiała, że znalazła się w prawdziwych opałach. Nie miała dokąd uciec, a oni popychali ją, dławili. Wyciągało się ku niej coraz więcej rąk. Nie było ucieczki. Nagle poczuła, że w tali otacza ją czyjeś potężne ramie i unosi, czyjaś pięść sieje przed nią spustoszenie, ale nie wiedziała, do kogo należy. Ktoś na wpół niósł, na wpół ciągnął ją w stronę ciężarówki. Przemknęło jej przez myśl, że została porwana i w tym momencie poznała, że to Gordon. Stracił kapelusz, koszulę miał podartą, a wyraz jego oczu mówił, że zabije każdego, kto ją tknie. Stał między nią a śmiercią. Policjanci zostali daleko w tyle.

- Biegnij, Tan, biegnij! - wołał, ciągnąc ją za sobą. Zobaczywszy co się dzieje, zaparkował ciężarówkę tak blisko tłumy, jak się tylko dało i zostawił włączony silnik. Pogoń została w tyle i przez chwilę słyszeli tylko dudnienie swoich nóg po twardej drodze, potem minęło ich czterech szeryfów na koniach. Gdy dopadli wreszcie ciężarówkę, Gordon wepchnął ją do środka, a sam wskoczył na fotel kierowcy i wystartował, roztrzaskując ludzi. Za nimi tłum kotłował się jeszcze

i trwały regularne zamieszki. Gordon docisnął pedał gazu i gnał przed siebie. Zatrzymał się dopiero, gdy ujechali milę. Oboje dygotali ze zdenerwowania.

- Dziękuję. - powiedziała Tania rozedrganym głosem. To było groźne. Jedno z najgorszych, najniebezpieczniejszych doświadczeń ostatnich lat. Gdyby nie Gordon, nie uszłoby jej to płazem, oboje zdawali sobie z tego sprawę. - Zdaje się, że uratowałeś mi życie. - Walczyła ze łzami. Gordon zaczerpnął głęboko powietrza.

- Tylko mi nie mów, że ujeżdżanie koni jest bardziej niebezpieczne. Wolę już co dzień dosiadać jakiegoś końskiego skurwiela. Co się dzieje z tymi ludźmi?! To są przecież całkiem normalni goście, którzy wybrali się na sobotnie rodeo. Jedno spojrzenie na ciebie wystarczy, żeby im odbiło. Co to jest?!

- Szaleństwo tłumy. Nie wiem. Chcą mieć kawałek ciebie na własność, nawet gdyby oznaczało to konieczność rozerwania cię na sztuki. Wystarczy im cokolwiek: włos, strzępek koszuli, a nawet ucho, palec.

Bolała ją głowa, tyle ludzi ciągnęło ją za włosy, próbując zdobyć choć jeden na pamiątkę. Faktycznie, zakrawało to na obłąd. Uśmiechnęła się żałośnie, ale trudno było dostrzec w tym coś zabawnego. Cierpła na myśl, że pozostawiła Mary Stuart i Hartleya na pastwę tłumy, ale nie mogła im pomóc. Jej obecność tylko pogarszała sytuację.

- To przez tych cholernych fotoreporterów - stwierdził Gordon. Otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie. Powiedziała mu o wyrwanych włosach. To przechodziło ludzkie pojęcie. - Gdyby cię przepuścili, schowałabyś się do autokaru i wszystko byłoby OK. Ale te skurwiele musiały zablokować drogę, żeby zdobyć materiał.

- zdobyli. Lepszy nawet, niż gdybym odpowiedziała na pytanie, ile mi zapłacono za odśpiewanie hymnu.

- Cholera! - zaklął. Widział już nagłówki: TANIA THOMAS WYWOŁUJE ZAMIESZKI W STANIE WYOMING. Zrozumiał, jak łatwo jej życie potrafi się wymknąć spod kontroli. Zastanawiał się, jak ona to znosi. - Czy to jest tego warte, Taniu? - zapytał. Naprawdę nie rozumiał, dlaczego ona to robi.

- Nie wiem. - Wzruszyła ramionami. - Czasem. Taką mam pracę. Kiedyś mówiłam, że odejdę, a nie pozwolę im wygrać. Dlaczego mam pozwolić, by odebrano mi coś, co sprawia mi prawdziwą radość?

- To prawda. Ale powinnaś to przemyśleć. Musisz się w jakiś sposób chronić.

- W domu mam ochronę, druty kolczaste, elektroniczne bramy, kamery, psy -wymieniła jednym tchem, jakby to było normalne.

- Zupełnie jak w więzieniu stanowym! Mam na myśli coś innego, coś, co nie pozwoli ludziom wyrywać ci włosów z głowy za każdym razem, gdy pójdziesz kupić sobie loda. - Był głęboko wstrząśnięty tym, co się wydarzyło. Współczuł jej bardziej, niż mogła przypuszczać. Wszystko to było, jego zdaniem, nieludzkie.

- Mógłbyś podwieźć mnie do jakiegoś telefonu? - poprosiła. Chciała zadzwonić do Toma, uspokoić go, że wszystko w porządku, że nie została porwana przez obcego, lecz przez przyjaciela. Powiedziała Gordonowi, co myślała, gdy ją uniósł tak niespodziewanie w powietrze.

- Biedne dziecko. Chciałem tylko zabrać cię stamtąd jak najszybciej. udało ci się.

Zatrzymał się przed sklepem i nie spuszczał z niej oka, kiedy dzwoniła. Tom odpowiedział po pierwszym sygnale. Hartley, Mary Stuart i policjanci byli tam razem z nim. Wiedzieli, że jeśli tylko jest cała i zdrowa, skontaktuje się z autokarem. Hartley podejrzewał, że to Gordon uprowadził ją z placu boju, ale nie podzielił się z nikim swoimi przypuszczeniami. Policji powiedzieli, że miała przyjaciół na rodeo i kto wie, czy nie uciekła z nimi. Mary Stuart odetchnęła z ulgą usłyszawszy jej głos.

- Wszystko w porządku? - zapytała, roztrzęsiona. To było straszne przeżycie dla nich wszystkich. Uświadomiło jej na nowo, jak trudne jest życie Tani.

- Tak. Wyglądam wprawdzie jak obszarpaniec, ale jestem w jednym kawałku. Trochę wystraszona. Bardzo przepraszam, Stu. Czy Hartley jest na mnie bardzo zły? - Zdawała sobie sprawę, jakie to musiało być nieprzyjemne dla osób towarzyszących. Dużo wcześniej, zanim jeszcze wyszła za Tony'ego, niektórzy faceci nie chcieli zabierać jej nawet do kina, twierdząc, że nie są bokserami.

- Oczywiście, że nie! W każdym razie nie na ciebie. Jest wściekły na tych dziennikarzy. Powiedział, że zadzwoni jutro do właściciela stacji telewizyjnej.

- Powiedz mu, że szkoda fatygi i nerwów. Nie wiem nawet, czy rzeczywiście byli z lokalnej stacji. To nie ma żadnego znaczenia. I tak nic nie zrobią w tej sprawie. W jakim stanie jest autokar?

Mary Stuart rozejrzała się, nadal roztrzęsiona. Fani pokradli popielniczki, poduszki, wytłukli naczynia, zerwali zasłony, ale nie było trwałych szkód.

- Tom mówi, że jest gorzej niż w Santa Fe, ale lepiej niż w Denver i w Las Vegas. Czy to ci się przytrafia systematycznie?

Mary Stuart była przytłoczona. Biedna Tania, co za koszmar.

- Zdarza się - powiedziała Tania potulnie. - Do zobaczenia w domu - dodała, ale Gordon dotknął jej ramienia.

- Nic nie obiecuj - powiedział cicho, oblewając się rumieńcem. W normalnych warunkach zaproponowałby wypad do pubu na drinka, ale nie miał odwagi. Wolał zabrać ją do siebie, by mogli posiedzieć przed kominkiem, porozmawiać. Nie chciał pokazywać się z Tanią w publicznym miejscu. Dostyc już dzisiaj przeszła, chciał zabrać ją do domu i utulić w ramionach. Kto wie, co się jeszcze może wydarzyć? Tania wyczytała prośbę w jego oczach i skinęła z uśmiechem głową.

- Nie martw się o mnie Stu. Jestem w dobrych rękach. Wrócę późno. Mary Stuart wiedziała, że Tania jest z Gordonem.

- A więc do jutra? - zapytała i Tania roześmiała się.

- Któż to wie? Ucałuj ode mnie Zoe i powiedz jej, że miała nosa zostając w domu. I przeproś Hartleya.

- Przestań się kajać. To nam jest przykro z twojego powodu. I podziękuj ode mnie swojemu przyjacielowi. Świetnie się spisał.

- To porządny człowiek. - Uśmiechnęła się do Gordona.

- Też tak myślę. Uwważaj na siebie, Tan. Kochamy cię.

- Ja też was kocham, Stu. Dobranoc. - Odwiesiła słuchawkę i odwróciła się do Gordona.

Otoczył ją ramionami i stali tak w budce telefonicznej, przytuleni do siebie. Potem wsadził ją do samochodu i zawiózł do domu, do małego bungalowu za corralem. Zajechał najciszej jak się dało, wygasił światła i przez chwilę siedzieli w milczeniu. Wieczór był brzemienny w wydarzenia i Tania nie doszła jeszcze do siebie. Jego jazda na dzikim koniu i upadek były niczym w porównaniu z tym, co wydarzyło się potem.

- Wszystko dobrze, Tanny? - zapytał łagodnie.

- Chyba tak. - Znajdowali się ćwierć mili od jej bungalowu, ale nie miała ochoty tam pójść.

- Takie historie zawsze wytrącają mnie z równowagi.

- Wejdiesz?

Zrozumiałby, gdyby wolała wrócić do własnego domu i położyć się do łóżka. On natomiast chciał być z nią i choć zaproszenie jej do domu było ryzykowne, wolał to, niż skradanie się do niej po nocy. Nakryty, w obu przypadkach straciłby pracę, ale już dawno zdecydował, że widywanie Tani jest tego warte.

- Nie rób nic, na co nie masz ochoty, Taniu - powiedział cicho. - Odwiozę cię do domu, jeżeli tego chcesz.

- Chcę wejść - odparła cicho. Chciała zobaczyć, jak mieszka, co lubi. Po prostu chciała być z nim.

- Wydaje mi się, że nikogo nie ma, ale musimy zachowywać się cicho. Wiedziała, że miałyby kłopoty, gdyby ich ktoś zobaczył i to ją niepokoiło. Bungalowy stały jeden obok drugiego, choć jego domek był trochę na uboczu.

- Nie masz nic przeciwko temu? - zapytała z niepokojem. Jego uśmiech chwycił ją za serce.

- Absolutnie nic! - Wysiadł z szoferki i ruszył szybkim krokiem w stronę domu. Tania pospieszyła za nim. Zamknął drzwi, spuścił rolety i dopiero wtedy zapalił światło.

Zaskoczył ją porządek panujący w domu i sympatyczne wnętrze. Bungalow miał miły wystrój w stylu country, kanapy obite sztruksem, a na ścianach mnóstwo fotografii: syna

Gordona, jego rodziców, konia, którego kochał. Dostrzegła czasopisma i książki poukładane starannie w stosiki i całą szafkę wypełnioną płytami. Była zaskoczona ilością własnych, ale Gordon słuchał również innych wykonawców.

Bungalow składał się z saloniku, dużej kuchni z przyległą jadalnią, równie schludną jak reszta domu, choć lodówka okazała się niemal pusta. Było tam masło orzechowe, awokado, dwie cytryny i jeden pomidor, cała bateria butelek piwa i dożywotni zapas ciasteczek Oreo.

- Nieczęsto chyba gotujesz - zaśmiała się.

- Jadam w stołówce dla personelu. - Wysunąwszy szufladę lodówki pokazał, że ma również jajka, bekon, masło i dżem.

- Jestem pod wrażeniem - powiedziała Tania.

Nastawił wodę na kawę. Zaproponował jej whisky lub wino, ale podziękowała. Uważał, że po przejściach na rodeo haust whisky dobrze by jej zrobił. Wychodząc z kuchni, z dzbankiem kawy w ręku, rzuciła okiem na sypialnię. Była mała i umeblowana po spartańsku. Znajdowało się tam łóżko, komoda i wygodny

fotel. Gordon wyjaśnił, że spędza w niej niewiele czasu. Tania była zadowolona, że weszła w jego świat, zobaczyła, jak żyje, czuła się przy tym zupełnie jak u siebie w domu.

- Ten bungalow jest prawie taki duży jak dom, w którym wyrosłem - powiedział z uśmiechem. - Tam były dwie sypialnie. Jedną zajmowali rodzice, drugą ja z pięciorgiem rodzeństwa.

- Mój dom był bardzo podobny. Pewnie mieszkałabym w nim nadal, gdyby nie stypendium muzyczne w Berkeley. Ono zmieniło moje życie. - Na chwilę wróciła myślą do dawnych dni i do dziewczyn, które wtedy poznała.

- Ty też zmieniłaś moje - powiedział miękko. Usiedli na kanapie i otoczył ją ramieniem. Po paru minutach włączył muzykę. Było tak spokojnie, bezpiecznie, że nie wyobrażała sobie, by coś złego mogło się jej przydarzyć w obecności tego mężczyzny. Dawał jej całkowite poczucie bezpieczeństwa. Zaczęli się całować i cała groza i lęk przeżyte tego wieczora poszły w niepamięć. Całowali się bardzo długo, a potem zajął jej w twarz. Nie chciał dopuścić do czegoś, czego ona mogłaby potem żałować. Był gotów odstawić Tanie do jej bungalowu, gdyby tego zapragnęła.

-Tanny?

Jego głos brzmiał miękko w półmroku. Muzyka zdawała się ich usypiać, kiedy powoli, niespiesznie odkrywali swoje ciała w świetle ognia na kominku. - Tanny, chcesz tego? Jesteś pewna?

- Absolutnie - odparła i pocałowała go wkładając w to całe serce, całą duszę. Położył się na kanapie obok niej i wolniutko zdjął z niej podarty podkoszulek. Poraziło go piękno jej ciała. Była jak młoda dziewczyna, opalona, szczupła i długonoga. Leżeli nadzy obok siebie i Gordon uśmiechał się. Nigdy nie był tak szczęśliwy, nigdy bardziej nie kochał kobiety. Otoczyła mu szyję ramionami i poddała się temu, czego pragnął niemal od pierwszego dnia ich znajomości.

Potem poszli do sypialni i Tania zasnęła w jego ramionach, a kiedy obudził się o świcie i ujrzał ją przy sobie, miał wrażenie, że jeszcze śni. Marzenie skończy się rano, ona wróci do Hollywood i zapomni, że kiedykolwiek go znała. Ale Tania otworzyła oczy, popatrzyła w jego twarz i wyznała, że bardzo go kocha.

- Boję się - powiedział w bladym przedświcie. Po raz pierwszy w życiu przyznał się do strachu. - A jeżeli to się nam nie uda? Jeżeli to się skończy? Jeżeli...

- Przestań! Kocham cię. Nigdzie nie odejdę. Jestem zwyczajną dziewczyną z Teksasu. - Roześmiała się i kochali się znowu, a kiedy obudziła się, była dziesiąta. Poszła naga do salonu.

- Boże! - zawołał zdławionym głosem, nie spuszczać z niej wzroku. - Czym sobie na to zasłużyłem? - Usiadł na skraju łóżka z wyrazem takiego zachwytu na twarzy, że musiała się roześmiać. - Spójrz na siebie! Czy to naprawdę sławna Tania Thomas spaceruje nagusieńka po moim salonie, z kubkiem kawy w ręku?

Roześmiali się oboje. Wszystko to było trochę szalone. On, ona, to niezwykle miejsce, w które zabrnęła przypadkiem, a znalazła szczęście, fakt, że ludzie chcieli porwać na strzępy jej ubranie i powyrywać włosy z głowy.

- Ty też wyglądasz niezłe. - Pokazała mu w uśmiechu wszystkie zęby, a potem znów kochali się na podłodze w salonie, na kanapie i ponownie w łóżku. Gordon był rozdarty między pragnieniem spędzenia całego dnia z Tanią w łóżku, a zabranieniem jej w te wszystkie miejsca, które chciał jej pokazać. To była trudna decyzja. W końcu uznał, że będzie najlepiej, jeżeli wyjdą z domu w porze lunchu. O dwunastej wymknęli się niepostrzeżenie. Tania w dzinsach, w starym kapeluszu i koszuli Gordona, którą zawiązała pod biustem na supeł, wyglądała zachwycająco. Nastawiając radio w samochodzie, Gordon kiwał głową z podziwu nad swoim szczęściem.

Po drodze zajechali do jej bungalowu, gdzie zostawiła wiadomość przyjaciółkom. Zamierzała spędzić cały dzień z Gordonem.

Pojechali do wodospadu, a potem wysoko w góry. Widok stamtąd był niewiarygodny. Poszli na długi, długi spacer i Gordon opowiedział jej o swoim dzieciństwie, rodzinie i swoich marzeniach, a w drodze powrotnej do miasta zatrzymał się na starym ranczo. Twierdził, że kiedyś należało do najlepiej prowadzonych w okolicy, ale właściciel zmarł i farma podupadła. Nie jest dostatecznie elegancka dla ludzi, którzy przyjeżdżają teraz do Jackson Hole. Oglądało ją parę gwiazd filmowych i jakiś Niemiec. Gordon znał warunki. Cena nie była nawet wygórowana, ale farma wymagała wkładu pracy i większość ewentualnych kupców uważała, że jest za bardzo oddalona od miasta i zbyt staroświecka. Tania kojarzyła się ze starymi filmami kowbojskimi. Obeszli budynek zaglądając w okna. Dom był obszerny, a za podwórzem znajdowały się cztery przyzwoite bungalowy dla pracowników. Była tam też zrujnowana stajnia i wielka stodoła, również wymagająca napraw, ale w sumie farma miała swoisty urok i nic dziwnego, że fascynowała Gordona.

- Któregoś dnia kupię takie ranczo - powiedział, patrząc na góry. Z miejsca, gdzie stali, widać było całą dolinę.

- Co byś z nim robił?

- Doprowadziłbym do porządku. Może hodowałbym konie. To niezły interes, tylko trzeba mieć forszę na rozruch. - Nie mógł przeboleć, że farma stoi pusta. Uważał, że nikt się na niej nie poznał i Tania przyznała mu rację. Podobał jej się prymityw otoczenia i mogła sobie z łatwością wyobrazić, że spędza tu zimę.

- Można tu zimą dojechać? - zapytała.

- Jasne. Droga jest dobra. Wystarczy pług śnieżny. Trzeba by wysyłać konie na południe, ale nie wszystkie. Mogą zimować w ogrzewanej stodole.

Roześmiała się, zrozumiałwszy, że robi plany na farmie, która do niego nie należy, ale Tania była zadowolona, że podzielił się z nią swoim marzeniem.

Pojeździli jeszcze trochę po okolicy, a potem Gordon zabrał ją na obiad do starej restauracji pół godziny drogi od miasta, odwiedzanej głównie przez starych kowbojów. Znał

wytworniejsze miejsca, ale bał się, że gdziekolwiek pójdą, Tania zostanie rozpoznana i wybuchną kolejne zamieszki. Tani spodobała się ta śmieszna gospoda. Po obiedzie wrócili do bungalowu Gordona, usiedli w saloniku i posłuchali muzyki. A potem, dla zabawy, włączył swoją ulubioną płytę z jej nagraniami i Tania śpiewała. Wyznał, że jego zdaniem, to wszystko jest tylko snem.

- To nie żaden sen - powiedziała, rozpinając mu koszulę.

- Właśnie, że tak. To czysta fantazja, spójrz tylko, o czym marzę... Słucham Tani, a ona mnie rozbiera...

- Wcale tego nie robi - zaprzeczyła. - Ty też jej teraz nie rozbierasz - powiedziała, kiedy ściągnął jej koszulę. Śmiali się, rozbrykani niczym dzieci i Gordon wciąż nie mógł się dość nadziwić, jak bardzo ją kocha i jak bardzo Tania go podnieca. Chwilę później byli już znów w sypialni i nie spojrzeli na zegar aż do wieczora.

- Może powinnam się tu przeprowadzić? - zauważyła sennie, głębokim, zmysłowym głosem, który doprowadzał go do szaleństwa. Uśmiechnął się na myśl, co ona z nim wyprawia i jak bardzo on to lubi.

- Jestem pewien, że pani Collins chętnie pomoże nam w przeprowadzce. Powiem jej po prostu, że zaproponowałem ci swoją chatę na resztę tygodnia.

- Albo mógłbyś wprowadzić się do nas...

- Świetny pomysł - przystał z zapalem, a ona znów zaczęła się z nim kochać.

- O, Boże... Tanny... jak dobrze...

O świcie wstała, żeby wrócić do siebie, zanim przebudzi się ranczo. Nie chciało jej się od niego odchodzić.

Wzięli jeszcze razem prysznic w malutkiej kabinie, co o mały włos nie rozpoczęło wszystkiego od nowa.

- Nie chcę, żebyś wychodziła - powiedział ze smutkiem, patrząc jak się ubiera.

- Co ja tu będę sam robił, kiedy ty odejdziesz? - Wyglądał jak zagubione dziecko i Tania uśmiechnęła się do niego. Bardzo pragnęła z nim zostać. Wiedziała, że Gordon ma na myśli przyszlą niedzielę, kiedy ona wyjedzie do Los Angeles toczyć swoje bitwy.

- Dlaczego nie mógłbyś pojechać ze mną? - Wiedziała, że to wariacki pomysł, ale ona również drętwiała na myśl o rozstaniu. Gordon jednak wykazał więcej rozsądku.

- I jak długo by to trwało? Co bym tam robił? Odbierał telefony? Wnosił kwiaty?

Odpisywał na listy? Był twoim ochroniarzem? Bardzo prędko bym ci obrzydł i sobie też. Nie, Tanny - powiedział ze smutkiem - nie przynależę do tamtego świata.

- Ja również nie - powiedziała z nieszczęśliwą miną, nie wiedząc, jak rozwiązać problem.

- Ale to twoje życie, nie moje. Znienawidziłabyś mnie w bardzo niedługim czasie. - Był przewidujący i mądry. Dokładnie to właśnie przytrafiło się Bobby'emu Joe. Zanim wrócił do Teksasu, zdążył ją naprawdę znienawidzić.

- Więc co się z nami stanie? - zapytała niemal w panice.

- Nie wiem. Ty mi to powiedz. Mógłbym przyjeżdżać do ciebie co jakiś czas, tak długo, jak oboje to wytrzymamy. Ty mogłabyś przyjeżdżać tutaj. Mogłabyś też kupić tu sobie jakiś dom, wyszłoby ci to tylko na dobre. Miałabyś gdzie dochodzić do siebie po takim szoku jak wczoraj. Mogłabyś tu mieszkać przez część

roku, Tan... Ja będę tu zawsze na ciebie czekał. Gdybym miał tu z tobą jakieś życie, mógłbym też czasem przyjeżdżać do L.A. Zrobię wszystko, co tylko zechcesz: zostanę, wyjadę, zniknę, będę czekał, nie chce tylko jednego - przeprowadzić się na stałe do L.A. i patrzeć jak zaczynasz mnie nienawidzić.



- Wiesz, że to się nigdy nie stanie. - Bobby'ego Joe również nie znienawidziła.
- Sam bym się znienawidził. Wróc tutaj - powiedział, biorąc ją w ramiona, tuląc tak mocno, że straciła oddech. - Zostanę tu i będę na ciebie czekał. Zawsze.
- A przyjedziesz czasem do L. A.? - Ona również się bała. A jeżeli nigdy go już nie zobaczy? A jeżeli on o niej zapomni, jak tylko zejdzie mu z oczu? Przeprowadzi się do innego miasta, na inną farmę? Znajdzie sobie inną dziewczynę? Była nie mniej przerażona od niego.
- Oczywiście, że przyjadę, jeżeli to będzie tylko wizyta. A co byś powiedziała na zamieszkanie tutaj, przynajmniej przez jakiś czas w roku?
- Nigdy o tym nie myślałam - przyznała szczerze. - Ale pomysł wydaje się niezły.
- Jest świetny.
- Jeżeli kupię ranczo, poprowadzisz je dla mnie?
- Pewnie! Ale nie pozwolę, żebyś była moim pracodawcą.
- Jak mam to rozumieć? - Spojrzała na niego z niepokojem.
- Nie chcę, żebyś mi płaciła - powiedział cicho, ale po wyrazie jego oczu poznała, że mówi serio.
- Więc z czego będziesz żył? - Martwiła się o niego i chciała to z nim omówić. Musiał przecież istnieć jakiś sposób.
- Mam trochę oszczędności. Nie pracowałem przez te wszystkie lata za darmo. Mógłbym kupić konie i je hodować, mógłbym też dalej pracować tutaj, na ranczo. To się da załatwić.
- Był już spokojniejszy. Tak bardzo ją kochał i wiedział, że zrobi dla niej wszystko, jak długo będą na równych prawach, jak długo nie poczuje się w roli jej pracownika. Ale Tani spodobał się pomysł nabycia własnego ranczo.
- Nie chcę cię opuszczać - powtórzyła. Wiedział, że nie chodzi jej o dzisiejszy ranek.
- Więc nie rób tego - powiedział zdławionym głosem. Pragnął jej znowu. Jego związki z kobietami nigdy dotąd nie miały takiego natężenia. Tania zawładnęła całkowicie jego uczuciami, zaś fizycznie doprowadzała go do szaleństwa. -Nie odchodź.
- Muszę. Mam już ustalony program na przyszły tydzień, wychodzi nowa płyta. - Przypomniała sobie o turze koncertowej, na którą zgodziła się pojechać. Ubierając się, powiedziała o tym Gordonowi. Słuchał jej uważnie. - Może pojechałbyś ze mną? Byłoby to równoważne z wystawieniem go na cel dla prasy, ale i tak prędzej czy później i tak musiało to nastąpić. Musieli się na to przygotować.
- Pojadę, jeżeli tego chcesz. - Pod pewnymi względami pomysł przypadł mu nawet do gustu, pod innymi - zupełnie nie. Chciał być z nią, chronić ją przed obrzydliwą stroną jej życia. Ale myślał, że stanie się tym samym częścią tej maszyny trochę go przerażała. Wiedział jedno, że jeżeli chce z nią być, musi przejąć na siebie przynajmniej część jej obciążeń. Nie mógł oczekiwać, że Tania spędzi resztę życia ukrywając się z nim w stanie Wyoming. - Pojadę - powtórzył zdecydowanym głosem. - Jeszcze nie wiem, co zrobimy, Tan. Twoje życie jest takie skomplikowane, ale może coś wymyślimy. A potem zadał jej dziwne pytanie.
- Co będzie z dziećmi? Jak to się stało, że nie masz dzieci? - Zastanawiało go to od chwili, gdy się bliżej poznali. Dziwił go fakt, że ktoś tak serdeczny i ciepły nie ma własnych dzieci.
- Jakoś nigdy nie znalazłam na to czasu. Zawsze byłam zameżna z niewłaściwym mężczyzną. Menedżerowie i agenci siedzieli mi bez przerwy na głowie, przynaglając do tego czy owego. Czy masz pojęcie, jaka byłaby afera, gdybym zaszła w ciążę?

Skinął głową. Było to dla niego całkowicie zrozumiałe, mimo to bardzo jej współczuł. Uważał, że byłaby wspaniałą matką.

- A teraz nie chciałabyś? - zapytał, patrząc na nią z uwagą. Wydawała się przestraszona pytaniem.

- Sama nie wiem - odpowiedziała szczerze. - Chciałam bardzo parę lat temu. -Próbowała wtedy namówić Tony'ego, ale on nie chciał mieć więcej dzieci, twierdził, że sprawiają zbyt wiele kłopotu. - Lekarz uważa, że w moim wieku mogłoby to być dość ryzykowne. - Ale pytanie Gordona dało jej do myślenia i ku własnemu zdziwieniu odkryła, że pomysł jej się spodobał. Roześmiała się. Gordon rzeczywiście wywracał jej życie do góry nogami. Próbował namówić ją na przeprowadzkę do Wyoming, kupno rancza i urodzenie dziecka. Powiedziała mu to rozbawiona, i on również się roześmiał. - To się nazywa zmiana stylu życia. Czuję się jak Heidi. - Popatrzyła na niego poważnie. - Nie jestem pewna, czy chcę dziecka. Czy miałoby to dla ciebie znaczenie, gdybym nie chciała?

- To zależy tylko od ciebie. - Pochylił się, żeby ją pocałować i znów próbował ją rozbierać, ale oboje zdawali sobie sprawę, że Tania musi natychmiast wyjść, zanim przebudzi się ranczo i ludzie ruszą do pracy. - Pomyślałem po prostu, że byłoby cudownie mieć z tobą dziecko. - Nie czuł się tak od lat. I chyba nigdy.

Tania powiedziała mu o dziecku Zoe. Zapytała, co sądzi o zaadoptowaniu Jadę. Już wcześniej chciała mu zadać to pytanie, ale jakoś nie było po temu okazji. Gordon nie widział problemu. Decyzja należała do Tani.

Oderwanie się od niego wymagało całej siły woli, ale przemogła się w końcu a Gordon, już w dzinsach, bosy, trzymał ją w ramionach jakby nie zamierzał jej wypuścić nawet na minutę. Była szósta. Za trzy godziny mieli wyruszyć na poranną jazdę, ale ten czas bez siebie wydawał im się wiecznością.

- Jeśli trudno mi zostawić cię nawet na parę godzin - powiedziała patrząc na niego szeroko otwartymi oczami - to jak będzie z moim wyjazdem w niedzielę?

- Nie wiem, kochanie. - Z przymkniętymi oczyma tulił ją w ramionach. -Musisz już iść. - Spojrzał na zegarek. Za parę minut kowboje zaczną wychodzić do corralu, a inni pracownicy na śniadanie. - Przyjdiesz wieczorem? - zapytał z niepokojem. Tania uśmiechnęła się przekornie.

- A jak myślisz? - Pocałowała go na pożegnanie, pomachała mu ręką i już jej nie było. Szła szybko drogą w bladym świetle poranka. Pierwsze promienie słońca lizały szczyty gór. Idąc rozmyślała o Gordonie, o tym, co razem przeżyli. Był ideałem mężczyzny, jakiego nie spodziewała się w życiu spotkać, a on tymczasem czekał na nią w Moose, w stanie Wyoming. Miała wiele do przemyślenia, mnóstwo decyzji do podjęcia. Jedno wiedziała na pewno. W ciągu tygodnia pewien kowboj z Teksasu nieodwracalnie zmienił jej życie.

## Rozdział dziewiętnasty

W poniedziałek rano, kiedy Tania wstała, Zoe popijała już kawę. Czowała się znakomicie, o wiele silniejsza niż przed przyjazdem do Wyoming. Podniosła na Tanie wzrok znad kubka i pogroziła jej palcem.

- Co ty kombinujesz? Niech zgadnę... Ach, oczywiście! Znów ta nieszczęsna „pielgrzymka”!

Było to kłamstwo, jakim posłużyła się swego czasu chcąc wytłumaczyć rodzicom Tani powód dwudniowego zniknięcia przyjaciółki, która wybrała się na wycieczkę z chłopakiem.

- Skąd wiesz? - zaśmiała się Tania, uśmiechnięta od ucha do ucha. Radością napawały ją nie tylko uroczyste trzydzieści sześć godzin spędzone z Gordonem, ale przede wszystkim miłość, jaką w sobie odkryła.

- Czy to oznacza, że porzucasz Hollywood i przeprowadzasz się do stanu Wyoming?

- Na razie jeszcze nie - powiedziała Tania, nalewając sobie kawy.

- Czy to tylko przelotny romans, czy też mamy się spodziewać dzwoniów weselnych?

Po tygodniu znajomości byłaby to może odrobinę pochopna decyzja, ale ranczo zdawało się wywierać niezwykle wpływ na pary, które się tu poznawały.

- Myślę, że trochę za wcześnie o tym mówić - odparła Tania poważniejąc. - Gordon jest dojrzalszy od Bobby'ego Joe. No i o wiele starszy. Twierdzi, że za żadne skarby nie przeprowadziłby się na stałe do Los Angeles. Gotów jest natomiast przyjeżdżać do mnie od czasu do czasu w odwiedziny.

- I bardzo dobrze - przyznała Zoe. - Los Angeles pożarłoby go na surowo w pięć minut. Cieszę się, że wykazuje tyle rozsądku. Nie chcę przez to powiedzieć, że nie dałby sobie rady. Uważam po prostu, że takie życie byłoby nie dla niego.

- On doskonale o tym wie. Miał przedsmak wczoraj wieczorem. Zdaje się, że to go ostatecznie zniechęciło.

Zoe ze zrozumieniem skinęła głową.

- Mary Stuart wszystko mi opowiedziała. Tom dzwonił wczoraj. Kazał ci przekazać, że doprowadził autokar do porządku. Naprawił albo wymienił wszystko, z wyjątkiem zasłon.

- Możesz w to uwierzyć? - zapytała Tania z niesmakiem, w chwili, gdy zaspana Mary Stuart weszła do kuchni.

- Uwierzyć w co? Cześć, Tania! Jak twoje życie erotyczne?

- Ciekawość pierwszy stopień do piekła - roześmiała się Tania. To było wspaniałe, że znów są razem i mogą w ten sposób rozmawiać.

- Więc jaki on jest? - dopytywała się Mary Stuart, nie zrażona.

- Przestaniez, czy nie?! - Tania rzuciła w nią poduszką, a Mary Stuart zachichotała.

Chciała poznać wszystkie szczegóły.

- Posłuchaj, od roku nie spałam z mężem, a teraz chodzę z facetem, który uważa, że nie powinniśmy tego robić, dopóki nie zdecyduję, czy się rozwodzę. Co mi zatem pozostaje innego, jak wyżywać się poprzez moich przyjaciół? - Tu zwróciła się do Zoe: - Pamiętaj, ciebie też to dotyczy. Po twoim powrocie do San Francisco chcę wiedzieć o każdym posunięciu Sama.

- Mam nadzieję, że do tego czasu będziesz miała własne życie erotyczne - odcięła się Zoe. Roześmiały się wszystkie trzy.

- Boże! Aleśmy się urządziły! - Mary Stuart trzęsła nad nimi głową, jej przyjaciółki nie miały prawa się uskarżać. Wiodły dobre, choć bardzo trudne życie. Przypadły im w udziale wielkie osiągnięcia, ale i wielkie cierpienia. Płaciły wysoką cenę, ale wiedziały, że warto. Każda z nich musiała w pewnym sensie przeskoczyć przez ogień, by dostać to, co chciała.

- W zasadzie uważam, że wszystkie trzy jesteście wspaniałe - powiedziała Tania, spoglądając z dumą na swoje najlepsze przyjaciółki. - Bardzo was kocham. Mówię na wypadek, gdybyście chciały to usłyszeć.

- Aha! Typowy syndrom pokopulacyjny - przyplływ uczuć do ludzkości - stwierdziła Mary Stuart i Tania wycelowała w nią drugą poduszką.

- Jesteście doprawdy obrzydliwe - powiedziała ze śmiechem. Potem spoważniała, chcąc podzielić się z nimi choć w części rozpierając ją radością. - Jestem w nim zakochana - obwieściła przenosząc wzrok z Zoe na Mary Stuart.
  - Bez jaj! Same też na to wpadłyśmy.
  - Nie mówię, że mam na niego ochotę, mówię, że go kocham. - Ucichły obie i patrzyły na nią uważnie. Mary Stuart odezwała się pierwsza.
  - Twoje życie jest już dostatecznie skomplikowane, Tan. Postaraj się raczej poukładać, zamiast spiętrzać problemy. Upewnij się wpięrc, czy on potrafi to znieść, zanim razem skoczycie z urwiska.
  - Zrobię to - obiecała Tania, choć wyczuwała, że i Gordon zachowywał większą ostrożność.
  - Gordon boi się tego wszystkiego jak ognia. Jest bardzo rozważny.
  - To dobrze. Cieszę się. - Mary Stuart zwierzyła się przyjaciółkom, jaki plan ułożyli z Hartleyem. - Wkrótce pojedę do Londynu.
  - Wracasz do Billa? - Tania spojrzała na nią z niedowierzaniem, zastanawiając się, co też mogło się wydarzyć podczas jej nieobecności.
  - Nie. Jadę, żeby z nim porozmawiać. Zamierzałam poczekać z tym do końca lata, ale uznałam, że nie ma sensu. Wylatując z Nowego Jorku wiedziałam już, czego chcę.
  - Jesteś tego pewna? - zapytała Tania cicho. Tak się złożyło, że wszystkie trzy podejmowały ważne życiowe decyzje.
  - Całkowicie.
  - Czy Bili wie, że przyjedziesz?
- Mary Stuart zaprzeczyła ruchem głowy. - Pomyślałam, że zadzwonię do niego za parę dni.
- A jeżeli on powie, żebyś nie przyjeżdżała?
  - Nie dam mu wyboru. Tamte czasy minęły bezpowrotnie - odparła po prostu.
  - Amen! - powiedziała Zoe, zawsze najbardziej niezależna duchem z całej trójki.
  - A co u Sama? - zapytała Tania, kiedy rozchodziły się do swoich sypialni, żeby się ubrać.
  - Stan bez zmian, nadal trwa w obłędzie - stwierdziła z pobłażliwym uśmiechem Zoe.
- Powiedziała im też, że po południu wybiera się w odwiedzinach do pacjentów doktora Johna Kronera.
- Myślałam, że jesteś na wakacjach - zauważyła Mary Stuart z przekąsem.
  - To drobnostka. Zrobię to z przyjemnością.
  - Kiedy się wybierasz?
  - Pomyślałam, że pojeżdżę trochę z wami, potem zjemy razem lunch i pojedę do miasta.
- Charlotte Collins obiecała, że ktoś mnie podrzuci.
- Zabiorę cię autokarem, bo wybieram się do miasta na zakupy. - Tania zaproponowała Mary Stuart, żeby pojechała z nią, ale przyjaciółka wołała zostać z Hartleyem.
- Niecałą godzinę później wystrojone, odświeżone i po śniadaniu, stały się w stajniach. Gordon nie krył rozczarowania na wieść o popołudniowych planach Tani. Powiedziała, że musi pojechać z Zoe do miasta.
- A przyjdiesz do mnie wieczorem? - zapytał, kiedy wysforowali się do przodu. Miał przy tym minę nadęsanego chłopca.
  - Jeżeli mnie tylko wpuścisz... - Wymienili spojrzenia, warte miliony na rynku prasowym.
  - Kocham cię - wyszeptał, ona odpowiedziała mu tym samym i pokłusowali przez łąki w idealnej harmonii, jakby przez te półtora dnia ich dusze zlały się w jedno. Tania czuła, że przynależy do niego, zaś Gordon poszedłby za nią na koniec świata, wszędzie byle nie do Los Angeles.

- Obiecuję ci już dziś, że przyjadę do ciebie z wizytą.
- Kiedy? - dopytywała się, choć wiedziała, jak bardzo będzie zajęta przez następny miesiąc. Gordon tłumaczył jej, że aż do końca sierpnia nie może urwać się z rancza na dłużej niż jeden dzień.
- Powiedz mi, kiedy ty będziesz mogła tu wrócić? - zapytał, zdając sobie sprawę, że jest to bardziej realne. Ale okazało się, że ona również była uwiązana. Zrobiła w myślach przegląd czekających ją spraw i doszła do wniosku, że mogłaby wykroić wolny tydzień na początku sierpnia.
- Za trzy tygodnie - powiedziała, a Gordon skinął tylko głową, ponieważ właśnie w tym momencie dołączył do nich Hartley. Para lekarzy z Chicago wyjechała już poprzedniego dnia, podobnie Benjamin i jego rodzice.
- To cała wieczność! - zdążył jej jeszcze szepnąć niemal niedosłyszalnie. Ona miała podobne odczucie, ale chwilowo nie było na to rady. We wrześniu szykowało się. znowu parę. dni wolnego, mógłby wrócić z nią do Los Angeles. Kto wie, czy jesień nie okaże się mimo wszystko interesująca.
- Pięknie dzisiaj, prawda? - zagadnął Hartley, spoglądając na niebo przypominające barwą ceramikę Wedgwooda. Gordon i Tania wymienili uśmiechy. Jeździli do południa, po czym wrócili na lunch. Gordon nie dołączył do nich, bo jego klacz zgubiła podkowę, miał również trochę papierkowej roboty. Poprzedniego dnia zjechali nowi goście i choć nie musiał im towarzyszyć - był przecież opiekunem grupy Tani - do jego obowiązków należało upewnić się, czy są zadowoleni z obsługi i z przydzielonych im wierzchowców. Okazało się, że podczas nauki galopu dwie panie spadły z konia, a klacz zwichnęła nogę i trzeba było odwieźć ją do weterynarza. Tania podrzuciła Zoe do szpitala, gdzie już czekał na nią John Kroner, i pojechała załatwić swoje sprawy. Spotkanie, umówione tego ranka, przebiegło po jej myśli, wszystko zostało załatwione i miała jeszcze dość czasu, by porobić zakupy. Kupiła parę turkusowych kowbojskich butów, podjechała potem po Zoe i wróciły na ranczo w sam raz na kolację. Zoe była zmęczona, ale bardzo zadowolona. Opadła z ulgą na kanapkę naprzeciwko Tani.
- No, jak było? - zapytała Tania z ciepłym uśmiechem.
- Interesująco. Ma paru miłych pacjentów. - Byli tak wdzięczni, że do nich przyjechała. Czowała się zażenowana, a personel miał do niej wręcz bałwochwalczy stosunek. Szczerze polubiła Johna Kronera. Poprosiła, by wpadł do nich któregoś dnia na kolację, razem ze swoim przyjacielem. Przyjaciół był radiologiem, który przeprowadził się do Jackson Hole z Denver. Obaj byli bardzo sympatyczni i okazywali Zoe szczególne względy. - Naprawdę go lubię.
- Czyżby rywal Sama? - Tania uniosła pytająco brwi. - Czy nie jest dla nas przypadkiem za młody? - podkpiwała z przyjaciółki, a Zoe roześmiała się serdecznie z jej domysłów.
- Głupia, on jest homo, nie zauważyłaś?
- Prawdę mówiąc, nie. - Tania popatrzyła na nią w zamyśleniu. - No, cóż, masz już swojego Sama. Czego chcesz więcej? - Była w świetnym nastroju i Zoe podśmiewała się z niej w drodze powrotnej na ranczo.
- Jesteś beznadziejnym przypadkiem i nic ci już nie pomoże. Co porabiałaś dzisiaj?
- Zakupy. - Sklepy były wspaniale zaopatrzone i podczas ostatniego wypadu wszystkie trzy kupiły sobie zamszowe stroje, skórzane kurtki i kowbojskie buty. - Dostałam, wyobraź sobie, turkusowe buty kowbojskie!
- Jestem pewna, że zrobią furorę w Spago. Jesteś tu już za długo, Taniu. Coś

podobnego przytrafiło mi się kiedyś w Aspen. Kupiłam tam różowe buty do kostek, uznawszy, że będą się znakomicie nadawały na dyżury w szpitalu. Nadal mam je, nowiutkie, nigdy nie noszone, w głębiach swojej szafy.

Droga na ranczo minęła im błyskawicznie, a w bungalowie zastały Mary Stuart na cichej pogawędce z Hartleyem. Tym dwojgu nigdy nie brakło tematu do rozmowy. Obie panie zorientowały się natychmiast, że ich wejście przerwało czułą scenę. Widząc kpiąco uniesioną brew Tani, Mary Stuart zaczerwieniła się niczym nastolatka przyłapana z chłopakiem na kanapie. Poszła za przyjaciółką do kuchni.

- Przestań natychmiast! - zażądała.

- A co ja takiego zrobiłam? - Tania zamruwała niewinnie powiekami. Zachowywały się jak młode dziewczyny i to było wspaniałe uczucie. Przynosiło błogosławioną odmianę po życiowych wstrząsach, samobójstwach, rozwodach, AIDS i brukowcach. Odrobina humoru, zabawy i romansu była mieszanką zupełnie nieszkodliwą, a działała wręcz uzdrawiająco.

- Co robimy dzisiaj? - zapytała Zoe sadowiac się na kanapie, zmęczona pracowitym popołudniem, podekscytowana dyskusją z Kronerem. - Lekcje tanga? Taniec grzechotników? Czy wieczór zapowiada się obiecująco?

Ranczo zapewniało swoim gościom bogaty program rozrywkowy, ale one nie zawsze brały udział w zbiorowych zabawach, głównie z uwagi na konieczność chronienia Tani.

- Zdaje się, że w planie jest zwykła kolacja - wyjaśniła Mary Stuart, po czym zerknęła na Tanie. Teraz miała okazję zrewanżować się przyjaciółce za jej niedawne kpiny. - Czy zje ją pani dzisiaj z nami, panno Thomas?

- Oczywiście - odparła Tania niewinnie. - Dlaczego pytasz?

- Czy mam ci odpowiedzieć na to pytanie? - Mary Stuart uśmiechała się szelmowsko.

- Daruj to sobie. - Po kolacji zamierzała pójść do Gordona, ale one jeszcze o tym nie wiedziały.

Kolację zjedli we czwórkę, w bardzo miłym nastroju. Zoe wkrótce poszła się położyć, Mary Stuart wybrała się z Hartleyem do kina, a Tania założyła swoje ulubione żółte kowbojskie buty, i w dżinsach i wielkim, białym swetrze wyruszyła drogą do corralu. W pewnej chwili wydawało jej się, że czuje dym w powietrzu. Widocznie ktoś urządzał barbecue.

Założyła kowbojski kapelusz, żeby lepiej ukryć twarz, a stanawszy pod drzwiami bungalowu Gordona zapukała tylko raz i weszła, nie czekając na zaproszenie. Nie zamierzała sterczeć w progu. Gordon siedział na kanapie, patrzył w telewizor i czekał na nią.

- Dlaczego tak późno? - zapytał z wyrzutem. Wyglądał jak dzieciak czekający na przybycie świętego Mikołaja. Tania zaśmiała się cicho i zamknęła za sobą drzwi. Gordon już wcześniej opuścił rolety i zasunął kotary.

- Dlaczego tak późno? - powtórzyła. - Kolacja była o siódmej, a teraz jest pięć po ósmej. Wydaje mi się, że to niezły wynik. Prawie tu biegłam.

- Widocznie jadłaś za długo - powiedział z szerokim uśmiechem. Podniósł się by ją pocałować i w chwilę później stali już nadzy naprzeciwko siebie. Nie dotarli nawet do sypialni, kochali się na kanapie w salonie, przed telewizorem, obojętni na komunikaty spikera. Dopiero później, kiedy przytuleni do siebie leżeli, rozmawiając cicho, do Gordona dotarło, że w dzienniku mówią o pożarze na Shadow Mountain. Usiadł gwałtownie.

- Czy to gdzieś blisko? - zapytała, widząc jego reakcję.

- Tuż nad nami. - Słuchał w napięciu komunikatu, a ona przypomniała sobie zapach dymu, jaki wyczuła w drodze do jego domku.

Spiker informował, że pożar objął niewielki teren, ale w skutek nasilenia się wiatru, ogień zaczyna się rozszerzać i ochrona parku jest zaniepokojona. Przypomniał pożar w Yellowstone przed paroma laty, który strawił hektary starego lasu.

- Mogą nas w każdej chwili wezwać - powiedział Gordon półgłosem, spoglądając na Tanie. Niepokoił się o ranczo i o konie.

- Wolałbyś, żebym tu dzisiaj nie nocowała? - Zrozumiałaby go, gdyby poprosił, żeby wróciła do siebie. Potrząsnęła głową.

- Nie widzę powodu. - Uśmiechnął się. - Nikt nie musi wiedzieć, że tu jesteś. Nie zarządzają przecież ewakuacji rancza, chyba, żeby zrobiła się z tego prawdziwa klęska żywiołowa. - Wyszedł na chwilę przed dom, żeby popatrzeć na niebo. Dostrzegł trochę dymu, ale nie było łuny i uspokoił się. Kiedy wrócił do bungalowu, był bardziej zainteresowany Tanią niż ogniem na Shadow Mountain.

Zagrał dla niej na starej gitarze kilka swoich ulubionych piosenek, a ona śpiewała cicho, żeby ich nikt nie usłyszał. Sprawiało jej to prawdziwą przyjemność. Gordon uśmiechał się radośnie i dotknął delikatnie jej twarzy otwartą dłonią.

- To zupełnie jak śpiewanie z radiem.

Około północy zjedli kanapki. Gordon zrobił zakupy po popołudniowej jeździe z Hartleyem i Mary Stuart.

- Bardzo ich lubię. Jest coś między nimi, prawda? - Zauważył to od pierwszego wieczora. - Czy ona jest rozwódką?

- Wkrótce będzie. Odchodzi od męża. Zdaje się, że w przyszłym tygodniu wybiera się do Londynu, żeby mu o tym powiedzieć.

- To on jest Anglikiem? - Interesowali go jej przyjaciele, wszystko, co jej dotyczyło.

- Nie, pracuje tam tylko chwilowo.

- Dlaczego ona od niego odchodzi? - pytał dalej. Siedzieli teraz przy kuchennym stole.

Tania westchnęła ciężko na myśl o przejściach przyjaciółki.

- W zeszłym roku jej syn popełnił samobójstwo. Nie znam szczegółów, ale zdaje się, że mąż ją o to obwinia. Nie zrobiła nic, co mogłoby uzasadnić podobne oskarżenie. Myślę, że Bili po prostu wyżywa się na niej z braku kozła ofiarnego. Ich małżeństwo się rozpadło po śmierci Todda.

- Może nie trzymało się zbyt mocno?

- Może. - Miała na to swój własny pogląd. - Chociaż zawsze wydawało mi się, że są ze sobą scementowani. Myślę, że to był zbyt potężny cios. Mąż za bardzo ją zranił i ona nie może mu tego zapomnieć. To już skończone.

- Myślisz, że zjedzą się z panem Bowmanem?

- Mam taką nadzieję.. - Tania z uśmiechem położyła dłoń na ramieniu Gordona. - A co będzie z nami? Czy my się zjedziemy?

- Chciałabym, żeby tak było! - powiedział przechylając się ku niej. - Jeżeli będziesz próbowała się wykręcić, przygalopuję do Los Angeles na dzikim koniu i cię uprowadzę. Wizja była cudowna i Tania roześmiała się uszczęśliwiona.

- Obiecałeś mi, że rzucisz ujeżdżanie.

- Ale dopiero, jak cię uprowadzę.

Stała w kuchni prawie naga, tylko w jego koszuli i zmywała naczynia. Dałby wiele, by móc utrwalić ją taką na fotografii, ale wiedział, że i bez tego zapamięta każdy szczegół tej sceny.

Tania miała tak naturalny sposób bycia, że nie mógł się temu nadziwić. Była rzeczywiście zwyczajną dziewczyną z Teksasu, choć na to nie wyglądała, i niewiele osób dałoby temu wiarę.

- Zbijasz mnie z nóg. - Stał za nią i objął w talii, opierając podbródek o jej ramię. - Kiedy wyjedziesz, dojdę do wniosku, że miałem przywidzenia.

Myśl o tym, że w przyszłym tygodniu już jej tu nie będzie, napelniała Tanie smutkiem.

- Zadzwoń do mnie?

- Spróbuję - odparł, a ona odstawiła naczynia i odwróciła się do niego twarzą.

- Co to znaczy? Zadzwoń czy nie? - Była zaniepokojona.

- Oczywiście, że zadzwonię. Choć przyznam, że nie lubię rozmawiać przez telefon. Nie najlepiej mi to wychodzi. Ale zadzwonię. - Nie miał aparatu w domu, a nie chciał rozmawiać z nią z recepcji. Będzie musiał pojechać do marketu -Eleven. Fakt, że ona nie może zadzwonić do niego, martwił ją jeszcze bardziej. Sytuacja nie przedstawiała się różowo. - Będziesz po prostu musiała prędko wrócić.

- Obiecuję. Trzy tygodnie i jestem. Poprzesuwam terminy. - Zadzwoiła już do Jean z prośbą, by to zrobiła. - A jesienią ty musisz przyjechać do Los Angeles -zażądała głębokim, zmysłowym głosem. Gordon wtulał się w nią, rozpraszając złe myśli.

- Przyjadę, przysięgam. Uprzedzę Charlotte, że pod koniec sierpnia muszę wziąć urlop. Tania już szukała luk w swoim napiętym programie. Mogłaby przylecieć do Jackson Hole, zmieniając samoloty w Salt Lake City lub w Denver. Była to bardzo kusząca perspektywa. Wkrótce potem poszli do łóżka i leżeli w swoich ramionach, kiedy nagle rozległo się walenie w drzwi. Tania aż podskoczyła. Gordon pochwycił dzinsy i biegnąc do drzwi zakładał je na siebie. W progu stał jeden z pomocników na ranczo.

- Dzwonili z nadleśnictwa. Musimy się ewakuować.

- Co, teraz? - Gordon nie krył zdumienia, ale spojrzawszy w niebo zrozumiał wszystko. Niebo nad Shadow Mountain było pomarańczowe. - Dlaczego nas nie ostrzeżono?

- Ogłosili alarm około północy, ale Charlotte liczyła na to, że zdołają opanować sytuację. Ale wiatr się zmienił...

Wała silna bryza. W okolicznych domach zapalały się światła.

- Charlotte zbiera gości, a my musimy przeprowadzić konie w drugi koniec doliny. Znajdowało się tam drugie ranczo. Ewakuowali się już kiedyś, ale przeprowadzenie takiej ilości zwierząt w nocy, w pośpiechu, groziło komplikacjami. Ludzie i zwierzęta mogli odnieść obrażenia.

- Będę gotowy w pięć minut - powiedział do chłopaka i zamknął dokładnie drzwi, żeby nikt ich nie zaskoczył. Opowiedział Tani w skrócie, co się wydarzyło.

- Przewiozła was na inne ranczo - wyjaśnił. - Jeżeli zawiadomisz swojego kierowcę, to będziesz mogła pojechać własnym autokarem. Ja muszę zająć się końmi. Trzeba wyprowadzić stąd dwieście głów, i to błyskawicznie. - Spieszył się, ale przystanął na moment, by ją pocałować. - Kocham cię, moja teksańska dziewczynko. Nie martw się o nas. Jakoś to załatwimy, nawet gdybym musiał przeprowadzić się do Hollywood. - Wiedział, że Tania martwi się na równi z nim, ale był zdecydowany na każde ustępstwo. Teraz jednak musiał zająć się innymi sprawami.

- Ubierz się szybko - powiedział przed wyjściem. - Nie idź drogą, tylko poboczem, przez wysoką trawę, to cię nikt nie zobaczy. Ludzie będą teraz pochłonięci czym innym, nie zwrócą na ciebie uwagi. Zobaczymy się później.



- Możemy wam jakoś pomóc? - Czułaby się głupio, gdyby po prostu wsiadła do swojego autokaru i odjechała na inne rancho, kiedy tutaj ludzie i zwierzęta znajdowali się w niebezpieczeństwie.

- To robota dla mnie. - Uśmiechnął się, wciskając kapelusz na głowę. Chwycił starą sztruksową kurtkę i rzucił jej wymowne spojrzenie przez ramię. - Cześć! - powiedział i już go nie było. Poczuli się jak mała kobietka, zegnająca swojego wspaniałego mężczyznę. Ubrała się szybko i zrobiła dokładnie tak, jak jej kazał. Jadąc ciężarówką, Gordon dostrzegł ruch w wysokiej trawie i wiedział, co to oznacza. W duchu tulił ją do siebie i całował. Ale z chwilą, gdy dotarł do corralu, zapomniał o wszystkim. Trzeba było wyprowadzić konie ze stajni, zgromadzić je wszystkie w corralu i popędzić doliną. Chodziło o to, żeby stado nie rozpiezchło się i nie stratowało w ciemnościach. Zwołał dziesięciu mężczyzn i cztery kobiety, lecz potrzebowali dodatkowej pomocy, toteż zadzwonił na sąsiednie rancho, by przysłano mu ludzi i opróżniono zagrody dla stada z Moose. Gdyby ogień dotarł aż tam, byłiby w strasznych tarapatach. Na razie jednak wiatr wiał w przeciwnym kierunku. Kiedy Tania wchodziła do swojego bungalowu, Gordon rozpoczął objazd terenu na starej, spokojnej klaczy, idealnej do takiego zadania.

- Mój Boże! Gdzieś ty była?! - wykrzyknęła Mary Stuart na jej widok, wyraźnie wytrącona z równowagi. Zoe ubierała się pospiesznie. Wiedziały doskonale, gdzie jest Tania, ale nie miały pojęcia, jak ją znaleźć. -Zadzwonili, że musimy się ewakuować, a ja nie chciałam im powiedzieć, że jesteś w kwaterach kowbojów.

- Dziękuję ci. - Tania uśmiechnęła się z wdzięcznością i wykręciła numer Toma. Przedstawiała mu sytuację, prosząc, żeby przyjechał na rancho. Zamierzała zaproponować transport gości swoim autokarem. Na rancho znajdowało się około sto osób.

- Myślisz, że nasze rancho może się spalić? - zapytała niespokojnie Mary Stuart. W tym momencie weszła Zoe w grubym swetrze i dżinsach, z lekarską torbą w ręku. Na dworze było chłodno, wiał ostry wiatr.

- Nie, nie sędzę, żeby do tego doszło. Gordon mówił kiedyś, że nieraz mieli tu pożar i zawsze udawało się go opanować. Gdzie ty się wybierasz? - zwróciła się do Zoe.

- Zaoferuję im swoją pomoc. Wysyłają strażaków w góry...

- Prosilili o ochotników? - Tania była zdziwiona. Z rozmowy z Gordonem nie wynikało, żeby goście mieli pomagać ranczerom.

Przyszedł Hartley z wiadomością, że mają się natychmiast zgłosić w głównym budynku.

Goście zbierali się już w recepcji, poubierani w co popadło, objuczeni najrozmaitszymi przedmiotami, których nie chcieli stracić, począwszy od walizek po sprzęt wędkarski.

Hartley trzymał w ręku aktówkę z rękopisem książki, nad którą obecnie pracował.

Charlotte czekała na nich w holu. Wyjaśniła spokojnie i zwięźle, że wprawdzie nie widzi bezpośredniego zagrożenia dla rancha, ale uważa, że rozsądniej będzie przewieźć gości w inne miejsce, na wypadek gdyby wiatr się zmienił. Nie należało z tym zwlekać i narażać się choćby na potencjalne niebezpieczeństwo. Zostaną więc przetransportowani na sąsiednie rancho i ulokowani w wolnych pokojach. Oczywiście pokoi nie wystarczy dla wszystkich, ale dyrekcja rancha żywi nadzieję, że goście okażą wyrozumiałość, zresztą w przeciągu paru godzin wrócą na miejsce. Charlotte wyraziła też nadzieję, że potraktują ten incydent jako przygodę. Była bardzo spokojna i rzeczowa.

Dodała, że otrzymają suchy prowiant i termosy z kawą. Transport nie przedstawia żadnych problemów, tak więc opuszczą rancho w przeciągu pół godziny. Najwięcej trudności

nastęcza wyprowadzenie koni, ale pracownicy rancza już się tym zajęli. Tania pomyślała o Gordonie.

Charlotte skończyła i natychmiast wybuchł gwar głosów; ludzie komentowali wydarzenie. Tania przebiła się przez tłumek otaczający zarządczynię rancza i powiedziała, że oddaje autokar do jej dyspozycji, może rozwieźć nim ludzi, dokąd będzie trzeba.

Charlotte przyjęła propozycję z wdzięcznością, ponieważ kierowcy ciężarówek zajęci byli transportem na Shadow Mountain ochotników do walki z pożarem. Wtedy wystąpiła Zoe z pytaniem, czy jako lekarz może się do nich przyłączyć. Charlotte zawahała się wiedząc, że Zoe nie czuje się najlepiej, ale w końcu wyraziła zgodę. W takich sytuacjach lekarze zawsze okazywali się przydatni, a Zoe zaś była w stanie udzielić pierwszej pomocy, niezależnie od tego, że miała własne problemy ze zdrowiem. Zresztą nie było czasu, a teraz wydawała się zupełnie zdrowa.

- Będziemy pani wdzięczni, doktor Phillips - powiedziała i w tym momencie wystąpiło jeszcze dwóch mężczyzn z torbami lekarskimi w ręku. Jeden okazał się ginekologiem z Południa, drugi chirurgiem-kardiologiem z St. Louis. Obaj mogli się przydać.

- Ciężarówka wyrusza za kilka minut - oświadczyła Charlotte i trójka lekarzy dokonała pospiesznego przeglądu zawartości swoich toreb. Okazało się, że nikt z nich nie był przygotowany na poparzenia. Na szczęście Charlotte dysponowała specjalnym zestawem medykamentów, bardzo skutecznym w tego typu przypadkach.

Goście zaczęli w końcu opuszczać ranczo na ciężarówkach, a chwilę później zjawił się Tom i Charlotte zaczęła kierować ludzi do autokaru. W przeciągu pół godziny ranczo opustoszało. Hartley i Mary Stuart załadowali się jako pierwsi, natomiast Tania została, by zamienić jeszcze parę słów z Charlotte.

- Czy mogłabym pojechać razem z panią w góry? - zapytała nieśmiało, na co starsza kobieta poprosiła, żeby odtąd zwracała się do niej po imieniu. - Chciałabym w czymś pomóc. Wiem, że macie tam ochotników. Mogłabym choćby asystować Zoe.

Charlotte Collins wahała się tylko przez moment. W tej sytuacji każda para rąk była na wagę złota, ale nie chciała też, by goście wpadli w panikę. Widok coraz bardziej czerwieniejącego nieba był już wystarczająco straszny.

Tania pobiegła zawiadomić Mary Stuart. Krzyknęła w głąb autokaru, że zostaje. Mary zawahała się, po czym skinęła głową. Hartley znajdował się tuż przy niej. Chwilę później Tom włączył się w sznur pojazdów, a Charlotte skierowała garstkę ochotników do ciężarówek. Znajdowało się wśród nich sześciu mężczyzn, trzech lekarzy i Tania. Pojechali w góry wraz z małą, lecz sprawną grupą kowbojów i pomocników. Przez całą drogę Tania martwiła się, jak poszło Gordonowi z końmi.

Po półgodzinnej jeździe dotarli do barykad, gdzie powiedziano im, że resztę drogi muszą przebyć pieszo. Mijali wiadra z wodą rozstawione wzdłuż linii zagrożenia, a nad ich głowami przelatywały samoloty zrzucające chemikalia na płonący teren. Było gorąco, a nieustający huk, który przypominał odgłos wodospadu, zagłuszał wszystko. Porozumiewali się krzykiem. Tania zdjęła sweter i opasała się nim wokół bioder. Miała na sobie koszulkę Gordona i jeszcze nigdy w życiu nie było jej tak gorąco. Czowała napierający zewsząd żar, iskry fruwały w powietrzu. Wszystko to było dość przerażające, a znajdowali się przecież daleko od linii ognia. Nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, co może się dziać bliżej ognia. Żałowała, że nie ma rękawiczek. Na dłoniach czuła ból od poparzeń, ziemia pod stopami parzyła poprzez podeszwy butów. Zwierzątka śmigwały między ich nogami w panicznej

ucieczce. Drzewa tliły się, trawione ogniem, i padały na ziemię. Straty już teraz były ogromne. Od czasu do czasu mignęła Tani sylwetka Zoe. Wraz z lekarzami i pielęgniarkami z miasta utworzyli punkt opatrunkowy. Dopiero wiele godzin później zobaczyła Gordona. Minął ją, a potem odwrócił się gwałtownie, jakby nie wierząc własnym oczom. Podszedł na chwilę, żeby zamienić z nią choć parę słów. Wątpił, czy ktokolwiek mógłby ją teraz rozpoznać. Stała w szeregu, pracując jak inni. Kiedy Gordon podszedł do niej, zrobiła sobie przerwę. Pracowała bez wytchnienia przez wiele godzin i nie czuła ramion.

- Co ty tu robisz? - Był zmęczony i brudny, ale udało mu się przeprowadzić konie bez strat. Stały już bezpieczne na sąsiednim ranczo, a on wrócił, żeby pomóc w gaszeniu ognia.

- Zgłosiłyśmy się z Zoe na ochotnika. Potrzebna im była pomoc.

- Masz wyjątkową zdolność pakowania się w kłopoty. - Pokręcił nad nią głową, nie podobało mu się, że Tania walczy z ogniem. W razie zmiany kierunku wiatru mogli się znaleźć w pułapce. Przy gaszeniu pożaru lasu nietrudno było zginąć. - Idę teraz na pierwszą linię, a ty masz tu zostać. Zajrzę do ciebie później.

Chciała zaprotestować, prosić, żeby nie szedł, ale zdawała sobie sprawę, że to jest jego obowiązek. Musiał bronić rancza przed ogniem, jak inni.

Samoloty zrzucały środki chemiczne przez całą noc. W południe następnego dnia wszyscy trwali jeszcze na swoich posterunkach. Większość leciała z nóg ze zmęczenia. Na tyłach taboru rozłożono materace, żeby ludzie mogli się trochę przespać i pracować na zmiany. Byli tak zmęczeni, że walili się jak kłody i z miejsca zasypiali. Dopiero wczesnym popołudniem Tani udało się zobaczyć z Zoe. Gordona nie widziała od rana.

- Wszystko w porządku? - zapytała z niepokojem, ale Zoe wyglądała nadspodziewanie dobrze i była bardzo spokojna.

- Jak najbardziej. - Uśmiechnęła się. - Nieźle sobie radzimy. Jak dotąd same drobne poparzenia. Mówią, że jeżeli wiatr się nie zmieni, powinni ugasić do wieczora. Widziałam Gordona. Kazał cię pozdrowić.

- Nic mu się nie stało?

- Trochę poparzył sobie ramię, ale nic poważnego. Zdaje się, że śpi teraz w jednej z ciężarówek.

Wypiły kawę, po czym wróciły każda na swoje stanowisko. Traktowały tę akcję jak niebezpieczną przygodę i cieszyła je myśl, że mogą się na coś przydać. Będą mogły podroczyć się później z Mary Stuart, że nie chciała do nich dołączyć. Obie dobrze wiedziały, jak ich przyjaciółka nie znosi żadnych niebezpiecznych, nie kontrolowanych sytuacji, wypadków samochodowych, pożarów i tym podobnych. Tania była nawet zadowolona, że Mary Stuart ewakuowała się razem z Hartleyem, ich obecność tutaj nie była niezbędna. Ale ona sama natomiast chciała być w pobliżu Gordona, nawet jeżeli go nie widziała. No i mogła mieć oko na Zoe.

O czwartej po południu ogłoszono komunikat o opanowaniu ognia. Przewidywano, że do wieczora pożar zostanie całkowicie ugaszony. Podniósł się okrzyk radości i pół godziny później grupa zmęczonych i brudnych, ale szczęśliwych ludzi zeszała z gór. Część skorzystała z ciężarówek, dżipów i samochodów osobowych, część maszerowała pieszo. Rozprawiali żywo i żartowali, opowiadając, co działo się na pierwszej linii, na tyłach, na ciężarówkach. Każdy miał coś ciekawego do powiedzenia. Tania schodziła piechotą, kiedy minął ją samochód z lekarzami. Wyglądało na to, że świetnie się bawią. Zauważyła pośród nich Johna Kronera. Pomachała im ręką. Była zmęczona, ale nie miała nic przeciwko

przechadźce górską drogą. Góry stały się jej przyjaciółmi, wiedziała, że zawsze będzie je kochać.

- Może panią podwieźć? - usłyszała za sobą głos i odwróciła się, by zobaczyć, kto to. Za kierownicą ciężarówki siedział Gordon z osmaloną twarzą i nadpalonym kapeluszem. Na oczach miał gogle, a poparzone ramię całe było w bandażach.

- Cześć! Wszystko w porządku?

Skinął tylko głową w odpowiedzi. Był wykończony. Wskoczyła do szoferki i odruchowo nachyliła się, by mógł ją pocałować. Dopiero gdy to zrobił, spojrzeli na siebie z przestraszeniem. Dla nich było to tak naturalne, że zapomnieli, iż znajdują się między ludźmi i powinni zachować ostrożność.

- Przepraszam cię, Gordon. Jakoś nie pomyślałam.

- Ja też nie. - Uśmiechnął się zakłopotany. Chciał tylko być już z nią w domu, pójść do łóżka, przespać te dwanaście godzin i obudzić się rano mając ją przy sobie.

- Co będzie z końmi? - zapytała, pociągając łyk wody z termosu. Pachniała dymem, ale jej strasznie chciało się pić.

- Przyprowadzimy je dzisiaj wieczorem. Przyjdę do ciebie, jak skończymy. - Spojrzał na nią z uśmiechem. - Jeżeli oczywiście nie masz nic przeciwko temu.

- To brzmi niezłe. - Przechyliła głowę na oparcie fotela i zaczęła śpiewać. Była to stara teksańska piosenka, jedna z jej ulubionych. Gordon zawtórował jej i ludzie spoglądali na nich z uśmiechem. Dopiero teraz uświadomili sobie, kim ona jest i nie posiadali się ze zdumienia, że była z nimi przez cały ten czas, że harowała jak wół przez całą noc. Wywarło to ogromne wrażenie, zwłaszcza na szefowej, Charlotte Collins. Tania spędziła na Shadow Mountain siedemnaście godzin i pracowała ciężiej niż większość osób zaangażowanych w akcję. Zoe również się nie oszczędzała.

Na ranczo otwarto jadalnię dla wszystkich pracowników i podano obfite śniadanie złożone ze smażonych jaj, omletów, kielbasek, bekonu, steków, pieczonych ziemniaków. Były również lody, ciasto i smażone pomidory.

- Nie podali tylko kaszy gryczanej - zgłosiła zażalenie Tania, siadając z uśmiechem obok Gordona.

- Cholerna racja, nie wiedzą, co dobre - odrzekł uśmiechając się do niej. Gawędzili swobodnie i wkrótce dołączyła do nich Zoe wraz z Johnem Kronerem i jego przyjacielem. Przez godzinę dzielono się wrażeniami z akcji gaszenia pożaru, a potem wszyscy rozeszli się do swoich zajęć. Gordona czekało jeszcze sprowadzenie koni z powrotem na ranczo.

- Wieczorem będziesz padnięty - szepnęła do niego Tania, kiedy wychodzili z jadalni. - Na pewno chcesz, żebym przysłała?

- A jak myślisz? - Jego oczy mówiły wszystko.

- Myślę, że z pana kawał tęgiego hombre\*, panie Ujeżdźczacu. - Miała przemożną chęć go pocałować.

- Uważaj, bo wyląduję na szosie z uniesionym kciukiem, w poszukiwaniu roboty na innym ranczo.

\* Hombre (hiszp.) - mężczyzna, kumpel (przyp. red)

- Wątpię. - Przekonała się tej nocy, jak wspaniale pracuje, i doszła do wniosku, że Charlotte Collins musiałaby być chyba szalona, żeby go wyrzucić. - Ale będę ostrożna, obiecuję. Było im ze sobą tak dobrze, tak swobodnie, jakby zostali dla siebie stworzeni.

- Może powinnaś trzymać się tego faceta? - powiedziała Zoe, kiedy nadjechał autokar i dostrzegły Mary Stuart.

Autokar i ciężarówki z gośćmi powróciły o siódmej i w jadalni przygotowano dla wszystkich szwedzki stół. Po posiłku spożytym w tej samej sali z ochotnikami, Zoe i Tania nie były już głodne, ale usiadły razem z Mary Stuart i Hartleyem, żeby opowiedzieć im o pożarze i swoich przygodach. Nie miały nawet czasu, by wrócić do bungalowu. Zoe zajęła się porządkowaniem medykamentów, a Tania postanowiła jej w tym pomóc. Między ochotnikami, którzy walczyli z ogniem, nawiązała się widoczna nić braterstwa i Zoe nie omieszkła skomentować zażyłości Tani i Gordona.

Zanim rozeszli się do bungalowów, ogłoszono koniec akcji ratowniczej. Podano też wiadomość w dzienniku telewizyjnym i wieść obiegła ranczo lotem błyskawicy. Tania wzięła prysznic, a potem przez godzinę moczyła się w jacuzzi. Owijała się właśnie wielkim ręcznikiem, kiedy usłyszała delikatne pukanie w okno. Odciągnęła zasłony i ujrzała usmoloną twarz z białymi śladami po goglach. Zapragnęła wyciągnąć ramiona i przytulić Gordona do siebie. Mary Stuart i Zoe były już w łóżkach. Żadna z nich nie spała poprzedniej nocy i zgodnie stwierdziły, że są wykończone. Tania też odczuwała zmęczenie, ale czekała na Gordona, poza tym potrzebowała godziny w wannie, żeby pozbyć się ze skóry i włosów zapachu dymu. Teraz była cała różowa, czysta i pachniała perfumami. Gordon dawał jej znaki, by się ubrała i poszła z nim. Ledwo trzymał się na nogach ze zmęczenia, zasygnalizowała mu więc, żeby poczekał i pobiegła do drzwi. Kiedy leżała w jacuzzi, przyszedł jej do głowy pewien pomysł.

Zgasiła światła na werandzie i w salonie i uchyliła drzwi.

- Chodź! - przynaglił ją. Marzył o tym, by znaleźć się w domu.

- Chcę, żebyś tu wszedł. Nikt się nie dowie. Dziewczyny śpią, a gdyby cię ktoś zobaczył, zawsze możemy powiedzieć, że przyszedłeś pogadać o pożarze.

To była niezwykła noc i niezwykły dzień, toteż Gordon wahał się tylko przez chwilę.

Wśliznął się do salonu, a Tania szybko zamknęła za nim drzwi. Zaprowadziła go wprost do swojej sypialni.

- Co dalej? - zapytał nerwowo. - Chyba nie powinniśmy tu zostać.

- Chcę, żebyś najpierw wziął kąpiel w jacuzzi - nalegała. - Jesteś wykończony. Chodź! Jeżeli potem będziesz chciał wrócić do siebie, pójdę z tobą.

Wiedział, że jeśli się już rozbierze, nie będzie mu się chciało nigdzie ruszyć, ale nie stawiał oporu. Nie miał sił. Sprowadzenie koni wymagało nie lada wysiłku i Gordon po prostu leciał z nóg.

Odkręciła kurki i pomogła mu się rozebrać. Był jak mały senny chłopiec, wdzięczny za jej pomoc, i w chwilę później zanurzył się w wodzie, a Tania włączyła silniki. Leżał z zamkniętymi oczami. Miał wrażenie, że umarł i znalazł się w niebie. Z wysiłkiem otworzył oczy i poszukał wzrokiem Tani.

- Tanny, to jest niewiarygodne.

Nie powiedziała mu, że w domu w Bel Air opływa w jeszcze większe luksusy. W ich stosunkach to nie miało znaczenia. Pozwoliła mu leżeć w wannie, a sama umyła mu włosy, gratulując sobie pomysłu.

Leżał w wannie niemal godzinę, a potem otworzył oczy i choć nie przespał ani minuty, to wyglądał o niebo lepiej.

- Chcesz się przyłączyć? - zapytał, a ona roześmiała się tylko. Nie mogła uwierzyć, że Gordon myśli o takich sprawach, mimo stanu, w jakim się znajdował. Ale z chwilą, gdy zrzuciła ręcznik i weszła do wanny, było jasne, że Gordonowi co innego w głowie niż sen.

- Nie do wiary! Zaledwie przed godziną byłeś umierający.

- Jak widzisz, zmartwychwstałem, a przynajmniej częściowo. Kochali się \vjacuzzi i Gordon był w znakomitej formie. Wyszli z wody około północy i Tania oświadczyła, że czuje się jak wymoczony rodzynek.

- Wcale tak nie wyglądasz - powiedział, głaszcząc jej pośladki. Odwróciła się, żeby na niego spojrzeć.

- Chcesz wrócić do siebie, czy zostać tutaj?

Zastanawiał się przez chwilę. Wiedział, że jest szaleńcem, ale nie mógł się oprzeć pokusie. Ten jeden raz postanowił zaryzykować.

- Mogę tego gorzko pożałować, zwłaszcza jeżeli nie wykopiesz mnie stąd o piątej trzydzięci. To naprawdę konieczne.

- Obiecuję.

- Więc zostanmy. Nie sądzę, żebym dał radę dojść do domu. - Przede wszystkim nie chciał się z nią rozstawać. Wśliznęli się do wielkiego łóżka i Gordon przyznał w duchu, że nie leżał jeszcze w czymś równie wygodnym. Pościel była czysta, jej ciało gładkie, pachnące mydłem i perfumami. Nigdy nie czuł się lepiej i zasnął, zanim zdążyła zgasić światło. Trzymał ją w ramionach przez całą noc. Obudziła go o piątej trzydzięci, zgodnie z obietnicą. Nastawiła sobie budzik.

- Kochanie, strasznie mi przykro, że muszę ci to zrobić - wyszeptała w jego szyję, a on odwrócił się na wznak przyciągając ją do siebie. Nawet we śnie chciał być blisko niej. To ją rozczulało. - Musisz wstać.

- Wcale nie muszę - powiedział wyraźnie, nie otwierając oczu. - Umarłem i jestem w niebie.

- Ja też... No, wstawaj, śpiochu!

W końcu otworzył oczy i z jękiem podniósł się z łóżka. Powoli zaczął naciągać ubranie. Było brudne i przepocone po wczorajszym dniu, a on pachniał jeszcze po kąpieli. Musiał dojść w tych ciuchach do swojego bungalowu. Tam weźmie prysznic, przebierze się i pójdzie do pracy.

- Dziękuję ci - powiedział. - To był najmiłszy prezent, jaki mogłaś mi ofiarować. - Miał na myśli nie tyle kąpiel wyacuzzi, ile przede wszystkim jej miłość. Uśmiechnęła się do niego.

- Pomyślałam, że to ci dobrze robi. Przypomniała sobie nagle, że jest środa.

- Mam nadzieję, że nie wystąpisz dzisiaj na rodeo? - zapytała. Gordon zawahał się, po czym potrząsnął głową.

- Zasnąłbym tam chyba albo zleciał z konia przed otwarciem bramy. Lepiej dam sobie dzisiaj spokój.

I ona po sobotnich ekscesach nie zamierzała pokazywać się na rodeo.

- Co powiesz na spokojny wieczór przy muzyce? Przyjdiesz?

- Przyjdę. - Pocałowała go na pożegnanie. Gordon przebiegł salon na bosaka i wymknął się z domu, zanim ktokolwiek zdołał go zobaczyć. Kiedy o dziewiątej rano spotkali się ponownie w corralu, był już opanowanym, kompetentnym szefem kowbojów, w białej koszuli, dżinsach i kowbojskim kapeluszu. Konie były osiodłane i przygotowane do jazdy, wszyscy sprawiali wrażenie wypoczętych i gdyby nie nikły zapach spalenizny, nikt by się nie domyślił wczorajszych wydarzeń. Ale przez cały dzień mówiono wyłącznie o pożarze na Shadow Mountain.

Spędzili spokojny dzień, a po lunchu Mary Stuart zadzwoniła do Billa w Londynie. Z tonu jego głosu wniosowała, że był zaskoczony jej telefonem. Ostatnio rzadko do niego dzwoniła, wolała wysyłać mu faksy. Tak samo zresztą, jak on.

- Czy coś się stało? - zapytał z przestraczem. W Londynie była już dziesiąta wieczór.
- Nie, wszystko w porządku - odparła zdawkowo. Zapytała, jak postępuje praca, odparł, że znakomicie, po czym zapadła niezręczna cisza. Wspomniała mu o pożarze, o tym, że Tania i Zoe zgłosiły się na ochotnika do pomocy, a ona z pozostałymi gośćmi została ewakuowana. Nie wspomniała jednak o Hartleyu. Następnie kompletnie zaskoczyła swojego męża mówiąc, że wybiera się do Londynu w przyszłym tygodniu.
- Mówiłem ci przecież, że jestem zajęty. - Nie starał się nawet ukryć irytacji.
- Świetnie zdaję sobie z tego sprawę, ale musimy porozmawiać. W innym wypadku zobaczymy się dopiero we wrześniu. - Nie wyczuła, by obudziło to jego niepokój.
- Może uda mi się wrócić pod koniec sierpnia...
- Nie zamierzam czekać sześciu tygodni - zakomunikowała.
- Ja też za tobą tęsknię - powiedział zniecierpliwiony. - Ale pracuję dzień i noc. Już ci zresztą mówiłem. Gdyby nie to, przyjechałabyś tu ze mną.
- Może wolisz, żebym ci wysłała faks? - rzuciła ironicznie. To zakrawało doprawdy na absurd, że nie chciał jej poświęcić nawet tyle czasu, by mu mogła powiedzieć, że między nimi wszystko skończone.
- Nie rób trudności. Nie mam czasu, żeby się z tobą zobaczyć.
- O tym właśnie chcę z tobą pomówić! Nie masz czasu, by ze mną porozmawiać, żeby się ze mną kochać, żeby po prostu być moim mężem! Uważam, że ma to raczej związek z brakiem twojego zainteresowania, niż rzeczywistym brakiem czasu.
- Mogłabyś wyrażać się jaśniej? - powiedział, czując nagle jak zimny dreszcz przelatuje mu po plecach. Wreszcie zaczął rozumieć sytuację. Faksy, milczenie, brak telefonów. Prawda docierała do niego bardzo powoli. - Po co chcesz przyjechać do Londynu? - zapytał wprost. Nienawidził niespodzianek.
- Aby zobaczyć się z tobą. Nie zabiorę ci wiele czasu. Nie zatrzymam się nawet w tym samym hotelu, jeżeli nie będziesz sobie życzył. Wydaje mi się po prostu, że po dwudziestu dwóch wspólnych latach powinniśmy zamienić choć parę słów, zanim wyrzucimy przeszłość do kosza.
- To w ten sposób o nas myślisz? - W jego głosie zabrzmiała irytacja, ale i przestracz, a ona nie mogła zaprzeczyć.
- Tak, i jestem pewna, że ty również. Uważam, że powinniśmy wreszcie o tym porozmawiać.
- Wcale tak nie czuję. Jak możesz mówić w ten sposób?!
- Fakt, że w ogóle o to pytasz, jest w tym wszystkim najsmutniejszy.
- Oboje wiele przeszliśmy... A ja mam ten ważny proces w Londynie.. .Wiesz przecież...
- Wiem, Bili - powiedziała ze znużeniem. Był tak pozbawiony intuicji, że zaczęła się zastanawiać, czy w ogóle warto do niego jechać. Przygnębiła ją już sama rozmowa z mężem. - Porozmawiamy w przyszłym tygodniu.
- Chcesz rozmawiać, czy też podpisać papiery? - zapytał z gniewem.
- To zależy od ciebie. - Ale to nie była prawda. Zależało to od niej i Mary Stuart dobrze o tym wiedziała. Bili pozostałby aż do śmierci w związku z kobietą, której nie dotykał, na którą nie patrzył i z którą nie rozmawiał. Nie była to nęcąca perspektywa. Po dziesięciu dniach spędzonych na rozmowach z Hartleyem myśl o powrocie do ciszy pogrzebanego małżeństwa budziła u niej tendencje samobójcze.
- Wygląda na to, że już podjęłaś decyzję - powiedział Bili ze smutkiem, a Mary Stuart omal nie przyznała mu racji. Ale wtedy wyjazd do Londynu nie miałby najmniejszego sensu.

Czuła, że powinna dać mu szansę obrony, a przynajmniej możliwość wyjaśnienia, dlaczego tak źle ją traktował przez ten rok. Z drugiej jednak strony zdawała sobie sprawę, że cokolwiek mąż powie, nie wpłynie to na jej postanowienia.

- Przylecisz z Nowego Jorku? - zapytał, jakby stanowiło to jakąś różnicę.

- Z Los Angeles. Wcześniej spędzę parę dni u Tani.

- Czy to jej pomysł? - zapytał, jakby sama nie była zdolna myśleć. - Albo może tej twojej drugiej znajomej, lekarki?

- Ma na imię Zoe. Nie, to nie był ich pomysł, tylko mój własny. Myślałam o tym jeszcze przed wyjazdem z Nowego Jorku i nie widzę powodu, by z tym zwlekać.

- Zwlekać? Z czym? - Sposób, w jaki mówiła, ton jej głosu wprawiły go w przerażenie. Poczul ogarniającą go panikę. To było doprawdy żałosne. Zamiast teraz panikować, powinien był zająć się całą tą sprawą dużo wcześniej. Wtedy mógłby jeszcze coś zmienić. Teraz już niestety, nie.

- Z powiedzeniem ci, że jestem z tobą nieszczęśliwa, choć ty, być może wcale tego nie zauważyłeś, mimo że jesteś równie nieszczęśliwy ze mną. Chociaż raz zdobądź się wreszcie na szczerść.

- Mamy za sobą trudny okres, ale jestem przekonany, że wkrótce wszystko się ułoży - powiedział, negując cierpienia ostatniego roku, gorycz, milczenie, nienawiść.

- Niby dlaczego nagle miałyby się ułożyć? Co się takiego wydarzy, aby miało to coś zmienić?

Kilka miesięcy temu sugerowała, że powinien pójść do psychoanalityka, ale odmówił. Nie chciał dostrzec problemu, stosował uniki.

- Nie wiem, co się dzieje - powiedział z rozpaczą w głosie, jak człowiek walczący o życie. Był zupełnie nie przygotowany na jej oskarżenia. Chyba rzeczywiście nie zdawał sobie sprawy, że ją traktuje jak przedmiot, na którym może wyładowywać całą swoją frustrację i ból, by któregoś dnia, kiedy poczuje się lepiej, wrócić jakby nigdy nic. Było już za późno. Zrozumiał to nagle w chwili olśnienia.

- Nie bardzo rozumiem, dlaczego chcesz przyjechać - powiedział odpychając od siebie prawdę.

- Wyjaśnię ci to w przyszłym tygodniu. - Nie chciała przeciągać tej rozmowy.

- Może udałoby mi się przyjechać do Nowego Jorku na weekend - zaproponował.

Widocznie jej przyjazd do Londynu wydał mu się ogromnym zagrożeniem. Ale Mary Stuart nie zamierzała czekać ani chwili dłużej, niż to było konieczne.

- Nie ma potrzeby. Wiem, że jesteś zajęty. Nie zabiorę ci wiele czasu, obiecuję. Zamierzam również spotkać się z Alyssą.

- Czy ona wie, że przyjeżdżasz? - W jego głosie brzmiała prawdziwa panika.

- Jeszcze nie - odparła Mary Stuart chłodno. Kochała go zbyt długo, zbyt długo na niego czekała i teraz nie miała mu już nic do zaoferowania. Nie czuła nawet żalu. - Spróbuję dowiedzieć się, gdzie ona teraz jest.

- Może moglibyśmy spędzić razem weekend? - zapytał z nadzieją.

- Nie chcę. Nie po to przyjeżdżam. Zatrzymam się w Londynie dzień lub dwa, a potem pojedę do niej. - Nie pozwoli mu schować się za córką, bawić się jej kosztem w kochającą się rodzinę. To była sprawa między nią a mężem i nie chciała mieszać do tego córki.

- Możesz zostać dłużej, jeżeli chcesz. Skoro i tak przyjeżdżasz... - Głos mu zamarł, zaczynał rozumieć, że to bezcelowe. Nie był w końcu kompletnym idiotą i nigdy dotąd nie słyszał u niej tak kategorycznego tonu. Nie przyszło mu nawet do głowy, że mogłaby



związać się z innym mężczyzną. Wiedział, że nie należała do tego gatunku kobiet. Zawsze była mu wierna. Ale nie pamiętał, żeby była kiedykolwiek tak bezwzględna. To było coś więcej niż gniew, to była pogarda. Zrozumiał, że posunął się za daleko. I wiedział, co usłyszy, kiedy żona przyleci do Londynu. Szanował ją za to, że się fatyguje osobiście, zamiast zawiadomić go listownie, ale nie zmieniało to jego sytuacji ani na jotę.

Poczuł się zdruzgotany, kiedy odwiesiła słuchawkę. W zasadzie mogłaby oszczędzić sobie podróży za Atlantyk. Wiedział już, co usłyszy. Jedyne, co mu przyszło do głowy w tej sytuacji, to wysłać do niej faks.

Przeczytawszy go godzinę później, Mary Stuart zmięła papier w kulkę i rzuciła na podłogę. Zoe znalazła go popołudniu i pokiwała głową nad treścią. Biedny facet nie miał żadnych szans. Był doprawdy beznadziejny.

„Czekam na nasze spotkanie w przyszłym tygodniu. Pozdrowienia dla twoich przyjaciółek, Bili.”

Bardzo niemrawo, jak na kogoś, kto walczy o życie. Dla Zoe i każdego, kto znał Mary Stuart było jasne, że Bili Walker przegra.

## Rozdział dwudziesty

W czwartek czepiały się już tylko tych trzech dni, jakie im zostały na ranczo, a czepiały się z różnych powodów. Z całej trójki tylko Zoe cieszyła się na powrót do domu, codziennie rozmawiała z Samem, czuła się dobrze i nie mogła już doczekać się spotkania z córką. Ale i ona pokochała ranczo, widząc jak z każdym dniem przybywa jej sił. Żartowała, że pobyt tutaj ma właściwości uzdrawiające niczym pielgrzymka do Lourdes. Mogła patrzeć na góry, modlić się i wierzyć, że wróci do domu zdrowa. Nawet John Kroner przyznawał, że jest w tym coś mistycznego.

Każdy kolejny dzień był dla nich jak bezcenny dar, który utracili, coś, czego nie sposób odzyskać. W obliczu bliskiego rozstania Hartley nie mógł sobie darować, że byli z Mary Stuart tak powściągliwi. Powinni byli przeżyć ten romans, zbliżyć się do siebie.

Pozazdrościł nagle Tani i Gordonowi. Ale kiedy w czwartkowe popołudnie powiedział Mary Stuart, co go nęka, odparła, że nie ma racji. Postąpili właściwie i on dobrze o tym wie. Przypomniała mu, jak wiele każde z nich przeszło w życiu, ile doświadczyli cierpienia i o ile mądrzej z ich strony jest zachować ostrożność. Nie chciała budować ich związku na oszustwie i zdradzie. Życ przez lata z dręczącym ich poczuciem winy. Hartley uśmiechnął się z ulgą, bo w pewnej chwili uległ już panice.

- Dopóki istnieje „szansa naszego wspólnego życia”, faktycznie nie ma powodu do zmartwienia.

Żadne z nich jednak nie było tego do końca pewne. Nad głowami wisiała im jeszcze jej podróż do Londynu, ale wszystko wskazywało na to, że się w końcu połączą. Każdy, kto miał okazję obserwować tych dwoje przez dłuższy czas, dałby za to głowę, a zwłaszcza Zoe i Tania.

- Boję się tego wyjazdu do Londynu - powiedział Hartley z niepokojem. Był taki czarujący i taki atrakcyjny. Zaprosił Mary Stuart do Seattle, gdzie miała się odbyć uroczystość nazwania nowego skrzydła gmachu biblioteki miejskiej jego imieniem. Stamtąd leciał do Bostonu, by ustalić szczegóły swojego wykładu w Harvardzie. Życie mogłoby być interesujące przy boku Hartleya, tym bardziej, że tak bardzo pragnął je z nią dzielić. Chciał, żeby przeczytała jego nową książkę i dał jej fragmenty rękopisu, nad

którym obecnie pracował. Poczula się zaszczycona. Znalezienie pracy nie wydawało się już tak ważne. Hartley dostarczy jej zajęcia.

Ale zdecydowała, że nie przyjmie jego zaproszenia do Seattle. Chciała wrócić z Tanią do Los Angeles, spędzić tam z nią parę dni, a potem polecieć do Londynu. Musiała załatwić sprawę z Billem, mieć to już z głowy. Spotkają się potem z Hartleyem w Nowym Jorku. Tak będzie lepiej dla nich obojga. Będzie już wolna i z wielką przyjemnością spędzi z nim resztę lata na Fisher's Island. Chciał wydać na jej cześć przyjęcie, przedstawić swoich przyjaciół, powiedzieć im, że po dwóch latach samotności i ciszy powróciły dobre czasy. Był gotów wyjść na spotkanie z życiem.

- Zadzwoń do ciebie natychmiast po rozmowie z Billem. - Mary Stuart uśmiechnęła się do niego promiennie. Tego popołudnia zdecydowali się na pieszą wędrówkę w góry. Chcieli być sami.

- Może powinniśmy obmyślić jakiś sygnał?

- Na przykład? - Próbowała wczuć się w jego sytuację. Nie była przyjemna, ale uważała, że Hartley przesadnie się denerwuje. Swoją podróż do Londynu traktowała jako czystą formalność, zwłaszcza po ostatniej rozmowie z Billem. - Jaki to miałyby być sygnał? Popatrzył na nią udreńczonym wzrokiem.

- Po prostu przyslij mi faks z wiadomością. I napisz, kiedy dokładnie wracasz, żebym mógł wyjść po ciebie na lotnisko.

- Tylko przestań się zamartwiać.

Wracali na ranczo wolnym krokiem, trzymając się za ręce, kiedy przegalopowała koło nich Tania, a tuż za nią Gordon. Pojechali na Shadow Mountain oszacować zniszczenia, a były spore.

Rozmawiali o tym w drodze powrotnej, kiedy Tania zauważyła mężczyznę wychodzącego z lasu. Wyglądał na włóczęgę, obdarty, długowłosa i mimo zwęglonych pni drzew pod stopami - bosy. Przystanął, żeby im się przyjrzeć, a potem zniknął za pierwszą linią drzew.

- Kto to był? - zapytała. Mężczyzna wyglądał dziwnie i był uzbrojony.

- Jest tu paru takich, co mieszkają w lesie, i szwendają się po parkach narodowych. Pożar go pewnie wypłoszył i szuka nowego lokum. Są na ogół nieszkodliwi. - Widok intruza nie zaniepokoił Gordona i Tania cieszyła się na myśl o wycieczce, jaką zaplanowała na następny dzień.

Rozstali się w corralu, umówieni, że wieczorem Tania przyjdzie do jego bungalowu.

Przychodziła zaraz po kolacji i wracała do siebie wcześniej rano, kiedy przyjaciółki jeszcze spały. Był to jej najszczęśliwszy okres od wielu lat i drżała z lęku, żeby jej go ktoś nie zepsuł.

Kolacja upłynęła w znakomitych humorach. Hartley i Mary Stuart wyglądali na odprężonych, Zoe spędziła popołudnie w szpitalu z Johnem Kronerem. Dobrze się czuła w jego towarzystwie, a on był jej wdzięczny za pomoc przy diagnozowaniu pacjentów. Przy kolacji wszyscy śmiali się i żartowali, i Tania wyruszyła w drogę do bungalowu Gordona później niż zwykle. Nawet Hartley wiedział, dokąd się wybiera, choć nie przypuszczał, że będzie tam aż do rana. Gordon był miłym facetem i tworzyli z Tanią zgraną parę. Hartleya ich związek wcale nie szokował.

Szła przez ranczo spoglądając w rozgwieżdżone niebo. Noc była tak piękna, że niemal szkoda jej było wejść pod dach. Konie zarżały cicho, kiedy je mijała. Gordon czekał na nią jak zwykle. Nastawił muzykę i przygotował kawę. Przez chwilę rozmawiali, potem poszli się kochać i leżąc przy nim żałowała, że nie można cofnąć wskazówek zegara. Godziny

biegły zbyt szybko. Późno w nocy zdawało jej się, że słyszy hałas dobiegający od strony corralu, zaszczekał pies, konie zarżały głośno. Gordon odwrócił głowę i nasłuchiwał w ciemności. Znowu zaszczekał pies, jakiś koń zarżał boleśnie.

- Coś nie tak? - zapytała cicho.

- Nie wiem. Czasem je coś przestraszy. Kojot wśliznie się do zagrody, ktoś przejdzie zbyt blisko.

Ale chwilę później hałas się spotęgował i od strony corralu dochodził teraz dźwięk tępych uderzeń, jakby konie waliły kopytami w deski ogrodzenia. Gordon wyskoczył z łóżka, by sprawdzić, co się dzieje.

- To pewnie nic takiego. - Ale czuł się odpowiedzialny za stado, a ona zdawała sobie sprawę, że nie może pójść z nim.

- Poczekam tutaj - powiedziała, patrząc jak porusza się w ciemności. Założył dzinsy, buty i sweter na nagie ciało. Wyglądał tak przystojnie w świetle księżyca, że zapragnęła go zatrzymać. Pocałowała go mocno, namiętnie i wyczuła jego podniecenie. Roześmiała się miękko.

- Poczekaj tu - powiedział. - Zaraz wracam. - Ruszył biegiem w stronę corralu. Widziała jeszcze, jak znika za zakrętem. Wyjrzała przez okno z kuchni, ale było zbyt ciemno, by coś zobaczyć. Noc wydawała się spokojna, z wyjątkiem hałasu, jaki robiły konie. Ale Gordon długo nie wracał i gdy po upływie godziny wciąż go jeszcze nie było, zaczęła się niepokoić. Może któryś z koni zachorował i Gordon musiał przy nim zostać? Może coś się stało? Postanowiła ubrać się i pójść go poszukać. Jeżeli kogoś spotka, powie, że wybrała się na spacer, bo nie mogła zasnąć. Nie będą przecież wiedzieli, skąd wyszła.

Ruszyła wolno w stronę corralu, w którym panowała teraz cisza. Kiedy minęła zakręt, stanęła jak wryta. Mężczyzna wyglądający na włóczęgę mierzył do Gordona ze strzelby. Gordon stał spokojnie i coś do niego mówił. Jednocześnie dostrzegła, że kilka koni jest obryzganych krwią, a mężczyzna trzyma w ręku wielki nóż myśliwski. W nagłym olśnieniu zrozumiała, co się dzieje. Wycofała się tyłem do zakrętu, a potem odwróciła się i zaczęła biec. Usłyszała za sobą wystrzał. Nie wiedziała, do kogo strzelał ten człowiek, może do niej? Nie obejrzała się jednak. Wciąż biegła przed siebie. Wiedziała, że musi natychmiast sprowadzić pomoc. Modliła się tylko, żeby ten przybłęda nie strzelał do Gordona. Wreszcie jej buty zatupały po podłodze drewnianej werandy najbliższego domu. Zaczęła walić pięściami w drzwi. Otworzył mężczyzna, którego znała, chłopak z Colorado, okręcony w pasie prześcieradłem. Złął się, że wybuchł nowy pożar. Czasem się zdarzało po ugaszeniu ognia, że poszycie tliło się jeszcze przez jakiś czas, aż pożar wybuchał z nową siłą. Spojrzawszy w twarz Tani zrozumiał jednak, że stało się coś gorszego. Rozpoznał ją od pierwszego rzutu oka. Złapała go za ramię i próbowała pociągnąć za sobą.

- W corralu - wychrypiła - jest mężczyzna ze strzelbą i nożem. Konie są poranione, a on trzyma Gordona na muszce. Szybko!

Nie pytał, skąd o tym wie. Zerwał z siebie prześcieradło i naciągnął spodnie. Odwróciła wzrok, by go nie peszyć. Wybiegł z domu, zapinając po drodze rozpiorek i zabębnił z całej siły w drzwi sąsiedniego bungalowu. Zaraz zapaliły się światła i wyszedł mężczyzna. Poleciał chłopakowi zawiadomić natychmiast szeryfa i zwołać ludzi, sam zaś ruszył z Tanią do corralu. Dopadli zagrody w chwili, gdy napastnik wskoczył na konia i pogalopował w stronę gór. Wymachiwał bronią i wykrzykiwał przekleństwa, ale już nie strzelał. Dwa konie były martwe, jeden zarżnięty, drugi zastrzelony, a Gordon leżał na ziemi w kałuży krwi. Krew była wszędzie, tryskała z jego ramienia. W jednej chwili Tania zrozumiała, co się

stało. Tętnica została przecięta i Gordon wykrwawi się na śmierć w przeciągu kilku minut. Chwyła jego ramię i z całej mocy zacisnęła palce na krwawiącej tętnicy. Krzyknęła do kowboja, żeby pobiegł do jej bungalowu i sprowadził Zoe. Kiedy znów spojrzała na Gordona, zrozumiała, że jeszcze chwila i go straci. Ale udało jej się trochę zatamować upływ krwi. Była nią cała pokryta, ziemia wokół lśniła czerwono, a konie rzucały się niespokojnie.

- Trzymaj się, kochany... - błagała. - No, dalej! Gordon, mów coś do mnie! - Nie chciała dopuścić, by stracił przytomność, ale widać było, że ranny traci świadomość.

- Nie! - krzyknęła rozpaczliwie, nie miała wolnej ręki, by go uderzyć po twarzy, nic, czym dałoby się zatamować krew. - Gordon! Ocknij się! - Krzyczała i płakała na przemian. Nadbiegli inni ludzie. Potrzebowali dobrej chwili, by zorientować się w sytuacji. Nikt nic nie słyszał i Tania próbowała wyjaśnić, co się stało, kiedy zobaczyła Zoe, zbiegającą ze wzgórza w koszuli nocnej, z torbą lekarską na ramieniu. Tania zauważyła, że ma na rękach gumowe rękawiczki, żeby nie zarazić Gordona.

- Przepuście mnie! - zawołała do mężczyzn kołem otaczających rannego. - O, tak, dziękuję.

- Ukłękła na ziemi i obejrzała ranę Gordona, a potem spojrzała na Tanie. - Dostał nożem myśliwskim - stwierdziła. - Facet omal nie odrąbał mu ramienia!

- Zdaje się, że ma przeciętą tętnicę, bo krew tryskała strumieniem. - Tania coś niecoś pamiętała jeszcze z kursu pierwszej pomocy, który kończyła przed laty.

- Nie puszczaj ucisku - poinstruowała ją Zoe i spróbowała dokładniej zbadać ramię, ale nawet najłżejsze poruszenie powodowało nową fontannę krwi. Szybko umocowała opaskę zaciskającą, najlepiej jak potrafiła w tych warunkach, ale Gordon był w szoku, stracił mnóstwo krwi i Zoe nie wróżyła mu najlepiej. Tania zdawała sobie z tego sprawę i wciąż wołała go po imieniu, zaciskając palce na

uszkodzonej tętnicy. Wezwano Charlotte Collins, a obok dwóch kowbojów rozpaczali nad martwymi końmi. Napastnik był szaleńcem. Kowboj, którego Tania obudziła najpierw, opowiadał wszystkim przebieg wypadku.

- Kiedy można się spodziewać karetki? - dopytywała się Zoe niespokojnie.

- W dziesięć, piętnaście minut - odparł jeden z mężczyzn i Zoe skrzywiła się boleśnie.

Gordon nie wyglądał dobrze, a ona nie mogła mu pomóc. Potrzebował krwi, tlenu i sali operacyjnej. Ale w chwili, gdy zaczynała tracić nadzieję, ciszę nocy przerwał sygnał karetki pogotowia. Kowboje skierowali samochód na miejsce wypadku. Gordon stracił przytomność, a puls był ledwo wyczuwalny. Tania szlochała nie poluzowując ani na sekundę ucisku na ranie, a Zoe starała się ją podtrzymać na duchu. Po założeniu rannemu przepaski mogła już tylko kontrolować jego puls i modlić się, by przeżył.

Powiedziała sanitariuszom wszystko, co jej było wiadome o stanie Gordona i przeniesiono rannego na nosze. Potem wsiadła z nim do karetki i ktoś podał jej koc, by mogła się okryć. Teraz sanitariusz uciskał tętnicę. Gordon był biały jak papier. Tania zapytała, czy może z nimi pojechać.

- To może ja cię zawiozę?

Tania odwróciła się i zobaczyła Charlotte Collins. Nie dostrzegłszy niezadowolenia na jej twarzy, a jedynie wdzięczność Tania skinęła głową. W karetce zresztą i tak nie było dla niej miejsca, a Zoe nie chciała, by przyjaciółka była obecna przy śmierci Gordona, czego się poważnie obawiała. Już lepiej, żeby Tania pojechała oddzielnie, z Charlotte Collins.

W drodze do szpitala Tania opowiedziała szefowej rancza o mężczyźnie ze strzelbą, którego widzieli po południu.

- Gordon uważał, że jest nieszkodliwy.

- Większość z nich faktycznie jest nieszkodliwa, ale zdarzają się i psychopaci. Parę lat temu jakiś facet, wypuszczony z więzienia w innym stanie wymordował całą rodzinę nocującą w namiocie. Ale takie rzeczy nie zdarzają się tu często. Zwykle nie zamykamy nawet drzwi na noc.

Tania patrzyła na nią nieprzytomnym wzrokiem. Nie mogła sobie darować, że nie pojechała karetką. Wciąż jeszcze nie mogła uwierzyć w to, co się stało.

Droga do szpitala zdawała się ciągnąć w nieskończoność i kobiety odbyły ją w milczeniu.

Tania była zbyt wstrząśnięta, by rozmawiać, zaś Charlotte szczerze jej współczuła.

Wiedziała więcej, niż się Tani zdawało. Bardzo niewiele uchodziło jej uwagi.

Romansowanie z gośćmi nie było dobrze widziane na ranczo, wręcz przeciwnie, bywało surowo karane, ale od czasu do czasu zdarzały się historie wyjątkowe. Zasady regulaminu nie zawsze wytrzymały próby życia. Teraz pozostawała tylko nadzieja, że Gordon nie umrze. Reszta nie miała znaczenia.

Kiedy karetka dotarła do szpitala, wszystko było już przygotowane na przyjęcie rannego, sala operacyjna rześście oświetlona, a chirurdzy szorowali ręce. Lekarz dyżurny zapytał, czy Zoe zechce uczestniczyć w operacji, ale odparła, że nie wydaje jej się to konieczne.

Czuła, że bardziej przyda się Tani w poczekalni. Udało jej się utrzymać Gordona przy życiu przez drogę do szpitala, reszta leżała w rękach chirurgów.

- Co z nim? - zapytała Tania nieswoim głosem.

- Żyje, ale stan jest krytyczny. - Tylko tyle mogła powiedzieć Zoe o swoim pacjencie, chciała jednak być uczciwa wobec Tani.

Charlotte skrzywiła się na te słowa. W milczeniu czekały na wynik operacji, trzymając za ręce płaczącą Tanie. Ta zaś nie kryła swojej rozpacz, nie licząc się z obecnością Charlotte. Nie było teraz ważne, co szefowa rancza wie, a czego się domyśla. W tej chwili obchodził ją tylko i wyłącznie Gordon.

Przyjechała policja i Tania złożyła zeznania. Powiedziała, gdzie spędziła noc i w tym momencie Zoe poważnie się zaniepokoiła. Jeżeli informacja wydostanie się na zewnątrz, brukowce rzucą się na Tanie jak wygłodniałe hieny: TANIA THOMAS I KOWBOJE Z RANCZA DLA TURYSTÓW. Charlotte pomyślała o tym samym i poszła porozmawiać z policjantami. Niewiele mogli zrobić, by ukryć dowody, zresztą Charlotte wcale tego od nich nie żądała, ale nikt nie musiał biec z informacjami do gazet. Policjanci znali dobrze Charlotte i okazali wiele zrozumienia. Obiecali również wysłać szeryfa w góry na poszukiwanie napastnika i skradzionego konia.

Ktoś zawiadomił Johna Kronera, uznawszy, że jako lekarz sprawujący pieczę nad ranczem, powinien być na miejscu. Przyjechał na blok operacyjny, ale dowiedział się tylko tyle, że stan Gordona jest nadal krytyczny. Zszyto mu tętnicę, ale obrażenia były poważne i Gordon stracił mnóstwo krwi. Tania siedziała w poczekalni z zamkniętymi oczami, a Zoe przechadzała się korytarzem wraz z Johnem.

- Ona nie wygląda dobrze - zauważył John pod adresem Tani. - Czy i ją też zaatakował ten szaleniec? Co robiła w corralu w środku nocy?

Zoe uśmiechnęła się z sympatią. Był naiwny, młody, ale darzyła go zaufaniem.

- Ona go kocha - powiedziała. To wyjaśniało wszystko i John ze zrozumieniem skinął głową.

Upłynęła godzina, zanim wyszedł do nich lekarz operujący. Spojrzał na Tanie tak posepnie, że niemal zemdląca na jego widok. Zoe ścisnęła ją z całej siły za rękę i Tania zaczęła płakać, zanim jeszcze lekarz powiedział słowo. Spojrzał na nią, jakby rozumiał sytuację.

- Wyjdzie z tego - powiedział czym prędzej. Tania wybuchnęła łkaniem i przyłgnęła do Zoe.

- Wszystko dobrze, Taniu... Już wszystko dobrze... on przeżyje. Cicho, maleńka...

- O Boże! A ja myślałam, że nie żyje - wyszlochała. Chirurg wyjaśnił Charlotte, że zostały uszkodzone więzadła i nerwy, ale nie przypuszcza, by nastąpiły komplikacje. Nie widział też konieczności ponownej operacji. Terapia i paratygodniowa rekonwalescencja powinny zrobić swoje. Gordon stracił mnóstwo krwi, ale szybka akcja Tani i Zoe uratowała mu życie. Postanowił nie robić transfuzji i żywił nadzieję, że jeżeli nie pojawi się gorączka, pacjent będzie mógł nazajutrz wrócić do domu. Potem chirurg zwrócił się do Tani.

- Chciałaby pani z nim się zobaczyć? Świetnie się panie spisały. Gdyby nie zacisnęła pani tętnicy, wykrwawiłby się na śmierć w przeciągu paru minut.

Tania skinęła głową, niezdolna wydobyć słowa.

- Czy on jest przytomny? - wykrztusiła w końcu, idąc z lekarzem przez długi korytarz. Inni postanowili zostać w poczekalni.

- Mniej więcej. - Lekarz uśmiechnął się do niej, myśląc, że bardzo piękną jest kobietą. Oszacował ją na trzydzieści lat i nie miał pojęcia, kto to. - Jest jeszcze trochę oszołomiony po narkozie, ale pytał o panią, gdy się tylko obudził.

Zaprowadził ją do sali pooperacyjnej i nakazał założyć fartuch. W pomieszczeniu znajdowało się z tuzin pielęgniarek i dwa razy tyle sprzętu medycznego, ale udało jej się dostrzec Gordona. Na jej widok uniósł głowę i uśmiechnął się.

- Cześć! - powiedział, a ona pochyliła się, żeby go pocałować.

- Wystraszyłeś mnie.

- Przepraszam. Próbowałem odciągnąć go od koni, ale mnie dopadł.

- Masz szczęście, że cię nie zabił - powiedziała, nie mogąc opanować drżenia.

- Lekarz powiedział, że ocaliłaś mi życie. - Wymienili długie spojrzenie.

- Kocham cię - szepnęła.

- Ja też cię kocham. - Zwrócił ku niej głowę i przymknął oczy. Zapytała lekarza, czy może zostać przy chorym. Zgodził się, nie robiąc problemu. Wróciła więc do poczekalni, zawiadomić Zoe.

- Jesteś pewna że dasz radę? - zapytała Charlotte Collins. - Mogłabym cię rano przywieźć.

- Wolę tu zostać - powiedziała Tania cicho, patrząc ze skrucą na pracodawcę Gordona. -

Przepraszam za to, co się stało... Nie chciałam przysporzyć Gordonowi kłopotów. - Prawda jednak wyszła na jaw i Charlotte pokiwała z uśmiechem głową.

- Wiem. Nie martw się o to. Wszystko w porządku. Tylko bądź ostrożna.

Podobnie jak i Zoe niepokoiła się o Tanie. Lecz Tania uspokoiła je, twierdząc, że nikt jej dotąd nie rozpoznał. Nikt w szpitalu nie wie, kim jest.

Obie panie pojechały zatem na ranczo, John Kroner udał się do domu, a Tania wróciła do Gordona. Spał. Pielęgniarki przygotowały dla niej posłanie w sąsiednim pokoju, a o szóstej rano przenieśli Gordona do izolatki. Był przytomny, ale wyglądał jeszcze dość marnie.

- Świetnie się czuję, chodźmy już do domu - upierał się, ale był zbyt słaby, by usiąść. Tania pogroziła mu palcem.

- Świetnie wyglądasz, ale leż spokojnie. - Była to rzadka okazja, by nim trochę porządzić i zamierzała to wykorzystać.

- Fakt, że uratowałaś mi życie nie oznacza jeszcze, że możesz mi dyktować, co mam robić - zrzędził, ale nie mógł powstrzymać się od śmiechu. - Jesteś zmęczona, Tan.

- Śmiertelnie mnie wczoraj wystraszyłeś.

Ponieważ obyło się bez komplikacji, lekarz zgodził się, że Gordon może w południe opuścić szpital. Tania wezwała Toma. Gordon, usadowiony na wózku inwalidzkim, zagwizdał na widok zajeżdżającego autokaru.

- to ma być pełna dyskrecja? - Uśmiechnął się, przymrużając oko. - Jak to wyjaśnię Charlotte? A może wyszło szydło z worka?

- Powiedzmy, że otrzymała wczoraj drobną wskazówkę, kiedy ryczałam w poczekalni, czekając na wiadomość od lekarza. Zachowała się bardzo przyzwoicie. Myślę, że ona nas rozumie.

- Mam nadzieję. Nie leżało w moich planach dać się zarznąć w środku nocy, z tobą za plecami. - Myśl o tym nadal wytrącała go z równowagi. Wyglądał już nieźle, chociaż widać było, że ramię go boli. Nie chciał się do tego przyznać, ale krzywił się przy najmniejszym poruszeniu. W szpitalu proponowano mu środki przeciwbólowe, ale twierdził, że wystarczy mu haust whisky.

Usadowiła go na jednej z kanap autokaru, pod chore ramię podłożyła mu poduszki i wręczyła puszkę coca coli. Ruszyli. Po jakimś czasie Gordon spojrzął w okno i zdziwił się.

- Nie chcę cię martwić, Tan, ale twój kierowca wozi nas po manowcach.

- Pomyślałam sobie, że zrobimy małą wycieczkę krajoznawczą. Nie miał serca powiedzieć jej, że marzy jedynie o wycieczce do własnego łóżka. Bał się, że zrani jej uczucia, więc skinął głową.

- Chcę ci tylko powiedzieć, że nie pozwolę, by to wpłynęło negatywnie na nasze życie seksualne

- Kochanie, wczoraj około północy, życie seksualne było najmniejszym z twoich problemów.

Nadal czuli się oszołomieni tym, co się stało.

Wyjrzawszy przez okno, Tania stwierdziła, że są prawie u celu. Wyjechali z zakrętu i znaleźli się nad urwiskiem, skąd rozciągał się widok na całą dolinę. To tutaj Gordon przywiózł ją przed tygodniem.

- Po cośmy tu przyjechali? - zapytał zdziwiony, wyglądając przez okno. - Kocham to miejsce - dodał. Nie podejrzewał nawet, że jest taka sentymentalna. Przechylił się, żeby ją pocałować, ale ona zaśmiała się triumfalnie.

- Mam nadzieję, że je kochasz - powiedziała.

- Dlaczego?

- Ponieważ jest moje.

- Słucham? - Był zbity z tropu. - To przecież stara farma Parkera. Znam ją od lat.

Przywiozłem cię tu w zeszłą niedzielę.

- Wiem. - Sprawiała wrażenie ogromnie zadowolonej z siebie. - Kupiłam ją w poniedziałek.

- Zwariowałaś?! - Nie wydawał się zachwycony i przez chwilę obawiała się, że wpadnie w gniew. - Dlaczego to zrobiłaś? - Chciał w to uwierzyć, ale nie mógł. Przywiózł ją na to ranczo zaledwie w niedzielę, a ona kupiła je w poniedziałek?! To przekraczało jego zdolność pojmowania.

- Powiedziałeś przecież, że powinnam kupić tu ranczo.

- Więc je kupiłaś? Tak po prostu?!

- Pośrednik twierdził, że to świetna inwestycja, cena nie była wygórowana, więc pomyślałam, „dlaczego by nie?” Możesz hodować tu konie, możesz robić coś dla Charlotte Collins, bo blisko. No więc? Pomożesz mi prowadzić moje małe ranczo? Najpierw doprowadzimy je do ładu, a potem zobaczymy. Jeżeli nie będę tu mogła wytrzymać, kiedy ty uciekniesz z jakąś inną piosenkarką rockową albo postanowisz przeprowadzić się do Los Angeles, zawsze mogę je przecież sprzedać. Pomyślałam, że warto spróbować.

- Kochanie! - Przyciągnął ją do siebie zdrowym ramieniem. Dopiero teraz uwierzył, że to się dzieje naprawdę. - Jesteś nadzwyczajna...

- Pomożesz mi?

- Oczywiście! - powiedział niemal bez tchu. Po tym, co zrobiła, uczyniłby dla niej absolutnie wszystko. Sprawdziła się pod każdym względem. Nigdy jej tego nie zapomni.

- Zamierzałam przyjechać tu dzisiaj z tobą konno, żeby ci pokazać mój nabytek.

- Nie mogę w to uwierzyć. - Odsunął jąna długość ramienia i zająztał w twarz. - Naprawdę chcesz to zrobić dla mnie? - Jej wiara w niego, to, co uczyniła dla nich obojga, przechodziło najsmielsze oczekiwania. Czuł się po prostu wniebowzięty. - Jesteś taka ufna i szczerą!

- A może po prostu głupia? - Uśmiechnęła się i pociągnęła łyk coca coli z jego puszkii. - Czy istnieje jakiś powód, dla którego nie powinnam być ufna?

- Nie, psze pani - odparł z dumą. - Zapewniám cię, że będziesz miała najlepsze ranczo w stanie Wyoming. Kiedy możemy zacząć.

- Jak się tylko pozrastas. - Wskazała na jego ramię. - Od przyszłego tygodnia ranczo jest nasze.

Tak naprawdę było jej, ale zamierzała dać mu je w prezencie ślubnym, jeżeli się kiedyś pobiorą. Najpierw jednak musiała rozwiązać się z Tonym, co miało nastąpić ostatecznie w grudniu. A potem... Możliwości były nieograniczone.

Kiedy wrócili na ranczo, przed bungalowem Gordona zgromadził się cały personel. Ludzie wiwatowali, kiedy Tom pomagał mu zejść ze stopni autokaru. Tania szła za nim. Bała się, że sprawi mu ból najlżejszym dotknięciem. Wszyscy chcieli z nim zamienić choć kilka słów, powiedzieć, jak się cieszą, że wyszedł z tego cało. Przynieśli mu książki, czekoladki, kasety magnetofonowe. Miał wszystko, czego dusza zapagnie, kobietę, którą kochał i ranczo, o jakim zawsze marzył. Kiedy został z nią sam w bungalowie, pod powiekami zapiekły go łzy.

- Ciągle nie mogę w to wszystko uwierzyć. Nigdy w życiu nie było mi tak dobrze.

- Ani mnie - odparła. - Kocham to miejsce i chcę być tu z tobą.

- Będę przyjeżdżał do Los Angeles, kiedy tylko będę mógł - zapewnił ją.

- Nie musisz, jeżeli nie będziesz miał na to ochoty. - Ona też się czegoś nauczyła. Żyła w zupełnie innym świecie i jeżeli nie chciał być jego częścią, nie zamierzała go do tego zmuszać.

- Chcę. Poznałaś mój świat, stałaś się jego częścią. Ja pragnę tego samego. Możemy mieć jedno i drugie tak długo, jak długo będziemy się wzajemnie rozumieć.

- Mój świat potrafi być okrutny - powiedziała ze smutkiem. - Może cię boleśnie zranić, nawet jeżeli będziesz bardzo ostrożny. Dla nich nie ma nic świętego. A ja nie chcę, żeby cię to spotkało.

Ale okazało się, że nie dało się temu zapobiec. Następnego dnia cała historia znalazła się w gazetach. Brukowce wydrukowały jąna pierwszych stronach.



Rozpisywano się o tym, jak to Tania Thomas dwa tygodnie temu pojechała na ranczo, gdzie nawiązała romans z kowbojem, a tydzień później kupiła mu ranczo. Wymieniono nawet sumę, jaką rzekomo zapłaciła, mniej więcej milion dolarów. Potem opisano historię jej poprzednich małżeństw, w dużej mierze opartą na kłamstwie. Nagłówki gazet rywalizowały ze sobą: TANIA BŁYSKAWICA! i MAŻ NUMER CZTERY? Snuto przypuszczenia na temat jej rocznych dochodów i ośmieszano na wszelkie możliwe sposoby. Z Gordona paparazzi zrobili żigolaka, a z niej dziwkę. Wysztychali nawet to, że zaśpiewała hymn na rodeo i opublikowali zdjęcia z zamieszek. Ukoronowaniem całej intrygi był epizod, w którym Gordon został jakoby raniony nożem przez innego kowboja podczas bójki o Tanie. Dziennikarz twierdził, że ona sama omal nie zginęła, próbując rozdzielić walczących mężczyzn.

Tania przeczytała gazety u siebie i zebrało jej się na mdłości. Problem polegał na tym, że artykuły te zawierały akurat tyle prawdy, by ludziom nasunęły się wątpliwości. Martwiła się o Gordona. Co też sobie o niej pomyśli, kiedy to przeczyta.

- Nie czytaj tego obrzydlistwa! - zawołała Zoe z wściekłością. Sama nie mogła jednak pohamować ciekawości. - Czy naprawdę kupiłaś mu ranczo? To pewnie bzdura, ale....

- Ależ nie, kupiłam je dla siebie. Gordon tylko pomoże mi je prowadzić. Zmądrzałam już na tyle, by nie próbować wciągnąć go w swoje życie. Jest tutaj szczęśliwy. Nie chcę wszystkiego popsuć, więc zamierzam spędzać tu z nim co roku trochę czasu.

- Bardzo rozsądnie. Tak tylko zapytałam... Taniu, strasznie mi przykro.

- Mnie też. Kiedyś zastanawiałam się, kto rozgłasza takie plotki, ale teraz wiem, że wszyscy. Policjanci, dziennikarze, pielęgniarki, kierowcy karetok pogotowia, fryzjerki, turyści, pośrednicy handlu nieruchomościami, a nawet przyjaciele. To beznadziejne. Wystarczy choćby okrucieństwo informacji, a oni zamieniają to w ostrze, które przeszyje ci serce. Zastanawiała się, jak czuje się teraz Gordon. Prawdopodobnie parszywie. Jak mogłoby być inaczej? Dziennikarze zbrukali wszystko. Została z nim wczoraj wieczorem, ugotowała kolację i wyszła dopiero rano. Ich stosunki przestały być już tajemnicą. A kiedy wróciła do swojego bungalowu, zobaczyła gazety. Dziewczyny zastanawiały się, czy by ich nie ukryć, ale nie miało to sensu. Dowiedziałyby się tak czy inaczej.

- Nie mogę się nadziwić, że istnieją takie padalce! - oburzyła się Mary Stuart. Hartley nieraz był obiektem ich zainteresowania, ale nigdy w takim stopniu. Jego sukces różnił się od popularności Tani. Pisarze rzadko padają łupem brukowców, z nielicznymi może wyjątkami. Tania natomiast była dla nich grubą zwierzyną, toteż pastwili się nad nią z prawdziwą przyjemnością.

Tego ranka, idąc do Gordona, zabrała ze sobą jedną z gazet. Reszta towarzystwa wyruszyła na ostatnią konną przejażdżkę. Dołączył do nich John Kroner, dotrzymując towarzystwa Zoe. Tania, choć żałowała straconej okazji, wołała być z Gordonem, by z nim porozmawiać o artykułach w prasie. Wystarczyło spojrzeć na niego, by zrozumieć, że już wie. W jego oczach czaił się ból, a także wstyd,

i Tania pomyślała, że między nimi wszystko skończone. Popatrzyła mu prosto w oczy. Siedział na kanapie, przed telewizorem, z kubkiem kawy w ręku. Historia trafiła również do dziennika, wraz z jego zdjęciem i opisem napadu, o czym Tania jeszcze nie wiedziała. Na razie trudno mu było uwierzyć, że można tak wypaczyć prawdę. Patrząc na Tanie, zastanawiał się, co ona teraz czuje.

- Jak ramię? - zapytała i Gordon poruszył nim lekko, żeby pokazać, że może to zrobić. Ale w tej chwili nie o jego ramię się martwiła.

- Przeplącałaś to ranczo - stwierdził rzeczowo. A więc czytał gazety.
- Jak ci się podoba goszczenie na pierwszych stronach gazet? - zapytała patrząc na niego przenikliwym wzrokiem. Nie wyciągnął do niej ramion i nie powiedział, że ją kocha. Na razie przystosowywał się do nowej sytuacji.
- Znam lepszy sposób, żeby się tam dostać, na przykład zastrzelić reportera. Zrobiłbym to z całą przyjemnością.
- Przyzwyczaisz się. - Jej głos zabrzmiał twardo. Krzywdzono ją już, ale nigdy z taką zajadłością, z takim okrucieństwem. Ośmieszyli Gordona, z niej zrobili dziwkę, a w dodatku idiotkę. Typowe. - Oni to robią cały czas. Wszystko, co robisz zamieniają w gówno. Ośmieszają cię, robią z ciebie głupca, przeinaczają twoje słowa, fakty. Dla nich nie ma nic świętego. Potrafiłbyś z tym żyć?
- Nie - odparł, patrząc jej prosto w oczy. Serce w niej zamarło. - nie chcę, żebyś ty z tym żyła. Jeżeli oni tak cię traktują, to chcę, żebyś została tutaj.
- Ale to ich nie powstrzyma. Jak myślisz, kto im sprzedał te informacje? Wszyscy. Pośrednik, pielęgniarki, sanitariusze, gliniarze, szeryf. Każdy chce choć przez chwilę poczuć się ważny, więc z przyjemnością sprzedaje mój tyłek.
- Nie mają prawa! To moja własność - powiedział z błyskiem w oku, ale ona spojrzała na niego smutno.
- W rzeczy samej. Ale chcę, żebyś zdał sobie sprawę, że wszystko co zrobimy, czego dotkniemy, zostanie przeinaczone w ten właśnie sposób. Jeżeli będę miała dziecko, powiedzą, że nie jest moje, bo jestem za stara, żeby je urodzić, albo że zrobił mi je listonosz. Jeżeli zatrudnimy kobietę do sprzątanania - powiedzą, że pieprzysz się z nią, kiedy jestem w Los Angeles. Jeżeli kupię ci prezent, napiszą ile kosztował, zanim zdążę ci go dać. A potem zrobią z ciebie żigolaka tylko dlatego, że go przyjąłeś. Będą nękać nas we dnie i w nocy, a jeżeli doczekamy się dzieci, będą również zadręczać. To bez znaczenia, czy będziemy mieszkali tutaj, czy w Wenezueli. Nawet jeżeli teraz wydaje ci się, że nie będziesz zwracał na to uwagi, to za którymś razem, kiedy każdy człowiek, z którym masz do czynienia - dentysta, ekspedient w pralni chemicznej, dziwka - niech cię ręka boska broni! Zabiłabym cię! - sprzedaje cię brukowcom, za dziewięćdziesiątym dziewiątym razem zaczniesz mnie nienawidzić. Już mi się to przytrafiło. Wiem, jak to się dzieje, wiem, co się wtedy czuje. To niszczy twoje życie jak rak. Straciłam w ten sposób dwóch mężów, a trzeci był tak pazerny, że sprzedał mnie brukowcom - miała na myśli menedżera.
- Fajne miałaś życie. - Nigdy mu tego nie opowiadała. Podejrzewał, że musiało to być bardzo bolesne. - Czego się spodziewasz, Tanny? - zapytał ze smutkiem. - Że ja teraz odejdę? Jeżeli tak, czeka cię rozczarowanie. Nie zniechęcam się łatwo. I wiem, jak wygląda twoje życie. Znam brukowce, wiem, co piszą. Ale masz rację, człowiek ma do tego zupełnie inny stosunek, gdy piszą o kimś, nie o tobie. Otworzyłem dzisiaj rano gazetę i myślałem kogo by tu zabić. Ale to nie ty jesteś temu winna. Jesteś ofiarą.
- Ludzie o tym zapominają. A tym pismakom nie można nic zrobić. Nie warto nawet pozywać ich do sądu, bo w ten sposób napędzasz tę maszynę, dajesz im świeży żer. Skończy się na tym, że znienawidzisz mnie, choć to oni będą cię ranić.
- Kocham cię - powiedział, wstając. - Kocham cię. Nie chcę, żeby nas to zniszczyło. Jasne, że będę się wściekał, kiedy napiszą o mnie takie rzeczy, a temat jest niewyczerpany. Jestem w końcu tylko niedouczone kowbojem z Teksasu. Powiedzą, że chodzi mi wyłącznie o twoje pieniądze. Powiedzą, że mnie poderwałaś. No i co z tego? Tylko tyle, że nie będę

mógł zakopać się w Wyoming, jak planowałem. Będę musiał spędzać więcej czasu w Los Angeles, żeby cię chronić, bo nie pozwolę ci się babrać w tym bagnie samej. Może jeszcze upłynąć trochę czasu, zanim ci to wszystko do cna obrzydnie i zaczniesz hodować ze mną konie.

- Nie zrezygnuję z pracy - powiedziała niespokojnie. - Lubię to, co robię, nawet w tej głównianej otoczce. - Kochała śpiewać.

- Ja również. Nigdy bym nie poprosił cię, żebyś z tego zrezygnowała. Może mieszkanie częściowo tutaj, częściowo w L.A. nie jest najlepszym rozwiązaniem, nie wiem. Ale chciałbym spróbować. Pożyjemy, zobaczymy. Chcę być z tobą, tutaj, tam, gdziekolwiek. Kocham cię, Taniu. I nic mnie nie obchodzi, co ludzie o nas mówią.

- Naprawdę tak myślisz? Nawet po tym wszystkim? - Machnęła gazetą.

- Oczywiście. - Uśmiechnął się i podszedł, żeby ją pocałować. - Piszą, że zwabiłaś mnie do łóżka obietnicą kupna rancza. Chyba coś przeoczyłem.

- Po prostu spałeś. - Odwzajemniła mu uśmiech. - Szepnęłam ci to do ucha.

- Jesteś niezwykłą kobietą i podziwiam, jak ty to znosisz.

- Ja też nie mogę się nadziwić. - Oparła mu głowę na ramieniu, kiedy usiedli przy sobie na kanapie. - Nienawidzę ich.

- Szkoda zachodu. Ale coś ci powiem, musisz być o wiele bardziej ostrożna. Koniec z hymnami na rodeo, koniec z bieganiem po szpitalach, koniec z kupowaniem farm. Wykażmy odrobinę sprytu. Możesz chować się za mnie, jeżeli chcesz. Mnie nie obchodzi, co o mnie mówią. Pozwól, żebym to wziął na siebie.

- Gordon, kocham cię! Bałam się, że po dzisiejszym dniu nie będziesz chciał mieć ze mną do czynienia. - Tak się martwiła, od chwili, gdy zobaczyła gazety.

- Mało prawdopodobne. Siedziałem tu i próbowałem wykombinować, jak namówić Charlotte, by mi dała wolny weekend w przyszłym tygodniu. Chciałem ci zrobić niespodziankę i przyjechać do L.A. Może teraz pozwoli mi jechać. Z tą ręką i tak niewiele mogę zdziałać na ranczo.

- Naprawdę mógłbyś ją o to poprosić? Byłoby wspaniale.

- Spróbuję. I tak muszę przeprowadzić z nią zasadniczą rozmowę. Od jesieni chciałbym już pracować tutaj tylko na pół etatu.

- Nie zapominaj o tournée po Europie i Azji zimą. To będzie koszmar.

- Dla mnie brzmi to wspaniale. - Uśmiechnął się. - Nie mogę się doczekać.

Patrzyła na niego w zamyśleniu, czując jak odmieni się jej życie z chwilą, kiedy będzie mogła liczyć na Gordona. Żaden mężczyzna nie traktował jej dotąd w ten sposób i pragnęła odwdziżyć mu się tym samym.

- A gdzie spędzimy święta Bożego Narodzenia?

- Zapomniałam... Niemcy? Londyn? Może Paryż. Monachium? - Nie bardzo mogła sobie przypomnieć.

- Co byś powiedziała na ślub w Monachium? - zapytał miękko, z ustami na jej wargach.

- Wolałabym w Wyoming, bośmy się tutaj poznali.

- Ustalimy to kiedy indziej - powiedział, przyciągając ją do siebie. - Teraz mamy co innego do załatwienia - i objąwszy ją zdrowym ramieniem, skierował się do sypialni. - Czas na moją drzemkę.

Bolesna była myśl, że jest to ich ostatni wspólny dzień. Całe popołudnie spędzili w łóżku, podczas gdy inni goście jeździli konno. Gordon usnął w jej ramionach, a ona tuliła go do siebie, nie mogąc nacieszyć się swoim szczęściem. Omal go nie straciła.

Hartley był tego popołudnia przygaszony. Próbował oswoić się z myślą, że Mary Stuart po londyńskiej wyprawie może do niego nie wrócić.

- Przestań się zdręczać - skarciła go łagodnie, kiedy jej powiedział, o czym myśli.

- To ode mnie niezależne. A jeżeli rzeczywiście nie wrócisz? Co wtedy zrobisz? Dopiero co cię znalazłem i nie wyobrażam sobie nawet, żebym miał cię utracić. - Wiedział, że będzie musiał o tym napisać. Niczego to wprawdzie nie zmieni, ale przynajmniej pozwoli dać ujście uczuciom. - Sama czujesz, że nie możesz mi tego obiecać.

- To prawda. Ale w życiu spotyka nas wystarczająco wiele niepowodzeń. Po co rozpaczać na zapas?

- Nie potrafię o tym nie myśleć. Będę strasznie tęsknił, jeżeli nie wrócisz.

- Wrócę tak prędko, jak to tylko będzie możliwe. - Mówiła szczerze, ale on zaskoczył ją swoimi dalszymi słowami.

- Jeżeli będziesz miała szansę uratować swoje małżeństwo, to nie wracaj - powiedział zrezygowany. - Kiedyś omal nie rozwiodłem się z Margaret. Jakies dziesięć lat po ślubie nawiązałem romans. To było głupie z mojej strony, ale zrobiłem to po raz pierwszy i ostatni. Nie wiem, jak to się stało. Mielśmy problemy, staraliśmy się pogodzić z faktem, że nie możemy mieć dzieci. Margaret ciężko to przeżywała. Bardzo się wówczas od siebie oddaliliśmy. Winiła mnie za to, że nie może zająć w ciążę. W każdym bądź razie miałem romans, a ona się o tym dowiedziała. Przez sześć miesięcy byliśmy w separacji, a ja nie zerwałem z tamtą kobietą, co dowodziło jeszcze większej głupoty. Ale wydawało mi się, że ją kocham. Była Francuzką, spotkaliśmy się w Paryżu. Pojechałem do Nowego Jorku, żeby poprosić Margaret o rozwód, ale kiedy ją zobaczyłem okazało się, że nadal ma w sobie to wszystko, za co ją pokochałem, jak również wszystkie te cechy, których nie lubiłem i które popchnęły mnie do zdrady; po prostu była trudna we współżyciu. Ale widziałem jej wielkie zalety: jej lojalność, uczciwość, wspaniałe poczucie humoru, lotność umysłu, wyobraźnię, wyczucie tego, co dobre. Kochałem ją za milion rzeczy. - Mówiąc o niej miał łzy w oczach. - Kiedy wróciłem do Nowego Jorku, żeby pożegnać się z Margaret, zakochałem się w niej od nowa. - Zaczerpnął powietrza i spojrzał na góry. - Nigdy nie wróciłem do tamtej kobiety w Paryżu. Ona przypuszczała, że tak się stanie. Powiedziała mi to. Uzgodniliśmy wtedy hasło. Powiedziała, że nie zniosłaby długich wyjaśnień. Wystarczy jej dwa słowa. W razie gdybym rozstał się z Margaret, miałem przysłać telegram o treści: Bonjour, Arielle. To było dawno temu - dodał z uśmiechem. - Kiedy nie nastąpiła jeszcze era faksów. Gdybym wrócił do żony, telegram miał brzmieć: Adieu, Arielle. Była trzeźwo myślącą, praktyczną kobietą. Wyjechałem do Nowego Jorku, zapewniając ją, że nie ma się czym martwić, ale spotkałem moją Dalię i nigdy jej już nie opuściłem. Do Paryża wysłałem krótki telegram: Adieu, Arielle. Nigdy jej już potem nie zobaczyłem. Nie życzyła sobie tego. Ale nigdy jej nie zapomniałem. Mary Stuart była poruszona tą smutną historią.

- Jeżeli z nami będzie tak samo, Mary Stuart? - Patrzył jej prosto w oczy, jakby chciał wryć jej w pamięć każde słowo: - Chcę, żebyś wiedziała, że niczego nie żałuję i że zawsze będę cię kochał. Będę żył dalej i w końcu otrząsnę się z żalu. Arielle poślubiła bardzo ważnego ministra i zdobyła uznanie jako pisarka, ale wiem, że i ona mnie nie zapomniała - powiedział z szelmowskim uśmiechem. - Margaret również jej nie zapomniała. Myślę, że z czasem wybaczyła mi tę zdradę, chociaż z początku byłem kompletnie załamany. Długo nie mogłem się pozbierać. Chcę też, żebyś wiedziała, że przeżyłem tu z tobą dwa najszcześniejsze tygodnie w swoim życiu. - Pomogła mu otrząsnąć się ostatecznie po śmierci Margaret. Czuł się teraz innym człowiekiem.

- Dla mnie również były to dwa bardzo szczęśliwe tygodnie - powiedziała Mary Stuart. - Których nigdy nie zapomnę. Ale wątpię, żebym została z Billem, Hartley. Naprawdę bardzo w to wątpię.

- Nigdy nie wiadomo, co może się wydarzyć między dwojgiem ludzi. To będziesz mogła rozstrzygnąć dopiero w Londynie. Gdybym odszedł wtedy od Margaret, straciłbym szesnaście wspólnie przeżytych z nią lat, a były to cudowne lata. Bądź więc otwarta na Billa.

- Zawsze będę cię kochać - powiedziała miękko.

- Tak, jak ja ciebie. Prześlij mi krótki faks. - Znalazł wreszcie ten kod, którego szukali: - Adieu Arielle, albo Bonjour, Arielle.

- Zobaczysz to będzie Bonjour, Arielle.

Zoe piła kawę w towarzystwie Johna Kronera. W ciągu tych dwóch tygodni bardzo się zaprzyjaźnili. Kilka razy zaglądała do niego do szpitala, a on chętnie przyjeżdżał do niej z wizytą na ranczo. Obiecał też odwiedzić ją w San Francisco.

- Chcę się skonsultować z tobą w sprawie pewnego pacjenta - powiedział. - Właśnie zacząłem mu podawać AZT. Ma kochanka, obaj są pozytywni, ale jak dotąd - bez objawów.

- To słuszna decyzja, John. Nie potrzebujesz mojej rady. - Uśmiechnęła się do niego swobodnie, pewna, że Sam polubi go również. John dzwonił do niej codziennie, częściej poruszając sprawy prywatne niż przypadki chorobowe. Sprawiało jej to przyjemność. - Świetnie sobie radzisz - dodała zachęcająco. Podziękowała mu za pomoc podczas choroby.

- Wiesz, mam teraz dla tych biedaków tyle współczucia - powiedziała, nawiązując do pacjentów. - Kiedyś wydawało mi się, że ich rozumiem, że wiem, co czują, słysząc wyrok śmierci i czekając, kiedy zostanie wykonany. Ale tak naprawdę zrozumiałam dopiero wtedy, gdy mnie to dotknęło. - Położyła mu dłoń na ramieniu. - Nie wiesz, jak to jest, John. Nie możesz sobie wyobrazić.

- Owszem, mogę - odparł cicho. - Ja też jestem pozytywny. Jestem właśnie tym pacjentem, o którym ci przed chwilą wspomniałem. Obaj jesteśmy... Będę potrzebował twojej porady, kiedy zaczniemy chorować - powiedział rzeczowym tonem.

Zoe była oszołomiona. Nie spodziewała się tego. John miał AIDS. Jego partner również.

- Tak mi przykro - zdołała wykrztusić.

- Siła wyższa - powiedział filozoficznie. - Jedziemy na tym samym wózku.

Spędzili spokojny wieczór. Mary Stuart i Hartley prowadzili jak zwykle swoje wielogodzinne rozmowy, Zoe ucięła sobie pogawędkę telefoniczną z Samem, a Tania poszła do Gordona, by uściślić swoje plany i wspólnie pomarzyć. Omawiali zdarzenia na ranczo, zastanawiali się, jak tu jak najszybciej wrócić. Planowali także remont świeżo zakupionego domu. Zapomnieli o brukowcach. Gordon rozmawiał po południu z Charlotte i uzyskał od niej obietnicę wolnego weekendu. Dobre i to, na początek. Oboje byli podekscytowani jego przyjazdem do Los Angeles. Tyle rzeczy chciała mu pokazać, Bulwar Zachodzącego Słońca, Pacyfik, chciała mu przedstawić swoich przyjaciół, zaprowadzić do studia, gdzie nagrywała płyty, spędzić z nim weekend w Malibu, iść ręką w rękę plażą, zabrać go do Spago. A dwa tygodnie później ona przyleci do niego do Wyoming.

- Żałuję, że nie mogę pojechać jutro z tobą - powiedział ze smutkiem. - Drętwieję na myśl, że będziesz musiała stawić temu czoło sama.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo chciałabym tu zostać. - Myśl o pozostawieniu Gordona, rancza, gór była dla niej nieznośna.

- Wrócisz - powiedział, przyciągając ją do siebie, a ona zamknęła oczy, chcąc lepiej zapamiętać tę chwilę. Czowała, że już nigdy nie będzie tak, jak teraz. Nie będą już kochać się w jego bungalowie, odgradzeni od świata. Będą we własnym domu, będą częścią tego świata i będą musieli bronić się przed jego napastliwością. Tutaj czuli się bezpieczni. Tania pocieszała się tylko nadzieją, że potrafią przenieść atmosferę tego domku na rancho, które kupiła na wzgórzu.

- Chcę, żeby w naszym domu było tak samo - powiedziała, na co on się roześmiał.

- Może tylko ciut przestronniej. Tutaj wbijam palec w ścianę za każdym razem, gdy wstaję z łóżka. - Był potężnym mężczyzną, a bungalow niewielki. Doskonale jednak rozumiał, co Tania chciała powiedzieć. Całymi latami przemyślał nad idealnym rancho i teraz wiedział, jak się do tego zabrać.

Rozmawiali do późnej nocy, kochali się o wschodzie słońca, a potem otulił ją kocem i wyszli na werandę popatrzeć na góry.

- Zapowiada się piękny dzień - zauważył. - Szkoda, że ciebie już tu nie będzie.

Ciągle nie mogła pogodzić się z myślą o wyjeździe.

Nikomiu nie było wesoło. Przy pożegnaniu wszyscy mieli łzy w oczach. Hartley długo trzymał w ramionach Mary Stuart. John Kroner i jego przyjaciel zegnali się serdecznie z Zoe, a kiedy Gordon publicznie pocałował Tanie, rozległy się oklaski.

W końcu trzy przyjaciółki z nietęgimi minami wsiadły do autokaru. Mary Stuart stała, nie mogąc oderwać wzroku od Hartleya. Tania, wychyliwszy się z okna przestrzegła Gordona, żeby trzymał się z dala od dzikich koni. Machał do niej kapeluszem, dopóki autokar nie zniknął mu z oczu. Zoe zastanawiała się, czy ujrzy jeszcze kiedyś to miejsce, a Mary Stuart modliła się w duchu, by spotkać się z Hartleyem w Nowym Jorku. Mnóstwo pytań zrodziło się w ciągu tych dwóch tygodni, a one nie znały jeszcze wszystkich odpowiedzi.

Siedziały teraz w milczeniu, pogrążone w zadumie, wracając myślą do ludzi i marzeń, które pozostawiły za sobą.

Tom planował dotrzeć do San Francisco na dwunastą w nocy.

## Rozdział dwudziesty pierwszy

Spały jeszcze, kiedy autobus zajechał pod dom Zoe. Śmiały się i rozmawiały do późnej nocy o mężczyznach w swoim życiu, potem dopiero zrobiły kolację i poszły spać. To był męczący dzień i tym razem Tania musiała obudzić Zoe, która spała twardo uśmiechając się przez sen. Już wcześniej wymogła na przyjaciółkach obietnicę, że wstąpią chociaż na parę minut, by zobaczyć jej córeczkę.

Tania obudziła więc również Mary Stuart i w trójkę podeszły pod dom Zoe. Otworzyła drzwi najciszej, jak potrafiła i weszły na palcach do salonu. Zamierzały pójść na piętro do dziecinnego pokoju. W salonie widać było rozrzucone zabawki, talerze z resztkami jedzenia, a na kanapie spał Sam z Jadę w ramionach. Zasnęli czekając na przyjazd Zoe przez wiele godzin. Inge widocznie już dawno poszła spać, a Sam zabawiał Jadę. Trzy kobiety przyglądały się tej scenie z prawdziwym rozrzewnieniem.

Zoe postąpiła parę kroków, pochyliła się, by pocałować dziecko i w tym momencie Sam otworzył oczy. Uśmiechnął się, więc go również pocałowała, najpierw delikatnie w policzek, a potem w usta.

- Tęskniłem za tobą - wyszeptał, po czym wstał, by przywitać się z jej przyjaciółkami.

Nadal trzymał w ramionach śpiącą Jadę. Przez te dwa tygodnie zaprzyjaźnili się bardzo i dziewczynka za nim przepadała. Z satysfakcją usnęła w jego ramionach czekając na

mamusię. - Nie mogła się ciebie doczekać - tłumaczył i Zoe uśmiechnęła się uszczęśliwiona. - Ja zresztą też - dodał, otaczając ją ramieniem. - Wszystko w porządku? - Zajrzał jej uważnie w twarz. Skinęła głową.

Mary Stuart i Tania stwierdziły, że czas już ruszać w drogę. Tom chciał tylko napić się mocnej kawy i jechać dalej, żeby dotrzeć do Los Angeles wczesnym rankiem. Czekają ich jeszcze dobrych sześć godzin jazdy.

Sam wciąż obejmował ramieniem Zoe, kiedy po rzewnym pożegnaniu machali za odjeżdżającym autokarem. Potem wrócili do domu, ułożył ostrożnie Jadę na kanapie i wziął Zoe w ramiona.

Autokar dotarł do Los Angeles o szóstej rano. Upłynęły prawie dwadzieścia cztery godziny od chwili, gdy opuścili Wyoming. W domu w Bel Air czekał na Mary Stuart faks od męża. Dopytywał się o dokładną datę jej przyjazdu. Dokonała już rezerwacji, ale nie podała mu wszystkich szczegółów. Na Tanie czekał plik wiadomości od prawników, sekretarki, agentów. Po dwóch tygodniach spędzonych w Wyoming wszystko to wydawało jej się teraz o wiele mniej istotne. Kiedy słońce wzeszło nad Los Angeles, Tania i Mary Stuart siedziały przy stole w ogromnej kuchni. Miło było jednak wrócić do domu, choć już teraz tęskniły do Wyoming. Zbyt wiele zostawiły za sobą. Rozmawiały o Gordonie i Hartleyu. Ten krótki pobyt na ranczo miał dla nich obu ogromne konsekwencje i aż trudno było uwierzyć, że wszystko to wydarzyło się naprawdę.

- Kiedy jedziesz do Londynu? - zapytała Tania.

- Planowałam zostać do środy, chyba, że chcesz się mnie wcześniej pozbyć.

- Kpisz sobie? Najchętniej zatrzymałabym cię na zawsze. I mam nadzieję, że szybko tu wrócisz.

Wymogły na Zoe obietnicę, że pozostanie z nimi w kontakcie. Zamierzały umówić się wkrótce na wspólny weekend, może w Carmel, gdyby Zoe czuła się na siłach, albo w Malibu, w nadmorskim domu Tani. Nie pozwolą, by czas, odległość czy, nie daj Bóg, jakaś tragedia ponownie je rozdzieliły.

Tania spędziła cały dzień podejmując zaległe decyzje, a po południu zadzwonił Gordon. Pracował w corralu, tęsknił jak wariat i pojechał do ich domu z architektem, który miał zrobić projekt przebudowy. Ona opowiedziała mu o swoich kłopotach, jakie wyłoniły się po powrocie do pracy w jej prawdziwym świecie. Zagrzewał ją, by wytrwała do jego przyjazdu.

- Nie mogę się już doczekać - powiedziała z błyskiem w oku.

- Ja również. - Przymknął oczy wyobrażając ją sobie taką, jaką widywał rankami w swoim bungalowie. Niecierpliwie wyczekiwał wyszykowania ich własnego ranczo.

Rozmawiał z nią z budki, wrzucając niezliczone ilości ćwierćdolarówek, ale nie chciał pozwolić, by dzwoniła na numer rancza. Był uparty. Obiecał, że zadzwoni następnego dnia, i przekazał pozdrowienia dla Mary Stuart.

Hartley nie odezwał się, ale wspólnie uzgodnili, że nie będą się kontaktowali aż do wyjaśnienia sytuacji w Londynie. Nie wiedziała nawet, gdzie go szukać w Bostonie czy Seattle. Pamiętała jednak kod: Adieu, Arielle albo Bonjour, Arielle, w zależności od tego, jakie będą losy jej małżeństwa.

Tego wieczora Tania zabrała ją do Spago. Przedstawiła przyjaciółkę właścicielowi i objaśniła jej, kto jest kim. Yictoria Principal jadła właśnie kolację w dużym towarzystwie. Był tam również George Hamilton. Harry Hamlin... Jaclyn Smith... Warren Beatty. A przy stoliku w kącie sali siedział George Christy z „Hollywood Reporter”. Wszyscy znali tu

Tanie, ale Spago było jedynym miejscem w Hollywood, gdzie nawet największe gwiazdy mogły zjeść kolację nie niepokojone przez nikogo.

Następnego dnia, kiedy Tania poszła na próbę, Mary Stuart wybrała się po zakupy. Później dzwonił Gordon i przyszedł faks od Billa, potwierdzający jej przyjazd. Nie było w nim nic osobistego i Mary Stuart tylko pokręciła nad nim głową. Przy pożegnaniu obie się popłakały. Mary Stuart wcale nie miała ochoty wyjeżdżać, wolałaby raczej cofnąć czas i wyruszyć razem do Wyoming.

- Wszystko będzie dobrze. - Tania próbowała dodać jej otuchy. - Pomyśl tylko o Hartleyu. Mary Stuart miała go wciąż przed oczyma w drodze do Londynu. Napisała nawet do niego list. Jej pierwszy list do Hartleya, pomyślała z uśmiechem. Czy on go zachowa? Był podyktowany szczerym uczuciem. Napisała, jak wiele dla niej znaczy, jak cudowne wspomnienia łączą ją z Wyoming, jak puste było jej życie, zanim się spotkali. Zamierzała wysłać ten list z londyńskiego hotelu.

Hotel wysłał po nią samochód. Zatrzymała się w Claridge's, mimo wszystko. Tak było prościej, zważywszy, że przyjechała rozmówić się z Billem. Ale zarezerwowała osobny pokój, nie zawiadamiając o tym męża.

Przeszła bez problemów przez kontrolę celną i wkrótce potem znalazła się w hotelu. Obsługa Claridge's przetransportowała ją błyskawicznie do jej pokoju, jakby była jakimś dygnitarzem państwowym. Poinformowano ją, że pan Walker jest w apartamencie, który wynajął na biuro. Pracuje z sekretarką. Nie zamierzała mu na razie przeszkadzać, chciała wpięć się do porządku. Umyła twarz, przyczesła włosy. Wyglądała jak zwykle nieskazitelnie w swoim czarnym kostiumie, który świetnie zniósł lot nad Atlantykiem. Było to charakterystyczne dla Mary Stuart.

Zamówiła filiżankę herbaty, spokojnie ją wypijała i dopiero wtedy zadzwoniła do Billa. Była już dziesiąta i Bili odchodził od zmysłów. Wiedział, że samolot ląduje o siódmej. Dał jej godzinę na odprawę paszportową, odebranie bagażu i dojazd do hotelu. Zadzwonił wreszcie do recepcji, gdzie potwierdzono jej przybycie. Wiedział więc, że Mary Stuart jest już w swoim pokoju i był w rozpacz, że do niego nie zadzwoniła. Ale jej się nie spieszyło. Zakładała, że spędzi ten dzień w Londynie i że jeżeli nie uda jej się złapać Alyssy, w piątek wróci do Nowego Jorku.

Bili odebrał telefon po pierwszym sygnale. Czowała się trochę niezręcznie, kiedy podawała mu numer swojego pokoju. Powiedział, że zaraz przyjdzie. Sekretarce zapowiedział, żeby mu nie przeszkadzać, idzie bowiem na ważne spotkanie.

Mary Stuart otworzyła mu drzwi i stwierdziła z bólem serca, że nic się nie zmienił. Nadal bardzo przypominał mężczyznę, którego tak długo kochała. Ale wiedziała, że to już nie ten człowiek. Zresztą oboje się zmienili.

- Witaj, Bili - powiedziała cicho. Chciał ją objąć, ale spojrzawszy jej w oczy, uznał, że lepiej nie próbować. - Jak się masz?

- Prawdę mówiąc, nie najlepiej - odparł ku jej zdziwieniu.

- Coś się stało?

- Obawiam się, że tak. - Usiadł na krześle i wyciągnął przed siebie długie nogi.

Przyszło jej na myśl, że pewnie proces idzie nie po jego myśli i zrobiło jej się przykro. Tyle poświęcił czasu i wysiłku, żeby go wygrać. Wydawał się bardzo smutny i bardzo młody.

- Zdaje, się że schrzaniłem swoje życie, i przy okazji twoje - spojrzał żałośnie na żonę.

Zadziwił ją coraz bardziej. Czyżby chciał jej uczynić jakieś wyznanie? Może zdradził ją w Londynie? W gruncie rzeczy ułatwiłoby to wiele spraw. Powiedzenie mu, że ich



małżeństwo się skończyło, było trudniejsze, niż się spodziewała. Nagle stał się dla niej znów człowiekiem z krwi i kości, ze zmarszczkami, wadami i tym wszystkim, co kochała.

- Co masz na myśli? - zapytała zdziwiona.

- Myślę, że dobrze wiesz. Przecież dlatego tu przyjechałaś, prawda? Jestem głupi, nie na tyle jednak, żebym się nie skapował. Nawet jak na mężczyznę, jestem chyba wyjątkowo tępy. Ten ostatni rok spędziłem po uszy zagrzebany w papierach, myśląc, że jeżeli cię zignoruję, to znikniesz, ulotni się też moja rozpacz i poczucie winy, Todd cudem wróci i zapomnimy o tych wszystkich strasznych rzeczach, które ci powiedziałem. Ale nic takiego się nie stało. Wręcz odwrotnie, robiło się coraz gorzej. Czułem się z każdym dniem paskudniej, i nawet trudno się dziwić, że ty mnie w końcu znienawidziłaś. Tego należało się spodziewać, biorąc pod uwagę całe moje zachowanie. - Wyglądał jak chłopiec i mimo woli musiała się uśmiechnąć. Czasem bywał taki nieporadny, bardzo kochany. - Nie sądzę, żeby to, co mówię, było dla ciebie zaskoczeniem. Jestem pewnie jedyną osobą z naszego otoczenia, która nie zdawała sobie dotąd sprawy ze swej głupoty. A więc chcesz mnie teraz powiadomić osobiście, co jest bardzo uprzejme z twojej strony, że zamierzasz się ze mną rozejść.

Zachowywał się jak kryminalista, pomagający oskarżycielowi założyć sobie pętlę na szyję. Przyznawał przy tym, że całkowicie na to zasłużył. Tym trudniej było wykonać wyrok.

O jedno chciała go tylko zapytać.

- Jak mogłeś mnie tak odseparować? Prawie się do mnie nie odzywałeś, nie odpowiadałeś nawet na moje pytania! To przypominało egzystencję z robotem!

- Czułem się bardzo nieszczęśliwy - powiedział. Był mistrzem eufemizmów. Musiała sobie na siłę przypomnieć o Hartleyu. - Więc co robimy? Przywiozłaś ze sobą papiery rozwodowe? - Zakładał, że już je sobie przygotowała. Wyczuwał, po co przyjechała.

- A powinnam? Chcesz tego?

- Masz je przy sobie? - naciskał.

Najwyraźniej był gotów wszystko podpisać. Zaskoczyło ją to i zirytowało, że tak mu spieszo przekreślić te dwadzieścia dwa wspólnie przeżyte lata.

- Nie, jeszcze nie przywiozłam dokumentów rozwodowych - odpowiedziała gniewnie. - Zatrudnij sobie prawnika, to ci je przygotowuje. Nie mogę na litość Boską robić wszystkiego! Przyjechałam, żeby się prostu z tobą rozmówić.

- Ach tak! - Sprawiał wrażenie zdziwionego. Opacznie ją widać zrozumiał. Chciał właśnie wydać dyspozycję, by przygotowano jego pokój na przyjęcie żony, kiedy powiadomiono go, że zarezerwowała dla siebie osobny pokój. Zdruzgotała go wiadomość, że nie zamierza z nim zamieszkać. - Jesteś na mnie strasznie zła, Stu - powiedział ze smutkiem, żałując, że nie można cofnąć słów i zdarzeń. - Nie dziwię ci się. Byłem doprawdy skończonym draniem. Nie potrafię się nawet

wy tłumaczyć, choć jestem ci to winien. Mogę cię tylko próbować przeprosić. Śmierć Todda wytrąciła mnie kompletnie z równowagi. Miałem tak wielkie poczucie winy, że pragnąłem się na kims odegrać. Oskarżałem siebie, ale to było na dłuższą metę nie do zniesienia, więc udawałem sam przed sobą, że to ty jesteś wszystkiemu winna. Nigdy w to jednak tak naprawdę nie wierzyłem. Wiem dobrze, że to jest tylko moja wina.

- Co ty wygadujesz?! Jak może to być twoja wina? - Jego słowa wprawiły ją w osłupienie. - Nikt nie może ponosić za to odpowiedzialności. To było straszne doświadczenie dla nas wszystkich, nawet dla Alyssy, nikt z nas na to nie zasłużył. Przemyślałam to sobie wszystko znacznie później, porządnie się na niego wkurzyłam, do tego stopnia, że zlikwidowałam

jego pokój i wiesz co? W jakiś sposób mi trochę ulżyło. Poczułam się potem znacznie lepiej.

- Jak to zlikwidowałaś jego pokój? Dlaczego? - Znowu go zaskoczyła.

- Był już najwyższy czas. Spakowałam wszystkie jego rzeczy. Ubrania rozdałam ludziom, którzy zrobią z nich użytek. Dłuższy czas wydawało mi się, że jeżeli pozostawię jego pokój nietknięty, to on do nas kiedyś powróci. W końcu zrozumiałam, że to się nigdy nie stanie.

- Ja zrozumiałem to dopiero w Londynie. Potem zaszokowała go jeszcze raz.

- Chcę sprzedać to mieszkanie - oświadczyła. - To znaczy, możesz z nim zrobić, co chcesz - poprawiła się - aleja nie będę tam mieszkać. To zbyt przygnębiające. Nie otrząśniemy się z tego, dopóki będziemy tam mieszkać. - Przyjaciele ostrzegali ich przed podejmowaniem pochopnych decyzji, więc poszli za ich radą. Ale minął już rok. - Możesz tam zresztą mieszkać, jeżeli chcesz, ale ja się wyprowadzam. - Po powrocie do Nowego Jorku rozejrzy się za mieszkaniem, chyba że zdecyduje się wprowadzić do Hartleya. Wiedziała, że Hartley postąpi zgodnie z jej życzeniem.

- Kogo obchodzi mieszkanie! - powiedział Bili gniewnie. - Chodzi o to, czy ty w ogóle zechcesz ze mną mieszkać. - Omal nie spadł z krzesła, usłyszawszy jej odpowiedź, mimo że się jej spodziewał.

- Nie. Nie chcę - odparła spokojnie. - A w każdym razie nie tak, jak to się działo przez ostatni rok.

- A gdybyśmy potrafili to zmienić? Gdyby było tak, jak kiedyś?

- To niemożliwe. - Zobaczyła łzy w jego oczach i zrobiło się jej żal męża. Ona nie mogła już płakać. Dla niej wszystko się skończyło. - Naprawdę mi przykro.

- Mnie też. - Był teraz bezbronny i bardzo ludzki. Jakie to smutne, że ocknął się dopiero teraz i najprawdopodobniej tylko na krótką chwilę. Gdyby zgodziła się do niego wrócić, znów stałby się wrogi, przestałby z nią rozmawiać. Nie zamierzała już ryzykować.

- Boże drogi, jakim byłem cholernym idiotą! - Usta mu drżały, a oczy wypełniły się łzami. - Po prostu nie umiałem sobie z tym nieszczęściem poradzić.

- Ja też nie potrafiłam, ale potrzebowałam cię bardzo. Nie miałam przecież nikogo - załkała.

- To samo było ze mną. Ale ja nie miałem nawet siebie i być może to było najgorsze.

Miałem wrażenie, jakbym umarł razem z Toddem i zabił tym samym nasze małżeństwo.

- Tak, to prawda - oskarżyła go otwarcie. Przecież po to przyjechała do Londynu. Chciała mu tylko uświadomić, dlaczego od niego odchodzi. Miał prawo wiedzieć. Ale on siedział teraz zrozpaczony i płakał. Wyglądał tak nieszczęśliwie, że zapragnęła otoczyć go ramionami i przytulić.

- Tak bym chciał cofnąć czas, wszystko odmienić, Stu, ale to nie w mojej mocy. Mogę tylko powiedzieć „przepraszam”. Stanowczo zasługujesz na coś więcej. Zawsze zasługiwałaś. Byłem doprawdy skończonym kretynem.

- Co mi przyjdzie z takiego gadania? - Spacerowała nerwowo po pokoju. Po raz pierwszy objawiła swój gniew i frustrację. - Teraz mi mówisz, że byłeś draniem? To dlaczego nie starałeś się tego zmienić?!

- Nie wiedziałem jak. Dopiero po przyjeździe do Londynu... Zaraz pierwszego dnia zrozumiałem, że mój przyjazd tutaj był okropnym błędem. Czuję się taki samotny, że nie bardzo mogłem zebrać myśli. Chciałem, żebyś była tu ze mną. Chciałem cię prosić, żebyś jednak przyjechała, ale wstydziłem się, a ty spędzałaś sobie miło czas na jakimś cholernym ranczo i tam prawdopodobnie zakochałaś się w kowboju... - Wyglądał jak obraz nędzy i rozpaczy. Mary Stuart miała ochotę zdrowo nim potrząsnąć.

- Jesteś skończonym idiotą- powiedziała z całym przekonaniem. Powinien był to od niej usłyszeć przed wieloma miesiącami i teraz żałowała, że mu tego wówczas nie powiedziała.
- Nie chciałem cię obrazić. Chciałem tylko powiedzieć, że na to zasłużyłem.
- Zasłużyłeś na porządnego kopa w tyłek, Williamie Walker. Miałeś cały rok na otrząśnięcie się. Mówisz, że byłeś samotny? To co ci strzeliło do głowy, żeby wyjechać na trzy miesiące i zostawić mnie samą w Nowym Jorku?! Dlaczego, u licha, miałabym nadal być twoją żoną?
- Masz rację, nie zasługuję na to - odparł z pokorą.
- Świetnie. Cieszę się, że to sobie wyjaśniliśmy. Rozwiódźmy się zatem. -W końcu to powiedziała. Miała to za sobą, ale Bili nadal wpatrywał się w nią i potrząsał głową.
- Nie chcę - powiedział jak dziecko, które odmawia pójścia do dentysty. -Nie chcę się z tobą rozwodzić.
- Dlaczego nie?
- Bo cię kocham. - Spojrzał jej prosto w oczy, a ona odwróciła wzrok.
- Obawiam się, że jest trochę za późno na takie wyznania - powiedziała ze smutkiem. Nigdy już nie uwierzy w to, że Bili ją kocha. Przez tyle miesięcy robił wszystko, by udowodnić, że jest akurat odwrotnie. Ignorował ją, odrzucał, wyrzucił poza nawias swojego życia, wyjechał wreszcie do Londynu i nie potrafił wykrzesać z siebie najmniejszej choćby pociechy, kiedy umarł ich syn. Pozbawił ją tego wszystkiego, czego miała prawo oczekiwać od męża.
- Nigdy nie jest za późno - powiedział żarliwie. Nie spuszczał z niej wzroku, ale Mary Stuart potrząsnęła tylko głową.
- Czyżbyś chciała powiedzieć, że mi nigdy nie wybacysz? To do ciebie niepodobne, Stu. Zawsze byłaś taka wyrozumiała.
- Być może zanadto - odparła, mądra po szkodzie. - Jestem absolutnie przekonana, że dla mnie jest już za późno. Przykro mi. - Wstała i odwróciwszy się do Billa plecami, spoglądała na dachy Londynu. Chciała już zakończyć tę rozmowę. Powiedziała, że pragnie rozwodu, zrobiła to, po co tu przyjechała. Teraz trzeba było tylko wysłać faks... Bonjour, Arielle. Chciała, by Hartley zastał go w domu, kiedy wróci w piątek do Nowego Jorku. Nie zdawała sobie sprawy, że Bili podszedł do niej i drgnęła nerwowo, kiedy nagle objął ją od tyłu.
- Nie rób tego, proszę - powiedziała w przestrzeń.
- Pragnę... Chcę... - W jego głosie brzmiała rozpacz. - Tylko ten jeden, ostatni raz... Pozwól się przytulić...
- Nie mogę! - zawołała, odwracając się do niego twarzą. Bili wciąż obejmował ją, a jego twarz znajdowała się tuż przy twarzy żony. Chciała mu powiedzieć, że go już nie kocha, ale jakoś zabrakło jej odwagi. Jeszcze, widać, nie była to prawda. Być może będzie tak pewnego dnia. Takie rzeczy wymagają czasu. Kochała go tak długo, że nie może przestać od razu, ale zbyt boleśnie ją zranił, by pragnęła kochać go nadal. Cały kłopot w tym, że kochała.
- Kocham cię - powiedział wpatrując się w nią i Mary Stuart zamknęła oczy. Trzymał ją nadal w objęciach i nie zamierzał puścić.
- Nie chcę tego słuchać. - Nie odsunęła się jednak.
- To prawda. Zawsze cię kochałem. Boże! Nawet jeżeli teraz odejdziesz, to choć uwierz mi, proszę! Zawsze będę cię kochał... jak kochałem Todda... - Płakał i Mary Stuart pochylała głowę na jego ramię, nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni. Przypomniała sobie, jak

cierpiała po śmierci syna, kiedy nie było nikogo, kto by ją pocieszył. Teraz on płakał po ich synu, jak kiedyś ona i przyłgnęła do męża.

- Tak bardzo cię kocham - powiedział Bili i pocałował ją. Próbowała się odsunąć, ale nie była w stanie. Nagle uświadomiła sobie, że oddaje mu pocałunki i czuła do siebie pogardę. Dlaczego jest taka słaba? Najgorsze było to, że chciała go całować.

- Przestań! - powiedziała, kiedy wreszcie oderwał usta. Byli oboje bez tchu. Mary Stuart odkryła jednak, że jego pocałunek złagodził ból, nawet jeśli nie zlikwidował cierpienia. Przyłgnęli do siebie ponownie i Mary Stuart nie chciała już, by się to kiedykolwiek skończyło. - Tak nie można - broniła się słabo. - Przyjechałam tu, żeby się z tobą rozwieść.

- Wiem. - Pocałował ją jeszcze raz, a potem sprawy wymknęły im się spod kontroli. Dotykał jej, wtulał w siebie, całował i żadne z nich nie mogło pojąć przyływu tej nagłej namiętności. Nie odczuwali jej tak długo, a teraz nagle owładnęło nimi pożądanie. Ani się spostrzegli, jak znaleźli się w łóżku. Mary Stuart nigdy jeszcze tak bardzo nie pragnęła męża i nigdy nie była do tego stopnia podniecona. Bili dał się ponieść nie znanej sobie namiętności. Podłoga usłana była ich ubraniami. Potem, kiedy już leżeli przy sobie, wyczerpani, Mary Stuart spojrzała na męża i roześmiała się w głos.

- Ależ to absurdalne! - wykrzyknęła. - Przyjechałam tu przecież, żeby porozmawiać o rozwodzie.

- On również się uśmiechał. - Sam nie mogę w to uwierzyć. Nie wiem, co się stało...  
Powtórzmy to...

Rozmawiali, kochali się, tulili do siebie oplakując syna i znów się kochali. Bili nie widział się już tego dnia z sekretarką i biedaczka nie wiedziała, co się z nim stało. Wszystkim dzwoniącym odpowiadała, że wyszedł na ważne spotkanie.

O szóstej wieczorem byli nadal w łóżku, wyczerpani. Mary Stuart zasnęła w jego ramionach, a kiedy się obudziła, był ranek i Bili patrzył na nią, modląc się, żeby to nie był sen. Jednego był w życiu całkiem pewien - tego, że nie chce jej stracić. Powiedział jej to przy śniadaniu. Zamówił mnóstwo jedzenia, byli spragnieni pożywienia i siebie. Zapytał, jak chciałaby spędzić ten dzień. W dodatku powiedział to tak, jakby byli na wakacjach.

- Nie będziesz dziś pracował? - zapytała z niedowierzaniem, popijając kawę.

- Wezmę wolny dzień. Jeżeli wracasz do Nowego Jorku, chcę spędzić z tobą jak najwięcej czasu. - Odwiozę cię potem na lotnisko - dodał ze smutnym uśmiechem.

Ale po śniadaniu znowu się kochali i Mary Stuart omal nie przegapiła samolotu. Zdążyłaby, gdyby wyskoczyła z łóżka i ubrała się w pośpiechu, ale nie chciała w ten sposób wyjeżdżać. Woląca zostać. Na dzień, na tydzień, a może do końca jego pobytu. Powiedziała mu to, kiedy siedzieli razem w wannie.

co, zostaniesz? - zapytał łagodnie, a kiedy skinęła głową, pocałował ją

- Mam wprawdzie ze sobą tylko buty kowbojskie, dzinsy i dwie sukienki. - Nie pamiętała Billa tak szczęśliwego.

- Powiedz, czy musimy mieć oddzielne pokoje?

- Nie - odparła poważnie. - Ale jeśli chodzi o mieszkanie, to naprawdę chcę je sprzedać. Bili uznał, że to dobry pomysł. Był już czas, by zostawić przeszłość za sobą, odnaleźć się na nowo, i przy odrobinie szczęścia zacząć od początku. Był wdzięczny żonie, że dała mu tę szansę. Przysiągł, że koszmar z przeszłości nigdy się nie powtórzy i Mary Stuart mu uwierzyła.

Powiedział, że chciałby ją gdzieś zabrać po południu, chociażby na spacer, ale najpierw musi wstąpić do biura. Obiecał sekretarce, że wpadnie podpisać jakieś papiery. Umówili się, że Mary Stuart będzie czekała na niego w holu.

Ubrała się, myśląc o Billu, o tych ostatnich dwóch dniach. Założyła bawełnianą brązową sukienkę, jedyny porządny ciuch, jaki przywiozła do Londynu. Wyglądała ciut młodziej i była, o dziwo, trochę potargana. Powiedziała już Billowi, że jeżeli ma z nim zostać, to musi pójść na zakupy. Ale nie o tym teraz myślała, lecz o mężczyźnie, który dwa dni wcześniej przemierzał z nią ukwiecone doliny Wyoming.

Zeszła na dół i zamieniła słowo z recepcjonistą. Powiedział, że nie ma problemu, że oczywiście wyśle faks. Uznał jednak za stosowne przypomnieć jej, że mąż dysponuje prywatnym faksem w biurze. Odparła, że woli załatwić to przez recepcję i podała mu numer faksu. Drżącymi palcami napisała dwa słowa i podała mu kartkę.

- Wyślę go natychmiast, madame - powiedział. Drżała na myśl o cierpieniu, jakie zada Hartleyowi. Okazał się jednak bardziej przewidujący od niej. Wiedział, jak to się może skończyć.

Napisała: Adieu, Arielle. Nic więcej. Nie wysłała napisanego wcześniej listu. Nie było sensu. Obiecała mu tylko dwa słowa, żadnych wyjaśnień.

- Gotowa? - zapytał Bili ujrawszy żonę w holu. Pomyślał, że jest trochę przygaszona i znów się zaniepokoił, a kiedy na niego spojrziała, stwierdził, że ma łzy w oczach. Przez te dwa dni zdążyli omówić wiele spraw i teraz objął ją mocno.

- Wszystko dobrze, Stu... Przy sięgam, że wszystko będzie dobrze .. Kocham cię.

Ale ona nie myślała o nim. W duchu żegnała się z przyjacielem. Potem ujęła dłoń męża i wyszli razem w słońce. Portier popatrzył za nimi z uśmiechem. Rzadko widywało się szczęśliwych ludzi. Tym tutaj los wyraźnie sprzyjał.